

JOAN D.
VINGE

KROZLOWA
ZATA

CZEŚĆ II
POWRÓT

„TA KSIĄZKA TO BEZPRECEDENSOWE OSIĄGNIĘCIE
LITERATURY SF.
PIERWSZORZĘDNA POWIEŚĆ PRZYGODOWA,
WIELKIE EPICKIE CZYŁO ZNAKOMITEJ AUTORKI!”

ARTHUR C. CLARK

PHANTOM BOOKS



Joan D. Vinge

Królowa lata

Powrót

(Przełożył Janusz Pultyn)

Spis treści

Strona tytułowa	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Plantacja Ngeneta	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Port gwiazdny Hegemonii	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Południowe Wybrzeże	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne	
TIAMAT: Krwawnik	
ONDINEE: Tuo Ne'el	
WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Prajna, orbita planety	
TIAMAT: Krwawnik	
TIAMAT: Krwawnik	
WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7	
TIAMAT: Krwawnik	
WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7	
TIAMAT: Krwawnik	

[TIAMAT: Prajna, orbita planety](#)

Po takiej wiedzy, jakie przebaczenie?

...Potworne winy

Są dziećmi naszego heroizmu. Cnoty

Są na nas wymuszone przez haniebne zbrodnie.

Drzewo gniewu otrząsnąć, stamtąd są te łzy.

T. S. Eliot

TIAMAT: Krwawnik

– Chce się z panem zobaczyć Jerusha PalaThion – poinformował bezosobowy głos pomocnika.

– Prosić. – B Z Gundhalinu wstał zza komputera, ciało powiedziało mu, że siedział przy nim o wiele za długo. Przeciągnął się, aż zazgrzytało mu w stawach, otrząsnął z mgły danych i zmęczenia.

Pomocnik, Stathis, wprowadził Jerushę PalaThion do gabinetu. Od przybycia Gundhalinu na Tiamat minęło już sześć miesięcy, a była przełożona odwiedza go dopiero po raz pierwszy. Zatrzymała się tuż za progiem, bezwiednie obrzuciła wewnątrz spojrzeniem wytrawnego obserwatora, nim spojrzała na gospodarza.

– Panie Sędzio Gundhalinu – powiedziała, kiwając głową i obdarzając go nagłym, trochę otumanionym uśmiechem. Ledwo dostrzegalnie poruszyła ręką, jakby miała ochotę zaszalutować, w jej oczach rysowało się zarówno zdumienie, jak i duma.

– Pani komendant – mruknął i zaszalutował regulaminowo, uznając ciągle jej dawny tytuł policyjny, choć teraz, jako zaledwie dowódczyni miejscowych sił, niezbyt na niego zasługiwała.

Jerusha odwzajemniła salut z całą powagą i sumiennością; ironia rozjaśniła jej uśmiech.

– Minęło wiele czasu, BZ, odkąd tak staliśmy – powiedziała. – Ostatnim razem się żegnaliśmy.

– Mam ciągle naszywki komendanta, które oderwałaś od swego starego munduru – przypomniał sobie z uśmiechem. – Powiedziałaś, że kiedyś mi się przydadzą. Wtedy ci nie uwierzyłem, ale miałaś rację. – Pokręcił głową.

– A teraz wyrosłeś ponad nie. – Wyciągnęła rękę w stronę koniczynki.

Zerknął w dół, wskazał gestem, by usiadła.

– Poczęstuj się. Jeszcze nie jadłem obiadu. – Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest już niemal pora kolacji. Na niskim prostokątnym stole dla gości stał talerz z nietkniętym posiłkiem. Usiadł naprzeciw Jerushy na mocnym miejscowym krześle z drewnianą ramą. Takie były ich wszystkie meble, wielkie, pilne potrzeby nowego rządu zaspokoi dopiero napływ importowanych towarów, co nastąpi, gdy w ładowniach statków znajdzie się w końcu miejsce na mniej ważne artykuły. – I tak potrzebuję chwili wytchnienia. Prawie całe popołudnie przeglądałem dane. Bogowie, zapomniałem, jakie rzeczy musieliśmy znosić w dawnych czasach... – Obowiązujące w czasie jego poprzedniej służby restrykcje i zakazy sprawiały, że nawet Policja zmuszona była męczyć się z przestarzałymi, nieodpowiednimi bankami danych.

– Wtedy nie znałeś ich połowy – powiedziała Jerusha, biorąc kawałek zimnej ryby. – Byłeś tylko inspektorem. Dopiero po zostaniu komendantem Policji przekonałam się, czym tak naprawdę jest biurokracja. Pewnie dobrze teraz o tym wiesz.

– Niestety, już od kilku lat. – Kiwnął głową, skrzywił się jak ona. Wybrał rodzaj naleśnika z jarzynami i zaczął jeść. Potrawa okazała się zimna i tłusta, zbyt był jednak głodny, by zwracać na to uwagę.

– Uplętnęło wiele wody, odkąd się pożegnaliśmy. Co porabiałeś przez te wszystkie lata? Słyszałam – no, można to nazwać plotkami. – Rozejrzała się znacząco po ścianach, potem długo popatrzyła na Gundhalinu, nim niedbale dotknęła ucha. Kiwnął głową. Ich rozmowa była nagrywana, rejestrowano wszystko, co się tu działo.

– Rozwijałem technikę napędu gwiazdowego, najpierw na Numerze Czwartym, potem na Kharemough. – Lekko wzruszył ramionami. – Dwa doskonałe miejsca do ćwiczeń w zmaganiach z biurokracją.

Spojrzała na niego, odczytała, co się kryje za skromnymi słowami.

– Powiedziałaś chyba, że nigdy już nie wrócisz na Kharemough, nie po... po tym, co się tu stało.

Odwrócił wzrok, przypomniał sobie noszone wtedy blizny – znaki po próbie samobójstwa.

– Powiedziałem wtedy, że nigdy już nie ujrzę dwóch planet – tej i tamtej. Kharemough i Tiamat.

Wówczas w to wierzyłem. Czwórka zmieniła dla mnie obie te rzeczy.

– Odkryłeś prawdziwe oblicze Ognistego Jeziora. – Pokręciła głową. – Wiem o tym. I zostałeś sybillą. – Znowu się uśmiechnęła. – Chyba nie potrzebuję dalszych wyjaśnień.

– A co z tobą? – zapytał. – Podczas naszej poprzedniej rozmowy wsiałem do ostatniego statku dokonującego Ostatecznego Odlotu stąd – a ty zostawałaś. Ciągle nie wiem, skąd wzięłaś na to odwagę, wierzyłaś przecież, że czynisz to na zawsze. Mnie takiej odwagi zabrakło... – Pokręcił głową.

– W zostaniu tyleż co odwagi, było rozpacz – lub dumy – powiedziała. – I miłości... – Zrozumiał, że nie ma na myśli umiłowania sprawiedliwości czy jakiegoś szlachetnego ideału; chodziło jej o kochanie człowieka. Poczł, że się rumieni, jakby zdradziła jakoś jego najgłębsze myśli. Z trudem uświadomił sobie, że mówi o swoim, a nie jego życiu po Odlocie; znowu napełniło go to zdumieniem.

– Naprawdę? – zapytał cicho. Gdy była jego przełożoną i jedyną kobietą w służbie, zawsze sprawiała na nim wrażenie opancerzonej niezależnością. Trudno mu było uwierzyć, iż ktokolwiek zdołał się przedrzeć przez ową zbroję i zdobyć jej serce... że musiało się zdarzyć na jego oczach, a on nic nie zauważył. – Do kogo? – zapytał.

– Ngeneta ran Ahase Miroe.

Podrapał się po nosie, przeszukując pamięć.

– Bogowie... – powiedział nagle. – Do niego? Tego przemytnika...?

Kiwnęła głową, uśmiechając się z niespodziewanym smutkiem. – Właśnie. Pokręcił głową.

– Dziwna para – mruknął.

– Bardziej do siebie pasowaliśmy, niż sądzisz – powiedziała, znowu z dziwnym smutkiem. – Na lepsze i gorsze.

– A więc to dlatego zostałaś.

– Niezupełnie. – W jej oczach mignęła stara przekora. – Powiedziałam ci wtedy, że łatwo nie rezygnuję. Tym, co dało mi odwagę... zaufania sercu, było poznanie prawdy. Na temat Moon Dawntreader. Tego, co chciała zrobić, by Zmiana coś naprawdę dała. Miroe też tego pragnął. Wiedziałam, że oboje chętnie oddamy za to życie.

Uśmiechnął się, kiwnął głową; spoważniał, gdy ożywienie opuściło jej twarz.

– Nadal jesteś z nim? – zapytał ostrożnie. Pokręciła głową.

– Miroe zmarł trochę ponad rok temu. Wypadek. Spadł. Coś ścisnęło mu twarz.

– Przykro mi – powiedział, pojmując wreszcie, co tak boleśnie i głęboko ją zmieniło. Jej oczy ciągle zdradzały ostrożność i inteligencję, lecz czegoś w nich brakowało. Po ich ostatnim spotkaniu spędziła niemal dwadzieścia trudnych lat na trudnej planecie, lecz jej ciało postarzało się nie od tego. Miał wrażenie, że nie ma w niej rzeczy, którą zawsze najbardziej podziwiał: upartego sprzeciwiania się przeznaczeniu.

– Mnie też. – Znowu na niego spojrzała. – Codziennie.

– Macie dzieci? – zapytał, by przerwać niezręczne milczenie. Pokręciła głową, jej twarz wyrażała zbyt mieszane uczucia, by je odgadnąć. Wreszcie popatrzyła na niego z ciekawością, lecz nie zadała pytania, które czytał w jej oczach. Z osiągniętą z trudem obojętnością podniosła kawałek marynowanego mięsa.

– Przeszłość i tak jest już za nami – mruknęła. – Stała się historią. Nadeszła Zmiana i powinniśmy odrzucić stare życie, spróbować nowego.

– Myślałem, że dokonuje się to dopiero po odprawieniu właściwych obrzędów, gdy Matka Morza udzieli swego błogosławieństwa – powiedział z uśmiechem.

Jerusha uniosła brwi.

– Nie mów tylko, że teraz w to wierzysz... Pokręcił głowę.

– Nie mów, że ty. Wzruszyła ramionami.

– Rzeczy i tak się zmieniają, czy chcemy tego, czy nie, prawda? – Spojrzała na niego badawczo.

– Wszyscy się boją, że powrót Hegemonii spowoduje, iż znowu się znajdziemy pod jej obcasem.

Znajdziemy. Skrzywił usta, usłyszawszy, że włączyła siebie do Tiamatańczyków. A niby czemu nie? Spędziła tu większość życia. Ledwo musi pamiętać swą rodzinną planetę, Newhaven. Przyjrzał się leżącemu na kolanie butowi.

– Hegemonia ciągle ma ciężką nogę. Staram się pilnować, by nie za często stawiała ją w niewłaściwych miejscach. Dlatego zaprosiłem cię do siebie. Potrzebuję sądu kogoś znającego Tiamat, lecz także potrafiącego patrzeć od strony Hegemonii. Kogoś, komu mogę zaufać. Pragnę poznać nastroje Krwawnika; jakie skutki wywiera tu nasza obecność, dobre czy złe. Wszystko, co będę mógł zrobić, by stały się lepsze...

Przebywali tu od niemal połowy standardowego roku, a ciągle nie mógł się wyzwolić od spraw bieżących. Przekonali się, że robią niespodziewanie szybkie postępy przy odtwarzaniu podstaw swego działania, zawdzięczali to temu, że większość pozostawionych przez nich urządzeń pozostała nietknięta – Moon Dawntreader, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich Królowych Lata, nie kazała wrzucić wszystkiego co pozaziemskie do morza. Przy wielu musieli jedynie wymienić mikroprocesory zniszczone sygnałem wysokiej częstotliwości, wysłanym przez Hegemonię podczas Odlotu.

Oznaczało to, że część przywiezionego z sobą wyposażenia mogą użyć do polepszenia warunków życia, upodobnienia ich do pozostawionych na Kharemough. Nie zaszkodziło to morale żadnego z jego podwładnych i doradców. Był pewny, iż pomaga to mu przekonywać ich do poglądu, że należy zezwolić na kontynuowanie osiągniętego podczas nieobecności Hegemonii postępu; że oprócz zdobywania dobrej woli miejscowych ma to sens ekonomiczny, pozwala na wyprzedzanie własnych planów.

– Staram się utrzymać kruchą równowagę. Potrzebuję do tego możliwie jak największej współpracy obu stron. – Jeśli to w ogóle możliwe.

– Na razie wszystko wydaje się iść dobrze – powiedziała Jerusha. – Moon... Królową i większość Tiamatańczyków uspokoiło, że nie niszczycie ich osiągnięć. Ale jak do tej pory przybyło niewielu pozaziemców. Wszystko stanie się trudniejsze, gdy otworzycie Tiamat. Kiedy zamierzacie zacząć wydawać zezwolenia na przyloty zwykłych cywili? Kiedy otworzycie szeroko wrota przed handlem i kontaktami? Wytarł ręce o leżącą obok talerza gąbkę.

– Wyprzedzamy plan, dlatego zamierzam już w przyszłym miesiącu pozwolić na przecieki. Żeby nie naruszać równowagi, napływ będziemy zwiększać stopniowo. Pragnę możliwie jak najdłużej zapobiegać przybywaniu przestępców; nie chcę, by Krwawnik stał się tym co przedtem – dogodnym schronieniem dla mętów z całej galaktyki.

– Tym głównie zajmowała się Arienrhod – powiedziała Jerusha, pochylając się naprzód. – Pozwalała im kryć się pod płaszczykiem swego "suwerennego panowania", nie dopuszczała, byśmy się do nich dobrali. Lubiła patrzeć, jak Sini cierpią z tego powodu. Nowa Królowa nie sprawi wam takich kłopotów.

Kiwnął głową i napił się soku. Zaskoczył go nagły, boleśnie znajomy smak owocu, jakiego nie czuł od przeszło dziesięciu lat.

– Wiem, dzięki bogom. Ale są inne jeszcze sposoby zdobywania wpływów i władzy, choćby się nawet nie było przyjmowanym z otwartymi ramionami...wiesz o tym równie dobrze co ja i lepiej niż Królowa. – Sposoby i środki, o których Jerushy PalaThion nawet się nie śniło. Znowu na nią popatrzył. – Zamierzam zmniejszyć do minimum szoki kulturowe, jakie nastąpią, gdy stanie się łatwiejszy dostęp do sprowadzanych towarów i zacznie się prawdziwa zachłanność...

– Masz na myśli Tiamat czy coś jeszcze? – zapytała Jerusha.

– Mówię o wszystkich – łącznie z Tiamatańczykami. Chciałem się dziś z tobą spotkać z jeszcze innego powodu. Zastanów się, czy pragniesz zostać moim Głównym Inspektorem.

Jerusha wyprostowała się, spojrzała nań ze zdumieniem.

– Mówisz poważnie? – mruknęła i roześmiała się niespodziewanie. – Na pewno. Nie pytałbyś dla żartu. Ale dlaczego?

– Ze względu na rzeczy, o których rozmawialiśmy – wyjaśnił. – Dokonaliśmy dalekiego powrotu, ty i ja. Znamy się nawzajem. – Uśmiechnął się przelotnie. – Nigdy się nie zawahasz przed daniem mi bezpośredniej odpowiedzi... Zbyt mało wiem o możliwościach większości mych ludzi, nie wszystkich też sam wybrałem. Potrzebuję przy sobie – za plecami, jeśli wolisz – takich, którym mogę ufać i skierować bez obaw do podobnej pracy. – Żeby przeżyć. – Potrzebuję pomocy, jakiej możesz mi udzielić tylko ty. Moim policjantom brakuje doświadczenia w kontaktach ze społeczeństwem Tiamat. Ufam bezgranicznie Vhanu, Komendantowi Policji; od lat dla mnie pracuje. Ale nie poznał jeszcze planety... Szczerze mówiąc, pod wieloma względami przypomina mi mnie. – Uśmiechnął się nieśmiało, wspominając służbę na Tiamat, czas potrzebny na nauczenie się tego świata.

Jerusha kiwnęła głową, dostrzegł, że rozumie.

– Spotkałam się z nim kilka razy. Zauważyłam podobieństwo.

– Pojmujesz więc, dlaczego jesteś bezcenna, nie tylko dla Policji, ale i dla niego.

Opadła na oparcie krzesła i zamilkła na dłuższą chwilę.

– Rozmawiałeś z nim? Gundhalinu przytaknął.

– Co o tym sądzi?

– Jest przeciwny – odpowiedział szczerze.

– A jak według ciebie zareagują inni, gdy zmusisz ich, by jako Głównego Inspektora mieli nad sobą kobietę – na dodatek zdrajcę, zaprzańca?

– Jesteś zdrajczynią czy Komendantem Policji w stanie spoczynku, mającym za sobą lata bezcennego doświadczenia w służbie zagranicznej?... A ja niedoszłym samobójcą czy Bohaterem Hegemonii? Jerusho, wszystko zależy od tego, od której strony spojrzysz. – Powoli rozciągnął usta w uśmiechu i wzruszył ramionami. Spojrzała na niego z lekkim zdumieniem. – A jeśli chodzi o twą płęć, to Kharemoughi mniej zwracają na to uwagę niż twoi rodacy. W Policji jest kilka kobiet i mam nadzieję zaciągnąć dalsze.

Opuściła wzrok, zastanawiała się, przygryzając w roztargnieniu usta.

– Nigdy nie cofałaś się przed wyzwaniem – naciskał, kierowany pilną potrzebą uzyskania jej pomocy.

– To prawda – mruknęła, w jej uśmiechu przelotnie pojawiła się dobrze przez niego pamiętana stal. Zastanawiała się z błyszczącymi oczyma, lecz na koniec opuściła wzrok i pokręciła głową. – Nie mogę. Dziękuję ci, BZ, że o mnie pomyślałeś, ale nie mogę się zgodzić.

– Dlaczego? – zapytał, powstrzymując chęć wykrzyczenia nagłego rozczarowania. – Dlaczego nie?

– Bo potrzebuje mnie Królowa. Polega na mnie... Z tych samych powodów, dla których chcesz

pracować ze mną. Nie mogę być lojalną dla was obojga. Nie mógłbyś liczyć na osobę wierną dwóm stronom.

Pochylił się, wsunął dłonie między kolana, zacisnął.

– Pracuj dla mnie, Jerusho – wymawiał każde słowo, jakby składał uroczystą przysięgę – a nie będziesz zmuszona do rozdzielania wierności.

Długo na niego patrzyła, aż nagle pojął z radością, że tej współpracy potrzebuje nie tylko on... ale także i ona.

– Bogowie... – mruknęła. – Pozwól mi się z tym przespać. Nie mogę się zgodzić, nie mając przedtem czasu do namysłu.

– Masz go tyle, ile tylko zechcesz. – Poczul, jak napięcie opuszcza jego ramiona. – Powiedz mi tylko, że nie odrzucasz propozycji z miejsca.

– Nie – powiedziała wstając. – Nie odrzucam.

– Czy porozmawiasz z... z Królową? – Ledwo się powstrzymał, by nie użyć jej imienia. Wstał również.

– Mam nadzieję. – Kiwnęła głową, patrząc na niego z ciekawością.

– Powiedz jej ode mnie, że wymogłem na moich ludziach tymczasowe zawieszenie polowań na mery, do czasu przeprowadzenia dalszych badań. Nie wiem, na ile uda mi się to utrzymać. Główny Komitet Koordynacyjny na Kharemough bardzo się niecierpliwi. Powiedz jej, że na razie nie mogę zrobić nic więcej.

– Ucieszy się, gdy to usłyszy. Ja też. Dziękuję ci. Wiem, jakie naciski musisz wytrzymywać – bogowie, musi być jeszcze gorzej bez opóźnienia czasowego w kontaktach z władzami. Wiem, jak bardzo pożądamy wody życia; jak trudno zapobiec, by nie uzyskali tego, co chcą. Wiem... sama kiedyś próbowałam.

– Chciałbym, żeby zrozumiała to Królowa – powiedział z grymasem. – Podczas wszystkich naszych spotkań w pałacu mocno naciska na szybkie zmiany i jednocześnie na zakazanie polowań... zbyt mocno. Próbowałem jej wykazać, że należy postępować stopniowo; Tiamat, żeby uzyskać pełną równość z innymi światami Hegemonii, musi najpierw osiągnąć pewien stopień rozwoju technicznego. Inaczej zmiana sprawi tylko, że wszystko będzie jeszcze gorsze niż przedtem. Hegemonia nie lubi wymiany czegoś za nic, tak samo zresztą jak Tiamat.

– Rozumie to – mruknęła Jerusha. – Ale wie także, że Hegemonia przybyła tu, uważając jej lud za barbarzyński, a tak nie jest. Gotowa jest do kompromisu i wyjścia naprzeciw żądaniom Hegemonii, jeśli ta uczyni to samo. Chce tylko, żeby rozumiano, iż punkty widzenia obu stron różnią się od siebie. Hega przyjmowała zawsze w stosunku do tego świata zasadę: "co moje, to moje, co twoje, możemy dyskutować..."

– Robię, co mogę – powiedział z odrobiną niecierpliwości. – Musi zważać na każdy krok. Chciałbym tylko, żeby mogła... Żebyśmy... – Nagle odwrócił wzrok. – Cholera – szepnął. Cholera. Cholera.

– Wiem, BZ – powiedziała Jerusha z nagłym zrozumieniem w oczach. – Też tego chce. – Uśmiechnęła się. – Pewnie wszyscy chcemy.

Minęła dłuższa chwila, nim znowu na nią spojrział.

– Na Kharemough mają stare powiedzenie: "W życiu są dwie tragedie. Pierwsza to niemożność spełnienia pragnień serca. Druga to ich spełnienie".

Roześmiała się cicho. – Na Newhaven, przeklinając kogoś, mówimy: "Obyś dostał wszystko, czego pragniesz; obyś został zauważony przez możnych ludzi; obyś żył w ciekawych czasach".

Poczul, jak się uśmiecha, ucieszył się, że przynajmniej nie stracił poczucia absurdu.

– W takim razie na pewno nie ma dla mnie nadziei. – Wyciągnął do niej rękę. Na wzór tubylców chwyciła ją za nadgarstek. – Daj mi znać, gdy podejmiesz decyzję. Przekaż wyrazy szacunku dla Królowej. I... – Urwał, przypomniawszy sobie twarze dzieci Moon. – I dla jej rodziny.

Kiwnęła głową.

– Przekaze – powiedziała z powagą. – Na pewno, BZ.

Patrzył, jak wychodzi z jego gabinetu. Połączenie wewnętrzne zaczęło brzęczeć, gdy tylko zamknęła drzwi. Nie zwrócił na nie uwagi, wsłuchując się w coś innego.

TIAMAT: Krwawnik

– Jerusha, cieszę się, że przyszedłeś...

Jerusha poczuła, jak wykrzywia się jej twarz na widok Królowej odwracającej się do niej z uśmiechem i podniesionymi dłońmi. Kiwnęła głową, próbując odwzajemnić uśmiech, gdy Moon wskazała na pokryty danymi ekran, leżący przed nią jak czarodziejska sadzawka na powierzchni biurka.

– Pracowałam nad tym całe popołudnie, a teraz nagle odmawia spełnienia moich poleceń. Mówię temu, że jestem Królową, ale nie robi to żadnego wrażenia. – Roześmiała się na poły z rozbawienia, na poły ze zdenerwowania. – A wszystkie zbiory pomocnicze są w sandhi.

Jerusha pochyliła się nad jej ramieniem, by spojrzeć na ekran.

– Zbyt mało pamiętam pisane sandhi, by poradzić sobie w łazience, a co dopiero z mózgiem komputera. – Pismo było ideograficzne i w niczym nie przypominało języka mówionego. – Nigdy go dobrze nie znałam... Czy twoje dane są zabezpieczone? – Moon przytaknęła. – W takim razie po prostu wyłącz wszystko i włącz znowu. Trochę to niewygodne, ale w moim przypadku zawsze odnosiło skutek.

Moon popatrzyła z pewnym osłupieniem, ale wzruszyła ramionami i kiwnęła głową. Jerusha patrzyła, jak postępuje z komputerem.

– Och. Lepiej! Dziękuję ci... – Moon okręciła się z krzesłem, odchyliła do tyłu. – Przyszedłeś, wiedziona swym niesamowitym przeczuciem, że będziesz potrzebna, czy chcesz o czymś porozmawiać? – Spojrzenie w jej oczy kazało Jerushy zastanowić się nad niesamowitym przeczuciem Królowej.

– No... tak, chcę. – Usiadła na fotelu stojącym obok narożnika biurka, przyglądała się swoim dłoniom – zmarszczkom, grubiejącym knykciom, zgrubieniom, które po tylu latach zdawały się być ich nieodłączną częścią.

– Jak się ostatnio czujesz? – zapytała Moon łagodnie. – Czy po powrocie Hegemonii łatwiej znosisz brak Miroe? A może trudniej?

Jerusha spojrzała na nią znowu, zrozumiała, że w ciągu ostatnich tygodni nie miały choćby kilku chwil, wykradzionych z ich prywatnego czasu, by poświęcić je na rozmowę o sprawach osobistych.

– Chyba i jedno, i drugie – powiedziała.

– Tak. – Moon spojrzała w dal, jakby coś zasnuło jej myśli. – Masz rację... Jedno i drugie. – Splotła między palcami pasmo jasnych włosów, w roztargnieniu skręcała je i rozkręcała. – Obecność Hegemonii wzmogła wszystko. – Zerknęła na komputer, część systemu, który przez całe jej panowanie, aż do teraz, był bezużyteczny i martwy. Dopiero od kilku tygodni nauczyła się nim posługiwać, co Jerusha nadal uważała za niemal niewiarygodne. – I nadała podwójne znaczenie...

Jerusha dostrzegła za tymi słowami BZ Gundhalinu, niby odbicie w lustrze.

– Moon, powinnaś porozmawiać z BZ.

– Rozmawiam – powiedziała Moon. – Spotykam się z nim kilka razy w tygodniu... – Spojrzała w bok. – Ale nie sama. Nie mogę, Jerusho.

– Czego się po nim spodziewasz? – zapytała Jerusha, unosząc brwi.

– Chodzi o mnie. – Zarumieniła się. – Patrząc na niego, gdy mówi... Myślałam, że lata uodporniły mnie na to... że zubożęniałam. Że po wszystkim, co Sparks i ja straciliśmy, co mieliśmy razem, jedynym, czego mogę żądać od życia, jest zostawienie mnie samej. Spokój. – Pokręciła głową. – Ledwo go znałam, Jerusho... i to przed tylu laty. A mimo to, patrząc na niego, chcę by... – Zacisnęła dłonie. – Nie rozumiem tego. Nie wiem nawet, czy tkwi to w nim, czy we mnie. Ale nie

mogę sobie ufać... – załamał się jej głos.

– To najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką usłyszałam od dwudziestu lat. – Jerusha pokręciła głową. – Winna mu jesteś spotkanie sam na sam. Musicie porozmawiać o dzieciach. – Moon skrzywiła twarz w zaprzeczeniu. – Myślisz, że nie wie? Wie... Moon spojrzała na nią nagle.

– Rozmawiałaś z nim, prawda? Jerusha przytaknęła.

– Jaki jest...?

– Pograżony po uszy w biurokracji. Ale chyba tego nie żałuje. Na razie.

– O czym mówiliście? – Mina Moon zmieniła się nagle. – Jerusho, zamierzasz opuścić Tiamat?

– Nie. – Jerusha niemal się roześmiała, tak dalekie to było od jej trosk. – Nie... Zaprosił mnie do siebie. – Odetchnęła głęboko. – Zaproponował pracę, Moon. Głównego Inspektora.

Moon popatrzyła na nią z namysłem.

– I pracowałabyś dla Hegemonii?

Znowu. Jerusha usłyszała prawdziwe pytanie, jakie Królowa chciała zadać, spodziewała się go. Pracując przedtem dla Hegemonii, była wrogiem tego świata, choć wtedy o tym nie wiedziała.

– Pracowałamby dla BZ – odpowiedziała.

– A co ze stanowiskiem mojego Dowódcy Straży?

– Gdybym przyjęła funkcję Głównego Inspektora, znalazłabym parę osób, którym ufam i które mogłyby przejąć moje obowiązki. Dopilnowałabym tego.

– A więc podjęłaś już decyzję?

Jerusha niemal pokręciła głową, lecz zawahała się, czując, że istotnie tak jest.

– Myślę, że bardziej się tam przydam – powiedziała powoli – dla nas wszystkich. Znam obie strony. BZ potrzebuje ludzi mających podobne doświadczenie... Potrzebuje kogoś pilnującego mu pleców.

– A kto będzie pilnował moich? – mruknęła Moon z odrobiną złości.

– BZ – uśmiechnęła się Jerusha. – My oboje. – Znowu popatrzyła na swoje dłonie i przestała się uśmiechać. – Moon, od śmierci Miroe miałam wrażenie, że moje życie wpada w koleiny, coraz to głębiej i głębiej. Nie wystarcza mi to, czym jestem, co mam, co robię... Chyba tego potrzebuję. Potrzebuję wyzwań, kłopotów, starć, problemów – potrzebuję mocnego kopa szoku kulturowego, żeby znowu zacząć żyć. – Spojrzała na komputer, czekający za Królową niby martwe oko. – Po niemal dwudziestu latach ciągle brak mi działania.

Moon kiwnęła głową, zacisnęła usta. Jerusha dostrzegła zrozumienie w jej oczach; również głębię rozczarowania i straty.

– Różnica będzie tylko powierzchniowa – powiedziała, nie wiedząc, kto tak naprawdę potrzebuje zapewnień. – Jesteśmy po tej samej stronie, dążymy do tego samego celu. Zawsze tak będzie.

Moon obejrzała się na zwodniczo ciepłe, jasne oko komputera.

– Jediną rzeczą, jaka zawsze pozostaje taka sama – powiedziała – jest zmiana.

TIAMAT: Krwawnik

– Jest pan wcześniej, sędzio Gundhalinu – powiedziała niewidoma.

Gundhalinu zatrzymał się zakłopotany tuż przed muszlowatym wejściem do sali narad pałacu. Fate Ravenglass, niewidoma kobieta kierująca Kolegium Sybilli, siedziała samotnie przy zajmującym środek sali wielkim okrągłym stole. Zamknięte oczy skierowała na niego, choć nie na oczy. Nie było nikogo mogącego jej powiedzieć, kto wszedł do środka.

– Skąd pani wie, że to ja? – zapytał z ciekawości, idąc w jej stronę.

– Ma pan bardzo charakterystyczny chód – powiedziała z niewymuszonym uśmiechem.

– Aha. – Uśmiechnął się nieśmiało, miał nadzieję, że wyczuje to w jego głosie. Stał przed nią, zamiast usiąść oparł się o wysokie, twarde oparcie krzesła. – Pani też przybyła wcześniej, Fate Ravenglass. – Nie wiedział, gdzie patrzeć, nie był przyzwyczajony do rozmów z niewidomymi. Wprawiało go to w zakłopotanie.

– Rzeczywiście – potwierdziła. – Tor przyprowadziła mnie i posłała na zebranie towarzystwa przedsiębiorców. – Pokiwała głową. – Ale nie przyszedł pan wcześniej ł samotnie, by zobaczyć się ze mną – powiedziała z dziwną łagodnością.

– Nie – mruknął, odwracając wzrok, patrząc na pustą salę z kilkoma wejściami. – Proszę mi powiedzieć – zmienił temat – jak stała się pani sybillą w środku Krwawnika sprzed wielu lat? Jak udawało się pani ukrywać?

– Bardzo dawno temu ktoś zaraził mnie podczas Nocy Masek. – Jej palce przesuwały się niespokojnie po blacie stołu.

Bogowie. Zastanowił się nad wnioskami.

– Przypadkowo?

– Nie. – Uniosła niewidzące oczy, znalazła jego z onieśmielającą dokładnością. – Nieprzypadkowo. Cemu pan pyta, sędzio Gundhalinu?

Usiadł powoli obok niej.

– Coś bardzo podobnego... zdarzyło się ze mną – odparł, właściwie nie odpowiadając na jej pytanie.

– A więc pan też jest sybillą?

– Tak – odpowiedział zdziwiony, dopiero po chwili zrozumiał, że nie mogła zobaczyć jego koniczynki; zdumiało go ponownie, że nikt jej nie powiedział.

– Przestraszył się pan wtedy? – zapytała.

– Tak – potwierdził ponownie. – Myślałem, że oszalałem. Chrząknęła ze współczuciem, pochyliła głowę.

– Czy zaraził panią pozaziemieć? – zapytał. Kiwnęła głową.

– Tak sędzę. Choć podawał się za Letniaka... Przez lata utrzymywałam to w tajemnicy, bo bałam się, że zostanę wykryta i wygnana z miasta.

Gundhalinu zacisnął usta, zastanawiając się, czym mógł się kierować ów nieznajomy, świadomie zarażając wirusem niewidomą kobietę, a potem porzucając ją w mieście, gdzie sybille obdarzano nienawiścią i strachem.

– I nigdy nie wchodziła pani w Przekaz, nim M... nowa Królowa nie powiedziała pani prawdy?

– Wchodziłam...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jak...?

– Byli ludzie, którzy szukali mnie niekiedy, by zadawać pytania. Nie wiem, jak mnie znajdowali.

Wszyscy byli pozaziemcami, ale nigdy nie zdradzili mej tajemnicy. Poznawałam ich po tym, że nazywali siebie "obcymi z dala od domu" i dziwnie podawali rękę.

– Podawali rękę? – Gundhalinu zeszywniał. – Czy ma pani na myśli... coś takiego? –

Wyciągnął dłoń, ujął jej i zrobił palcami tajemny znak Przeglądu. Wyszarpnęła rękę.

– Tak! Skąd pan wiedział?

– W Hegemonii, a także innych częściach Starego Imperium, działa tajny zakon dążący do zmian na lepsze...

– I pan do niego należy?

– Tak.

– Pracują dla wyższego dobra?

– Tak – powtórzył z mniejszą pewnością.

– Poprzez zarażenie wirusem sybilli nic nie podejrzewających i nie pragnących tego ludzi?

– Nie. – Skrzywił twarz. – Musiał istnieć jakiś niesłychanie ważny powód takiego potraktowania pani... Przepraszam – dodał nieoczekiwanie.

– Czy z panem postąpiono tak samo? – zapytała po długim milczeniu.

– Nie. – Wciągnął głęboko powietrze, wypuścił je z westchnieniem. – Nie było po temu żadnego powodu. – Chociaż gdyby mu tego nie zrobiono, nigdy by nie rozwikłał tajemnicy Ognistego Jeziora i nie wrócił stamtąd z napędem gwiazdowym... Song była szalona, zwariowała od wirusa, ale Hahn, jej matka, która poprosiła go o odnalezienie córki, należała do Przeglądu. Czy do znacznie wyższego poziomu, niż mu się zdawało? Czy za pozornymi przypadkami losu krył się niewidzialny wzór, plan mający na celu jego powrót na Tiamat? Bogowie – może oszaleć od podejrzeń, jeśli zaczną rozważać wszystkie możliwości... – Zostałem zarażony przypadkowo.

Lekko zmarszczyła brwi, jakby usłyszała w jego głosie wątpliwość, ale powiedziała tylko.

– Cieszę się, że mi pan o tym powiedział. Zawsze pragnęłam wierzyć, iż mój los ma jakiś sens. Bardzo długo wiedziałam jedynie, co Letniacy sądzą o swych sybillach i co Zimacy myślą o Letniakach. Ale pozaziemcy ciągle do mnie przychodzili. A czasami bywałam wezwana do Przekazu z drugiej strony; długie lata jako jedyna mogłam odpowiadać na pytania dotyczące Krwawnika. Zawsze chciałam wierzyć, że coś znaczę, że to było ważne...

– Było – powiedział Gundhalinu. – Bardziej niż się pani zdaje. – Opuścił wzrok, po chwili znowu spojrzał w oczy przypominające zaciemnione okna na pomarszczonej, cierpliwej twarzy. – Nigdy więc nie widziała pani ludzi, którzy przychodzili zadawać pytania? – Zastanawiał się, czy Przegląd dlatego ją wybrał.

– Och, widziałam ich – na swój sposób. Nie byłam wtedy zupełnie ślepa – miałam pozaziemską opaskę z czujnikami obrazu. Wystarczało to, bym mogła pracować. Byłam maskarką; to ja przed ostatnim Świętem zrobiłam maskę Królowej Lata.

– Pamiętam ją – powiedział; pamiętał jak sen. Moon przyszła do niego, gdy leżał w szpitalu, mając od gorączki. Przyniosła z sobą maskę Lata, by zobaczyć, co osiągnęła... Zamrugął, wracając do teraźniejszości. – W takim razie straciła pani wzrok, gdy podczas Odlotu wyłączyliśmy wszystkie pozostawione tu urządzenia techniczne.

Kiwnęła głową.

– Dopilnuję, by możliwie jak najszybciej otrzymała pani nowe czujniki obrazu.

– Dziękuję – mruknęła zdziwiona.

Skłonił głowę i uświadomił sobie, że nie mogła zobaczyć tego gestu. Dotknął jej dłoni, zrobił palcami znak potwierdzenia.

Uśmiechnęła się; położyła rękę na jego dłoni, gdy chciał ją cofnąć.

– Czy mogę dotknąć pańskiej twarzy? – zapytała. Zrozumienie przezwyciężyło jego zaskoczenie, uniósł rękę, kierując jej palcami, aż dotknęły policzka.

Moon patrzyła przez ukryte okno na dwie postacie siedzące obok siebie przy stole. Zobaczyła, jak palce Fate oglądają twarz mężczyzny przyjmującego to z całkowitym spokojem, jak ręką artysty tworzy w umyśle jego portret.

Moon zacisnęła swoje dłonie, zaczynając mówić o jego skórze, o łagodnym, upartym dotyku jego ust na jej ręce, ustach... Odwróciła się, czując, że się rumieni; zła była na własne ciało za zdradę, za podniecenie, przebiegające jej nerwy niby srebrna muzyka – za to, że przyszła tu, by stanąć w ukrytej komnacie za jednokierunkowym oknem, czekać, czekać na widok tej twarzy...

Był to jeden z sekretów Arienrhod, okno z drugiej strony wyglądało na importowany obraz. Była Królowa miała podobne punkty obserwacyjne w całym pałacu, mogła dzięki nim w każdej chwili podglądać, kogo tylko chciała. Lubiła takie sztuczki, kryć się, żyć w kłamstwie, zdradzać siebie i oglądane przez nią, niczego nie podejrzewające osoby.

Ale – Odwróciła się znowu, nie mogąc powstrzymać. Musiała go widzieć, potrzebowała tej chwili... Nie potrafiłaby utrzymać noszonej publicznie maski chłodnej obojętności, gdyby najpierw nie popatrzyła na niego potajemnie. Przyszedł wcześniej na zebranie, nie czekając na nikogo ze swych ludzi, przed przyjściem kogoś z jej strony. Przyszedł wcześniej; na pewno zrobił to z jednego powodu, i niewątpliwie to nie Fate Ravenglass spodziewał się zobaczyć...

Do sali weszły trzy następne osoby – członkowie jej Rady. Fate i BZ odwrócili się, już nie widziała jego twarzy. Przycisnęła dłoń do okna, zastanawiała, ile czasu minie, nim przestanie czuć ową palącą konieczność, rozpaczliwą potrzebę choćby patrzenia na niego. Nigdy się nie spodziewała, że czegoś takiego dozna, nie po tylu latach. Ale gdy zobaczyła go znowu – i zrozumiała, że w ciągu długich lat rozstania codziennie widziała jego twarz w obliczu swego syna... jego syna...

Przygryzła wargę. Czy to dlatego myślała o nim tak często i tak długo? A może sprawiało to wspomnienie jedynej nocy, którą spędzili razem? Może tylko dlatego prześladowały ją owe uczucia, że nie mogła ich rozwikłać, nim tu nie wrócił. Ze względu na swe małżeństwo, swe dzieci, przyszłość swego świata... swoją, nie może się budzić; nie może nigdy spotkać się z nim sam na sam, dopóki nie nabierze pewności, iż całkowicie panuje nad swymi emocjami...

Odwróciła się od okna, czar przerwało przybycie nowych uczestników odbywanej za ścianą narady, tym razem pozaziemców. Skierowała się do skrytych drzwi; zatrzymała nagle, gdy drogę zaszedł jej mąż.

– Sparks...

Zerknął poza nią, na okno; ciągnącą się w nieskończoność chwilę patrzył przez nie, nim wrócił wzrokiem do jej twarzy. Poczula, jak się rumieni pod jego spojrzeniem; nie była w stanie nic powiedzieć, odeprzeć oskarżenia w jego oczach, bo nie mogła niczym wytłumaczyć swego pobytu tutaj, prawda była zbyt oczywista.

– Czemu się tym przejmujesz? – zapytał z niechęcią w głosie. – Weź go do łóżka, skoro po dwudziestu latach ciągle nie możesz mu się oprzeć.

– Nie pragnę go.

– To czego? Na pewno nie mnie. – Mocno uderzył się w pierś. – Przez dwadzieścia lat starałem się odzyskać ciebie, twą miłość, twój szacunek; biegałem za tobą, błagałem o każde dotknięcie, najmniejszy dowód, że ciągle cię obchodzę. A ty przez cały ten czas odsuwałaś się ode mnie coraz dalej... – Pokręcił głową. – Przez cały czas kochałaś wspomnienie. Zawsze to podejrzewałem, ale mogłem znieść, dopóki był daleko... – Wskazał na okno. – Nie wytrzymuję tego. Jego widoku. Wzroku, z jakim na niego patrzysz... Dostrzegłem prawdę: nawet Ariele i Tammis nie są moimi

dziećmi. Są jego!

Odwrócił się od niej, Moon poczuła, jak jej twarz wykręca ból.

– To nieprawda. Zawsze były twoimi dziećmi! Zawsze byłam twoją żoną. Kocham cię...

Obejrzał się z płonącymi oczyma.

– Masz mnie za ślepego? Za głupiego? To nie są moje dzieci! I nie jesteś moją żoną – nie w prawdziwym znaczeniu. – Jego gniew wypalił się do popiołów. – Nie zniosę tego. Rób, co chcesz... tylko więcej mi nie kłam. – Odwrócił i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Dopóki nie ucichły jego kroki, stała samotnie, niezdolna do ruchu, jak skamieniała.

Poruszyła się wreszcie, zaczerpnęła długi, drżący oddech. Z pustego korytarza spojrzała na ukryte okno; zobaczyła twarze patrzących w jej stronę, jakby mogli ją widzieć, ludzi. Pojęła, że sprzeczące się głosy dotarły do sali zebrań. Głowy zaczynały się znowu odwracać, patrzyły na siebie niepewnie. Zastanawiała się, co mogły usłyszeć.

Zaciskała pięści, aż zadrżały jej ręce; rozprostowała białe i zimne palce, wychodząc z tajemnego pomieszczenia. Weszła do wielkiej sali, gdzie czekało na nią kilka osób, gotowych rozpocząć zebranie mające ukształtować przyszłość jej świata. Zobaczyła przyglądające się jej oczy BZ; odmówiła spojrzenia w nie. Nie wiedziała, jak wytrzyma następną godzinę, następny dzień, skąd znajdzie siły niezbędne dla bycia Królową, a nie kobietą. Przypomniała sobie maskę Królowej Łata, którą Fate Rayenglass umieściła na jej głowie pewnego rozstrzygającego dnia, pół życia temu. Zbudowała obraz pogody i spokoju, nałożyła go na własne rysy, zbliżając się do wyczekujących przedstawicieli starego i nowego.

TIAMAT: Krwawnik

– Och, Tor, to niesamowite! Nie wierzę własnym oczom... – Ariele Dawntreader położyła swe zwinne szczupłe ciało na przezroczystej powierzchni stołu, zajrzała do kryjącej się pod nią głębi. Dźwięczała przy każdym ruchu, jej obcisły strój obszyty był drobnymi, lśniącymi płytkami srebra. – Czy tak właśnie wyglądał przed Zmianą twój klub? – Głosy otaczających ją przyjaciół rozbrzmiewały zachwytem. Tego wieczoru Starhiker po raz pierwszy, czy raczej po długim czasie, otwierała w Labiryntcie jedyny na razie lokal hazardowy na wzór pozaziemców.

Tor wszędzie, gdzie tylko mogła, skupywała resztki urządzeń, używane lub nowe, schowane w magazynach miasta; ustawiała je na nowo i naprawiała wypalone wnętrza przy pomocy niespodziewanie osiągalnych nowych mikroprocesorów. Przy błogosławieństwie Królowej uporała się z tym przed pozaziemskimi przedsiębiorcami, kołaczącymi do bram pałacu i Sinej ulicy, proszących władze miejscowe i Hegemonii o zezwolenie na wypełnienie na wpół pustych domów Labiryntu sklepami i lokalami rozrywkowymi. Nowy Główny Sędzia przykręcał kurka napływowi pozaziemców i ich zabawek, zmianom, których Tiamatańczycy oczekiwali na równo z niecierpliwością i z obawą. Jak dotąd kupcy i inżynierowie mieli znacznie większe szansę aniżeli przedstawiciele zawodów mniej użytecznych.

Ariele czuła jedynie niecierpliwość i lęk, nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek, łącznie z jej matką, miałby przyjmować inaczej podniecające możliwości otwierające się przed podlegającym zmianom miastem. Całe życie marzyła o tych cudach, choć dopiero teraz, gdy zaczęły się zjawiać, zrozumiała, czego pożądała.

– Cieszę się, maleńka, że ci się podoba. – Tor okrążyła stół, z dumą poklepała jej policzek dłonią w lśniącej od klejnotów rękawiczce. – Baw się, dziś wieczorem lokal jest tylko dla ciebie i twoich przyjaciół. Choć to tylko nędzne naśladownictwo mego dawnego miejsca. Ale tym razem należy do mnie... Zaczekaj, aż urządzenia naprawdę zaczną napływać – wtedy dopiero wybałuszysz oczy. Labirynt... bogowie, nigdy nie myślałam, że doczekam jego odzycia! – Pokręciła głową, zamigotała srebrna siatka okrywająca jej szpakowate włosy.

Ariele popatrzyła na nią, czując inne zdumienie; miała wrażenie, że nigdy dotąd nie widziała Tor Starhiker, choć znała ją od zawsze... że czyni to dopiero teraz, gdy zobaczyła ją wreszcie w otoczeniu, do którego naprawdę należała. Miała nadzieję, że będzie miała w oczach podobne światło, gdy po niewiarygodnie długim czasie znajdzie się w jej wieku.

– Na bogów, Ariele... – Tor wyprostowała się nagle, spojrzała na nią, gdy już wcisnęła napoje i pionki w niecierpliwe dłonie przyjaciół dziewczyny. – Co się stało z twoimi włosami?

– Obcięłam je jak pozaziemcy. – Ariele potrząsnęła głową, poczuła oszałamiającą lekkość tego ruchu, jakby z jej duszy opadł ciężar, jakby zrzuciła go wraz z sięgającymi do pasa włosami, które tego popołudnia zostawiła na podłodze pozaziemskiego zakładu. Pozostałe kosmyki miały zaledwie kilkanaście centymetrów długości i sterczały na wszystkie strony jak futerko kota. Elco Teel zachęcił ją do tego; ale gdy było już po wszystkim, nikt nie odważył się nie pójść w jej ślady. Większość z otaczających ją podskakujących głów była świeżo ostrzyżona na różne, coraz to dziwniejsze sposoby. – Czy nie wyglądają ślicznie?

Tor uniosła brwi, potem uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Wydają mi się doskonałe. Nie spodobają się twojej matce.

– Mam nadzieję – skrzywiła się Ariele, czując, jak uśmiecha się złośliwie. – Przynajmniej nie wyglądam już jak ona. – Znowu pokręciła głową i zeskoczyła ze stołu, wzięła stojącą na nim szklaneczkę. Pociągnęła z niej, zauważyła z radością i lekkim zdziwieniem, że Tor poczęstowała ją

napojem zawierającym alkohol. – Dzięki, Tor.

Gospodyni machnęła dobrodusznie ręką i odsunęła się od stołu, który nagle ożywił się holograficznym obrazem obcego miasta.

Sapnięcie zaskoczonej Ariele utonęło w pomrukach zdumienia. Stała między Elco Teelem i Tilbym Atwaterem, patrzyła, jak w tłumie pojawiają się ożywieni pozaziemcy. Szturchała przyjaciół, tłoczących się wokół, by wypróbować nową grę, która pewnie niedługo stanie się dla nich stara.

Obserwowała ją, starając się wyczuć zasady, mruczając spostrzeżenia, sapiąc i pokazując jak inni; wszyscy usiłowali ukryć, że nigdy dotąd nie spotkali się z podobną grą. Muzyka rozbrzmiewała wokół głośnymi, natarczywymi rytmami, nieznanym biciem serca obcego miasta. Po jakimś czasie zaczęli się rozchodzić, wędrować od stołu do stołu, pociągać napoje, przyglądać ukradkowo zdumiewającej różnorodności tłumów wypełniających przestrzeń wokół nich – ludzi wszystkich wzrostów i kształtów, z włosami o wszelkich możliwych do wyobrażenia fryzurach i ozdobach, barwach oczu i skóry, jakie jeszcze rok temu wywoływałyby u nich śmiech niedowierzania na samo wspomnienie. Kochała ten widok, symbolizowane przez niego poczucie różnorodności, żywy dowód nieskończonych możliwości życia.

– Bogowie. – Siostra Tilby'ego, Sulark, nieświadomie użyła pozaziemskiego okrzyku. – Jak można zdobyć dość punktów, żeby chociażby zremisować? Te gry są niemożliwe... Nawet pozaziemcy nie potrafią wygrywać. – Wskazała na zaczerwienionego gracza, który odwrócił się i odszedł od lśniących przed nimi splątanych ruin świata.

Ten zdoła wygrać – mruknęła Ariele, trąc Tilby'ego ramieniem. Patrzyła na mężczyznę odległego o dwa stoły, robiącego coś dla niej zupełnie niezrozumiałego, lecz robiącego to wspaniale, poznawała to po krzykach i śmiechach otaczających go ludzi. Tłum powtarzał każdy jego ruch, podobnie ona, choć zerkała na boki.

– Popatrz na niego, Tilby, na Cycki Pani, chciałabym zobaczyć resztę, a ty? – Był dostatecznie jasny, by uchodzić za Tiamatańczyka, ale nie miała wątpliwości, że jest pozaziemcem, wskazywały na to dziwaczne zwoje ozdób, otulające aż do ramion jego gołe ręce. Nie mogła oderwać wzroku od płonącego piękna jego twarzy, zdecydowanego, doskonale opanowanego tańca dłoni wewnątrz opadającego na niego deszczu widmowego złota, nie patrzyła nawet na jego ciało, migoczące w przesuwanym tłumie.

– Hmm – powiedział Tilby, gładząc jej włosy. – No jasne.

– Ale to ja zobaczyłam go pierwsza – powiedziała Ariele stanowczo, odciągnęła ruszającego do przodu Tilby'ego.

Tilby wyduł wargi, a Elco Teel powiedział:

– Jesteś zepsuta, Ariele – jak możesz chcieć tego właśnie? Spójrz na jego skórę. Jak myślisz, urodził się z tymi cętkami czy ma je po jakiejś chorobie?

– Jest wytatuowany – powiedziała z niecierpliwością i wyższością. – Wiecie, co to znaczy. Jak sybille...

– Trudno uwierzyć. – Skrzywił się.

Ariele uniosła środkowy palec, opuściła znacząco przed jego twarzą.

– Myślisz, że jest wytatuowany wszędzie? – zapytał Tilby z rozszerzonymi oczyma.

– Przekonajmy się. – Ariele wepchnęła się między przyjaciół, zaczęła przeciskać się przez tłumy. Gdy jednak dotarła do stołu gry, przy którym stał pozaziemiec, ten wyciągnął ręce ze złotej halucynacji, która zaczęła rozplątywać się w powietrzu. Znalazła się przy obcym, nim zdołał zniknąć w ciżbie, wklinowała między młodego mężczyznę o czarnej jak noc skórze i włosach oraz drugiego, ledwo sięgającego głową do stołu. Dostrzegła zaskoczenie i zdziwienie na ich twarzach, znudzenie w

przeszywająco niebieskich oczach gracza. Świadomie otarła się o niego, przesunęła krągłym ciałem po biodrze, nim złapała go za ramię.

– Naucz mnie – mruknęła mu w twarz.

Przez chwilę patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Przyciskała go do stołu lekkim, znaczącym naporem ciała.

– Szefie? – zapytał za nią niski człowiek.

Gracz machnął ostro dłonią i karzeł zamilkł. Pozaziemiec lekko pokręcił głową, ale nie była to odmowa; w kącikach jego ust igrał uśmiech nie mający nic wspólnego z wesołością. Jego oczy nic nie wyrażały.

– Jasne – powiedział i uniósł ręce, objął ją, przesunął dłońmi po jej plecach aż do brzęczących metalicznie bioder. Obrócił dziewczynę, aż stanęła przed nim twarzą do stołu. Poczwała, jak porusza się za nią, choć mniej delikatnie niż ona; poczuła na kręgosłupie napór jego nagłej erekcji.

Złapał jej dłonie, naciągnął na nie siateczkę, ułożył tak, jakby miały zagrać na jakimś instrumencie. Przed oczyma zobaczyła rojące się świetliki. Ledwo uświadamiała sobie, że wokół zgromadzili się jej przyjaciele, patrzyli na rozpoczynającą się grę z różnymi stopniami rozbawienia i radości.

Nieznajomy zmusił ręce Ariele, by poruszały się jego rytmem, szeptał jej do ucha objaśnienia i zachęty, gdy próbowała dorównać niewymuszonemu wdziękowi gracza.

– Zaczynamy – powiedział miękko. – Wygrana nic nie znaczy. Jedynie gra, nurt, pozwól się nieść jak rzeka.

Poddała się, poczuła porwaną przez ruch, natłok wrażeń zmysłowych. Światła, muzyka, ciepły nacisk jego ciała sycił skrywany wewnątrz głód, dowód pożądania pozaziemca był niepokojącą udręką na jej plecach. Roztapiała się w zmysłowym żarze i nurcie, aż rozplynęła się w nich całkowicie: jego ruchy były jej, patrzyła jego oczyma, gdy spadł złoty deszcz, poczuła zwyciężanie, zwyciężanie, przestraszone krzyki tłumu, oklaski i śmiechy, błyszczące twarze przyjaciół, lśniące złoto...

A potem bezbłędne dłonie zaczęły się potykać; nie potrafiła złapać jednej złotej strużki, potem następnych. Przerwał się trzymający ją czar, nagle uświadomiła sobie, że wraz z nim zniknęły ręce trzymające ją, prowadzące przez tajemny obrzęd panowania nad grą. Zaskoczona patrzyła, jak przygasają światła, na mrużących i odchodzących ludzi. Z odrętwiałych palców zdarła złotą siateczkę. Nie czuła już wokół siebie fantastycznie ozdobionych ramion, na plecach gorącego, mocnego naporu.

Obróciła się i zobaczyła, że pozaziemiec zniknął, nie miała nawet pojęcia, kiedy to się stało. Wymknął się i odszedł bez słowa.

Opadały na nią głupawe, szydercze, równie bezcielesne co złoty deszcz głosy zazdrości i pochwał otaczających ją przyjaciół. Elco Teel stanął obok, wykrzywił się drwiąco, gdy spojrzał na jej twarz.

– Jest dla ciebie za śliski, maleńka kochanko Matki. – Było to używane przez pozaziemców obraźliwe określenie Tiamatańczyków i Ariele przyjęła je grymasem. – Wpadłaś we własne sidła, co? – mruknął z nieprzyjemnym zadowoleniem. Uniosła gwałtownie kolano i uderzyła go w pachwinę – nie na tyle mocno, by się zgiął, lecz by zaklął z bólu.

– Suko – mruknął. Ale nadal się uśmiechał.

– Czyżbyś tego nie lubił? – Pocałowała go, wpuściła jego język do swych ust, zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że ma przy sobie pozaziemca.

Przeciskali się razem przez tłum, w grupie czuli się pewniej wobec rosnącej liczby

pozaziemców; próbowali gier, przyglądali się i uczyli, podziwiali wyrafinowanie, przy którym własne zachowanie wydawało się im dziecinnym i prowincjonalnym. Wreszcie, gdy Tor po trzeciej kolejce nie pozwoliła im więcej pić, wyszli z klubu i ruszyli Ulicą w poszukiwaniu prostszych, lepiej sobie znanych rozrywek.

Ariele zatrzymała się, gdy mijali wylot alei Oliwinowej, zajrzała do niej. Przez większość jej życia znajdujące się tam barokowe ule budynków mieściły założone przez jej matkę Kolegium Sybilli. Teraz ulica odzyskała nazwę "Sinej Alei" i stała się tym, czym przedtem – oficjalną siedzibą pozaziemców, ich urzędów. Trudno było znaleźć się tam przypadkowo, co często robiła od dzieciństwa. Ciągle znajdowali się na niej ludzie, większość nosiła mundury pozaziemskiej Policji. Kiedyś miała prawo wchodzić tam, bawić się. Teraz natychmiast zostałaby zatrzymana, wypytana, wyprowadzona – grzecznie, bo była córką Królowej, lecz stanowczo, jakby stanowiła kłopot czy zagrożenie.

– Chodź, Ari – Brein ponaglił ją niecierpliwie, chwycił za ramię, gdy nie ruszała się z miejsca.

– Zaczekaj. – Wyswobodziła się z jego uchwytu, patrząc na trzy postacie podchodzące do wylotu ulicy. Były pogrążone w ożywionej rozmowie, chyba niezbyt przyjemnej, sądząc z widoku twarzy. W środku szedł BZ Gundhalinu, Główny Sędzia, po prawej stronie miał komendanta policji, po lewej Jerushę PalaThion ubraną w ten sam szaroniebieski mundur, posiadającą naszywki głównego inspektora.

Jeszcze się nie przyzwyczała do tego widoku, ani do Jerushy pomiędzy obcymi o dziwnych twarzach...do dostrzegania z bolesną dokładnością dziwności jej oblicza, czego sobie nigdy dotąd nie uświadamiała. Obserwowana przez nią trójka osiągnęła róg ulicy i ruszyła w dół. Spośród nich tylko główny inspektor Vhanu zerknął na dziewczynę, lecz tylko zmarszczył brwi i znowu odwrócił wzrok.

– Hej, ciociu Jerusho – zawołała Ariele, słysząc, jak drwiące echo jej słów odbija się od murów budynków.

Jerusha zatrzymała się, odwróciła, podobnie jej towarzysze. Ze zdziwieniem przyjrzała się twarzom grona barwnie ubranych młodych Tiamatańczyków. Ariele wysunęła się lekko do przodu, czekała długo, aż PalaThion wyłuskała ją z grupy.

– Ariele? – Jerusha podeszła do nich z miną wyrażającą na poły ciekawość, na poły zdumienie. Ariele przysunęła się do Elco Teela, mrużąc mu do ucha jakieś wskazówki. Chłopiec z uśmiechem kiwnął głową.

– Ariele – powtórzyła Jerusha; dziewczyna we wzroku starszej kobiety odczytała niechęć. – Co zrobiłaś z włosami?

Główny Sędzia podszedł do Jerushy, na co liczyła Ariele; jedynie komendant Policji został na miejscu. Dostrzegła spóźnione, ledwo skrywane zaskoczenie Gundhalinu, gdy zaczął ją poznawać. Od miesięcy nie widziała go z bliska. Usłyszała, jak Elco Teel mruży coś w tyle i prycha drwiącym śmiechem: to on. Siny, który spał z jej matką, nim się jeszcze urodziła, sprawił, że kochany przez nią ojciec patrzy na nią teraz jak na kogoś obcego i odwraca się bez słowa. To on wrócił na Tiamat, by rozerwać ich rodzinę...

Miała wrażenie, że znowu dostrzegła w oczach Gundhalinu to samo co przedtem – dziwną mieszaninę niepewności i tęsknoty. Nie miało to nic wspólnego z seksem, lecz wyrażało uczucie równie głębokie i silne... tak patrzyłoby się na dawno utracone dziecko. Na tę myśl coś skręciło się w jej żołądku.

– Witaj, Ariele – powiedział po tiamatańsku; głos miał miękki i z lekkim akcentem.

Rozmyślnie odwróciła od niego wzrok. – Chciałam wyglądać po pozaziemsku... – Dotknęła

włosów, odpowiadając na pytanie Jerushy; całkowicie pomijała Gundhalinu. – Kocham wszystko pozaziemskie. – Oparła dłonie na biodrach, pyszniąc błyszczącym strojem, barwnym kręgiem otaczających ją przyjaciół.

– Z wyjątkiem pozaziemców – powiedział Elco Teel z doskonałym jadem, dokładnie tak jak mu poleciła.

– Tak – mruknęła, pochylając powoli głowę, uśmiechając się z zadowoleniem. – Fatalnie, że nie mogą zostawać u siebie w domu. – Pozwoliła sobie na obdarzenie Gundhalinu spojrzeniem kapiącym od pogardy.

Opuścił wzrok.

– Dobranoc, Jerusho – mruknął do głównego inspektora. Zerknął na Ariele, ta odniosła wrażenie, że chce coś jej powiedzieć, lecz tylko popatrzył chwilę dłużej, jakby pragnął ją dobrze zapamiętać. Potem odwrócił się w stronę drugiego Kharemoughi, ciągle trzymającego się z dala, patrzącego z zamkniętą, podejrzliwą twarzą. Ruszyli obaj w dół Ulicy.

Jerusha popatrzyła na nich, potem znowu na małą grupkę Tiamatańczyków. Ariele odczytywała w jej wzroku niechęć i niepokój. Jerusha otworzyła usta, lecz tak jak Gundhalinu rozmyśliła się, nim coś powiedziała. Zauważyła tylko:

– Wyglądasz jak dziwka.

– Kto to dziwka? – zapytała Ariele.

– Kurwa – wyjaśniła Jerusha obojętnie. – W tym stroju wyglądasz jak kurwa.

Ariele skrzywiła się, poczuła, jak czerwienieje jej twarz. Przed powrotem pozaziemców nie słyszała nigdy tego określenia.

– Ty też – powiedziała ponuro i szarpnęła głową, dając gwałtownie przyjaciołom znak do odejścia. Poczowała, jak ją gładzą, ich gratulacje, chichoty i pomruki brzmiały w jej uszach niby puste krzyki morskich ptaków. Ruszyła Ulicą, zostawiając za sobą kobietę, która była kiedyś wierną obrończynią jej matki – a może i jej samej.

Gundhalinu westchnął ciężko, rozcierając twarz, gdy Vhanu dogonił go i dołączył się. Komendant zerknął na jego minę, na grupę młodych Tiamatańczyków, którzy mijali ich z obraźliwymi uwagami i gwizdami. Vhanu głośno prychnął z pogardą.

– Przystępcy – mruknął w sandhi.

Gundhalinu nie odpowiedział, patrzył na grono nastolatków, śledził tkwiącą w środku głowę zwieńczoną koroną białych włosów, ciekaw był, czy Ariele Dawntreader obejrzy się za nim.

– Przepraszam, NR, co powiedziałaś? – Zebrał rozproszone myśli, uświadamiając sobie, że Vhanu dalej coś mówi.

– Powiedziałem, że... – Vhanu wskazał na młodych Tiamatańczyków znikających przed nimi w tłumie – dokładnie o to mi chodziło. Śmiali się z nas! Ta banda żałosnych...

– Proszę cię, NR, po tiamatańsku... – Gundhalinu przerwał mu nagle w tym języku. – Mów po tiamatańsku, nie w sandhi. Wszyscy musimy ćwiczyć.

Vhanu zerknął na niego, powściągnął nagle, zrozumiałe zdenerwowanie.

– Znakomicie. Ci żalosi mali... – Urwał, zabrakło mu w obcym języku odpowiedniego określenia. – Nakładają nasze stroje i obcinają włosy, ale przez to nie stają się nam równi. Nadal zachowują się... jak... dashtanu. – Rozdrażniony przeszedł znowu na sandhi. Barbarzyńcy. – Cholera, PalaThion każe nam wszystkim odbywać z nowymi rekrutami sesje indoktrynacyjne – Na wszystkich bogów, nawet ty i ja kilka razy przesłuchaliśmy te taśmy. Potrafię je przytoczyć słowo w słowo...

– Policjanci bardziej się przykładają, gdy widzą nas ćwiczących z nimi – powiedział Gundhalinu, starając się zachować obojętny ton. Zastanowił się z lekkim znużeniem, kiedy informacje

zaczną wpływać na zachowanie się Vhanu.

– Nie chodzi jednak o to – a PalaThion wydaje się tego nie dostrzegać – że powinniśmy się uczyć, jak Tiamatańcy żyją, mówią i myślą. To oni muszą poznać nasze zwyczaje. Póki tego nie zrobią, będą dashtanu w śmiesznych strojach, stojącymi poniżej obywateli Hegemonii i niegodnymi wszystkich ich przywilejów. Popatrz na tych małych yiskat – łobuzów. Była z nimi córka Królowej zachowująca się jak nekru. Powinna zostać publicznie sprana po tyłku; bardziej by to do nich przemówiło, niż...

– Vhanu! – Gundhalinu powściągnął nagły gniew, komendant spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Chodzi o to, NR – mruknął, nie patrząc na starego przyjaciela – że obie strony muszą się nawzajem rozumieć. Jerusha PalaThion nie tylko o tym wie, ale i wprowadza w życie. To dlatego chciałem, by wraz z tobą ćwiczyła ludzi. Musimy robić to samo, jeśli pragniemy od miejscowych większej współpracy, a mniejszej pogardy. Rozumiesz?

Vhanu sztywno, raz tylko kiwnął głową.

– Ale na wszystkich mych przodków... – powiedział, ledwo panując nad głosem – słyszałeś, co powiedziała im dzisiaj po zebraniu, była pewna, że wszyscy obecni pojmują już, dlaczego każda rozumna istota zasługuje na jednakowy szacunek i jednakowe traktowanie... ale gdyby ktoś tego nie potrafił, to zawiadamia wszem i wobec, że każdy, kto nazwie tubylca kochankiem Matki, otrzyma swe pieniądze i będzie musiał zdjąć mundur. Nie może tego zrobić.

– Dlaczego? – zapytał Gundhalinu. – Jej nowa policja ma wspierać mój urząd – i twój, mam nadzieję.

Vhanu znowu na niego spojrzał, popatrzył badawczo. Potem wzruszył ramionami.

– Tak.

Gundhalinu zerknął na przechodzących ludzi.

– Jeśli przez te lata, NR, nauczyłem się czegoś, to tego, że uświadamianie sobie własnych korzyści jest znacznie skuteczniejszym bodźcem czynienia dobra, niż tylko rozumienie sytuacji.

– Chyba tak – powiedział Vhanu trochę ponuro. Znowu odwrócił wzrok, gdy zawołał jakiś pijak; głowa ryby wyleciała z bocznej uliczki, uderzyła w niewidzialne pole jego tarczy osobistej i upadła mu u stóp. – Może powinno się ją zachęcić do wypróbowania tej samej metody na tubylcach, których zna tak dobrze.

Gundhalinu ominął odpadek.

– Jak ci się współpracuje z miejscowymi siłami?

– Zważywszy na wszystko, zdumiewająco dobrze – przyznał Vhanu. – Wydają się zadowoleni z naszej pomocy, koniecznej przy wzrastającej liczbie ludności miasta. Są sprawni i skuteczni, lecz znają własne ograniczenia.

– Wyszkoliła ich PalaThion – powiedział Gundhalinu. – Daj jej szansę pokazania, co może zrobić z nami. Niezbędne są inne sposoby niż te, do których przywykliśmy i my, i tubylcy. Jeśli nie rozumiemy, że istniejemy jako zaporę chroniącą ich przed własnymi ludźmi, wówczas wrogość nie ograniczy się tylko do wyzwisk i rybich łbów, lecz będzie narastać.

– Powiedziałaś, że PalaThion za panowania Królowej Śniegu była tutaj komendantem Policji. – Vhanu wskazał otaczające ich miasto. – Czyżby za Królowej Lata było gorzej niż wtedy?

– Inaczej – odpowiedział Gundhalinu, kręcąc głową. Zeszli na bok, ustępując drogi nagłemu, niemal bezszelestnemu pojawieniu się tramwaju. – Większość formacji stanowili Newhayeńcy, zadzierający nosa i tępogłowi. Nigdy nic nie rozumieli. A Królowa Śniegu miała swoje powody, by gotować nam piekło. Robiła to bardzo dobrze. Bardzo chroniła pozaziemskie podziemie, bo wiedziała, że rząd wykorzystuje jej lud. Mamy szansę udowodnić nowej Królowej, że już tak nie jest

– że obie strony mogą odnieść korzyści z nowych stosunków między nimi.

– Powiedz szczerze, BZ, co Tiamat tak naprawdę może nam zaofiarować poza wodą życia? Nie widzę niczego...

– Celna uwaga, komendancie Vhanu – rozległ się za nimi głos Tiamatańczyka.

Gundhalinu obejrzał się, zdziwiony, że ktokolwiek, a zwłaszcza miejscowy, tak beztrąsko wtrąca się do ich rozmowy. Poznał Kirarda Seta Wayawaya z Rady Miasta – pamiętał go niejasno z dawnych czasów, kiedy to był jednym z faworytów Królowej Śniegu. Stała mu przed oczyma szydercza pycha, z jaką patrzył na niego i na wszystkich innych, nie dzielających łask Arienrhod. Podczas ich pierwszego spotkania Wayaway wydawał się mieć niewiele więcej niż dwadzieścia standardowych lat, choć szeptało się, iż zbliża się do sześćdziesiątki. Ale przy braku wody życia lata po Odlocie wyraźnie się na nim odcisnęły. Gundhalinu z milczącym zadowoleniem przyglądał się znakom starości na twarzy Kirarda Seta.

– Idą panowie pieszo, choć mogą skorzystać z naszego nowego środka transportu publicznego? – Wayaway wskazał na mijający ich znowu tramwaj.

– Nie mamy daleko – wyjaśnił Gundhalinu, patrząc w dół Ulicy. – Po długim dniu zebrań i ślęczenia nad danymi chętnie się przejdę.

– Dobry pomysł. Powiadają, że ćwiczenia są jednym ze sposobów zachowania młodości – zauważył Wayaway ze śladem sardonicznego uśmiechu, który Gundhalinu ciągle wspominał z odrazą.

– Ten najchętniej stosuję. – Gundhalinu zaczął się odwracać, pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Czy to dlatego zdecydował się pan tak nagle opuścić tramwaj i dołączyć do nas? – zapytał Vhanu z ostrą ciekawością, bardziej zawodową niż osobistą. Gundhalinu po raz pierwszy pożałował, że jego przyjaciel nigdy nie zapomina o swych obowiązkach.

– Och nie. – Wayaway wykorzystał pytanie jako pretekst do towarzyszenia im, gdy ruszyli dalej. Gundhalinu przyjął to grymasem. – Po prostu zaciekawiał mnie widok dwóch czołowych przedstawicieli naszego nowego rządu hegemonskiego, którzy jak wszyscy inni spacerują Ulicą. Byłem przyjemnie zdziwiony, że nie jedziecie poduszkowcem.

– Mam nadzieję, że zaspokoiliśmy już pańską ciekawość – rzucił szybko Gundhalinu. – Teraz proszę nam wybaczyć, panie Wayaway, ale prowadzimy prywatną rozmowę...

– O wodzie życia – przytaknął Wayaway. – Komendant Vhanu zauważył, iż nie sądzi, by nasza uboga planeta miała wiele do zaoferowania Hegemonii w zamian za wszystkie dobra, które od was otrzymujemy – jedynym wyjątkiem jest woda życia. To całkowita prawda. Dlatego to poczułem się zmuszony do tak niegrzecznego zachowania i wtrącenia się do waszej rozmowy.

Vhanu spojrzał na Wayawaya ze znacznie już mniejszą niechęcią.

– Nie pamiętam, jakie nazwisko pan podał.

– Nie przedstawiłem się jeszcze. Spotkaliśmy się już, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Jestem Kirard Set Wayaway Zimak. Należę do doradców Królowej. – Wyciągnął rękę z podniesioną dłonią; Vhanu dotknął jej przelotnie swoją. Wayaway zerknął na Gundhalinu. – Byłem bardzo zdziwiony, gdy usłyszałem, że w tych okolicznościach ustanowił pan, Sędzio Gundhalinu, zakaz polowania na mery. Sądziłem, że od razu zechce pan wykazywać Hegemonii, iż jej powrót na Tiamat jest nie tylko możliwy technicznie, ale i opłacalny ekonomicznie. Gundhalinu spojrzał na niego.

– Nie rozumiem, czemu to pana dziwi, Wayaway, skoro uczyniłem to na prośbę Królowej. Prowadzone są badania, mające stwierdzić, czy mery są rasą rozumną. Dopiero po ich zakończeniu może dojść do wznowienia polowań. Myślę, że jako członek Rady Miasta powinien pan o tym wiedzieć.

Wayaway wzruszył ramionami.

– Na pewno wszyscy znamy ostatnią... obsesję, wyrażając się łagodnie, Królowej na punkcie merów. Jako Letniaczka ma bardziej konserwatywne poglądy niż jej poprzedniczka. Ale nie wszyscy musimy uważać to posunięcie za mądre... pańscy ludzie na pewno tak nie sądzą. – Uniósł brwi.

Gundhalinu skrzywił się lekko. Zastanawiał się, co Wayaway może wiedzieć – jeśli cokolwiek – o walce, jaką musi toczyć z własnymi współpracownikami i dowódcami służb, łącznie z Vhanu, by zdobyć ich poparcie i choćby niechętną zgodę Centralnego Komitetu.

– Chodzi także o kwestię, czy kontynuowanie nieograniczonej rzezi merów, rozumnych lub nie, nie spowoduje ich wyginięcia... należy też prowadzić badania nad możliwością zsyntetyzowania wody życia... – Zaczął wymieniać wszystkie argumenty, których używał do przekonywania własnej rady; nie wiedział, dlaczego czuje się zmuszony do tłumaczenia, choć coś w głosie Wayaway spychało go instynktownie do obrony. Nie spodobało mu się to, podobnie jak sam rozmówca. – Czy jest pan osobiście zainteresowany tą sprawą? – Przeszedł znowu do ataku. – Przypominam sobie, że widziałem pańskie podanie. Jako pierwszy wystąpił pan z propozycją urządzenia polowania na jego posiadłości...

Wayaway uczynił niezrozumiały gest.

– Czy to sprzeczne z prawem?

– Nie – powiedział Gundhalinu, czując, że Vhanu mu się przygląda.

To dlaczego nie miałbym złożyć podania? Zawsze tak robiłem... Pan jest oczywiście zbyt młody, by pamiętać tak dawne czasy... – Znowu wzruszył ramionami. – Znalazł się pan na

Tiamat... kiedy? Jakies pięć lat przed Zmianą. Pamiętam, jak stał pan na dworze Arienrhod, obok komendant – głównej inspektor – PalaThion, która była wówczas tylko inspektorem. Przypominam sobie nawet zabawny incydent... – Urwał, gdy twarz Gundhalinu pociemniała. – Ale pan pewnie dawno już zapomniał o spotkaniu ze Starbuckiem. Znacznie dokładniej pamiętam ów wyjątkowo bohaterski czyn podczas ostatniego Świąta, kiedy to młody inspektor Gundhalinu wpadł między tłum wypełniający Salę Wichrów, gdy Arienrhod kazała wrzucić do Otchłani Moon Dawntreader. Sam jeden uratował pan kobietę, która została nową Królową.

– Na bogów – mruknął Vhanu w sandhi, patrząc na Gundhalinu, jakby zobaczył go po raz pierwszy. – Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

– On przesadza – powiedział Gundhalinu gwałtownie, odpowiadając w tym samym języku. – To Moon Dawntreader uratowała siebie, panie Wayaway – przeszedł na tiamatański – a może nie pamięta pan, jak zatrzymała wiatr, gdy tkwił tam pan z resztą tłumy?

Tak, pamiętam. – Wayaway potrząsnął głową. – Niewiarygodne. Jak to zrobiła? Czy powiedziała panu?... Ale jest pan za skromny, sędzio. Tłum i tak by się nią zajął, gdyby nie pokazał pan oznaki Policji i go nie powstrzymał.

– Ojcie wszystkich mych przodków – powiedział Vhanu. – Dlaczego Królowa Śniegu chciała zabić Moon Dawntreader? Na pewno nie mogła wiedzieć, że zostanie ona nową Królową.

– Ponieważ Moon była... – Wayaway zawahał się, spojrzał nagle na przeszywającego go wzrokiem Gundhalinu – sybillą. Wie pan, komendancie, jakie głupie przesady panowały tutaj na temat sybilli, nim oświeciła nas Królowa Lata. – Roześmiał się. Gundhalinu zacisnął usta. – Ale chodziło tu o coś więcej, o Sparksa Dawntreadera, zaprzysięgłego Moon. Został kochankiem Królowej, a Moon zapragnęła go odzyskać. Jak pan wie, zazdrość należy do najważniejszych przypadkowych czynników sprawczych w historii. Ale pewnie nie muszę panom o tym mówić, zważywszy na pozycje, jakie zajmują teraz. – Przesuwał badawczo wzrokiem od twarzy Gundhalinu do Vhanu i z powrotem. – Nic dziwnego, że Królowa ma takie względy dla pana sędziego. Musiała

panu szczególnie podziękować za to, że ryzykował pan życiem, by ją uratować.

– Wykonywałem tylko obowiązki oficera Policji – Gundhalinu patrzył prosto przed siebie, znowu się krzywił. – To wszystko.

– Ale zdecydował się pan po tylu latach wrócić na Tiamat, bo wiedział, że jest Królową. I popieranie przez pana jej poglądów...

– Nie ma to nic wspólnego z obecnymi sprawami.

– Powiedz, BZ, jak poznałeś Moon Dawntreader? – zapytał Vhanu. W jego oczach ciągle lekko błyszczało zainteresowanie skandalem.

– Naprawdę nigdy panu nie powiedział? – zawołał Wayaway z szyderycznym zdumieniem.

– To długa opowieść i głównie nieciekawa – powiedział Gundhalinu ze złością.

– Nie w wersji, którą słyszałem – zaprotestował Wayaway. – Było w niej coś o przemytnikach techniki, koczowniczych rabusiach z głębi lądu, o tym, że się oboje zgubiliście...

– Tak było. – Gundhalinu zatrzymał się nagle, przerywając Wayawayowi. Spojrzał na niedawno założony szyld nad dawnym wejściem, prowadzącym do otworzonej na nowo Sali Przeglądu. Odwrócił się do Wayaway a, spojrzał mu w oczy z zimnym ostrzeżeniem. – Kiedy indziej – powiedział. Popatrzył na Vhanu, położył mu rękę na ramieniu.

Wayaway kiwnął głową i wzruszył ramionami.

– Na razie – powiedział, wycofując się zgrabnie. – Życzę miłego wieczoru. Sala Przeglądu musi być przystanią spokoju i wytchnienia dla takich jak wy, obcych, z dala od domu. – Uniósł rękę w pożegnaniu, odwrócił się i zniknął w tłumie, nim jeszcze przebrzmiały jego słowa.

Gundhalinu patrzył za oddalającym się Tiamatańczykiem; drżał cały, rozdierany między chęcią udania się za Wayawayem a pozbycia się go. Wreszcie popatrzył na Vhanu.

– Przypadkowa uwaga? – mruknął Vhanu. Jego mina zdradzała, że w to wątpi.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Nie.

– Myślałem, że nie ma Tiamatańczyków należących do Przeglądu – powiedział Vhanu.

– Ja też. – Gundhalinu odwrócił się, popatrzył na ciemny, ocieniony prostokąt wejścia do budynku, zwieńczonego nieruchomym ekranem, wyświetlającym jedynie datę i starożytny znak zakonu, złożony z gwiazdy i cyrkla. Podczas swej poprzedniej służby na Tiamat, odwiedzając ten gmach, nigdy nie widział wewnątrz tiamatańskiej twarzy. Powiedziano mu, że miejscowych nie dopuszczano do członkostwa i po prostu przyjął to do wiadomości. Ale wtedy miał Przegląd za zwykły klub. Nie wiedział o sprawach, które zna teraz... o sekretach skrywanych w tych murach, nie znanych nawet większości członków; ani o tajemnicach wewnątrz tajemnic, reprezentowanych przez symbol znad drzwi. Popatrzył na tłumy przepływające Ulicą. Wayaway już zniknął.

– Musiał posłyszeć to wyrażenie podczas swego poprzedniego zajęcia. Wydaje się posiadać wielką ilość zaskakujących informacji... – Vhanu znowu spojrzał na Gundhalinu; poprzez wątpliwość i troskę w jego oczach nadal przebijała ciekawość.

– Był użytkownikiem... Sądzę, że wszystko jest możliwe – powiedział Gundhalinu, ciągle się nie rozchmurzając. Nawet to, że należy do Przeglądu. Ale nie tego, który znał i któremu służył.

– Użytkownikiem – ludzi? – zapytał Vhanu.

– Wody życia. – Gundhalinu wykrzywił usta. – Ludzi też. Na twoim miejscu nie ufałbym ani jednemu jego słowu.

– Będę o tym pamiętał. – Ale Gundhalinu czuł, że Vhanu chwilę jeszcze przygląda mu się badawczo.

Otrząsnął się z niepokoju, w duchu przeklął Wayaway za zasianie wątpliwości wobec

jedynego człowieka, na którym naprawdę polegał, za sprawienie, że Vhanu zwątpił w niego, choćby przez chwilę. Wszedł w cień, nagle otoczył go mrok; pchnął stare, oszklone drzwi i znalazł się w świetle.

Sala Przeglądu była na pierwszy rzut oka taka sama, jaką pamiętał: jedna wielka sala spotkań, nad nią mniejsze biura i pokoje. Teraz wiedział, że są pomieszczenia wewnątrz pomieszczeń, kryły się w sobie jak samathańskie pudełka ofiarne. Główna sala była ciągle dość spartańsko wyposażona, zachowała tylko kilka spośród dziwnych przedmiotów z innych światów, które kiedyś' zdobiły ściany, i wykonane przez tubylców półki, stanowiły zgromadzenie pamiątek zostawianych w ciągu półtora wieku przez goszczących tu członków Przeglądu. Zadumał się nad losem dziwacznej kolekcji, miejscowi pewnie je powynosili albo wyrzucili.

Sala nie była zbyt pełniona, choć dziś wypadał termin zebrania. Po prostu na planecie było na razie niewielu członków Przeglądu. Spóźnili się na tyle, że przynajmniej stracili część trochę uciążliwych obrzędów otwierających wieczorne zebranie. Większość mężczyzn i kilka kobiet stała, rozmawiając w małych grupkach, jadła i piła lub zasiadała na wyściełanych ławkach, oświetlonych upiornym światłem padającym od stołów gry. Powietrze było gęste od mieszanych zapachów różnych środków odprężających – żaden nie pochodził z listy zakazanych narkotyków, ponieważ większość zgromadzonych miała na sobie mundury Policji Hegemonii. Gundhalinu zastanowił się, co pomyśleliby, dowiedziawszy się, jakie to zmieniające umysł substancje były niekiedy używane w pokojach kryjących się tuż za tymi ścianami – niemal na ich oczach. Sam się zdumiał na myśl o niektórych specyfikach, jakich musiał zażywać, pod ścisłym nadzorem, by dojść do głębszych warstw świadomości i wzmocnić skupienie.

Znajdowało się tu także kilka przypadkowych osób noszących zamiast mundurów mieszaninę strojów, typowych dla różnorodnych kultur Hegemonii. Z nawyku przyjrzał się po kolei każdemu obcemu, dostrzegając luźne szaty, praktyczne kombinezony, wymuskane, lamowane ubrania żałobne... Jego uwagę przykuła postać w drugim końcu sali, oparta o ścianę powyżej gzymsu nad sztucznym kominkiem. Odziana była w luźne spodnie i ciemnogrnatową górę; twarz i głowę niemal całkowicie zasłaniały kręte fałdy ciemnobłękitnej szarfy. Dostrzegając jedynie oczy, przyglądające mu się z wąskiej szpary odsłoniętego ciała. Poczuli, jak wzrok połączył się gwałtownie z pamięcią: Ondinee. Natychmiast uprzytomnił sobie, że na tej planecie kobiety zasłaniają twarze przed obcymi, nie mężczyźni, a ta postać nosiła strój męski. Przypomniał sobie pogłoski o dziwnym, niezależnym kulcie, sprzeciwiającym się panującej teokracji; wyznające go kobiety chodziły bez zasłon i nie były traktowane jak niewolnice, a twarze zamiast nich zasłaniaли mężczyźni, prawdopodobnie po to, by uniknąć prześladowań przez rząd, jak również dla zachowania swej duchowości.

Obcy obrócił się gwałtownie, jakby zauważył, że też jest obserwowany, i zaczął oglądać jakiś przedmiot na gzymsie.

Gundhalinu popatrzył na Vhanu, mówiąc sobie, iż pewnie przywidziało mu się, jego nerwy są zbyt napięte. Komendant wdał się już w rozmowę z YA Tilhonne, stryjecznym wnukiem Pernatte'a. Mithra Kitaro, inspektor Policji, którą Gundhalinu poznał u KR Aspndha, podeszła do niego, pytając, czy może w czymś pomóc. Poprosił o lilander, pozwalając sobie na zaspokojenie zmysłów. Usiadł na ławce i włączył stół do gry; nie miał ochoty grać, lecz potrzebował pretekstu, by wycofać się z towarzystwa i zyskać kilka minut na myślenie.

Nie miał pojęcia, co Kirard Set Wayaway pragnął zyskać podczas niespodziewanego spotkania, ale jego intencje na pewno nie były ani niewinne, ani przypadkowe. Zdecydował, że jutro pomówi o tym prywatnie z Jerushą PalaThion...

Znowu uniósł wzrok, uświadomił sobie, że nie po raz pierwszy poszukał Ondyńczyka. Zobaczył,

że przechodzi niedaleko, pogrążony w rozmowie z Kharemoughi odwróconym do Gundhalinu plecami. Obcy obejrzał się przez jego ramię, jakby wyczuł, że jest obserwowany.

Kitaro wróciła z wysoką liliową szklanką z lilanderem. Gdy wręczała napój, Gundhalinu dotknął jej ramienia i wskazując nieznacznie na Ondyńczyka, zapytał:

– Znacie tego człowieka? Kitaro obejrzała się.

– Wiem tylko, że jest obcym z dala od domu.

– Jesteście tego pewni?

Kitaro spojrzała nań ze zdziwieniem.

– Całkowicie, panie sędzio. Inaczej nie znalazłby się tutaj. – Pilnowali tego nie tylko ludzie, ale i ukryte urządzenia nadzorujące. – Pamiętam, że widziałam go już wcześniej. Czy to coś ważnego?

– Nie. – Gundhalinu pokręcił głową. – Zwykła ciekawość. Chyba za długo nosiłem ten mundur – wskazał niebieską tunikę

Kitaro. – Denerwiają mnie ludzie kryjący twarze. – Wiedział jednak, że powody jego niepokoju nie są tak zwyczajne. Nie chodziło o zasłoniętą twarz mężczyzny. Było coś znajomego w jego postawie, poruszaniu się. Gundhalinu znał język ciała, czytał go instynktownie, jak w głębokich, niewerbalnych częściach mózgu rozpoznajemy dzieło znanego nam artysty. Ale ta część, która wiedziała, nie potrafiła mówić, zaś umiejące to nic nie pamiętały.

Popijał lilander, pozwalał jego palącej słodocy wypełniać mu zmysły i usuwać niepokój. Może to tylko jego wyobraźnia, napięta po całym dniu szarpiących nerwy narad i wieczornej przechadzce wypełnionej nieprzyjemnymi insynuacjami... Stwierdził jednak, że znowu jest na nogach, niezupełnie na chybił trafił przesuwając się w stronę Ondyńczyka, który zdawał się odsuwać z równie pozorną przypadkowością... a może to także tylko sobie wyobraża? Ale część jego mózgu, która śledziła każdy ruch obcego, zapewniała go o czymś przeciwnym.

Dotarł do gzymsu z ciemnymi, pracowicie wyrzeźbionymi podstawkami i zbiorem małych obcych drobiazgów. Podniósł przedmiot, który trzymał Ondyńczyk. Była to srebrna fiolka, przypominająca flakonik na perfumy. Przyglądał się jej chwilę, usiłując przypomnieć sobie, gdzie widział ją poprzednio. Rozpoznanie było nagłe i bolesne: to pojemnik na wodę życia. Nie napitek, lecz prawdziwą wodę życia, otrzymywaną z krwi merów.

Obracał fiolkę w palcach, trzymał ostrożnie, uważnie. Kilka dni temu jej nie było. Skąd się wzięła? Kto mógł tu coś takiego zostawić? Rozejrzał się po sali. A może to Ondyńczyk ją tu położył? Obcy był teraz odwrócony plecami, jakby nie dbał o to, co robi Gundhalinu; choć ten był pewien, że jest inaczej. Woda życia... Tkwiła mu w głowie, odkąd tu przybył. W ubiegłych tygodniach ciągle zaprzętała mu myśli i usta, gdy musiał dobijać się kompromisu z Urzędem Sędziego i przedstawicielami Centralnego Komitetu Koordynacyjnego. Znaleziona tu i teraz, wydawała się być wyczarowana z jego trosk.

Ale tak nie było. Ktoś ją zostawił, specjalnie – w tej Sali nie zdarzały się zbiegi okoliczności. Sięgnął do sakiewki ukrytej pod kurtką i wyciągnął czytnik, część policyjnego wyposażenia, jaką zawsze nosił z sobą. Nastawił urządzenie na pełne odczytywanie fiolki, mierzenie jej i zapisywanie wszystkiego, co można było stwierdzić na temat wieku i pochodzenia pojemnika, łącznie z odciskami palców wszystkich, którzy go dotykali.

Odłożył czytnik do sakiewki, a fiolkę na gzyms. Potem rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy ktoś na niego patrzy. Czynił to tylko Ondyńczyk, stojący zupełnie nieruchomo pod przeciwległą ścianą. Gundhalinu ruszył w jego stronę, ciągle nań patrząc; nie widział niczego, poza nieznanym. Po drodze VX Sandrine złapał go za ramię; mruknął szybkie przeprosiny i poszedł dalej, pragnąc, by Ondyńczyk nie uciekł. Obcy stał nieruchomo, ciągle patrząc na Gundhalinu, aż ten niemal na niego

wpadł. Wtedy odwrócił się gwałtownie i zniknął w ocienionym wyjściu.

Gundhalinu ruszył za nim; zatrzymał się i nagle opuścił wzrok, gdy rozległ się brzęczyk zawieszony przy pasie nadajnika. Zaklął, wiedząc, że o tej porze może to być jedynie pilna wiadomość. Obejrzał się przez ramię na salę, wiedział, że musi znaleźć spokojne miejsce na odebranie rozmowy – znowu popatrzył przed siebie i zobaczył, że na słabo oświetlonym korytarzu nie ma nikogo. Zaklął ponownie z rozgoryczeniem. Stojąc w wejściu do sali, przełączył rozmowę na swój nadajnik.

– Urząd Sędziowski – odezwał się bezcielesny głos.

– Tu sędzia Gundhalinu – powiedział, gdy tylko nawiązał łączność. – Macie dla mnie wiadomość?

– Sędzia Gundhalinu? – Zapytał głos z zakłopotaniem. – Nie, panie sędzio. Żadnej wiadomości.

– Właśnie do mnie zadzwoniliście – warknął Gundhalinu. – Musi być jakaś wiadomość.

– Nie, panie sędzio... – Wyczuwał zmieszanie odpowiadającego mu głosu. – Musiała to być jakaś pomyłka. Nikt do pana nie dzwonił. Nie mam zapisu o żadnej rozmowie.

– W porządku – powiedział niecierpliwie. – Dziękuję. – Gniewnym ruchem dłoni przerwał połączenie. Wrócił do głównej sali, podszedł do Vhanu rozmawiającego z JK Wybenalle'em, jednym z przedstawicieli Centralnego Komitetu. Za nimi znajdował się stół z miejscowymi potrawami, przygotowanymi ze zdumiewającą zręcznością przez miejscową restaurację o dziwnej nazwie – Stazja.

– ... A czym według pana jest to? – zapytał Wybenalle w sandhi, podnosząc srebrnym widelcem obwisły, błyszczący kawałek mięsa.

Gundhalinu stanął za nim i chwycił z półmiska następny kawałek. Wsadził go do ust i przeżuł. Smak był nieopisanie korzenny, konsystencja dość gumowata, zupełnie tak, jak pamiętał.

– Spróbujcie – zachęcił w sandhi, bo Wybenalle zawsze nalegał na mówienie w tym języku. – Jest całkiem dobre.

Wybenalle przyjął podsuwany mu kawałek, przyjrzał mu się z uniesionymi brwiami, nie zauważając doskonale widocznego dla Gundhalinu podejrzliwego wzroku Vhanu. Sędzia uśmiechnął się.

– Interesujące – powiedział Wybenalle, dzielnie żując. – Jak to nazywają?

– Marynowany squam – wyjaśnił Gundhalinu. – Zdaje się, że to rodzaj miejscowego ślimaka morskiego.

Zbiorowisko białych piegów na śniadej, wąskiej twarzy Wybenalle'a przybrało nagle odcień anemicznej bieli. Przełknął żutego squama, jakby była to trucizna.

– Proszę spróbować tego... – Gundhalinu wskazał na półmisek z ciasteczkami obłożonymi jajeczkami ryb.

– Przepraszam... – wymamrotał Wybenalle, odwracając się i rozpaczliwie oglądając salę.

– Rośniemy albo umieramy... – powiedział Gundhalinu, uśmiechając się mile, gdy Wybenalle opuścił ich, gwałtownie kierując się w stronę toalety. – Racja, Vhanu? – Spojrzał na swego komendanta Policji, uśmiechnął jeszcze szerzej.

Vhanu zrobił to samo.

– Naprawdę uważasz to za mądre? – zapytał w sandhi.

– Nie. – Gundhalinu pokręcił głową, nie przestał się uśmiechać. – Ani za uprzejme. Ale na wszystkich mych świętych przodków, w ubiegłych tygodniach ten człowiek przysporzył mi dość kłopotów. Pozwól mi na małą złośliwość. – Wzruszył ramionami, próbując rozluźnić napięte mięśnie pleców. Sięgnął do sakiewki i wyciągnął czytnik. – Chciałbym, żebyś sprawdził dla mnie pewne

dane.

Vhanu wyciągnął swój czytnik i skopiował informacje zebrane przez Gundhalinu z fiołki.

– Wyniki analiz będziesz mógł otrzymać jutro wieczorem. Czy to wystarczy?

– Świetnie – Gundhalinu kiwnął głową. – To nic pilnego – odpowiedział na milczące pytanie

Vhanu. – Zaciekawiał mnie jeden z przedmiotów z gzymsu nad kominkiem. – Machnął obojętnie ręką, oparł o stół i spojrzął w stronę drzwi, w których zniknął Ondyńczyk. Nie wiedział, czemu nie powiedział nic więcej; bał się ośmieszenia, czy chodziło o coś głębszego. Może dowie się jutro.

Vhanu spojrzął na podchodzącą Kitaro.

– Przepraszam, sathranu – powiedziała inspektor. – Na piętrze zaczynamy niedługo partyjkę tan, czy zechcą się panowie do nas przyłączyć?

Gundhalinu kiwnął głową, odpowiadając na pytanie wypowiedziane i nie zadane.

– Tan? – zapytał ktoś z boku. – Mogę się przyłączyć? Kitaro pokręciła głową.

– Niestety. Mamy już komplet. Może następnym razem? – Wzruszyła ramionami i odeszła.

Podążyli za nią do tyłu sali, potem krętymi schodami. Weszli do sali gry na piętrze, gdzie czekało na nich cierpliwie pięć osób, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na matach otaczających okrągłą planszę do gry. Gundhalinu spojrzął na złożone wzory geometryczne na jej powierzchni. Plansza była wykonana ręcznie, gdzieś na Tsiehpun, z doskonale dopasowanych wstawek kolorowego drewna. Podziwiając rzemiosło, zajął miejsce w kręgu. Vhanu usiadł naprzeciw, Kitaro zamknęła drzwi i usiadła po lewej stronie Gundhalinu. Gdyby ktoś teraz zajrzał przez jedyne okno, odniósłby wrażenie, iż robią, co robią.

W rzeczywistości w tym cichym pokoiku wewnątrz ścian Sali Przeglądu zajmowali się czymś innym, grali w gry wewnątrz gier, grali w Wielką Grę. Gundhalinu rozejrzał się po kręgu twarzy, wszystkie poza jedną należały do Kharemoughi i były mu znane. Jedynym pozaziemcem był przedsiębiorca z Czwórki, jedyną kobietą Kitaro, również jedyna sybilla oprócz niego. Spojrzął znowu na planszę tan, na błyszczące pionki z kolorowego kryształu, niemal hipnotyczne układy drewna. W przeplatających się wzorach kryły się delikatne szczegóły wewnątrz szczegółów; nauczył się wyszukiwać wzrokiem wszystkie ich przekształcenia, była to jedna z umiejętności, jakie musiał opanować, by osiągnąć siódmy i czternasty poziom Przeglądu... przekonując się za drugim razem, jak dużo przegapił za pierwszym, i dziwiąc się, że mógł być równie ślepy.

Mówiono, że tan jest równie stare co Wielka Gra, jeśli nie starsze. Istniał cały dwunasty poziom adhani, zajmujący się znaczeniami przypisywanymi przecięciom i połączeniom różnych kształtów, jakby tworzyły one rodzaj mistycznego kodu genetycznego. Niektóre z symboli cyfrowych miały powiązania z prawidłowościami występującymi w świecie rzeczywistym; inne były dla Gundhalinu zupełnie niejasne, choć wydawały się idealnie pasować do siebie. Niektóre oceniał jako nagromadzenie przesądów... na razie. Przekona się jeszcze, czy kiedykolwiek będzie znowu zmuszony do uczenia się gry w tan, na jakimś przyszłym etapie ciągłej inicjacji, wiodącej ku nie znanym wyżynom postrzegania, skąd zdoła przyjrzeć się dokładniej nieskończonej złożoności ludzkiego losu, spotkaniom Ładu i Chaosu.

Kitaro wzięła ogniście kolorowe pionki i rozrzuciła przypadkowo, rozpoczynając Litanię Pytań, w której odgrywała rolę Pytającego. Gundhalinu zapamiętał, gdzie zatrzymały się pionki, bezładnie rozrzucone po planszy, ukazując nierówne skupienia pojedynczych figur. Przedsiębiorca z Czwórki zebrał kryształy i rzucił ponownie, udzielając pierwszej odpowiedzi. Kręta fala pytań i odpowiedzi przesunęła się po kręgu, dosięgnęła Vhanu i urzędnika siedzącego obok niego; pionki odbiły się od krawędzi planszy i ułożyły w nowy wzór.

Gundhalinu zapamiętywał wyniki każdego rzutu, szukał ogólniejszego wzoru, jaki ostatecznie

wyniknie z przypadkowych ruchów; zmuszał się do pojmowania go, bez względu na to, czy ma jakieś znaczenie, czy nie. Rytualna litania pytań i odpowiedzi była identyczna z odprawianą w wielkiej sali na dole, gdzie odbywały się oficjalne zebrania. Inne jednak były pytania, jak również, co ważniejsze, inne były odpowiedzi.

Poznane przez niego w młodości obrzędy Przeglądu wydawały mu się teraz męczące i wyprane ze znaczenia. Ten natomiast dźwięczał w jego umyśle: Ład i Chaos, przypadkowe wahania losu ostrożnie równoważone przez prawa powszechnego ruchu. Uświadomił sobie, że myśli o Ondyńczyku. Oderwał oczy od planszy, spojrzął na wychodzące na salę szerokie okno, jednocześnie wzory przybrały kształt w ruchu upadających kamieni, by znowu się rozsypać.

– A kto powołał do istnienia to towarzystwo, wyznaczył nam obowiązki i ukazał potęgę wiedzy?
– zapytała Kitaro.

– Mede – odpowiedział siedzący obok niej Abbidoes. Gundhalinu spojrzął znowu na planszę i zebrał kryształ.

– Ilmarinen. – Rzucając pionki, wypowiedział imię swego przodka. Patrzył, jak padają, dostrzegł nagle, nieznaczną zmianę we wzorze przechowywanym w głowie. – Vanamoinen...! – mruknął, wtórując głosowi Kitaro, która odezwała się teraz zgodnie z kolejnością.

Gundhalinu znowu spojrzął na okno, nie zauważył skierowanych na niego ostrych, pełnych niepokoju spojrzeń kilku graczy; niemal spodziewał się ujrzeć przyglądającą się im twarz zasłoniętą tkaniną, jak czarno farbowaną skórą, ciemne, niemal fioletowe oczy – patrzące z upartością szaleńca.

Okno było puste. Ale widział Kullervo: Kullervo. Kullervo jest tutaj. Przygryzł wargę, powstrzymując się przed wykrzyknięciem tego nazwiska, ponownym, niewybaczalnym przerwaniem wzoru. Jeszcze raz opanował uczucia, uświadomił sobie znaczenie wzoru, konieczność niedopuszczenia do przerwania napięcia powierzchniowego skupionej grupy... Pilnował swego miejsca w obrzędzie, w myśli przerzucając wnioski niby pionki i odczytując ich znaczenie... Kullervo był tu dzisiaj; był przedtem, w przebraniu. Ale Kullervo należy do Bractwa... Przeglądu zepsutego potęgą wiedzy, wykorzystującego jej tajemnice i wpływy, by destabilizować i zatruwać społeczeństwa; rozszerzającego powstający w wyniku chaos, czerpiącego z tego zyski. Bractwo przewróciło do góry nogami wartości i poglądy pierwszych założycieli cechu... zamordowało jego braci, próbowało zapobiec jego powrotowi na Tiamat.

Dlaczego Kullervo przyszedł tu dzisiaj, rozmyślnie – był tego pewien – przyciągnął jego uwagę? Nagle przypomniał sobie fiołkę na gzymsie. Jeśli nawet Kullervo jej tam nie położył, to ją wskazał. Dlaczego? Kullervo pracował dla Bractwa; był geniuszem bioinżynierii, wiedzącym więcej o technowirusach niż ktokolwiek w Hegemonii...

I nagle zrozumiał: Chodziło o wodę życia. Bractwo zaczęło już tu działać, wplotło się w tkaninę nowego społeczeństwa, pomimo że starał się temu zapobiec. Pragnęli dla siebie wody życia... a Reede Kullervo miał ją im dostarczyć.

Ale w takim razie co Kullervo robił tutaj? Być może szpiegował, zbierał dane na temat siły i organizacji swych wrogów. Choć wydawał się specjalnie zwracać na siebie uwagę, rozmyślnie tak zostawiać tropy na ścieżce, by odczytał je tylko jeden człowiek...

Pionki zagrzechotały w końcowej odpowiedzi; Gundhalinu spojrzął na element uzupełniający wzór, którego kształty wyrył w swym umyśle.

– Czy są pytania, które należy zadać, by otrzymać odpowiedź? – mruknęła Kitaro, przyglądając się kręgowi zamyślonych twarzy.

– Tak – powiedział Gundhalinu. – Był tu dziś pewien człowiek, udający jednego z nas. Właśnie zrozumiałem, kim jest. Należy do Bractwa – to on nad Ognistym Jeziorem ukradł mi napęd gwiazdny.

Nazywa się Reede Kullewa Kullervo.

Vhanu popatrzył na niego poprzez stół.

– Kowal? – mruknął. – Na bogów, powiadają, że jest odpowiedzialny za wszystko, począwszy od czarnego rynku napędu gwiazdowego, a skończywszy na połowie handlu narkotykami pochodzącymi z Ondinee. Ma powiązania z Thaninem Jaakolą...

Gundhalinu zeszywniał.

– Nie słyszałem o tym. Od jak dawna?

– Od sprawy z napędem gwiazdowym – odpowiedział Vhanu. Gundhalinu skrzywił się i zmarszczył brwi.

– Vhanu, masz szcztane dane o jego cechach biologicznych... Zdobyłem je kiedyś drogą urzędową; wyniki mnie nie zadowolili. Chciałbym wykorzystać nasze możliwości do sprawdzenia, kim i czym jest naprawdę. Uważam, że bardzo jest dla nas ważne wykrycie, czego chce.

– W takim razie pozwól Policji go schwytać – powiedział Vhanu z nagłym zapałem. – Wyłączyć go, poddać głębokiemu uwarunkowaniu. Bogowie, złapać Kowala! Byłoby to nasze ogromne zwycięstwo – Złotego Środka.

– Nie – odparł Gundhalinu w niespodziewanym sprzeciwie. Vhanu popatrzył na niego. – Nie, NR – powtórzył mniej gwałtownie i pokręcił głową. – Myślę... myślę, że skutki byłyby zbyt nieprzewidywalne. – Bo Kullervo jest zbyt nieprzewidywalny. Próbował sobie wyobrazić, jak niestała osobowość Kullervo zareagowałaby na głębokie uwarunkowanie. Łatwo mogłoby dojść do całkowitego załamania. Nie był nawet pewien, dlaczego tak się tym przejmował po wszystkim, co Kullervo zrobił mu nad Ognistym Jeziorem. A jednak pragnął zachować ten umysł... jak też, perwersyjnie, doczepioną do niego duszę. – Lepiej ograniczmy się do dyskretnej obserwacji, skoro już wiemy, że tu jest; zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Jeśli będzie to konieczne, zdążymy zawsze go złapać. Nigdzie nie ucieknie. Jestem tego pewien.

Vhanu niechętnie kiwnął głową.

– W takim razie zaczniemy go szukać – powiedziała Kitaro. – Jak najszybciej.

Gundhalinu przytaknął, ledwo słyszał następne pytanie zadane przez Abbidoesa... zatopił się we wspomnieniach o Reedzie Kullervo, tajemnicach i sprzecznościach tego człowieka. Zrozumiał nagle, jak głęboka jest jego chęć uzyskania odpowiedzi... jak bardzo pragnie zobaczyć się z nim, zmierzyć. Łączący ich wzór jest niepełny; nie zakończyli sprawy...

TIAMAT: Krwawnik

Gdy Sparks Dawntreader wszedł do nowego klubu gier Tor Starhiker, doznał denerwującego uczucia deja vu. Nic się nie zmieniło. Powiedziały mu to wspomnienia, choć oczy zauważały, iż to wnętrze niezupełnie przypomina oglądane w dawnych czasach, kiedy to włóczył się Ulicą z nieograniczonym kredytem, tak dobrze grając dekadentckiego błazna, jakby od tego zależało jego życie. Za tą maską krył się Starbuck, węszący za informacjami mogącymi pomóc Arienrhod w górowaniu nad pozaziemcami.

Ale to uczucie miało rację; wewnętrzne oko poznawało miejsce. Tor Starhiker prowadziła kiedyś najlepszy klub przy Ulicy i teraz też ma najlepszy, choć tylko dzięki brakowi konkurencji. Dostrzegł ją w głębi sali – przynajmniej była sobą, a nie zmienioną całkowicie, jak za dawnych czasów. Wtedy przebierała się jak lalka, zadowolając dziwaczne rojenia pozaziemca, który był prawdziwym właścicielem klubu, żywego koszmaru, nazywanego Źródłem.

Tor uniosła rękę w powitaniu. Kiwnął głową, ale pozostał na miejscu. Nie chciał tu przyjść, mówił sobie, że nie przyjdzie... Mimo to, jak człowiek ześlizgujący się bezradnie po błotnistym stoku, nie wiadomo kiedy znalazł się przy drzwiach...

– Witaj, Sparksie. – Ktoś go chwycił, obrócił.

– Emerine – powiedział z częściowym tylko zdziwieniem. Uśmiechnęła się do niego i zobaczył zmarszczki pogłębiające się wokół pełnych ust. Od dawna nie przyglądał się jej z bliska – zmiany, jakim podlegała jej twarz, były zdumiewające; w niczym nie przypominały tych, które od lat dzień po dniu oddziaływały na jego oblicze. Nadal jednak była piękną kobietą, o ciemnych długich włosach, oczach barwy morza.

– Zupełnie sam? – zapytała z łagodną naganą. – Przyłącz się do nas, a znajdziesz towarzystwo. – Pociągnęła go za sobą.

Chętnie poszedł za nią do osłoniętego kąta, gdzie siedział Kirard Set Wayaway i kilku innych przyjaciół Sparksa z dawnych czasów. Zauważył mimochodem, że nie ma wśród nich żony Kirarda Seta.

Usiadł z nimi, poczuł się przeniesiony w czasie, gdy opadł pod ciężarem ich witających dłoni, czarem hipnotycznie migających świateł i brzmiących w tle pozdrowień dziwacznych dźwięków wydawanych przez gry.

– Napij się. – Kirard Set podsunął mu butelkę tlaloca i kubek. – Resztką zachowaną z dawnych czasów, tak jak my. Trudno uwierzyć, prawda? – Machnął ręką, wypełniając powietrze chmurą pachnącego cynamonem dymu. – Jak w dawnych czasach... – Uśmiechnął się smutniej i szczerzej. – Czuję się znowu młody – jak odrodzony. Bogowie, aż dotąd nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem żaloszny, zagubiony w pustce, dopiero teraz, gdy znowu mogę na coś liczyć po własnej śmierci.

– Tak. – Sparks kiwnął głową, włączając się do mrużanych wokół sentymentalnych uwag, poczuł niespodziewane współczucie. Pociągnął tlaloc, słodka gorycz napoju wyparowała mu z języka, napełniła głowę, wzmocniła nastrój. Westchnął.

– Muszę przyznać, że Tor Starhiker doskonale sobie radzi, jak na zwykłego dokera. – Kirard Set uniósł głowę, rozejrzał się po sali. – Dobrze wykorzystuje łaski Królowej i pewien wrodzony spryt. – Oparł brodę na dłoni.

– Co z jej restauracją? – zapytał Sparks, odchylając się w krześle.

– Jest nadal współwłaścicielką, ale Shotwyn prowadzi ją teraz sam. Słyszałem, że ma większe powodzenie niż kiedykolwiek, lecz sprawy praktyczne nie są jego mocną stroną. Musi być prowadzony na smyczy – zachichotał Kirard Set.

– Sądzę, że musi teraz znaleźć sobie inną smycz... – powiedział Cabber Lu Greenfield, uśmiechając się głupawo.

Śmiech rozszedł się wokół stołu jak zmarszczki na wodzie, nawet Sparks uświadomił sobie nieoczekiwanie, że się śmieje.

– Świetnie! – powiedział Kirard Set z błyszczącymi oczyma. Ścisnął Sparksa za rękę. – To lubię widzieć. Brakowało nam twego towarzystwa.

Sparks spojrział na niego, czekał na zwykłe jadownicze zakończenie; zdziwił się, że nie nastąpiło. Widział wokół jedynie potakujące głowy i uśmiechnięte twarze.

– Chyba zapomniałem, że i mnie brakuje dawnych dni – mruknął. Odwrócił wzrok od zbyt ciekawych spojrzeń byłych przyjaciół, poczuł się nagle jak w pokoju o ścianach wyłożonych lustrami. Rozejrzał się bezładnie, chłonąc światła i dźwięki.

– Popatrz – powiedziała Emerine, wskazując ręką. – Czy to nie twój syn? Tammisie! – zawołała.

Sparks zobaczył twarz syna, gdy chłopiec odwrócił się, zaskoczony dźwiękiem swego imienia. Tammis popatrzył na nich, jego twarz stężała w poczuciu winy. Odwrócił się znowu i zniknął.

– Co to ma znaczyć? – mruknęła Emerine. – Myślałam, Sparksie, że twój syn jest szczęśliwym mężem. Czego tu szuka, sam, z tak zmieszaną miną...?

Sparks skrzywił się, mocniej ścisnął czarękę; słyszał wnioski kryjące się we wnioskach.

– Nie jest moim synem. – Wypił łyk tlaloca, czując jedynie gorycz.

– Przestań – powiedział łagodnie Kirard Set. – Czy nie przesadzasz? Tylko dlatego, że zagubiony jak my wałęsa się po nocy, niezadowolony z małżeństwa szuka tego, czego nie dostanie w domu...

Sparks spojrział na niego z nagłym gniewem, przypomniał sobie wesele, korytarz w górze schodów.

– Nie jest moim synem – powiedział głucho. – Nie mam dzieci. – Nagle stanęła mu przed oczyma Ariele, jej mina, gdy niemal wpadł na nią, wychodząc z tajemnego pokoiku, z którego jego żona jak podglądaczka obserwowała Gundhalinu. Spojrzenie na twarz dziewczyny, tak bardzo przypominającej swą matkę, powiedziało mu, że słyszała całą ich rozmowę: Nawet Ariele i Tammis... Są jego!

– Tato? – przysunęła się do niego, złapała za rękaw. – Tato...! – krzyknęła, gdy się wyrwał i odszedł bez słowa. W owej chwili nie mógł znieść jej widoku. Od tego czasu nie wymówił słowa ani do niej, ani do jej brata. Kirard Set uniósł brwi.

– Chcesz powiedzieć, że pogłoski są prawdziwe? O Moon i tamtym pozaziemcu – tym, który wrócił tu jako Główny Sędzia? Czy między nimi naprawdę coś było? Czy to dlatego z taką pasją popiera każdy jej kaprys?

Sparks gwałtownie wzruszył ramionami.

– Tak – mruknął.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Kirard Set niemal szczerym tonem. Sparks zerknął na niego podejrzliwie, zastanawiając się, ile z tych plotek wyszło od Wayawaya. – Czy nadal... widują się potajemnie?

Sparks pokręcił głową, z nagłym zaciekawieniem zaczął się przyglądać swym dłoniom.

– Nie. Moon na to nie pozwala. Zbyt zagrożiłoby to jej pozycji. Ale kochają się oczyma, gdy tylko znajdują się razem w tym samym pokoju... – Zamknął swoje oczy, lecz nadal ich widział wpatrzonych w siebie.

– Stary przyjacielu – powiedział Kirard Set, znowu dotykając jego ramienia – dawno już

przegrałeś tę walkę, choć cierpisz dopiero teraz. Moon przed laty przestała być kobietą, którą kochałeś i szanowałeś. Wiesz o tym. Zostaw ją i tego ograniczonego Kharemoughi, niech szarpią się na próżno. Istnieją warstwy wewnątrz warstw, otwierają się dotychczas zamknięte drogi, które doprowadzą cię do szczęścia, o jakim nigdy nie śniłeś...

Sparks spojrzął w oczy Kirarda Seta, ciekawość przemogła ponure przecucie.

– O czym mówisz?

– Jesteśmy częścią... tajnego zakonu, mającego członków na wszystkich światach Hegemonii, pradawnego pochodzenia, niezależnego od jakiegokolwiek rządu czy grupy, łącznie z samą Hegemonią. Mamy swoje zasady, swoje cele i swoje nagrody, przewyższające znacznie wszystko, co możesz sobie wyobrazić... Interesuje cię to?

Sparks odwrócił wzrok od nagłego błysku w oczach Kirarda Seta, spojrzął na twarze pozostałych siedzących przy stole. Znał wszystkich – a przynajmniej tak sądził. Poznał ich przed latami, jeszcze w Zimie. Był wtedy niedoświadczonym Letniakiem marzącym o przyjęciu do ich błyszczącego, wyrafinowanego świata, gotowym zrobić wszystko, byleby stać się jednym z nich... Robił chętnie, co tylko chcieli, aż w końcu uznał, że widział i uczynił wszystko, że nic już nigdy go nie zadziwi, odstręczy czy upokorzy. Że się uodpornił na zaskoczenia.

Zrozumiał nagle, że pragnie do tego wrócić, znowu nie czuć nic, poza doznaniem.

– Powiedz mi coś więcej – mruknął. Kirard Set uśmiechnął się.

– Wpierw musimy się zająć twoim wtajemniczeniem. – W czasie wymawiania tych słów jakaś ręka spoczęła pod stołem na kolanie Sparksa. Dawntreader drgnął, zaskoczony, gdy dłoń ścisnęła mu udo i przesunęła do wewnątrz. – Powinieneś udowodnić, że szczerze chcesz do nas przystąpić – ciągnął Kirard Set – przejść szereg prób, które udowodnią, iż jesteś godzien zaufania... twoje poświęcenie, otwartość, giętkość... twą wytrzymałość.

Pod stołem do pierwszej dłoni dołączyła następna, wślizgnęła się między uda Sparksa, przesunęła z bezwstydną śmiałością, by spocząć na nagłym, bolesnym wybrzuszeniu napinającym mu spodnie. Dalsze ręce zaczęły wędrówkę po skrytej pod stołem dolnej połowie jego ciała, masowały ją, pieściły, podczas gdy on zaciskał swoje kurczowo na brzegu blatu; nie próbował odpychać dłoni.

Oczy Kirarda Seta ani na chwilę nie opuściły twarzy Sparksa, patrzyły z napięciem i wiedzą.

– Myślę, że takie wyzwanie ci się spodoba. Na pewno doskonale sobie z nim poradzisz. – Wskazał na drzwi. – Pójdziemy?

Sparks dokończył napój, ręce mu drżały, tłaloc opanował jego zmysły słodką goryczą.

– Jestem gotów – szepnął. Wstał, ręce puściły go, teraz przyciskały go ciała. Poczul oszałamiający żar, gdy dłonie znowu na nim spoczęły i poprowadziły w stronę drzwi.

TIAMAT: Plantacja Ngeneta

– Szefie, to przecież co najmniej godzina lotu od miasta...

– Powiedziałem wracać! – Reede wskazał gniewnie na słabo widoczny ciągnący się na północ brzeg. – Cholera, łazik świeci jak latarnia w oczy śledzących. Tam nie powinno być nikogo, nawet zespołów badawczych Gundhalinu. Plantacja należy do PalaThion.

– Głównej Inspektor? – Niburu skrzywił się ze zdumienia. Reede kiwnął, był coraz bardziej rozdrażniony.

Tak, tępaku. Odziedziczyła ją po mężu. Oboje tu osiedli.

– To co tu robimy? – Niburu rozejrzał się po pustym skalistym brzegu, górujących nad nimi zielonych stromych wzgórzach, zimnym, szarym niebie. Jego zdziwienie przeszło w wielkie zdumienie.

– Bo Źródło chce, żeby zrobić to tutaj – odpowiedział Reede, smakując każde słowo jak krew. Popatrzył na blednącego Niburu. – Teraz spieprzaj stąd. – Pociągnął pilota do czekającego łazika. – Wezwę cię, gdy będziesz potrzebny.

Niburu wsiadł do pojazdu bez dalszych sprzeciwów, lecz gdy zamykał drzwiczki, Reede dostrzegł jego spojrzenie pełne troski i wątpliwości. Kullervo odwrócił wzrok, popatrzył pod nogi, na nagromadzony sprzęt, gruby, lśniący od kwarcu piasek; nie podnosił mocno utkwionych w ziemi oczu, póki łazik nie oderwał się od plaży i nie zniknął na północnym horyzoncie.

Uniósł wzrok dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, iż wokół nie ma nikogo. Szum fal łamiących się na brzegu wydawał mu się nierzeczywisty, jakby tak naprawdę rodził się w jego głowie, jakby otaczała go cisza tak całkowita, że aż ogłuszająca. Odetchnął głęboko, wciągnął w płuca chłodne morskie powietrze, zatrzymał je, odwracając się wolno, obserwując otulone oparami wzgórza, które zamykały mu wszechświat do dwuwymiarowego pasa mokrego piasku. Znowu popatrzył pod nogi, przesuwał wzrokiem po zaścielających plażę skałach, aż mgła przesłoniła wszystko.

W końcu zwrócił się w stronę morza. Rozciągało się niby napięta srebrna tkanina sięgająca po horyzont, gdzie zlewało się z niebem, tworząc z nim jedną całość. Tiamatańczycy czcili morze w postaci wszechmocnej, pochłaniającej wszystko bogini. Pani daje, mówili, i Pani zabiera... Objął się za ramiona, wmawiając sobie, iż drży od wiatru, zrobił trzy niepewne kroki w stronę napływających zwieńczonych białą pianą fal. – Tiamat... – szepnął.

Zszedł jeszcze niżej po lśniącej pochyłości. Przyływ właśnie zaczął ustępować. Zmuszał się do ruchu, aż dotarł do miejsca spotkania morza i lądu; pozwolił następnej spienionej fali wbiec z szumem na piasek i załamać się mu na nogach, otoczyć je jak żywa istota bezcielesnymi, płynnymi ramionami. Lodowate rozbryzgi uderzyły w jego łydki, przemoczyły tkaninę nogawek.

Reede odwrócił się i pobiegł plażą do miejsca, gdzie zostawił swój sprzęt, wyczerpany rzucił się obok na złudną twardość plaży. Zaciskał i prostował dłonie, zaciskał i prostował, zanurzał w umykającym piasku. Otulił się kurtką, jak dziecko kulące się pod kocami, gdy usłyszy nocą nie znane hałasy. Patrzył na podchodzące i cofające się w nieskończoność morze.

W końcu jego oddech się uspokoił. Pokręcił głową i wstał z pustymi oczyma, odrzucił z przekleństwem garść piasku. Chłodny, wilgotny wiatr wciskał się we wszystkie szpary grubego stroju, zwiększając jego nieszczęście. Kochankowie Matki nazywali to wiosną i chodzili w kurtkach bez rękawów, ale on przemroził tyłek. Chcąc się rozgrzać, ruszył w drogę. Kolonia merów, dostrzeżona przezeń podczas lotu z Niburu na południe, znajdowała się jakiś kilometr stąd. Wolał bliżej nie lądować, żeby niepotrzebnie nie ściągnąć uwagi ludzi lub merów. Założył plecak ze sprzętem, zarzucił na ramię karabin ogłuszający dużego kalibru i rozpoczął mozolny marsz na północ.

Przebywał na Tiamat od trzech miesięcy, a dopiero teraz opuścił miasto. Zgodnie ze swą obietnicą Źródło wysłał go tutaj, gdy tylko planeta stała się osiągalna, by rozpoczął prace nad rozszyfrowaniem i odtwarzaniem technowirusa zwanego wodą życia. TerFauw, Newhaveńczyk, który go napiętnował, przybył tu także, by go pilnować, przekazywać pragnienia Źródła, nagradzać dostępem każdej nocy do wody śmierci. Bez tego nie przetrzymałby następnego dnia. Niburu i Ananke pozostali przy nim, zezwolono im trzymać się razem, choć nie wiedział dlaczego.

Zmieszał się, choć właściwie nie zdziwił, dowiadując, że Gundhalinu znalazł się tu przed nim. Myśląc o nim, nie wątpił nigdy, że się jeszcze spotkają. Tym razem jednak BZ Gundhalinu kierował rządem hegemońskim, zaś Reede Kullervo był niewolnikiem. Idąc wzdłuż brzegu, rozmyślał nad ironią tego faktu, pozwalał, by jak robak gryzł mu wnętrzności. Nawet gdy chodził jak wolny człowiek po ulicach Krwawnika, spojrzenie na bezsenne oko, które patrzyło nań przy każdym rozwarciu dłoni, setki razy dziennie przypominało mu, że utracił wszelką władzę nad swym życiem.

Nie zdziwiło go, że Gundhalinu także prowadzi badania nad wodą życia, wykorzystując dostarczane mu przez Królową Tiamat dane i wyniki wcześniejszych poszukiwań. Podobno przejawiała ona fanatyczne zainteresowanie merami, zakazała całkowicie ich zabijania, nawet dla celów badawczych. Hegemonia musi rozpaczliwie dążyć do uzyskania innego dostępu do wody życia. Na pewno tak jak on szuka sposobów jej zsyntetyzowania, jeśli to w ogóle możliwe... a nie licząc jego, nie ma wśród żywych lepszego znawcy sprytmaterii niż Gundhalinu. Dobrze go wyszkolił, a potem pozostawił przy życiu, by mógł wykorzystać tę wiedzę... To największy błąd, jaki kiedykolwiek popełnił.

Jednakże tym razem Gundhalinu nie przybył tu tylko jako naukowiec, lecz próbował także rządzić planetą. Musiał rozpraszać swe obowiązki – nie był już Głównym Badaczem. Dzięki temu Reede ponownie korzystał z danych, które Gundhalinu, nie wiedząc tego, zaczął dla niego gromadzić. Tym razem czynił to potajemnie, miał dostęp do wiadomości za pośrednictwem skrytych rąk Bractwa.

Nie mógł zbliżyć się bezpośrednio do Gundhalinu... nie powinien nawet pozwolić, by hegemoński Główny Sędzia Tiamat zaczął podejrzewać, iż jest bliżej tej planety niż o lata świetlne. Mimo to jakaś część duszy Reede'a pragnęła usilnie znowu go ujrzeć; obserwować, rzucać pogłoski, zostawiać ślady. Bawić się w zdradzieckiego berka ze Złotym Środkiem i z Bractwem – dla wszystkich, którzy by go na tym przyłapali, stanowiłoby to dalsze potwierdzenie, że jest całkowicie i dogłębnie szalony. Idąc czuł pod ubraniem łańcuszek, który nadal nosił na szyi, rozgrzewał ciałem i chronił na sercu wisiołek wraz z przyczepionym pierścieniem.

Rozpoczął pracę od wykorzystania danych wykradzonych od uczonych Hegemonii. Większość okazała się zbyt ogólna lub całkowicie pozbawiona znaczenia. Zawierały mnóstwo analiz językowych i teoretycznych rozważań dotyczących pieśni merów, szczegółów posiadanej przez nich wiedzy – rzeczy, które powinien po prostu odrzucić jako bezużyteczne. Mimo to za każdym razem, gdy słuchał nagrań owych śpiewów, opanowywał go rodzaj uniesienia, napełniały go po kolei radością, melancholią i gorzką rozpaczą, chwyciły w schemat bodziec-reakcja, nad którym nie panował i którego nie rozumiał.

Ślęczał nad każdym bitem informacji, aż poznał wszystko, co wiedziano tutaj o merach; aż ich pieśni zaczęły dręczyć go w snach... A jednocześnie jakaś część jego maltretowanego umysłu krzyczała ciągle, że już wcześniej więcej wiedział o merach, niż ktokolwiek inny, nie tylko o technowirusie, który je stworzył, ale i o nich samych; gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć... tylko przypomnieć, tylko...

Ocknął się z tych snów na jawie, stwierdził, iż idzie samotnie wzdłuż morza, wlecze się wąską,

ciągnącą w nieskończoność plażą, cienką jak ostrze noża granicą między wodą i lądem. Słuchał ryku i szumu fal, skrzeczenia ptaków, nie rozlegał się tu żaden ludzki głos. Z mgły przed nim wyłoniła się nagle kamienna ściana; stare osuwisko skał, które dawno temu zwały się na brzeg, tworząc naturalne falochrony, obejmujące półksiężyc plaży. Przybyła tu kolonia merów wybrała to miejsce na swój dom. Głazy wchodziły w morze, będzie musiał je obejść albo spróbować wspinaczki. Reede pomyślał z rezygnacją, że wie, co wybierze. Znowu opuścił wzrok, patrzył na ciągnący się mu pod nogami piasek i wyrzucone przez fale resztki.

Igrał z danymi na temat merów, nie dokonując prawdziwych postępów, lecz znajdując mnóstwo wymówek do odwlekania nieuniknionego – dnia, w którym znajdzie się tutaj, wyrzucony z muszlowatego łona Krwawnika, z poleceniem odnalezienia jednego z nich i zabicia dla krwi.

Wiedział, że jest to konieczne; nie można skutecznie badać technowirusa bez analizy świeżej próbki krwi. Zdziwiło go, że wśród danych, jakie uzyskał na temat prac Gundhalinu, nie było żadnych dotyczących krwi. Królowa rozciągnęła wprawdzie na uczonych swój zakaz zabijania merów, lecz musiał istnieć sposób uzyskania próbki od żywych. Ze znanych mu sprawozdań wynikało, że kolonia merów przychodzi z pomocą każdemu swemu członkowi, który zostanie zaatakowany lub znajdzie się w potrzebie. To dlatego łowcy po prostu zabijali i spuszczaali krew. Ten sposób był najprostsz i najskuteczniejszy; zawsze też wierzyli, iż podczas ich nieobecności mery odbudują swą liczebność.

Gundhalinu, przy wszystkich swych możliwościach, musiał jednak mieć środki wystarczające na oddzielenie jednego mera od stada, uspienie i pobranie próbki krwi. Zastanowił się ponownie, czemu tego nie uczyniono. Przeoczenie było tak oczywiste, jakby Główny Sędzia rozmyślnie przeciągał badania – albo szukał czegoś innego...

Reede jeszcze raz wrócił myślami do pseudojęzykowego bełkotu pieśni merów. Istniały w niej uszkodzone, lecz niosące znaczenie schematy; nie musiał dochodzić do tego badaniami, wiedział z góry. A to znaczenie jest ważne – coś bezradnego i pozbawionego nadziei miotało się w klatce jego mózgu, zaklął.

– Nie dla mnie! – zawołał szaleńczo. Skalista ściana odbiła te słowa, mgła pochłoneła.

Może Gundhalinu przeciąga badania, bo się boi, iż szersze wprowadzenie opartego na sprytmaterii lekarstwa uczyniłoby z Hegemonii to samo, co zrobiło ze Starym Imperium. Zawsze za bardzo się przejmował wielką skalą – jakby potrafił na cokolwiek wpłynąć. Jeśli nie zrobi tego on, znajdzie się ktoś inny; zawsze tak bywa i do licha ze skutkami. To wada Gundhalinu, tłumiąca jego wrodzone instynkty, nie ufał nawet sobie. Reede pamiętał z czasów ich wspólnej pracy, że niekiedy jego oczy lśniły ożywieniem i radością... zdającymi się tylko o włos wykraczać poza przerażenie. Nigdy jednak nie przeszedł granicy, zaś Reede, zmuszając go do dostrzeżenia własnych możliwości, nigdy się nie cofnął. Razem sprawili, że wbrew wszelkim szansom zdarzył się cud...

Zatrzymał się gwałtownie przed wyrosłą przed nim, zagrządzającą drogę czarną ścianą wulkanicznej skały. Podeszedł bliżej, wyciągając rękę, aż jej dotknął, oparł się na niej, poczuł, jak ostre występy porowatej powierzchni drapią ciało i powstrzymują ruch. Nie mógł się odwrócić, obejść skały – musiał pokonać ją górami, zmierzyć z jej nieuniknionością.

Zaczął wspinaczkę, bo nie mógł inaczej, znajdował drogę od jednej szczeliny do drugiej, nieostrożnie, nierozważnie podciągał się krwawiącymi dłońmi; wdrapywał się, skakał, pozwalał doskonałym odruchom przenosić się bezpiecznie z jednej nierównej półki na drugą. Gdzieś powyżej trysnęła jak gejzer woda doprowadzona naturalnym kanałem w skale, spadła na niego. Daleko w dole dostrzegał niewyraźny ruch, to morze napierało na pozornie niewzruszone głazy, niestrudzenie je podważało; czekało na jeden jego fałszywy krok... Poczował, jak kamień pod nogą zaczyna się chwiać; skoczył ponownie, dysząc ciężko, wspiął się na następną stromą, pochyłą ścianę.

Osiągnął grzbiet zwaliska. Uniósł głowę, utrzymując równowagę, wpatrywał się w nie przesłonięty niczym widok, zobaczył je wreszcie, czekające na niego. Mery...

Patrzył, jak poruszają się w dole, całymi dziesiątkami; przez szum morza przebijały się niewyraźnie ich głosy. Wydał z siebie dziwny krzyk niewiary, będący w połowie śmiechem, to nie mająca nazwy i przyczyn radość wypełniła pustkę jego umysłu i duszy.

– Znam was... – szepnął – znam was. Jesteście moje.

Zaklął i pokręcił głową, zdumiony niezrozumiałymi słowami. Dziką, głęboką radość zgmiotła nagle rozpacz, gdy sięgnął za siebie i chwycił broń. Wiedząc, co ma robić, uświadomił sobie nagle, że popełnia ohydny zbrodnię, krańcowy akt poniżenia siebie, czyn, który potępi go na zawsze... Nie wiedział jednak dlaczego, nie wiedział nawet, skąd to wie.

Źródło przysłał go tutaj, by znalazł odpowiedzi. Źródło przysłał go, by zabił mera i zabrał jego krew do analizy. Reede wiedział, jaka kara go spotka, jeśli zawiedzie, jeśli się sprzeciwi. Wypełniła go rozpacz, beznadziejny żal, jakby musiał zamordować jedno ze swych dzieci. Szum morza był niby czarny śmiech bogów, wiedział, że jest ofiarą ich żartu.

– To pieprzone zwierzęta, niech je cholera! – Opanowała go zaślepiająca, zwierzęca wściekłość, pochłonęła strach, żal... inną furję, która powstrzymałaby go przed zrobieniem tego, co musi. Rozkazano mu zabić i zabije. By to uczynić, wystarczy mu spojrzenie oczyma umysłu w pozbawioną twarzy, pożerającą duszę kupę zepsucia, która go tu przysłała. A potem zapragnął zabić coś, cokolwiek; chciał, musiał...

Rozpoczął schodzenie po przeciwnej stronie osuwiska skał, poruszał się teraz przytomnie; uważał, by nie wykonywać nagłych ruchów ani w żaden inny sposób nazbyt wcześniej nie przyciągnąć uwagi merów. Chciał zbliżyć się na tyle, by zabić od pierwszego strzału, bo nie wiedział, jak na to zareagują. Zabije jednego, a jeśli pozostałe nie uciekną, to ma ze sobą rodzaj odstraszacza dźwiękowego, taki sam jakiego zawsze używali łowcy merów. Odpędzi je w ślepej panice na morze i będzie miał ciało dla siebie.

Był już dostatecznie blisko, by widzieć wyraźnie barwy ich sierści, brązowe cętki na grzbiecie, V złotawych włosów na piersiach samic. Kiwały łagodnie głowami kończącymi długie, kręte szyje, oczy miały pełne spokoju. Zakończone płetwami nogi nie pozwalały im wdzięcznie poruszać się na lądzie, lecz mimo to praktyczność i dostojeństwo kształtów napełniło go dziwnym wzruszeniem. Dobrze je zrobił, uczynił silnymi. Uczynił...

Zaklął ponownie, odpinając karabin; zmuszał się, by nie widzieć bezbronności tkwiących w dole, niczego nie podejrzewających stworzeń – dostrzegać jedynie bezkształtną postać swej wściekłości. Wstał, stanął pewnie na pochylonej krawędzi skały, uniósł broń. Wycelował, nastawiając zasięg karabinu na całe stado, by ofiara w postaci pojedynczego mera została wybrana przypadkowo. Wstrzymał oddech, próbując zmusić się do strzału.

Pchana wiatrem woda wytrysnęła ze szczeliny po jego prawej stronie, oblała. Przemoczony i oślepiiony lodową strugą, poczuł, jak nogi ślizgają mu się na mokrej półce skalnej. Wypuścił karabin, walcząc rozpaczliwie o uchwyt, słyszał, jak odbija się z hałasem od głazów. Reede złapał krawędź skały wyrastającej za nim, napiął ręce, przyciągając cały ciężar ciała. A potem poczuł, jak jego palce zsuwają się po mokrej od wodorostów powierzchni, odpadają, jak w ślad za karabinem wali się w kamienną gardziel.

Krzyknął w chwili upadku, jeszcze raz, gdy gwałtownie wylądował. Oszołomiony i zdumiony potrząsnął głową, poczuł krew ciekącą z przygryzionego języka. Po chwili zobaczył przed sobą czarną skałę... czarną skałę z wszystkich stron, jakby znalazł się w szybie czy studni. Wysoko w górze szpara błękitu, tylko tyle nieba widział. Wzrok przesłaniały mu własne wzniesione ręce,

machające jak skrzydła owada. Gdy na próżno spróbował je złożyć, wzdłuż lewego ramienia zaczął wędrować ból, spłynął po boku, wspiał się do szczęki. Niby żuk zaklinował się między szczypcami głązów. Nie dosięgał stopami do twardej powierzchni; nie mógł kopać ani przesunąć nóg bardziej niż o kilkanaście centymetrów. Nie czuł ich... Spojrzał w dół, usiłował coś dostrzec pod narożnikiem skały, zobaczył błyski światła odbijającego się od wody. Fala wtoczyła się do jego więzienia, załamała na biodrach, zmroziła do kości, sięgając parę centymetrów wyżej. Tkwił niemal po pas w wodzie... a nadchodził przyływ.

Zrozumiał, że stracił opanowanie, jakby już wpadł w morze kwasu, które zaczęło gryźć aż do kości jego ciała. Szamocząc się w panice, wykręcał ramię, lecz doczekał się jedynie zaślepienia przez ból i głębszego pogrążenia w wodzie. Przerazenie ścisnęło mu gardło, przełknął je jakoś, walcząc o zachowanie rozsądku. W plecaku miał nadajnik; jeśli go wyjmie, będzie mógł wezwać pomoc. Niburu przyleci po niego, wyciągnie stąd, uratuje. Ma mnóstwo czasu, musi tylko sięgnąć do plecaka...

Spróbował znowu zmienić pozycję, tym razem zrobić to ostrożniej, zaprzeć się na śliskiej, niewzruszonej skale, znaleźć nie istniejący uchwyt; karany za każdym razem bólem, starał się coraz rozpaczliwiej i mocniej. Szukając podparcia, machał nogami w zimnej, skłębionej wodzie, lecz takiego nie było.

Walczył zapamiętane przez godzinę, dwie, trzy; odmawiał przyjęcia tego, co jakaś jego cząstka wiedziała od początku; że ratunek jest niemożliwy. Na zegarku noszonym na prawym przegubie zmieniały się cyfry, łatwiej i wyraźniej widoczne niż cokolwiek innego. Mierzyły czas... jego czas, uciekający. Całe ciało Reede'a dygotało konwulsyjnie, lecz przestał już je czuć; nawet poobijane, obolałe ręce zdrętwiały mu od chłodu i ograniczonego krążenia krwi. Tylko umysł ciągle pracował, rejestrując każdą z męczących, poniżających sekund zbliżającego się do końca życia. Nie mógł sięgnąć do nadajnika, a nawet gdyby mu się to udało, to Niburu nie zdążyłby już przylecieć, wcześniej utonie w przyływie. Zimne, nieubłagane morze pluskało już na wysokości jego gardła.

Jęknął cicho, bezsilne dłonie zacisnął nad głową w pięści. Do więzienia Reede'a wtoczyła się następna fala; na chwilę zakryła mu brodę. Do jego kurtki przylgnęło coś szarozielonego i mackowatego, różową, pulsującą wypustką ciała sięgnęło twarzy, by po chwili opaść. Kullervo zamknął oczy, poczuł, jak zaczynają drżeć mu usta... Coś szarpnęło jego zwisającą nogą, jeszcze raz. Zaklął i zaczął się miotać w panice, dopóki ból nie zmusił go do znieruchomienia.

Coś przebiło powierzchnię wody. Reede rozejrzał się na boki, ciężko dysząc – zobaczył ciemne, nieprzeniknione oczy patrzącego na niego mera. Zaskoczony zawołał i mer pokiwał głową, zbliżył pysk, powąchał odsłonięte ciało, dotykał je ciekawie.

– Nieee! – Reede przekręcił głowę, walnął nią w pysk, pogrzebał wiszącymi w wodzie nogami. – Precz stąd! Cholera, nie dotykaj mnie, nie dotykaj!

Mer cofnął się ze zdumieniem i zniknął pod wodą. Kullervo poczuł znowu mocne szarpnięcie za nogę, potem już nic, jedynie nabrzmiące usta morza z zimnym głodem całujące jego brodę, jakby Śmierć wybrała go na kochanka i zaczęła się niecierpliwieć... Poczuł oszałamiający żar spływających mu po twarzy własnych łez, posmakował je, gdy wciekły do ust, były słone jak morze. Płakał dalej, gdy woda wzdęła się i zmyła łzy.

– Hej...

Dźwięk spłynął ku niemu, odbijając się od skalistych ścian, musiał być dziwacznym zniekształceniem krzyku ptaków morskich czy dalekich głosów merów. Mimo to uniósł twarz do wiszącego daleko w górze nieba, wypatrywał światła. Kolejna fala złapała go nie przygotowanego, zakryła z głową; dusząc się i krztusząc, łyknął wodę.

– ...pomóc...

Tym razem był pewien, że słyszy wysoki czysty głos mówiący po tiamatańsku. Mrugał powiekami, aż dostrzegł chyba kobiecą postać, surrealistycznie rysującą się na tle światła, spoglądającą nań z góry. Zdawała się być zbudowana z blasku, lśnić w niemożliwy sposób. Tiamatańczycy nazywali morze boginią, Matką, Panią, która daje i która odbiera...

– Pomóż mi – wydyszał, najpierw w języku handlowym, potem po tiamatańsku. – Proszę, pomóż. Przepraszam. Wybacz mi. Ocal...

– Schodzę zawołała. – Idę... – Jaśniejący obraz kobiety nabrał nagle ciała, gdy ta poruszyła się, zasłaniając i odsłaniając światło. Reede patrzył na jej białe stopy, mocne mięśnie, blade nogi, które schodziły śmiało po niebezpiecznej ścianie urwiska, aż nieznajoma uklękła na skalnej półce tuż nad jego głową, przyciskając do zimnych gładkich łśniących w tęczy ramiona. Jej srebrne włosy zamigotały blaskiem, gdy pochyliła się nad uwięzionym, wyciągnęła rękę.

Kolejna fala załamała się nad jego głową, zatopiła, załapała wodą oczy i usta; zacisnął wargi i splunął.

Dziewczyna złapała go za ręce, poczuł ciepłe, mocne dłonie obejmujące jego zdrętwiałe od zimna palce.

– W porządku – powiedziała i uprzytomnił sobie, że znowu łąka. – W porządku, wyciągnę cię... – Pochyliła się, przelotnie dotknęła jego twarzy.

– Utknąłem – powiedział; własny głos brzmiał mu obco. – Utknąłem. Nie mogę się ruszać...

– Jeśli wezmę cię za ręce i pociągnę do góry, może zdołasz sięgnąć występu. – Znowu chwyciła obie jego ręce; zacisnął zęby, spodziewając się bólu, jaki przeszył ciągnięte ramiona, gdy nieznajoma zaczęła powoli wstawać na wąskiej półce. Wyprostowała się, szarpnęła mocniej, Reede zawył, gdy cierpienie stało się nagle niemożliwe do wytrzymania.

Opadła na kolana, zwolniła nacisk, nie puszczając jednak jego dłoni.

– Jesteś ranny?

Złapał ją, kurczowo chwycił za ręce.

– Nie dam rady... – Wypluł wodę, zakasłał, wciągnął długi, głęboki łyk przesyconego morzem powietrza. – Potrzebna... potrzebna jest lina. W plecaku...

Poczuł, jak nieznajoma przesunęła się, zbliżyła do jego pleców.

– Nie mogę go dosięgnąć!

– Na bogów... – jęknął, nie wiedząc nawet, jakiego języka używa. – Nie tak...

– Wydostaniemy cię – powiedziała z zapalem. – Wydostaniemy! Silky! – zawołała, by zaraz wydać z siebie dziwne świsty i mlaski.

Nic nie rozumiał z tych dźwięków, a jednak poruszyły coś w jego duszy, wzbudziły chęć odpowiedzi. Otworzył oczy, dopiero teraz uświadamiając sobie, że je zamknął. Obrócił głowę, podążając za wzrokiem dziewczyny; szarpnął ją ze zdumieniem, gdy znowu ujrzał obok pysk mera.

– Nie! – zawołał. – Nie...

– Daj jej pomóc! – powiedziała kobieta, odciągając go głosem. – Chcemy cię uratować. Pozwól nam!

Spojrzał na nią płonącymi oczyma.

– Jesteś zaklinowany. Spróbuj pchać cię od dołu. Rozumiesz? Przygotuj się...

Kiwnął głową, gdy mer zniknął pod wodą. Poczuł jakiś ruch pod stopami, to mer tak jak przedtem naciskał badawczo na nogi. Z grymasem na twarzy zmuszał się do zachowania spokoju, nieodsuwania zdrętwiałych kończyn, choć przepelniała go przemożna chęć zwalczenia tego dotyku. Ciało mera mocno naparło na niego, pchnęło od dołu. Zaklął, gdy wstrząs odbił się całym cierpiącym

ciałem. Uświadomił sobie, że coś się rusza – on sam, trąc o skałę.

Mer pchnął go znowu, grzbietem napierał na stopy. Przygotowany, tym razem usztywnił nogi, czekając na cios, wzmocnił go jeszcze, gdy do szczeliny wtoczyła się następna fala. Reede poczuł, jak jego ciało szoruje o skały, przesuwa się, wznosi, nagle podpierane przez wodę, nagle wolne.

Zakrzyknął z ulgą. Kobieta zdołała wciągnąć go na półkę, czekała na niej przykucnięta, dopóki mer pchał go haniebnie od dołu.

Leżał na półce, wciągając długie, drżące oddechy; czuł podpierającą go twardą skałę, wzniesioną bezpiecznie nad poziomem wody, już nie trzymającą go w śmiertelnym ucisku. Przywarł do niej ze śpiewającą w umyśle pustką, niepomyślny na przeszywający ciało ból, a nawet na kobietę, która go wyratowała. Nieznajoma sięgnęła do plecaka Reede'a, wyciągnęła linę, zawiązała wokół jego pasa, drugim końcem otoczyła się sama. Wreszcie wstała ostrożnie i pomogła mu się podnieść, aż ukląkł obok.

– Czy dasz radę się wspiąć? Mogę wezwać pomoc... Spojrzał w górę, przypatrzył się stromym, dziwnie powykęcany ścianom szczeliny, znowu w dół.

– Dam radę – powiedział przez zaciśnięte usta. – Prowadź.

Kiwnęła głową, przez chwilę przyglądała mu się jakby niepewnie, lecz w końcu odwróciła twarzą do ściany i zaczęła wspinaczkę. Patrzył, gdzie i jak stawia ręce, nogi. Wstał, gdy tylko naprężyła się łącząca ich lina. Nagle zakręciło mu się w głowie, przeczekał to, opierając się o skalistą ścianę. Potem rozpoczął zawziętą wspinaczkę.

Ciało go nie zdradziło. Podrapane, zeszywniałe i drżące od chłodu parło w górę, wspierając równowagę i umiejętnością jedyne ramię, którym mógł z wielkim trudem władać. Po raz pierwszy w życiu był wdzięczny wodzie śmierci.

Wreszcie osiągnęli krawędź szczeliny. Roześmiał się z triumfu i zdumienia piękną dnia. Stał znowu w miejscu, które zajmował przed upadkiem, lecz teraz bez najmniejszej chęci zabijania.

Kobieta zaczęła już schodzić z boczem w stronę plaży. Reede zawahał się, poczuł linę napinającą się na jego pasie. Zbyt wyczerpany, by się sprzeciwić, ruszył za nią w dół.

Czekała na niego, stojąc wśród merów na ciemnym żwirze, fale lśniły szkliście wokół jej bosych stóp, piana kotłowała się na kostkach jak wydymane wiatrem koronkowe spódniczki. Powalony zmęczeniem Reede opadł na głaz, czuł niewyobrażalną radość, że znowu jest na twardym gruncie. Mery leżały wokół niego na plaży, przyglądały się mu bez niepokoju czy ciekawości. Podobnie czyniła kobieta, natężeniem wzroku dorównując ich brakowi zainteresowania.

Trzymał się z dala od wody, odsuwał od merów, na ile tylko pozwalała lina. Popatrzył na nieznajomą, dojrzał, jak bardzo jest młoda, ledwo przestała być dziewczynką. Pomyślał z dziwnym zdumieniem, że z trudem tylko uwierzył, iż nie jest Boginią. Wreszcie widział ją wyraźnie, bez srebrnej otoczki, rzucającej tęcze blaski. To jej włosy były tak jasne, że niemal białe; oczy miały spotykany niekiedy u miejscowych egzotyczny odcień, oślepiały bladością, denerwującym go bardzo pięknem. Sprowadzony z innej planety kostium do nurkowania lekko opalizował, oświetlony słońcem zdradzał resztki swej barwy. Reede zrozumiał, że słońce zaszło, wystawiało tęczową koronę ponad lśniącą mgiełkę nieba.

Spojrzał na zawiązaną wokół pasa linę, ciągle jak pępowina łączyła go z dziewczyną; popatrzył na nią samą, milczącą, wsłuchaną w otaczające go mery, w pieśń morza. Ujął linę, trzymając ją, lecz nie próbując odwiązać.

– Co pan tu robił? – zapytała, widząc, że się nie odzywa – zadała pytanie, do wypowiedzenia którego nie potrafił się zmusić.

Zawahał się.

– Jestem... naukowcem.

– Przybył pan badać mery?

– Tak – potwierdził po chwili, jego odrętwiały znużeniem umysł nie znalazł lepszej odpowiedzi.

– Dla Hegemonii? – Skrzywiła się trochę.

Coś w wyrazie jej twarzy i tonie głosu kazało mu odpowiedzieć:

– Nie.

– No to dla mojej matki?

– Kim jest pani matka? Spojrzała nań dziwnie.

– Królową.

Królową Lata. Bogowie... Przygryzł język.

– Jest pani jej córką? – wyczuł zdumienie we własnym pytaniu. Przypomniał sobie pogłoski o córce Królowej, miała być ona ponurym, zepsutym dzieckiem.

– To moja matka. Co chyba czyni mnie jej córką. – Dziewczyna podeszła bliżej. – Jestem Ariele Dawntreader. – Zatrzymała się przed nim, zajrzała w twarz z denerwującym zaciekawieniem. Popatrzył na nią, próbując stwierdzić, jaką barwę mają jej oczy. – Dobrze się pan czuje? – zapytała i dotknęła jego bolącego ramienia.

Skrzywił się. Opuściła dłoń, choć zabolalo go nie cierpienie, lecz pamięć o nim. Spojrzał w dół, unikał oczu dziewczyny, pamiętając, że znalazła go, gdy z własnej głupoty, beznadziejnie pogrążony, płakał jak dziecko. Odwracając wzrok, zobaczył w pobliżu mera, który w przeciwieństwie do pozostałych zdawał się patrzeć nań z zainteresowaniem. Przypominał tego, który odszukał go w szczelinie. Ciekawe, czy to ten sam. Nie potrafił tego stwierdzić, wszystkie wyglądały dlań tak samo.

– Znam pana... – mruknęła nagle Ariele Dawntreader. – Prawda?

Spojrzał na nią.

– Nie – odparł szorstko, choć nadal wpatrywał się w twarz dziewczyny, rozpoznawał jej rysy.

– Był pan u Starhiker w wieczór otwarcia lokalu. Pomógł mi pan wygrywać w spadające gwiazdy... – Oczy barwy agatu popatrzyły dziwnie. Przysunęła się bliżej.

– Nie pamiętam pani – odparł śmiało, szczerze. Położył dłoń na bolącym ramieniu.

Umknęła wzrokiem, spłoszona jego upartym brakiem odpowiedzi.

– Nie jest pan Tiamatańczykiem – niechętnie zmieniła temat. – Skąd pan pochodzi?

– Z innej planety.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Nie ma pan domu?

– Mieszkałem w wielu miejscach – odpowiedział, wruszając ramionami, żałując, że musi to robić.

Patrzyła na niego badawczo.

– Co pani tu robi? – zapytał wreszcie. Podkreślił pani.

– Też badam mery. Na długo przed waszym przybyciem zaczęliśmy próby porozumienia się z nimi. – Duma mieszała się w jej głosie z wyzwaniem.

– Wiem – odpowiedział. Pragnął zapytać, czemu, w imię Odplacającego, porozumiewanie się z merami było takie ważne dla Królowej Lata, podczas gdy zakazywała badań ich krwi. Nie zrobił tego, bojąc się, że powinien to wiedzieć. Może wynikało to jedynie z mistycznych, religijnych bzdur, które ją opanowały.

Spojrzał znowu na jej córkę, stojącą przed nim z bosymi nogami i mokrymi włosami,

wyglądającą na najwyżej piętnaście lat. Przy swej śmiałej, całkowitej niewinności zdawała się należeć tu, do tego miejsca, tak jak mery, jak kamienie, jak morze. Nagle mignęło mu wspomnienie postaci w obcisłym, migoczącym srebrzyście kombinezonie, zjawiającej się przed nim w bajkowym, migotliwym światłocieniu jaskini hazardu, przyciskającej swe ciało do jego; niespodziewanej reakcji, jaką na to odpowiedziało... Pokręcił głową i spojrzała na niego ze zmieszaniem, jakby podkładała pod ten ruch jakieś znaczenie. Wydała mu się od razu równie niepojęta, co gromadzące się wokół niej stworzenia... jak większość Tiamatańczyków; jak od niedawna większość ludzi.

Potarł twarz zbielełymi od zimna palcami.

– Tam w dziurze, gdzie byłem uwięziony, mówiła pani do mera... czy tylko to sobie wyobrażałem? – Uświadomił sobie, że nie podziękował jej za uratowanie życia. Nie zrobił tego teraz.

Odwróciła się od niego, zawołała: – Silky! – a potem wydała z siebie te same świsty i mlaski, co przedtem, opuściły jej usta z równą łatwością, co mowa ludzi.

Mer, który zdawał się na niego patrzeć, odwrócił na ten dźwięk głowę i zaczął wlec się ku nim po plaży. Reede dostrzegł, że jest młody, mniejszy od dorosłych okazów, złote V na piersi zdradzało, że to samica. Trzymając się za ucho, patrzył, jak podchodzi. Coś nagle w nim zadrżało, zapragnęło wyrwać się z obcości. Mimo to dłonie męczyły się w chęci dotknięcia grubej, cętkowanej sierści, nie wiadomo skąd wiedząc dokładnie, jak głęboki i niewiarygodnie miękki jest leżący niżej jedwabisty puch...

– To pani mer? – zapytał.

Spojrzała na niego, jakby zasugerował coś nieprzyzwoitego.

– Nikt nie posiada merów. To – przyjaciółka. Ciocia Jerusha – pani komendant PalaThion – wychowała ją, gdy została osierocona... Nazywa się Silky. – Ariele wyciągnęła rękę, wskazując na mera, i znowu się odezwała w jego mowie. Mer zaświstał w odpowiedzi i nagle kichnął. Ariele roześmiała się, otoczyła ramieniem smukłą szyję, gdy głowa szturchnęła ją łagodnie. – Zapytała: "A jak pan się nazywa?"

– Nie zapytała – odparł Reede. Podszedł bliżej, głowa mera zbliżyła się do jego wyciągniętej ręki. Gdy dotknęła dłoni, poczuł, jak ozywają jego wargi i język, odpowiedział w tej samej obcej mowie.

Ariele Dawntreader spojrzała nań z wielkim zdumieniem.

– Pan naprawdę zna ich język – powiedziała niemal z niewiarą.

Prawie z rozpaczą oderwał od niej wzrok, nie miał pojęcia, co powiedział, skąd wiedział, jak dobierać słowa, czemu musiał porozumieć się z merem, poczuć dotyk dziwnej, miękkiej jak obłok sierści...

Ukląkł na piasku, nie miał nawet pewności, czy zrobił to z własnej woli, czy też po prostu zawiodło go przemarznięte ciało, nie interesowało go to. Mer wysunął się z objęć Ariele Dawntreader, zaczął badać go pyszczkiem, wachać, dotykać wargami, trącać, jednocześnie cały czas coś mrużąc. Reede zamknął oczy, pozwolił popłynąć myślom i usłyszał odpowiedź własnego głosu, jakby ktoś mówił korzystając z jego języka.

Nie miał pojęcia, jak długo trwała ich rozmowa, bo w tejże chwili zaczął się i skończył znany mu czas, otworzyła wieczność. Wiedział tylko, gdy merątko opuściło go wreszcie, odwróciło, by niezgrabnie skierować się do swych pobratymców, że przez ową chwilę był prawdziwy... I że w spustoszonej krainie przemocy i bólu raduje się tą niewolą, bo dała mu chwilę dopełnienia kręgu, uczyniła go całym, spełniła marzenia o przyszłości...

– Pan naprawdę je rozumie – powtarzała ciągle Ariele albo słyszał tylko echo rozbrzmiewające

w nerwach. – Pan naprawdę rozumie... może nas nauczyć...

Pokręcił głową, niezdolny do wypowiedzenia jednego słowa ludzkiej mowy; niezdolny do zdradzenia jej prawdy, choćby nawet mógł mówić. Próbował wstać, chciał uciec – przed nią, tym miejscem, przed sobą, nim całkowicie straci panowanie nad własnym postępowaniem.

Przewrócił się na piasek, usiadł wśród kamyków, zdumiony i oszołomiony, że ciało przestało go słuchać. Ariele przykłęka obok, ciągle coś mówiła, choć nie pojmował ani słowa. Zaczęła go ciągnąć, zmuszała do powstania.

Z oporami, choć nagle wyzuty z własnej woli, zrobił, co chciała, tym razem udało mu się stanąć. Nadal zadawała mu pytania i powoli zaczął rozumieć, co mówi.

– ...tu wziął? Gdzie pańska łódź? Pańska łódź? – powtórzyła z zatroskaną twarzą.

– Nie mam – mruknął, w zapomnianej kieszeni mózgu znajdując własny głos. – Żadnej łodzi.

Spojrzała nań, nic nie rozumiejąc.

– Jak się pan tu dostał?

– Przyszedłem... – Poczul jej ciało przy swoim, podpierała go, przypomniał sobie stół gry i nagły niespodziewany głód organizmu, który zbuntował się i zapragnął dotyku kobiety...

– Z Krwawnika? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie. – Skrzywił się. – Plażą. Przyleciałem. – Obejrzał się przez ramię. – Odesłałem łazik.

– W takim razie zabiorę pana do miasta moją łodzią. Idziemy. Nie może pan tu dłużej zostać, bo zamrznie na śmierć, a ramię wymaga opatrzenia. – Wskazała wzdłuż brzegu, namawiając, by poszedł za nią w tym kierunku.

– Nie – mruknął. – Wezwę mojego pilota. – Krzywiąc się zsunął plecak z ramion; pogrzebał w przemoczonym wnętrzu, szukając nadajnika. Znalazł go w końcu, ociekającego wodą; wysłał wiadomość, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Potrząsnął urządzeniem, wytrząsając krople, lecz nadal nie ożywało. Rzucił nadajnik, kopnął daleko. Ciągle patrząc w dół, zauważył opasującą go linę; szarpnął nią w nagłym gniewie, jakby była przyczyną lub symbolem wszystkich jego kłopotów i poniżenia. Nie posłuchały go nawet własne palce; zdawał się przebywać w przestrzeni oddzielonej od czasu rzeczywistego. Zaklął na widok drugiego końca liny, przywiązanego do ciała Ariele Dawntreader.

Dziewczyna spokojnie wybrała luźny odcinek, owinęła wokół przedramienia, aż lina przestała zwisać.

– Może minąć kilka dni, nim ktokolwiek przybędzie pana szukać. Do tego czasu rozchoruje się pan lub umrze z wyczerpania. Idziemy... – powiedziała łagodnie. – Mam na łodzi suche ubrania i trochę wina. – Proszę za mną... – Wsunęła palce pod linę otaczającą go w pasie, ciągnąc lekko, lecz tylko rozplatała węzeł zgrabnymi palcami, uwolniła go – jakby pomimo to miał jakikolwiek wybór – nim sama się rozwiązała. – Niech pan popłynie ze mną do miasta. Po drodze porozmawiamy o merach...

– Zgoda – wymamrotał, czując opanowujący go dziwny fatalizm. Pozwolił się jej objąć, wesprzeć podczas brnięcia plażą w stronę czekającej w oddali łodzi ze zwiniętymi żaglami. – Tak – powiedział głosem, którego nie uważał za swój. – Muszę pomówić... o merach.

TIAMAT: Krwawnik

– ...A wracając tutaj, przynieś następny antałek piwa z wodorostów i też zawieś, dobrze, Polluksie? – Tor Starhiker urwała, odwróciła się od baru, by popatrzeć wyczekująco na błyszczące na wpół ludzkie ciało i pozbawioną twarzy głowę swego od niedawna dzierzawionego robota.

Przytaknął, bliźniacze czerwone światelka czujników wizyjnych spojrzały w jej oczy z nieodgadniętym wyrazem.

– Tak, Tor – powiedział.

Westchnęła, nie wiadomo czym rozczarowana.

– Wiesz, jak to zrobić?

– Wiem.

– No to idź. – Machnęła ręką i robot odszedł, bez uczuć czy wahań. Patrzyła, jak znika w drzwiach magazynu. – Psia – powiedziała i znowu westchnęła.

– Co się stało? – zapytał jakiś głos z tyłu. Odwróciła się do baru, lekko tylko zdziwił ją widok mówiącego. Od początku wpadał dość często, a w ciągu ostatnich tygodni zjawiał się niemal każdego wieczoru. Pochodził z innej planety, miał dziwnie brzmiące nazwisko, które stale zapominała, choć codziennie siadywał przy barze i z nią rozmawiał. Niburu, oto one. Kedalion Niburu. "Mów mi Kedalion" – powiedział.

Wzruszyła ramionami i poprawiła opadające ciagle z gołego ramienia ramiączko.

– To nie to samo – powiedziała, zerkając na drzwi, za którymi zniknął robot. – Miałam takiego przed Odlotem. Ale ten jest inny. Wygląda identycznie. Nawet tak samo się nazywa. Myślałam, że to może ten sam. Myślałam... może zabrzmiało to głupio, ale sądziłam, że mnie pamięta. Wtedy... wtedy naprawdę się do siebie przywiązaliśmy. Jak na maszynę miał bogatą osobowość. Niburu roześmiał się, ale mile.

– Skąd wiesz, że ciebie nie pamięta?

Pochyliła się nad barem, popatrzyła na jego niebieskie, zmrużone w uśmiechu oczy. Miał miły uśmiech, a gdy siedział, łatwo zapominała, jaki jest niski. Sama nie była wysoka, ale nie sięgał jej do ramienia. Gdy po raz pierwszy przyszedł do klubu, wzięła go za dziecko i o mało co nie wyrzuciła.

– Jak zwykle? – zapytała. Przytaknął.

– I dla mego przyjaciela... – Wskazał za siebie i Tor zobaczyła stojącego przy jednym ze stołów do gry towarzyszącego mu zwykle młodego Ondyńczyka.

Nalała im obu i podała kieliszki Niburu. Robot wrócił z zaplecza klubu, bez trudu, jakby były puste, dźwigając naręczne beczulek i skrzynek. Patrzyła, jak zaczyna je przyłączać do urządzeń nalewających.

– Wiem, że to nie on, bo nie chwyta żartu.

– Jakiego żartu? – zapytał Niburu.

Ten poprzedni potrafił wszystko... bogowie, był naprawdę niesamowity. Nawet dobierał mi stroje. Ale przez lata, obojętnie, co bym mu kazała, odpowiadał tylko: "Jak chcesz, Tor". Żartował, był to nasz prywatny żart... Upewniłam się o tym dopiero wtedy, gdy odchodził i się przyznał.

– Słyszałem, że stają się takie. – Niburu pociągnął ze szklaneczki. – Nigdy nie miałem żadnego, ale podobno są tak zaprogramowane, że mogą na własną rękę rozwijać osobowość. To dlatego pod koniec każdego kontraktu są tak przeciążone i przeprogramowane, że muszą mieć kasowaną pamięć i zaczynać od zera.

Poczuła, jak się krzywi.

– Wiem. Nie chciał odejść. Nie chciał zapomnieć. Pewnie bał się zniknięcia... Ale to

niemożliwe, prawda? Żeby mógł czuć coś takiego?

Wzruszył ramionami.

– No. Chyba tak. Mimo wszystko to tylko maszyna. Kharemoughi lubią rzeczy, które im nie odpowiadają.

– Mimo wszystko, gdy zobaczyłam ten model, to pomyślałam... a jeśli jednak pamięta? Jeśli chciał wrócić. – Zacisnęła usta.

Patrzył na nią długo ze zrozumieniem wyglądającym na szczere. Potem opuścił wzrok na swój napój.

– Wiesz, najprawdopodobniej nie jest tym samym. Polluksy to cała seria robotów przeznaczonych do ciężkich prac, z kilkoma specjalizacjami.

– Wiem o tym – powiedziała z lekką niecierpliwością. – Pracowałam w porcie. Ale to ten sam... a w każdym razie ten sam model. Tylko nic nie pamięta. Jestem pewna, że nie ubrałby mnie. To tylko maszyna. – Robot podszedł do niej, znieruchomiał, czekając na dalsze polecenia. – Mieszaj koktajle – powiedziała, wskazując na klientów, którzy podczas ich rozmowy zaczęli się gromadzić przy barze. Bez słowa zaczął wykonywać jej rozkaz.

– Masz go od niedawna? – zapytał patrzący na niego Niburu.

– Dostarczony wczoraj – przytaknęła.

– Musisz dać sobie trochę czasu na poznanie go – uśmiechnął się. – Jemu też. Dopiero co się spotkaliście.

Spojrzała na niego, poczuła, jak jej usta wyginają się opornie w uśmiechu.

– Może i racja. Zrobię tak.

Ondyńczyk, mający chyba na imię Ananke, stanął przy barze obok Niburu i wziął drugi kieliszek.

– Proszę Tor podsunęła mu miseczkę z pieczonymi ziarnami. – Dla quolla.

– Dzięki. – Kiwnął jej głową z nieśmiałym uśmiechem. Rzadko kiedy wypowiadał do niej więcej niż dwa, trzy słowa, lecz wydawał się być w porządku, a ponadto lubiła jego zwierzątko. Podniósł quolla na smyczy i posadził na barze. Zwierzę wsunęło nos do talerza, zaczęło głośno jeść. Ondyńczyk także poczęstował się garścią ziaren, żuł je ze smakiem.

Tor pogłaskała quolla po grzbiecie, ten głośniej zamruczał. Niektórzy goście skarżyli się, że nie chcą pić razem z tym czymś włochatym, ale ona tu rządziła i nie przejmowała się sprzeciwami. Na Ulicy działały już inne jaskinie gry, nie brakowało też innych klientów.

– Gdzie jest dzisiaj Tajemniczy Człowiek? – Niburu i Ananke przychodzili zwykle z innym pozaziemcem, nazwiskiem Kullervo. Wiedziała, że pracują dla niego, a także dla kogo on. Często widziała piętna, jakie nosili na dłoniach, ciągle spotykała się z nimi w latach przed Odlotem, kiedy to dla Źródła kierowała Piekłem Persefony. Gdy po raz pierwszy zobaczyła je u kogoś w swym nowym lokalu, o mało co nie zemdłała, powiedziała sobie jednak, że obecność kogoś takiego nie oznacza jeszcze, że Źródło znowu się nią zainteresował – że zjawił się tu osobiście. Wszystko się zmieniło, dawny szef nie mógł już wykorzystywać Tiamatańczyków do osłaniania swych niezgodnych z prawem interesów; samo prawo zmieniło się tak jak wszystko inne.

Nie wiedziała, jakie zadania Kullervo wykonuje dla Źródła na Tiamat; nie przejmowała się tym, dopóki nie wiązało się z nią. Nie przeszkadzało jej, że jej znajomi pracują dla przestępcy. Sama o mało co nie wyszła za człowieka pracującego kiedyś dla Źródła.

Nie widziała, by Kullervo robił cokolwiek poza graniem przy jej stołach – i ciągłym wygrywaniem, obojętnie co wybrał, jeśli w ogóle grał. Przejęłaby się tym, gdyby nie to, że grał rzadko, a całą wygraną oddawał swych dwóm podwładnym, którzy nieodmiennie zaraz ją tracili. A ponadto przyciągało to innych gości.

– Powiedział, że spotka się z nami tutaj. – Niburu wzruszył ramionami i lekko uśmiechnął. – Czemu pytasz? Brakuje ci go?

Tor roześmiała się.

– Nie mnie. Pytała o niego Ariele Dawntreader.

– Już jest. – Ananke wskazał kciukiem za siebie.

Tor popatrzyła w tym kierunku i zobaczyła Kullervo idącego w ich kierunku poprzez surrealistyczne wzory światła i mroku. Tor przyglądała mu się dłużej, niż chciała, jak zawsze zresztą – częściowo dlatego że lubiła patrzeć na jego twarz, częściowo dlatego że ją denerwował. W jego oczach kryło się coś niezbyt zdrowego. Zglądając w nie, czuła zawsze nieuzasadnione ciarki przerażenia i litości, choć nigdy nawet nie podniósł na nią głosu. To ze względu na ową obcość, a nie postępowanie, nazywała go w myślach Tajemniczym Człowiekiem.

Spojrzała na stół, przy którym Ariele Dawntreader siedziała z paroma przyjaciółmi, sprawdziła, czy dziewczyna zauważyła jego przyjście. W porządku, zauważyła. Wstała już, by wyjść Kullervo na spotkanie. Tor zobaczyła podnoszącego się obok niej Elco Teela Graymounta, chwytającego ją za ramię, szepczącego na ucho coś, co niezbyt się jej spodobało. Skrzywiona odsunęła się od niego i przemierzyła zatłoczoną, głośną salę. Dosięgnęła Kullervo tuż przed barem i wypowiedziała jego imię.

Tor widziała wyraz jej twarzy, gdy zatrzymał się odwrócił – błysk w oczach, rumieniec na policzkach; dostrzegła drżące w każdym milimetrze jej ciała napięte wyczekiwanie. Tor nigdy nie widziała, by Ariele była tak ożywiona, odkąd przestała być dzieckiem. Wiedziała, co oznacza to spojrzenie: dziewczyna jest zakochana. Zastanowiła się, czy zafascynowała ją tajemniczość Kullervo... czy też wyczuwana u niego dzikość, niebezpieczeństwo. Tor westchnęła, miała nadzieję, że tak nie jest. Może chodziło tylko o jego twarz. Przed trzydziestu laty podobne oblicze wystarczyłoby, żeby wszystko się w niej zagotowało. Ciekawe, czy Królowa o tym wie.

Nie widziała miny Kullervo rozmawiającego z Ariele, był odwrócony do niej plecami, wiedziała jednak, że ostatnio zjawia się tu niemal codziennie, podobnie Ariele... że prawie każdy wieczór kończą w którymś z jej prywatnych pokoi. Kullervo kiwnął głową i odeszli razem. Tor zauważyła jednak ze zdziwieniem, że nie dotyka dziewczyny, a ona jego, ani razu, póki oboje nie zniknęli.

Spojrzała znowu na Niburu i Ananke, którzy przestali przyglądać się tej samej scenie. Spostrzegła, jak Niburu popatrzył na Ananke i wzruszył ramionami, kręcąc przy tym głową.

– Wyobraź sobie – mruknął. Tor przechyliła się przez bar.

– Słuchaj, czy jest z nim bezpieczna?

– Bezpieczna? – powtórzył Niburu ze zdumieniem.

– Jest córką Królowej. A ponadto znam ją od dziecka. Wiele dla mnie znaczy. Nic nie wiem o waszym szefie, ale widziałam jego tatuaże... – I jego oczy.

– Tatuaże nie są tym, o czym myślisz. – Niburu kiwnął głową, zawahał się. – Podobnie Reede. Jest z nim bezpieczna. Nie jest taki... taki jaki sądzisz. W rzeczywistości... – zwrócił się do Ananke – wiesz, ostatnio jest w dobrym humorze.

– No – odparł Ananke z wahaniem. – Od paru dni nie nazwał mnie tępakiem. – Dopił szklaneczkę i sięgnął po następną garść ziaren. Quoll popatrzył na niego, zamruczał ze zdenerwowaniem. – Przepraszam – mruknął.

– Nigdy przedtem nie widziałam, by Ariele tak na kogoś patrzyła. Tylko bogowie wiedzą, co pomyśli Królowa, gdy się dowie, że jej córka związała się z człowiekiem Źródła.

Niburu drgnął wyraźnie, gdy wymieniła to imię, ale powiedział tylko:

– Reede nie jest tylko bandytą. – Zabrzmiało to jak wytłumaczenie.

– Tak? A kim?

Niburu skrzywił się, ale Tor przysięgłaby, że dostrzegła w jego oczach niepewność.

– Jest biochemikiem. Kierownikiem Badań Jaakoli. Położyła ręce na biodrach.

– A ja Królową Lata. Przestań, mały, wiem, co oznacza piętno wypalone na jego dłoni. Źródło nie robi tego swym kierownikom.

Niburu otworzył usta, by jej odpowiedzieć, ale Ananke położył dłoń na jego ramieniu i skrzywił się. Niburu westchnął tylko i mruknął:

– Tor, myśl, jak chcesz. – Wzruszył ramionami i jednym łykiem dopił trunek, wytarł usta.

Napiętnowany najemnik podziemnego kartelu znaczył niewiele więcej niż niewolnik. Przypuszczała, że jej uwagi o Kullervo zraniły dumę Niburu; prawdopodobnie chciał wywyższyć swego szefa, by samemu wydać się kimś lepszym. – W każdym razie Królowa nie musi się martwić Reede'em. Nie śpi z jej córką.

Tor popatrzyła na niego.

– To co, u diabła, niemal każdego wieczoru robią w moich prywatnych pokojach?

Niburu wzruszył ramionami.

– Mówi, że rozmawiają. Tor prychnęła.

– Mówi, że rozmawiają o merach. Razem się nimi interesują. To wszystko.

– Wierzysz w to – powiedziała. Nie zapytała. Przytaknęła.

– Nie jest w jego typie. Jego żoną była Ondynka.

– Żoną? – zapytała. – Była? – Pomyślała, że Reede Kullervo wygląda za młodo na takie rzeczy.

– Zginęła... w wypadku. – Opuścił wzrok. – Odtąd widywałem go tylko z Ondynkami. Nawet tutaj. I nigdy dwa razy z tą samą.

Tor poczuła, jak znowu się krzywi, tym razem z z troskania, bo tęskny wyraz oczu Ariele nie miał nic wspólnego z pożądaniem uczonych rozmów.

– Dobra – powiedziała wreszcie. – Nie wiem, czy to dobre wiadomości, czy złe... Mogę jednak powiedzieć, że choć lubię tę dziewczynę, to nigdy nie uważałam jej za porywającą rozmówczynię.

– Jest w tym coś dziwnego, Kedalionie – powiedział Ananke, rozglądając się po sali. – Już od kilku tygodni przychodzimy tu praktycznie co wieczór. Nigdy przedtem tak nie postępował.

– To prawda... – Niburu kiwnął w namyśle głową. Ananke chwycił quolla, który najadł się ziarnami, i zaczął odchodzić. Schował go do kieszeni przy boku.

– Chcesz zagrać przy stole?

– Za chwilę. – Niburu machnął ręką. – Idź pierwszy, dopiję jeszcze swoje.

Tor zerknęła na jego szklaneczkę, była pusta. Zauważyła, że Ananke to widzi; popatrzył na nią ze skrytym w kącikach ust uśmiechem. Wzruszył ramionami i odszedł, szybko zginął w tłumie.

Tor popatrzyła na Niburu, przytapała go na zagłądaniu w jej dekolt. Wyprostowała się z nieśmiałym uśmieszkiem i bezwiednie przesunęła dłońmi po jedwabnej sukni. Niburu uniósł brwi, a Tor pomyślała, że powinna się cieszyć z półmroku oraz tego, że w jej wieku ciągle przyciąga czyjeś spojrzenie.

– Dolać? – Wskazała na pustą szklaneczkę Niburu.

– No, dziękuję. – Uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Polluks! – Cofnęła się, gdy nadszedł robot, patrzyła, jak napełnia szklaneczkę. Odszedł potem bez słowa, by przyjąć kolejne zamówienie. – No, przynajmniej wykonuje swą pracę. Wreszcie mam czas na rozmowę z gośćmi. Wszyscy pragną gadać z barmanką... – Z pudełka pod ladą wyjęła i zapaliła pałeczkę, wciągnęła pachnący korzeniami dym unoszący się leniwie z jej koniuszka.

– No – powtórzył Niburu, nie przestając się uśmiechać. – Wiem. – Uniósł szklaneczkę w jej kierunku i rozejrzał się po barze. – Słyszałem, że miałaś restaurację... Lubię gotować – dodał z ożywieniem.

– A co? – Spojrzała na niego ze szczerym zainteresowaniem.

– Zwyczajne rzeczy. Proste, lecz sycące. Mnóstwo przypraw...

– Znowu spojrzał w górę, w jej oczy.

– Mój wspólnik był artystą... – Uśmiechnęła się na widok wyrazu jego oczu. – Ja po prostu lubię jeść, ale gotowanie mnie męczy, jest za trudne. – Skrzywiła wargi. – Więcej radości sprawia mi teraz prowadzenie klubu.

– Podoba mi się twój styl – powiedział Niburu. – Nie ma drugiego miejsca w Labiryncie, które prawdziwa osoba nasycy swoją osobowością. Ma miły, staroświecki charakter. Goście mają wrażenie, że lubisz nie tylko ich kredyty, ale i towarzystwo. – Spojrzał na nią, jakby miał nadzieję, że odwzajemni mu się czymś podobnym.

– Dzięki. – Znowu oparła łokcie na barze, pozwoliła mu zaglądać w dekolt, czując, jak od dymu robi się jej błogo. – Cieszę się, że to zauważyłeś... Gdy prowadziłam to miejsce dla Źródła, miałam prawdziwego barmana. Zawsze wydawało mi się to dobrym rozwiązaniem.

Spojrzał ze zdziwieniem, jakby nie wierzył, iż wymieniając przedtem to imię, wiedziała, co mówi.

– Naprawdę pracowałaś dla Jaakoli? Tutaj? Kiwnęła głową.

– Kryłam go w dawnych czasach. Nie teraz. Nigdy więcej...

– Zerknęła na jego ręce, nie mogła patrzeć na piętno. Spojrzała na swoje, nie oznakowane, poczuła, jak się pocą.

– Jak to dobrze mieć jakiś wybór – mruknął Niburu i zacisnął w pięść jedną dłoń.

– Skąd się u niego wzięło? – zapytała, czując nagłe współczucie.

– Transakcja wiązana. Moja, Ananke i Reede'a. Pracowaliśmy dla niego, nim się związał ze Źródłem. Jestem jego przewoźnikiem – powiedział z rodzajem upartej dumy.

Uniosła pokryte srebrnym pyłem brwi, wiedziała, że zwykli bandyci nie mieli osobistych przewoźników, choćby nawet pracowali dla Źródła. Ten przywilej przysługiwał tylko kierownikom. Zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że Niburu mówił prawdę, a nie chciał tylko zaimponować jej przechwałkami. I dlaczego Źródło poniżył niby pospolitego lennika jednego ze swych najwyżej stojących współpracowników, wymagając pomimo to dalszych wiernych usług. Pokręciła głową, nie wątpiąc ani na chwilę, że Źródło jest zdolny do każdego okrucieństwa, bez względu na przyczynę, która go do tego skłoniła.

– Słuchaj, nie chcę mieć więcej nic wspólnego ze Źródłem, rozumiesz?

– Doskonale. – Niburu kiwnął głową. – Nie martw się o to. Nie życzylbym tego komukolwiek... Powiedz mi jeszcze – odetchnął głęboko, otrząsnął się z dotychczasowego nastroju – co robisz wieczorem po zamknięciu?

Skrzywiła usta i znowu się wyprostowała.

– Śpię.

– Sama...? Spojrzała na niego.

– Tak, jeśli to w ogóle twoja sprawa. Uniósł ręce.

– Byłem ciekaw, czy nie potrzebujesz towarzystwa.

– Czemu ja? – zapytała podejrzliwie. Wokół roило się od łatwych do zdobycia kobiet, młodszych i ładniejszych, amateerek i profesjonalistek.

– Bo śpię tylko z takimi kobietami, które lubię.

– Mogłabym być twoją matką. Prawie.

– W niczym nie przypominasz mojej matki.

– A co z twoją żoną?

– Nie jestem żonaty. Nigdy nie byłem.

– Dlaczego?

– Za dużo podróżowałem. A ty?

– Za dużo przebywałam na jednym miejscu – odparła, lekko się niecierpliwiając. – Nazwałam cię "mały"...

– Gorzej do mnie mówiono. – Wzruszył ramionami. – Ponadto tam, skąd pochodzę, brzmi to pieszczotliwie.

– Słuchaj – mruknęła, czując, że jej wbrew woli pochlebiono – jesteś dla mnie za mały.

Odchylił się na stołku.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś dla mnie za stara. Zarumieniła się.

– Nie jestem stara tam, gdzie to ważne.

– Nie jestem mały tam, gdzie to ważne. Uśmiechnęła się bezwiednie, wiedziała już, że przegrała.

– Dobra – powiedziała. – Do diabła, czemu by nie? Zamykam o trzeciej. Jeśli będziesz tu wtedy, to kto wie, co się stanie...

Tammis Dawntreader wszedł samotnie do lokalu Starhiker; krążył w nim bezsennie i bezcelowo jak reszta tłumu. Zauważał mijane twarze, zanurzając się głębiej w labirynt halucynacji, iluzji, złudnych przyjemności, gdzie pokusa i unicestwienie współistniały razem w kruchej równowadze. Szukał jakiegoś znajomego, gotów wycofać się w anonimowość, jeśli ktoś zawoła j ego imię.

Ku swej uldze nie dostrzegł ani siostry, ani nikogo ze zwykle przebywających tu Zimaków. Przeważnie zaczęli tu wieczór, powinni już przenieść się do innego klubu. Omijał z daleka bar, gdzie królowała Tor, nie był gotowy na spotkanie się z nią dzisiaj, choć wiedział, że w jej twarzy ujrzy tylko sympatię. Nie zasługiwał na nią i nie mógł tego znieść.

Nie miał też ochoty na gry; ich daremność i pustka zbyt dokładnie odzwierciedlały jego nastrój. Błąkał się jak potępieniec, patrzył na obcych grających przy stołach, występujących przeciwko sobie w mylących cieniach rzucanych przez przypadkowe światła. Ogłuszająca muzyka, przytłaczający ciężar perfum i dymów wypełniały mu zmysły, aż wreszcie na jakiś czas zapomniał, że jest człowiekiem czującym smutek, miłość i zagubienie; że potrzebuje o czymkolwiek myśleć.

Po pewnym czasie, którego nie potrafił określić, przestał krążyć, znalazł się z tyłu klubu, wśród mniejszego nacisku kłębiących się wszędzie tłumów. Poprzez opustoszałą na chwilę przestrzeń zauważył kogoś siedzącego w łoży, równie samotnego jak on. Już przedtem widział czarną jak noc twarz tego pozaziemca, szczupłą, smukłą postać z włosami lśniącymi jak węgiel, granatowymi oczyma. Wiedział, że obcy jest Ondyńczykiem, niewiele co starszym od niego, częścią zadziwiającego tria. Pozostali jego członkowie to najniższy mężczyzna, jakiego widział w życiu, i młody, pokryty tatuażami i niezwykle sprawny w grach zręcznościowych pozaziemiec, którego jego siostra próbowała zaliczyć jako kolejne trofeum.

Ondyńczyk opierał się plecami w narożniku łoży, jedną nogę postawił na ławce; miał na niej zamiast buta rodzaj skórzanej rękawicy z otworem na palce. Jedną ręką zonglował jagodami, na twarzy miał wyraz rezygnacji. Niekiedy upuszczał owoc – zawsze umyślnie, bo natychmiast zastępował go innym – a coś wielkości kota, choć nim nie było, skakało po stole, by go zjeść.

Tammis ruszył ku nim, objijając się niekiedy o ciała, stanął przed łożą, przyciągnięty ciekawością i czymś silniejszym, popatrzył na Ondyńczyka dokonującego samotnej zonglerki. Obcy w

końcu uniósł głowę, zauważył ze zdziwieniem, że ma publiczność.

– Jesteś w tym bardzo dobry – powiedział Tammis, nagle przytomniejąc, jak i tamten. – Chciałbym tak umieć.

Ondyńczyk kiwnął głową, uśmiechnął się z rezygnacją.

– Jesteś sybillą. Chciałbym nią być. – Złapał po kolei wszystkie jagody i wrzucił do miski.

– Mogę się przysiąc? – Tammis wskazał za siebie, gdzie nie było wolnych stolików.

Ondyńczyk wzruszył ramionami, jakby nic go to nie obchodziło. Mimo to patrzył uważnie, jak Tammis siada obok na ławce. Tammis znał takie spojrzenie, nie było obojętne.

– Co to za zwierzę? – zapytał Tammis, gdy siedzące między nimi na stole stworzenie przesunęło się, by na niego spojrzeć. Jego oczy przypominały lśniące czarne guziczki zabawki.

– Quoll – odpowiedział Ondyńczyk, głaszcząc je łagodnie, ciągle patrząc na swego rozmówcę z niepewnością, oceniając. Zwierzę mrucało i skrzeczało, przysunęło się do swego pana na niemal niewidocznych nóżkach.

– Przywiozłeś je z Ondinee?

Nieznajomy przytaknął i sięgnął po następną jagodę; quoll wysunął się pożądliwie. Owoc wymknął się z palców i spadł pod stół. Ondyńczyk spojrział w dół, zrobił coś urękawicznioną nogą. Po chwili zjawiła się na ławce obok niego. Trzymał jagodę między palcami stopy, tak zręcznie, że owoc był nienaruszony. Wziął go w rękę i nakarmił quolla, znowu spojrział na Tiamatańczyka, jakby sprawdzał, czy wywarł wrażenie giętkością i wdziękiem ruchów.

– Wystarczy – mruknął, gdy quoll rozejrzał się za następnymi jagodami. Zjadł jedną z pozostałych w misce, gryzł powoli, ukazując równe, białe zęby. Przesunął miseczkę do Tammisa, poczęstował ostatnim owocem. Chłopiec wziął go, posmakował słodki miąższ.

– Jak się nazywa? – zapytał Tammis, wskazując na quolla. Ondyńczyk wzruszył ramionami.

– Nigdy mi nie powiedział. Tammis uśmiechnął się.

– Znam cię – powiedział Ondyńczyk powoli. – Często cię tu widuję. Jesteś synem Królowej, prawda? Jej bratem?

Ariele. Oczywiście, musi znać Ariele... Tammis poczuł rodzące się w nim zdumienie, niemal przyjemność, że Ondyńczyk go zauważył. Kiwnął głową.

– Tammis.

– Ananke – powiedział Ondyńczyk, znowu nagle przytomniejąc. Przekręcił leżącą na stole dłoń wnętrzem do góry, popatrzył na nią. – Jesteś też sybillą, jak Królowa. Czy kiedyś zostaniesz królem? – zapytał miękko.

Tammis zobaczył bliźnę przypominającą patrzącą na niego dziwne oko.

– Nie. – Pokręcił głową, wyczuł zdenerwowanie Ananke, pragnął go uspokoić. – Moja siostra zostanie Królową, jeśli tego zechce. Skąd to masz? – Zaryzykował wskazanie szramy, wyraźnie widocznej na tle bledszej skóry wnętrza dłoni Ananke.

– Oznacza, że pracuję dla kogoś zwanego Źródłem. – Jego głos zabrzmiał głucho.

Tammis zamrugał i zmienił temat.

– Gdzie są dzisiaj twoi przyjaciele?

Ananke spojrział na niego przez chwilę ze zdziwieniem lub zmieszaniem.

– Kedalion jest tam... – wskazał na bar – pewnie zabija czas. Twierdzi, że właścicielka zabierze go później do domu. Reede jest z twoją siostrą. – Głos miał bezbarwny, nie patrzył Tammisowi w oczy.

– A ty? – zapytał Tammis. Ananke wzruszył ramionami.

– Jestem tutaj. Muszę czekać na Reede'a.

– Musisz? Skrzywił usta.

– Zajmujemy się troszczeniem się o Reede'a. – Podniósł głowę, odrzucił do tyłu długie lśniące włosy. Gest ten był niemal koci i pełen nieświadomej zmysłowości. – Martwisz się o siostrę?

– Nie.

Ananke spojrzał na niego chwilę dłużej, potem znowu wzruszył ramionami.

– Czemu więc tu jesteś?

Tammis zajrzał w jego oczy; ich błękit był tak głęboki, że wydawał się czernią.

– Bo nie chciałem być dzisiaj sam – powiedział cicho.

Ręka Ananke zawahała się, gdy sięgał do quolla, by go pogłaskać. Dokończył ruchu, jakby nie chciał zdradzić wahania, jakby nie pojął znaczenia tych słów. Nie odwrócił jednak wzroku.

– Nikt tego nie lubi – powiedział. – Myślę, że samotność mężczy wszystkich. – W końcu opuścił wzrok, jego usta wykrzywił dziwny grymas.

Tammis wyciągnął rękę, pogładził grzbiet quolla; przesuwając palce, aż dotknął z wahaniem dłoni Ananke.

– Możemy gdzieś pójść... gdzie indziej.

Ananke zeszywniał, popatrzył na przeplatane się jasne i ciemne palce. Potem powoli, niemal z bólem cofnął dłoń. Pokręcił głową.

– Nie mogę – mruknął. – Muszę tu zostać. Muszę czekać na Reede'a. – Wzruszył ramionami, jakby próbował coś strząsnąć z pleców. – Tym się zajmujemy.

Tammis zawahał się, zmierzył głębie strachu w oczach Ananke; przywarły nagle do jego twarzy z nagłą, bezradną tęsknotą.

Ananke pokręcił głową, jego czarne jak noc włosy przesunęły się tak po ramionach, że Tammis poczuł ból nagłego pragnienia. Opuścił wzrok.

– Nie mogę.

– Kiedy indziej...?

– Nie mogę. – Znowu uniósł głowę, spotkał spojrzenie Tammisa. – Nigdy nie będę mógł. – Jego ciałem wstrząsnęło drżenie. Długie szczupłe dłonie zacisnęły się w pięści, schował je pod stół.

Tammis patrzył na niego chwilę dłużej, po raz pierwszy był pewien, że rozumie całkowicie, co tamten czuje. Odetchnął głęboko, zmusił do wygaśnięcia płonący w nim żar, aż pozostało tylko niespodziewane ciepło innego rodzaju kontaktu.

– To zawsze powtarzam sobie... – powiedział w końcu. – Ale nigdy tak nie myślałem. Dlatego tu jestem, a nie w domu z żoną. Bo nie wiem, czego chcę.

– Z żoną...? – mruknął Ananke. Tammis opuścił wzrok.

– Nie mogę jej wyjaśnić – dlaczego to czuję. Nie mogę nikomu, kim się przejmuję. Nie potrafię nawet wytłumaczyć tego sobie.

Ananke przytaknął. Zrozumienie i zdumienie wypełniło jego oczy jak światło poranka.

– Tak – powiedział miękko. – Podobnie jest ze mną. Nikt mnie nigdy nie rozumiał. Nie ma nikogo, z kim mógłbym się tym podzielić. Kedalion i Reede... to moja jedyna rodzina. Ale gdyby się dowiedzieli, straciłbym ich... Nienawidzę tych rzeczy, poglądów na mężczyzn i kobiety, wszystkiego, co ich różni; co mogą robić, a czego nie. Nienawidziłem tego na mojej planecie, myślałem, że jeśli się z niej wyrwę, to znajdę gdzieś lepsze dla siebie miejsce. Ale ciągle się boję – co się stanie, gdy ktoś odkryje, kim naprawdę jestem...

– ...albo że przekonasz się, że to oni mają rację, a nie ty. Czy nawet, że spełniwszy to, czego według siebie pragniesz, zobaczysz, że nie dało ci to szczęścia, bo nie jest prawdziwym problemem... bo nie ma on rozwiązania. – Ananke powoli kiwnął głową; jego twarz wyrażała

ogromną rozpacz, od której kroilo się serce Tammisa. – I dlatego nigdy nie...?

Ananke pokręcił głową, opuścił wzrok. Znowu położył ręce na stole, ścisnął przed sobą, splótł palce.

– Nawet z... ? Z kimś, kto rozumie... ze mną?

Ananke podniósł oczy, błyszczały za bardzo od wypełniającego je cierpienia i rozpacz.

– Nie – szepnął.

Tammis patrzył na niego, jak walczy o opanowanie uczuć.

– Ale dlaczego? – zapytał w końcu cicho.

– Ponieważ to nie jest prawdziwy problem... – Ananke oparł się o twardą, wyłożoną lustrami ścianę łóży, objął siebie z żalosną rezygnacją. W jego oczach nie było już żadnego blasku, żadnych łez, żadnej nadziei.

– Chcesz o tym porozmawiać? Ananke pokręcił głową.

– To by niczego nie zmieniło. Tammis sztywno kiwnął głową.

– To chyba nie ma nic do dodania. Chyba lepiej pójdę. – Podniósł rękę do wiszącego na koszuli znaku sybilli.

Ananke przytaknął i odwrócił wzrok.

– Przepraszam... – Tammis wstał, żałując, że nie może dziś ukoić niczyjego bólu... zupełnie niczyjego.

TIAMAT: Krwawnik

– Bogowie, brakuje mi świeżego powietrza! Dostaję tu klaustrofobii: stęchlizna, starodawność tego miejsca, zapachy i echa. Ciągłe mam wrażenie, że coś dostrzegam kącikiem oka. Całe to otoczenie jest... nienaturalne.

Gundhalinu odsunął sprzed oczu kask symulatora, wyrwany z zamyślenia, zauważył ze zdumieniem, że obok niego usiadł Vhanu, a dalej Kitaro i Akroyalin, jeden z sędziów. Mrugał powiekami, aż ujrzał wyraźnie główne pomieszczenie Sali Przeglądu i ich twarze.

– Weź, NR, zobacz sam. – Zdjął kask, podał komendantowi. – Dopiero co przybyły. Będziesz miał urlop bez ruszania się z fotela. – Wrócił właśnie z obejmującego wszystkie zmysły złudzenia pobytu w pustynnym schronieniu, do którego na Kharemough zabrał ich ojciec. W czasie dzieciństwa każdej jesieni odwiedzali Krynice, ponieważ ojciec uważał, iż spartańskie warunki, upał i samotność dobrze robią dla duszy i ciała.

Gundhalinu w młodości niezbyt lubił tak jeździć. Zdziwił się, że wśród innych miejsc dostępnych do symulacji było i to. Przekonał się po latach, że zaczyna doceniać mądrość ojca. Nawet złudzenie siedzenia po pas w skłębionej mineralnej wodzie wróciło mu siły i odprężyło, jakby rzeczywiście tam był. Radował się dochodzącym go lekkim zapachem miedzi i siarki, dziwnym wiatrem i zmarszczkami na wodzie, wywołanymi przez czerwony piaskowiec, który go otaczał. Zupełnie jak zmarszczki muszli, błyszczącej odbitym światłem...

Otrząsnął się ze zdradliwego rozmarzenia, pozostałości programu z kasku... skradzionej pamięci, obrazu dziejów, siłą mu wtłoczonego podczas wtajemniczenia do Przeglądu. Ciągłe nie wiedział, jak to uczyniono. Czy oczyma innego człowieka patrzył wtedy na rodzinną planetę z okresu przed jej zasiedleniem?... Oczyma jednego ze swych przodków...! Czy ów program naprawdę przypadkowo wybrał ten obraz? A może ktoś próbował go skłonić do rozmyślenia, pamiętania, zrozumienia...? Do licha, zdarzają się zbiegi okoliczności! Zaniepokojony tą myślą pokręcił głową; uświadomił sobie, że Vhanu coś do niego mówi, a on nie ma pojęcia co.

– Proszę?

– Musiał być dobry – powiedział Vhanu z uśmiechem, biorąc kask. – Niechętnie z niego wychodziłeś.

– Kharemough – mruknął Gundhalinu, odwzajemniając uśmiech.

– Jedyne miejsce, gdzie warto żyć na stałe – zauważył Akroyalin.

– Krwawnik nie jest ciaśniejszy niż nasze miasta w Piastach – odparł Gundhalinu. – Jest tu wiele miejsc wartych zobaczenia i rzeczy wartych zrobienia – z każdym dniem coraz więcej. A jeśli ktoś chce opuścić miasto, może zawsze wybrać się wzdłuż wybrzeża.

– Raz zrobiłem całodzienną wycieczkę. Poza Krwawnikiem nie ma niczego oprócz mgły, ryb i zabobonów. Wydaje się, że na tej planecie stanął czas. – Vhanu pokręcił głową. – I wszędzie woda... uważam to za przygnębiające.

– Och, przestań – zbeształa go Kitaro. – Gdzie pańskie umiłowanie przygód?

– Dla mnie "umiłowanie" i "przygoda" nie mogą się znaleźć w tym samym zdaniu – powiedział Akroyalin, odrzucając jej uwagę niedbałym spojrzeniem. Zasadą Sal Przeglądu było pozostawianie przed ich drzwiami wszelkich stopni i stanowisk; Gundhalinu zauważył, że niektórzy łatwiej od innych dostosowują się do tej reguły. Kitaro zacisnęła usta, lecz nic nie powiedziała. Akroyalin wstał i przeszedł przez pokój.

– W każdym razie będzie to miłym dodatkiem dla naszych ograniczonych możliwości wypoczynku – powiedział Vhanu, podnosząc kask. – Choć teraz każdy może polecieć na inną planetę

– nawet swoją – i wrócić tu, nie tracąc lat życia, to jednak nie to samo.

– Miną lata, nim wybranie się na krótki urlop na inną planetę będzie równie łatwe, co nałożenie tego kasku – zauważyła Kitaro oschle. – Szczególnie dla takich źle opłacanych nieszczęśników jak ja. Nawet z tej zastępczej przyjemności mogliście korzystać, nim wszyscy inni o niej usłyszeli...

Vhanu spojrział na nią, unosząc brwi, lecz tylko wzruszył ramionami i nałożył kask. Gundhalinu patrzył, jak sztywnieje i bezwiednie wzdycha, gdy opanowała go wybrana wizja.

Kitaro uśmiechnęła się z zadowoleniem i przechyliła nad dzielącym ich niskim stołem.

– Mam coś dla pana – mruknęła, już się nie uśmiechała. Rozejrzała się wokół, upewniając, że nikt ich nie obserwuje, i przekazała Gundhalinu kapsułkę z danymi. Spojrział na nią, leżała na dłoni mała i bezkształtna jak orzech. Nie miała na sobie pieczęci rządowej ani żadnych znaków identyfikacyjnych. Mogła być wymazana. Popatrzył na kapsułkę z nagłym zapalem.

– Informacje, których pan pragnął – przytaknęła Kitaro. – Proszę się upewnić, czy jest tu wszystko, co pan chciał otrzymać na początku. To dane do jednokrotnego odczytania.

Zerknął na przedmiot na dłoni, na Vhanu pogrążonego w innym świecie i znowu, badawczo, na Kitaro.

– Tylko pan znajduje się na poziomie zapewniającym dostęp do tych informacji – powiedziała.

Zdziwiony, powtórnie kiwnął głową i wstał, chowając kapsułkę do kieszeni.

– Niech mi pani powie, Kitaro... czy wie pani, co tu jest? Nie przestała się uśmiechać, ale jej mina była nieodgadniona.

– Panie sędzio, liczy się tylko to, by pan poznał te dane.

Odpowiedział jej uśmiechem, nim przeprosił i odszedł szukać prawdziwego odosobnienia. Znalazł pustą salę do medytacji i zamknął się w niej. Siadłszy na poduszce ze skrzyżowanymi nogami, wsunął kapsułkę do nadajnika przy pasie i przycisnął go do czoła, wyglądał tam jak trzecie oko nad dwoma prawdziwymi.

Zamknął powieki i wywołał połączenie. Poczuł lekko rozmyte migotanie pojawiających się obrazów...było ich coraz więcej, aż po kilku chwilach śnieżycą przypadkowych informacji pogrzebała jego umysł pod białymi płatkami. Poczuł nagły strach, gdy zrozumiał, że otrzymał do zbadania cały bank danych; wchłonięcie za jednym razem tej ilości informacji oznaczało uszkodzenie nerwów, a ogromna ich większość będzie tylko bardzo pośrednio związana z Reede'em Kullervo.

Nadawcy kapsułki musieli wiedzieć, że nie zdoła jej przejrzeć przy jednym posiedzeniu. Zastanawiał się gorączkowo, dlaczego to zrobili – chyba że po prostu nie wiedzieli, czego naprawdę potrzebuje. Jak w wyroczni, to on musi zadać pytanie...

Zadaj właściwe pytanie. Gdzieś pomiędzy zalewem danych kryje się procesor, który pozwoli mu odszukać niezbędne informacje. Użył poznanej dzięki Przeglądowi techniki, by opanować wirujące doznania fizyczne i uczuciowe, by stopniowo skupić uwagę, aż śnieżycą przestała się srożyć w jego umyśle, wypełnionym już tylko przez świadome rozważania na temat potrzebnego mu obrazu: Szukanie: Reede Kullewa Kullervo. – Wypowiedział tę prośbę i zaczął czekać.

Informacja była zakodowana holograficznie; otworzyła się niby pamięć, miał wrażenie, iż te obrazy kryły się w niej od dawna...Przed jego oczyma ukazała się doskonale widoczna twarz Reede'a Kullervo, poczuł cierpienie równie mocne, co ból żeber pękających po kopnięciu butem, mękę zdradzonego zaufania i przyjaźni... mękę tęsknoty do ponadrzeczywistych, słodkogorzkich czasów spędzonych razem na Czwórce, kiedy to starali się uporządkować chaos.

Gundhalinu zachował całkowity spokój, powściągnął nagłą falę uczuć. Podobnie okrężnego informowania doświadczał jedynie podczas wtajemniczenia na wyższe poziomy Przeglądu, zawsze wtedy zdumiewał się natężeniem swych reakcji. Szukanie: znany życiorys Reede'a Kullemo.

Poprosił, zaczekał... Znowu odniósł wrażenie, że po prostu przypomniał sobie wiadomości znane z banków danych Policji: Kullervo pochodzi z Samathe, urodził się i wychował na jednej z podmorskich stacji wydobywczych. Spis wykroczeń, zdobyta w miejscowych szulerniach sława niesamowitych osiągnięć w grach zręcznościowych. Został wydalony ze szkoły na stacji, nigdy nie osiągnął poziomu wykształcenia obowiązkowego. W wieku siedemnastu lat zamordował ojca i zniknął, prawdopodobnie jest w Bractwie.

Szukanie: Dlaczego zabił ojca? Umysł ukazał mu obraz ojca Kullervo – zacięta twarz o surowych oczach i wąskich, gorzkich ustach, w niczym nie przypominająca oblicza syna. Górnik, na niepełnym zatrudnieniu ze względu na nadużywanie narkotyków; dane o znęcaniu się nad żoną i dziećmi. Wszystkie oskarżenia były wycofane lub zaprzeczone przez żonę.

Szukanie: Jak zginął ojciec? Śmierć przez utopienie... Ktoś podał, że ciało unosiło się w podmorskiej studni dostawczej, miało oczy szeroko otwarte ze zdumienia...

Ten bandyta próbował mnie utopić. Zabiję go... Tym razem odezwała się jego prawdziwa pamięć, ukazała Reede'a wracającego do siebie na brzegu rzeki przepływającej przez Sanktuarium, jego oczy oszalałe z przerażenia. Zrozumiał wreszcie w pełni, o czym mówił Reede, o kim i dlaczego. Okoliczności łagodzące... Nie miał pewności, czy podały je dane, czy jego własny osąd.

Ciągle jednak brakowało wytłumaczenia, jak Kullervo stał się znakomitym biochemikiem. Przeciwnie... Szukanie: Co działo się z Kullervo, gdy ten opuścił Samathe?

Jego umysł gwałtownie opustoszał, potem w głowie rozległ się głos zadający pewne pytanie. Istniały na nie trzy różne odpowiedzi, wszystkie prawidłowe, lecz coraz bardziej prawdziwsze. Poznał je na trzech różnych poziomach Przeglądu. Podał najbardziej prawdziwą ze wszystkich mu znanych i zaczął.

Gundhalinu poczuł, że jego umysł znowu otrzymuje dane: wewnętrzny wzrok przykuł obraz Kullervo. Na jego oczach zaczął się zamazywać i zmieniać, jakby ukazały się wszystkie zdumiewające przeciwieństwa Reede'a...aż zdał się dwiema osobami, z których żadna nie miała wyraźnej postaci. Bogowie... mruknął, nie wydając głosu, bo twarz nakładająca się na oblicze Kullervo była mu niemal znana; miał na końcu języka imię drugiej osoby... Tym razem zachował milczenie, pozwolił danym rozwijać się po swojemu.

Ujrzał kobietę o egzotycznym, mrocznym pięknie Ondynki, potężną figurę w skrytym świetle Bractwa – zobaczył ją z Reede'em, jak go obejmuje, jak otacza niby cieniem swą potęgą, wciąga w ciemność podziemia międzygwiazdowego... pochłania.

A potem jego wizja otwarła się niespodziewanie. Jak w nagłym wybuchu dojrzał szerszy obraz – makrokosmos samego Przeglądu, sięgający w głąb czasu, do porozrzucanych planet będących kiedyś Starym Imperium. Patrząc na rozpękanie się obrazu, to upadek Imperium porozdzielał należące doń światy. Patrząc na powstające potem drobne sojusze, starające się zachować łączność i odtworzyć utracone więzi; na rozdzielone odnogi Przeglądu, które z czasem rozszczepiały się coraz bardziej przez spory na temat polityki i utratę celu, pokusa władzy doprowadzała jego członków do upadku...do wypaczenia świętego związku, do Bractwa, wykorzystującego potęgę dla własnych korzyści, do zachłanności, zysku i bólu, wszystko w imię Chaosu.

Ale na najwyższych poziomach przetrwało samo sedno Zakonu, zachowało nietknięte pierwotne cele i doprowadziło do wydarzeń, które wpływały na przyszłość nie tylko jednej planety, ale wszystkich, nawet najbardziej odległych pozostałości Starego Imperium. Wraz z Aspundthem dostrzegał mgnienia tego wyższego poziomu... zrozumiał nagle, że dostrzega je teraz.

W czasach, gdy jeszcze wierzył, iż Przegląd jest jedynie nieszkodliwym klubem towarzyskim, do jego najbardziej zewnętrznych kręgów dochodziły z umysłu sybilli przecieki głoszące, że

Vanamoinen, jego założyciel, nadal żyje... Vanamoinen. Przypomniała mu się wpatrzona w niego, uśmiechnięta twarz bohatera; usłyszał jego głos: Popatrz na gwiazdy, Urna... Vanamoinen umarł przed tysiącem lat, ale gdzieś w matrycy sybilli zachował się odcisk jego umysłu. A teraz umysł sybilli, kierując się własną, nieodgadnioną logiką, zdecydował się po tysiącleciu go wskrzesić.

Ojciec wszystkich mych przodków. Gundhalinu pokręcił głową, zastanowił się. Tajemna wiedza nie została ofiarowana żadnemu pojedynczemu odłamowi Przeglądu, lecz jakby przez osmozę rozeszła się po Hegemonii na wszystkie liczne grupy, które się od niego wywodziły – bez względu na to, po której stronie stawały w walce między chaosem a ładem. Szukanie: Czy tylko w Hegemonii? Ale dlaczego? Czemu nie gdzie indziej? A może tam też?

Jego myśli nie wypełniło żadne olśnienie, jedynie wiedza, że doszło do walki mocy, której toczenia się wokół nigdy nawet nie podejrzewał, gdy siedząc w Sali Przeglądu, grał bez troski w grę losową. Zobaczył, jak walka o umysł Vanamoinena rozciąga się na światy Hegemonii... zobaczył mroczną postać kobiety mającej w rękach duszę Vanamoinena, samej w łapach Bractwa. Zobaczył, jak dusza ta niby płynne światło tonie w układzie nerwowym żywego człowieka, mającego własny umysł i duszę, człowieka o znanej mu twarzy... Reede'a Kullervo.

Znowu zmienił się widziany przez niego obraz Reede'a, tym razem wbił się niby grot włóczni w głąb jego świadomości. Tym razem wiedział, co oznacza przekształcanie się wizji, nakładanie jednej twarzy na drugą, aż znikły oblicza Vanamoinena i Reede'a Kullervo, pozostało jedynie coś nierozróżnialnego, zamazanego całkowicie. Ani jeden, ani drugi. Kował: częściowo człowiek, częściowo legenda. Patrzył, jak obraz blednie i topnieje, aż zniknął zupełnie, aż pozostało tylko nagie światło, oślepiająca błyskotliwość geniusza, którego wiedza i intuicja zostały uwolnione, by dokonać jakiegoś nieznanego zadania...

Gundhalinu przypomniał sobie baśnie o Uwięzionych Bogach Tsiehpun, duchach żywiołów, które uwolnione mogą opanować człowieka, pchać swe nieświadome wcielenie do czynów nieziemskiej odwagi czy niewyobrażalnego zła...

Bogowie... pomyślał znowu, tym razem obraz wypełnił mu świadomość do samego dna duszy. Spróbował zebrać wirujące myśli, nagle przestał wiedzieć, w którą stronę skrócić. Szukanie: Dlaczego?

Nie padła żadna odpowiedź. Tym razem nie zbadano jego prawa do jej poznania, nie odmówiono do niej dostępu. Jego umysł pozostał całkowicie pusty. Pokręcił głową w rozczarowaniu i zdumieniu. Czyżby tylko po to przywołano Vanamoinena, by pomógł mu rozwiązać zagadkę Ognistego Jeziora, by przywrócił napęd gwiazdny dla Hegemonii – albo jej tajemnej części? Odrzucił tę myśl od razu. Dusza Vanamoinena spała przez tysiąc lat. Marzenia ekspansjonistów z Kharemough to o wiele za mało, by umysł sybilli przywołał ją do czasu rzeczywistego, tchnął w mękę istnienia, umieścił w mózgu innego człowieka. Ale ciągle nie otrzymywał odpowiedzi,

Szukanie, mruknął po dłuższym milczeniu. Jak to uczyniono? Sprytmatéria? Znowu w jego umyśle nic się nie stało.

Szukanie: Czy to przypadkowy zbieg okoliczności...? Przycisnął nadajnik do skóry, zaczął podejrzewać, że połączenie uległo przerwaniu.

Nie. Nagle ujrzał to wyraźnie. Powrót Vanamoinena nie był przypadkowy. Ale jego umysł na tym poprzestał, nie potwierdził ani nie wyjaśnił, dlaczego spośród wszystkich możliwych nosicieli pamięci Vanamoinena wybrano Reede'a Kullervo.

Szukanie: Czy nie wolno mi się o tym dowiedzieć?

Żadnej odpowiedzi. Zdenerwowany zaklął, nie miał pojęcia, czyjego źródło nie zna odpowiedzi, czy nie chce jej podać. Szukanie: Czy Reede Kullervo jest teraz na Tiamat? Czego chce?

Powiedz mi to, na miłość bogów... Ostatnie płynęło bardziej z rozdrażnienia, niż nadziei na otrzymanie odpowiedzi.

Potwierdzenie. Znowu widział obrazy: Reede przebywający tu, na ulicach Krwawnika. Gundhalinu spostrzegł przy nim dwóch mężczyzn, którzy towarzyszyli mu na Czwórcę; zobaczył, jak spiera się z wysokim Newhaveńczykiem... piętno wypalone na dłoni, spojrzało nań otwarte oko.

Gundhalinu zaklął znowu. Znał to piętno – tak oznakowywano własność Źródła. Własność, a nie równoprawnego czy chętnego współpracownika. Podczas służby na Tiamat przed Odlotem często widywał ów symbol. Thanin Jaakola przebywał tu wtedy, z Krwawnika kierował pulsowaniem swej rozciągającej się na całą Hegemonię siatki narkotykowej, wykorzystywał położenie planety jako najdogodniejszego spośród Ośmiu Planet miejsca przesiadek. To on sprzedał Arienrhod wirusa chorobotwórczego, którego próbowała użyć przeciwko własnemu ludowi, dokonując ostatniej, rozpaczliwej próby zachowania panowania. Nie udało się jej... ale Źródłu tak.

Gundhalinu rozumiał teraz, jak i dlaczego się to stało: Jaakola – księżę narkotyków był jedynie wysuniętą macką zła, którego siły i głębi nigdy nie domyślał się, będąc tylko Sinym. Jaakola należał do tak wysokiego poziomu Bractwa, że nie wiadomo było, jak daleko sięgają jego wpływy. W podziemiu Hegemonii stanowił rodzaj studni grawitacyjnej, wszystko i wszystkich wokół niego wciągającej w mrok. Nawet jego postać w umyśle Gundhalinu była jedynie ciemnością.

A teraz miał Kowala. Jaakola zwyciężył w walce o władzę wewnątrz Bractwa...zdołał wypaczony geniusz Kullervo, a wraz nim nową technikę napędu gwiazdowego. Nie marnował czasu na wykorzystywanie kogokolwiek innego. Reede znalazł się na Tiamat w jednym celu: by z wodą życia zrobił to samo, co z plazmą napędu gwiazdowego.

Woda życia... Gundhalinu rozluźnił myśli, zagłębił się w rozważaniach, zastanawiał nad skutkami obecności Kullervo, zapominając, że zadał jeszcze jedno pytanie...

Wewnątrz jego myśli pojawił się nagle Reede Kullervo, rozegnął obrazy jak myszy. Gundhalinu w jego dzikich, przejrzystych oczach dostrzegł znane sobie spojrzenie: podobne widział kiedyś w lustrze... Czego chce? tak brzmiało pytanie. A odpowiedzią było – Śmierci.

Gundhalinu oderwał od skóry styki – nagle je odłożył. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zbyt późno przypomniał sobie, że Kitaro ostrzegła go, iż ma tylko jedną okazję. Dane przepadły.

Wstał po to tylko, by przez kilka uderzeń serca tkwić nieruchomo w środku pokoju. W jego mózgu zdawała się istnieć jedna tylko konkretna myśl, całkowicie jego własna: Znajdź go.

Skieruje do tego Vhanu... Nie. Vhanu zechce, i słusznie, dowiedzieć się wszystkiego, a Gundhalinu wiedział już, że nie jest on człowiekiem, który po prostu uwierzy na słowo. Komendant zażąda wyjaśnień, dlaczego Kullervo nie może zostać aresztowany, przesłuchany i skazany według praw Hegemonii, jak powinno się zrobić z takim przestępcą jak on. Nie zrozumie, że takie rozwiązanie nic nie da, nikomu nie pomoże. Nie można po prostu usunąć Kullervo – jest zbyt cenny. Gdyby udało się go przemienić... Vanamoinen wolałby służyć Ładowi, a nie Chaosowi, mając wybór, sprzymierzyłby się ze Złotym Środkiem, gdyby tylko ten okazał dość rozumu, by dać Kullervo możliwość wyboru... Gundhalinu nie był jednak całkowicie pewny, czy tak postąpi.

Skrzywił się, w zamyśleniu ruszył w stronę drzwi. Kitaro dostarczyła mu tych informacji; może ją poprosić, by poszukała

Kullervo, sprowadziła go potajemnie, omijając zwykłe kanały policyjne, Nie podobało" mu się to, nie chciał stwarzać żadnej przepaści między sobą a Vhanu. Ale tym razem nie miał wyboru.

Wrócił do głównej sali i zobaczył, iż Vhanu jest nadal pogrążony w przyjemnościach z symulatora. Uśmiechnął się lekko, z własnego doświadczenia wiedział, że mogą prowadzić do nałogu, choć urządzenie wpływało jedynie na uczucia, nie miało nic wspólnego z bezpośrednim

pobudzaniem nerwów, jakie stosowano w niektórych klubach gry. Trudno się oprzeć tęsknocie za scenami znanymi z domu... a niekiedy cięższa jeszcze do przewyciężenia była ochota na coś obcego. Pamiętał, jak w dzieciństwie poznawał tak Tiamat, całe dnie czuł egzotyczny zapach planety, słyszał echa muzycznej mowy mieszkańców; prześladowały go lśniące obrazy Krwawnika, widzianego od morza miasta na północy...

Kitaro siedziała rozparta w fotelu, z jednym butem na niskim stole, rozmawiała żywo z pozaziemskim kupcem na temat ograniczeń w handlu. Gundhalinu zdziwił się lekko, że pozostaje na miejscu. Dopiero gdy go zauważyła i zakończyła rozmowę, przerywając kupcowi w połowie słowa, Gundhalinu zrozumiał, iż czekała na niego.

– Czy otrzymał pan odpowiedź na wszystkie swe pytania? – zapytała.

Uśmiechnął się lekko.

– Stanie się tak dopiero w dniu mojej śmierci... mam nadzieję. Dowiedziałem się jednak dość, by zrozumieć, jak mało wiem o tym, co się tu naprawdę dzieje. – Wzruszył ramionami i przekazał, co trzeba robić, zerkając z zażenowaniem na nieobecnego duchem Vhanu.

Kitaro słuchała z napiętym wzrokiem i obojętną twarzą.

– Natychmiast się za to zabiorę, panie sędzio – powiedziała. – Doprowadzenie do takiego spotkania zajmie trochę czasu. Kullervo za głęboko tkwi w lotnych piaskach Bractwa, by łatwo do niego dotrzeć.

– Rozumiem. Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, poproszę PalaThion, by jej udzieliła. Można jej ufać.

Zerknęła w bok na Tilhonne'a, ministra łączności, zbliżającego się ku nim w towarzystwie Akroyalina i Sandrine'a. Chłopieca twarz Tilhonne'a promieniała chęcią przekazania posiadanych wiadomości. Po dojściu do fotela Vhanu sięgnął do jego kasku, przerwał symulację.

Vhanu szarpnął się gwałtownie i zaklął, po spojrzeniu za siebie ściągnął kask.

– Pan też zechce się o tym dowiedzieć – powiedział Tilhonne, nim Vhanu zdążył zaprotestować, i znowu spojrzął na Gundhalinu z uśmiechem, który Główny Sędzia uznał za niechęć kołtuński. – Właśnie dowiedziałem się od wujka, że Rada złoży pierwszą oficjalną wizytę na nowej Tiamat...

Gundhalinu spojrzął zaskoczony.

– Kiedy?

– Rada dopiero co wróciła na Kharemough. Ich statki muszą otrzymać nowe zespoły napędu gwiazdowego. Centralny Komitet Koordynacyjny ocenia, że potrwa to co najmniej pół roku. Zawrócili ze zwykłej trasy – świadczy to tak o uznaniu naszego pobytu tutaj, jak i wagi nowej wolności i potęgi, jaką uzyskaliście dzięki napędowi gwiazdnemu.

– I pragnieniu uzyskania wody życia. Na Przewoźnika! – mruknął Gundhalinu – to określenie, jak uświadomił sobie z roztargnieniem, zaczerpnął od Jerushy PalaThion.

Tilhonne roześmiał się.

– Na bogów, BZ, uważasz, że przyniosłem złe wieści. Staruszk, powinieneś to uznać za komplement! – Poklepał Gundhalinu po ramieniu.

– Czuję się zaszczycony, naprawdę – mruknął Gundhalinu, zerkając na namysł na twarzy Vhanu. – Rozważałem jedynie skutki. – Trudności. Niespokojnie poruszał opuszczonymi rękoma. – To ważne wydarzenie.

– Słyszałem, że Tiamatańczycy zwykli wydawać na cześć Premiera piekielne przyjęcie – powiedział Sandrine. – Wydaje mi się, że powinniśmy odtworzyć tę tradycję. Przyda nam się trochę rozrywki.

– Do pewnego stopnia – odparł Gundhalinu oschle.

– Masz na myśli składanie Królowej w ofierze? – zapytał Vhanu.

– Tak – Gundhalinu niespokojnie odwrócił wzrok.

– Hmm, na moich świętych przodków – powiedział Vhanu – uważam, że to bardzo skuteczny sposób osiągnięcia zmiany. A czy nie o to chodzi? Czy nie nazywają święta Zmianą?

– Gdyby Królowa Lata została wrzucona do morza po naszym powrocie, nie mielibyśmy takich cholernych kłopotów z wznowieniem polowań na mery – wycedził Tilhonne. – Zimacy zaczęli już dążyć do odzyskania władzy. Chcą się jej pozbyć...

– Kto? – zapytał skrzywiony Gundhalinu. – Kto tak mówi? Tilhonne wzruszył ramionami.

– Bogowie, nie pamiętam nazwisk – wszystkie wydają mi się jednakowe. Ale słyszałem o tym od niejednego Zimaka.

– Czy był wśród Kirard Set Wayaway? Tilhonne przytaknął.

– Wayaway. Tak, to ten z Rady Miasta, prawda? Sprytny, jak na prowincjusza. Ambitny. Wie, z której strony wiatr wieje. Kilka razy odwiedził mnie z różnymi delegacjami, przedstawiał miejscowe sprawy.

– Tak, znam go powiedział Akroyalin.

– Czy to nie jego spotkaliśmy niedawno na ulicy? – zapytał Vhanu.

Gundhalinu kiwnął głową z zaciśniętymi ustami.

– Tak, inteligentny i dobrze poinformowany. Może aż za dobrze... – Vhanu spojrzał na Kitaro, znowu na Gundhalinu. – W każdym razie nie można go lekceważyć. – Patrzył uważnie.

– Chciałbym, żebyście nie zlekceważyli jednego tylko fragmentu naszej rozmowy – powiedział nagle Gundhalinu. – Sprawa ofiary ludzkiej nie może wyjść poza te mury. Rozumiecie?

Przytaknęli i wzruszyli ramionami, popatrzyli na niego z różnymi stopniami rezygnacji i niezrozumienia.

– W takim razie życzę wam wszystkim dobrej nocy. – Gundhalinu odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali. Jak cień ciągnęła się jednak za nim świadomość, że nie słyszy o tym po raz ostatni, tak samo jak o Reedzie Kullervo.

TIAMAT: Krwawnik

Sparks Dawntreader przemierzał jaskinię gry noszącą nazwę Persefony; podążając za Kirardem Setem Wayawayem, miał jak zwykle wrażenie, iż cofa się w czasie. W Krwawniku sprzed Odlotu istniało Piekło Persefony, prowadzone przez Źródło; miał z nim interesy, tak jak teraz. Niekiedy zdawało mu się, że zaczął życie na opak, że jutro stawało się wczoraj, wspomnienia ożywały, a rzeczywistość coraz bardziej przekształcała się w sen.

Ale nie – nie może tak na to patrzeć. Podniósł rękę, poczuł niewyraźny zarys wisiora, który nosił pod koszulą; nosił go zawsze, jak kiedyś medal należący do jego pozaziemskiego ojca. Widniejący na nim symbol zadziwiająco przypominał znak znad znajdującego się dalej wejścia do Sali Przeglądu, gdzie często przychodził BZ Gundhalinu – choć w jego środku tkwiła solia, jeden z najcenniejszych klejnotów.

Podobieństwo nie było przypadkowe. Dowiedział się o tym, podobnie jak o wielu innych rzeczach, kiedy tylko został członkiem Bractwa – i Przeglądu. Gundhalinu sprawił, iż do miejscowej Sali Przeglądu zaczęto wpuszczać Tiamatańczyków; wraz z Kirardem Setem stał się jednym z pierwszych, którzy z tego skorzystali. Obie te rzeczy na zawsze zmieniły jego życie.

Po uświadomieniu sobie istnienia Wielkiej Gry, zostaniu jednym z jej uczestników, nabrał wrażenia, iż tysiąckroć lepiej rozumie teraz wszechświat i swoje w nim miejsce. Czuł entropię zachodzącą na wszystkich jego poziomach, nie mającą końca walkę między Ładem a Chaosem – łatwość, z jaką Chaos pokonywał Ład jednym ciosem, bez względu na to, jak gwiazdy na swych szlakach i ludzie na drogach swego życia starali się temu zapobiec. Chaos nieustannie wpływał palcami przypadku na jego własne życie, za każdym razem je zakłócając. Teraz przestał wreszcie sprzeciwiać się napływowi entropii, zdecydował się ją przyjąć. Wreszcie widział wyraźnie, nawet w ciemności.

Weszli do zaciemnionego korytarza w tyle klubu; barwny hałas nocnego życia klubu skończył się nagle, gdy minęli coś w rodzaju pola, może nawet było tak rzeczywiście, choć nie czuł niczego, poza nagłym chłodem wyczekiwania, jaki przejmował go zawsze w tym miejscu.

Na końcu korytarza wsiedli do windy – pomieszczenia tak bezkształtnego, że mogłoby być pustą szafą, przypuszczalnie za taką uchodziło. Po zamknięciu się ściany poczuł ruch; miał wrażenie, iż w górę, choć nie wiedział tego do końca, podobnie jak nigdy nie miał pewności, czy podczas każdej wizyty ruch jest ten sam i trwa równie długo. Wszystko mogło dzieć się przypadkowo – jak komuś pasowało.

Otworzyła się przed nim pozbawiona szczegółów ściana, odkryła salę zebrań. Różniła się od tej, którą widywał dotychczas, dość dużej, by pomieścić ponad dwudziestu członków Bractwa. Ten pokój był mniejszy, choć pod innymi względami jednakowy, o barwach ścian zmieniających się wolno, w sposób niemal wywołujący halucynacje. Zdenerwowany oderwał od nich wzrok, skupił się na samotnym człowieku siedzącym przy stole.

– Oby dzień był dla ciebie dobry, Reedzie Kullervo – powiedział Kirard Set.

Kullervo roześmiał się krótko, jakby usłyszał coś niewiarygodnie głupiego. Odwrócił się od nich z niesmakiem, zabębnił palcami w twarde, natarczywym rytmie.

– Spóźniliście się – mruknął do ściany.

Sparks nie wiedział, czy mówi do nich. Nie spóźnili się; choć spodziewał się, że będzie to spotkanie Bractwa. Jego niechęć wobec zachowania Kullervo skoczyła o jedną kreskę. Od pierwszego spotkania z Reede'em uznał go za niesympatycznego, pozaziemiec był na przemian ponury i wrogi, a zawsze okazywał butę i wyższość. Co więcej, Sparks miał niepokojące wrażenie, iż jest

nie tylko kapryśny, ale i szalony. Kullervo wydawał się być jednym ze zwykłych zbirów Źródła, ostatnią osobą, którą spodziewał się ujrzeć w niespodziewanej z nim zażyłości.

– Co się stało z pozostałymi? – zapytał.

– Nastąpiła zmiana planów – odpowiedział głos zdający się dobywać ze ściany. Źródło. Samo jego brzmienie wystarczało, by dostać gęsiej skórki, nie potrzeba było pojawienia się, co zaczęło mieć miejsce w pokoju. Sparks patrzył, jak u szczytu stołu zbiera się ciemność, w niemożliwy sposób wypływa z nicości. Mrok pogłębiał się, aż wśród niego wyczuć można było bezkształtną, lecz niewątpliwą obecność. Sparks powtarzał sobie, że to tylko transmisja, hologram, ale wiedział o kryjącej się za nią, tkwiącej gdzieś rzeczywistości... Zmusił się, by wraz z Kirardem Setem i Reede'em usiąść przy stole.

– Oto sytuacja – ciągnął zgrzytliwy, pozbawiony wyrazu głos Źródła. – Spotkanie zostało odłożone. Bractwo chce jednak się dowiedzieć o waszej działalności, dlatego zjawilem się, by wysłuchać waszych uwag. Sparksie Dawntreader...

Sparks odwrócił uwagę od Kullervo, od obserwowania nagłej, szaleńczej nienawiści w oczach patrzących na przybierającą kształt ciemność. Po policzku Reede'a ściekała strużka potu; usta mu drgnęły, gdy dosięgła je kropla.

Sparks kiwnął głową, próbował nie skupiać się na ciemności, którą miał przed sobą.

– Jak się ma twoja znakomita żona, Królowa? Czy odniosłeś jakieś sukcesy w próbach przekonania jej, że może skorzystać na otoczeniu opieką niektórych naszych interesów i otworzeniu swego portu dla... – głos się jakby uśmiechnął – szerszego zakresu towarów, jak czyniła to jej matka?

Sparks pokręcił głową.

– Nie bardzo – powiedział. Źródło prychnął pogardliwie.

– Czyli jest nadal ogłupiona przez swego byłego kochanka, nowego Głównego Sędziego?

Sparks uświadomił sobie, że zaciska usta; czuł na sobie wzrok Kirarda Seta i Kullervo.

– Królowa, moja żona – powiedział – wszystko, czego chce, otrzymuje od Hegemonii. – Wygiął w uśmiechu wąską kreskę warg. – Tak iż w przeciwieństwie do Arienrhod nie potrzebuje żadnego z nas. – Wzruszył ramionami. Kullervo prychnął z rozbawieniem; Kirard Set rozwarł usta w niechętnym uznaniu.

– To fatalnie. – Ciemność na końcu stołu zaczęła się przekształcać w sposób niemożliwy do opisanie. – Cóż, w świecie rzeczywistym jest zawsze kilka odpowiedzi na każde zadane pytanie... Kirardzie Secie Wayawayu – jak twoja czarująca rodzina?

Sparks przesunął się w miejscu, gdy nieokreślona uwaga Źródła odplynęła od niego.

– Mój syn jak zwykle pożąda Ariele Dawntreader. Żona pożąda wszystkiego, co sprawi, że poczuje się młodszą. W tym tygodniu będzie to chyba chirurgia kosmetyczna.

– A co z rozpowszechnianiem idei powrotu władzy Zimy po wizycie Rady?

– Duże postępy – mruknął Kirard Set z nieznacznym uśmiechem wyższości. – Większość Zimaków jest za tym. Nawet wśród Letniaków są niektórzy tak zarażeni chęcią postępu, że zgodzą się na przekazanie władzy, jeśli Królowa dopuści do zachwiania równowagi handlu poprzez brak zgody na wykorzystywanie wody życia...pod warunkiem, że Zmiana zajdzie w tradycyjny sposób. Co doskonale służy naszym celom...

– Jakim to według ciebie jest ów "tradycyjny sposób"? – zapytał Sparks pochylając się naprzód.

– Utopienie Królowej, to jasne – odparł Kirard Set.

Sparks zeszywniał, patrzył ze zdumieniem, część jego twarzy była całkowicie, perwersyjnie świadoma, jak głupią musi mieć minę.

– Ty łajdacki kochanku Matki. Siedzisz tutaj i mówisz mi w twarz, że knujesz złożenie mej żony w ofierze podczas Świąta, na dodatek takim tonem, jakbyś się zastanawiał nad zmianą krawca? Czy twój plan obejmuje mnie, jak to było za Arienrhod? – Wysunął się do połowy z fotela.

– Na bogów – powiedział Kirard Set, krzywiąc się i podnosząc ręce. – Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany, choć minęło tyle lat. Siadaj, Sparksie, i pozwól mi wytłumaczyć.

– W gruncie rzeczy Królowej nie grozi złożenie w ofierze... ani tym bardziej tobie, Dawntreader – powiedział Źródło zimno. – Nie o to chodzi w tym ruchu. Jeśli chcesz wznieść się wyżej w naszych kręgach, musisz się nauczyć przestać widzieć wszystko powierzchownie. Nigdy nie dostrzeżesz tu swojej szansy, tak samo jak we własnym życiu, jeśli będziesz każdą rzecz przyjmował tak, jak pozornie wygląda.

Sparks usiadł znowu, zdołał jakoś powstrzymać napływ krwi, by nie zdradził go rumieńcem na twarzy.

– Wybaczcie – mruknął. – I oświećcie.

– Chodzi o Królową, to prawda, ale znacznie bardziej o twego rywala, BZ Gundhalinu. Kocha swoją żonę – i tylko on ma możliwość przewyciężenia jej uporu w kwestii uwolnienia wody życia. Chcemy postawić go w położeniu, w którym będzie musiał wybierać, co jest dla niego ważniejsze – ochrona jej czy merów. Każdy wybór przyjdzie mu z ogromnym trudem i żalem.. Jak myślisz, na co się zdecyduje, rozdarty między złożeniem Królowej w ofierze a przełamaniem jej obsesyjnego chronienia merów?

Sparks długo milczał.

– Myślę, że będzie wolał pozwolić ginąć merom...Ale przecież tego właśnie chce od niego Złoty Środek. Wtedy oni będą kontrolować wodę życia, a nie Bractwo. Co na tym zyskamy?

– Na krótką metę, póki nie otrzymamy własnego, niezależnego źródła, da to nam do niej dostęp. Gdy tylko dojdzie do produkcji lekarstwa, będziemy mieli w nim swój udział. Na dłuższą metę pojawią się liczne korzyści z wymuszenia takiego wyboru na Głównym Sędzim i Królowej, nie wszystkie muszą być widoczne dla kogoś takiego jak ty. Jako lojalny Brat zadowol się wiedzą, że tobie nie przysporzy to żadnego bólu, natomiast wielki człowiekowi, który usiłuje skraść ci żonę.

– A nawet dzieci – mruknął Kirard Set, unosząc brwi. – Jak Ariele i Tammis przyjmują to wszystko?

Sparks spojrział na niego chłodnym wzrokiem.

– Już ci mówiłem, nie mam dzieci. Sam lepiej odpowiesz na własne pytanie.

Kirard Set wykrzywił twarz w minę, którą Sparks uznał za mającą oznaczać przeprosiny.

– Przypuszczam, że ostatnio o najsłynniejszych uczuciach Ariele najwięcej wie o Kullervo. Jak byś ją opisał?

Sparks spojrział na Kullervo, poczuł, jak niewiara ściska mu serce, gdy wyobraził sobie, że jego córka – nie jego, ale – leży w objęciach tej chodzącej śmierci.

Kullervo zeszywniał, spojrzenia obecnych przyłapały go na przygryzaniu palców. Opuścił ręce na stół, splótł je razem. Sparks zauważył wyraźne ślady pozostawione przez zęby.

– Wayaway, czy miałeś kiedyś pasożyty jelitowe?

– Nie – odparł zakłopotany Kirard Set.

– To źle – powiedział Kullervo.

– Tak, Reede... – mruknął Źródło – opowiedz nam o swym związku z Ariele. Od jakiegoś czasu spotykasz się z nią niemal co wieczór. Robisz to po raz pierwszy od Mundilfoere... – Zawiesił głos, Sparks zobaczył, że Kullervo wstrzymał dech. – Czy przypomina ci utraconą ukochaną? – Za tymi słowami czuć było wyraźną aluzję i cień groźby. – Czy to nie ona ponosi odpowiedzialność za twą

nieudaną próbę zdobycia koniecznej dla dalszych badań próbki krwi?

– Nie. – Twarz Kullervo poszarzała, jakby opanował go tak wielki ból, że nie mógł go nawet wykrzyknąć. Odetchnął głęboko. – Powiedziałem już, co się stało – rzucił napiętym głosem. – Spadłem. Zgubiłem broń...Ariele Dawntreader wie dużo o merach. Spędza z nimi wiele czasu. Trzymam się jej, bo potrzebuję tej wiedzy. Nie jest w moim typie. – Nagle, niemal nieśmiało, podniósł wzrok. – Nigdy jej nie dotknąłem. – Zerknął przelotnie na Źródło i znowu odwrócił głowę.

– A więc tylko gromadzisz jej dane, nic więcej? – powtórzył Źródło z rozbawieniem.

– Tak – potwierdził Kullervo.

– Tak...? – napomniał łagodnie Źródło. Kullervo zacisnął usta.

– Panie. – Znowu opuścił wzrok. W jego ustach wybrany przez Źródło sposób zwracania się do niego brzmiał bardziej jak przekleństwo niż wyraz płaszczenia się i uniżoności.

– Dawntreader... – powiedział Źródło nagle; Sparks popatrzył na ciemność. – Przypuszczam, że stworzyłeś coś jeszcze, co może zainteresować mego człowieka, Kullervo.

Sparks poczuł, jak zaciska wargi.

– Co ma pan na myśli?

Ty także zgromadziłeś sporo danych na temat merów, wiem, że po przejściu na emeryturę wiele lat je badałeś.

– Emeryturę? – powtórzył Sparks powoli.

– Gdy przestałeś być Starbuckiem Arienrhod. Zabijać mery – powiedział Źródło. – Czy to prawda?

Sparks poczuł, jak gniew przeżera go niby kwas, zastanowił się, czy dlatego sprowadzono go na to zebranie, by sprawdzić, ile zdoła znieść. Szaleństwo zaczęło toczyć go jak rak, gdy nagle przypomniał sobie słowa Źródła: nigdy nie zrobi tu kariery, jeśli nie nauczy się patrzeć w głąb rzeczy oczywistych. Może go wypróbują: badają lojalność, zdolność do powściągnięcia łatwo wybuchającego gniewu, jego możliwości. Patrzył się na hipnotycznie przepływające barwy ściany po drugiej stronie pokoju, aż wreszcie znowu się opanował.

– Prawda – potwierdził z mocą. – Można to chyba nazwać związkiem opartym na miłości i nienawiści. – Spojrzał na Kullervo. – Co cię interesuje w merach? – zapytał obojętnym głosem, zmuszał się do nieodrzućcia z góry wszystkich możliwości, nawet tak nieprawdopodobnych, jak posiadanie przez Reede'a mózgu.

Niespokojne ręce Kullervo zaczęły wyraźnie drżeć, choć przyciskał je do stołu. Zastukał nagle ciężki pierścień z soliami, który nosił na kciuku, mocno uderzał w twardą powierzchnię blatu, aż Reede opuścił dłonie na uda, ukrył przed ich wzrokiem. – To związek oparty na miłości i nienawiści – mruknął.

– Reede, jesteś zbyt skromny – powiedział Źródło. – Mój człowiek, Kullervo, jest geniuszem bioinżynierii... to jego właśnie nazywają Kowalem. Wie więcej o sprytmaterii niż ktokolwiek z żyjących...łącznie z nim samym. – Zachichotał z goryczą. – Wykorzystuje swój wyjątkowy umysł do rozwiązania problemu syntezy wody życia, jak przedtem uczynił to z plazmą napędu gwiazdowego. Bez jego pomocy BZ Gundhalinu nigdy by nie zdołał jej przeprogramować.

Sparks spojrzął na Kullervo; obok, z równą niewiarą, uczynił to Kirard Set. Niemal się roześmiał, przekonany, iż to jakiś dziwaczny żart, choć nie mógł sobie wyobrazić, po co padł.

– Czy nie mam racji, Reede? – przynaglił go Źródło łagodnie. Reede wyprostował się w fotelu, uniósł głowę, wytrzymując ich spojrzenia z dumą lub wyzwaniem. Jego drżąca ręka powędrowała do ucha, sprawiła, że w milczeniu nagle zapadłym w pokoju rozległo się przyjemne, niestosowne tu dzwonienie kryształów wykwintnego klejnotu. – Tak – szepnął.

Sparks miał przez chwilę nieprzyjemne uczucie, że poprzez źrenice Kullervo patrzy nań ktoś całkowicie obcy. W tymże momencie jego niewiara przeszła w wiarę, duszę przesaczył mu mroczny, bezdenny strach, zaś oczy Źródło, który zdawał się teraz wypełniać cały pokój.

– Jak zdołam najszybciej, dostarczę ci dane – powiedział uwięzionemu w źrenicach Kullervo. – Nie wiem, ile są warte, ale będą twoje.

Kullervo przytaknął gwałtownie; spojrział w dół i bok, napiął mięśnie szczęki.

– Nie pomniejszaj swych osiągnięć – mruknął Źródło. – Masz całkiem sprawny umysł. Marnowałeś się tutaj, wśród nieuków z zacofanego świata, ale wreszcie trafiłeś do ludzi doceniających twe zdolności. Lata twojej pracy i badań zostaną w końcu z zyskiem wykorzystane... Czemu teraz nie pójdziesz, by się o tym przekonać?

Sparks ze zdziwieniem spojrział na ciemność.

– To już koniec spotkania? – zapytał, próbując złożyć w spójną całość zaskakującą pochwałę Źródła i równie niespodziewane odprawienie.

– Koniec – powiedział Źródło takim głosem, że Sparks pożałował zadania pytania – w części dotyczącej ciebie. – Dawntreader opuścił głowę. – Są pewne sprawy Bractwa, które cię nie obchodzą, lecz wymagają obecności Wayawaya i mego człowieka, Reede'a. Wypełniłeś swą rolę, Dawntreader. Możesz być pewien.

Sparks wstał, unikał wzroku pozostałych. Kiwnął głową i odszedł od stołu. Otworzyły się przed nim drzwi windy, jakby na niego czekały.

– Reede... – rozległ się głos Źródła, gdy tylko Sparks Dawntreader zniknął w windzie.

Reede niechętnie zwrócił ku niemu wzrok, część jego umysłu marzyła o zamienieniu się miejscami z odesłanym. Zerknął na Wayawaya, zauważył na twarzy Tiamatańczyka wyraz zadowolenia, iż może pozostać, podczas gdy Dawntreader nie. Kirard Set siedział, jakby wiedział wszystko, choć nie wiedział niczego. Członkiem Bractwa został na długo przed końcem panowania Królowej Śniegu, lecz ciągle nie miał pojęcia, w jakim bagnie się pogrąża. Reede spojrział w oczy Wayawaya, patrzył, jak głupawa pycha miejscowego topnieje w zetknięciu się z jego niewzruszoną rozpaczą.

Kullervo znowu zwrócił twarz w stronę mroku, zmusił oczy do dojrzenia wewnątrz niewyraźnej, przypominającej ludzką postaci i patrzenia na nią bez ucieczki w bok.

– Co? – zapytał twardo. Wiedział, że Źródło jest teraz na Tiamat, że to, co jest po drugiej stronie projekcji, widzi go wyraźnie, dostrzega pot i cierpienie, znaki zapowiadające męki spowodowane zbyt długim czekaniem na wodę śmierci. Nie wiedział, czy to opóźnienie jest wyrazem kary, czy namowy, ale nie wątpił, że jest zamierzone. I wreszcie pozna przyczynę.

– Ariele Dawntreader – mruknął Źródło.

– Co? – powtórzył Reede nie rozumiejąc.

– Wiem, że pomiędzy tobą a córką Królowej nie zaszło nic bardziej... bliskiego niż zwykłe rozmowy. Ale ona chce czegoś więcej. Pragnie ciebie, Reede.

Kullervo zeszywniał.

– No to co? – mruknął. – Skłania to ją do mówienia o merach.

– Jej wiadomości o merach są dla ciebie bezużyteczne. Wiesz o tym równie dobrze co ja. Dlaczego ciągle się z nią spotykasz?

– Nie są bezużyteczne – powiedział uparcie. – Potrzebuję wszelkich danych.

– Potrzebujesz próbki krwi! Uratowała ci życie...i powstrzymała przed zdobyciem jedynej rzeczy, jakiej naprawdę potrzebujesz do osiągnięcia replikacji technowirusa. Jest zawadą, a nie pomocą w twojej pracy; przez nią zaczynasz się zastanawiać, czy masz sumienie, prawda?

Reede poczuł, że się rumieni. Zerknął na Wayawaya, zrozumiał, że to pewnie od niego Źródło dowiedział się wszystkiego.

– Mam ją rzucić? Dobra, rzucę. Nic trudnego.

– Nie – powiedział Źródło łagodnie. – Nie tego chcę. Jej wiedza o merach jest żadna... ale mimo to jest dla nas ważna.

Reede zerknął znowu na windę, zrozumiał nagle, dlaczego Źródło pozbył się Dawntreadera. Utkwił wzrok w ścianie, wypełnił oczy płynnym ruchem jej barw. Twarda bryłka napięcia tężała coraz bardziej w jego gardle, gdy milczenie zaczęło się przeciągać. Ale nie zapyta; nie może, nie może...

– Co macie na myśli? – mruknął Wayaway, zadając pytanie za niego.

– Mój człowiek Reede uwiedzie ją.

Reede rozejrzał się gwałtownie; zobaczył, jak rozbawienie Wayawaya przechodzi w nagłe zdumienie na widok wstrętu na jego twarzy.

– Powinno to być dla ciebie proste, Reede. Wiem od Wayawaya, że Ariele ma dużo więcej wspólnego ze swą babką, Arienrhod, niż matką... już się w tobie zadurzyła. Wystarczy, że pozwolisz jej na to, czego chce. Na pewno nie będzie rozczarowana. Nigdy nie zawiodłeś Mundilfoere.

Reede zaklął, zerwał się na nogi. Zakręciło mu się w głowie, aż musiał pochylić się i opaść na fotel. Wayaway gapił się oczyma podglądacza. Kullervo pokręcił głową, bardziej w zwątpieniu niż zaprzeczeniu.

– Dlaczego...? – zapytał niedowierzająco.

– Bo to zwiąże ją z nami. Bo da mi władzę nad nią... i nad jej matką.

Znowu pokręcił głową.

– W jakim celu? Jeśli chcecie, by Królowa wam ulegała, dolejcie jej coś do zupy. Po co cała ta gra...

– To moja gra, a ty jesteś moim pionkiem – powiedziała ciemność. – Chcę też, by się w tobie zakochała. To twoja pokuta za kłamanie mi, za zadurzenie się w tej dziewczynie i przez to brak znaczących postępów w badaniach nad merami.

Reede poczuł, jak mdłości wzbierają w nim niby żywa istota, ledwo zdołał je opanować.

– Pracuję nad tym, ty łotrze! Dostanę próbkę krwi – gołymi rękoma zabiję pieprzonego mera, jeśli tego właśnie chcesz. Dam ci, czego pragniesz. Ale nie ją. Do tego nie dojdzie. Nie ze mną.

– Myślałem, że cię nie obchodzi.

– Nie...

– A może chodzi o Mundilfoere?

Reede szarpnął się w bezsilnej złości. Wayaway odsunął się, gdy wstał i odszedł od stołu, skierował ślepo w stronę windy, mimo iż wiedział, że jest więźniem, że nie zareaguje na jego wezwania, dopóki Źródło na to nie pozwoli.

– Reede. – Coś w głosie Źródła zatrzymało go w miejscu. – Mam coś dla ciebie.

Odwrócił się powoli, ponaglał oczy do patrzenia na to, co czekało nań na stole. Rzucił się przez pokój, złapał fiolkę, nim mogła zdążyć zniknąć, wlał zawartość do ust.

Zacisnął gwałtownie gardło, nim zdołało cokolwiek przełknąć – jego wargi, język zauważyły coś niewłaściwego. Splunął; struga ciepłej krwi niby bogate wymiociny zaczerwieniła jego ubranie, dłonie, stół.

– Cholera! – sapnął. – Cholera...! – Tryskające z drżących mokrych rąk purpurowe krople padły na Wayawaya. Tiamatańczyk zaklął wściekle.

– Czyja jest? – krzyknął Reede w ciemność. – Czyja? Czyja? – Wytarł usta rękawem,

pozostawiając na nim czerwoną smugę. Znowu splunął.

– Krew mera – powiedział Źródło. – Potrzebna ci do kontynuowania badań...jak już mówiłem. Ponieważ nie zdołałeś zdobyć jej sam, sprowadziłem ją za ciebie, korzystając z pomocy obecnego tu Wayawaya. Reszta czeka na ciebie w laboratorium. Chcę, byś poszedł tam teraz i wziął się do pracy.

Reede spojrział na swe drżące, zakrwawione ręce, na pustą fiolkę leżącą na stole.

– Nie mogę. Nie mogę pracować w takim stanie! Potrzebuję...

– Wiem, czego potrzebujesz – powiedział Źródło miękko. – Zobaczysz, że to też na ciebie czeka... Idź już.

Reede wytarł dłonie w koszulę, przełknął zółć. Zerknął na Wayawaya, znowu podnoszącego głowę. Tiamatańczyk przyglądał mu się z chorobliwą ciekawością. Reede pochylił się gwałtownie i na ślepo wymierzył mu policzek otwartą dłonią. Potem cofnął się i przeszedł w stronę windy. Drzwi tym razem otworzyły się przed nim i wpuściły do środka.

Kirard Set Wayaway potarł twarz, zaskoczony znie wagą w zdumieniu patrzył na Kullervo wchodzącego do windy i znikającego mu z oczu. W końcu popatrzył na bezkształtną ciemność nazywającą się Źródłem, zrozumiał, że został z nią sam na sam. Nigdy dotąd nie znalazł się w takiej sytuacji i pamiętając, czego dopiero co był świadkiem, nie wiedział niespodziewanie, czy powinien się czuć zaszczycony, czy zdenerwowany.

– Wayaway u... – rozległ się znowu zniszczony głos Źródła. Kirard Set usiłował przywołać na twarz wyraz chłodnego wyczekiwania.

– ...okazałeś wielkie możliwości. Pochwalam twą dotychczasową pracę. Wydajesz się chętnie zabierać do dzieła. Spodziewam się, zostaniesz wyniesiony w Bractwie i będziesz rad z nagrody.

Kirard Set uśmiechnął się radośnie, ale jego dłoń tarła ciągle swędzącą twarz.

– Nie przejmuj się zbytnio nieznośnym zachowaniem Kullervo – mruknął Źródło. – Ma przeciążony umysł. A niedługo przeciąży go jeszcze bardziej. Może zechcesz mi pomóc w dopilnowaniu, by się tak stało. Pragnę, by skonsumował swój związek z Ariele Dawntreader. Nie doszłoby do tego, gdybym miał polegać tylko na nim. Należy do mnie... ale lubi udawać, że ma jakiś wybór. – Prychnął z rozbawieniem. – Ten międzygwiazdny romans wymaga dodatkowego wysiłku. Możesz pomóc mi zobaczyć, jak się spełnia.

Kirard Set kiwnął głową, tym razem skwapliwiej, nie przestawał przyciskać dłoni do policzka.

– Oto, co masz zrobić...

TIAMAT: Krwawnik

Moon podeszła wraz z Clavally Bluestone do domu Fate Rayenglass i zapukała do zamkniętej górnej części drzwi. Usłyszała zbliżające się kroki i znajomy głos, miauknął kot, który nieostrożnie wszedł pod nogi. Otworzyła się górna połowa wejścia i niewidzące oczy gospodyni spojrzały na przybyłe. Fate uśmiechała się, choć nie dostrzegała ich twarzy, bo spodziewała się gości.

– Wejździe, wejździe... – witając się otworzyła dolną połowę drzwi i dwa nakrapiane koty znalazły się nagle pod nogami wchodzących kobiet. Kilka lat wcześniej zdechł w końcu stary szary kocur Fate i Tor, by go zastąpić, przyniosła z restauracji aż dwa inne zwierzęta. – Co to? Przyniosłyście jedzenie? – gospodyni pociągnęła nosem. – Czy oznacza to, że zamierzacie omówić nie tylko sprawy Kolegium?

– Wszystkie musimy jeść, a przy obiedzie czemu byśmy nie miały trochę poplotkować? – wesoło rzekła Clavally, stawiając zakryty koszyk na stole w pomieszczeniu, które w czasach wyrobienia przez Fate masek stanowiło warsztat. Ostatnio, gdy Kolegium przeniosło się aż do pałacu, kończącego długą spiralną drogę, a w mieście zaroilo się od pozaziemców, Fate coraz rzadziej wychodziła na zewnątrz, obie dobrze o tym wiedziały. Lata zwalniały jej ruchy, odbierały pewność nogom, gromadziły trudności, stopniowo ograniczając przestrzeń maskarki do własnego domu.

– No to powiedzcie mi, co nowego? – Fate podeszła do krzesła, we własnych, ciasnych wnętrzach poruszała się swobodnie. Skinęła ręką, zapraszając gości, by usiedli. – Czy któraś z was odwiedziła już klub Tor? Podobno świetnie jej idzie. Bardzo mnie to cieszy, wiem, o czym zawsze marzyła. Choć wstyd, że teraz nigdy jej nie widuję. – W tle dzielnie powściąganym słów Moon usłyszała ogromną samotność i żal.

– Nie – odpowiedziała Moon, zawtórowało jej echem zaprzeczenie Clavally. Spojrzały po sobie, uśmiechając się z wahaniem. – Zbyt zatłoczony – dodała.

– Zbyt hałaśliwy – powiedziała Clavally. Otworzyła koszyk, rozłożyła ciasto z mięsem. – To dobre dla pozaziemców nie wiedzących, czym jest milczenie, i dla młodzieży, która nie chce wiedzieć.

– Niestety – rzuciła Fate, biorąc pasztecik w opakowaniu pokrytym niezrozumiałym pozaziemskim pismem. Wciągnęła zapach potrawy, odgryzła ostrożnie kawałek i westchnęła, kiwając z uznaniem głową. – Wiecie, to całkiem niezłe... Powinnyście pójść do klubu. Zabawcie się! Jesteście jeszcze młode, musicie to wykorzystywać, próbować czegoś nowego. Chętnie posłucham o lokalu.

– Przyślę Ariele, by ci go dokładnie opisała – mruknęła Moon. – Jeśli się jeszcze do mnie odezwie. Mieszka tam, a raczej robiłaby to, gdyby Tor jej pozwoliła.

– Przestań – powiedziała Clavally. – Nie jest tak źle. Ciągłe tyle samo czasu spędza na plantacji z merami, co w Labiryncie z Elco Teelem i całą resztą. Ustatkuje się. Wszyscy młodzi rzucają się na słodczyce pozaziemców, bo nigdy ich przedtem nie próbowali. W końcu się im przejedzą.

– W jaki sposób, skoro co tydzień mają nowe? Zgubili się w morzu bez kompasu i kotwicy. – Moon usłyszała, jak jej głos staje się bardziej ostry; wiedziała, że drażnią ją nie pokusy Labiryntu, lecz reakcje Ariele na nie. – Przynajmniej twoja Merovy wie, co ważne, przyszłość nie jest dla niej wieczną terażniejszością.

– A co u Merovy? – zapytała Fate. – Czy skończyła już naukę na medtecha? A u Tammisa? Teraz, gdy nie odwiedzam Kolegium, brakuje mi jego głosu i muzyki. A u Dany?

– Z Daną wszystko dobrze. Nowe lekarstwo bardzo mu pomogło na plecy, a artretyzm przeszedł

zupełnie. Merovy niedługo otrzyma dyplom – odpowiedziała Clavally.

– Cudownie – uśmiechnęła się Fate. – A Tammis? – przypomniała, gdy nie padły dalsze słowa. – Taka z nich wspaniała para, rokuje wielkie nadzieje na przyszłość.

– W porządku – powiedziała Clavally, ale już bez ożywienia. Moon spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Praca tak oboje pochłania... Merovy skarży się, że spędzają ze sobą za mało czasu. Mina Fate zmieniła się.

– Sądzę, że będzie inaczej, gdy skończy naukę.

– Nie wiem. – Clavally opuściła oczy. – Może. Mam nadzieję. Oby.

– Nie wiedziałam, że mają kłopoty – cicho, w zamyśleniu powiedziała Moon. – Tammis nic mi nie mówił... – Prawie wcale nie opowiadał jej o swoim życiu, a ona tego nawet sobie nie uświadamiała. W czasie spotkań rozmawiali o merach lub badaniach, nigdy o sprawach osobistych. Ariele unikała jej, jakby była zaraźliwą chorobą.

Moon dostrzegła, że Tammis wygląda na bardziej ponurego niż zwykle, zaś Ariele na bardziej ożywioną, ale aż dotąd się nad tym nie zastanawiała – podobnie jak nad przyczynami, dla których żadne z nich nie zadało pytania, jakiego wyczekiwała od miesięcy: kto jest ich prawdziwym ojcem. Nigdy nie zapytają... zrozumienie tego wywołało u niej tylko ulgę.

To ona, a nie oni, odpowiadała za ich wychowanie. Zbyt zajmowała się sprawami Hegemonii... własnymi trudnymi uczuciami wobec obojga mężczyzn mających równe prawa do tytułu "ojca". Zbyt była tym pochłonięta... zupełnie jak Arienrhod. Poczucie winy wierceło się w jej żołądku niby wąż. Sięgnęła po pasztecik, choć nagle straciła apetyt.

– Spróbuję z nim pomówić – powiedziała. Spróbuję. Starła się o to od tygodni, nawet miesięcy, bez żadnego rezultatu.

– A co ze Sparksem? – Fate przerwała niezręczne milczenie gości swym zdecydowanym, dobrodusznym głosem. – Minęło trochę czasu, odkąd mnie odwiedził. Czy nadal pracuje nad programem odtworzenia fragmentów uszkodzonej fugi? Powiedział mi kiedyś: "Przypomina to naprawianie matematycznej koronki". Zdumiewa mnie jego umysł...

Moon śledziła wzrokiem nierówne, przypadkowe wzory sklejin na starym blacie stołu, uprzytomniła sobie, że nie ma pojęcia, czy Sparks nadal pracuje nad tym projektem.

– Nie wiem. Ostatnio rzadko bywa w pałacu. Zajął się... zajął pewnym... przedsięwzięciem, razem z kilkoma Zimakami, którzy byli... mu bliscy w czasach związku z Arienrhod. – Głos jej cichł, aż stał się ledwo słyszalny.

– Ach – powiedziała tylko Fate. Odwróciła głowę, jej oczy wędrowały przypadkowo po pokoju. Moon zastanowiła się, co widzi w swych myślach.

– Nie przyszłyśmy tutaj, by psuć ci dzień gorszymi stronami naszego życia, które pewnie szybko miną – Clavally zmusiła się do uśmiechu. – Wszystko się zmienia, dzisiejsze łyzy stają się w końcu jutrzejszymi drobiazgami.

– A mówiąc o zmianach... – Moon z umyślną lekkością podjęła ton Clavally. – Dowiedziałam się od pozaziemskiego rządu, iż już za kilka miesięcy Premier z Radą złożą swą tradycyjną wizytę na Tiamat.

– Za kilka miesięcy? – powtórzyła Fate z wyraźnym zdumieniem. – Czy nie za wcześniej? Przybywali tu co... dwadzieścia dwa lata, prawda?

– Pamiętaj, że gdyby nie odzyskanie napędu gwiazdowego, zjawiliby się za sto lat – uśmiechnęła się Moon. – Tak się cieszą, że jesteśmy nowym klejnotem w ich koronie, że zerwali z własną tradycją i odwiedzą nas poza kolejnością. – Jej uśmiech i słowa stały się lekko ironiczne.

– Rzeczywiście? – zapytała Fate, nie wyzbywając się wątpliwości.

– Tak mówią – odpowiedziała Moon. – Inną sprawą mogą być ich zamiary. Pozaziemcy zachęcają nas, byśmy w czasie ich przyjazdu urządzili tradycyjne Święto, uczcili w ten sposób, jak to określili, "nowy związek naszych kultur". Powiedziałam, że się dostosujemy... A czemu by nie? – Poczwała, jak coś drży w niej niby sprężyna. – Możemy również radośnie, po swojemu, przywitać zmianę, jak zawsze to robiliśmy; nastąpi i tak, czy będziemy tego chcieli, czy nie. Oto znaczenie Święta: to właśnie zawsze symbolizowało: zmiany witać trzeba radośnie i uroczyście, wypełnić ich nastanie pięknem i życiem, by w ten sposób zachować w pamięci.

– Czy nastąpi Noc Masek? – zapytała Fate, pochylając się nad stołem.

– Jakżeby mogło jej zabraknąć? – Moon dotknęła jej ręki, przypomniała sobie maskę Królowej Lata. – Musimy we właściwy sposób odrzucić nasze stare życie, bo nowe będzie już na nas czekać.

– Ależ potrzeba lat – dziesięcioleci – by przygotować maskę dla każdego. Całe rody maskarzy pracowały pomiędzy jednym Świętem a drugim, by zrobić wszystkie... – Moon dostrzegła na twarzy Fate nagłe zrozumienie i żal. Tym razem nie znajdzie się między nimi.

– Mamy teraz fabryki – powiedziała Moon, zacisnęła ręce obejmujące dłonie Fate. – Mogą się zająć czynnościami powtarzalnymi... Maski tym razem będą mniejszym dziełem sztuki, ale za to zdążymy je wykonać. Przed następnym Świętem będą i liczne, i piękne. Tor poleciła mi niejakiego Coldwatera, uważa, że chętnie się tym zajmie, a jego urządzenia po dokonaniu drobnych przeróbek sprostają zadaniu. Powiedziała też, że można wykorzystać część ogromnej góry odpadków, którymi tak obficie obdarzają nam pozaziemcy... – Zerwała plastikowe opakowanie z pasztecika z mięsem. – Śmieci nadadzą się na surowiec na formy masek. Uważa, że może zechcesz doradzać Coldwaterowi w sprawach potrzebnych zapasów i wzorów...

Twarz Fate uspokoiła się w czasie tych słów, maskarka zmieniła swe oczekiwania i rozważyła możliwości, jakie zmiana przed nią otworzyła.

– Tak... tak, to chyba możliwe...

Rozległo się pukanie do drzwi. Zaskoczone nim, odwróciły się razem.

– Dziś jest dzień niespodzianek – powiedziała Fate. Clavally zaczęła wstawać; Moon powstrzymała ją, zrobiła to sama. Zdziwione wyraźnie, choć tego nie okazujące, kobiety pozwoliły jej podejść do drzwi. Królowa sięgnęła po klamkę, przeświadczona, iż to Sparks przybył odwiedzić Fate, podzielić się z nią tym, czego nie dzielił z własną żoną. Nagle zapragnęła mu powiedzieć, że nadchodzi następna Zmiana, że otrzymają kolejną szansę odrzucenia dawnego życia i rozpoczęcia od nowa... Otworzyła drzwi.

Wstrzymała oddech, wpatrując się w ujrzaną, niespodziewaną twarz.

– BZ – szepnęła. Dostrzegła, że jest równie oszołomiony co ona.

– Moon...? – Zerknął na dom, do jego wnętrza, znowu na nią. – Czy to dom Fate Ravenglass?

Kiwnęła głową i odsunęła się na bok, otworzyła dolną połowę drzwi, by go wpuścić. Był sam, bez ochrony i nie w mundurze. Miał na sobie tunikę z szerokimi rękawami, spodnie, ciemny płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie; zwyczajne ubranie przedsiębiorcy czy kupca z Kharemough. Na ulicy nie zwróciłby jej uwagi. Patrzył na nią z takim samym zdumieniem, ujrzał ją w tubylczym stroju, który nadal najchętniej nosiła, gdy wymagania polityki czy obrzędów nie zmuszały do zakładania oczekiwanej przez innych sukni.

Wszedł do pokoju, zamrugał, przystosowując oczy do światła i obecności Moon. W końcu oderwał od niej wzrok, zauważył Clavally i Fate.

– Sędzia Gundhalinu – powiedziała Fate bardzo spokojnie. Uśmiechnął się nieśmiało.

– Rozpoznała pani mój chód.

– Nie jest pan w mundurze, nosi inne buty – powiedziała. – Ale i tak pana poznałam. Witam. Co

pana do mnie sprowadza?

– Specjalna przesyłka, Fate Ravenglass. – Przeszedł przez pokój. Moon poszła za nim, wymijając koty. Patrzyła w milczeniu, jak wyjmując paczkę spod płaszcza i kładzie na pokrytym smugami kleju stole. Otworzył pojemnik i coś bardzo ostrożnie z niego wydobył – lśniąca siatkę przypominającą czepki używane przez pozaziemców, choć Moon nigdy nie widziała takiej jak ta. – Proszę... – BZ włożył ją na czoło Fate, z ogromną troskliwością rozciągnął włókna; Moon patrzyła z zapartym tchem, jak zdają się one ożywać, dostosowywać do kształtu głowy gospodyni.

Fate, której bezruchu nie przerwało nawet dotknięcie gościa, sapnęła nagle i zeszywniała z uniesionymi rękoma – nie zamierzała zedrzeć siatki ani nawet jej dotknąć, w zamian wyciągnęła dłoń do piersi Gundhalinu. Podniosła się powoli, chwycił ją za rękę, podtrzymał, aż stanęła przed nim, spojrzała w twarz. Jej własne oblicze wypełniło zdumienie.

– Sędzio Gundhalinu... – mruknęła. – Widzę pana! – Uniosła dłoń do jego twarzy, dotykała rysów, sprawdzała ich prawdziwość.

– Dobrze – powiedział cicho, w jego tiamatańskim czuć było lekki obcy akcent. – To dobrze... tak powinno być. – Uśmiechnął się.

Fate odwróciła się od niego, poruszała niepewnie, dostosowując nagle podawane przez oczy dane do wiadomości innych zmysłów. Spojrzała na Moon, przyglądała się jej długo i choć oczy maskarki nadal przypominały potraskane okna, to Królowa po wyrazie jej twarzy poznawała, co widzi. Niepewny uśmiech gospodyni rozszerzył się, wzmocnił wiarą.

– Pani... Moon... pamiętam ciebie – mruknęła. – O tak, kochana... Pamiętam chwilę, kiedy to nałożyłam na twoją głowę maskę Królowej Lata. – Podeszła, by teraz niemal pieszczotliwie dotknąć twarzy Moon, a potem Clavally, której nigdy przedtem nie widziała. – Jesteś taka, Clavally Bluestone, jaką cię sobie wyobrażałam – powiedziała z zadowoleniem. Clavally ścisnęła jej rękę.

Fate odwróciła się znowu w stronę Gundhalinu, tym razem dotknęła lśniących włókien pokrywających jej skórę.

– Teraz widzę znacznie wyraźniej. Urządzenie, które miałam przed odlotem, nie dawało mi takiego wzroku. Nawet w snach nigdy tak wyraźnie nie widziałam... – Jej dłonie lekko zadrżały.

– To najlepszy z dostępnych systemów czujników nie wymagających operacji.

– Dziękuję – mruknęła Fate. Dłuższą chwilę przyglądała mu się niespokojnymi oczyma. – Zapomniałam...

– O mojej obietnicy? – zapytał. – Ja nie zapomniałem, ale niestety, przedarcie się specjalnego zamówienia przez bagno biurokracji musiało trochę potrwać.

– Sędzio Gundhalinu – Clavally zadała pytanie, którego wargi Moon nie chciały sformułować – dlaczego pan to zrobił?

Spojrzał na nią, jakby przez chwilę nie mógł sobie wyobrazić, że można w ogóle o to pytać.

– By naprawić stare zło.

– Masz na myśli Odlot? – zapytała Moon, sądząc, że chodzi mu o wszystkie rzeczy, które tak jak wzrok Fate przepadły po porzuceniu ich przez Hegemonię.

– Och, moje ślicznotki! – Fate pochyliła się, by pogłaskać ocierające się o jej nogi koty. – Patrząc na was, nie wyobrażałam sobie, że jesteście takie kolorowe...

BZ pokręcił głową, wpatrywał się w Moon, lecz jego oczy zawierały tajemnicę, którą się nie chciał podzielić.

– Zło jeszcze starsze – i bardziej osobiste. Fate wyprostowała się z kotem pod każdą pachą.

– Jest pan sybillą, Sędzio Gundhalinu – powiedziała, patrząc na niego, na koniczynkę wiszącą na koszuli. Mimo iż nie było to pytanie, odpowiedział: – Tak – dziwnie napiętym głosem.

Palce Moon dotknęły jej znaku sybilli, zrozumiała po raz pierwszy, że podobne noszą wszyscy obecni w tym pokoju. Patrzyła, jak wzrok BZ przeskakuje z twarzy na twarz, jakby nagle uświadomił sobie to samo. Znowu na nią spojrzął, na twarz, blade, splecione włosy, niżej, na praktyczny tubylczy strój. Bezwiednie zacisnął dłonie na ciemnoniebieskiej tkaninie swej prostej, zwykłej koszuli. Jego oczy zdradzały, że nie widzą ani Królowej, ani Głównego Sędziego.

Moon z nagłą wyrazistością przypomniała sobie chwilę sprzed połowy życia, kiedy to podczas Świąta czuła się zagubiona w tym dziwnym mieścieświecie. Tak patrzył na nią wtedy, dosięgał wzrokiem serca, niby światło przebijające szyby okna...

Gwałtownie odwrócił wzrok.

– Muszę wracać – mruknął. – Moi współpracownicy myślą, że jestem na przerwie obiadowej.

Fate uśmiechnęła się do niego, wypuściła koty i w milczącym pożegnaniu podniosła rękę. Moon patrzyła z zazdrością, jak dotknął ich krótko.

– Bądź błogosławiony – powiedziała Fate. Uśmiechnął się do niej.

– Potrzebne mi błogosławieństwo, bym wypełnił tu swe zadanie. – Kiwnął głową im wszystkim i nie patrząc na Moon, ruszył do drzwi.

– Chwilkę... – powiedziała Moon. Odwrócił się, zaczekał, aż weźmie ze stołu swój nie tknięty pasztecik. – Nie wychodź bez czegoś do jedzenia po drodze... Sędzio Gundhalinu. – Na wpeł świadomie wcisnęła mu potrawę, potrzebowała pretekstu, by choć na chwilę go dotknąć, przekroczyć dzielącą ich odległość. Biorąc pasztecik, szybko, ciepło ścisnął jej palce i uśmiechnął się, tym razem patrząc prosto w oczy Moon. Nim się odwrócił, zdążyła dostrzec w nich głód. Wychodząc spojrzął na nią jeszcze raz; patrzył ciągle, gdy zamykały się drzwi.

Odwróciła się powoli, zobaczyła, że Clavally i Fate przyglądają się jej uważnie. Poczuła, że się rumieni, i opuściła wzrok, uciekając przed nie wypowiedaną ciekawością.

– To dobry człowiek – powiedziała w końcu Clavally, jakby ze zdziwieniem. – Nie sądziłam, że to możliwe, zwłaszcza u pozaziemca mającego taką władzę.

– Tak naprawdę, to się od nas nie różnią – mruknęła Moon. Szarpnęła za rękawy, podniosła głowę. – To tylko ludzie. Chcą tego samego co my...

Fate pokręciła głową, patrzyła na Moon z dziwną miną, ale potem spojrzała na własne dłonie, odwracała je kilka razy. Krocząc ostrożnie przez pokój, podeszła do malowanej drewnianej skrzyni stojącej pod oknem z kryształowymi szybami. Podniosła pokrywę i zaczęła przeszukiwać wnętrze. Z cichym okrzykiem wyciągnęła coś i podniosła. Zalśniło światło, przypadkowy promień ugodził oczy Moon. Zrozumiała, że Fate trzyma lustro.

Moon patrzyła, jak Fate odwraca się w stronę światła, by spojrzeć na swe odbicie, którego chociażby mgliście nie oglądała od niemal dwudziestu lat. Powoli uniosła wyraźnie drżącą rękę, dotknęła głębokich zmarszczek na swej twarzy, białych włosów, nie przypominających tych, które widziała podczas poprzedniego zajrzenia do lustra. Opuściła dłoń i nadal powoli, ostrożnie odłożyła zwierciadło do skrzyni, zamknęła jej wieko. Po odwróceniu się ujrzała w oczach gości potwierdzenie tego, co zobaczyła własnymi.

– Ciągle czuję się tą samą osobą co przedtem. Skąd wzięło się to ciało...? – Bezradnie rozłożyła ręce.

Moon opuściła wzrok, poczuła, że stojąca obok Clavally czyni to samo. Zmusiła się do podniesienia głowy, nagle w zupełnie innym świetle zobaczyła kobietę, którą zawsze знаła.

– Fate – powiedziała, gdy coś zrozumiała. – Noc Masek... Fate wyprostowała się, rozjaśniła twarz, gdy wróciły myśli, jakie porzuciła podczas ostatniego Świąta. Sięgnęła nimi w przyszłość.

– Tak, oczywiście... – powiedziała, podchodząc do nich, unosząc dłonie. – Mogę znowu

pracować. Zrobię tylko kilka masek, ale za to szczególnych... Moja droga, dostaniesz jedną godną Królowej.

TIAMAT: Krwawnik

– ... jak pan widzi na swoim ekranie, dane wyraźnie popierają obywatela Wayawaya. Potwierdzają, że tak pragnienia ludności, jak i względy historyczne wskazują, iż po naszym powrocie Królowa Lata powinna zostać zastąpiona przez Zimaków. Zwykle odbywa się to podczas tak zwanego przez nich Święta, kiedy to czczą wizytę Premiera...

Na ekranie przed siedzącym Gundhalinu migotały dane dostarczane przez Echarthe, podczas gdy on sam ukradkiem składał kawałek opakowania w coraz to mniejsze trójkąty. Podniósł głowę, skrywając dłonie pod wypełniającym salę rady stołem w kształcie obwarzanka. Zerknął przelotnie na siedzących przy nim członków Sądu i rządu; wyobraził sobie zajmujących te same fotele członków Kolegium Sybilli Królowej Lata i innych przywódców Tiamat. Jediną postacią, która istniała na obu obrazach, była ta... Kirarda Seta Wayawaya.

Przekonał się, że Wayaway patrzy na niego, jakby ani na chwilę nie spuszczał zeń oka. Tiamatańczyk zauważył spojrzenie Gundhalinu i przyjął je uśmiechem bardziej dla Głównego Sędziego ohydny niż jakikolwiek widziany przezeń w życiu wyraz ludzkiej twarzy, ponieważ potrafił oślepić go niby snopem światła i wzbudzić nieracjonalną, dławiącą duszę wściekłość... BZ zmusił się, by bez zmruczenia oka przyjąć wzrok Wayawaya, zacisnąć pięści skupienia wokół gniewu, zdławić go opanowaniem.

Tiamatańczyk wkradł się w łaski niemal wszystkich obecnych w sali, stał się u nich stałym gościem. Był oficjalnym przedstawicielem Rady Miasta, domagającej się przywrócenia polowań na mery – działał przeciwko Królowej, choć według pogłosek należał uprzednio do jej najbardziej lojalnych zwolenników.

Kilka tygodni wcześniej przyszedł do urzędu Gundhalinu, promieniując wdziękiem i potajemną wiedzą, napomykając z ledwo skrywaną złośliwością, że jeśli Sąd nie udzieli zezwolenia na podjęcie łowów na mery, dostarczy Radzie pewnych informacji na temat prawdziwego charakteru stosunków między hegemońskim Głównym Sędzią a Królową Lata.

Gundhalinu wysłuchał go w milczeniu, a potem przedstawił Wayawayowi zapis wszystkich jego słów, opracowany w czasie ich wypowiedzenia. Sędzia usunął wszystkie mogące obciążać go szczegóły, pozostawiając jedynie litanie usiłowań przekupstw i wymuszeń.

– Wiem, że ma pan przyjaciół – powiedział cicho. – Ja także. Niech pan pójdzie, póki jeszcze może to zrobić.

Wayaway przejął się tymi słowami, zaprzestał bezpośrednich ataków. Zamiast tego zaczął okrążyć Gundhalinu, docierać za jego plecami do innych członków Rady. Nie domagał się już od nich przywrócenia polowań na mery, ponieważ Główny Sędzia unieważnił głosowanie Rady i stwierdził, że sprawa ta tradycyjnie podlega prawu tiamatańskiemu, znajduje się w gestii Królowej Lata. Wówczas Tiamatańczyk podążył zawzięcie za tym tokiem rozumowania i jednym szybkim, zabójczym ciosem zyskał dla siebie poparcie prawa Tiamat.

– Podważam przekonanie, iż większość Tiamatańczyków jest niezadowolona z Królowej i pragnie zastąpienia jej przez inną – powiedział Gundhalinu. – Dane są tego marnym dowodem. Zresztą, gdyby nawet tak było, nie mamy uprawnień, by ją usunąć...

– Panie sędzio, nie rozmawiamy o usunięciu jej przez nas – wtrącił się Echarthe. – Stanie się to zgodnie z ich własnymi tradycjami. Zalecałbym jedynie dopilnowanie, by po ostatecznym przybyciu Zgromadzenia postąpili zgodnie z nimi.

– Wtedy naprawdę będziemy mieli co świętować – powiedział Sandrine ze złośliwym uśmiechem. – Gdy przypadnie ta kochająca Matkę suka, a zaczną rządzić Zimacy, rozwiązane zostaną

wszystkie kłopoty z rządem miejscowym, który uniemożliwia nam dostęp do wody życia. – Przy stole rozległ się śmiech i pomruki zgody.

– Nie uważam, by obłuda i groźby wobec miejscowej głowy rządu nadawały się na temat żartów – rzucił Gundhalinu. Siedzący obok Vhanu uniósł brwi.

Sandrine skrzywił się, wyraźnie okazując zdenerwowanie.

– Nie sądziłem, że mówię coś zabawnego.

– Jeśli nie, to zdradzieckiego – odparł Gundhalinu, czując, jak sam się krzywi. – Stwierdziłem jasno, że nie będę w naszej Policji tolerował pogardliwego stosunku do ludności Tiamat. Takie zachowanie jest nie do przyjęcia także wśród członków mojego rządu.

– BZ – mruknął Vhanu w sandhi, lekko trącając Gundhalinu w ramię. – Jesteśmy tu przecież wśród przyjaciół. Wszyscy jesteśmy Technikami, rozumiemy się nawzajem. Sytuacja byłaby trudna nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, a obecne na pewno takie nie są. Pozwól nam na odrobinę luzu, dobrze?

Gundhalinu głęboko odetchnął.

– Chyba masz rację – powiedział cicho w sandhi. Uświadomił sobie, że własny język zaczyna, znowu brzmieć dla niego obco. Zaczął nawet myśleć po tiamatańsku.

– Sędzio Gundhalinu, od chwili swego przybycia broni pan wymownie praw mego ludu – powiedział Wayaway. – Jesteśmy panu za to głęboko wdzięczni. – Uniósł ręce w rodzaju machnięcia. – Czemu więc nagle występuje pan przeciwko Zmianie, będącej na Tiamat tradycją znacznie dłuższą aniżeli cykl waszych przybyć i odejść?

– Właśnie dlatego, że owa tradycja jest taka dawna – odpowiedział opanowany znowu Gundhalinu. – Panuje tu nowy porządek, prawa Zmiany przestały już czemukolwiek służyć, stając się przejawem barbarzyństwa. Poparłem większość ulepszeń wprowadzonych przez Królową podczas naszej nieobecności, ponieważ są one pożyteczne i sprzyjają utrzymaniu rodzaju stosunków, jakie pragnę stworzyć pomiędzy naszymi ludami, które odtąd będą w stałych kontaktach. Nie da się jednak obronić ofiar z ludzi...

– Ale to część naszych wierzeń religijnych. – Wayaway wskazał na dane na ekranie, jego głos brzmiał niemal obraźliwie. Patrzył na Gundhalinu z zimną pogardą. – Czyż nie na ich podstawie broni pan zarządzanej przez Królową ochrony merów? Czyż nie do nas powinno należeć stwierdzenie, czy obrzędy Zmiany są nam nadal potrzebne? Czy jest pan szczególnie osobiście zainteresowany pomyślnością Królowej, przez co sprzeciwia się wszystkiemu, co może jej zagrozić?

Gundhalinu poczuł nagle na sobie wzrok Vhanu; usłyszał, jak inni zasiadający przy stole dostojnicy zaczynają mruzczyć między sobą.

– Przedstawiłem powody, dla których sprzeciwiam się ofiarom. Nie muszę dodatkowo bronić mego stanowiska – oznajmił obojętnie.

– Panie sędzio – powiedział Vhanu – tym niemniej jest faktem, iż usunięcie Królowej Lata służyłoby obu stronom. Jest nieugiętą fanatyczką. Panuje dożywotnio i nic nie wskazuje, by w najbliższym czasie umarła z przyczyn naturalnych. Uważam, że powinniśmy poważnie się zastanowić nad sposobnością pozbycia się Królowej.

Gundhalinu popatrzył na niego, szybko odwrócił wzrok, niepewny swej twarzy.

– Premier i Zgromadzenie wywołają tu piekło, jeśli nie będzie na nich czekać woda życia – powiedział minister handlu Borskad.

– I zamieszki zamiast uroczystości – mruknął Wayaway. – Mogę zapewnić, że pańskie próby niedopuszczenia do obrzędu będącego podstawową częścią naszej kultury doprowadzą do podgrzania nastrojów, niewątpliwie dojdzie do publicznych protestów, a nawet aktów przemocy.

– Obywatelu Wayaway, czy grozicie Hegemonii? – zapytał ostro Gundhalinu.

Wayaway zeszywniał i cofnął się w fotelu.

– Premier i Zgromadzenie to figuranci, pozbawieni prawdziwej władzy – powiedział Gundhalinu niecierpliwie, wytrzymując wzrok wszystkich siedzących przy stole – nie mający przy tym najmniejszego pojęcia o złożoności miejscowych spraw.

– Ale za to Centralny Komitet jest bardzo wpływowy – stwierdził Tilhonne. – Mój wuj zagroził już, że jeśli nie osiągniemy jakiegoś kompromisu z Królową, przybędzie tu osobiście i przekona się, co w imię jego świętych przodków robimy. Zamieszki wybuchły podczas przybycia Zgromadzenia wystarczająco, by rozpoczął śledztwo. A to zniszczy kariery nas wszystkich. – Wyglądał na bardzo niezadowolonego z tej perspektywy.

Gundhalinu ledwo powściągnął skrzywienie się, wiedział, że troska Tilhonne'a jest uzasadniona. Mógł rządzić tu samodzielnie, dopóki nie ściągał na siebie zbyt wielkiego niezadowolenia. Popatrzył na wiszącą na ścianie Pieczęć Hegemonii, symbolizującą Osiem Światów słońce z promieniami.

Rozległy się wokół inne głosy pełne niecierpliwości, zatroskania – wszystkie martwiły się o jedno, a nie było tym dobro Królowej Tiamat.

– Wnoszę o głosowanie nad przyjęciem prośby wniesionej przez obywatela Wayawaya – powiedział Borskad, zauważając ruch na swoim ekranie. – Dotyczy ona wprowadzenia pełnej Zmiany, obejmującej powrót Zimy do władzy zgodnie z tradycyjnymi praktykami wynikającymi z ich własnych, teokratycznych obrzędów.

– Nie zgadzam się – powiedział Gundhalinu. Przesunął ręce na tabliczkę dotykową, wygasił ekran automatycznym weto.

Echarthe dotknął swej tabliczki, pozostali kolejno zrobili to samo. Wayaway przyglądał się temu z uśmiechem i dłońmi na udach. Gundhalinu obserwował wyniki. Gdy okazało się, że wszystkie głosy są skierowane przeciwko niemu, na każdym ekranie pojawił się znowu wniosek Borskada.

– Weto odrzucone, panie Sędzio – powiedział Borskad, niecierpliwie strzelając palcami. – Tiamatańczycy muszą mieć możliwość wpływania na własny rząd.

– Nie pozwolę na to – powtórzył Gundhalinu martwym głosem. – Wykorzystam Policję.

– BZ, nie możesz tego zrobić – mruknął Vhanu. Gundhalinu odwrócił się, spojrzał mu w oczy. – Tylko ja nią kieruję – dodał komendant. Sędzia dojrzał w jego oczach żal i niezadowolenie, ale też brak wątpliwości. – Nie zapobiegiesz temu.

Gundhalinu odwrócił się od niego, ujrzał na wszystkich twarzach zdecydowanie i upór. – Cholera, nie pozwolę na złożenie Królowej w ofierze!

– Panie sędzio, nie mamy innego wyboru – powiedział Borskad otwarcie. – Hegemonia pragnie wody życia. Będziemy musieli ją dostarczyć, bo znajdą kogoś innego, kto to robi.

– Nie mamy żadnych możliwości. – Vhanu pokręcił głową. – Owa kobieta i jej kłopotliwe żądania doprowadzą do tego, że wszyscy stracimy swe stanowiska – nawet ty, BZ. Wolałbym, żeby przepadła Królowa niż cały rząd, a ty? Ja w każdym razie po tylu latach wysiłków włożonych w osiągnięcie tego celu nie jestem gotów do stracenia wszystkiego. A taki właśnie będzie wynik.

– Chyba że... – Wayaway rzucił te dwa krótkie słowa, zczekał, by wywołana nimi fala doprowadziła do całkowitego milczenia.

– Chyba że? – Gundhalinu zmusił się do pytania, wiedział, że pokora na pokaz i kryjące się za nią poniżenie są niezbędnymi elementami równania Wayawaya.

– Chyba że zmienicie swe poprzednie zasady i pozwolicie na polowania na mery. Wówczas każdy otrzyma to, czego pragnie najbardziej – Hegemonia wodę życia, Tiamat płynące z niej zyski, a

pan ocali Królową. W ten sposób każdy będzie zadowolony... może z wyjątkiem Królowej, ale mam wrażenie, iż nawet ona przedłoży rozczarowanie nad śmierć. Jestem pewny, że dopóki ludzie będą otrzymywać, co chcą, dopóty pozwolą jej panować. Jak na Letniaczkę była dość oświeconą kobietą, nim nie opanował jej nieszczęsny bzik religijny na punkcie świętości merów...

Wokół stołu znowu rozległy się pomruki; tym razem były popierające, namawiały Gundhalinu do zgody. Wayaway siedział w milczeniu, patrzył prosto na niego poprzez obwarzanek wypolerowanego, miejscowego drewna.

– Brzmi to sensownie – mruknął Vhanu do ucha Gundhalinu, w jego głosie brzmiała zachęta i rada.

Gundhalinu odwrócił się od niego, zacisnął wargi i znowu spojrzął na Wayawaya. Zginą mery albo Królowa, mówiły mu oczy Tiamatańczyka. Wybieraj.

– Zgoda... – Gundhalinu opuścił wzrok. – Zgoda – powtórzył silniejszym głosem, jakby znowu panował nad sytuacją. – Odwołuję mój zakaz polowań na mery. Ale nie dojdzie do żadnych innych ofiar, żadnych Zmian w dawnej postaci. Letniacy i Zimacy będą musieli od tej chwili znaleźć inny sposób postępowania.

– Sędzio Gundhalinu, jest pan równie mądry, co i sprawiedliwy – powiedział Wayaway z uśmiechem.

– Zebranie Rady jest zakończone. – Gundhalinu wygasił ekran i skrycie zgniół w pięści opakowanie po potrawie.

TIAMAT: Krwawnik

– Panie Sędzio, Królowa.

Moon minęła cofającego się przed nią w bok umundurowanego sekretarza. Bezwiednie zerknęła w bok, gdy spostrzegł, że zbyt długo przygląda się jego twarzy. Obcość pozaziemskich rysów, występująca u wszystkich osób widzianych w zespole gmachów rządowych, pogłębiła tylko jej odczucie, że opuszcza bezpieczne schronienie swego świata i wkracza na nie znany teren. Próbowwała nie uważać go za teren nieprzyjacielski, ale wbrew woli taki właśnie ukazywał się jej w myślach. Sekretarz opuścił wzrok, odrobinę zbyt szybko, także o chwilę za długo przyglądał się jej obliczu, dostrzegła w jego minie ciekawość, nic więcej.

Po wejściu do gabinetu stare, znajome wnętrze wprawilo ją nagle w zdenerwowanie obecnością nowych, nie znanych rzeczy. BZ Gundhalinu, Główny Sędzia Tiamat, czekał na nią, siedząc za gładkim, złożonym z kilku części komputerem – układy elektroniczne urządzenia działały w pełni, co dla jakiegoś wypaczonego zakątka umysłu Królowej było równie zadziwiające, jak dostarczający je ludzie. Zastanowiła się, ile jeszcze minie czasu, nim tubylcy i pozaziemcy przestaną się sobie wydawać obcy... czy dojdzie do tego kiedykolwiek.

Oczy BZ spoczęły na jej twarzy, zdradzały wielkie zdumienie i zadowolenie. Na ich widok przestała się czuć niepewnie, mieć wrażenie, iż patrzy na twarz obcego. Uśmiechnął się; stwierdziła wtedy, że nagle boleśnie ścisnęło jej serce coś, do czego obecności tak przywykła, iż sama nie zdradziła nawet śladu istnienia w duszy. Zmusiła się do przypomnienia, czemu tu przyszła, uświadomienia, że nie ma to nic wspólnego z jego widokiem, że zbyt szybko się o tym przekona. Zerwał się z miejsca.

– Pani – pochylił głowę w powitaniu, formalny ton głosu Gundhalinu nie odpowiadał ujrzanemu przez nią wyrazowi oczu, jaki przybrał na widok stojącej przed nim postaci. – Cóż za przyjemna niespodzianka. Witam w moim gabinecie. – Uśmiechnął się szerzej, okrążając biurko, by do niej podejść.

– Witam pana w moim gabinecie, sędzio Gundhalinu – odpowiedziała, wyciągając dłoń w taki sposób, że musiał ją ścisnąć na sposób tiamatański. Ujął jej rękę łagodnie i mocno, trzymał odrobinę dłużej, niż było to konieczne. Gdy ją puścił, zamknęła palce wokół miłego ciepła wnętrza dłoni, przechyliła głowę na bok. Spojrzał na nią badawczo, uśmiechnęła się nieśmiało. – Zajmowałam go, gdy zbierało się tu Kolegium Sybill... działo się tak podczas wszystkich lat waszej nieobecności. – Kolegium spotykało się teraz w pałacu.

– Aha – jego uśmiech zmienił się odrobinę. Zerknął na sekretarza stojącego nadal w drzwiach. – Dziękuję, Stathisie... W czasie spotkania z Królową nie ma mnie dla nikogo. – Sekretarz zasalutował i wyszedł; drzwi zamknęły się za nim, zapewniając odosobnienie. BZ jeszcze przez chwilę stał nieruchomo; Moon wyraźnie odczuwała jego i własne zażenowanie. – Usiądź, proszę. – Wskazał na niski fotel w kształcie skrzydła i wrócił za biurko. – Pani, po raz pierwszy przyszłaś...tu – ledwo powstrzymał się przed powiedzeniem "do mojego gabinetu" – do mnie. Musi chodzić o poważną sprawę. Co mogę dla was zrobić? – Wszystkie poprzednie spotkania odbywały się na jej prośbę w pałacu. Zwykle przybywał na nie w otoczeniu doradców, podobnie ona. Spędzając po każdym bezseną noc, powtarzając każde jego zapamiętane słowo, każdy gest, głowiła się, czy z tego samego powodu. Od chwili przybycia Gundhalinu ani jednej chwili nie spędzili tylko z sobą, podobnie aż dotąd nigdy nie spotykała się z nim na terenach należących do Hegemonii. Pochylił się nad dającą bezpieczeństwo zaporą biurka, prosił ciałem o odpowiedź, jakiej mogła nie udzielić.

– Przybyłam tu, by... – zaczęła i urwała, odwróciła wzrok od jego uważnego wzroku. – Chcę

wiedzieć, dlaczego zmieniłeś decyzję w sprawie merów – powiedziała otwarcie, bo nie mogła zapytać inaczej.

W jego oczach pojawiło się zrozumienie, zawód i coś w rodzaju rezygnacji, zniknęło tak szybko, że Moon nie miała pewności, czy były tam rzeczywiście. – Tak – powiedział.

– Czemu zniosłeś zakaz polowań? Wiesz, że ich zabroniłam – mery są pod ochroną Letniaków. Nie miałeś prawa, żadnych podstaw, by...

Zacisnął usta, jego twarz wyraziła nagle znużenie i zmęczenie.

– Musiałem. Skrzywiła się.

To nieprawda. – Usłyszał w jej głosie chłodny gniew wykrycia zdrady. – Wiesz, co ci o nich powiedziałam... wiesz, co Przekaz mówi o merach; są istotami rozumnymi. – Wykazała to jemu i doradcom, używając jako sybilli samego BZ, zadała mu pytania i usłyszała, jak wobec wszystkich podaje odpowiedź. – Wszyscy to słyszeli!

Opuścił wzrok na złożone na blacie stołu ręce, znowu na nią.

– Prawda nie wystarczała przedtem, by powstrzymać polowania. Podobnie teraz. – Pokręcił głową. – Moon, tak długo jak mogłem, odwlekałem nieuniknione. Wysyłałem zespoły badawcze, kazałem im przetwarzać i analizować wasze dane. Wiem, że coś w nich jest, ale nie potrafię skłonić mych ludzi i Centralnego Komitetu Koordynacyjnego, by to dostrzegli. Widzą tylko to, co chcą zobaczyć. Umysł sybilli może do końca świata głosić, że mery są rozumne, ale do cholery, one same nie robią nic, by tego dowieść, przynajmniej nie w sposób, który dla ludzi byłby "rozumnym zachowaniem". W tej sprawie nie udzielają nam żadnej pomocy, nie rozumieją nawet pytania. Ich społeczeństwo jest zbyt głębokie – lub zbyt nam obce. Niezależne badania nie przyniosły wyników, które mogłyby powstrzymać ludzi pragnących wody życia. Choćby nawet były prawdziwe...

– Choćby...? – zaczęła, zbielewały jej zacisnięte dłonie.

– Chcą wody życia, i chcą jej teraz! – Przyjął jej gniew z nagłym żarem. – A zbyt wielu z nich ma w domu władzę.

Domu. Zrozumiała, że ma na myśli Kharemough.

– Ale nie chodzi tu tylko o prawo merów do życia, nie tylko o ludobójstwo – powiedziała gorzko. – Jeśli gatunek zostanie zdziesiątkowany, ucierpi na tym cała Hegemonia – wszystkie planety, które kiedyś tworzyły Stare Imperium... Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Czemu? Bo zabraknie merów? To dla nich nieważne, nie rozumiesz?

– Nie! – Wstała z miejsca, pokręciła głową. – To ty nie rozumiesz. Chodzi o coś więcej – znacznie więcej. Byłoby dla nich ważne, gdyby tylko dowiedzieli się...

– Czego dowiedzieli się? – Jego głos stwardniał ze zdenerwowania. Znowu pochylił się nad biurkiem. – Czyżby było coś jeszcze? Co wiesz, a nie mówisz, co wiesz, a nie chcesz powiedzieć mi?

– Wiem, że... że... – Zamknęło się jej gardło, oczy, dłonie zacisnęły w pięści. Pokręciła głową, włożyła w walkę całą siłę, ale nic to nie pomogło. – Wiem, co wiem – szepnęła, opadła na fotel, nie mogła nawet na niego patrzeć.

– Bogowie... – mruknął, rozcierając twarz, odchylając się do tyłu. – Moon, na ojca wszystkich mych przodków, ustaliłem ilości merów, jakie mogą zabijane, określiłem je najniżej, jak tylko można. Spierałem się do upadłego z własnymi doradcami. Zgodzili się na końcu, że muszą być jakieś ograniczenia, bo inaczej wkrótce zabraknie merów – nawet ich logika to rozumiała. W dalszym też ciągu będę ci udzielał wszelkiej pomocy w badaniach. Nakazałem już moim ludziom, by przystąpili do szukania sposobów zwiększenia rozrodczości merów albo uzyskiwania wody życia bez zabijania.

W końcu spojrzała na niego, ciągle czuła w gardle twardą gałkę niechęci.

– To prawdziwy świat, do cholery! – powiedział i usłyszała w jego głosie niechęć do siebie. –

Musimy czynić kompromisy i ustępstwa, inaczej byśmy nie przetrwali. Nie mamy wyboru.

– Zawsze jest jakiś – powiedziała, ale rozpacz zatętniała już w niej jak kamień, wiedziała, co kryje się w jej wnętrzu, że zżerająca ją za życia tajemnica nigdy nie pozwoli, by się nią podzieliła.

– Moon – powiedział miękko. – Postawiono mnie przed wyborem: poświęcić mery... albo ciebie.

Spojrzała na niego, jej twarz stężała w nagłej niewierze.

– Pewne grupy spośród twego ludu – spośród Zimaków – namawiały Hegemonie, by podczas powrotu Zgromadzenia i Święta doszło do oficjalnego przekazania władzy Zimakom. Chcieli rzucić cię do morza. Pewne grupy spośród mego ludu – obejmujące między innymi przedstawicieli Centralnego Komitetu – pragnęły tego samego. Próbowałem ostrzec cię, że nie zdołam powstrzymać ich bez końca. Musiałem wybierać, twoje życie czy merów... Wybrałem twoje.

– Matko nas wszystkich – mruknęła Moon niemal w modlitwie. Opuściła wzrok; jej ciało zadrżało. – Jak mogło się tak stać?

– Moon, przechodzimy nad Otchłanią, nie rozumiesz tego? Jeśli będziemy szli za szybko lub za wolno, jeśli nie zagramy właściwych dźwięków w dokładnie określonej kolejności, wówczas wiatr zmian zmiecie nas oboje. Niemal do tego doszło na wczorajszym zebraniu. Hegemonia nie zgniotła rozpoczętego przez was rozwoju technicznego, ponieważ jeszcze podczas pobytu na Kharemough zacząłem kłaść fundamenty pod przekonanie jej, że za późno na cofnięcie rzeki. Teraz, gdy wiedzą już, że wydała się tajemnica dotycząca sybilli, zacząłem wykazywać, że gospodarczo i politycznie słusznym rozwiązaniem będzie danie ludności Tiamat tego, czego pragnie. Ale ma to swoją cenę, jak wszystko w życiu – Hegemonia wróciła na Tiamat z jednego powodu, wody życia. Wezmą ją, czy chcemy tego, czy nie. Tiamat może coś za nią uzyskać albo oddać za darmo. Na miłość bogów, Moon, robię tu dla ciebie, co tylko mogę! Powiedz, że to pojmujesz...

Uniosła głowę, głowę wypełniał jej bezsilny gniew, aż nie mogła myśleć. Patrzyła na niego poprzez wieczność czasu, odległości i bolesnej wątpliwości: dostrzegała w jego twarzy przeszłość i teraźniejszość, wydawał się jej obcym i kochankiem, widziała jasną koniczynkę na poważnej czerni munduru. Przycisnęła dłonie do oczu; opuściła dopiero wtedy, gdy mogła znowu widzieć wyraźnie.

– Tak – mruknęła wreszcie – pojmuję... Wiem, że wszystko po Powrocie robiłeś dla – dla nas. Pojmuję.

Kiwnął głową i opuścił wzrok; napięcie opuściło jego oczy i ciało, pozostawiło po sobie wyczerpanie.

Moon wstała powoli z fotela, rozumiała teraz, że żadne z nich nie jest w stanie w sposób ludzki powstrzymać polowań, że jedynym wyjściem byłoby zdradzenie przez nią prawdziwego powodu, który czyni zakaz tak koniecznym. A nie mogła zdradzić. Nie mogła.

Odwróciła się, spojrzała na obraz na ścianie – dziwnie poruszające zestawienie barw, nieruchomych a jednak żywych, trwałych a ulotnych, niby uchwycenie chwili powolnego wirowania płam oleju na wodzie. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziała; nie wisiało w czasach zajmowania przez nią tego gabinetu.

Usłyszała, jak BZ wstaje z fotela, podchodzi do niej. Nagle uświadomiła sobie bicie własnego serca; zastanowiła się, czy go nie słyszy, tak jest głośnie.

– Odkąd – odkąd wróciłem, nigdy nie mieliśmy możliwości, by naprawdę porozmawiać – powiedział i jego tiamatański zabrzmiał nagle dziwnie nienaturalnie i niezgrabnie. Spojrzała na niego z ciekawością. Uniósł głowę, wskazał na obraz. – To dzieło mojej żony. Jest artystką.

Moon przestała oglądać malowidło, by spojrzeć na niego.

– Och? – Poczwała, jak pali ją twarz. – Och. – Przez niemal wieczność wpatrywała się w obraz, przyciskając łokcie do ciała. – Czy... czy od dawna jesteś żonaty? – Zastanawiała się, czy mówi jej to teraz, by odpłacić się za to, że przyszła tu w gniewie oskarżać go za mery...czy też po prostu niełatwo mu było przedtem o tym powiedzieć. Poczwała głęboki, rozdzierający ból, nagle znowu się rozzłościła – na niego, za sposób, w jaki wpatrywał się w nią podczas każdego spotkania po powrocie; na siebie, bo nie miała żadnych praw, by choćby pomyśleć...

– Mniej więcej od trzech lat.

– Och – powiedziała znowu bezmyślnie; szukała innych słów, jakichkolwiek. – Czy... macie dzieci?

Zawahał się, spojrzął na obraz.

– Syna; ma teraz sześć miesięcy. Żona niedawno przysłała mi jego holo. Wygląda na bardzo ładne dziecko. – Wykrzywił usta w nieśmiałym uśmiechu, ale oczy wypełniał mu żal. – Było to małżeństwo z rozsądku – powiedział w końcu miękko. – Musiałem coś zrobić, żeby po odlocie na Tiamat zapewnić opiekę nad posiadłością mego rodu. Ludzie ze Służby Zagranicznej często tak się zabezpieczają. – Zerknął na nią, znowu w bok.

– Och. – Spojrzała na obraz, odebrała jego zmysłowość niby falę żaru. Aleją kochasz? Przełknęła to pytanie niby grudkę gorzkiego chleba. – Nigdy nie zobaczysz swego dziecka? – zapytała w zamian.

– Nie wiem – mruknął niemal niedosłyszalnie, jakby z kolei coś ścisnęło jego gardło. – Moon... – przesunął dłonią po włosach. – Tammis i Ariele... Ich ojcem jest Sparks, tak czy nie?

Odwróciła się od niego, poczuła rosnący w niej rodzaj lęku.

– Są moje, prawda? – zapytał szorstko. – Sparks używał wody życia, nie mógł uczynić cię ciężarną.

Spojrzała na niego.

– Naprawdę? Woda życia uniemożliwia to? Przytaknął.

– Są moje – powiedział znowu, tym razem jego słowa zabrzmiały miękko i niemal z niewiarą. – Są nasze...

Nad tym właśnie zastanawiała się całe lata; podobnie musiał czynić Sparks. Nigdy jednak nie miała pewności, nigdy jej nie pragnęła – tak samo jak on – dopóki BZ znowu przed nią nie stanął i nie ujrzała jego twarzy.

Tak. – W końcu, po takim czasie, była całkowicie pewna. Patrzyła teraz na jego twarz, przypomniawszy ją sobie z tamtych czasów, dostrzegając, jak się zmieniła. Podczas ich spotkania był od niej kilka lat starszy; teraz, dzięki kaprysom losu i czasoprzestrzeni, stali się niemal rówieśnikami. – Dziękuję ci – powiedziała w końcu, głos miała nadal napięty – za nasze dzieci.

– Czy Sparks wie?

– Nie... Tak. Wie. Wie... – Opuściła wzrok na swe splecione dłonie, palce zaciskające się na gładkiej niebieskozielonej tkaninie sprowadzonej sukni. Nie spali w tym samym łóżku, odkąd Sparks zastał ją, gdy niby Arienrhod podglądała tajemnym okienkiem jego rywala...

– Jak to znosi?

– Niedobrze. – Nadal odwracała oczy. Nawet za dnia widywała go rzadko. Nie pracował już z nią, z Kolegium, z kimkolwiek jej znanym. Zamykał się w swoich komnatach, zagłębiał w badaniach i obliczeniach, barykadował za murem nowej techniki. Albo wychodził, mówiąc tylko Wychodzę, nigdy dokąd. Słyszała, że większość czasu spędza w Labiryncie... że przebywa w towarzystwie zimackich dostojników, od których się przedtem odwrócił; tych, którzy pragnęli złożyć ją w ofierze. Już się od nich nie odwracał.

– A ty? – naciskał BZ, jakby nie mógł się powstrzymać, gdy nie dodała nic więcej.

– Niedobrze – powiedziała po raz drugi, lecz tym razem spojrzała na niego.

– Przykro mi. – Westchnął, pokręcił głową. – Naprawdę nie po to tu przyleciałem, by sprawiać ci kłopoty, ale by... – Urwał, niepewnie uniósł dłoń, by dotknąć jej ręki, Moon dojrzała w jego oczach nagłą nadzieję.

– Wiem – szepnęła. Nie mogła się cofnąć, czuła się sparaliżowana jego dotknięciem. Jej ręka podniosła się samowolnie, przesunęła w stronę Gundhalinu. Zmusiła ją do opadnięcia. – Nie – wyszeptała. – Proszę cię.

Ręce Gundhalinu zwisły. Spojrzał na nią, znowu pokręcił głową, jakby nie wiedział, co się w nim dzieje ani co ma zrobić teraz.

– Co z Ariele i Tammisem? – zapytał po dłuższej chwili.

– Co masz na myśli? – szepnęła niepewnie.

– Czy wiedzą... czy rozumieją...? Odwróciła wzrok.

– Nie... nie wiem nawet, jak im o tym powiedzieć. Nie wiem, jak w ogóle z nimi rozmawiać. Z każdym z nich. – Pokręciła głową, widziała zmartwione oczy Tammisa, syna odwracającego się od niej i odchodzącego, gdy próbuje zapytać, co go trapi; widziała buntownicze zachowanie Ariele, naśladowanej charakter jedyne go ojca, jakiego znała, pogłębiające się wraz z odsuwaniem Sparksa od nich wszystkich... Zrozumiała nagle, że nigdy nie wiedziała, jak z nimi rozmawiać, z każdym z osobna, a teraz jest już za późno.

– Może gdybym spróbował... – zaczął BZ.

– Nie. – Spojrzała w stronę drzwi.

– Uważasz, że po tak długim czasie nie mam żadnych praw? Gdybym wiedział, że jesteś w ciąży, nigdy bym cię nie zostawił...

– Nie o to chodzi. – Pokręciła głową. W takim razie o co? Zaciśnęła usta. – Sparks jest nadal moim mężem. Tę sprawę musimy rozwiązać sami. – Wymawiając te słowa, pojęła, że go wykluczają. Znowu na niego spojrzała. – Powiedz mi... powiedz, że rozumiesz.

Skrzywił się i kiwnął głową. Odwrócił się gwałtownie, wrócił do biurka. Szybko przesunął dłońmi nad tabliczką dotykową komputera.

– Co robisz? – zapytała. Podniósł głowę.

– Wymazuję zapis tej rozmowy.

Zaskoczona zrozumiała, iż wszystko zachodzące w tym gabinecie jest wiadome Hegemonii, chyba że nie zechce tego BZ; przypomniała sobie z bólem, iż nie jest to już teren ani jej, ani bezpieczny. Długo przyglądała mu się, nie zmieniając miejsca.

– Muszę iść.

Kiwnął ponownie, lecz Moon jeszcze przez kilka uderzeń serca stała nieruchomo, nie mogła się zmusić do podejścia do drzwi. Nie doczekawszy się od niego żadnych słów, odwróciła się w końcu i wyszła, nie oglądając się za siebie.

TIAMAT: Krwawnik

Tammis przemierzał korytarze ośrodka medycznego Krwawnika, bardziej niż na otoczeniu skupiał się na bólu ściskającym mu piersi. Nie patrzył w oczy mijanych ludzi, był rad, iż Merovy tyle razy pokazywała mu wnętrza, iż mógł do niej trafić bez pytania kogokolwiek o drogę.

Większość spotykanych na korytarzach tworzyli nadal pozaziemcy. Nie znał żadnego z nich, podobnie jak błyszczących przeważnie niepojętych urządzeń medycznych sprowadzanych z innych planet. Pozaziemcy zdawali się strasznie lękać, iż tak daleko od domu mogą trafić do miejsca, gdzie nie będzie techniki mogącej uratować ich w razie wszelkiego wypadku czy zapadnięcia na jakakolwiek możliwą do wyobrażenia chorobę... choć, jak pomyślał z goryczą, ich sumienia nie poruszała świadomość, że opuszczając dawniej Tiamat, na długie stulecia pozostawiali ten świat bez podobnych możliwości.

Przynajmniej teraz już jego lud będzie miał na zawsze dostęp do nowoczesnej medycyny. Pomyślał o chorych plecach swego teścia i ze względu na dobro Danaquila Lu spróbował poczuć wdzięczność. A nowy Główny Sędzia zarządził przeprowadzenie kursu dla medtechów, w którym uczestniczyła Merovy. Nie wątpił, iż postąpił tak częściowo z powodów praktycznych – szpital niemal od samego powrotu pozaziemców cierpiał na braki kadrowe.

Z drugiej strony, stanowiło to wyraz szczerych wysiłków Głównego Sędziego, mających na celu wykazanie dobrej woli. Tammis zastanowił się przelotnie, czy robił to wszystko, by sprawić przyjemność Królowej Lata... czy prawdą jest to, co

Elco Teel i inni mówili za jego plecami, że BZ Gundhalinu jest przybyłym po tak wielu latach byłym kochankiem matki. Czy rzeczywiście, patrząc na ciemną, obcą twarz Głównego Sędziego, widzi w niej odbicie swoich rysów...

Gdy wspomniał o tym siostrze, Ariele wpadła we wściekłość i odeszła, gdy spróbował zapytać matkę, ta zbladła i wykręciła się niezdarnie. Nie poszedł do ojca, bo ten od incydentu na weselu nawet na niego nie patrzył. Merovy powiedziała, że nie widzi podobieństwa między wyglądem jego a Głównego Sędziego... lecz mówiąc to, odwracała wzrok.

Merovy. Znowu zwrócił uwagę na korytarze zespołu medycznego; mijał lśniące proste kształty jakieś maszyny. Żona powiedziała mu kiedyś, jakie ma przeznaczenie, ale już go nie pamiętał. Merovy... Nagle w jego myślach pozostał tylko powód, dla którego tu przybył; chce spotkać się z nią, zapytać dlaczego...? Dlaczego wróciwszy wczoraj wieczorem do domu, zastał go pustym, zobaczył liścik napisany ręcznie na kartce mokrej jeszcze od łez, w którym zawiadamiała, że go opuszcza i że może przyjść dzisiaj z nią porozmawiać. Żadnych dalszych wyjaśnień, dalszych słów. Choć z bólem serca przyznawał, iż przyczyny jej odejścia są jasne.

Ktoś pozdrowił go po imieniu – pozaziemiec, jeden z techników będący przełożonym Merovy w szpitalu.

– Pańska żona jest w sali 212.

Z opuszczoną głową wymamrotał podziękowanie – nie wątpił, że każdy dojrzałby w jego oczach poczucie winy i dowiedziałyby się dokładnie, dlaczego tu przybył, dlaczego go opuściła, dlaczego...

Doszedł do laboratorium, w którym pracowała Merovy; zobaczył ją siedzącą za komputerem, grube brązowe włosy ułożone w schludny warkocz. Ujrzał, jak migocze zmieniający się przed nią w powietrzu model, patrzył, jak zręcznie, całkowicie opanowana, kieruje jego przekształceniami. Przez większość dzieciństwa była świadkiem cierpień ojca, potem zakończenia ich przez pozaziemską medycynę, dlatego też Tammis nie dziwił się, iż bardziej niż czegokolwiek w życiu zapragnęła znalezienia dostępu do nowej wiedzy medycznej... kiedyś tak pragnęła jego.

– Merovy – powiedział cicho.

Zaskoczona, lecz nie zdumiona, odwróciła się w fotelu.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała, ale te słowa były martwe.

– Poprosiłaś mnie o to. – Wyciągnął ręce na w pół lekceważąco, na w pół uspokajająco. – Czemu nie mogliśmy porozmawiać w domu?

– Bo wczoraj wieczorem do niego nie wróciłeś. Cały czas na ciebie czekałam. Znowu.

– Miałem pracę do...

– Nie kłam! – Wstała z rozplomienioną twarzą. – Wiele razy próbowaliśmy o tym rozmawiać. Nigdy nic z tego nie wyszło.

– Merovy... przepraszam. – Pokręcił głową, opuścił oczy. – Tym razem będzie inaczej, przysięgam.

– Zawsze tak mówisz! I nigdy nic się nie zmieniło. – Jej oczy wypełniły łzy złości, wyparły łzy rozpacz. – Nie pragniesz mnie, jestem ci potrzebna tylko jako przykrywka. Mimo to wiem, że wszyscy się ze mnie śmieją, gdy tylko wychodzisz – i to nie tylko za plecami. Dlaczego chcesz, żebym wróciła? Nie jestem chłopcem – mogę być dla ciebie wszystkim, ale nie tym. Chciałabym móc się tak zmienić, żebyś kochał mnie równie mocno, jak ja kocham ciebie...

– Nie chcę, byś się zmieniła! – Zacisnął w pięści pragnące objąć ją dłonie – wiedział, że dotknięcie jej byłoby najgorszą rzeczą, jaką mógłby zrobić.

– Sam nie wiesz, czego chcesz. – Odwróciła się, podeszła do stojących pod ścianą szafek z próbkami. Sprawdziła jedną z nich i coś ze środka wyjęła. Wróciła na dawne miejsce i wyciągnęła ten przedmiot do Tammisa – kartkę z czymś w rodzaju plastrów leczniczych. – Weź – powiedziała napiętym głosem. – Przez tydzień noś codziennie jeden plaster. Złapałeś chorobę weneryczną.

Poczuł, że się rumieni. Zdrętwiałymi palcami wziął od niej kartkę.

– Skąd wiesz? – zapytał z wahaniem. Jej oczy stały się zimne i przejryste.

– Ponieważ mnie zaraziłeś. Zamknął oczy.

– Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz, czego chcesz, będziesz mógł znowu przyjść i ze mną porozmawiać. Nie wcześniej. – Jej usta drżały, lecz twarz wyrażała zdecydowanie i Tammis wiedział, że nie zmieni zdania. Odwrócił się z gardłem ściśniętym żalem i wyszedł z pokoju.

TIAMAT: Krwawnik

Moon Dawntreader stała samotnie, czekała na nabrzeżach unoszących się niby wodorosty na gładkiej powierzchni morza pod Krwawnikiem. Popatrzyła na zielonoczną wodę przesuwaną się pod szparami mola, tkwiącą pod jej nogami tajemną niestałość. Plamy oleju i dziwne, trudniejsze do określenia odpadki tworzyły lśniące wzory na mroczkach zalegających między przycumowanymi statkami. Widziała, jak przepływają i przekształcają się, czuła się zahipnotyzowana ich ruchami, znanymi okrzykami i odgłosami, zapachami morza i stojących w porcie łodzi, wypełniały ją tęsknotą.

Nie odczuwała już pragnienia powrotu przeszłości, doznawanej ongiś boleśnie chęci ujrzenia miejsc znanych z dzieciństwa; przestała już lata spędzone w mieście uważać za długi sen. Tamten świat przepadł, nie tylko ze względu na zmianę klimatu i przeniesienie się ludzi, lecz także w wyniku upływu czasu, minionych setek tysięcy oddzielnych chwil, które nawarstwiły się w jej wspomnieniach niby nawiany piach. Nie widziała już wyraźnie dziewczyny, która kiedyś nie wyobrażała sobie nawet, iż spędzi życie w takim miejscu, gdzie nieraz całymi tygodniami nie czuła na skórze wiatru, słońca czy deszczu, nie myślała nigdy o Matce Morza, przestała wierzyć, iż widzi Ona każdy postępek, słyszy każdą modlitwę. Z czasem utraciła to wszystko, aż prowadzone obecnie życie zaczęło się jej wydawać naturalnym.

Podniosła wzrok, ujrzała nad sobą Krwawnik, nie odebrała jego kształtów jako pewne i chroniące, lecz ciężkie i grożące niby sztorm. Niespokojne oczy przeszukały pochylnię opadającą do portu, dostrzegła wreszcie wyczekiwaną znajomą postać Capelli Goodventure. Nagle przypomniała sobie, jak stała tu pół życia wcześniej jako świeżo wybrana Królowa, marzyła rozpaczliwie o chwili samotności, by móc pogodzić się ze Sparksem, z morzem... czuła na sobie cień obecności rodu Goodventure, podążających zawsze z tyłu, szpiegujących, oceniających członków jej rodu...

Teraz jednak pragnęła się z nią spotkać na osobności, sam na sam, tylko one dwie i morze, zobaczyć się z Capellą Goodventure w miejscu publicznym, które obecnie było bardziej prywatne niż jakiegokolwiek inne w mieście powyżej, nawet niż pałac. Ochrona, którą się zawsze otaczała od powrotu pozaziemców, stała z szacunkiem w pewnej odległości, przyglądając się pilnie otoczeniu.

Capellą Goodventure dotarła do Moon i kiwnęła głową na powitanie. W jej oczach widać było uszanowanie i niemal ciepło.

– Pani, czego potrzebujesz? – Patrzyła też z ciekawością, zastanawiała się, czemu spotykają się tutaj.

– Nie chodzi o mnie, lecz o mery, to one wymagają waszej pomocy. Główny Sędzia zniósł zakaz polowań.

Capellą Goodventure zacisnęła wargi.

– Wiedziałam, że do tego dojdzie. Przy wszystkich staraniach to tylko pozaziemiec.

Moon przygryzła język, powstrzymując się od chęci wyjaśnień, usprawiedliwień, wystąpienia przeciwko uprzedzeniom, jakie zbyt łatwo powstawały i w jej umyśle, gdy przesuwała się dzisiaj ulicami miasta. Przybyła tu, by uszanować Capellę Goodventure, nawet ją wywyżżyć, ta jednak jest niezłomna w swych przekonaniach, jej nieufność wobec pozaziemców dorównuje silnemu przeświadczeniu, że są oni nie rządem, lecz zarzą. Patrząc na jej twarz, o rysach twardej, bezlitosnej pewności siebie, Moon poczuła nagłą obawę, że jeśli nic się nie zmieni, wówczas niedługo jej oblicze stanie się podobne. Dlatego nie spróbowała nawet sprzeciwu, ograniczając się do powiedzenia:

– Nie mam możliwości powstrzymania łowów, zamierzam jednak na wszelkie sposoby im przeszkadzać.

Oczy Capelli Goodventure zabłysły żywiej.

– Co mamy robić?

– Chcę, byście powiadomili Letniaków – poprosili ich o pomoc, zawiadamanie o zauważonych na morzu pozaziemcach polujących na mery, czynienie wszystkiego, poza narażaniem własnego życia, by zapobiec rzeziom. Możecie podpływać do statków i urządzeń Hegemonii, a najlepiej rozpraszać kolonie merów, do których zdążają łowcy. – Nigdy nie zdołają przekonać merów, że grozi im atak myśliwych. Zdawały się niezdolne do pojęcia okrutnej nieprzewidywalności charakterów ludzi.

– Oczywiście – powiedziała Capellą Goodventure. – Ale będzie to trudne. Pozaziemcy mają technikę... – To słowo zabrzmiało jak przekleństwo. – Ciężko się do nich zbliżyć.

– Wiem – przytaknęła Moon. – Dostarczę wam sprzęt, dzięki któremu dowiecie się, gdzie są, i będziecie mogli zakłócać ich urządzenia wykrywające. Zdobędę sygnały dźwiękowe wprawiające mery w panikę, wysyłające je w głąb morza, gdzie zdołają obronić się same. Nie podoba mi się ten pomysł – dodała na widok krzywiącej się Capelli Goodventure – wolę jednak użyć przeciwko pozaziemcom ich techniki, aniżeli pozwolić na zabijanie merów. A wy?

Capellą Goodventure szarpnęła ze zdenerwowaniem ciężką tkaninę szala.

– Jak dobrze wiecie, nie lubię mieć do czynienia z pozaziemską techniką. Uczenie się korzystania z ich urządzeń, nawet przeciwko nim, jest sprzeczne z wszystkimi zasadami, które uważam za słuszne.

Moon znieruchomiła, bojąc się usłyszeć odmowę, ale Capellą Goodventure wzruszyła ramionami i wsunęła głębiej dłonie w kieszenie luźnych spodni.

– Niemniej ze względu na mery – tylko je, nie ma to nic wspólnego z wami, nie cieszcie się, żeście mnie zmusili – przyjmuję waszą propozycję. Zabierzemy urządzenia na statki i jeśli taka jest wola Pani, użyjemy ich przeciwko pozaziemcom, dla ochrony Dzieci Morza. Jestem pewna, że da nam znak, czy chce tego, czy nie... – Przechyliła się przez poręcz i z powagą splunęła trzy razy do wody, słuchając uważnie. Dopiero wtedy Moon zrozumiała, że Capellą Goodventure mówiła nie do niej, lecz do samej Matki Morza.

– Dziękuję, Capello Goodventure – powiedziała Moon, uśmiechając się z zadowoleniem. – Pani będzie uradowana waszym poświęceniem. – Niepewna sama, w którym imieniu przemówiła, rozpoczęła własną modlitwę o zdecydowanie i poświęcenie, skierowała ją do bezimiennej, nieożywionej rzeczy, której obie służyły.

TIAMAT: Krwawnik

– Cholera, spóźniłeś się, szefie...

Nagabnięty niespodziewanie przez Niburu, Reede stanął gwałtownie u wejścia do lokalu Starhiker.

– No to co? – zapytał. O mało co wcale by nie przyszedł, bo wiedział, że Ariele Dawntreader będzie na niego czekać z dobrze mu znanym wyrazem oczu. W końcu zdecydował się przybyć, wmawiał sobie, że tylko po to, by zerwać z nią znajomość. Musi się upewnić, że odtąd trzymać się będzie z dala od niego – dopilnować, by stało się tak na pewno. Cała sprawa została zauważona, wpędziła go w kłopoty, zagroziła mu... i jej. Nie może pozwolić, by się to powtórzyło, zbliżyć się z kimkolwiek, dopóki nosić będzie piętno Źródła.

Wmawiał sobie, że po prostu przyzwyczaił się do rozmów z dziewczyną. Ciągnie je tylko dlatego, bo Ariele kocha mery i mówi o dorastaniu w morzu, jakby była to najbardziej naturalna, najpiękniejsza rzecz na świecie... bo należy do tego świata, tego dziwnego miasta, bo zdaje się docierać do jakiejś części jego poszarpanej duszy, która odpowiada ostrymi, niewyjaśnialnymi doznaniem de ja vu... bo nie miał podstaw, by uważać, że wzbudził u niej coś głębszego. Bo gdy z nią o tym wszystkim rozmawiał, opuszczał go niepokój, czuł się bardziej sobą, bo patrzyła nań z tęsknotą, jakby naprawdę był człowiekiem, zdrowym i pełnym... Musi się pozbyć tego przyzwyczajenia.

Wszystko to bzdury, wmawiał sobie z ogniem. Nie mogą trwać, bo oznaczają samobójstwo, morderstwo. Ocaliła mu życie. Teraz uratuje jej, jeśli nigdy się z nią nie zobaczy.

– Ariele... powiedział Niburu.

– Co z nią? – zapytał Reede ostro. Złapał Niburu za ramiona, aż ten się skrzywił.

– Dopiero co wyszła... – Kedalion wskazał na Ulicę. Reede puścił go, rozejrzał się po tłumie. Miał wrażenie, że w dali mignęła srebrzysta biel, nie był pewien.

– No to co? – powtórzył, czuł dziwną ulgę, iż los darował mu odroczenie. Minął Niburu, ruszył do środka klubu.

– Reede! – zawołał Kedalion z nagłą pasją. – Posłuchaj mnie, idioto!

Lekko zdziwiony Reede odwrócił się do niego.

– Chyba jest w kłopotach. Reede wrócił do Niburu.

– Co to ma znaczyć?

– Jak zwykle czekała na ciebie, a ten dzieciak, Elco Teel, zaczął się z nią kłócić, próbował namówić, by poszła z nim na jakieś przyjęcie. Długo się opierała, a potem nagle zupełnie zmieniła. Ni z tego, ni z owego to ona zaczęła ciągnąć chłopca i zaraz razem wyszli.

Reede skrzywił się.

– Poszła na przyjęcie – prychnął pogardliwie. – Co to mnie niby obchodzi?

Niburu złapał go za rękaw, przytrzymał, gdy Kullervo chciał się znowu odwrócić.

– Powiedziałem, że się zmieniła. Nie wyglądało to na zwykłe rozmyślenie się, coś musiało się z nią stać. Tor też to widziała, powiedziała mi, że Elco Teel coś jej dał.

Tor – kobieta prowadząca ten klub. Reede przypomniał sobie, że Niburu ma z nią romans.

– Szefie, o mało co by go na oczach wszystkich nie schrupała. Nie wyglądało mi to naturalnie. Tor powiedziała, że jeśli Ariele coś dla ciebie znaczy, to powinieneś wszystko sprawdzić.

Reede zaklął, jeszcze raz przeszukał klub, nie dostrzegł nikogo przypominającego Ariele.

– Którędy poszli?

– Posłałem Ananke, by ją śledził. Ma z sobą nadajnik. Reede spojrzął na Niburu z nagłym

zdumieniem.

– Dobrze. – Kiwnął głową, dotknął na chwilę ramienia pilota i przełączył odbiornik na sygnał Ananke.

– Szefie, mam iść z tobą? Pokręcił głową.

– Nie.

– Nie będę cię opóźniać, a w razie potrzeby...

– W razie potrzeby przeszkodzą mi nie twoje nogi, lecz pieprzone sumienie. – Reede odwrócił się na pięcie i wtopił w tłum.

Trop prowadził go w dół płynnej spirali Ulicy, choć spodziewał się kierunku do góry, gdzie stały rezydencje bogatych Zimaków i pozaziemców. Ananke i ci, których śledził, kierowali się jednak do biedniejszej dzielnicy oddzielającej dolny Labirynt od Dolnego Miasta, w którym, bliżej morza, mieszkała większość Letniaków. Magazyny i zakłady przetwórcze zajmowały tu całe uliczki, zdarzały się rzeczy, o których nikt nie chciał wspominać następnego dnia.

Popędził siebie, ruszył szybciej, gdy zrozumiał, dokąd idą, gdy tłumy wokół niego zaczęły rzędnać. W końcu dotarł do wylotu uliczki, która wyglądała na całkowicie pustą. Zawahał się i wszedł do niej, gdy nadajnik powiedział mu natrętnym piskiem, iż wbrew pozorom nie jest opuszczona.

Wkroczył głębiej w puste gardło milczenia, sięgnął za swą ciężką kurtkę. Skradając się niby polujący kot wzdłuż majaczących się niewyraźnie starych domów, wyciągnął ogłuszacz i sprawdził stan załadowania. W końcu coś usłyszał, cichutkie echo głosów; zwolnił, wślizgnął się do wąskiego przejścia między magazynami.

– Ananke! – szepnął, gdy jego oczy dostrzegły czekającą w mroku znajomą postać.

Ananke obrócił się gwałtownie i Reede dostrzegł błysk światła na metalu; zobaczył, jak twarz chłopca w mgnieniu oka zmieniła wyraz z ponurego lęku na oszołomioną ulgę.

– Szefie... – mruknął, opierając się o ścianę. W rękę trzymał sztylet, który zawsze nosił przy pasie, a nigdy na oczach Reede'a nie wyciągał. – Miałem właśnie wejść...

Reede słyszał teraz wyraźnie głosy innych. Skinął na Ananke, by się odsunął, sam wszedł na stos skrzynek, by zajrzeć przez dziurkę wytartą w smarze pokrywającym grubą szybę małego, wysoko umieszczonego okna. W środku odbywało się przyjęcie, nie musiał patrzeć, by wiedzieć jakie. Mimo to przyglądał się chwilę, gorączkowo szukał znajomej twarzy, fali mlecznobiałych włosów... Jest.

Zeskoczył, stanął przed Ananke.

– Masz tylko to? – zapytał, wskazując na sztylet. Ananke skrzywił się.

– Niestety, szefie, nie...

– Zamknij się. Weź to. – Reede wyciągnął swój nóż. – Na miłość bogów, nikogo nie zabijaj... w każdym razie niechcąc. Drzwi są zamknięte?

– Nie wiem.

Reede chrząknął, minął Ananke. Drzwi były zamknięte. Wprowadził kod pierwszeństwa i otworzył je, nie zważając na zaprogramowany alarm. Obaj przebiegli krótki korytarz, na jego końcu natknęli się na kogoś chcącego sprawdzić powód zawodzenia sygnału. Reede uderzył go w twarz ciężką kolbą ogłuszacza, nieznajomy osunął się bez słowa.

Reede przeskoczył przez ciało i pobiegł dalej, za nim Ananke. Wnętrze magazynu wypełniały stopy skrzyń i sprzętów; ponurą pustą przestrzeń w środku pokrywały maty załadowcze. Znajdowała się tam skrzynia ze zbieraniną tanich narkotyków oraz grupa kilkunastu osób, przeważnie pozaziemców, głównie mężczyzn o surowym wyglądzie, prawdopodobnie robotników i przestępców. Z boku stał Elco Teel z trojgiem innych młodych Zimaków, dwiema dziewczynami i chłopcem. Reede

widział, jak patrzą, wskazują, chichoczą; przeskoczył oczyma na cel ich spojrzeń.

W środku pustej przestrzeni, na macie, stała Ariele Dawntreader otoczona niespokojnymi mężczyznami. Jedno ramiączko jej długiej, tęczowej tuniki było zerwane, suknia opadła w połowie drogi do pasa. Obcy, którego namiętnie całowała, pieścił jej piersi, ktoś inny stanął za plecami dziewczyny, ściągnął niżej tunikę z na wpół obnażonego ciała. Przywitały to gwizdy i okrzyki, odbiły się od twardych, bezlitosnych ścian.

Ananke zaklął, ruszył naprzód. Reede znowu go odsunął, uniósł ogłuszacz, wymierzył i strzelił. Stojący za Ariele zdejmujący spodnie pozaziemiec z jękiem zdumienia złapał się za pachwinę i utraciwszy władzę nad ciałem, upadł na podłogę, w kałużę własnego moczu.

– Ariele!

Głowy odwróciły się od widowiska, spojrzały na niego. Pieszczący Ariele pozaziemiec puścił ją, odepchnął brutalnie, gdy próbowała go zatrzymać. Oswobodzona dziewczyna zachwiała się, obróciła niepewnie, by spojrzeć na Reede'a z kimś innym. Oczywiście miała mętne i nic nie rozumiejące. Spojrzała na siebie, na jego twarz, ze szczególnym szarpnięciem przekręciła głowę w bok.

Reede wszedł do środka, wymachując bronią. Nikt się nie ruszał, wszyscy zastygli między zmartwieniem a zdumieniem.

– Ananke – powiedział, wskazując na Elco Teela – pilnuj tych zboczeńców. Nie pozwól im uciec. – Patrzył, jak Ananke podchodzi bliżej, pokazując wyraźnie dwa noże, staje przed nimi. – No – powiedział do grupy ponurych, milczących mężczyzn, którzy nadal otaczali Ariele.

Jeden z nich zrobił krok w stronę Reede'a, ten uniósł broń i obcy się cofnął. Widać jednak było, jak rozbłyskują im oczy, gdy przekonali się o własnej przewadze liczebnej. Ananke rozglądał się z niepokojem.

– Wezwę Sinych – powiedział Reede, pewien, że wszyscy go słuchają – i zamelduję im o tej balandze. Możecie tu zostać i zobaczyć, ile uciechy da wam córka Królowej, nim tu przybędą... a może wolicie sprawdzić, jak daleko do tego czasu uciekniecie. – Wolną ręką dotknął nadajnika, przełączył go na sygnał wezwania.

Pozaziemcy zaczęli się kolejno ruszać – tym razem w stronę drzwi. Mierzył w nich, gdy przechodzili obok, przyspieszając w miarę narastania strachu. W pół minuty opuścili budynek, zabierając z sobą śmierdzącą moczem ofiarę. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Reede nie wątpił, iż żaden z nich nie wróci.

Powoli podszedł do miejsca, w którym stała Ariele, z twarzą nadal oszołomioną i nieodgadniętą próbowała uporządkować tunikę. Zaprzesłała usiłowań, gdy zobaczyła, jak się zbliża, i wyciągnęła ramiona.

– Reede... – szepnęła.

Reede zatknął ogłuszacz za pas i odsunął ręce dziewczyny. Chwycił za ramiączko jej tuniki, patrząc na twarz Ariele, podciągnął miękką, lśniącą tkaninę, aż zasłoniła piersi, zręcznym, niedbałym ruchem umieścił ramiączko na miejscu. Otoczyła go ramionami, przyciągnęła do siebie.

– Przestań – powiedział i wyrwał się. – Zostań tutaj. – Cofnął się do miejsca, gdzie stał Elco Teel, zauważył z niepokojem, iż Ariele ruszyła za nim. Reede przyglądał się skwaszonej, przestraszonej twarzy Zimaka, jego skwaszonym, przestraszonym towarzyszom.

– Naprawdę wezwałeś Sinych? – mruknął przyglądający mu się Ananke.

– Nie – odpowiedział Reede ze śmiechem; zobaczył ulgę Ananke, odczuwającego to samo Elco Teela. Sam zeszywniał, gdy Ariele zaszła go od tyłu i znowu otoczyła ramionami, wsunęła palce w zapięcie jego koszuli. Ze złością szarpnął jej drugą rękę. Jedna z zimackich dziewcząt wybuchnęła wysokim, nerwowym chichotem, patrząc, jak dłoń Ariele pełźnie po jego ciele, jakby miała własną

wolę.

– Uważasz to za śmieszne? – zapytał nagle Ananke. Reede spojrzał na niego zdziwiony twardą goryczą głosu. – Naprawdę myślisz, że śmiejąc się z niej, będziesz bezpieczna? Że staniesz się jedną z nich? – Skinął głową w stronę Elco Teela i drugiego chłopca. – Siostrzo, następnym razem może być twoja kolej...

Dziewczyna zgromiła go wzrokiem, przylgnęła bliżej do Elco Teela, wzięła go pod ramię.

Reede podszedł bliżej, złapał za kołnierz jej kosztownej, prześwitującej i błyszczącej tuniki. Nagłym brutalnym ruchem rozerwał tkaninę do pasa.

– Kochanie, następnym razem może nie zechcą wprawić cię najpierw w odpowiedni nastrój...

Dziewczyna krzyknęła, cofnęła się, ściągając porwane kawałki stroju. Twarz Elco Teela zeszywniała, lecz nie zrobił nic, by jej pomóc. Pozostali Zimacy przyglądali się z szeroko otworzonymi oczyma.

Reede odwrócił się do nich plecami, odsunął Ariele, poczuł z wściekłością, że zaczyna mieć erekcje. Szarpnął się w stronę Elco Teela, wyciągnął rękę do Ananke, który w milczeniu podał nóż. Reede uniósł go, aż czubek dotknął gardła młodego Zimaka.

– Nie wezwałem Sinych, bo mogliby nie pozwolić na to, co chcę z tobą zrobić, maleńki – powiedział cicho.

Elco Teel zbladł, zdawał się całym ciałem cofać przed ostrzem.

– Elco Teel, to nie był przypadek, prawda? – mruknął Reede, kreśląc znak nieskończoności na drżącej szyi chłopca. Wszyscy, nawet Ariele, zamilkli, znieruchomieli, czekali i słuchali. Już go nie dotykała, choć cząstką duszy czuł nadal tylko ją, jej dotyk, jej zapach... Oderwał od niej uwagę. – Twój stary namówił cię do tego, a jego z kolei Źródło, zgadza się?

– Nie wiem – wymamrotał Elco. – Tak – może – tata dał mi narkotyki! Powiedział, że mogę się zemścić na niej, na tobie, bo mija zabierasz...

Reede nagłym, prostym ruchem szarpnął dłońią w dół i Elco Teel wrzasnął z bólu.

Reede cofnął się, sprawdził swe dzieło. Elco Teel chwiał się na nogach, jęczał żałośnie, patrząc na zwisające strzępy swego cennego ubioru, na cienką równą linię rany biegnącej od gardła do pępka, wypływającą z niej czerwoną wstęgę.

Reede złapał chłopca za brodę, brutalnie uniósł twarz.

– Posłuchaj mnie teraz, gówniarzu. Powiesz ojcu... powiesz, że mu się nie udało. I że już po nim. Powiesz, że gra skończona, między mną a Źródłem. Że to tylko ostrzeżenie. Że następnym razem będzie musiał składać kawałki twego ciała, jeśli zechce je pogrzebać... I że będzie to drobnostka w porównaniu z tym, co zrobię jemu. Zapamiętasz to wszystko?

– T-tak – wyjąkał Elco Teel. Z jego oczu ciekły łzy.

– To idź mu to powiedzić. – Reede wytarł nóż w strzępy koszuli Elco Teela i odszedł w bok, pozwalając mu uciec wraz z innymi. Wykorzystali możliwość, pierwszy uczynił to syn Kirarda Seta.

Reede patrzył, jak biegną, usłyszał ciężkie dudnienie zatrząskiwanych drzwi. Wtedy odrzucił nóż.

Ananke jak echo uczynił to samo. Reede zauważył jego spojrzenie, wyrażające na poły oszołomienie i podziw, na poły troskę.

– Co będzie dalej? – zapytał Ondyńczyk w końcu.

– Z czym?

– Źródło...

Reede skrzywił się, dziwnie zaniepokoiło go zrozumienie, że Ananke, patrząc na niego z troską, myśli jednocześnie i o własnym bezpieczeństwie. Pokręcił głową i wrzucił ramionami, nie mógł się

zmusić do innej odpowiedzi.

Niespodziewanie poczuł znowu na sobie dotyk miękkiej dłoni. Obejrzał się i zobaczył pieszczącą go, całującą w policzek Ariele. Tym razem nie postępowała tak śmiało jak uprzednio, lecz i tak jego ciało dźwięczało jak napięta struna.

– Przestań – mruknął, lecz odpychając dziewczynę, poczuł, że coś zwalnia jego ruchy, niby grawitacja, przygniata zdecydowanie.

Ananke patrzył na nich, jego twarz znowu wyrażała niepokój.

– Wracaj do klubu i znajdź Niburu – powiedział Reede. – Powiedz mu, że wszystko dobrze.

Ananke zerknął na Ariele.

– Co z...?

– Nic się jej nie stanie.

– Może powinienem zostać i pomóc ci dostarczyć ją do pałacu...

– Zajmę się nią – rzucił Reede i popędził Ananke, gdy ten ciągle się wahał. – Idź.

Ananke z wyraźnymi oporami kiwnął głową. Idąc ku drzwiom, przyglądał się Ariele, jej dłoniom, ustom, rzeczom, jakie próbowała zrobić Reede'owi.

Kullervo wyrwał się jej, gdy tylko Ananke wyszedł; złapał za ręce, gdy spróbowała go znowu objąć. Miał wrażenie, że pali go skóra w miejscach, które dotykała. Elco Teel musiał dać jej dawkę opętania. Wiedział, że środek ten przedostawał się do organizmu przez skórę, sprawiał, iż ofiara zarażała wszystkich, których dotknęła, przekazywała im to samo nieodparte podniecenie. Pulsujący w łądzwiach Reede'a ból rozchodził się na całe ciało, wywoływał pocenie się i gorączkę. Wmawiał sobie, że to niemożliwe, że narkotyki nie mają nań wpływu...

– Ariele – powiedział, z pasją trzęsąc dziewczyną. – Nie chcesz tego. Przestań!

Wyrywała się z jego objęć, z jej oczu popłynęły łzy... oczu przypominających agaty, przypominających mgłę, niepodobnych do żadnych innych.

– Nie chciałam ich – chciałam ciebie. Chcę ciebie. – Nagle zmiękła, osunęła się w jego rękach, niby wosk dotknięty płomieniem, ciepła, pachnąca przywierała do Reede'a. Mrucząc: – Proszę cię, proszę... Reede, pozwól... tylko ty. Tylko ty... – przyciskała usta do jego ledwo przesłoniętej piersi, obsypywała ją pocałunkami. Ramiona Kullervo utraciły nagle całą siłę na dźwięk imienia w jej ustach, na widok rozpoznania w jej oczach.

– Nie – powiedział, gdy go objęła. – Nie, Ariele... – Uniósł ręce, by ją odsunąć, lecz zdawały się one kierować własną wolą, szukać jej ciała, odmawiały oderwania się od niego. Bezradny Reede czuł jedwab i aksamit skóry Ariele, jej napierające krągłości, grały mu nerwy, jakby dotyk dziewczyny odtworzył dawno zamknięte połączenia... wiedział, że zdarzyło się niemożliwe. Jego usta znalazły jej, przycisnęły w długim, głębokim pocałunku. Wiedział, że jest już zgubiony...

Osunęła się wzdłuż jego ciała, rozpięta mu ubranie, całowała wszędzie; pociągnęła na matę załadowczą. Zimna pusta przestrzeń między nimi roztopiła się w falach gorąca.

Ariele ocknęła się ze snu o śnie, czuła, jak ciężar przebudzenia przygniata jej osłabłe ciało, nasycy każdy ruch cudowną zmysłowością. Przesunęła dłonie po ciele, przekonała się, że pod pościelą jest naga; zdziwiło ją to. Otworzyła oczy i ujrzała sufit pokoju, w którym nigdy dotąd nie była, nie pamiętała zupełnie, jak się tu znalazła. Nagle przeszedł ją zimny dreszcz, pomyślała o sobie, ujrzała się w zimnym, rozbrzmiewającym echami pomieszczeniu, otoczoną obcymi, pozaziemcami o twardych rękach i pozbawionych duszy oczach, pozwalającą im... pozwalającą im...

Obrazy przekształciły się jak obłoki, zamiast obcego obejmował ją teraz Reede Kullervo, pieścił, rozbierał, obsypując jednocześnie pocałunkami, które zmieniały jej rozum w morską pianę... Dotykał ją, rozgrzewał ciało do kości, aż wreszcie je otworzył i przeniknął. Pamiętała, jak płonący

niech jego męskości wyrąbywał ognisty szlak przez jej skórę, białym żarem wbijał się głęboko w jej łono, celnym pchnięciem osmalał miękkie fałdy, jak szukał, znalazł i opanował tajemne sedno jej samej; jak zatonął w jej żarzących się płynnych otchłaniach...

Pamiętała wolny, niski rytm, ciągnący się długo, wypełniający ją, przepelniający tak jak nic nigdy przedtem, aż niby morski ptak wykrzyczała długość, głębię, czystość doznań, aż rozkosz wzbiła się do szczytu i opadła w błogie odprężenie... by trwający rytm znowu wyniósł ją wysoko, doprowadził do rozgorączkowanych snów...

Obróciła spoczywającą na poduszce głowę, gdy tylko pędzące wspomnienia roztopiły się w świetle dnia. Odsuwając się od wypełniającego oczy blasku, poszukała obok siebie postaci, twarzy; przestraszyła się nagle, że go nie znajdzie, że nie znajdzie nikogo...

Ale był tam, ku jej uldze i radości, leżał obok pogrążony w śnie. Przyglądała się jego zwróconej ku niej twarzy; nie mogła oderwać oczu od jej spokoju. Nigdy go takim nie widziała, równie odprężonego, równie bezbronego. Obudzony wydawał się jej zawsze pełen czającego się obok bólu, niby pięść ściskająca ciernie. To właśnie zwróciło jej uwagę – wycucie niebezpieczeństwa, dzikość w oczach, lecz za serce ujął mężczyzna taki jak teraz, śpiący obok: udręczony, dręczący obcy, jakim ukazywał się niekiedy, gdy rozmawiali o merach. Nie miała wątpliwości, że ten właśnie mężczyzna wracał do niej, choć coś w nim samym z tym walczyło, odpychało go od niej, czyniło nieosiągalnym i nietykalnym.

Wyciągnęła rękę, tak delikatnie musnęła jego policzek, iż z trudem uwierzyła w jego istnienie. Przesunęła dłonią po zarysie szczęki, wzdłuż szyi, ramion. Nigdy przedtem nie pozwalał się jej dotykać, nigdy sam tego nie robił. Badała tatuaże pokrywające jego rękę, podziwiała skomplikowane wzory. Ktoś powiedział jej, że podobne noszą pewnego rodzaju przestępcy; świadomość tego potajemnie ją podniecała.

Gdy jednak zebrała dość odwagi, by zapytać, wszystkiemu zaprzeczył. A teraz, patrząc na piękno wielobarwnych, symetrycznych układów, przechodzących na jej oczach jedne w drugie, na magię rysunku, sama już w to nie wierzyła. Przywodziły jej na myśl sekrety, przekształcenia, wiadomości o ukrytych znaczeniach. Przypominały jej pieśni merów... tajemnicę ludzkiego życia, pełnię jego bogactwa i różnorodności... rzeczy, które mogła podziwiać zawsze, jak owe dziwne wzory czy tajemnice noszącego je mężczyzny...

Ręka Reede'a ożyła nagle pod dotykiem Ariele; złapała boleśnie jej dłoń. Usiadł, spojrzał na nią, uczucia na jego twarzy zmieniały się tak szybko, iż dostrzegała tylko gniew. Jej uśmiech zniknął, nim się jeszcze pojawił, cofnęła się przed tym, co ujrzała w jego oczach.

Reede jednak odwrócił się od niej, opadł na łóżko, leżał nieruchomo, przyciskając dłonie do twarzy.

– Nie – szepnął. – Nie...

Ariele podciągnęła się, odważyła na ponowne dotknięcie. Nie strząsnął jej dłoni, więc przysunęła się bliżej, położyła głowę na jego ramieniu. Wzdrygnął się, lecz nie zrobił nic, by się wyrwać.

– Och, Reede – mruknęła w jego szyję. – Tak bardzo cię kocham. Wszystko dla mnie zmieniłeś. Powiedział coś w nie znanym jej języku, brzmiało to jak przekleństwo.

– Nic nie wiesz o miłości, o zmienianiu się... niech cię – powiedział gorzko, lecz jednocześnie objął, przyciągnął, przycisnął do siebie, jakby się bał, że może zniknąć. Pogładził włosy dziewczyny. – Co mam teraz zrobić? – zapytał sufitu lub powietrza.

– Martwisz się moją matką? – zapytała. Spojrzał na nią obojętnie.

– Co?

– Nie będzie się na ciebie gniewać... Może nawet choć raz będzie szczęśliwa wraz ze mną.

Coś w rodzaju zrozumienia wypełniło mu oczy, lecz tylko się skrzywił.

– Nie mów nic matce. Na miłość bogów, nie mów nikomu!

– Ale dlaczego? I tak wszyscy myślą, że... Usiadł, spojrzał na nią z szaleńczą rozpaczą.

– Nie znasz prawdy... Spojrzała na niego.

– No to mi ją powiedz.

– Już za późno – pokręcił głową. Położył się obok niej. – Za późno... – Odwrócił wzrok od jej oczu, opuścił na ciało. Wyciągnął niepewnie rękę, dotknął jej piersi, aż zadrżała i przeciągnęła się w tęsknym pożądaniu. Przetoczył się na dziewczynę, zaczął ją całować, znowu się z nią kochać, robił to z taką gwałtownością, że aż zaparło jej dech... a potem doznania wypełniły ją całą bez reszty.

TIAMAT: Port gwiazdny Hegemonii

– Pani, czy spodobał się wam kompleks? – zapytał Vhanu z tyłu.

Nagle wyrwany z zamyślenia Gundhalinu odwrócił się od ściany z oknem. Zdołał zatopić się w osobliwym monotonnym krajobrazie urządzeń ładowniczych portu gwiazdnego; unikając rozmów, pozwalał, by płonąca dwadzieścia metrów niżej poświata na całe minuty wypalała wszystkie jego świadome myśli. Pytanie Vhanu przyciągnęło znowu jego uwagę do zatłoczonej sali przylotów, do której weszła Królowa z małżonkiem. Towarzysząca jej w zwiedzaniu Jerusha PalaThion stanęła obok, spojrzała na kratownice, jakby również przebywała myślami gdzieś zupełnie indziej.

Tak. Jest fascynujący – odpowiedziała Moon, wyrażając głosem odpowiednią porcję lęku. Na chwilę oderwała wzrok od twarzy Vhanu, Gundhalinu dostrzegł w jej oczach skrywane rozbawienie. Nie po raz pierwszy znalazła się w kompleksie, choć Vhanu o tym nie wiedział. Wówczas była to także noc przybycia na Tiamat Zgromadzenia, choć oznaczała nie Powrót, lecz początek końca, Ostatecznego Odlotu Hegemonii.

Nie była wtedy zaproszonym honorowym gościem, ale wyczerpaną uciekinierką... taką samą jak młody inspektor Gundhalinu, zaginiony i uważany za zmarłego. Razem wydostali się z pustkowia – głodni, zmarznięci, całkowicie zaskoczyli swym przybyciem. I chociaż tubylcom nie wolno było wchodzić do portu gwiazdnego, to jedno spojrzenie, jakie dyżurny sierżant rzucił w oczy powstałego z grobu inspektora Gundhalinu, wystarczyło, by oboje zostali wpuszczeni.

Zjawili się w środku uroczystości, takiej samej, jaka czeka ich dzisiaj, czuł wówczas radość i niewyobrażalną ulgę, iż cały i zdrowy znalazł się znowu wśród swoich, że wraca do domu. Żaden ze zgromadzonych owej nocy gości nie był szczęśliwszy.

Zerknął na Jerushę PalaThion, na jej nie wyrażającą niczego twarz, zastanowił się, o czym myśli. Była wówczas komendantem Policji, teraz jest tylko głównym inspektorem, ale jej życie doznało przez te lata tak wielu zmian – niemal tyle samo, co jego – że nie potrafił sobie wyobrazić reakcji dawnej przełożonej. Przypomniał sobie nagle, jak uśmiechnęła się, wchodząc do sali szpitaliku, w którym go leczono; jak radość, którą promieniowała na jego widok, wypełniła mu ciepłem i siłą posiniaczone, drżące ciało.

Pamiętał też wyrazy twarzy towarzyszących jej członków Zgromadzenia myśleli, że przyszli tu, by uhonorować jednego z nich, Kharemoughi, Technika, zaginionego w barbarzyńskiej dżicy – a ujrzeli bliźny pozostawione na przegubach przez nieudaną próbę samobójstwa, wysłuchali przyznania się do zakazanych uczuć, jakie żywił dla Tiamatanki, która uratowała mu życie.

Spojrzał na swe nadgarstki, jakby miał nagle zobaczyć przecinające skórę czerwone obrączki świeżej, nabrzmiałej tkanki, choć przecież dawno już pozbył się wszelkich śladów, a nawet rzadko już o nich myślał. Zdziwił się, uświadamiając to sobie, bo kiedyś był całkowicie pewny, że nie będzie dnia, by o nich nie dumiał, choćby nawet stały się niewidzialne; by przestał się nienawidzić za to, że żyje...

Teraz jednak, po tylu latach, zdumiało go również, iż choć z trudem przypomina sobie, co jadł wczoraj na obiad, to pamięta wyraźnie każde palące słowo drwiny i potępienia, jakimi obdarzono go owej nocy w szpitaliku; gdyby miał wtedy dość siły, chwyciłby najbliższe ostre narzędzie chirurgiczne i dokończył to, co tak nieskutecznie zaczął...

Uświadomił sobie, że zbyt często mruga; zmusił się do skupienia na trudnych ćwiczeniach adhani, aż znowu opanował wszelkie uczucia. Zerknął na Moon, zastanowił się, co pamięta z tamtej nocy, tak odległej dla ich obojga, kiedy to pycha i okrucieństwo rodaków pchnęło go do zdrady, odrzucenia wszystkiego, w co wierzył. W ten sposób pomógł Moon Dawntreader wypełnić

przeznaczenie.

Nie patrzyła na niego, ze starannie wymodelowaną miną słuchała Vhanu wyjaśniającego dalsze szczegóły działania portu gwiazdowego. Miała na sobie długą, lejącą się szatę, która byłaby odpowiednia nawet na Kharemough, choć delikatne zielone cętki na płynnej tkaninie przywodziły na myśl liście poruszane wiatrem, fale na morzu; coś całkowicie tiamatańskiego. Splotła włosy w prosty, luźny warkocz spływający na plecy, przetykany złotą nitką, głowę ozdobiła diademem wyglądającym na kryształowy. Nigdy przedtem nie widział, by nosiła coś w rodzaju korony; zrozumiał, że klejnot musiał należeć do Arienrhod i został założony rozmyślnie. Zachowywała się jak królowa; rozumiał, że czyniła tak zawsze... Oderwał od niej wzrok, gdy ból w piersiach stał się nagle zbyt silny.

Sparks Dawntreader słuchał także, jego twarz była jak rzadko ożywiona, jakby naprawdę interesował się udzielanymi przez Vhanu objaśnieniami. Ubrany w sprowadzoną tunikę i spodnie, krótko obcięty, niczym nie zdradzał, iż jest tubylcem.

– ...proszę mi jednak wybaczyć – powiedział Vhanu. – Muszę was nudzić, rozwodząc się nad sprawami tak ściśle technicznymi. – Gundhalinu usłyszał nieświadomą pogardę, jakby Królowa i jej mąż nie byli rozumnymi, wykształconymi ludźmi.

– Ależ nie – odrzekła Moon. Gundhalinu dostrzegł w jej oczach przelotny błysk gniewu, wiedział, że ona także dostrzegła ową bezwiedną ocenę. – Poznanie waszego portu gwiazdowego zaspokoilo niewątpliwie mą zdrową ciekawość. Tak długo stanowił on dla mego ludu teren zakazany, choć odgrywał ważną rolę w losie naszego świata... Muszę jednak przyznać, że trudno go porównywać z miastami, które krążą na orbicie wokół pańskiej rodzinnej planety, komendancie Vhanu.

Vhanu spojrział na nią ze zdumieniem.

– Czyżby...widziała pani taśmy pokazujące piastę portu gwiazdowego?

– Nie, widziałam port. Odwiedziłam go w młodości. Wtedy właśnie dowiedziałam się o sieci sybilli. – Uśmiechnęła się mile na widok nagle wyrażającej ostry niepokój twarzy komendanta.

– Jak się pani udało dostać tam i wrócić? – zapytał. – Przez wiele lat nikt nie opuszczał pani świata – a przedtem każdy Tiamatańczyk, który to uczynił, miał zakaz powrotu. Czy to oznacza, że...?

– Obawiam się, że złamałam prawo – odpowiedziała prosto. – Ale było to dawno temu... mój ówczesny czyn w świetle naszych nowych stosunków z Hegemonią nie jest już nielegalny. Tamto prawo było niesprawiedliwe... jak zresztą wiele innych. Prawda, panie Sędzio? – Spojrzała niespodziewanie na Gundhalinu, jakby poczuła na sobie jego wzrok.

Uśmiechnął się równie uważnie co ona.

– Pani, tym razem mamy nadzieję na ustanowienie prawdziwej sprawiedliwości w naszych stosunkach z waszym ludem – powiedział łagodnie. Zerknął na twarz Vhanu, zauważając ledwo skrywany niepokój, potem na Sparksa Dawntreadera. Mąż Królowej popatrzył nań chłodno i badawczo, nie tego się spodziewał, podobnie jak wywołanej tym spojrzeniem nieprzyjemnej reakcji we wnętrzościach.

Dawntreader odwrócił wzrok, z gorączkową ciekawością wpatrzył się poza okno na kratownice ładownicze i ostatnio przybyłe statki Zgromadzenia. Gundhalinu zastanowił się, czy naprawdę marzy o możliwości odlotu, zniknięcia, zostawienia tego świata i wszystkich jego smutków. A może pragnie raczej, by zniknęła Hegemonia...

Usłyszał nagle poruszenie w wypełniającym salę tłumie: Premier i członkowie Zgromadzenia zjawili się wreszcie. Przez pół sekundy czytał wyraźnie uczucia Dawntreadera.

– No, przybyło żywe muzeum historii starożytnej – Jerusha PalaThion powiedziała to sucho i

całkiem głośno.

– PalaThion! – zgromił ją Vhanu, jego oburzenie nie było tylko grą. Gundhalinu poczuł, jak mija mu nagły paraliż. Popatrzył na Główną Inspektor z nikłym śladem uśmiechu w kącikach ust. Nieznacznie skinął jej głową: dziękuję. Moon uśmiechnęła się szerzej za plecami Vhanu. Sparks odwrócił się od okna, całą uwagę skupił nagle na wejściu. Gundhalinu przypomniał sobie, że jest on synem jednego z członków Zgromadzenia, spłodzonym podczas tej samej Nocy Masek, kiedy to Arienrhod zaszczerpiła swe klony.

Główny Sędzia ruszył do drzwi, dając sygnał podwładnym, by uczynili to samo. Wiedział, że członkowie Zgromadzenia liczą na ową należną im uprzejmość. Choć przez dosłownie całą historię Hegemonii byli jedynie figurantami – a po przekształceniu, dzięki napędowi gwiazdnemu, istoty prawdziwej władzy kierującej Ośmioma Planetami stali się jeszcze większym anachronizmem – to mimo wszystko pozostawali żywym symbolem jej wpływów. Rozumiał odruchowy gniew Vhanu na bez troską uwagę Jerushy, choć sam dawno już przestał czuć rodzaj dumy i szacunku, jaki kiedyś wzbudzał w nim widok Zgromadzenia.

Choć członkowie Zgromadzenia nie byli niczym więcej niż aktorami odgrywającymi odwieczne role, to ich przybycie stanowiło zwykle powód do świąt i uroczystości, do przypominania wszystkiego, co jest dobre w dominacji Kharemough jako pierwszej spośród równych planet Hegemonii... Całym sercem zapragnął nagle, by stało się tak dzisiaj.

Jakby po wypowiedzeniu czarodziejskiego zaklęcia tłum wyczekujących pozaziemców i wpływowych Tiamatańczyków zaczął się rozdzielać, zostawiając wolne przejście dla członków Zgromadzenia. Przybyli oślepiali naszywanymi klejnotami, doskonale skrojonymi strojami, obwieszonymi medalami i ozdobami przyznanymi im podczas nie kończącego się nigdy cyklu odwiedzin Ośmiu Światów.

Gundhalinu zerknął na własne ubranie, zobaczył całkowicie czarny mundur Głównego Sędziego. Dziś jego prostotę naruszała srebrna wstęga z godłem rodu i osobistymi oznaczeniami. Zawieszając je, czuł się nieprzyjemnie wystawianym na pokaz, teraz jednak niespodziewanie był z nich rad, jakby przed starciem z bandą buntowników nie zapomniał nałożyć pancerza.

Mając po bokach Vhanu i Tilhonne'a, zatrzymał się przed Premierem, reszta urzędników zebrała się w tyle. Skłonił się, gdy przybysze byli kolejno przedstawiani przez mistrza ceremonii Zgromadzenia.

Premier Ashwini dotknął na chwilę podniesionej dłoni Gundhalinu, popatrzył na niego z dobrotliwym roztargnieniem i wymruczał uprzejme słówka, które Główny Sędzia natychmiast zapomniał. Premier wyglądał na sześćdziesięciolatka, lecz jego ciało wskazywało na kogoś młodszego; w jego zachowaniu było wyraźnie coś z Technika. Był dopiero czwartym przywódcą Zgromadzenia od chwili powstania Hegemonii i Gundhalinu nie wiedział, jak dawno temu się urodził. Pewnie uczył się o tym w szkole, ale dawno już zapomniał. Dzięki dostępowi do najlepszych z istniejących metod odmładzania i częstemu zażywaniu wody życia musiał być znacznie starszy w latach biologicznych, niż wskazywał na to jego wiek. A ponieważ wraz z resztą Zgromadzenia spędzał większość życia na wędrówkach między Wrotami i planetami, jego wspomnienia sięgały jeszcze dalej w przeszłość, stanowiły mozaikę przypadkowo wybranych chwil – większość z nich pewnie była bardzo do siebie podobna.

– Jestem zaszczycony, sandhi – mruknął Gundhalinu, tak jak wszyscy użył sandhi. Odstąpił na bok, by Premierowi i reszcie Zgromadzenia ukazać resztę czekających na ich przybycie. – Pragnę przedstawić panu Królową Lata...

– Arienrhod! – powiedział Premier, okazując wyraźne zdumienie. Dotknął na chwilę nosa,

znowu spojrzął na Gundhalinu. – Przecież powinna nie żyć? Czyż kilka miesięcy temu nie widzieliśmy, jak ją utopiono...? Urwał, nim Główny Sędzia zdołał odpowiedzieć; uniósł oczy, jakby słuchał kogoś mówiącego wewnątrz czaszki. Gundhalinu zrozumiał, że Ashwini otrzymuje od kogoś dane, może od mistrza ceremonii, albo też własne jego słowa włączyły jakiś zbiór. – Och – powiedział Premier po chwili wydającej się ciągnąć długo i dodał: – Oczywiście. To Królowa Lata. Bardzo przepraszam. Pani, jestem zaszczycony. – Podszedł do niej, wyciągnął rękę po miejscowemu. Moon skłoniła się z równą godnością i z powagą uściśniła dłoń.

– Czy to od niedawna? – zapytał Premier. – Czy zmieniliście się, by naśladować poprzedników?

Gundhalinu ujrzał, jak Moon zarumieniła się i skrzywiła w duchu.

– Nie – odpowiedziała bez dodawania tytułu, jakby rozmawiała z równym sobie. Jej sandhi był trochę sztuczny, lecz całkowicie rozumiały. – Nie zrobiliśmy tego.

– Och – powiedział i znowu na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. – Ale co w ogóle tu robicie? Poprzednim razem nie mieliście prawa wstępu do portu gwiazdowego.

– Dużo się zmieniło, sadhu – powiedział Gundhalinu z lekkim naciskiem. – Na pewno sobie przypominacie. Ze względu na napęd gwiazdny. Zmiany objęły także nasze stosunki z Tiamat.

Ashwini skrzywił się nieznacznie, znowu wsłuchał w głos wewnętrzny.

– No, oczywiście – powiedział, mrugając powiekami. – Wszystko staje się jasne. – Ponownie skłonił głowę przed Moon, jakby dopiero co została mu przedstawiona, i spojrzął na Gundhalinu.

– A wszystko to zawdzięczamy właśnie wam, prawda, panie Sędzio? – uśmiechał się teraz jakby szczerze i z pełnią uznania.

– Przy kolacji musi mi pan opowiedzieć o tym własnymi słowy...

– Uczynię to z przyjemnością, sadhu. – Gundhalinu odwzajemnił uśmiech i uwaga Premiera przeszła na innych. Za jego plecami wymienił spojrzenia z Vhanu; zobaczył w oczach komendanta odbicie własnego niepokoju. Bogowie, ten człowiek ma pomieszane w głowie, jest chodzącym szyfrem. Mimo to przeszedł do dalszych prezentacji, jakby nic się nie stało. Przedstawił Sparksa Dawntreadera – ...małżonek Królowej, syn Pierwszego Sekretarza Sirusa...

Pomiędzy zgromadzonymi mężczyznami i kobietami ze Zgromadzenia przeszedł pomruk, ktoś z nich podszedł bliżej, by lepiej widzieć – właśnie Sirius, jeśli Gundhalinu dobrze rozpoznał jego ledwo pamiętaną twarz. Sekretarz nie wyglądał na starszego od Sparksa, z uśmiechem dumy i sympatii wpatrywał się w syna. Sędzia poczuł, jak Dawntreader zerknął nań ze zdziwieniem, nim zwrócił twarz w stronę ojca.

Premier był z pełną szacunkową stanowczością prowadzony po sali, otaczała go garstka doradców i ochroniarzy. Gundhalinu poczuł, jak ulga rozluźnia napięte mięśnie karku, gdy na powitanie z nim i z innymi podeszli pozostali członkowie Zgromadzenia, okazywali jednakową bezwiedną pychę lub podobnie jak Premier lekką dezorientację. Większość czasu spędzali we własnym szczelnie zamkniętym latającym świecie, opuszczali statki tylko przy takich okazjach jak ta – by uczestniczyć w nie kończących się eleganckich przyjęciach i uroczystych kolacjach urządzanych przez ciągle się zmieniających przywódców kolejnych planet. Nowych członków Zgromadzenia wybierali jedynie w wypadku śmierci poprzednich. Gundhalinu uznał za zdumiewające, iż ich zachowanie nie było jeszcze dziwniejsze.

Wybrał napój z roznoszonego przez robota zestawu łagodnych narkotyków, połowę wypił jednym łykiem. Zły był na siebie, że tego potrzebował, że pozwolił tak bardzo zdenerwować się wspomnieniami. Przedtem tylko raz zetknął się ze Zgromadzeniem, podczas krótkiego, gorzkiego spotkania w portowym szpitalu. Odkryło się dla niego przed trzynastu laty, lecz oni zdawali się wcale nie postarzeć, a niektóre twarze wydały mu się znajome, jakby wryły się niezatarte w jego mózg.

Zastanawiał się, czemu poniżenie ma tak ogromną władzę nad ludzką duszą, że jego wspomnienie jest po połowie życia znacznie żywsze niż pamięć poprzedniego tygodnia, wyraźniejsze aniżeli obraz wszystkich tych dobrych i miłych chwil, jakie od tego czasu zaszły. Gdy wrócił na Kharemough z napędem gwiazdnym, nikt nie ośmielił się wspomnieć o jego hańbie. Minęły lata bez jednego pogardliwego spojrzenia czy uszczypliwej uwagi na temat przeszłości. Próba samobójstwa nawet dla niego samego wydawała się odległą historią.

Dla tych jednak ludzi ostatnie spotkanie było wspomnieniem sprzed zaledwie kilku miesięcy. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat i był na wpół żywy, lecz mimo to zaczął się modlić do cieni przodków, by nikt go sobie nie przypomniał, nie skojarzył...

– Sędzio Gundhalinu – rozległo się zbyt głośno tuż za jego lewym uchem. – Bardzo jestem rad, że was spotykam, sadhu – osobę, która stała się żywym symbolem wielkości Kharemough, przyczyn, dla których od tak dawna władamy Hegemonią.

Gundhalinu odwrócił się, cofnął krok przed nieprzyjemną bliskością i mocnym zapachem wody kolońskiej. Jego żołądek przewracał się na odór, którego nigdy nie zapomniał.

– IP Quarropas – powiedział tamten – marszałek Zgromadzenia.

– Jestem zaszczycony – mruknął Gundhalinu automatycznie, dotykając dłoni marszałka, patrzył na jego rozlazłą uśmiechniętą twarz. Quarropas musiał być w młodości przystojny, ale życie w wygodach i przyjemnościach źle wpłynęło na jego wygląd.

– Mam wrażenie, że już się spotkaliśmy... – powiedział marszałek z dziwnym wyrazem twarzy. – A pan?

– Nie sędzę...

– Przypominam sobie pańskie nazwisko... – Quarropas uniósł palec, Gundhalinu dostrzegł, jak odpowiedź wypływa niepowstrzymanie na powierzchnię umysłu marszałka.

Gundhalinu z wysiłkiem zachował spokój, gdy na widzianą twarz nałożyła się zapamiętana.

Tak, Quarropas-sadhu – powiedział łagodnie – spotkaliśmy się. Podczas waszej poprzedniej wizyty na Tiamat. Byłem wtedy inspektorem Policji. – A marszałek nie chciał wówczas zetknąć swej ręki z jego, zranioną podczas próby przecięcia żył na przegubach.

– Inspektor Gundhalinu – mruknął Quarropas. – Na świętych przodków! Jest pan tym – tym z pustkowia? Jak to możliwe? Myślałem, że po tym, jak owej nocy zhańbił pan swą rodzinę i klasę, dawno już postąpił honorowo... – Niektórzy ze stojących bliżej zaczęli się odwracać, przyglądać z otwartą niewiarą lub ciekawością skandalu. Gundhalinu usłyszał czyjś szept: – A nie mówiłem...

Główny Sędzia długo nic nie mówił, pomiędzy świadkami rozmowy dostrzegł Vhanu.

– "Postąpił honorowo"? – powtórzył w końcu całkowicie spokojnym głosem. – Czy rozumie pan przez to, że nie powinienem teraz żyć?

– Nie udało się panu popełnić samobójstwa – powiedział Quarropas. Oznaczało to zarzut tchórzostwa. – A ponadto ciągnął z sobą brudną tubylczą dziewczuchę...

– Ma pan na myśli Moon Dawntreader? – zapytał Gundhalinu, powstrzymując zalew słów. – W takim razie mówi o Królowej Lata... – Wskazał na Moon, stojącą nieruchomo w pobliskiej grupie, z twarzą wyrażającą coś pomiędzy gniewem a bólem. Towarzyszył jej Sparks, jego mina objawiła zaledwie lekki niesmak. – W takim razie – ciągnął Gundhalinu z groźnym spokojem – myli się pan. Była wtedy i jest nadal poślubiona synowi Pierwszego Sekretarza. Ich dzieci są dzisiejszymi gośćmi. Pomogła mi w wielkich kłopotach; ja dawno temu starałem się zrobić coś dla niej. To wszystko. W tej sprawie nie ma nic do dodania. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – To jedynie, iż doszedłem do wniosku, że prawdziwym tchórzostwem byłoby odrzucenie życia. Naprawdę honorowym wyjściem było zrezygnowanie ze śmierci i dowiedzenie czynem, iż zasłużyłem na zapomnienie o przeszłości.

– Dobrze powiedziane, Gundhalinu-ken. – Pierwszy Sekretarz Sirus stanął obok Sparksa Dawntreadera. Jego ciemne, bystre oczy patrzyły na Głównego Sędziego. – I dobrze zrobione. Zapewniam cię, Quarropas – mruknął, obniżając głos i podchodząc, aż stanął między marszałkiem a Gundhalinu. – Prędzej popełniłbym samobójstwo, niż wypowiedział podobne słowa do takiego człowieka. Obaj podczas ostatniej wizyty postąpiliśmy niegodnie, gdy nie znając w pełni okoliczności, podważyliśmy choć trochę pański honor. Powtórne obrażenie czcigodnego Gundhalinu-eshkrad jest czynem niewybaczalnym. – Quarropas najeżył się, spojrzął na Sirusa, czując na sobie uwagę obecnych, i skrzywił się.

– Gdyby nie Główny Sędzia – ciągnął Sirus – nie spotkałaby mnie wielka radość ponownego ujrzenia syna i spotkania jego rodziny. Jego żona nie byłaby królową tego świata...nie znaleźlibyśmy się tutaj, mając przed sobą nową przyszłość, nie otrzymalibyśmy znowu dostępu do wody życia. Wszystko to stało się dzięki temu, że dał nam napęd gwiazdny. Chylę przed panem czoła, sadhu. – Spojrzął na Gundhalinu i uniósł emaliowany kielich. Tłum zaczął znowu szumieć, ale tym razem nie było w tym nic wrogiego czy pogardliwego. Gundhalinu ujrzał, jak podnoszą się następne szklance, podobnie dłonie w uroczystym powitaniu.

Główny Sędzia kiwnął głową, pozwolił, by Sirus odczytał w jego oczach wdzięczność. Sekretarz uśmiechnął się i odszedł, a czas zaczął znowu płynąć.

– Na Przewoźnika, gracko przebiłeś tego kortcha. – Jerusha PalaThion stanęła nagle obok. Dotknęła jego ramienia, ujrzał w jej oczach wspólną przeszłość.

Gundhalinu skrzywił usta.

– Przez wiele lat, leżąc w bezsenne noce, rozmyślałem, co mogę w takiej chwili powiedzieć... – Pokręcił głową i lekko się uśmiechnął. – Może naprawdę nie jestem tchórzem. – Spojrzął na nią. – Jak się bawisz?

– Jakoś przeżyję – wzruszyła ramionami. – Gorzej mnie już witano. Myślę jednak, że przyda mi się dalsze wzmocnienie. – Odeszła w ślad za przechodzącym robotem.

Gundhalinu dokończył swój trunek, rozejrzał po tłumie, aż dostrzegł Vhanu. Komendant spojrzął na niego krótko i odwrócił wzrok, jego oczy wyrażały niepewność.

Gundhalinu ruszył w jego stronę, chciał porozmawiać, ale nagle wyrósł między nimi Premier, uśmiechał się z dobrotliwą godnością.

– Toast za Głównego Sędziego Gundhalinu? Żaden nie może być bardziej odpowiedni i dać mi większej przyjemności. Parę tylko osób w naszej historii zasłużyło bardziej na taki hołd za swój wkład w pierwszeństwo Kharemough i pomyślność Hegemonii.

Gundhalinu skinął głową, unikając w ten sposób konieczności patrzenia innym w oczy. Zastanowił się przy tym, dlaczego podobny zaszczyt, za który kiedyś oddałby życie, spotkał go teraz, gdy niemal nic już dla niego nie znaczy.

Gdy znowu uniósł głowę, Vhanu nie było nigdzie widać. Ktoś w tyle wymówił jego nazwisko, odwrócił się, by ujrzeć Moon podchodzącą ku niemu z Sirusem i całą rodziną.

– Dziękuję, sędzio Gundhalinu, że bronił pan godności mojej i moich bliskich – powiedziała.

Kiwnął głową, kryjąc nagłą falę uczuć wywołaną widokiem jej twarzy.

– Postąpiłem tak, bo zarzuty były niesprawiedliwe... oczywiście wobec nas wszystkich, Pani. – Unikając wzroku Sparksa Dawntreadera, milczących spojrzeń Ariele i Tammisa, zwrócił się w stronę Sirusa. – Jestem wdzięczny, sadhu.

Usta Sirusa wykrzywiły się w uśmiechu lekkiego zakłopotania. Był wysoki i jak na Technika z Kharemough, mocno zbudowany; Gundhalinu przypominał sobie niewyraźnie, że w gruncie rzeczy jest na wpół Samathańczykiem – synem Premiera spłodzonym podczas jakiejś odległej wizyty na

rodzinnej planecie sekretarza. Pochodzenie pomogło mu zostać ważnym przywódcą politycznym na Samathe; przy następnym przybyciu Zgromadzenia poproszono go o zajęcie wolnego miejsca. – To ja byłbym wdzięczny, Gundhalinusadhu, gdyby pan uważał nasze rachunki za wyrównane, choć musiał pan o nich przez tyle lat pamiętać.

Sirus odwrócił wzrok, spojrzął na Sparksa, potem na Ariele i Tammisa. Chłopiec stał za matką, obok Merovy, swej młodej żony.

– Przez nasze podróże na całe stulecia odrywamy się od czasu. Pan jednak dał mi możliwość ujrzenia, jak wiele dokonali tu mój syn i jego żona... zobaczenia wnuków. Rodacy mej matki przywiązują do tego wielką wagę – niczego bardziej nie żałowałem, przyłączając się do Zgromadzenia. – Objął ramiona Sparksa, zwrócił do niego. – Wiem, synu, że nie mogłem być dla ciebie ojcem, moja duma jest pewnie wyrazem zarozumiałości, lecz mimo to płynie ze szczerego serca. Mam także wrażenie, że pomimo mej nieobecności poradziłeś sobie w życiu wyjątkowo dobrze.

Sparksa uśmiechnął się, patrząc na ojca, lecz jego uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Gundhalinu zapragnął wiedzieć, jakie to wątpliwości, żale i tajemnice kryją się za wyrazem twarzy męża Królowej, nagle opanowała go niezrozumiała pewność, że mina Dawntreadera osłania tyle samo sekretów, co jego sprzed kilku minut.

Stał z nimi, wykorzystywał błahą, uprzejmą rozmowę, by obserwować, jak mówią i zachowują się wobec siebie. Wiedział, że powinien zmieszać się z tłumem, wypełniać nieprzyjemne obowiązki gospodarza, ale nie mógł się zdobyć na opuszczenie Moon, oderwać oczu od niej w otoczeniu rodziny.

Jej rodziny. Spojrzął na Ariele, której twarz ciągle przypominała matkę sprzed lat, różniła się jednak stale obecnym drwiącym uśmiechem, niepokojem i niecierpliwością w oczach. Wzięła z mijającej tarczy pasek stymulatora i nalepiła niby trzecie oko na środku czoła. Jej nastroszone białe jak mleko włosy spięte były na czubku głowy, nosiła dźwięczący kombinezon barwy jutrzeńki i luźne miękkie spodnie zawiązane wokół wąskiej kibici, jej strój był jak zwykle niesłychanie kosztowny i wyszukany.

Popatrzyła przez chwilę na Sirusa mówiącego do jej matki, odwróciła wzrok i Gundhalinu nagle spostrzegł, że jest przez nią obserwowany. Skrzywiła się, spojrziała na sekretarza, znowu na sędziego i Sparksa, którego zawsze uważała za swego ojca. Gundhalinu przez moment dostrzegł, jak opada z niej maska drwiny, dojrzał w oczach dziewczyny niepewność zagubionego dziecka. Odwróciła się, zauważywszy, że nadal się jej przygląda, i zniknęła w tłumie. Zastanowił się, czy poszła poszukać tego nędznego łobuza, Elco Teela. Kirard Set Wayaway był tu z rodziną, miał za duże wpływy, by go pominąć, i Gundhalinu cieszył się, że dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu dotychczas się na niego nie natknął.

– Zwraca na siebie uwagę, prawda? – Sirus zwrócił się do niego, wskazując na plecy odchodzącej Ariele. Gundhalinu popatrzył na sekretarza, dopiero teraz uświadomił sobie, że inni zauważyli jego przyglądanie się dziewczynie. – Mam na myśli podobieństwo między nią a matką.

– Tak – rad był, że może to podać za powód swego zachowania. – Gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem, uznałem za Królową. – Uśmiechnął się, spojrzął na Moon, dostrzegł jej zdziwienie.

Tammis bardziej przypomina ojca. – Sirus uśmiechnął się szerzej, zwracając do stojącej za nim młodej pary. – Ma w sobie coś z Kharemoughi, nie uważacie, Gundhalinu-sadhu?

Gundhalinu zawahał się, poczuł, jak pięć par oczu spoczęło nagle na jego twarzy.

– Tak – powiedział cicho – ma rzeczywiście. – Tammis spuścił wzrok; sędzia pomyślał, że chłopiec po prostu unika jego wzroku, dopiero po chwili zrozumiał, iż patrzy na jego koniczynkę.

Tammis uniósł rękę, dotknął swej oznaki sybilli; opuścił znowu, by ująć dłoń żony. Gundhalinu dostrzegł, jak próbowała skrycie uniknąć dotknięcia, potem się poddała. Dobiegły go słuchy, że mają kłopoty małżeńskie.

Popatrzył na Sirusa. Pierwszy Sekretarz wydawał się na szczęście ślepy na skrywane napięcia, pochłonięty radością wydumanych fantazji na temat życia rodzinnego syna. Być może uda mu się odlecieć, zanim ujrzy je potrzaskane... nigdzie nie przebywa na tyle długo, by zaznać coś więcej niż złudzenie życia w prawdziwym świecie, z wszystkimi jego cierpieniami i żalonymi niedoskonałościami.

Gundhalinu zastanawiał się niekiedy, co sprawiało, że ludzie w rodzaju Sirusa zgadzali się wejść do Zgromadzenia, zrywać tak całkowicie więzy z dotychczas znanym im życiem. Dziś wreszcie odniósł wrażenie, że być może zrozumiał. Nagle uświadomił sobie, że zna graną muzykę – kryształową fugę z jego ojczystej planety. Muzyka znana mu od zawsze nigdy nie uderzyła go bardziej swym pięknem i bolesnym smutkiem.

Sirus zwrócił się do Moon, która wymówiła jego nazwisko.

– Proszę, mów mi Temmon...

– Temmonie – powiedziała, kiwając głową z przelotnym uśmiechem – powiedziałeś, że możemy porozmawiać o merach.

– Tak, oczywiście; to niewątpliwie sprawa, którą trzeba poruszyć. Usiądź przy mnie podczas kolacji, a... – Urwał, gdy goście w całej sali zaczęli się szybciej poruszać i szumieć.

Gundhalinu wyprostował się, by dojrzeć coś ponad połowę setki głów zwracających się w stronę drzwi. Dostrzegł Tilhonne'a, stojącego w środku niewielkiej, pustej przestrzeni z czymś niejasno znajomym. Zesztywniał, gdy rozpoznał przedmiot, usłyszał, jak Moon głośno wciąga powietrze: Tilhonne trzymał fiolkę z wodą życia.

– Sadhanu, bhai – Tilhonne podniósł głos, by usłyszał go tłum. – Czeka nas kolacja. Wpierw jednak, dzięki staraniom nowego rządu Hegemonii i współpracy naszych tiamatańskich przyjaciół... – wskazał ręką i nagle obok niego stanął Kirard Set Wayaway, uklonił się z uśmiechem – mamy specjalny dar dla dzisiejszych honorowych gości. Pierwsze owoce wznowionych żniw. Wodę życia.

W tłumie rozeszły się pomruki zdziwienia i wyczekiwania; po nich ruchy. Członkowie Zgromadzenia zaczęli podchodzić do Tilhonne'a.

Gundhalinu stał nieruchomo, poczuł nagle, jak wszyscy wokół patrzają na niego. Spojrzał na Moon, dostrzegł w jej oczach niewiarę i zdradę.

– Dobrze zrobione, Gundhalinusadhu! – powiedział rozpromieniony Sirus. – Żadne inne przemówienie nie ukróciłoby tak łatwo butnej wyniosłości pewnych głupców. – Poklepał Gundhalinu po ramieniu. – Spełnił pan ich marzenie – pan i Pani. – Zwrócił się do Moon, ta jednak odwróciła wzrok, patrzyła z bolesną ciekawością, jak członkowie Zgromadzenia przekazują sobie fiolkę, unoszą do ust, z gorliwością bliską pożądaniu wachają i wciągają mgiełkę ciężkich srebrnych kropelek.

– No, podejdźmy – powiedział Sirus, popatrzył ze zdziwieniem, gdy stojący obok nie ruszyli się. – Na pewno wszyscy mamy prawo do udziału w tym błogosławieństwie? Chyba że macie to już za sobą?

– Nie – odpowiedziała Moon, jej twarz wyrażała rozpacz. – Nie pijam krwi. Każda kropla branej przez was wody życia kosztuje życie mera. Hegemonia, zabijając je, złamała nasze prawo...

Sirus patrzył na nią przez chwilę, jakby nigdy przedtem nie zastanawiał się, skąd pochodzi woda życia.

– O tej właśnie sprawie, dotyczącej merów, chciałam porozmawiać – powiedziała, patrząc na niego zamroczonymi bólem oczyma.

– Na bogów – mruknął z rozpaczą. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że te dwie rzeczy się z sobą wiążą... Ale nadal pragnę o tym pomówić, bardziej niż kiedykolwiek. O ile pamiętam, kolacja będzie długa i zdołamy...

– Nie. – Pokręciła głową, patrzyła twardo i niezłomnie. – Uczestniczenie w waszej kolacji, jakby nic się nie stało, oznaczałoby, że przystaję na to, co się tu wydarzyło, a takie postępowanie z mojej strony byłoby szczytem hipokryzji. – Spojrzała na Gundhalinu, odwróciła wzrok, nim zdążył coś powiedzieć.

– Moon... – Sparks złapał ją za ramiona, gdy zaczęła się odwracać.

– Jak chcesz, możesz zostać – odparła ze zrozumieniem i gniewem w oczach. Odeszła, Tammis i Merovy podążyli za nią w milczeniu.

Sparks zawahał się, spojrzał na swego ojca, potem jednak pokręcił głową, mruknął coś zbyt cicho, by Gundhalinu zrozumiał, i poszedł za nimi. Mijając sędziego, zajrzał przelotnie w jego oczy wzrokiem, który niby szpony rozdarł mu sumienie. Zdziwiony i zmieszany Gundhalinu patrzył, dopóki Dawntreader nie zniknął w drzwiach.

Sirus ze zmartwieniem i zażenowaniem pokręcił głową, przekonawszy się, że nagle zostali sami.

– To może pan przynajmniej się do mnie przyłączy, Gundhalinusadhu? – zapytał, wskazując na wodę życia.

– Nie, sadhu. Obawiam się, że nie zdołałbym jej przełknąć. Sirus przyglądał mu się przez chwilę, potem zerknął na srebrną fiolkę krążącą w tłumie.

– Cóż – westchnął – może sam przestanę się nią interesować – przynajmniej do czasu, aż więcej się o niej dowiem. Mam nadzieję, że zostanie pan na obiad?

Gundhalinu uśmiechnął się lekko.

– Tak, sadhu. W tej sprawie przeciwnie niż Królowa nie mam wyboru. – Popatrzył na drzwi, w których zniknęła, widział, jak fala komentarzy wywołanych jej nagłym wyjściem zderza się z podnieceniem spowodowanym wodą życia. Zauważył przy tym ku swemu zdziwieniu, że Ariele Dawntreader gniewnie się z kimś spiera. Zobaczył, że odwraca się i wychodzi, jakby również została urażona wodą życia i wszystkim, co się z nią wiązało.

Gdy dziewczyna zniknęła mu z oczu, spostrzegł Vhanu stojącego w pobliżu drzwi.

– Przepraszam. Muszę najpierw z kimś porozmawiać. – Zostawił Sirusa i przebił się przez plotkujący tłum, starając po drodze słyszeć jak najmniej uwag.

Dotarł do stojącego Vhanu.

– Do licha, NR – powiedział z wściekłością – jak do cholery się to stało? Był to dyplomatyczny policzek. Królowa tak się rozgniewała, że wyszła. Nigdy nie zezwoliłem na...

– To pomysł Tilhonne'a, by sprowadzić tu wodę życia i dać w prezencie Zgromadzeniu...

– Nie wątpię, że przy chętej współpracy Wayawaya – powiedział Gundhalinu z goryczą.

Vhanu wzruszył ramionami i przytaknął.

– Jak bez pomocy Królowej urządzili polowanie? Arienrhod wykorzystywała Starbucka i dillypy z Tsiehpun...

– Zgodziłem się przeznaczyć na nie konieczne wyposażenie i ludzi.

– Bogowie! I ty ś to zrobił? – Gundhalinu poczuł, że się czerwieni. – Na jakiej podstawie? Psiakrew, NR, jak mogłeś nie zawiadomić mnie o tym?

– Ponieważ wiedziałem, że z miejsca byś się sprzeciwił. – Vhanu skrzywił się, niespokojnie wykręcił ręce. – BZ, w imię tysiąca bogów, musimy wywrzeć dobre wrażenie, jeśli chcemy, by na Kharemough popierali nas wpływowi ludzie. Musimy udowodnić, że działamy tu jak należy, że my mamy tu władzę, a nie przesadni tubylcy. I do licha, pozwoliłeś się opanować obsesji "oświeconego

– rząd". – Gundhalinu dojrzał w oczach Vhanu odbicie swej zdenerwowanej twarzy, odwrócił wzrok. – Podcinasz sobie gardło. Załatwiłem to za ciebie.

– Zrobiliście to dla siebie – rzucił Gundhalinu, nagle nie wyzbywając się gniewu, zaczął się bronić. – Nie mieszajcie tych dwóch rzeczy.

Vhanu zacisnął usta, usłyszawszy przejście na wy.

– Niech będzie. Zrobiłem to dla nas dwóch – dla nas wszystkich, tak jak Tilhonne. – Jego twarz zmieniła wyraz, z łagodną natarczywością położył ręce na ramionach Gundhalinu. – BZ, wiesz, że zawsze miałem dla ciebie najwyższy szacunek. Jesteś moim przyjacielem. Nikogo więcej od ciebie nie podziwiam. Ale bez względu na powody, dla których chciałeś się tu znaleźć, zapewniam cię, że gdy znajdziesz czas, by to wszystko przemyśleć, będziesz mi wdzięczny za to, co zrobiłem dzisiaj.

Gundhalinu nie powiedział nic więcej, patrzył, jak reszta wody życia znika w spragnionym gardle ostatniego członka Zgromadzenia.

– Idą na kolację – powiedział wreszcie, odwracając się, patrząc w oczy Vhanu. – Dołączymy do nich?

Vhanu przytaknął i nic nie mówiąc, wyszli razem.

Za murami przeciwszstormowymi na końcu Alei Lazurowej pokazała się różowa poświata świtu, gdy zmęczony, samotny Gundhalinu dotarł wreszcie do drzwi swego domu. Zerknął na barwy poranka, dowód, że poza niezmiennymi murami i nie przygasającymi nigdy światłami Krwawnika nadal istnieje świat i kosmos. Bez uczucia oderwał wzrok od rozjaśniającego się nieba, zbyt był wyczerpany, by ten widok budził w nim cokolwiek, by proste światło dnia stało się dlań fałszywym symbolem.

Zamazywały mu się wspomnienia dopiero co minionej nocy, wydarzeń zaszłych po pojawieniu się wody życia i wyjściu Królowej: niezliczonych potraw, które ledwo tknął, towarzyszących im niezliczonych pytań pierwszego sekretarza. Odpowiadał na nie najlepiej, jak potrafił, nie potrafiąc się przy tym skupić na czymkolwiek innym, aniżeli świadomości, że Sirius jest bezsilnym figurantem, o czym jego rozmówca wiedział równie dobrze co on; że jakiegokolwiek protesty, nawet najbardziej wpływowych osób, nic nie dadzą... że Moon opuściła port gwiazdny, nie dając mu możliwości, by się wytłumaczył. Stojąc na własnym progu, wiedział dokładnie tylko to, że ma ból głowy trzy razy większy niż jego czaszka, że kresem jego obecnych umiejętności jest otwarcie skomplikowanego zamku drzwi.

Potknął się o coś leżącego w cieniu wejścia, zaklął, straciwszy równowagę i uderzywszy ramieniem o mur. Pochylił się i znalazł spoczywający na stopniu szeroki płaski pakunek. Obrócił go badawczo w dłoniach. Był duży, lecz bardzo lekki, przy potrząsaniu trochę szeleścił. Nie towarzyszył mu żaden napis, nawet jego nazwisko, lecz z niewytłumaczalnych powodów nie wyczuwał żadnego niebezpieczeństwa. Podniósł paczkę, wsadził pod ramię, otworzył zabezpieczony zamek i wszedł do środka. W salonie położył na stole koszyk z przykrywką i zaczął szukać paska przeciwbólowego, który pomoże mu pozbyć się dudnienia w głowie.

Wrócił po chwili szerokim, hakowatym przejściem, rozluźnił kołnierz i opadł na miejscową kanapę o ziemistej barwie. Poczul lekki morski zapach suszonych wodorostów, którymi wypchano tapicerkę. Westchnął, uświadomiwszy sobie, że owa szczególna woń zaczyna nań działać kojąco. Uniósł nogi i zamknął oczy, od urządzenia rozrywkowego zażądał muzyki. Pasek przeciwbólowy rozpoczął działanie przy wtórze wypełniających milczenie domu znajomych melodii wyszukanych pieśni Kharemough; Gundhalinu czuł, jak mija cierpienie, pozostawiając jedynie znośną ociążałość oczu. Mógł znowu myśleć.

Przekonał się jednak, że myśli, które wślizgnęły się do oczyszczonej świadomości, niosą z sobą

cierpienie innego rodzaju: dokuczliwe męki narastającego zdenerwowania, daremności, osamotnienia i żalu.

Usiadł, mówiąc sobie ze złością, że nie mógł się niczego innego spodziewać. Czy naprawdę był takim głupcem, że wierzył we własne wpływy – że Hegemonia przystanie na każdą jego zachciankę, bo tyle dla niej zrobił? Albo że Moon Dawntreader skrycie marzyła o jego powrocie, przez wszystkie te lata myślała tylko o nim, jak on myślał tylko o niej – że rzucą się sobie w ramiona niby kochankowie z głupawych romansów historycznych o Starym Imperium, którymi zachwycał się w młodości?

Przycisnął oczy dłońmi. Bogowie... jest wyczerpany, powinien pójść spać, nim zagłębi się bardziej w bezlitosne bagno uzależnień nad sobą. Zawsze wiedział, jaką zastanie tu rzeczywistość, ale po prostu nie chciał w nią wierzyć. Pozwolił oczom błąkać się po beczasowym, obcym wnętrzu pokoju, śledzić wygląd domu, jednego z najlepszych w mieście: dziesięć pomieszczeń o ścianach pokrytych malowidłami ukazującymi morze i góry. Mieszkał w nich całkowicie samotnie, w grzmiącej pustce – będzie tak jeszcze przez lata, chyba że... chyba że...

Wstał gwałtownie i nakazał uciszenie muzyki. To jego własny wybór. Pościelił łóżko, może równie dobrze leżeć w nim.

Przechodząc przez pokój, zauważył wniesiony do środka pakunek, leżący obok kanapy na mocnym stole o czterech nogach. Usiadł znowu, wziął w ręce przykryty koszyk, złamał pieczęcie przytrzymujące wieko. Uniósł i odłożył pokrywę; spojrzął ze zdumieniem na przedmiot spoczywający wewnątrz w gnieździe z morskiej trawy.

Maska – tradycyjna maska noszona podczas Świąta, wykonana ręcznie, z wyjątkowym kunsztem; przypominała maski zapamiętane przez niego sprzed wielu lat, a nie pośpiesznie przygotowane, nijakie towary, jakie zapełniały sklepy Labiryntu przed obecną Nocą Masek. Żadnej jeszcze nie kupił, nawet się im nie przyglądał.

Ta maska była jednak nowa, nie stanowiła pamiątki przechowywanej od pokoleń w jakiejś szafie... Dotknął jej ostrożnie, badawczo, dojrzał lśniące diamentyki gwiazd, delikatne kłębki mgławic na tle ciemnej, jedwabistej płaszczyzny kosmosu; skrzydła nocy; matową czerń wnętrza Czarnych Wrót, Przekazu, nie widzących oczu... a w jej środku twarz ze światła, odbijającą, odzwierciedlającą świat w całej jego różnorodności... ukazującą patrzące nań własne oblicze. Nagle wiedział, kto zrobił dla niego ten przedmiot; kto i dlaczego go przysłał.

Uśmiechnął się, biorąc maskę w dłonie, wyjmując ostrożnie z koszyka i podnosząc, by lepiej zobaczyć. Po długiej chwili odłożył ją na miejsce.

– Jutro – mruknął do niej, wstając i przeciągając się. Czuł, jak wraca mu poczucie właściwych proporcji, a gdy wchodził po schodach w poszukiwaniu spoczynku, opanowało go dziwne ukojenie.

TIAMAT: Krwawnik

– Jerusha. – BZ Gundhalinu odsunął się, wpuszczając Jeruszę PalaThion do swego domu. Pośpiesznie zamknął za nią drzwi, odcinając krzyki rozbawionych uczestników Święta. Od trzech dni, jakie minęły od przybycia Zgromadzenia, pełno ich było na jego uliczce, podobnie jak w całym mieście. Poczul, jak na widok jej twarzy przybiera zatroskaną minę. – Co się stało?

Kreska jej zaciśniętych warg wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu.

– Wolałabym, BZ, żeby nie były to pierwsze słowa, jakimi mnie zawsze witasz, gdy widzisz niespodzianie.

Roześmiał się z wahaniem i poprowadził do salonu.

– Ja też. – Usiadł, zapraszając ją gestem, by uczyniła to samo. Pokój oświetlały lampy, ciężkie zasłony przesłaniały okna na ścianie poza Jerusha, odgradzały wnętrze od wścibskich oczu i wiecznego, sztucznego dnia miasta, dawały ciału złudzenie, że to noc i pora odpoczynku. Gundhalinu westchnął, odchylił się w fotelu.

– No, co tam? Zamieszki? Groźby zamachów bombowych? Próba zamordowania Premiera?

Jerusha pokręciła głową, opuściła wzrok.

– Niestety, nic tak prostego. – Uniosła oczy. – Trudno mi to powiedzieć. Tammis wpadł w kłopoty. Jest na posterunku...

– Na bogów – Gundhalinu pochylił się do przodu. – Został aresztowany?

Uniosła rękę.

– Nie. Pobity i obrabowany. Próbował poderwać męską prostytutkę. Wybrał niewłaściwą... – Wzruszyła ramionami.

– Jest przecież... – Żonaty. Nie dokończył, zrozumiał, dlaczego małżeństwo chłopca jest nieudane.

– Trzymam go na posterunku, bo nie chce iść do ośrodka medycznego.

– Pracuje tam jego żona.

Kiwnęła głową i przesunęła dłonią po włosach.

– Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

Westchnął, odwrócił wzrok przed nie wypowiedzianą sympatią w jej oczach.

– Sprowadź go tutaj.

Czekał. Minał nieokreślony czas, aż wreszcie znowu rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je. W ocienionej wnęce stał Tammis, za nim tkwiła Jerusha. Po skinieniu Gundhalinu wszedł sztywno do środka. Miał napuchnięte wargi, podbite oko. Jerusha uniosła dłoń w pożegnaniu i zniknęła w tłumie.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedział Gundhalinu, zamykając drzwi.

– Czy miałem wybór? – skrzywił się Tammis.

– Nie. Ale mimo to dziękuję. – Gundhalinu poprowadził go do salonu, ponownie zaproponował gościowi fotel.

Tammis usiadł, ostrożnie i boleśnie.

– Czemu tu jestem, sędzio Gundhalinu? – gospodarz zobaczył, że rumieni się, zadając to pytanie – przestraszył się, że już wie, lękając się bogowie tylko wiedzą jakich skutków.

Gundhalinu usiadł na kanapie naprzeciw chłopca.

– Bo musimy porozmawiać o powodach, dla których nie chcesz iść do ośrodka medycznego. – Skrycie obserwował jego twarz, zauważając oponie spojrzenie; szukał podobieństwa i je znajdował. Popatrzył na noszoną przez Tammisa koniczynkę, migoczącą czystym światłem na tle miękkich fałd

zabrudzonej kamizelki; zerknął na własną oznakę.

– Dlaczego pan sądzi, sędzio, że to pańska sprawa? – zapytał Tammis, zachowując się jak syn Królowej. Głos jednak miał mniej pewny, niżby pragnął. – Robi to pan, bo śpi z moją matką?

Gundhalinu zeszywniał, przez chwilę nie odpowiadał, usiłując zebrać myśli i zdecydowanie.

– Niezupełnie – mruknął wreszcie. – Nie śpię z twoją matką. Ale jestem twoim ojcem.

Tammis zastygł na te słowa, choć w jego spojrzeniu nie pokazało się zdumienie. Nie zapytał, czy to prawda. Milczenie trwało i w oczach chłopca zjawiły się inne uczucia.

Gundhalinu wstał w końcu, przeszedł pokojem i stanął przed chłopcem. Popatrzył na posiniaczoną, przestraszoną twarz, zmierzył Tammisa doświadczonego okiem.

– Sądzę, że teraz czujesz się bardzo podle – powiedział, wyciągając dłoń do podrapanego policzka. Tammis cofnął się przed dotknięciem. – Ale nic nie zagraża twemu życiu. – Nie miał na myśli tylko obrażeń.

– Skąd pan wie? – zapytał zdenerwowany Tammis.

– Długo już żyję – odpowiedział Gundhalinu łagodnie. Chłopiec spojrzał na niego. – Mam w łazience zestawy pierwszej pomocy, możesz z nich skorzystać.

– Nie. – Tammis pokręcił głową, opuścił wzrok. Gundhalinu kiwnął głową, rozumiał, dlaczego chłopiec pomimo takiej możliwości nie chce skończyć cierpień fizycznych.

– Powiedział pan, że jest moim prawdziwym ojcem i dlatego powinienem z panem porozmawiać. Ale tak jest tylko według pana. Nic pan o mnie nie wie. Dlaczego więc pan sądzi, że zdoła mnie zrozumieć, skoro nie może tego zrobić mój – moja rodzina?

– Czy mówiłeś im o swoich problemach? Potrafiłeś? – Gundhalinu usiadł ponownie, tym razem bliżej.

Tammis skrzywił się.

– Chodzi panu o niemożność zdecydowania, z kim chcę się kochać, z mężczyznami czy kobietami? Wie pan przecież, że dlatego mnie to dziś spotkało.

– Wiem.

Tammis patrzył nań ponuro.

– Czy czuł pan kiedyś coś podobnego? Czy pański ojciec nazwał pana zboczeńcem?

Gundhalinu pokręcił głową.

– Nie. Ale poszedł do grobu, mając mnie za tchórza. Kiedyś myśleli tak wszyscy, którzy byli dla mnie ważni. Niektórzy uważają tak nadal, bez względu na wszystko, co osiągnąłem. Nazywają mnie także degeneratem, bo zakochałem się w pańskiej matce, która nie jest Kharemoughi.

Tammis przestał się krzywić. Gundhalinu przez chwilę nie wiedział, które z jego wyznań wywołało zdumienie.

– Był nawet czas, gdy uważałem, że lepiej zrobię, jak umrę... ale pewna wyjątkowa osoba odwiodła mnie od tego zamiaru.

– Kto? – zapytał Tammis ponuro.

– Twoja matka.

Chłopiec zamrugał gwałtownie i odwrócił wzrok.

– Próbowalesz porozmawiać o tym ze swą matką, albo... albo ze... – Sparksem. Twoim ojcem. Nie dokończył.

Tammis wzruszył ramionami w geście beznadziejności.

– Nigdy nie ma czasu, by mnie wysłuchać. Jest tak od lat. I jest Letniaczką... Kazała nam chodzić na zgromadzenia letniackich klanów i uczyć się naszych tradycji, wiemy więc, kim jesteśmy i w co wierzy nasz lud. Przez lata słyszałem, jak Letniacy, moi ziomkowie, powtarzają, że pragnienie

kogoś, z kim nie można mieć dzieci, jest występkiem przeciwko woli Pani. – Z nawyku zrobił palcami znak trójki. – Powiadają, że "Matka najbardziej kocha dzieci" – choć sami używają dziecioguba. Nie muszą mieć dzieci, to jakoś nie przeszkadza Pani... dopóki stykają właściwe części. – Jego głos zabrzmiał bardziej gorzko. – Gdyby moja matka się dowiedziała, mogłaby... mogłaby...

– ...przestać cię kochać? Poczzerwieniał, zacisnął usta i kiwnął głową.

– Jak tata. Raz... mnie przyłapał. – Uniósł ręce, pozwolił im bezsilnie opaść. – Jestem dorosły, żonaty. Powinienem sam rozwiązywać swoje problemy! – Pokręcił głową.

– A co z twoimi przyjaciółmi – Zimakami? Ponownie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co naprawdę myślą... czy w ogóle. Niektórym się to nie podoba... inni nie przejmują się niczym. Ale to dlatego że przypominają pozaziemców, nie mają silnych tradycji i wartości, takich obyczajów jak my...

– Masz na myśli Letniaków? Przytaknął.

Gundhalinu uśmiechnął się lekko.

– Och, bardzo się zdziwisz... Na Kharemough mamy stare powiedzenie: "Nie wiadomo, jacy bogowie są silniejsi, moi czy twoi". Dlatego – tak na wszelki wypadek – czcimy ich wszystkich. Na Ośmiu Światach jest jeszcze więcej kultur niż bogów, można wśród nich znaleźć ludzi, którzy chętnie zabiliby ciebie czy kogokolwiek innego za każdą możliwą do wyobrażenia – i kilka niemożliwych – różnicę w wierze, zwyczajach czy wyglądzie fizycznym. Wszyscy oni sądzą, że mają rację. Tammisie, nie ma Prawdy, jedynie różnice w poglądach. Nie tylko Tiamatańczyków dręczą takie rzeczy.

– Jak zareagowaliby na Kharemough, gdyby zechciał pan kochać się z mężczyzną, a nie – nie z kobietą.

– Hmm, zależałoby to od jego kasty i pewnie mojej. Tammis popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Rodzaje uprzedzeń są nieskończone. – Gundhalinu wzruszył ramionami. – Gdyby jednak nie przeszkadzałyby różnice w pozycji, większości znanych mi Kharemoughi nie przeszkadzałoby, co dorośli robią z sobą świadomie – dopóki czyniliby to dyskretnie. Publiczne okazywanie sympatii czy pożądania jest uważane za przejaw złego smaku. Z drugiej strony, Jerusha PalaThion opowiadała mi, że w niektórych częściach Newhaven chodzenie niemal nago jest z powodu klimatu rzeczą codzienną.

Oczy Tammisa rozszerzyły się na chwilę, jakby jego umysł nie potrafił sobie wyobrazić, by Jerusha PalaThion mogła być kiedykolwiek nagim dzieckiem.

– Jerusha często powtarza, że nigdy się nie przyzwyczai do panującego tu zimna. Ja mam wrażenie, że nigdy nie przywyknę do twarzy – oczu. Wszystkie są jasne i chłodne. – Odwrócił się od tęczówek Tammisa, podobnie jak jego ciepłych i brązowych.

Chłopiec przesunął się w miejscu, wsunął pod siebie stopę w miękkim bucie.

– Ale nie mieszkam w żadnym z tych miejsc – żyję tutaj! A ludzie, którzy mnie otaczają, o których dbam, wszyscy nienawidzą takich jak ja. Mówią nawet, że nienawidzi tego Pani...

To, że stanowią większość, nie oznacza, że mają rację. Tammis zacisnął usta.

– Łatwo panu tak mówić.

Gundhalinu roześmiał się.

– Dużo łatwiej niż wtedy, gdy opuszczałem Tiamat. – Dotknął koniczynki sybilli, opuścił wzrok. – Wracając do głosów cię potępiających: pamiętaj, że nosisz ten znak. Nigdzie nie znajdziesz bardziej bezstronnej próby charakteru niż w miejscu wyboru sybilli... Na Kharemough każde dziecko Techników zobowiązane jest pójść tam i dać się osądzić. Jako chłopiec tak bardzo się bałem uznania

za niegodnego, iż skłamałem rodzinie i powiedziałem, że oblałem próbę. Wolałem to, niż pójść tam i dowiedzieć się na pewno, że mam za mało siły czy stałości, by zostać sybillą.

– To jak w takim razie... – Tammis wskazał na koniczynkę Gundhalinu, dotknął swojej.

– Opowiem ci o tym innym razem. – BZ uśmiechnął się lekko. – Przekonasz się wtedy, że sybille nie są święte... Czy wiesz, kim byli Vanamoinen i Ilmarinen?

Tammis pokręcił głową.

– Powinieneś. To oni stworzyli sieć sybilli, która po upadku Starego Imperium służy wszystkim naszym światom. Ci dwaj mężczyźni byli kochankami. Byli nimi przez wiele lat; pamiętam, że właśnie pamięć o ich miłości sprawiła, że nawet w niemożliwym położeniu wierzyli, iż potrafią coś zrobić, podczas gdy ja... Jeden z nich jest moim przodkiem. Mój ród od stuleci czci Ilmarinena jako protoplastę.

Tammis odwrócił wzrok.

– Ale to oznacza... Czy kochał się z mężczyznami i kobietami? Gundhalinu wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że znalazł rozwiązanie. Podobnie ty musisz znaleźć swoje. Zawsze jednak, gdy będziesz szukał potwierdzenia, że masz prawo żyć, spójrz w dół. Pomyśl, co sybille znaczą dla twego ludu i dlaczego.

Tammis westchnął, znowu wyciągnął nogę, jakby prostował sprężynę.

– Ale... odwrócił wzrok, zaczął nagle uderzać pięścią w drewnianą poręcz fotela. – Ale Merovy...

– Co z nią?

– Wyrzuciła mnie.

– Bo wypatrujesz innych mężczyzn?

Tammis przytaknął.

– Nic nie mogę na to poradzić. Nie chcę jej tego robić, ale gdy zaczynam o tym myśleć i nienawidzić siebie, to im bardziej nienawidzę, tym mocniej pragnę...

– Nigdy nie zapragnęłaś innej kobiety?

– Nie, zapragnąłem.

– Tak bardzo jak pragnęłaś być z mężczyznami? Tammis przytaknął ponownie.

– Ale nie były takie jak Merovy, dlatego... dlatego wycofywałem się. Boją kocham, nikt inny nie jest mi tak bliski. Dlatego się z nią ożeniłem.

– Żaden chłopiec czy mężczyzna nie stał się dla ciebie równie bliski?

– Nie. Nikogo naprawdę nie kochałem. Nie tak jak ją.

– Dlaczego więc nie mogłeś przestać?

Tammis pokręcił głową. – Nie wiem... – Skrzywił się lekko, jakby nigdy o tym nie pomyślał.

– Czy Merovy wyrzuciłaby cię, gdybyś spotykał się z innymi kobietami?

Tammis popatrzył na niego.

– Pewnie tak.

Gundhalinu przesunął się w fotelu, zrozumiał, że zbyt długo siedział nieruchomo.

– W takim razie może wasz wspólny problem polega na tym, że byłeś jej niewierny, obojętnie z kim.

– Chyba rzeczywiście... – Tammis potarł oczy, skrzywił się. – Sądzę, że tak.

– W takim razie może powinieneś się zastanowić, czy naprawdę chcesz bardziej się nienawidzić, niż kochać swą żonę.

Tammis opuścił wzrok, popatrzył na koniczynkę lub sprawiał takie wrażenie. W końcu podniósł głowę.

– Czy mogę już iść, sędzio Gundhalinu?

Gospodarz przytaknął, zdziwiony i lekko rozczarowany nagłością prośby.

– Tak.

Tammis wstał powoli, skrzywił się i zawahał.

– Może... może wezmę coś na... – wskazał na posiniaczone ciało. – Zanim pójde. Jeśli pan pozwoli.

Gundhalinu wskazał kierunek.

– To tam. Weź wszystko, co zechcesz.

Tammis przeszedł pokojem, zatrzymał się na progu, obejrzał, ale nic nie powiedział.

Gundhalinu słuchał, jak buszuje w łazience wśród lekarstw, słuchał, jak wyszedł na korytarz i skierował się prosto do wyjścia. W ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi, padły słowa: – Dziękuję.

TIAMAT: Krwawnik

Moon Dawntreader stała samotnie wśród setki błyszczących przepychem gości wypełniających Wielką Salę pałacu. Wokół niej jedzono i pito, śmiano się, plotkowano, tańczono i śpiewano – mieszała się Letniacy, Zimacy i pozaziemcy, nie sposób ich jednak było rozróżnić, wszyscy nosili maski i dziwaczne stroje.

Sama miała na sobie maskę zrobioną przez Fate Ravenglass – odtworzenie tej, która uczyniła ją Królową Lata. Wykonana z zielonego aksamitu i lśniącej tęczowo siateczki przywodziła na myśl kwiaty ze wzgórz, ptasie skrzydła, błękit nieba i morza, złoto słońca. Ukryła się za nią, patrzyła na ludzi przez otwory, jakby podglądała inny świat; dostrzegając jedynie błyski barw i ruchów, każdy dźwięk zdawał się docierać z daleka.

Poruszając się zgodnie z powolną, instynktowną muzyką swego ciała, posuwała się wraz z falą tłumy. Bal Nocy Masek stanowił zwieńczenie nieskończonej serii przyjęć, bankietów i zabaw, w których powinna jako Królowa uczestniczyć w czasie krótkiej, ciągnącej się w nieskończoność wizyty Zgromadzenia.

Patrzyła na Premiera i otaczających go ludzi, podczas wieczoru swego przybycia niby nałogowcy pijących w jej obecności wodę życia. Opuściła wtedy port gwiezdny i wróciła do miasta, ujawniając nieobecnością gniew. Nie mogła jednak zlekceważyć wszystkich zaplanowanych uroczystości, bo w ten sposób przyznałaby, że utraciła twarz, i pozwoliła, by pozaziemcy zagrozili jej pozycji. Dlatego uczestniczyła we wszystkich, czy raczej jej ciało, choć myślami była daleko, wśród merów, przykuwała je do szerszego obrazu, którego nigdy teraz nie mogła tracić z oczu.

Aż wreszcie bez przyjemności i złudzeń dotrwała do tego ostatniego balu. Niewielu spośród uczestników poznawała, wiedziała zresztą, że gdyby zdjęli maski, to i tak nie ukazałyby się twarze, jakie pragnęła widzieć. Zrobiło się późno, tłumy rzedniały w miarę dobierania się par, które chciały razem spędzić resztę nocy – podczas której zgodnie z tradycją wszystko było dozwolone, a nawet obowiązkowe, kiedy to odrzucano wszelkie zahamowania, odkładano smutki do rana, by o świcie symbolicznie wrzucić je do morza.

Spędzenie tej nocy samotnie, bez kochanka, było uważane za zły omen. Poprzednią Noc Masek spędziła ze Sparksem. Połączeni po długiej rozłące patrzyli na przyszłość jako na nie kończące się pasmo radości. Dziś jednak nie było go nawet w tej sali, wymówił się, twierdząc, że przed odlotem Zgromadzenia chce spędzić czas z ojcem. Przypuszczała, że to prawda, choć była jednocześnie pewna, iż nie wróci przed ranem, bez względu na to, jak spędzi noc.

Nie było także Tammisa, nawet się nie wytłumaczył przed Merovy; podobno mieszkają osobno, ale żadne z nich nie przyszło, by jej o tym powiedzieć. A Ariele... tylko Pani wie, co robi dzisiaj i z kim. Plotkowano o jakimś pozaziemcu. Tor widziała ich razem, powiedziała, że trochę się zaniepokoiła... Ariele od tygodni nie zbliżała się do pałacu; zdumiała Moon, że raczyła się zjawić na przyjęciu w porcie gwiezdny – i że wyszła z niego wraz z resztą rodziny, gdy tylko zjawiła się woda życia. Nigdy nie rozumiała swej córki, nigdy...

Premier i kilku innych gości, być może jej rodacy kryjący się za anonimowością takich samych, masowo produkowanych masek, przyszli życzyć jej dobrej nocy. Zdołała odpowiedzieć z wdziękiem, ulga nadała jej słowom większą szczerłość, niż na nią zasługiwali. Rozpoznała głos Vhanu, komisarza Policji; w sali przebywało kilku Sinych, w mundurach i bez masek, czuwających nad bezpieczeństwem dostojników. Zaciekało ją, gdzie dziś jest Jerusha. Pewnie na służbie dla Hegemonii; nagle, boleśnie zabrakło jej starej przyjaciółki. Nikogo... Podniosła dłoń do twarzy, zamiast na ciało natrafiła niespodzianie na powierzchnie maski. Opuściła rękę.

Cały wieczór szukała w tłumie czarnego mundurku Głównego Sędziego, srebrzystego błysku koniczynki wśród oślepiającego przepychu biżuterii i medali. Nie znalazła go. BZ w czasie dni między straszliwym bankietem powitalnym a tym bale maskowym uczestniczył we wszystkich innych uroczystościach; niekiedy siedział obok niej, lecz zdawał się równie mało bawić, co ona sama. Widziała w jego oczach przeprosiny i rezygnację, rozmawiali z sobą tylko wtedy, gdy było to konieczne. Dziś musiał wyjść wcześniej – jeśli przyszedł w ogóle, bo przy kryjących twarze maskach wszystko było możliwe... Zaczęła przesuwać się powoli w stronę schodów w tyle sali. Premier wyszedł, nie musiała już na nikogo czekać.

Nagle błysnęło jej w oczy odbite światło. Odwróciła się i spostrzegła maskę, wyróżniającą się wśród pstrokacizny barw. Podobnie jak jej, nie miała nic wspólnego z powtarzalnymi wzorami. Coś powiedziało Moon, że maska została zrobiona przez Fate Ravenglass, ale przecież знаła wszystkie jej dzieła, było ich tylko kilkanaście, po po odzyskaniu wzroku nie zdążyła więcej wykonać ręcznie, tradycyjną metodą. Fate podarowała je Moon, jej rodzinie, Tor i paru innym osobom, które uznała za bliskich przyjaciół. Byli jeszcze inni maskarze, niektórzy wrócili do dawnego zawodu i ręcznie zrobione maski sprzedawali pozaziemcom i bogatym Tiamatańczyków. Uważana za największą mistrzynię Fate stwierdziła jednak, że tym razem wszystkie jej dzieła będą darem przyjaźni.

Moon zastanawiała się, kto otrzymał dar maskarki, lecz ze sporej odległości potrafiła jedynie dojrzeć, że to mężczyzna. Blask maski znowu uderzył w jej oczy, noszący ją zbliżył się do królowej, jakby wyczuł, że jest obserwowany. Powierzchnia maski była lustrem odbijającym światła, barwy i ruchy, skupiającym je w gwiazdę otoczoną nocną czernią. Moon stała nieruchomo, patrząc na podchodzącego do niej przez tłum nieznanego, hipnotyzowało ją własne odbicie, coraz lepiej widoczne w zwierciadle jego oblicza, coraz większe i wyraźniejsze. Nagle poznała go po ruchach, tak samo jak mistrzostwo autorki maski.

– BZ – powiedziała miękko i z przekonaniem, choć nie był w mundurze. Podała mu rękę.

– Moon. – To jego głos, jego oczy, patrzące na nią ze środka własnego dziwnego, okrytego maską oblicza. Ujął jej rękę, przycisnął dłoń w rozgrzewającej pieszczocie. Splótł swe palce z jej, nie wypuszczał.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – mruknęła. – Już prawie po wszystkim.

– O mało co bym nie przyszedł. – Pokręcił głową, maska zaklekotała jak w cichym śmiechu. – Gdyby Fate nie przysłała mi maski. Zhańbiłbym jej dar, gdybym nie założył go dzisiaj.

Opuściła wzrok na jego dłoń ciągle obejmującą jej, zobaczyła swe palce czepiające się jego, niezdolne do ich wypuszczenia. Uniosła oczy, spojrzała w oczy Gundhalinu, czerń kosmosu i odbijający się wokół nich dziki przepych wiosny.

– Gdzie Sparks? – zapytał i Moon poczuła, jak jej serce zaczęło bić szybciej. – Nie ma go tutaj?

– Chciał pobyć z ojcem.

– Dzisiaj?

– Jutro jego ojca już nie będzie.

– No tak, ale to przecież Noc Masek...

– Wiem. – Spojrzała znowu na ich dłonie, nadal ciasno z sobą splecione, wiążące się nawzajem. Spróbowała wyswobodzić palce.

BZ uniósł drugą rękę, złapał jej wolną dłoń.

– W takim razie zatańcz ze mną. Jeszcze gra muzyka, zdążymy...

Zesztywniała, gdy przyciągnął ją łagodnie, lecz silnie, poczuła się nagle niezdarną prowincjuską.

– Nie znam waszych tańców...

– Kiedyś uczyłem twą pamięć – mruknął, otaczając ją ramionami, wciągając w nieokreślony ruch. – Nieważne, co robimy, bylebyśmy robili to razem, bylebyś mógł cię obejmować, przyciskać...

Ręce Moon nie znalazły dla siebie innego miejsca niż wokół jego ciała. Poczucie mięśni pleców pod gładką, niemal jedwabną tkaniną koszuli wywołało w niej gwałtowną falę gorąca.

– To niepodobne do ciebie – mruknęła i roześmiała by się, gdyby tylko jej oszołomione, rozszarpane ciało mogło oddychać.

Odpowiedział dziwnym dźwiękiem, który także nie był śmiechem.

– A co jest do mnie podobne? Spędzanie ostatnich dni na żalnym, smętnym wpatrywaniu się w ciebie w zatłoczonych salach, obawa przed powiedzeniem czegoś więcej niż "Dzień dobry, Pani"? Bycie Głównym Sędzią Gundhalinu – już nie Kharemoughi, a jeszcze nie Tiamatańczykiem, ni psem, ni wydrą?... Albo człowiekiem, który dwanaście lat życia spędził na marzeniu o tobie; który dla ciebie poszedł na koniec świata, borykał się z czasoprzestrzenią, by móc znowu mieć cię w ramionach? – Jego głos brzmiał dziwnie, jakby z podnieceniem, Moon przypomniawszy sobie inną noc, Święto sprzed wielu lat, kiedy to mówił jej podobne słowa.

– Tak... – tym jednym słowem powiedziała mu wszystko; dała odpowiedź. Wyciągnęła rękę, dotknęła własnego odbicia na jego twarzy. Przypomniała sobie znowu, że to Noc Masek, pora Zmiany...

– Chcę stąd wyjść – powiedział niemal z rozpaczą. – Wybierzmy się gdzieś indziej – zabawy toczą się wzdłuż całej Ulicy...

– Nie – szepnęła, czuła mocny, nieodparty nacisk jego ciała na swoje. – Lepiej chodź ze mną... – Urwała i wzięła go za rękę, poprowadziła parę kroków w stronę schodów. Nie oglądała się, ponieważ w niknącym, pozbawionym twarzy tłumie nie pozostał nikt, kogo obchodziłoby, dokąd i dlaczego idą. Bez słowa, bez wahania podążał za nią w górę białej kaskady schodów. Mijali ocienione korytarze wyższych pięter, aż wreszcie dotarli do sypialni, którą od zbyt już dawna zajmowała samotnie.

Moon stanęła przed drzwiami, zatrzymała Gundhalinu. Z ogromną delikatnością zdjęła mu maskę, pragnęła ujrzeć jego twarz, nim nadejdzie następna chwila... nim przekroczą próg prowadzący w nieznaną przyszłość.

– Mamy porę Zmiany, trzeba odrzucić wszelkie smutki...

Z równą czułością zdjął jej maskę, oparł o ścianę obok swojej. Stali, nie dotykając się, lecz tylko patrząc we własne twarze. W końcu wziął ją w ramiona, trzymał, jakby nigdy jej nie opuszczał. Moon poczuła, że drży jak owej nocy, jak wtedy nie z zimna, lecz gorączkowego żaru...

Weszli do jej sypialni, oderwała się od niego tylko na chwilę zamykania drzwi, zasklepienia się w bezpiecznej przestrzeni, której nie zdoła zagrozić wielki świat. Zaraz potem poczuła jednak, że się waha; zobaczyła, jak patrzy na łóżko, które przez tyle lat dzieliła z innym mężczyzną.

– Jesteś pewna... ? – szepnął. – Moon, jesteś pewna? – Popatrzył na nią. – Bo, na bogów, tym razem cię nie zostawię.

Zerknęła na puste łóżko, poczuła, jak zaciska się jej gardło. Mimo to spojrzała na niego, na widok twarzy Gundhalinu zniknęły wszystkie jej wątpliwości i żale. Objęła go, przyciągnęła głowę, pocałowała mocno, namiętnie, z tęsknotą lat; jej oczy były przy tym cały czas otwarte.

Nagłym, impulsywnym ruchem oderwał ją od podłogi, przeniósł. Potem poczuła pod sobą szerokie, miękkie łożo, znalazł się obok niej, pogładził włosy, twarz, jego pocałunki były jak nektar, ośłoda duszy.

W końcu oderwali się od siebie; zaskoczyło ich nagłe splątanie się srebra ze srebrem,

szczępienie z sobą cienkich kolców koniczynek. Moon uniosła ręce, by zdjąć łańcuszek przez głowę. BZ zrobił to samo, uwolnił się, ciągle połączone koniczynki opadły na podłogę. Nadal jednak widziała tatuaż na jego gardle, taki sam jak jej, nadal byli oznakowani.

Zaczęła odpinać klamerki sukni. Jej palce zawahały się, opanowane nagłą, bolesną świadomością czasu: wszystkiego, co się zdarzyło między pierwszą nocą ich zespolenia a tą. Jego oczy były dla niej oczyma obcego, któremu pragnęła całkowicie oddać swe ciało.

Przerwał jej niezdarne ruchy, odsunął dłonie na bok.

– Daj mi... – mruknął ochryple. Położyła się na plecy, legła nieruchomo, pozwalając mu się czule i łagodnie rozbierać. Każde jego muśnięcie było jak ogień i lód, aż zaczęła drżeć z pożądania, czuła, że ma obnażone nie tylko ciało, ale i duszę. Dotknął jej piersi, brzucha, puszystości... Złapała jego dłoń, przycisnęła mocno do siebie..

On jednak miękko wycofał rękę, szepnął: – Zaczekaj... – Patrzyła, jak zdejmuje swe szaty, zaczął się nagle poruszać niepewnie i nieśmiało, jakby w obawie, że rozczaruje ją tym, co objawi. Stał przed nią i ujrzała, jak szybko zaczął dyszeć, jak bije mu serce, jak skórę pokrywa gładka warstwa potu; jak bardzo boleśnie jej pragnie.

Dotknęła go łagodnie, poczuła, że cały zeszywniał, usłyszała westchnienie. Opadł na łożo obok niej. Pocałowała tatuaż w zagłębieniu gardła, wszystkie jej opory rozwiały się jak dym, Całowała mu pierś, smakując wilgoć i sól, całowała prowadzącą niżej ciemną miękką kreskę, podczas gdy on zaciskał kurczowo dłonie na srebrnych falach jej włosów. Rozłożył ręce, opuścił, otoczył jej plecy, przyciskał w ruchach coraz to gwałtowniejszych, gdy wchłaniała go głodnymi ustami. Odkrywał wszelkie jej skryte i tajemne miejsca, aż nie pozostały jej żadne sekrety, żadne myśli, nic oprócz pożądania.

Poczuła, jak znowu ją obejmuje, unosi łagodnie, kładzie obok i nasuwa się na nią, między nią, w nią, aż wreszcie ich oddzielne istoty połączyły się w jedną. Westchnęła, gdy zaczął się w niej poruszać w tym samym wolnym, zmysłowym tempie tańca. Ich miłość miała rytm morza; bez strachu zagłębiali się w wodach doznań, pragnęli zatonać w głębiach rozkoszy.

Zakrzyczała w orgazmie, który zalał ją niby nagła fala, on jęknął cicho i zadygotał. Fala jednak minęła, a rytm trwał nadal, znowu się nasilał.

– Bogowie... – mruknął BZ, oczy miał zamglone, twarz oszołomioną. – Och, bogowie. – Mruknął coś jeszcze w sandhi, rytmicznie płynące słowa przypominały modlitwę do kogoś wewnątrz niego. A potem znowu położył usta na wargach Moon, ręce na jej piersiach, nadal w niej będąc, poruszał się jak fale, jakby było to przeznaczone; jakby zawsze był taki, zawsze będzie.

Miłość ich była wieczna jak morze, wraz z każdym wzbiciem się i opadnięciem wody Moon zagłębiała się coraz bardziej w złotoczarne odmęty; przekonała się, że będzie tonąć zawsze, rodzić się, tonąć w otchłaniach, odżywać i znowu tonąć... że czekała całe życie, by poznać własne głębiny i wypełnić się wodą jego życia; by stać się z nim jedną istotą, jedną duszą, jednym umysłem. Nie potrafiła teraz zachować dla siebie żadnej tajemnicy; swej miłości dla niego... już zrodzonych z niej dzieci... nawet największego sekretu, którego nie może nigdy nikomu zdradzić, choćby jej język wyrwał się z ust...

I zaczęła śnić, że w rozbrzmiewającym złocieczerni, gdzie nie było nic, oprócz ich wspólnego doznania, gdzie wszystkie ograniczenia fizyczne roztopiły się w płynnym żarze pożądania, zaczynają pływać jak mery, Dzieci Morza... że czuje Morze pieszczące zmysłowo ich jedwabiste, cętkowane ciała, powolny płomień ich pożądania, ruchów w środku tajemniczej machinerii umysłu sybilli, tkwiącej głęboko pod miejscem, w którym leży spleciona miłości z kochankiem; pod Krwawnikiem, starożytnym Miastem na Północy, szpilką wbitą w mapę czasu... Usłyszała śpiewy merów, zobaczyła

zszerszejący się złoty obraz, ujrzała, jak melodie niosą zdrowie i ład powierzonemu ich opiece sekretnemu, delikatnemu, życiodajnemu organowi. Zrozumiała wreszcie, dlaczego nie sposób pojąć przesłania pieśni merów... Dostrzegła prawdy, których nie poznał nikt od czasów ich twórców... aż do teraz.

Pochwycona w uniesienie zagarniające ją poza myśli, poza granice czasu, poczuła się przerażająco wolna. Nic nie kryło się przed jej wzrokiem, nie istniało nic, czego by nie dzieliła z nim wewnątrz swego ciała, wewnątrz swego umysłu, wewnątrz pofalowanego oceanu muzyki światła, w którym połączyli się tak całkowicie...

Gdy zrozumiał prawdę, objawienie przeszło w ekstazę, oswobodziło go. Spływająca naczyniem jej ciała moc jego wyzwolenia, fale światła dudniące w każdym nerwie, czucie go wewnątrz, jego ust na gardle, krzyk, jej niezdarny szloch szczęścia. Trzymała go, ścisłała, aż upewniła się co do położenia każdego atomu jego i swego ciała; aż przestała się składać z płynnego światła.

Minęła długa chwila, nim odzyskała zdolność mówienia, nim spróbował coś powiedzieć, nim poczuli ochotę na zbyt głośne dźwięki. Wcześniej ich wargi i języki zajęte były ważniejszymi zadaniami, nie mieli tchu na zmarnowanie. Tuląc się do siebie, w coraz to powolniejszych wirowaniach wracali na ziemię.

– Rozumiem... – powiedział w końcu, zgroza i zdumienie zdawały się przesywać go na wylot. Na jego twarzy pojawiła się z kolei udreka i lek – pojął w pełni, co wie, dlaczego Moon zrobi wszystko, by powstrzymać łowy, dlaczego nigdy nie powiedziała mu całej prawdy... dlaczego nigdy nie zdoła jej zdradzić nikomu innemu.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął, nadal ją obejmując. Nie odpowiedziała mu jednak, spojrzawszy w oczy z twarzą naznaczoną smutkiem. Objęła go mocniej.

– Nie – mruknęła – będzie strasznie.

Poczuła, jak patrzy na nią, miękko dotyka jej twarzy, lecz nie zaprzecza słowom.

Sparks wspinał się schodami prowadzącymi z milczącej, pustej sali balowej, ciągle miał przed oczyma ostrzegawcze resztki Nocy Masek: zaścielające próżne ulice niezliczone cierpliwe oczy masek, patrzące nań z progów lub schodów, czekające na świt, podczas gdy ich właściciele bawili się wewnątrz. Sam też nałożył dziś jedną, otrzymaną od Fate Ravenglass, całą w czerwieniach i złocie, błyszczącą jak słońce, żywą i gniewną jak ogień... Pierwszą część wieczoru spędził na rozmowie z ojcem, resztę nocy na włóczeniu się z zabawy na zabawę, odkąd pożegnał się z Sirusem, czuł się martwy i pusty niby własna maska.

Ani na całą noc, ani nawet na godzinę nie poszedł z nikim, choć miał wiele okazji. Powstrzymywała go pewność, że Moon spędza ową noc samotnie, wierna literze, jeśli nie duchowi ich złożonego dawno temu zaprzysiężenia. Sam od chwili powrotu pozaziemców po wielekroć złamał i literę, i ducha ślubowania, choć w chwili ich odlotu przysiągł, że nigdy już tego nie uczyni.

Dziś jednak rozmawiał z ojcem o dziejach rodziny i domu; swą samotnością i rozpaczą dzielił się z człowiekiem, który od zbyt dawna ich nie zaznał. Dowiedział się od Sirusa, że podczas następnej wizyty Zgromadzenia na swej rodzinnej planecie zamierza na niej pozostać; że pobyt tu, ujrzenie Tiamat podczas Zmiany, pozwoliło mu zrozumieć, jak bardzo jest rozczarowany życiem, które wydaje mu się coraz bardziej bezcelowe.

Wędrował ulicami, niosąc z sobą słowa i smutki ojca, aż wreszcie zrozumiał, że czas Zmiany, choć to tylko nazwa, odnosi się i do niego; że zdąży jeszcze przed świtem położyć się z jedyną kobietą, którą w życiu naprawdę kochał, i obiecać jej nowy początek.

Wszedł cicho do przedsionka sypialni, którą zawsze, aż do ostatnich kilku miesięcy, dzielił z żoną. Zatrzymał się, stanął nieruchomo przed zamkniętymi drzwiami. Oparte o ścianę leżały obok

siebie dwie maski, nieme świadectwo absurdalności marzeń. Patrzył na nie długo. Potem odwrócił się i wolno odszedł korytarzem.

TIAMAT: Krwawnik

BZ Gundhalinu zajął miejsce na ozdobionym wstęgami podwyższeniu. Stając między Vhanu a Premierem, miał świadomość, że wszyscy mu się przyglądają – niby spóźniony uczeń wślizgnął się na końcu, choć powinien był przybyć jako pierwszy. Poniżej pośpiesznie wzniesionych pomostów widokowych czekało morze pokryte pływającymi nabrzeżami. Przy molach podczas Święta cumowało tyle statków, że ledwo widać było wodę.

Tylko na końcu pomostu specjalnie zostawiono wolną powierzchnię, tam dopełni się obrzęd. Gundhalinu patrzył na jej ciemne, błyszczące ruchy, czuł, jak hipnotyzuje go niespożyty rytm. Jego myśli tonęły jak kamień, ginęły w głębinach, pociągane ciężarem nowej wiedzy, niewypowiedzianym brzemieniem kryjącej się pod nią tajemnicy...

Zmusił się do odwrócenia oczu, mocniej, niż było trzeba, uchwycił barierkę, przeszukując wzrokiem pustą przestrzeń, która oddzielała pomosty z wpływowymi pozaziemcami od podwyższeń zajmowanych przez najwybitniejszych Tiamatańczyków – jak zawsze przestrzegano rozdziału. W przeciwieństwie do twarzy widzianych obok, wszystkie naprzeciwko kryły się nadal pod przebraniami zakładanymi podczas Nocy Masek. Miejscowi zdejmą maski dopiero po zakończeniu obrzędów. Z morza dziwnych oblicz wyróżniały się dwie ludzkie twarze – stojących obok siebie Sparksa Dawntreadera i Królowej. Nie dotykali się, twarze mieli spięte i nieruchome niby maski.

Pragnął, by Moon oderwała wzrok od morza i popatrzyła na niego; wreszcie spotkały się ich spojrzenia. Zauważył, jak rumieniec pokrywa jej przezroczystą bladą skórę, znaczącą czerwień warg, kryjące się w oczach głębie namiętności i skrytej wiedzy. Nieświadomie uniósł rękę do ust, nie osłoniętej maską twarzy; opuścił ją znowu. Jego ciało poruszało się jak u lunatyka, objawienia przepełniały je na każdym poziomie świadomości, ciągle pojawiały je nowe...

– BZ... – Vhanu położył mu dłoń na ramię, lekko potrząsnął; uświadomił sobie, że komendant bez powodzenia próbował zwrócić na siebie uwagę. – Musiałeś mieć niezłą noc – szepnął Vhanu z rozbawieniem w oczach. – Nigdy przedtem cię takim nie widziałem.

– Tak – mruknął potwierdzająco.

– Sam bardzo dobrze się bawiłem – Vhanu uśmiechnął się na wspomnienie. – To naprawdę bardzo ciekawy zwyczaj.

– Rzeczywiście – mruknął stojący za nimi Sandrine. – Szkoda tylko, że ci barbarzyńcy zmusili nas do wstania o świcie, byśmy tu stali na wietrze i patrzyli, jak wrzucają do morza słomiane kukły. – Wszyscy wokół Gundhalinu zdjęli już swe maski, jakby uważali, że pokazanie się w nich w świetle dnia, podczas oficjalnej uroczystości, uwłaczy ich godności. On zostawił swoją w pałacu, zapomniał o niej podczas rozgardiaszu przebudzenia się, wstawania, szaleńczego biegu do domu, by przebrać się tam w mundur i zdążyć na uroczystość Zmiany.

Popatrzył przez otwartą przestrzeń na Moon i Sparksa, znowu w bok, gdy rozległy się podniecone krzyki tłumów odgradzonych przez Policję, cisnących się wysoko ponad nimi wzdłuż rampy prowadzącej z miasta do portu. Hałasy zbliżały się, zaraziły ludzi na podwyższeniach, którzy zaczęli mruzczyć i wskazywać na dalekie jeszcze, wyczekiwane przez nich widoki.

Rampą zjeżdżał powoli wóz w kształcie statku, otaczali go Letniacy w tradycyjnych strojach o różnych odcieniach zieleni, pokrytych haftami i ozdobami z lśniących muszelek. Nosili wieńce i girlandy z kwiatów, śpiewali dziwnie brzmiącą w jego uszach tiamatańską lamentację.

Para pasażerów wozu siedziała sztywno wyprostowana, miała na sobie maski. Jedna z nich, Królowej Lata, ostatniej nocy zasłaniała twarz Moon. Druga błyszczała ogniście jak słońce – Gundhalinu zrozumiał nagle, że należała do Sparksa. Gdy wóz dotoczył się bliżej, zauważył liny

mocujące dwie postacie do siedzeń.

Uniósł wzrok na obie twarze na podwyższeniu naprzeciw niego, musiał udowodnić sobie, że para na wozie to tylko kukły, a nie ludzie. Spojrzenie Moon spoczywało na nim dłuższą chwilę, nim zwróciła je na wóz i zamaskowane figury. Objęła się za ramiona, jakby upewniając o swym bezpieczeństwie, istnieniu.

Wóz, tuż przed wpadnięciem do morza, zatrzymał się na otwartej przestrzeni. Moon opuściła swe miejsce i zeszła na nabrzeże, mrużenie tłumu wreszcie ucichło. W całym mieście gromady ludzi na wielkich ekranach obserwowały szczytową chwilę obrzędów Święta. Gundhalinu ciekaw był, ilu z nich wyobrażało sobie z utęsknieniem, że wszystko dzieje się naprawdę, że uroczysty statek, który dokonał podróży rozpoczętej pod bramami pałacu, wiezie do utopienia dwoje żywych ludzi. Zastanawiał się, ilu widziało to poprzednim razem.

On sam był wtedy w szpitalu, dochodził do siebie po zapaleniu płuc, jakiego nabawił się podczas ciężkich przejść wśród koczowników. Patrząc na kukły, poczuł nagle zadowolenie, że nie musiał wówczas widzieć Moon wydającej polecenie wysłania do morza Królowej Śniegu. Zastanowił się, co czuła, patrząc, jak na jej oczach tonie matka, rywalka, zwierciadlane odbicie, co musi czuć teraz, co wspomina, przewodnicząc nieszkodliwemu naśladownictwu prawdziwej ofiary – pochłonęłaby życie, gdyby temu nie zapobiegł. Ze skamieniałą twarzą patrzyła na siedzące przed nią zamaskowane kukły.

Oszłomiła go odczuta na jej widok fala współczucia. Pragnął zejść do niej na nabrzeże, wziąć w ramiona, przejąć ból, podtrzymać i wesprzeć... Nie zrobił nic, stał nieruchomo za ozdobioną wstęgami barierką, stanowił doskonały obraz urzędowej poprawności i obojętności.

Moon oderwała wzrok od kukiel, skierowała go poza nie, poza czekającą straż honorową Letniaków, popatrzyła na wnętrze wozu wypełnione ofiarami składanymi Matce Morza. Nagle zmienił się wyraz jej twarzy. Podążył za jej spojrzeniem, dostrzegł stosy zieleni i dziwnych przedmiotów starannie złożonych lub rzuconych przez mijane tłumy. Jego oczy znalazły przedmiot odszukany jej wzrokiem: świąteczną maskę ze zwierciadlanym obliczem otoczonym nocną czernią – maskę, którą zostawił w pałacu. Była potłuczona, lustro pokrywała siatka tysiąca pęknięć, jakby ktoś umyślnie ją rozbił, nim przeznaczył do wrzucenia w głębiny morza...

Moon nagle uniosła wzrok, spojrzała na niego, nim zerknęła na podwyższenie za nią, na przyglądającego się w milczeniu męża. Powtórnie skłoniła głowę, zebrała siły, nie patrzyła na żadnego z nich, skupiła się na sobie. Wyciągnęła ręce do tłumu, do Matki Morza, rozpoczęła odgrywanie swej roli w obrzędowej modlitwie i uroczystości.

BZ odetchnął głęboko, słuchając pieśni, pozbył się ucisku w piersiach. Patrzył na zamaskowane twarze – na jedyną wśród nich odsłoniętą – aż czyste, jasne piękno jej głosu powtarzającego pradawne formuły zalało go niby wody morza, zmyło przeszłość, powiedziało mu, że od tej chwili w jego życiu zmieniło się wszystko...

– Nie znoszę tego – mruknęła Ariele, przestępując z nogi na nogę, niecierpliwiąc się staniem. – To poniżające. – Uniosła ręce do maski, zrobionej dla niej przez Fate, całej w tęczach i barwach morza. Była piękna, przyznał to nawet Reede, nie widziała, by dotąd cokolwiek nie związanego z merami zachwyciło go bardziej. Czuła się doskonale, nosząc ją, błyszcząc na niezliczonych przyjęciach, wraz z wybranym kochankiem korzystając z przyjemności nocy... Wreszcie porzucił ją o świcie, zmusił, by przyszła tu samotnie, wytrzymywała uroczystości bez niego.

Urażona odmową Reede'a przyglądała się pozaziemcom stojącym jak sędziowie na podwyższeniu po drugiej stronie otwartej przestrzeni, żaden nie nosił maski, ich obce twarze wpatrywały się w nią z ciekawością i rozbawieniem. Patrzyli, jak jej matka dokonuje tradycyjnych

obrzędów Zmiany, sprawiali wrażenie, że ją i cały jej lud mają za rodzaj zwierząt dziwacznie przystrojonych ubraniami i naśladowujących zachowanie ludzi.

Stojąc na oczach pozaziemców, czuła, jak pod chłodem ich spojrzeń więdnie i ginie piękno maski. Zacisnęła dłonie na kruchym przedmiocie, jakby ktoś wewnątrz niej zmuszał ją do jego zdjęcia. Wówczas jednak obnażyła na ich wzrok własną twarz, własne uczucia. Opuszczała ręce wzdłuż boków, gdy nagle Główny Sędzia popatrzył na nią bezpośrednio.

Odwróciła twarz, żeby nie musieć patrzeć na człowieka obwołującego się jej ojcem. Słuchała, jak opadają i wznoszą się, wypełniają powietrze dziwne, choć znajome melodie recytacji matki, pomyślała, że gdy poprzednio dopełniała tego obrzędu, gdy naprawdę utopiono jej prawdziwą matkę, zaczął się pierwszy dzień jej własnego życia.

Popatrzyła na swego prawdziwego ojca, włosy miał jasne jak słońce, podobnie jak ona stała samotnie na podwyższeniu, lecz poza jej zasięgiem. Nie patrzył ani na nią, ani na matkę, nawet nie na pozaziemców; wpatrywał się w morze. Zawołała do niego, najgłośniejszym, jak tylko śmiała, ale nie odpowiedział, w żaden sposób nie dał poznać, że ją zauważył.

Poczuła, jak nagle zapiekły ją oczy, odwróciła się, popatrzyła za siebie na Merovy, stojącą samotnie, ponieważ Tammisowi zabrakło odwagi, żeby się tu pokazać. Dziewczyna skrywała rozpacz pod następną z masek Fate, mającą barwę mgły, barwę ptasich skrzydeł. Wzory przedmiotu były tak delikatne, że na pierwszy rzut oka można było je uznać za proste czy zwykłe.

Ariele zastanowiła się, gdzie jest Tammis. Sama osamotniona, choć raz poczuła współczucie do brata i jego milczącej żony. Wyciągnęła rękę do tyłu, dotknęła dłoni Merovy, zobaczyła, jak dziewczyna patrzy ze zdumieniem, potem szybko i ciepło ścisnęła jej palce.

– Ariele, co według ciebie jest w tym poniżającego? – zapytał ktoś z tyłu, z ciekawością i bez potępienia.

Obejrzała się przez ramię, rozpoznała głos Clavally, powiązała go z następną zamaskowaną twarzą; zrozumiała, że Merovy przyszła z rodzicami.

– Pozaziemcy – mruknęła. – Zauważ, jak na nas patrzą. Dają do zrozumienia, że wszystko, co robimy, uważają za głupie i bez znaczenia. W nic nie wierzą.

– Wierzą we wszystko – powiedział kwaśno Danaquil Lu. – Co jest równie złe.

W zdenerwowaniu pokręciła głową, poczuła, jak Clavally lekko dotyka jej ramienia.

– Czy wierzysz w Matkę Morza? W obrzędy? – zapytała.

Ariele spojrzała w nią, nagle się ucieszyła, że maska skrywa jej twarz. Wysłuchała się w wzywający Morze głos matki.

– Nie wierzę, że morze jest czymś w rodzaju boga – szepnęła w końcu. – Ale nie czyni tego i matka, choć powinna.

– Nasze wierzenia i tradycje są przecież równie dawne, co Kharemoughi; może nawet starsze – powiedziała Clavally. – A to, czego uczą nasze obrzędy, równie prawdziwie ukazuje, jak żyjemy, co w przypadku ich czy kogokolwiek innego. Jak powiedziałaby twój ojciec – Ariele popatrzyła ze zdziwieniem na matkę Merovy – wszystkie one stanowią wariację na jeden temat, każda z nich jest na swój sposób piękna, choć może nie zawsze z sobą harmonizują. Gdybyśmy przez całe życie mieli do śpiewania tylko jedną pieśń, oszalelibyśmy z nudów.

– Ale za to cieszylibyśmy się pokojem – Danaquil Lu objął żonę.

– Wszystko ma swą cenę – mruknęła Clavally. – To przesłanie Zmiany.

Ariele odwróciła się od nich, pomyślała nagle o merach, tajemnicy ich pieśni... pomyślała o Reedzie. Jest pozaziemcem, lecz jej światem interesuje się namiętnie i prawdziwie; dzięki niemu na obyczaje swego ludu i na samą siebie spojrzała tak, jak nigdy przedtem. Gdyby tylko mógł z nią

zostać, świętować zmiany, jakie wprowadził w jej życie... przyznał, że w pewien sposób sam się zmienił.

Spędzili razem wiele nocy, aż w końcu obdarzył ją swym ciałem. Nadal jednak nie wpuszczał jej do swego serca. Nigdy nie dopuścił, by doszło między nimi do prawdziwego zbliżenia, nawet w chwilach, gdy leżeli w swych ramionach.

Niekiedy w owych chwilach czuła takie szczęście i słodycz, że myślała, że ich nie przeżyje; niekiedy nawet on płakał. Zawsze jednak opuszczał ją przed świtem, wymykał się niby duch, cień, umykał przed pokazującym się w końcu uliczki światłem nowego dnia... zrobił tak i dzisiaj, skazując ją, by przyszła tu samotnie, stała samotnie, słuchając pradawnej pieśni Zmiany. Otaczała ją pustka i rozpacz, mówiła nie chciane przez nią rzeczy o szalonym uczuciu do człowieka równie skrytego i niepoznawalnego co głębiny morza.

Ktoś zajął puste miejsce tuż za nią, wszedł między szum i pomruki obecnych. Odwróciła się z nagłą tęsknotą; ujrzała brata stojącego w tyle, tuż obok Merovy. Długą chwilę patrzyła na niego, próbowała przekształcić w inną jego zamaskowaną postać. Nie zdołała i w końcu odwróciła się znowu, spojrziała na niezmiennie morze.

– Merovy... – szepnął Tammis. – Muszę z tobą porozmawiać. O nas.

Popatrzyła na niego; z całej jej twarzy widział tylko oczy. Powiedziały mu wszystko to, czego nie potrafiło oblicze; nadzieję, wątpliwość, miłość.

Sięgnął po jej rękę, nie odsunęła się.

To ciebie kocham – powiedział, nie zwracając uwagi na kierujące się ku niemu zamaskowane twarze, znowu w bok; na głos matki wysyłającej do morza figury symbolizujące ją i małżonka. – Całą ciebie, twe ciało, twój umysł. Chcę żyć z tobą, mieć dzieci, wychowywać je razem...

Kurczowo ścisnęła jego dłoń.

– Mamy porę Zmiany – szepnęła ledwo dosłyszalnie, patrząc na odbywające się w dole obrzędy; przywołując je, gdy wszyscy wokół zaczęli się nagle odwracać, wskazywać, stawać na palce, by lepiej widzieć.

Tammis odwrócił się także, pociągnięty przez Merovy. Spojrzał na miejsce, gdzie stała jego matka. Cofnęła się właśnie, a Letniacy popchnęli wóz, posłali go w zimną, ciemną wodę. Ryknęły głosy tłumu, wszyscy wokół weselili się, patrząc, jak fałszywa łódź kręci się, zapada w dół, gdy skryte w jej dnie dziury wpuściły morze. Tammis przyglądał się, ściskając boleśnie dłoń żony, jak kukły przedstawiające dwoje ludzi będących jego rodzicami znikają w objęciach Matki Morza.

Westchnął, wypuszczając powietrze, gdy łódź ofiarna zniknęła mu z oczu, niemal bezwiednie objął Merovy. Przyłgnęła do niego, przycisnęła ciało, szukała pocieszenia w widzianej przed chwilą symbolicznej śmierci przeszłości.

– Wszystko się zmienia... – oznajmił głos matki Tammisa – z wyjątkiem morza. Pani przyjęła nasze ofiary, odwzajemni je podziękowaniem. Umarło dotychczasowe życie odrzucimy je jak zgniecioną maskę, jak muszlę, z której wyrosliśmy. Radujmy się, czynmy nowy początek... – Nie mając maski do zdjęcia, uniosła ręce, dając sygnał czekającym tłumom.

Tammis uniósł swoją maskę, poczuł, jak morski wiatr tarł mu włosy i chłodzi nagle zarumienioną twarz. Merovy zdjęła swoją. Spojrzał na dwa patrzące nań dziwne, niespodziewanie ośleple oblicza; na tradycyjne figury totemowe, na wpół ptaki, na wpół ryby – fantastyczne, a jednak pełne tajemnego znaczenia. Maski spadły razem, wypuszczone przez ich dłonie, popatrzył w twarz żony. Uśmiechała się do niego, poczuł ciepło rozlewające się po całym jego ciele.

Wszystkie maski wokół zostały zrzucone, odsłaniając Clavally, Danaquila Lu, Fate, Tor – ukazując radość rozjaśniającą twarze ludzi, których znał i kochał. Poczuł nagle, że jest jednym z nich;

zrozumiał, jak nigdy przedtem, dlaczego Zmiana jest konieczna; że nawet naśladownictwo jej prawdziwych obrzędów może równie głęboko, oddziaływać na tylu ludzi.

Stojąca samotnie siostra Tammisa odwróciła się, patrząc na niego, przytulonego do Merovy, zrzuciła maskę. Jej twarz przez chwilę wyrażała kpinę, by potem, nagle jak przeblysłk słońca, rozjaśnić się skierowanym do nich uśmiechem. Tammis niepewnie odpowiedział tym samym. Ariele odwróciła się bez słowa, spojrzała na miejsce zajmowane przez jej ojca.

Tammis popatrzył tam również, ze zdziwieniem zauważył, że owo miejsce jest puste. Opuścił wzrok na nabrzeże, gdzie stała matka. Moon nadal odwracała twarz od swego ludu, wpatrywała się w zachwyconego Głównego Sędziego, nie zwracała uwagi na bezmyślne zawodzenia tłumów.

TIAMAT: Krwawnik

– No, na wszystkich bogów, tym razem nie byli pierwsi! – porucznik nazwiskiem Ershad uśmiechnął się dumnie, wchodząc do sali konferencyjnej, i zasalutował. Ciągłe miał na sobie ocieplany skafander nurka – Gundhalinu pomyślał gorzko, że wyłącznie dla efektu – i jedną, ubraną w rękawiczkę ręką podniósł ciężki pojemnik. Z głośnym łup postawił go na stole, siedzący przy nim członkowie rządu hegemońskiego uderzali pochwalnie w blat. Gundhalinu nie ruszył ręki. Skafander Ershada i pojemnik pokrywały brunatnoczerwone plamy. Zaszła krew. Krew merów.

– Zebraliśmy tego więcej. – Ershad założył ręce. – Wysłaliśmy bezpośrednio do zakładów przetwórczych. Aresztowaliśmy też tych przeklętych letniackich fanatyków i znowu odebraliśmy im sprzęt. Tym razem przynajmniej nie zdążą zdobyć nowego, by nam przeszkadzać.

– Dobra robota, Ershad – powiedział w końcu Vhanu, gdy milczenie Gundhalinu zaczęło się stawać niezręczne. Porucznik kiwnął głową z uśmiechem.

– Co zrobiliście z Letniakami? – zapytała Jerusha PalaThion, patrząc na wiaderko i ledwo panując nad głosem.

– Są w zamknięciu, pani komendant. A paru w szpitalu. Opierali się przy aresztowaniu. – Skrzywił usta.

PalaThion zachowała kamienną twarz, Gundhalinu poczuł, jak zaciskają się mu usta na widok ledwo uchwytnych oznak radości pojawiających się na twarzach obecnych w sali. Jerusha wstała z fotela, spojrzała na Vhanu.

– Zajmę się przekazaniem ich władzom miejscowym. – Ruszyła ku drzwiom, nim zdążył się sprzeciwić; nim ktokolwiek dojrzał głębokie zmarszczki wyryte bólem na jej twarzy, jakie niewątpliwie zaczęły się już pojawiać.

Ershad, pochmurniejac, patrzył na jej odejście.

– Panie sędzio... – Vhanu obrócił się w fotelu, by spojrzeć na Gundhalinu. – Ci ludzie przeszkadzają w każdym naszym polowaniu, używają nowoczesnego sprzętu, by utrudnić nam działanie. A władza miejscowa natychmiast ich wypuszcza. Czy nie ma sposobu, by skutecznie ich powstrzymać? – Zadał pytanie, lecz Gundhalinu słyszał kryjącą się za nim nie wypowiedzianą groźbę.

– Nie możemy ich skazać według naszego prawa, dopóki nie wystąpią fizycznie przeciwko naszym ludziom – odpowiedział, nie przestając się krzywić. – Nie ma też przepisu, który zabraniałby im stosowania na statkach rybackich naszych urzędów.

– Może następnym razem powinniśmy wyrzucić paru z nich za burtę i kazać wracać do domu wpływ – powiedział Ershad. – To by ich zniechęciło.

– Wówczas złamałby pan prawo tiamatańskie, Ershad – zauważył sucho Gundhalinu. – A także nasze. Proszę zabrać stąd pojemnik i dopilnować, by zajęto się nim odpowiednio.

– Tak jest, panie sędzio. – Ershad zasalutował ponownie i wyszedł.

– Może powinniśmy rozważyć wydanie paru nowych praw – powiedział Vhanu niecierpliwie. – Przydałoby się takie, które przeszkadzanie w polowaniach na mery uznałoby za przeszkadzanie w działaniach Policji... – Wzdłuż całego stołu rozległy się popierające pomruki.

– Ten świat ma tylko jedną rzecz, która jest cenna dla Hegemonii, a ciągle mamy kłopoty z jej uzyskaniem – powiedział Tilhonne. – Koordynatorzy znowu się przez nas niecierpliwiają, a wszyscy wiemy, co to oznacza. Musimy produkować, bo inaczej ...

– Wiem. – Gundhalinu przerwał mu ostro, wiedział, że to prawda. Jednocześnie miał świadomość, że każdy pojemnik rozlanej, przetworzonej w wodę życia krwi przybliży nie tylko

wytopienie merów, lecz także zniszczenie sieci sybilli... I nie może im o tym powiedzieć. Nie może. Nie może. – Wiem, że sprawa jest ważna. Poświęcę jej pełną uwagę. A teraz, sadhanu, zamykam zebranie. Znowu mieliśmy dziś bardzo długi dzień. – Wstał niemal apodyktycznie, zapobiegając sprzeciwom czy próbom kontynuowania dyskusji.

Vhanu szedł z nim zatłoczonymi korytarzami zespołu rządowego, mijali nieskończone morze niebieskich mundurów i pozaziemskich twarzy. Żaden się nie odezwał, nim nie minęli wejścia do gmachu i nie stanęli na neutralnym gruncie ulicy.

– Mam nadzieję, BZ, że zastanowisz się głębiej nad tą sprawą – powiedział w końcu Vhanu, wpatrując się w twarz Gundhalinu.

Sędzia umknął z oczami, patrzył na wolno przepływające obok postacie.

– Zastanowię się, NR. – Jakbym teraz, dniem i nocą, mógł myśleć o czymkolwiek innym. – Ale nie mogę ci nic obiecać. Nie ma tu prostych rozwiązań.

– Wiem, że znajdziesz najlepsze – westchnął Vhanu, zdradzając wyraźnie, że nie jest tego pewny.

– Tak. – Gundhalinu przytaknął, choć raz całkowicie przekonany do swej odpowiedzi. – Znajdę.

– Czy przyjdiesz dziś wieczorem do Sali Przeglądu? – Vhanu skinął głową Tilhonne'owi i Sandrine'owi, którzy w ślad za nimi wyszli z gmachu. – Będzie zebranie ogólne, wiem też, że przybyło kilka nowych rozrywkowych programów uczestniczących... – Położył dłoń na ramieniu Gundhalinu, próbował go ułagodzić i zasypać przepaść ich napiętych stosunków.

Gundhalinu zawahał się, potem pokręcił głową, patrząc w dół.

– Nie dziś, NR. Idę prosto do domu. Muszę przejrzeć kilka raportów, chcę też dzisiaj pójść wcześniej do łóżka.

– Co, znowu? "Chodzenie wcześniej do łóżka" zaczyna się stawać twoim nawykiem. A mam wrażenie, że następnego ranka bywasz bardzo zmęczony... – Uśmiechnął się niespodziewanie domyślnie. – Nadal spotykasz się z kobietą poznaną podczas Nocy Masek?

Gundhalinu poczuł, jak się czerwieni, wiedział, że rumieniec go zdradza.

– Obawiam się, NR – mruknął – że mnie przejrzałeś. – Uśmiechnął się również, nie przestając odwracać wzroku, zagłębił mocniej dłonie w pustych kieszeniach.

– Ojcie wszystkich mych przodków! – zachichotał Vhanu. – Musi być czarodziejką, skoro Główny Sędzia płoni się jak uczeń.

Gundhalinu odetchnął z ulgą, gdy inspektor Kitaro podeszła do nich z hełmem pod pachą.

– Panie komendancie. Panie sędzio. – Zasalutowała im z uśmiechem. Patrzyła na Gundhalinu odrobinę dłużej, niż było to konieczne; lekko zdziwiony spojrział na nią.

– Kitaro, przyjdzie pani dzisiaj do Sali? – zapytał Vhanu, gdy minęli ich Tilhonne i Sandrine.

Zerknęła na niego, pokręciła głową.

– Nie dzisiaj, panie komendancie. Miałam ciężki dzień. Może pójdę dziś wcześniej do łóżka.

Vhanu wzruszył ramionami.

– W takim razie życzę spokojnego snu. Roześmiała się, dziwnie po dziewczęcemu.

– Nic nie mówiłam o spaniu... – Potrząsnęła głową, jej ciemne loki załśniły w sztucznym świetle. Nie przestając się uśmiechać, znowu zerknęła przelotnie na Gundhalinu.

Vhanu uniósł brwi, poczuł się trochę zażenowany jej niespotykaną wśród Techników otwartością. Spojrział między nich, na jego twarzy pojawił się uśmieszek rozbawienia.

– W takim razie obojgu wam życzę dobrej nocy. Idziemy, sadhanu, nie przeszkadzajmy im w wieczornych planach. – Skinął w stronę Tilhonne'a i Sandrine'a, ruszyli w dół ulicy, szukając środka transportu.

Gundhalinu w rozstaniu pożegnał się z Kitaro, czując się zakłopotany, ruszył w stronę wylotu ulicy. Na pozór przypadkowo znalazła się obok niego.

– Odprowadzić pana?

Spojrzał na nią z większą teraz ciekawością i zaskoczeniem, a nawet z niepokojem.

– Nie, dziękuję. To niedaleko, a ponadto nie jest chyba pani po drodze. Nie chciałbym, żeby się pani przeze mnie spóźniła...

– Jest mi po drodze, panie sędzio – powiedziała z lekkim naciskiem. – Muszę wstąpić na rynek. – Minęli Vhanu, Tilhonne'a i Sandrine'a stojących na rogu, czekających na tramwaj. Gundhalinu skręcił Ulicą w stronę górnego miasta, Kitaro poszła z nim. Czuł na sobie domyślne spojrzenia podwładnych. – Główny inspektor nakazała, by ktoś zawsze osłaniał pana plecy – powiedziała Kitaro, oglądając się za ramię i udając, że patrzy na witrynę sklepu. – A ludzie uwielbiają gadać.

– Rozumiem – mruknął, zaczynając w końcu pojmować. Przyglądał się sklepom i drzwiom po swej stronie Ulicy. – W takim razie jestem wdzięczny. Niech bogowie bronią, by Główny Sędzia został niby zwykły śmiertelnik przyłapany bez osłony. – Popatrzył na nią z lekkim rozbawieniem.

– Tak jest.

Szli razem w górę Ulicy, gawędzili beztrąsko o sprawach rządowych. Jeśli wiedziała o pomyślnych łowach na mery, to się z tym nie zdradzała. Nie pytał jej o zdanie. W dalszym ciągu niemal nic o niej nie wiedział, tylko to, że jest sybillą i że ufa jej KR Aspundth. Była Nietechnikem i poza Salą Przeglądu nie należała do ludzi, z którymi spotykał się najczęściej. Nie miał pojęcia, co robi po służbie ani czym się interesuje.

Nie był nawet pewien, do którego poziomu Przeglądu należała, choć niewątpliwie do znacznie wyższego, niż myślała większość innych jego członków. Dostarczyła mu danych o Reedzie Kullervo; pomogła nieraz rozwiązać inne, mniej poważne problemy. Czyniła to tak skrycie, że dopiero teraz uświadomił sobie, jak często znajdowała się w pobliżu, gdy potrzebował przysługi. Wszystko to jednak nic nie mówiło o jej poglądach na sprawę merów, a nie czuł się na siłach, przynajmniej dzisiaj, by sprawdzić jej zapatrywania.

– Czy udało się już pani załatwić spotkanie z naszym nieuchwytnym przyjacielem Kowalem? – Gdy tylko pomyślał o Reedzie, na co nie miał czasu w ciągu ostatnich kilku tygodni, zrozumiał nagle coś innego: Kullervojest Vanamoinenem. A Vanamoinen stworzył sieć sybilli... która się teraz rozpada. To nie może być przypadek. Musi coś znaczyć, lecz tylko Reede zdoła mu powiedzieć co.

Kitaro pokręciła głową.

– Parę razy byłam tego blisko... – uniosła rękę ale chwila zawsze okazywała się nieodpowiednia. Nie chodzi o kłopoty z jego znalezieniem, ale podległością Źródłu. Jaakola nie spuszcza z niego oczu. Jest niemal niemożliwe, by na tak długo wyrwać Reede'a Kullervo spod nadzoru Bractwa, by zdołał pan z nim porozmawiać.

– Niemal...?

Popatrzyła na Gundhalinu z uśmiechem.

– Trudne zadania wykonujemy natychmiast. Niemożliwe zajmują nam trochę czasu.

Uśmiechnął się także, lecz przelotnie.

– Kitaro, musi dojść do tego spotkania. Być może nie ma niczego ważniejszego dla nas wszystkich.

– Rozumiem.

Szedł dalej w milczeniu, pragnąc, by było tak rzeczywiście.

– Dobranoc, Kitaro – powiedział w końcu, gdy dotarli do drzwi jego domu. Zawahał się, nie wiedząc, czy nie spodziewa się zaproszenia do środka. Za końcem ulicy niebo już pociemniało; nie

wiedział, że jest tak późno.

Kitaro wybawiła go z niepokoju, przyciskając w pożegnaniu pięść do piersi i lekko się uśmiechając.

– Panu także życzę dobrej nocy, sędzio – powiedziała i wróciła spokojną alejką.

Patrzył za nią, aż zniknęła, dopiero potem wszedł w cienie i położył palce na kluczu identyfikacyjnym głównego wejścia. Drzwi otworzyły się cicho, wpuszczając go do sanktuarium domu, i zamknęły równie bezszelestnie. Z westchnieniem rozpiął kurtkę mundurową.

– BZ...? – Wyłoniła się z przyciemnionej poświaty bocznego pokoju. Zobaczył jej obramowaną światłem sylwetkę, błyszczące srebrem włosy, twarz ukrytą do połowy w cieniu.

– Moon. – Poczul, jak mija mu ściskający piersi niepokój, będący na poły wyczekiwaniem, na poły lękiem przed zawodem. Ruszył ku niej. – Przepraszam za spóźnienie... spotkanie się przeciągnęło...

– Łowy się udały – powiedziała, stojąc ciągle nieruchomo. Zatrzymał się, bo nie podchodziła ku niemu.

– Tak – gardło ścisnęło mu się na tym słowie. – Musieli zmienić wyznaczony kod, nie...

Odwróciła się od niego, zamknęła oczy, przycisnęła czoło do futryny drzwi, zaczęła coś cicho, niedosłyszalnie mrużyć.

– ...pozaziemscy rzeźnicy! – Uniosła znowu głowę, spiorunowała go wzrokiem.

– Do cholery z tym wszystkim! – wybuchnął gniewem, nie skierowanym na nią – wymierzonym w nic, wszystko, siebie; był Głównym Sędzią, a mimo to miał równie małe możliwości powstrzymania nieszczęścia, co ona... choć była Królową. – To beznadziejne – szaleńcze!

Tym razem podeszła do niego i gdy wyciągnęła ręce, zobaczył w jej oczach niepokój i rozpaczliwe pożądanie.

Objął ją, przycisnął, poczul szorstki samodział i wełnę jej ubrania, pociągające ciepło ciała, miękkość skóry. Ucałował ją chciwie, poszukał ust, całą rozdzierającą go gniewem energię zamienił w pożądanie. Nigdy nie wyobrażał sobie, że może kiedykolwiek przeżywać cokolwiek równie intensywnie, że istnieją tak silne uczucia. Pozwolił pragnieniu płonąć, wypalać w nim obowiązki, winę, pamięć, aż całość przestrzeni i czasu skurczyła się w tym momencie do kruchej azylu domu, kryjówki przed przeznaczeniem. – Bogowie – szepnął – chcę cię teraz...

Odpowiedziała mu ciałem, miękkimi, gorącymi wargami uciszyła jego, pociągnęła bez słowa w stronę schodów prowadzących do sypialni.

TIAMAT: Południowe Wybrzeże

– Spójrz na nie wszystkie! – Ariele uniosła ręce, osłoniła oczy przed oślepiającymi odbłaskami mokrego piasku. Plaża ciągnęła się na półtora kilometra, z obu krańców ograniczały ją wchodzące w morze wzgórza. Stanowiła rzadko spotykane, piękne pasmo drobnego piasku, miękkiego pod jej stopami jak aksamit. Pokrywała je falująca masa merów – niejedna kolonia, lecz kilka, w nagłej, niezrozumiałej podróży dzielących ten sam teren, odpoczywających razem. – Co tu robią? Dokąd płyną?

Silky leżała obok niej na plaży, merątko przyciskało się do nogi Ariele na tyle mocno, by dawać przyjemność nie przewracając. Wyśledzili kolonię dzięki nadajnikowi noszonemu przez stworzenie w uchu niby kolczyk, wszczepionemu mu przez Jerushę i Miroe, gdy było maleńkie; doszło w ten sposób do niespodziewanego spotkania na plaży. Silky powitała ich radośnie, wyraźnie ucieszyła się na ich widok. Wydawała się teraz zadowolona z towarzystwa, lecz coś nieuchwytnego w jej wyglądzie zdradzało Ariele, że tak nie jest.

– Kierują się na północ – powiedział Reede, odrzucając kaptur kurtki. – Wszystkie. Nie wiem dlaczego, ale to niewątpliwe. – Nie zdejmował grubego okrycia, choć Ariele miała na sobie tylko cienką koszulę i spodnie, a na dodatek podwinęła rękawy i nogawki. Opuszczając miasto, nawet w gorące dni ubierał się jak w środku Zimy. Spojrzał na merątko obok niej; uśmiechnął niemal bezwiednie, wydając z siebie serię pytających cmoknięć i świstów.

Silky uniosła głowę i niespodziewanie skoczyła naprzód, uderzając go w brzuch. Reede z sapnięciem zdziwienia usiadł na piasku. Wybuchnął śmiechem i otrzepując się wstał.

– Cholera. To chyba nie było właściwe pytanie.

Ariele spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. Nigdy nie słyszała, by śmiał się równie lekko i swobodnie; uświadomiła sobie, jak rzadko czyni to w ogóle.

– Nie zrobiłeś tego na właściwej wysokości tonu – powiedziała. Reede wzruszył ramionami, wyciągnął do niej rękę w zapraszającym geście.

Powtórzyła serię dźwięków, patrząc uważnie na Silky. Mer pokiwał głową w rytmicznych ruchach i odpowiedział w swej tonalnej mowie. Ariele skrzywiła się, odtworzyła dźwięki w pamięci, podzieliła na zrozumiałe cząstki.

" Obecność... – tłumaczyła powoli – i potrzeba "... " Tutaj" – mruknął Reede. Roześmiał się nagle. – "Bo jest tutaj"...?

Rozjaśniła się i uderzyła go w ramię.

– Ty... – Przerwała, gdy Silky wtrąciła się nową, niespodziewaną serią szczebiotów. – To była pieśń merów – powiedziała, patrząc na Reede'a, dostrzegła w jego oczach rozpoznanie. – Sądysz, że o to chodzi... że to jakieś zebranie, podczas którego wymieniają pieśni?

– Aha – przykucnął, by popatrzeć prosto w oczy mera. – Może tak być... chyba masz rację. – Silky w przeprosinach dotknęła go wargami i zanurzył twarz w ciepłej, gęstej sierści jej szyi. Pozwoliła na to, z nie wypowiedzanym uczuciem sapała mu we włosy.

Ariele uśmiechnęła się, wiedziała, że powinna czuć zazdrość, uświadamiała sobie jednak, że nie sposób jest oprzeć się Reede'owi Kullervo, który siedział teraz na piasku, oplatając kolana ramionami, z zachwytem na twarzy przyglądał się poruszającym się na plaży merom. Zapragnęła znowu, by wszedł z nią do wody, nurkował i pływał z nimi. Morze jest ich światem, nie przebywając tam razem z nimi, nigdy nie dostrzeże się prawdziwego, głębokiego piękna ich życia. Zawsze jednak odmawiał, szorstko i bez wyjaśnień. Przypuszczała, że jego lęk ma źródło w mękach przeżytych w pułapce między skałami.

– Jak sądzisz, daleko jeszcze płyną? Czy to ich miejsce zgromadzeń? – Spojrzała znowu na plażę.

Pokręcił głową.

– Płyną do Krwawnika.

– Krwawnika? – powtórzyła, patrząc na niego. – Dlaczego? Zachmurzył się.

– Nie wiem. – Podniósł garść piasku, przesywał między palcami. – Nie wiem...

– Cycuski Pani, Reede! – powiedziała z gniewem. Machnęła ze złością na bzykające wokół uszu wiosenne muchy. – Skąd możesz to wiedzieć? Skąd je znasz? Jak radio wychytujesz wszystko z powietrza, a potem się okazuje, że miałeś rację! Nie mogę z tobą wytrzymać...

– Kłamczucha. – Człowiek kochający mery, wydający się jej prawdziwym jedynie poza miastem, zaskoczył ją nagłym uśmiechem. Wyciągnął ręce, złapał Ariele pod kolana i ze śmiechem ściągnął na piasek obok siebie. – Nie możesz żyć beze mnie, sama tak mówisz.

Spróbował ją pocałować, odepchnęła go nagle, spojrzała na morze.

– Czekaj, za chwilę. Reede, daj mi swą lornetkę. – Ściągnęła mu ją z głowy, nasunęła na własną twarz. Wstała i przeszukała horyzont.

– Co widzisz? – Stał obok niej.

– Coś tam jest... – wdrapała się na występ skalny, górujący wysoko nad Reede'em, spojrzała na morze, przestawiła lornetkę na największe powiększenie. – Statki! To Łowy – widzisz je? Płyną tutaj. – Poczowała chłód w żołądku.

Reede zaklął.

– Podążali za nami? Czy za merami? – Ariele poczuła, jak wspina się do niej; nie była w stanie oderwać oczu od widoku w lornetce. – Tak – powiedziała cicho.

Stanąwszy obok, wziął od niej gogle, nałożył na głowę.

– Czy coś jeszcze leci? – Zerknęła pod słońce, osłaniając oczy rękoma. – Nie. Mają tylko statki. Poduszkowce wyglądają zbyt dziwnie; niekiedy płoszą mery. – Wiedząc, gdzie patrzeć, dostrzegała okręty i bez lornetki. Dotarła do niej pytająca pieśń merów, spojrzała w dół, doznając zawrotu głowy, i zobaczyła Silky patrzącą na nią z ciekawością. – Reede... – złapała go za ramię, potrząsnęła. – Zbliżają się! Co mamy robić?

Spojrzał na nią, ponownie ściągnął gogle.

– Musimy stąd szybko uciekać. Jeśli nas złapią, będziemy po uszy w szambie.

– Nic nie mogą nam zrobić – sprzeciwiła się, zaskoczona i rozżłoszczona. – Moją matką jest Królowa.

– Moją nie – odparł Reede. – Wykopią mnie z planety.

– Pracujesz przecież dla mojej matki. Ochroni...

– Do diabła, nie sprzeczasz się! – Złapał ją za rękę, ponaglił do zejścia.

Wyrwała się.

– Reede, zabijają Silky! – Pomimo wznowienia polowań mery żyły nadal tak, jakby nie miały się czego lękać. Reede powiedział jej, że zachowują się tak, bo długo żyją; nie czują bliskości śmierci, a więc i strachu przed nią, nie mają ducha współzawodnictwa, żadnej potrzeby kultury materialnej, która pcha ludzi do tworzenia długotrwałych śladów swego ulotnego życia. Brakuje im nawet słów, którymi mogłyby się ostrzegać przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, podobnym do zbliżającego się teraz. – Oczy Pani – zawołała – zabijają je wszystkie!

Reede popatrzył na całą długość plaży, wykrzywił usta.

– Cholera! – zacisnął pięści. – Cholera! Chodź, musisz mi pomóc! – Zszedł ze skały, zrobiła to samo, kalecząc nagą skórę. Reede chwycił plecak, wyciągnął coś i zaczął programować.

– Co to? – wysapała.

– Nadajnik poddźwiękowy. Wypłoszy je do morza. Tak robią myśliwi, ale ocalę mery, gdy uczynię to pierwszy. Ale być może nie zdążę wystraszyć wszystkich... – Z całej siły cisnął urządzeniem w masę ciał. Mery zaczęły się kręcić i piszczeć w proteście.

– Silky! – zawołała Ariele, przywołując merątko głosem wydawanym przed matkę przyzywającą dziecko. Pobieгла do niej, machając rękoma i krzywiąc się, próbując za wszelką cenę przekazać wypełniający ją samą strach. Obok Reede krzychał coś niezrozumiałego w mowie merów. Silky ostro podrzuciła głowę, popatrzyła na nich. Po chwili obróciła się nagle i poczłapała plażą w stronę wody. Reede krzychał dalej, biegnąc ku merom, jego dziwne, niespodziewane zachowanie sprawiało, że niechętnie kierowały się ku falom.

Ariele rozejrzała się znowu, gdy większość cętkowanych ciał zniknęła w morzu.

– Coś się stało... – wskazała na horyzont, stanęła, by widzieć wyraźniej. Reede naciągnął gogle, popatrzył chwilę. Prychnął śmiechem w triumfalnej uldze. – Pani wysłuchiwała twe modlitwy – mruknął, zdzierając lornetkę i podając jej. – Przybyli Letniacy.

Chwyciła lornetkę, z bijącym sercem patrzyła przez nią na kilka rybackich łodzi Letniaków, które przecięły kurs liczniejszej floty pozaziemców. Wszystko działo się zbyt daleko, by widziała wyraźnie, ale wiedziała o świętej wojnie Capelli Goodyenture, wiedziała, że matka popiera ją skrycie, umożliwia. Poczła nagłą dumę, jakby patrzyła oczami Moon, zrozumiała nagle, że mają coś wspólnego, coś znacznie ważniejszego, aniżeli wszelkie powierzchowne podobieństwo fizyczne.

Reede szarpnął ją za ramię, w milczeniu zażądał zwrotu gogli. Oddała je z wrzaskiem radości.

– Powstrzymają ich – powiedziała. – Już tak robili. Moja matka chroni ich przed pozaziemcami...

Reede zaklął nagle i jadowicie.

– Nie! Nie, do cholery... !

– Co? Co? – zawołała, wyteżając wzrok.

– Ci pieprzeni Sini! Staranowali łódź. Wskakują na nią... Bogowie, uderzyli w drugą. Tonie...

– Nie! Na Panią i wszystkich bogów... – Ariele odwróciła się, popatrzyła na plażę z rozpaczą. Ukucnęła, pozbierała ile tylko mogła kamieni. Rzucając nimi i krzyżąc, pobiegła w stronę nic nie rozumiejących merów.

– Ariele! – zawołał Reede. – Wracaj do łazika! Chodź! – Pobieglł za nią.

– Nie! – wrzasnęła. – Nie zostawię ich!

– Do diabła, posłuchaj mnie! – Złapał ją, zatrzymał szarpnięciem. – Powiedziałaś, że śmigłowiec może je przepłoszyć. Na miłość bogów, użyjmy naszego! Chodź...

Kiwnęła głową i zaprzestając protestów, odwróciła się, pobiegła w stronę skał i czekającego pojazdu.

Reede wskoczył na miejsce pilota, ledwo zaczekał na nią, by zamknąć drzwiczki. Ariele opadła obok, poczuła obejmujące ją pasy bezpieczeństwa, gdy śmigłowiec uniósł się stromo i przeskoczył nad krawędzią urwiska, by opaść niemal na głowy zaskoczonych merów. Stworzenia podnosiły wzrok, niemal zabawnie wyciągały długie wdzięczne szyje, patrząc na huczącego nad plażą Reede'a. Potem, zdenerwowane już obecnością odstraszających poddźwięków, zaczęły się poruszać. Ariele patrzyła na ciemną, pomarszczoną masę ciał przesuwającą się do brzegu morza niby odpływ. Reede doleciał do końca plaży i skręcił gwałtownie, zawrócił, by ponownie przemknąć tuż nad głowami merów. Wydał z siebie dziki okrzyk podniecenia, gdy zaczęły reagować.

Coś w rodzaju niewidzialnej pięści uderzyło w bok śmigłowca. Pojazd przechylił się i zatoczył, z trudem zdołał wyrównać lot, mało brakowało, by uderzył o piasek. Jęknęły sygnały alarmowe.

– Te kanalie strzelają do nas! – Reede nakazał śmigłowcowi uniesienie się, wystrzelili nad plażę z kolejnym niespodziewanym, ściskającym żołądek przyspieszeniem. Ariele skuliła się w fotelu, przygnieciona siłą odśrodkową, nagle wszędzie wokół widziała tylko niebo.

– Musimy uciekać – powiedział Reede, patrząc na nią, dostrzegła ból w jego oczach. – Nie mamy uzbrojenia ani osłon. Tamto było tylko ostrzeżeniem; jeśli Sini trafią nas znowu, zmienimy się w złom. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, większość z nich ocaleje... – Gdy nie odpowiadała, dodał: – Wierzysz mi?

Kiwnęła głową, zamykając oczy; zobaczył, jak jej powieki są zaczerwienione od słońca. W końcu otworzyła je znowu, ukazała błękit i biel.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie dziękuj mi. – Odwrócił się, zerknął na niebo. – Cholera... I tak to jeszcze dla nas nie koniec. Trafili nas i mają dane o pojeździe. Mogą nas śledzić aż do miasta.

– Śmigłowiec należy do mojej matki – powiedziała Ariele, czując, jak na jej twarz wpełza powolny, zimny uśmiech. – Główny Sędzia dał go jej w prezencie. – Popatrzyła na niego. – Nikt nie wie, że poleciałeś ze mną. Nikt nie musi wiedzieć. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. A jeśli główna inspektor zechce mnie przesłuchać... – znowu popatrzyła przed siebie – to nie spodobają się jej moje odpowiedzi.

TIAMAT: Krwawnik

BZ Gundhalinu chodził niespokojnie w cichym odosobnieniu salonu swego domu, nie potrafił usiąść choćby na chwilę. Muzyka, której sobie zażyczył, nie odpowiadała jego nastrojowi, podobnie próby medytacji zdawały się nie wywierać najmniejszego wpływu na gwałtowność bicia serca czy niecierpliwość.

Bogowie... odchylając ciężkie draperie, by po raz kolejny wyrzeć przez okno, poczuł, jak w jego wnętrzościach rozlewa się płomień bólu. Jestem za stary, by się tak czuć. Jak zadurzony chłopak, jak postać z romansów Starego Imperium, które czytywał w młodości. Wówczas nigdy czegoś takiego nie odczuwał; nie wierzył nigdy, by spotkało to kogokolwiek, że jest możliwe, by sekundy ciągnęły się niby godziny, gdy czekał na pukanie do drzwi, na pierwszy widok twarzy kochanki, przybywającej wieczorem na potajemną schadzkę...

Rozległo się ledwo słyszalne pukanie do drzwi. Wyszedł do przedsionka, system bezpieczeństwa ukazał mu wyczekiwaną twarz. Wyłączył osłonę i bosy zbliżył do drzwi, otworzył.

Stała tam, odziana w ciężki, bezkształtny ubiór letniackiej robotnicy. Włosy ukryła pod chustką, w rękę dźwigała kosz. Odstąpił w bok, by ją wpuścić, a potem zamknął drzwi – ledwo zdążył to zrobić, bo natychmiast upuściła kosz i objęła go ramionami. Roześmiał się, zaskoczony i uradowany, iż jest równie niecierpliwa co on. Całował ją długo i głęboko.

– Pomóżcie mi, bogowie – mruknął – cały dzień mogę myśleć tylko o tobie. – W ciągu miesięcy po Nocy Masek zdołali się kilkakrotnie tak spotkać, ciągle jednak miał wrażenie, że robią to po raz pierwszy, ciągle było mu mało skradzionych godzin, nasyciłby się dopiero wtedy, gdyby mogli swobodnie spędzać wszystkie noce. Wiedział jednak, że nigdy do tego nie dojdzie.

Rozpiął jej koszulę, wsunął pod nią ręce, poczuł jedwabiste krągłości piersi, bijące z zetknięcia się ich ciała, wypełniające nagle ją i jego ciepło. Nadal całując Moon, przycisnął ją plecami do ściany, poczuł, że coś mocno napiera od wewnątrz na tkaninę jego spodni. Królowa odchyliła do tyłu słodką, spragnioną postać, rozpięła koszulę jego munduru i zaczęła gładzić po skórze.

– Matko nas wszystkich – wydyszała mu w szyję. – Kocham cię...

– Moon... – przerwał, gdy ktoś znowu zapukał do drzwi. Moon puściła go, spojrzała ze zdumieniem.

– Sędzio Gundhalinu! – rozległo się wołanie, stłumione, lecz wyraźnie słyszalne.

– Capella Goodventure – powiedziała Moon, zdumiona jeszcze bardziej.

– Sędzio Gundhalinu! – Głos starszej klanu był donośniejszy i bardziej natarczywy. – Wiem, że jest pan tam.

– Dziś znowu odbyły się łowy – powiedziała Moon, jej oczy stały się odległe i szare. – Prawda? Przyszła w sprawie merów.

Tak. – Opuścił wzrok, unikając żalu w jej oczach, popatrzył na drzwi.

– Powinieneś z nią porozmawiać.

Zrezygnowany kiwnął głową, płonące w nim pożądanie zmieniło się nagle w popioły. Zapiął koszulę, poszedł do drzwi i otworzył je, ukazując zaskoczoną gniewną twarz Capelli Goodventure. Zdumienie wywołane spojrzeniem mu w oczy w innych okolicznościach byłoby zabawne.

– Wejście – powiedział cicho, odstępując w bok. Wpadła do środka, jakby próbował ją powstrzymać, zamarła nieruchomo, gdy zobaczyła stojącą w głębi Moon Dawntreader. Starsza rodu Goodventure patrzyła na Królową Lata, na jej strój; odwróciła wzrok na Gundhalinu, jego rozchełstane ubranie.

Ty...? – zapytała miękko, potrząsając głową.

Capella Goodventure założyła ręce pod luźnymi połami peleryny, podeszła do Moon.

– Myślałam, że zastanę go figlującego z jakąś głupią, lekkomyślną straganiarką. A ty i on... To dlatego trwają polowania, dlatego nic się nam nie udaje. Ty – i on! – Szarpnęła głową w kierunku Gundhalinu.

– Nie – powiedziała Moon, przelitykając smutek. – On jest po naszej stronie, Capello. Pragnie ocalić mery. Robi dla nich, co może, tak samo jak dla nas.

– Kieruje wszystkim dla dobra Hegemonii. Określa, co jego ludzie mogą robić, a czego nie; tak przynajmniej twierdzi... – Capella Goodventure obejrzała się na niego, jej oczy były niby reflektory. – A dzisiaj nie tylko mordowali święte dzieci Pani, ale i zatopili statek z próbującymi ich powstrzymać ludźmi. Troje z nich utonęło – w tym rónj własny wnuk! To w ten sposób zamierza nam pan pomagać, sędzio?

Moon mruknęła coś pod nosem, modlitwę lub przekleństwo.

– Zginęło troje ludzi? – powtórzył BZ. – Nikt nie wydał im takich rozkazów. Zostaną ukarani z całą surowością...

– Nie! – W głosie Capelli Goodventure zabrzmiała histeria. – Nie, zgodnie z prawem kara należy do Pani. Jako Jej ręką mam obowiązek rozprawić się z winnymi... – Wyciągnęła dłonie spod peleryny.

BZ zeszywniał na widok błysku metalu w obu jej pięściach. Rzucił się naprzód, próbując przewrócić skaczącą na Moon Capellę. Gdy ją złapał, ta się odwróciła, uniosła jedno z ostrzy. Poczł przeszywający jego bok ból, gdy własnym rozpędem nadział się na nóż. Złapał za drugą rękę starszej rodu, gdy ta dziko machnęła bronią w stronę jego twarzy. Była zaślepiona wściekłością i niewiarygodnie silna. Moon zacisnęła dłonie na nadgarstku kobiety, odciągała ją od Gundhalinu. Capella wypuściła rękojeść noża, uwolniony sędzia przeszedł chwiejnie dwa kroki i opadł na kolana, ciało nagle przestało go słuchać. Dźwignął się na krzyk Moon; ujrzał krew na drugim ostrzu, walczące pod ścianą obie kobiety.

– Sędzio! – Naraz w przedsionku pojawiła się czwarta postać. Gundhalinu zobaczył niebieski mundur, poznał przybyłą nie wiadomo skąd Kitaro. Inspektor minęła go, wyciągnięty przez nią ogłuszacz był bezużyteczny w ciasnym wnętrzu. Od tyłu złapała w kłamrę Capellę Goodventure, nadal wrzeszczącą i dziko machającą nożem, odciągnęła od Moon. – Pani! Uciekaj stąd! Już! – Wydyszała Kitaro. – Wezwałam pomoc.

– BZ... – Moon zawahała się, zawróciła ku niemu, trzymając za przesiąknięty krwią rękaw. Jej oczy wypełniła gorączkowa troska.

– Wszystko ze mną dobrze – powiedział szorstko. – Idź, zanim ktoś przybędzie.

Kiwnęła głową, ze zbielełą twarzą i zaciśniętymi ustami minęła drzwi, zniknęła z oczu patrzącego za nią Gundhalinu. Kitaro odwróciła się do niego.

– Panie sędzio...

– Nie! – Rzucił się naprzód, gdy Capella Goodventure okręciła się nagle z szaleńczą wściekłością, niepomna na własny ból zatopiła pozostały nóż w piersiach Kitaro, po raz drugi, trzeci. Inspektor krzyknęła i upadła. Starsza rodu odwróciła się do Gundhalinu, w jej oczach nie było niczego ludzkiego. Ruszyła na niego z nożem.

Zacisnął dłonie na wystającej mu z boku śliskiej rękojeści; wyrwał ją, klnąc z bólu. Wystawił nóż przed siebie, przyciskając plecy do ściany.

– Stać!

Przedsionek za nim wypełnił się nagle mundurami policjantów przybyłych na wezwanie Kitaro.

Capella Goodventure patrzyła na nich dzikimi, nieodgadniętymi oczyma, nadal ścisnęła nóż. Z

wyciągniętymi wycelowanymi w nią ogłuszaczami weszli do przedsionka, otoczyli ją.

– Rzuć to – powiedział ktoś ponuro. – Dalej, idziemy...

Popatrzyła na Gundhalinu z czymś w rodzaju rozpacz, coraz mocniej zaciskała dłonie na rękojeści noża, jakby był cennym skarbem. Potem nagle zatopiła ostrze we własnej piersi, w sercu, jęknęła z udręką, od której BZ zadrżał. Opadła na podłogę jak kamień, legła nieruchomo.

Wszyscy go otoczyli, podtrzymywali, oglądali ranę, próbowali zatamować potok krwi, tryskający mu z boku, jakby miał jej niewyczerpane źródło. Patrzył, jak ich pobudza do działania, jak wypływa, obserwował niebieskie postacie krzątające się przy leżących u jego stóp dwóch nieruchomych postaciach. Słyszał w uszach szum rzeki, przed oczyma zaczęła mu się pojawiać zasłona ze złotych plamek, złotoczarnych, aż wreszcie wszystko pochłonął mrok.

– Bogowie, jak mogło do tego dojść?

Siedząca przy łóżku Gundhalinu Jerusha PalaThion popatrzyła na Vhanu, po raz trzeci czy czwarty od wejścia do szpitalnego pokoju zadającego to pytanie. Odwrócił się niespokojnie od nieprzytomnego ciągle sędziego.

– Wyzdrowieje? – Zapytał po raz drugi, zwracając się do medtecha obserwującego obrazy na monitorach ponad łóżkiem.

Technik kiwnął głową.

– Nic mu nie będzie, panie komendancie. Stracił wiele krwi, ale dostarczyliśmy nowej. Nóż nie uszkodził żadnego ważnego narządu. Zaczyna już wykazywać objawy intensywniejszej aktywności mózgu. Może w każdej chwili odzyskać przytomność.

– Dzięki bogom – powiedział Vhanu. – Jak mógł wpuścić do domu kobietę uzbrojoną w noże? – Spojrzał wreszcie na Jeruszę, w końcu wyraził na głos wątpliwości, jakie czytała w jego oczach. – Czemu system bezpieczeństwa nie ostrzegł go, że jest uzbrojona?

– Tuż przedtem miał innego gościa – odpowiedziała Jerusha, zerkając na twarz BZ, zauważając, jak drga mięsień jego policzka. – Musiał zapomnieć przestawić system.

– Czy to była Kitaro? – chrząknął Vhanu.

– Tak, panie komendancie. Na to wygląda. Ponownie pokręcił głową i wymruczał przekleństwo.

– Bogowie, co za bezsensowna tragedia. – Okręcił się, popatrzył na drzwi, jakby mógł przebić wzrokiem ścianę. – W imię tysiąca przodków, co tak nagle rozwścieczyło tamtą kobietę, że próbowała zamordować Głównego Sędziego?

– Miało to prawdopodobnie coś wspólnego z polowaniami na mery – Jerusha wzruszyła ramionami, usiłując mówić obojętnie. – Jak pan wie, Letniacy uważają je za święte stworzenia. – Spojrzał na nią, szukając potępienia. – Capella Goodventure była kobietą wyjątkowo konserwatywną – dokończyła, zachowując obojętny ton. – A nawet fanatyczną.

– Ci żalosi dashtanu – mruknął. – Po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy. Nic tu nie ma sensu, nic nie dzieje się tu jak należy! Co tkwi w całym tym miejscu? – Przerwał na widok ruchu Gundhalinu.

Jerusha popatrzyła na twarz sędziego, zobaczyła, jak mrugnął powiekami i spojrzał ślepo, jakby wpatrywał się w słońce. Mruknął coś; nie rozpoznała słów.

– BZ... – powiedziała miękko, gdy zwrócił ku niej głowę. Vhanu trzema krokami przeszedł pokój i stanął obok łóżka.

– Jerusha – szepnął BZ, na wpół ze zdziwieniem, na wpół z ulgą. Spróbował się podnieść, bez skutku; z wykrzywioną bólem twarzą opadł bezwładnie. – Moon... co z nią? Czy jest bezpieczna, zdołała uciec?

Jerusha zeszywniała; nieznacznie kiwnęła głową, nim zerknęła na Vhanu, próbowała zwrócić

na niego uwagę BZ.

– Co mówił? – zapytał komendant ostro. – Powiedział "Moon".

– Nie powiedział – odparła.

– Powiedział. Usłyszałem "Moon". Czy mówił o Królowej Lata?

– Jest oszołomiony – nalegała. – Nie wiem na pewno, co mówił. Panie sędzio... – Położyła dłoń na ramieniu Gundhalinu, z pociechą i ostrzeżeniem. – Jest ze mną pan komendant.

Gundhalinu zamrugał, skrzywił usta.

– Teraz pani jest komendantem – szepnął niemal niedosłyszalnie. – Nie... Chciałem powiedzieć, że jestem... – Pokręcił nieznacznie głową i wydał dźwięk, który mógł być śmiechem. – Vhanu – powiedział, tym razem przytomnie. – Jesteś. – Rozjaśnił się, uśmiech zniknął równie szybko, co się pojawił. – Co z nią?

– Z kim? – zapytał Vhanu bezbarwnym głosem. BZ popatrzył na niego przytomnie.

– Z Kitaro – odpowiedział. – Co z nią? Twarz Vhanu zmieniła wyraz. Opuścił wzrok.

– Nie żyje, BZ.

– Nie... – Gundhalinu zamknął oczy, Jerusha zobaczyła, jak zadrżało całe jego ciało. – Och nie. Na bogów, nie.

– Nic nie można było zrobić, panie sędzio – wyjaśniła Jerusha najłagodniej, jak potrafiła; pominęła fakt, że Vhanu zwrócił się do niego po imieniu, jak przyjaciel, nie pozwoliła sobie na to sąsiedko. – Zginęła na miejscu.

– To moja wina... – powiedział.

– Nie.

– Gdybyśmy nie... – urwał.

Spojrzała znowu na Vhanu, nie potrafiła określić jego miny.

– Mogę go zobaczyć? – od drzwi rozległo się niespodziewane pytanie.

Vhanu odwrócił się, zaskoczony, że ktoś jeszcze przyszedł. Królowa. Jerusha zerwała się na nogi, patrzyła ze zdumieniem.

– Tak... oczywiście, Pani – mruknął Vhanu i pochylił w ukłonie. Jerusha zrobiła to samo, gdy Moon weszła do pokoju.

– Przybyłam, gdy tylko się dowiedziałam – powiedziała, zapominając już o nich, całą uwagę skupiając na leżącym w łóżku.

– Pani, dopiero co odzyskał przytomność – powiedział podchodzący do niej Vhanu. – Trochę za wcześnie, by z nim rozmawiać...

Moon zatrzymała się, spojrzała na niego i w bok. Jerusha zauważyła, że jedną ręką trzyma się kurczowo za bok; druga zwisała bezwładnie i dziwnie odstawała od fałd peleryny.

– Czuję się dobrze... – Urywany, lecz zdecydowany głos BZ przeciął próby Vhanu powstrzymania królowej. Podparł się na łokciu; Jerusha poznała po oczach, ile wysiłku go to kosztowało.

– Bardzo się cieszę, że słyszę to z pańskich własnych ust, sędzio Gundhalinu – powiedziała Moon łagodnie. Pochyliła głowę, z trudem skrywając inne uczucia zabarwiające rumieńcem jej policzki.

– Pani, czy wiecie, że to ktoś z waszego ludu próbował zabić głównego sędziego? – zapytał Vhanu. – I zamordował inspektora Policji?

Tak. – Uniosła głowę. – Zabiła też siebie... Brakuje słów, by wyrazić mój żal, że doszło do tak okropnej rzeczy. – Spojrzała na Gundhalinu, odwracając się od Vhanu; Jerusha dojrzała wyraźnie ze swego miejsca, jak na twarzy Moon zjawiała się rozpacz i beznadziejna tęsknota. – Czuję się...

odpowiedzialna. – PalaThion patrzyła na zaciskającą się znowu rękę. – Proszę powiedzieć, czy mogę w czymkolwiek pomóc...

Na Przewoźnika, pomyślała Jerusha, czując, jak wali się na nią cały świat. Była tam z nim. Kitaro nie miała z nim romansu, jak myśleli wszyscy w Policji. Udawała tylko, by go osłonić. To z Moon się spotykał. Zaklęła w duchu. Powinna była wcześniej się domyślić; powinna była wiedzieć. Ostatnio jednak rzadko widywała się z BZ. Wyczuwałyby to, gdyby nadal pracowała dla Królowej – choćby ta jej nawet nie powiedziała, to po tylu latach poznała ją dobrze. Powinna była dawno już dostrzec prawdę. Gdyby wiedziała...

– Może pani zacząć od powstrzymywania Letniaków przed przeszkadzaniem nam w łowach na mery, zamiast ich do tego zachęcać – powiedział Vhanu do pleców odwróconej Moon. – Rodzi to takich niebezpiecznych fanatyków jak Goodventure...

Moon znowu na niego popatrzyła.

– Zrodził ją – powiedziała głosem stwardniałym od bólu – atak waszych łowców na statki Letniaków. Troje ludzi utonęło, w tym jej wnuk.

Jerusha zeszywniała, spojrzała na Vhanu. Gundhalinu podniósł się w łóżku.

– Pani, skąd się dowiedzieliście? – zapytał Vhanu, jego oczy stały się nagle zimne jak skute lodem wierzchołki gór.

– Od pewnego rodaka – odparła z wzrokiem równie chłodnym. – Czy to prawda?

Zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Czy to prawda, Vhanu? – Gundhalinu podparł się na łokciu.

– Na miłość bogów – rzucił komendant, patrząc na Królową. – To na pewno nie miejsce ani czas, by rzucać podobne oskarżenia. Główny Sędzia ledwo co wyszedł cało z zamachu na swe życie...

– Vhanu... – powiedział Gundhalinu gniewnie. – Odpowiedz.

Vhanu odwrócił się i Jerusha dostrzegła jego oczy.

– Letniacy jak zwykle przeszkadzali w łowach, panie sędzio. Ostrzeżliśmy ich. Nie odnotowano żadnych ofiar. – Kłamie, pomyślała. Na bogów, kłamie.

– Sprawdź to – nakazał BZ.

– Tak, BZ – mruknął Vhanu. – Wątpię jednak, by naprawdę...

– Komendancie, zajmijcie się tym natychmiast.

Powieki Vhanu zadrgały.

– Tak jest. – Odwrócił się, nagle zderzając z Królową. Moon jęknęła gardłowo, nie ze zdumienia, lecz bólu.

– Proszę wybaczyć... Czy was uraziłem, Pani? – zapytał Vhanu z akuratną troskliwością, akuratnym zdumieniem. Położył rękę na jej ramieniu, jakby w zamiarze podparcia. Jerusha dostrzegła, jak Moon krzywi się bezwiednie. – Jesteście ranna?

Moon odsunęła się od jego ręki.

– Nadwerężyłam ramię, dźwigając skrzynie, komendancie Vhanu.

– Dźwigając skrzynie? – powtórzył z przesadnym zdumieniem.

– Lubię niekiedy pracować razem z moimi rodakami. Robię to, gdy tylko mogę, panie komendancie, by nie zapomnieć, kim jestem i skąd się wzięłam. I wiedzieć, jakie są ich prawdziwe troski. – Dotknęła na krótko ramienia zdrową ręką. – Może i pan powinien kiedyś spróbować.

Napiął wargi.

– Jak dla mnie wydaje się to zbyt niebezpieczne. – Odwrócił się bez pożegnania i wyszedł z pokoju.

Moon patrzyła za nim, potem podeszła cicho do drzwi, by je zamknąć. Wróciła do łóżka i ostrożnie na nim usiadła, zdrową ręką z nieskończoną delikatnością dotknęła twarzy BZ, włosów. Podniósł niepewnie swą dłoń, by przykryć jej, gdy pochyliła się, całując mu skronie i mruczac coś niesłyszalnego dla Jerushy.

Moon wyprostowała się wreszcie, niezgrabnym ruchem odsunęła pelerynę, kryjąc nadal pod nią zranioną rękę.

– Teraz już wiesz – powiedziała, patrząc na Jerushę. PalaThion kiwnęła głową, na obu twarzach dostrzegła to samo światło, ten sam mrok. Powoli wstała, patrząc na nich z dziwną tęsknotą.

– I teraz zapomniałam – powiedziała z przelotnym uśmiechem. – Odpoczywajcie, przyjaciele. – Pokręciła głową, odwróciła od nich, gdy zaczęli się uśmiechać. Nie oglądając się za siebie, przeszła pokój i zniknęła za drzwiami.

TIAMAT: Krwawnik

Ariele Dawntreader zatrzymała się na korytarzu szpitala, spojrzała w stronę drzwi do sali, przed którą stali na straży umundurowani pozaziemcy, gniew pchał ją naprzód, powstrzymywały wątpliwości. W dowództwie Policji powiedzieli jej, że Jerushę PalaThion znajdzie tutaj, u Głównego Sędziego, który o mało co nie zginął zamordowany. Jakaś część umysłu próbowała jej powiedzieć, że powinna żałować, iż Capelli Goodventure sienie udało. Owa myśl wywołała u niej mdłości. Z poczuciem winy wypchnęła ją ze świadomości, jakby stojący dalej strażnicy mogli zaglądać jej do głowy. Główny Sędzia przeżył, niech więc wysłucha, co ma do powiedzenia Jerushy PalaThion. Zaczęła iść, zauważyła, jak policjanci zwracają jednocześnie głowy, obserwując, jak nadchodzi. Ich czujność osłabła lekko, gdy ją poznali.

– Chcę porozmawiać z Jerushą PalaThion – powiedziała. Jeden ze strażników mruknął coś ledwo słyszalnego, jakby mówił do siebie. Zawahał się przez chwilę i skinął dziewczynie głową.

– Może pani wejść.

Minęła ich, usiłowała wkroczeniem do sali wywołać wrażenie, iż doskonale wie, co ma robić dalej.

Jerushą oczekiwała jej, stojąc na środku pokoju w obcym szaroniebieskim mundurze, który Ariele wreszcie zaczęła uważać za normalny element jej wyglądu. Za nią na łóżku szpitalnym siedział Główny Sędzia. O ile pamiętała, nigdy przedtem nie widziała go bez munduru.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę, miała odczucie, że po raz pierwszy zobaczyła jego twarz, że to człowiek, a nie wyniosły, służbisty Kharemoughi. Patrząc mu w oczy, pomyślała nagle o bracie; wyobraziła sobie twarz dużo młodszego mężczyzny, szaleńczo zakochanego w jej matce, gotowego stracić całą swą karierę, a nawet życie, byleby jej pomóc. Przypomniała sobie spojrzenie, jakim obdarzył ją kiedyś podczas spotkania na Ulicy, jak mu odpowiedziała.

– Ariele – w głosie Jerushy było jednocześnie zdumienie i ostrożność. – Skąd ty tutaj?

– Przyszłam... – Urwała. – Przyszłam złożyć Głównemu Sędziemu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia – powiedziała, opuszczając wzrok.

– Dziękuję, Ariele Dawntreader – odparł Gundhalinu. – Powiedz, proszę, matce, że czuję się dobrze...

– Matka mnie tu nie przysłała, panie sędzio – powiedziała ostro. – Minął tydzień, jak ostatnio z nią rozmawiałam. Kilka miesięcy temu wyprowadziłam się z pałacu.

– Wobec tego dziękuję, żeś w ogóle przyszła. – Uśmiechnął się niepewnie.

– Właściwie – przesunęła dłońmi po jedwabnych rękawach koszuli – właściwie przyszłam tu, by porozmawiać o czymś z... z ciocią Jerushą. Ale ma to coś wspólnego z panem, sędzio. Z pańskimi ludźmi. I... z tym, co pana spotkało. – Spojrzała na niego, próbując odczytać reakcję. – Czy wini pan Letniaków za wszystko, co się stało? – zapytała śmiało. – I... wierzy w to, co według Capelli Goodventure zrobili pańscy łowcy?

– Nie, nie winie twoich rodaków – ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że mu wierzy. – I nie. Nie wierzę w jej słowa.

– Ariele – powiedziała Jerushą – musiałaś słyszeć plotki. Nie ma żadnych dowodów.

Ariele zamknęła usta, powstrzymując czekającą na końcu języka gniewną odpowiedź.

– Capella Goodventure mówiła prawdę o statkach Letniaków. Widziałam to. – Dwa dni czekała na przesłuchanie, na wezwanie przez Sinych, które według Reede'a miało na pewno nadejść. Nie nastąpiło jednak, w końcu poczuła się zmuszona, by przyjść sama. I teraz wiedziała nagle dlaczego.

– Widziałaś to? – powtórzyła Jerusha. Jej twarz się zmieniła. – W jaki sposób?

Ariele znowu opuściła głowę, patrzyła na obrazy ze wspomnień przewijające się po podłodze.

– Byłam tam. Śledziłam Silky wzdłuż wybrzeża...

– Silky? – przerwała Jerusha. – Nic się jej nie stało? Ariele zaprzeczyła, dostrzegła ulgę w oczach inspektor, stała się ona kobietą, jaką znała zawsze, którą kochała kiedyś jak kogoś z rodziny. Tej właśnie kobiecie opowiedziała wszystko, przywołała każdy szczegół, lecz jednocześnie pilnowała się bardzo, żeby nie wspomnieć o Reedzie.

– Co Silky robiła tak daleko od terenu kolonii? Czy były z nią inne? – Zapytała lekko skrzywiona Jerusha.

Ariele przytaknęła.

– Na plaży były setki merów. Jakby się po coś zebrały. Jerusha pokręciła głową, zerknęła na Gundhalinu.

– Co, do diabła, je do tego skłoniło? Tyle czasu starałam się im wraz z Miroe wykazać, że powinny trzymać się z dala od ludzi. Czy wszystko to poszło na marne?

– Być może przybyły na rodzaj Święta...

Jerusha spojrzała na nią, Ariele widziała, jak przez chwilę próbuje odrzucić ten pomysł. Potem twarz inspektor zmieniła się, znowu spojrzała na Gundhalinu.

– Co o tym sądzisz, BZ? Czy mamy dane, by coś w tym rodzaju zdarzyło się przedtem?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli dzieje się tak tylko podczas Lata, to mogło się coś zachować jedynie w tradycjach miejscowych.

– Może i tak... – mruknęła Jerusha. – Może to właśnie jest Świętem.

– A więc przybywają do Krwawnika – powiedział Gundhalinu z taką pewnością w głosie, jakby nagle wiedział, zupełnie jak Reede, gdy chodziło o mery.

Jerusha popatrzyła na niego dziwnie, ale o nic nie spytała.

– Na bogów, BZ – jeśli to prawda, wpadną prosto w łapy łowców.

– Jeśli to prawda, trzeba zakończyć polowania – zacisnął w pięść leżącą na pościeli dłoń. – Konieczne są obserwacje wędrówek merów.

Jerusha kiwnęła głową, zwróciła się do Ariele.

– Widziałaś więc, jak łowcy napadli próbujących im przeszkadzać Letniaków?

Ariele potwierdziła ruchem głowy.

– Widzieliśmy, jak staranowali dwa statki.

– Widzieliśmy? – zapytała Jerusha.

– Ja i Silky. Byłam z Silky. – Opuściła oczy, wyzwała się w duchu, lecz Jerusha nie naciskała dalej.

– Czy widziałaś, by ktoś wpadł do morza? Pokręciła głową.

– Byłam za daleko. Ale rozmyślnie zatopili co najmniej jedną łódź.

– Capella Goodventure twierdziła, że ktoś zginął – powiedział Gundhalinu krzywiąc się, lecz nie na Ariele. – Musiało coś się stać, skoro zapragnęła zabić mnie w zemście. Coś tu śmierdzi, Jerusho.

– Dla mnie śmierdzi to tuszowaniem.

Zaklął cicho; jego ciało szarpnęło się w zdenerwowaniu pod kocami.

– Zaczynj śledztwo. Sprawdź, co da się znaleźć, jeśli wszystkie dowody jeszcze nie zatoneły.

– Sądzisz, że Vhanu wiedział o tym? – zapytała. Spojrzał na nią.

– Nie. Oczywiście, że nie. – Pochylił się do przodu, utrzymywał siedzącą postawę dzięki trzymaniu się za kolana. – Ariele, powiedziałaś, że na plaży były tysiące merów... ale zgodnie z

przekazanymi mi meldunkami, wyniki łowów były nie najlepsze. Jak merom udało się uciec? Czy je ostrzegłaś?

Zesztywniała, niepewnie spojrzała na Jerushę, która kiwnęła głową. Ostrożnie powiedziała im prawdę, choć niecałą.

– Do mnie też strzelali – do śmigłowca matki. Musiałam odlecieć, nim... nim wszystkie mery uciekły z plaży. – Jej twarz poczerwieniała na wspomnienie rozpaczki i wściekłości.

– Jesteś pewna, że Silky ocalała? – zapytała Jerusha ponownie, podchodząc do Ariele.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Jerusha położyła na jej ramionach ciepłe dłonie.

– Dziękuję, Ari. Silky już do mnie nie należy – tak samo jak ty nie należysz do matki – ale niech bogowie mają w swej opiece tego, kto skrzywdziłby ją czy ciebie. – Zacisnęła lekko ręce w dumnym geście, jakiego nie robiła od lat, i wypuściła dziewczynę.

Ariele uśmiechnęła się niepewnie, zapragnęła nagle powiedzieć coś więcej; wyjawić wszystko. Zamiast tego odwróciła się w stronę drzwi.

– Ariele... – zawołał Gundhalinu.

Obejrzała się niechętnie, usłuchała kruchości głosu, a nie nagłego polecenia.

– Kto był tam z tobą? – zapytał spokojnie. Skrzywiła się.

– Powiedziałam już... – Urwała, widząc wyraz jego twarzy. Pewność. Wiedział, że mu skłamała, jakby odczytywał jej uczucia przy pomocy jakiejś pozaziemskiej maszyny. Spojrzała na Jerushę, dostrzegła w jej oczach takie samo przeświadczenie, uświadomiła sobie, że przejrzeni ją dzięki doświadczeniu, dostrzegli u niej brak wprawy. – Nie muszę panu mówić. Nie musiałam tu przychodzić. Nawet pańscy ludzie bali się panu powiedzieć, co tam robiłam, bo wiedzieli, że widziałam, co uczynili.

– Czego boi się ta druga osoba? – zapytał Gundhalinu.

– Pana – odpowiedziała. – Policji. Jest pozaziemcem. Boi się, że gdyby Policja wiedziała, że widział łowy i starał się im przeszkodzić, to by go deportowała.

– Co tam robił? Szarpnęła głową.

– Był ze mną. Pracuje dla mojej matki, bada mery. Twoja matka nie ma żadnych pozaziemców, którzy badaliby dla niej mery – powiedziała Jerusha.

Ariele poczuła, jak krzywi się jeszcze bardziej.

– A właśnie że ma. Pracuje dla niej Reede, jest znakomity. Nikt tak jak on nie zna merów...

Twarz Gundhalinu zeszywniała.

– Reede? Reede Kullervo? Spojrzała na niego.

– Tak.

– Znam go – mruknął Gundhalinu, – Jest znakomity. Ale nie pracuje dla twojej matki.

Jerusha patrzyła na sędziego.

– To ten? – zapytała cicho.

Kiwnął głową. Jego wpatrzone ciągle w Ariele oczy pociemniały od zrozumienia.

– Nie jest taki, jak myślisz, Ariele... Ale może mi zaufać. Powiedz mu to. Chcę uratować mery. Razem może się nam udać. Jeśli mi zaufa, zdołam go chronić, pomagać mu. Powiesz mu o tym?

Patrzyła na niego długo z napięciem i rozpaczliwym zmęczeniem na twarzy. W końcu kiwnęła głową.

– Powiem mu.

TIAMAT: Krwawnik

– Reede Kullervo! – Głos wołający jego nazwisko zdawał się dobiegać z wszystkich stron naraz, płynąć z ocienionych bram spokojnej o północy uliczki. W Krwawniku nigdy nie zapadały całkowite ciemności, ale nocami bywały miejsca zasnut nieobecny za dnia mrokiem.

Reede zatrzymał się, sięgnął po broń, gdy z dużej ciemności bram i zaułków wyłoniły się mniejsze czarne postacie.

– Sukinsyn... – mruknął zaskoczony Niburu, sięgając po swój pistolet, zaś Ananke obejrzał się za siebie. Nagle otoczyło ich kilku Sinych, w mgnieniu oka pojawili się w środku uliczki prowadzącej z rzadko zaludnionej dzielnicy do całkowitego pustkowia.

– Rzucić broń – nakazał głos dochodzący teraz z tyłu, Reede zobaczył, że Sini mają swoją wyciągniętą, wycelowaną w niego. Spuszczone z hełmów tarcze zmieniały ich w pozbawione twarzy, jednakowe klony. Wypuścił pistolet, powoli i ostrożnie pozbył się broni, jego ludzie zrobili to samo.

– Jeszcze nóż w bucie – polecił głos łagodnie i zrozumiał, że zostali prześwietleni. Wyrzucił nóż i podniósł ręce wysoko. – Czego ode mnie chcecie? – zapytał, czując bardziej zdumienie niż strach. Gorliwość w karaniu nie była w stylu Sinych. – Niczego nie zrobiłem. – Bogowie, nie wziął dawki; potrzebuje wody śmierci Jak długo wytrzyma, jeśli go zamkną? Nagle zaczął się bać. Zacisnął zęby.

Obok Niburu zaczął mrużyć:

– Święte ręce Edhu, święte ręce Edhu... – jakby była to litania. Ananke milczał jak kamień, przyglądał się otaczającym go osłoniętym twarzom. Przed dwiema minutami narzekali obaj, że godzinami czekają w barze Starhiker, bo szef nie pokazał się na czas. Pomyślał, że wiedzą, gdzie chcieliby być teraz. Gdzie jest teraz. Między miotem a kowadłem. – Cholera... – szepnął, powtarzał ciągle pod nosem, jak Niburu, jak ćwiczenia adhani.

– Kullervo, jesteś obcym z dala od domu – ktoś powiedział. – Inny obcy z dala od domu chce z tobą porozmawiać o dawnych czasach.

– Nie... – zaczął się odwracać. Coś musnęło mu kark niby wilgotne wargi i ogarnęła go całkowita ciemność.

Wydało mu się, że już po chwili doszedł do siebie, choć pewnie było inaczej. Usiadł powoli, ostrożnie, zobaczył, że znajduje się na zupełnie zwyczajnym tapczanie w schludnym, prosto umeblowanym salonie. Pokój nie różnił się zbytnio od jego, mógł należeć do niego. Otrząsnął się z czegoś w rodzaju innego życia, niby pies po wyjściu z wody. Spojrzał na siebie – poznał swoje ubranie, wytatuowane ramiona... zrozumiał, że sen jest jawą, poczuł, że opanował go rodzaj beznadziejnego fatalizmu.

– Witaj, Kullervoeshkrad – oznajmił znajomy głos. Reede obejrzał się zaskoczony, zobaczył BZ Gundhalinu,

Głównego Sędziego Tiamat, opierającego się o futrynę drzwi.

– Co tu robisz? – zapytał głupio.

– Mieszkam – odparł Gundhalinu. Miał na sobie parę pośpiesznie wciągniętych spodni i rozpiętą luźną szatę, odsłaniającą pierś i szerokie bandaże. Jego włosy były rozczochrane. Wyglądał jak człowiek wyrwany z łóżka; zdawało się, że to spotkanie zaskoczyło go równie mocno co Reede'a, choć wyraz jego twarzy zdradzał, iż od dawna na nie czeka.

Reede pochylił się, zacisnął dłonie na kolanach.

– Gdzie moi ludzie?

– Niburu i Ananke? – Gundhalinu uśmiechnął się lekko, jakby wspominał ich milej niż

człowieka, którego gościł. – Czekałam na ciebie – powiedział po prostu. Patrzył nadal na Reede'a i przez chwilę jego oczy się zmieniły, uśmiech stał się prawdziwy. – Cieszę się, że cię znowu widzę – mruknął, jakby sam był zdziwiony tym odkryciem. Niespodziewanie opuścił oczy.

Reede przyglądał się mu, wyraźnie przypominał sobie chwile ich rozstania nad Ognistym Jeziorem. Mimo to, w miarę napływu dalszych wspomnień, jego zdumienie stawało się coraz to szersze i bardziej niepokojące. Uniósł dłoń do ust, dotknął warg, opuścił. Opadł w wygodne objęcia zrobionego przez miejscowych tapczanu i zmusił się do odprężenia.

– Czego chcesz, Gundhalinu?

Główny Sędzia wszedł do pokoju, poruszając się jak ranny, i usiadł ciężko na drewnianym krześle. Popatrzył na odczyty stanu domu, sprawdził czas i skrzywił się, dopiero potem spojrzał na Reede'a.

– Chodzi o to, Kullervo, co tu robisz i co ty tu robisz. Usta Reede'a drgnęły; zwolnił uchwyt na kolanach.

– Moje gratulacje. Jak ci się podoba stanowisko Głównego Sędziego na Tiamat?

Gundhalinu wzruszył ramionami, pokręcił głową.

– Nie jestem nim dla przyjemności. Nie przypomina to badań naukowych. W polityce nie ma żadnych prawdziwych odpowiedzi, dlatego nigdy nie można zwyciężyć.

– To dlatego że masz sumienie. – Reede uśmiechnął się lekko. – Odrzuć je, a zaczniesz znowu zwyciężać.

Usta Gundhalinu wykrzywiły się w ironicznym naśladownictwie grymasu Reede'a. Zgarnął na piersi połę szaty, zakrywając bandaż, i ją zapiął. Nie odjął rąk, skrycie trzymając się za ranny bok.

– Gdyby życie było takie proste – mruknął. Znowu spojrzał na gościa. – Jak ci się podoba praca dla Bractwa?

Reede odwrócił wzrok.

– Tak jak zawsze.

– Zostanie zbirem Źródła nic dla ciebie nie zmieniło? Reede spojrzał na niego nagle.

– Jaakola ma złą sławę, wyróżnia się nawet wśród podobnych sobie. A świat zna tylko powierzchnię jego czynów. Sięga głębiej, prawda?

Reede skrzywił się.

– Schwytałeś mnie, bym sypał Źródło? Nie usłyszałyś niczego, czego byś sam nie wiedział.

– Wiem.

– Jestem aresztowany?

– O ile wiem, nie popełniłeś na Tiamat żadnego przestępstwa. – Gundhalinu sięgnął do stojącej na stole płytkiej misy z ceramiki, wziął owoc i odłożył z powrotem.

Reede roześmiał się drwiąco.

– To co, u licha, ode mnie chcesz?

– Przybyłeś na Tiamat, by zsyntetyzować dla Źródła wodę życia?

Reede nie odpowiedział.

– Czemu zostawiłeś mi w Sali Przeglądu zdradzającą to wskazówkę?

Reede wzruszył ramionami, nadal się krzywiąc, pokręcił głową.

– Nie wiem... Bez celu. Żeby zobaczyć, czy jesteś dość sprytny, by ją dostrzec.

– Ostrzegałeś mnie? A może prosiłeś o pomoc?

Reede w milczeniu zacisnął w pięści spoczywające na udach dłonie.

– Z tego, co widzę, to ty potrzebujesz pomocy. – Wskazał na ranę Gundhalinu, na rysujące się wyraźnie na jego twarzy zmęczenie i cierpienie. – Co jest z tobą i merami? Znam cię – nie chciałeś

wznowienia produkcji wody życia, bałeś się tego. Mimo to badałeś mery, jakbyś pragnął tego co ja. Mówiłeś też, że nie chcesz, by ktokolwiek na nie polował, a mimo to je zabijają i próbują zabić ciebie.

– Polityka – mruknął Gundhalinu.

– Miłość – mruknął Reede, pochylając się do przodu. – Plotki głoszą prawdę... To przez Królową twoja polityka nie ma najmniejszego sensu. To o niej opowiadałeś mi na Czwórcę. Że zmieniłbyś przyszłość całej tej choliernej galaktyki, byleby do niej wrócić. – Parsknął śmiechem. – Myślałem wtedy, że żartujesz.

– Chyba obaj się nawzajem nie docenialiśmy – powiedział Gundhalinu z lekką goryczą.

Reede roześmiał się znowu, z większym uczuciem.

– Możesz tak sądzić. – Zauważył, jak Gundhalinu lekko krzywi usta, jak ta mina przemienia się w coś dziwnie podobnego do żalu. Główny Sędzia odwrócił wzrok, bezustannie przebierał palcami po geometrycznych wzorach rękawa szaty. – Oby była tego warta – powiedział Reede.

Gundhalinu uśmiechnął się, spojrzał na niego i kiwnął głową. Reede poczuł, jak przed oczyma jego duszy zaczyna się rysować obraz twarzy, przed ujrzeniem której zawsze się powstrzymywał: ciemnej, promiennej, osłoniętej zmysłową tajemnicą... jej twarzy. Przestań... !

Przykro mi ze względu na twą żonę – powiedział Gundhalinu, jakby czytał myśli Reede'a, a nie tylko wyraz jego twarzy.

– Co o tym wiesz? – warknął Reede.

– Wiemy, Reede, co się stało, gdy od Mundilfoere przeszedłeś do Jaakoli; gdy ją straciłeś. – Zawahał się. – Wiemy nawet, kim naprawdę jesteś.

Reede poczuł, że się rumieni. Tworem Mundilfoere po praniu mózgu. Wariatem – Wstał.

– ... Vanamoinenem – powiedział cicho Gundhalinu. Pod Reede'em ugięły się nogi, usiadł znowu.

– Co?

– Vanamoinenem. Jesteś Vanamoinenem. Zabrało cię Bractwo. Cały czas cię szukaliśmy.

Kullervo siedział bez ruchu, coś wewnątrz niego spętało język, powstrzymywało potok pytań i sprzeciwów. Podniósł ręce do twarzy, badał jej rysy, tak mu znajome, a jednak obce. Poczuł, że się poci.

– Nazywali mnie tak – "nowy Vanamoinen" – mruknął. – Wiedzieli, wszyscy coś wiedzieli... Ale to niemożliwe. Vanamoinen nie żyje od dwóch tysięcy lat! Dłużej! Nazywam się... nazywam się Reede Kullervo... – dźgał palcami w swą twarz.

– Jesteś dwiema osobami w jednym ciele – Gundhalinu pochylił się do przodu, zmusił Reede'a, by na niego patrzył. – Oba sygnały nie są oddzielne, walczą z sobą. Bractwo zdobyło zapis fali mózgowych prawdziwego Vanamoinena, dokonany tysiące lat temu. Dzięki temu przywołali go na nowo. Jednakże przed osadzeniem jego wspomnień w twoim mózgu nie usunęli twoich. Musiało to przypominać zderzenie czołowe. Spowodowało wielkie uszkodzenia.

– Jak nakładające się hologramy – mruknął Reede. – Wypaczony mózg... – Opuścił dłonie, skupił się na tej myśli, zdołał opanować. – Jak to zrobiono? – swój głos wydał mu się teraz normalny. – Nigdy nie słyszałem, by zrobiono to komukolwiek.

Gundhalinu pokręcił głową.

– Nie wiem, jak długo przechowywano duszę Vanamoinena – twoją. A skoro ty nie wiesz, to wątpię, by i ktokolwiek inny.

– Moja dusza... – Kullervo popatrzył na swe ciało, nie protestujące na tę śmiałość. Doznał nagłego wrażenia, że przygląda się sobie z wielkiej wysokości, myśli w nim wirowały i opadały. –

Nie pamiętam... – wymamrotał – ale to możliwe... – Skrzywił się, uniósł wzrok. – Ale dlaczego?

– Sam powiedz – ponaglił go Gundhalinu łagodnie. – Dlaczego po tysiącach lat wróciłeś tu i teraz.

– Mery – odparł Reede natychmiast. Przerwał nagle, zamyślił się. – Na wszystkich – tak, myślę, że... że... jestem tu ze względu na mery. Znam je... – Spojrzał na Gundhalinu ze zdumieniem. – Ale nie chodzi o wodę życia. Nigdy nie będzie całkowicie bezbłędnie działać w ludzkim ciele, bo jest ono genetycznie niedoskonałe. – Pokręcił głową, objawienie oszałamiało go, poruszało, pobudzało. – To błąd głupców. Mery są... – Wyciągnął rękę, poruszył palcami w powietrzu; nie chwyciły niczego.

Gundhalinu patrzył na niego jak dawniej, z lekkim niedowierzaniem. Reede spojrział na sędziego, pojął, że brakowało mu tej miny, że przypomina mu ona... przypomina... Myśli mu się splątały.

– Cholera... – mruknął, wcisnął dłonie w oczy, aż błysnęły w nich gwiazdy. – Dlaczego? Bogowie... dlaczego ja?

– Też tego nie wiem – mruknął Gundhalinu. – Istnieją wskazówki, że możesz być pomyłką.

Reede prychnął spiętym, bolesnym śmiechem. Sięgnął pod koszulę, wyciągnął wisiorek i pierścionek, spięte razem.

– Będąc obcym z dala od domu, zawsze się jest w niebezpieczeństwie.

Oczy Gundhalinu wypełniły się nagłym współczuciem.

– Ale jesteś tutaj... Vanamoinenie. Zostałeś przywołany, bo potrzebowano twojej wiedzy. Jesteś tutaj, ja też, i potrzebuję twojej pomocy. I nie wierzę, by był to przypadek. Pisana nam jest wspólna praca nad... – Pochylił się do przodu, promieniując niecierpliwością i nadzieją.

– Nad czym? – zapytał Reede szorstko.

– Masz rację, woda życia nie jest w merach najważniejsza. Zapewnia im tylko przetrwanie. Zostały stworzone, by... by... wiesz, co mam na myśli. Wiesz, co chcę ci powiedzieć... Reede spojrział nań pustymi oczyma.

– Nie wiem. O czym, do diabła, mówisz? Gundhalinu zaklął cicho, w gniewie lub zdenerwowaniu.

– Cholera... Vanamoinenie! Wiesz, dlaczego to ważne. Osadziłeś tu mery. Na miłość bogów, musisz pamiętać dlaczego!

Reede poczuł, jak myśli mu się rozsypują i skaczą, niby okruchy potrzaskanego lustra wstrząsane tak długo w worku z żywego ciała, aż zaczną krwawić.

Nie wiem, o czym mówisz! Nie jestem Vanamoinenem! Jestem Reede] Nic o tym nie wiem, przestań gadać! Zostaw mnie samego! – Skoczył na nogi, ruszył do drzwi.

Zatrzymał się, gdy nagle pojawiła się przed nim inna postać, zasłoniła drogę. Przez chwilę miał wrażenie, że to stoi Ariele, jasnowłosa, otulona w męski szlafrok. Włosy były jednak inne, długie, niby biała chmura... inna była też twarz, starsza – Królowa. Spojrzał na Gundhalinu z zaskoczeniem i niespodziewanym zrozumieniem.

– Reede Kullervo... – powiedziała podchodząca Królowa, jej szata cicho zaszeleściła, gdy wyciągnęła rękę.

Patrzył na nią, nie wiedząc, co zrobić. Bezwiednie ujął jej dłoń, pochylił głowę w niezdarnym pokłonie.

– Pani – mruknął, przypominając sobie właściwą formę, i wypuścił jej rękę, jakby go parzyła. Ujrzał znowu Ariele, zastanowił się, co Królowa wie, jeśli w ogóle. Opuścił wzrok.

To pan pomógł BZ odtworzyć napęd gwiazdny, prawda? – Jej głos zdawał się go przygniatać, wysysać nagły przestach, aż odzyskał całkowity spokój. Przyglądała mu się z napięciem, które

okazywało się dziwnie kojące.

Tak – odpowiedział, przestępując z nogi na nogę. Zerknął znowu na Gundhalinu, dostrzegł, jak kiwa głową.

– Staramy się znaleźć sposób na ocalenie merów przed Hegemonią – powiedziała. – Wiemy, że są one rozumne, ale to za mało. Sądzymy, że ich pieśni zawierają – rodzaj zaszyfrowanych danych. Są one jednak niepełne; masakry tak wytrzebiły mery, że zagubiły swą przeszłość i nie wiedzą nawet, co tracą. Pieśni są... ważne, w pewien sposób żywotne dla – dla dobra całej Hegemonii. Gdybyśmy pojęli ich cel, moglibyśmy ocalić mery. Ale nie możemy... nie możemy...

Reede popatrzył na nią, dostrzegł, jak nagle opanowała ją podobna niezdolność do mowy, jaka dotknęła przedtem Gundhalinu.

– Co to znaczy dla pani? – zachmurzył się.

Pokręciła głową, jej oczy barwy agatów zamknęły się w zdenerwowaniu.

– Nie mogę panu powiedzieć – mruknęła, jakby słowa zatykały jej usta. – On nie może...

– Dosłownie – wtrącił się Gundhalinu, potarł twarz. – To chroni siebie...

Reede poczuł, jak w głębi jego umysłu coś zamigotało, zjawiała się iskierka zrozumienia mogąca rozbłysnąć płomieniem. Sięgnął po to wspomnienie; wymknęło mu się.

– Przegląd...? – szepnął z pustymi dłońmi, pustym umysłem. – Masz na myśli Przegląd?

Gundhalinu pokręcił głową, jak człowiek z obciętym językiem.

Reede wybuchnął grubym śmiechem.

– Bogowie, co za kabała! – Szarpnął rękoma. – Do licha, co dzieje się tutaj, w tej klatce? – Uderzył się mocno w bok głowy.

– Nieważne... – Królowa wyciągnęła rękę, ujęła jego ramię. – Nie musi pan rozumieć – proszę uwierzyć, że to ważne. Tyle wystarczy. Proszę o pracę z nami nad pieśniami merów; rozszyfrowaniem ich znaczenia. Może dzięki temu wszystko pan sobie przypomni...

Kullervo zamrugnął niespodziewanie, spojrzął na jej dłoń spoczywającą mu na rękawie, uniósł swoją, chwycił ją niemal konwulsyjnie.

– Reede. – Gundhalinu wstał z fotela, podszedł do nich z bólem i niemal wahaniem w oczach. – Wiem, że Źródło trzyma cię na jakiejś smyczy. Jeśli chcesz się z niej urwać, możemy ci pomóc. Każde więzy da się przeciąć. Powiedz nam tylko, czego potrzebujesz.

Dłoń Reede'a oderwała palce Królowej. Wciągnął głęboki, poszarpany oddech, poczuł zaciskającą mu się na gardle szkieletową pięść prawdy.

– Nie możesz mi pomóc, Gundhalinu. – Pokręcił głową. – Nikt nie może.

– Powiedz mi przynajmniej, w jakie kłopoty wpadłeś. – Gundhalinu wyciągnął rękę. – Znasz mnie – spojrzął w oczy Reede'a z dziwnym napięciem. – Wiesz, że możesz mi całkowicie zaufać. Potrzebuję twojej pomocy...

Reede pokręcił głową, odwrócił się.

– Nie mogę. Nie mogę ci pomóc...! To jedyny powód twego istnienia!

Reede obejrzał się, od tego ruchu zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że zaczyna wirować całe jego życie.

– Przemyślę to... zastanowię się. Muszę już iść i pomyśleć. – Niepewny skutków, niepewny siebie, ruszył do drzwi. Odwrócił się, gdy do nich dotarł. – Pani, zapytajcie męża o mery – powiedział z goryczą. – Są rzeczy, o których wam też nie powiedział... – Nie próbowali go powstrzymać, gdy wychodził.

Moon stała obok BZ, przyciągnął ją do siebie, gdy razem patrzyli na wychodzącą niepewnie z pokoju wysoką, smukłą postać Reede'a Kullervo.

– Bogowie – mruknął Gundhalinu na odgłos zatrzasniętych drzwi. – Mam nadzieję, że zrobiłem słusznie. – Zaciśnął opuszczoną wzdłuż ciała rękę.

– Czemu go nie powstrzymałeś? Spojrzał na nią z troską na twarzy.

– Moon, nie mogę go zmusić. I tak już ledwo się trzyma. Jeśli się załamie, stracimy Vanamoinena na zawsze. – Pokręcił głową. – Nie możemy tak zaryzykować. Musimy wierzyć, że wróci do nas z własnej woli.

– BZ, to tylko chłopiec – powiedziała miękko, pamiętając ciągle o tkwiącej w oczach Reede'a rozpacz, wiedzy o czymś znacznie straszniejszym niż jej najgłębsze lęki. – Tak się boi. – Objęła Gundhalinu.

– Powinien – BZ westchnął, pogładził jej włosy, pocałował usta. – Ma po temu wszelkie przyczyny, niech bogowie mu pomogą... Wracajmy do łóżka.

Kiwnęła głową, pozwoliła się poprowadzić, zwolniła, gdy wspinali się schodami.

– Czym Źródło trzyma go przy sobie? Narkotykiem? BZ zerknął na nią ze zdziwieniem.

– Tak, prawdopodobnie. Skąd wiesz?

– Pamiętam Źródło. – Trzymając się za rękę, weszli do sypialni. – Pod koniec Zimy Arienrhod kupiła od niego zarazki, płacąc wodą życia...

Skrzywił się na wspomnienie i kiwnął głową.

– To potrafi najlepiej. Nie wiem jednak, na jakim łańcuchu trzyma Reede'a. Nie może chodzić o coś zwykłego, bo Reede dostałby narkotyk gdzieś indziej. – Zsunął szatę, rozpiął spodnie i usiadł ostrożnie na skraju łóżka, by je zdjąć.

Moon pozwoliła opaść z ramion pożyczonemu szlafrokowi, gładkie ciepło sprowadzonej z daleka tkaniny przesunęło się po jej skórze niby pieszczące ręce Gundhalinu. Położyła się do łóżka, wsunęła pod kołdrę, jakby zanurzała się w morzu, jakby było to jej miejsce. Znalazł się przy niej i na chwilę zapomniała o bolesnym zmęczeniu ciała. Patrzyła, jak z jego twarzy znikają zmarszczki cierpienia i znużenia, jak gładzi palcami jej policzek, dotyka bandaży ciągle pokrywających ramię. Uśmiechnęła się, lecz zaraz przestała.

– BZ, kogo miałeś na myśli, mówiąc "my"? "Wiemy", powiedziałeś, "podejrzewamy". Użyłeś tej formy kilka razy, i nie chodziło o ciebie i mnie.

Odwrócił wzrok, jakby się nagle zasmucił czy z czymś walczył. W końcu znowu na nią spojrzął, łagodnie dotknął tatuażu sybilli na jej gardle.

– Mówiłem o Przeglądzie.

– Przeglądzie? – powtórzyła z lekkim zdumieniem. – Masz na myśli grupę snobów z Kharemough, którzy zbierają się w rodzaju "klubu", aby się skarżyć na liczne wady Tiamat?

Roześmiał się.

– Czy to dlatego nie przysłaś na otwarcie, gdy zezwoliłem Tiamatańczykom na wstęp?

Wsparła się na łokciu, włosy opadły jej na ramię.

– Miałam wtedy na głowie ważniejszą sprawę, nie mogłam tracić czasu – powiedziała zdenerwowana.

– Przegląd to coś więcej, niż się zdaje. Znany ci jest tylko powierzchnią – sięga głęboko, ma warstwy w warstwach... nawet ja nie wiem, ile ich jest.

Powstrzymała nagłą chęć śmiechu na widok jego miny, zrozumiała, że mówi poważnie.

– Nie powinienem ci tego mówić. – Zasłonił oczy. – Ale na bogów, jeśli ktoś ma prawo znać prawdę, to właśnie ty. Stawiam na to życie... – Pokręcił głową. – Prawdziwy Przegląd jest tajemną organizacją powstałą w końcu Starego Imperium. Wywodzi się od cechu kolonizacyjnego. Opowiadałem ci o człowieku zwanym Vanamoininem...

Moon słuchała w milczeniu, jak opowiadał wszystko, zaczęła rozumieć dziwną rozmowę, jaką prowadził z Reede'em, jej obraz wszechświata zmieniała tajemnica niemal równie głęboka jak ta, która łączyła ich oboje.

– Ale Przegląd nie kieruje wszystkim w Hegemonii... prawda? – zapytała wreszcie.

Pokręcił głową i parsknął śmiechem.

– Przeszkadza temu natura człowieka. Próbowali... ale często okazywało się, że w danej sytuacji wszystko i tak toczyło się po swojemu. Przegląd nawet na najwyższym poziomie może tylko wpływać na wydarzenia, nigdy nimi kierować.

– Reede Kullervo należy do Przeglądu, a Źródło...? BZ przytaknął, położył głowę na ręce.

– Istnieje odłam Przeglądu nazywający się Bractwem, którego celem przestało być najwyższe dobro, a stało się własne. Dążą tą samą drogą co my, lecz w innym kierunku. Bractwo traktuje Hegemonię jak łup. Interesują się wszystkim, co narusza istniejące status quo – narkotykami, przekupnymi politykami, wojnami – bo w razie zakłócenia równowagi czerpią zyski z zamieszania. Reede był jednym z ich sług, a teraz stał się narzędziem. Kitaro... – Urwał. – Kitaro od miesiący starała się urządzić nasze spotkanie, ale jest tak bardzo pilnowany, iż zacząłem sądzić, że już nigdy do tego nie dojdzie. – Zamilkł, jakby rozważał dziwny spadek w postaci niespodziewanej wizyty Reede'a.

– A do czego ty należysz? – zapytała Moon w końcu. Wróciła na ustępliwą powierzchnię materaca, poczuła, jak wygina się pod jej ciałem. – Skoro Reede do Bractwa.

– Do status quo. Czy należałem. – Spojrzał na skryty w półmroku sufit. – Niekiedy nazywają to Złotym Środkiem; twierdzą, że wykonują cele Przeglądu, utrzymując w Hegemonii równowagę sił – co dla nich oznacza władzę Kharemough nad tą częstką Starego Imperium. Przez jakiś czas miałem nadzieję, że to naprawdę takie proste... – Oczy mu pociemniały.

– Co tu zaszło, że zmieniłeś zdanie? – Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tylko dokończyło proces. Nic nie jest nigdy takie proste... ani dobre, ani złe. – Spojrzał na nią i rozjaśnił twarz uśmiechem żalu i ironii. – Bez ładu chaos nie miałby racji bytu... a bez chaosu nie miałby jej ładu. Potrzebują się nawzajem, karmią się sobą. Dopiero razem tworzą całość. Przegląd w swej próżności nazywa to "Wielką Grą".

– Co – lub kto – jest więc w środku... na samym szczycie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Choć doszedłem wysoko, to ciągle widzę nad sobą inne poziomy.

– Skąd więc wiesz, komu ufać?

– Nie wiem. – Uśmiechał się teraz nieśmiało. – W Wielkiej Grze to może nie mieć znaczenia. Sieć sybilli potrzebowała powrotu Vanamoinena na Tiamat. Każdy odłam stara się nim sterować, kierować – i żadnemu się nie udało. A mimo to jest tutaj... Dlatego wierzę, że nam pomoże. Dlatego wierzę, że nie możemy go do niczego zmuszać, że musi postępować zgodnie z własną wolą.

– Ale nie możesz mieć pewności – powiedziała miękko.

– Nie – mruknął, odwracając wzrok. – Nie mogę być niczego pewny.

– Gdy byłem mała, babcia uczyła mnie, że mery są dziećmi Morza, że je błogosławi i chroni. Tak samo ja... – Poczula, jak gardło ściska jej nagła rozpacz.

Wziął ją w ramiona, objął, pocałował w czoło, jakby była dzieckiem.

– A ja kiedyś wierzyłem, że dla mnie życie się już skończyło – szepnął. Zamknął oczy i pocałował jej wargi. – Bogowie, kocham cię...

Także zamknęła oczy, pozwoliła palącym jak ogień łzom wymknąć się spod powiek i spłynąć po twarzy, opaść na jego skórę. Zdumiała się, jak w środku sztormu ramiona BZ potrafią ciągle stworzyć

spokojne oko cyklonu; przekonać, że wszystko potoczy się tak jak należy...

– Zostało już mało nocy – powiedziała, ujmując w ręce jego twarz, całując powieki, czując mijające znużenie. Całowała jego usta, przesunęła dłonie na pierś, z ogromną troskliwością ominęła otulające bok bandażę, zeszła niżej, poczuła, jak ożywa pod jej dotknięciem.

– Poranek może na nas zaczekać – mruknął z westchnieniem. – Niech zaczeka.

Reede Kullervo leżał przebudzony w łóżku, wpatrywał się w klatkę mroku tworzącą jego pokój, jego świat. Nie mógł już sobie przypomnieć, od jak dawna leżał bez snu przez połowę każdej nocy, dziś jednak było to inne. Nie znał imienia tego drugiego, uwięzionego w jego mózgu – więżącego w koszmarnym, roztrzaskanym krajobrazie, mszczącego się na nim za zbrodnię, za którą trudno go było winić... Był Vanamoinenem. Wiedział, że to prawda, że słuszne są wszystkie słowa Gundhalinu, choć nie może sobie przytomnieć... Vanamoinen to wiedział.

Reede zaklął, przekręcił się na brzuch, schował twarz w poduszce. Co tu robię? Czego chcę? "To powód twego istnienia", krzyknął mu Gundhalinu. Mery. Tiamat. Ale nie woda życia. Jeśli im pomoże, wówczas zrozumie, tak powiedziała Królowa. I pragnął im pomóc, chciał zrozumieć; pragnienie płonęło w nim jak ogień...

Ale nie mogą pomóc jemu. Nie mogą mu dać wody śmierci; potrafi to tylko Źródło. Choćby nawet Gundhalinu dał mu laboratorium i wszystek sprzęt, jakiego zażądałby, nie zdążyłby z odtworzeniem wody śmierci, musi mieć stałe dostawy. Zaczynał już odczuwać skutki ominiętej dawki, zastawiona nań zasadzka sprawiła, że spóźnił się na spotkanie z TerFauwem.

Musi jakoś przekonać TerFauwa, by dał mu jeszcze jedną szansę, wymyślić rano jakieś kłamstwo... Jeśli nie otrzyma tego, czego potrzebuje, nie będzie zdolny do pracy. Musi mieć dawkę i następną, następną... Bez tego zginie i nikomu się już nie przyda. Ale po co ma żyć, skoro nic nie może? Nawet sam jest czymś niemożliwym: człowiekiem z dwoma mózgami. Może znosiłby to lepiej, gdyby uznał się za szalonego...

– Reede. – Głos przypominający zardzewiałe żelazo wypowiedział w ciemności jego imię.

Kullervo wstrzymał dech.

– Reede. Podniósł się.

– Kto tam? – Ujrzał przed sobą tylko mrok, delikatne wzory ciemnej szarości na czarnym tle, niewyraźne znajome kształty mebli własnego pokoju. Czy naprawdę jest coś w nogach łóżka, cień mroczniejszy od nocy, z niemożliwą poświatą czerwieni?

– Wiesz, kto to? – szepnął głos znacząco.

Hologram. Obraz, powtarzał sobie daremnie. Koszmar ze snu... ale nie spał. Źródło nigdy przedtem tego nie robił, nie naruszał odosobnienia pokoju, nie bezcześcił jedyne miejsce, w którym udawał przed sobą, że jest nadal wolnym człowiekiem...

– Powiedz – mruknął Źródło. – Powiedz, kim jestem.

– Panie – wymamrotał Reede, wypluwając to słowo. Przycisnął pościel do piersi, czując, jak każdy mięsień jego ciała napina się w bezsilnej wściekłości. – Czego chcesz? – Przeklinał siebie za bezradność, słyszał drzenie własnego głosu.

– Zdaje się, Reede, że miałeś dziś nocne spotkanie? Z Głównym Sędzią i Królową?

O bogowie. Reede przełknął własne serce.

– To nie był mój pomysł.

– Kiedy zamierzałeś mnie o tym zawiadomić?

– Nic się nie stało – powiedział ochryple.

– Nic – powtórzył Źródło z wielkim sarkazmem. – Wielki Wróg zagarnia cię na potajemne spotkanie i nic się nie stało. Powiedzieli ci, że naprawdę jesteś nowym Vanamoinenem. Potem

poprosili cię o zdradzenie Bractwa, pracowanie dla nich... ale nic się nie stało.

Reede wykrzywił usta.

– Wiesz, że nigdzie nie odejdę. Dokąd mógłbym pójść? Po paru dniach stałbym się gnijącym ścierwem.

– Powiedziałeś im, że nie da się stworzyć trwałej formy wody życia – łajał go Źródło. – Ale nic się nie stało.

– Skłamałem! Powiedziałem to, by się ich pozbyć. To wszystko. – Patrząc w ciemność, czuł, jak po plecach spływa mu zimny pot. Modlił się, by Źródło nie wyczuł tego, nie potrafił czytać każdej jego myśli i uczucia.

– Możesz więc kłamać i mnie.

– Nie kłamię ci! – zawołał Reede. – Co by mi to dało?

– Rzeczywiście, co? Jeśli mnie zawiedziesz, zostaniesz na pewno gnijącym ścierwem, a mózg Vanamoinena umrze wraz z tobą, obojętnie czego byś nie zrobił i czego byś nie powiedział.

Reede oblizał wargi.

– Odtworzenie wody życia wymaga czasu, mówiłem ci już. Nie chcesz żadnych pomyłek... – głos mu stwardniał – jakie robiłem poprzednio.

– Nie chcę. – Źródło prychnął ze wstrętem. – Otrzymasz dosyć czasu... Przedtem jednak Bractwo chce od ciebie jeszcze jednej rzeczy. Okazuje się, że obsesja Królowej na temat merów nie wynika tylko z fanatyzmu religijnego. Wraz z Gundhalinu wie o nich coś ważnego, coś tak skrywanego, że nikt tego nawet nie podejrzewał – łącznie ze Złotym Środkiem. Pomożesz nam dowiedzieć się, czym jest owa tajemnica.

– Jak? – zapytał Reede z gniewem. – Nie chcieli powiedzieć mi dzisiaj... odniosłem niemal wrażenie, że nie mogą mi powiedzieć... – Przerwał. – Czego chcesz ode mnie? – zapytał, skrywając nagłą iskierkę nadziei. – Mam udawać, że jestem z nimi, aż się dowiem?

Źródło roześmiał się, dławiąc nadzieje Reede'a.

– Chciałbyś, co? Nic z tego. Należysz do mnie; mózg Vanamoinena należy do Bractwa... Wiem, Kullervo, że twój romans z Ariele Dawntreader rozkwitł i mimo cierni z twojej strony przynosi słodkie owoce...

Reede zamknął oczy; dłońmi miał pościel.

– Sam tego chciałeś.

– I okazuje się, że wypełniasz me żądania z całego serca. Zamroczyło cię największe głupstwo młodości. Opowiada przyjaciołom, że umiesz sprawić, by umierała z rozkoszy. Myślę nawet, że gdybyś poprosił, zaprowadziłaby cię do matki.

Reede otworzył oczy.

– Chcesz, bym się z nią ożenił? – zapytał, nie wierząc we własne słowa.

– Nie... – ciemność syknęła. – Chcę, byś dał jej wodę śmierci. Stłumiony odgłos zdumienia uwiązł w gardle Reede'a. – Co?

– By dopełnić naszej nad nią władzy. Królowa jest jej matką... a Gundhalinu ojcem. Gdy zobaczą, co będzie się z nią działo po odstawieniu wody śmierci, podzielą się z nami swymi tajemnicami.

– A jeśli nie mogą...?

Odpowiedziało mu tylko milczenie i odgłosy ciężkiego oddychania.

– A jeśli tego nie zrobię? Tylko milczenie.

– Jaakola...?

Tylko milczenie i bicie jego własnego serca.

TIAMAT: Krwawnik

– Ariele – szepnął, niby cień pochylając się w ciemności nad jej łóżkiem, zakrywając usta wargami, budząc pocałunkiem.

Otworzyła oczy, zamrugała dziko, spróbowała go strząsnąć, dopiero po chwili obudziła się całkowicie.

– Ariele – powtórzył, gdy znieruchomiała pod nim.

– Reede? – szepnęła ze zdumieniem, bo nigdy przedtem nie odwiedził jej mieszkania, odmawiał zawsze nawet zbliżenia się do niego.

Nie odezwał się, użył ust do całowania jej twarzy, gardła, jednocześnie grzebiąc w zapięciach koszuli nocnej. W końcu szarpnął tkaninę, Ariele usłyszała, jak nie dbając o nic, drze ją niecierpliwie. Zerwał ją do końca, obnażona dziewczyna zawołała na poły w proteście, na poły w zdumieniu, ale zaraz przyciągnęła Reede'a, gdy zaczął pokrywać jej nagość pocałunkami, ściągać własny strój z szaleńczym pośpiechem i położył się na niej. Objęła go, przywitała chętnie, wciągnęła w siebie, osłoniła, gdy ją posiadał, obdarował jedyną rzeczą, którą umiał dawać, aż krzyknęła, zaskoczona rozkoszą i spełnieniem, wyzwoleniem tkwiącej w niej potrzeby.

Leżeli razem, ze spletanymi nogami, połączonymi nadal ciałami, sercami bijącymi tuż przy sobie, minęło wiele czasu, nim znowu wymówił jej imię.

– Wyjeżdżam – powiedział i przycisnął wargi do jej gorącej, lśniącej skóry, tym razem z nieskończoną delikatnością. Zaraz potem zsunął się z niej i usiadł. – Chcę, byś pojechała ze mną. – Przesunął dłonią wzdłuż jej ramienia, aż objął palce.

Usiadła także, nagle rozbudziła się całkowicie.

– Dzisiaj? – Tak.

– Dokąd jedziesz? Poza planetę?

– Nie, nigdy od tego nie ucieknę... Poza miasto. Musisz ze mną jechać.

– Dlaczego? – zapytała miękko.

– Bo zmęczyłem się życiem, a ty nie.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz. Wystarczy, że mi zaufasz. Ufasz mi, Ariele? Powoli kiwnęła głową.

Wziął ją za rękę, pociągnął.

– No to ruszamy.

Oślonięci ciemnością, lecieli śmigłowcem Królowej, kierując się wzdłuż wybrzeża na południe. Świt zastał ich nadal dążących w tym samym kierunku ponad nieskończonymi polami morza. Podczas całego lotu Ariele nie wypowiedziała więcej niż dwa słowa, tuliła się tylko do Reede'a, z głową na jego ramieniu, pogrążona w płytkiej, przerywanej drzemce. Nacisk jej ciała zaczął wywoływać ból jego coraz bardziej przeczulonych zakończeń nerwów. Podczas długich cichych godzin umysł z wielokrotnością każdy objaw ciągłego rozpadu, świadomość rosnącej niewygodności stawała się coraz to trudniejsza do zniesienia; ale mimo to nie budził Ariele.

Noc zdawała się przeciągać w nieskończoność, lecz jutrzienka nowego dnia i tak zbyt szybko wyjrzała poza jego ramieniem, wskazała, że kończy się czas ich wspólnego, skradzionego spokoju.

Ariele poruszyła się wreszcie, ostre światło wschodzącego słońca wpadło przez boczne okienko, padło na jej twarz. Usiadła znowu, potarła oczy i popatrzyła na odległe nieznane wybrzeże. Odsuwali się teraz od niego, lecieli w stronę otwartego morza.

– Gdzie jesteśmy?

– Daleko. Polecimy wzdłuż brzegu, dopóki będzie on zamieszkały. Wysadzę cię przy ostatniej

wiosce Letniaków, jaką znajduję, a potem zepsuję śmigłowiec.

Spojrzała na niego, jakby oszalała.

– Dlaczego, Reede? Po co tu przylecieliśmy? Czy chodzi o mery?

– Nie – odparł ponuro. – Nie bezpośrednio. Chcę, żebyś mnie wysłuchała, uważnie wysłuchała. Nie pracuję dla twojej matki.

– Wiem – powiedziała łagodnie. Spojrzał na nią z lekkim grymasem.

– Nie przerywaj. Pracuję dla kogoś nazywanego Źródłem. Prowadzę dla niego badania, sprowadził mnie tutaj, bym zajął się merami i znalazł sposób zapewnienia mu dostaw wody życia. – Patrzyła na niego w milczeniu. – Jestem... jego własnością. – Wyciągnął dłoń, pokazał bliznę. Zauważył, że czasami na nią patrzyła, lecz nigdy nie odważyła się zapytać, co oznacza. – Mówi mi, co mam robić, i to robię, bo inaczej nie daje mi narkotyków. Bez dawki umrę.

– Czy... cię uzależnił?

– Nie – przyznał z trudem. – Sam się w to wpędziłem. Ale kontroluje dostawy... – dodał, nim zdążyła zadać następne pytanie. – Zabrałem cię tutaj, bo chciał, żebym podał narkotyk tobie.

Wstrzymała dech; dostrzegł w jej oczach nagły strach.

– Zabrałem cię tutaj, bo tego nie zrobię! – powiedział gniewnie. – Kazał mi zbliżyć się do ciebie; kazał mi spać z tobą, zmusił mnie – zmuszał do robienia wszystkiego. Ale już dosyć. Na Przewoźnika... – Zaciśnął ręce na sterach.

– Wszystkiego...? – powtórzyła Ariele ciekawym drżącym głosem, jej policzki pokrył rumieniec upokorzenia. – Nie wierzę. Nie do wszystkiego. – Dotknęła swych ust, piersi. – Nie do ostatniej nocy... – Spojrzała na niego palącym wzrokiem.

Reede patrzył ze skupieniem na nieskończone, błękitnozielone morze. W końcu znalazł to, czego szukał. Wskazał przed siebie.

– Tam. Wyspy Najdalsze. Z tego co wiem, dalej na południe nikt już nie mieszka. Na jednej z wysepek archipelagu znajduje się wioska Letniaków. Jest tak oddalona, że niewiele co słyszeli o Krwawniku. Nadaje się do zamieszkania przez cały cykl klimatyczny Tiamat, tak iż nigdy nie jest opuszczana. Możesz im powiedzieć, że sztorm porwał twą łódź i wyrzucił cię na plażę.

– Samą? – zapytała słabo. Odpowiedział milczeniem. Oderwała wzrok od morza, od odległych, purpurowo-szarych plamek brudzących jego nieskałaną powierzchnię, spojrzała w oczy Reede'a. Natychmiast znowu opuściła spojrzenie, zaciśnęła złożone na podolku dłonie.

– A co dalej? Mam mieszkać z nimi w kamiennej chacie jak, jak – dashtul

– Dawntreaderzy żyli tak przez pokolenia – rzucił. – Nawet Arienrhod mieszkała tak przed Zmianą. Masz to we krwi; szybko się przyzwyczaisz.

– Jak długo będę musiała tam zostać? Odetchnął głęboko.

– Może do końca życia. Obróciła się w fotelu.

– Na zawsze?

– Jeśli zrozumiesz, co jest dla ciebie dobre. Źródło chce cię wykorzystać przeciwko matce i Gundhalinu. Uważa, że mają coś, czego pragnie, i zdobędzie to poprzez ciebie. Uzależni cię od wody śmierci, a potem zaczeka, aż zacznie działać. Wyobraża sobie, że gdy Królowa i Gundhalinu ujrzą cię umierającą w męczarniach, oddadzą mu wszystko. Ale nie będą mogli, choćby nawet chcieli, a ja nie potrafię go powstrzymać. Nikt nie potrafi. Poza tobą. Możesz zniknąć, całkowicie.

– Wszystko to... bo cię Kocham? – Zapytała łamiącym się głosem. – To dlatego ma mnie to spotkać? Mam nigdy już nie zobaczyć Krwawnika? Nigdy nie zobaczyć rodziny ani... – Napęła go swym niepokojem zdrady, bezradną wściekłością, aż w końcu nie był w stanie oddychać. Patrząc na nią, zrozumiał, ile straciła w ciągu kilku chwil, co jej zrobił paroma słowami. Przycisnęła ręce do

twarzy, palce jej zbielały. Oczy nabrzmiały łzami gniewu lub nienawiści... wstydu i nie niknącego pragnienia, z jakim mruknęła: – ...ani ciebie?

Wciągnął długi, szarpany wdech, poczuł tę samą rozpaczliwą złość na nieugięty los, wypełniającą go tak samo jak powietrze płuca. Nigdy tego nie chciał, nie chciał jej – została w niego wmuszona, wbrew jego woli, został użyty jako narzędzie tortur przez człowieka, który z dręczenia go uczynił prawdziwą sztukę. Powinien ją nienawidzić. A jednak... Odwrócił od niej wzrok, nim zdołała dostrzec w jego oczach ten sam nienasycony głód.

Zaczął szaleńczo sprawdzać dane i urządzenia śmigłowca, wstępnie zaprogramowane rzeczy nie wymagające regulacji; próbował zapomnieć o bliskości dziewczyny. Zdradzały go jednak zmysły, wyczuwające jej obecność każdą komórką ciała, jakby każdy oddech i ruch Ariele był jego... aż w końcu sam nie wiedział, jak to się stało, że wbrew sobie dotykał ją, całował, tulił. Jęknął cicho, gdy rozpadające się synapsy nerwowe uządliły go niby przewody pod napięciem, ból z ogromną perwersją zwielokrotniał pożądanie. Przycisnął ją bardziej, chłonał każde doznanie, jakby miało być ostatnim.

– Czy... czy wracasz do niego? – mruknęła, całując mu gardło miękkimi, ciepłymi wargami. Do Źródła.

– Nie – pokręcił głową. – Spadnę razem ze śmigłowcem. To wszystko. Niech myśli, że zginęliśmy razem. – Wezbrała w nim fala przerażenia na myśl o zamykających się nad głową zimnych wodach morza, wypełniających płuca, zabierających w końcu. Zmusił się do przypomnienia sobie, że wszystko potoczy się szybko, zakończy w ciągu kilku sekund, jeśli wyłączy urządzenia ratownicze i po prostu uderzy w ocean. Zmusił się do pomyślenia o innych możliwościach.

Poczuł, jak sztywnieje obok.

– W takim razie weź mnie z sobą – mruknęła. – Pozwól spać z tobą. Nie chcę żyć bez ciebie.

Odsunął ją od siebie, zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny, aż skrzywiła się z bólu.

– Nie. Wtedy wygra to pieprzone chore ścierwo! Musisz żyć! – Potrząsnął nią. – Jeśli mnie kochasz, musisz to zrobić.

– Czy nie możemy żyć razem? Pomoże nam Główny Sędzia. Gundhalinu powiedział, że cię zna i może pomóc. Nie jest jeszcze za późno.

– Dla mnie jest! Nie może mi dać tego, czego potrzebuję. I nie może ochronić ciebie. Ariele, muszę umrzeć, do cholery, nie słuchałaś? Inaczej przyczołgam się do Źródła na brzuchu, błagając jak pies, by mi to dał. A nie robi tego, jeśli wcześniej nie dam tobie.

– Ale jeśli to tylko narkotyki...

Parsknął ostrym śmiechem, tak mógłby zareagować wbijany na pal człowiek w chwili dotykania skóry. Odwrócił się od niej z zimnym wstrętem.

– Wioska Letniaków znajduje się na następnej wysepce łańcucha. Wsiądziesz tam.

– Nie... – Poruszyła się nagle, niespodziewanie, sięgnęła poza Reede'a. Chwyciła za przyrządy, walcząc z nim i z nimi, wyłączyła układy i przestawiła na sterowanie ręczne. Pojazd podskoczył i opadł, gdy Kullervo mocno odepchnął ją na drzwi. Spróbował odzyskać władzę nad śmigłowcem, ale dziewczyna skoczyła na niego, wcisnęła ciało przed tablicę. Poczuł, jak pojazd runął gwałtownie. – Ariele! – krzyknął i w szaleńczej panice wymierzył jej policzek. Opadła na fotel, została tam przyciskana przyspieszeniem, spadali jak kamień ku błękitnozielonej wodzie, nagle niczego więcej nie było widać.

Reede wołał szaleńcze polecenia systemowi kierowniczemu pojazdu, z całej siły szarpał za stery ręczne, próbował wyjść z groźnego łuku. Nie był doświadczonym pilotem, zawsze byli inni, którzy to za niego robili. Teraz, gdy było już za późno, przeklinał się za to.

Nagle zobaczył linię bladej ochry, oczy wypełniła rdzawa czerwień i zielonkawa szarość; zdążył jeszcze zrozumieć, że zbliżają się do lądu.

Śmigłowiec uderzył w ziemię z ogromnym zgrzytem, potoczył się jak rzucony ciężki talerz po najeżonej gładzi powierzchni płaskowyzu. Zatrzymał się z trzaskiem w kępie drzewiastych paproci. Opadł na nich zielony deszcz, zasłał liśćmi okna.

Reede dyszał, wisząc w pasach bezpieczeństwa fotela. Ariele poruszyła się obok, potrząsnęła głową, jęknęła cicho w proteście. Umilkła nagle, gdy zwróciła ku nim twarz, przycisnęła dłoń do policzka. Między jej palcami zobaczył ślad własnej dłoni, odciskający się na jasnej skórze jak czerwone piętno. – Czemu nie pozwoliłeś się nam roztrzaskać? – zawołała gorączkowo łamiącym się głosem.

Dygoczące, tętniące bólem ciało oparł o mocne oparcie fotela, przyglądał się jej kącikiem oka. Czuł, jak zbyt łatwo pojawiają się siniaki, spływająca z jednego nozdrza ostrzegawczą strużkę krwi, opadającą na wargę. Wytarł nos rękawem.

– Nie chciałeś zginąć – powiedziała – nie bardziej niż ja! Możemy wezwać pomoc przez radio.

– Wsiadaj – nakazał, a gdy się nie ruszyła, krzyknął: – Powiedziałem, wsiadaj! – Zaczekał, aż odepnie pasy bezpieczeństwa i go posłucha, dopiero potem sam się wygramolił. Nie ufając dziewczynie, gdy tylko znaleźli się po przeciwnych stronach pojazdu, dał polecenie, by zamknęły się drzwi. Popatrzył na śmigłowiec, zobaczył strzaskane podwozie, pozostawione na ziemi ślady ze zgubionych części. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że zniszczona krata odpychająca nigdy już ich nie uniesie.

Odwrócił się, rozejrzał po okolicy. Nie byli na wyspie, do której się kierował; widział ją w oddali, wyrastającą z morza. Obracając się mógł dostrzec cały skrawek lądu, na jakim wylądowali, żalostną, bezimienną skałę, ledwo wystającą ponad wodę. Rozbitkowie. Poczuł, jak mdłości skręcają mu żołądek, łykając gorączkowo, ledwo zdołał powstrzymać wymioty. Pojazd przynajmniej znalazł się pod drzewami. Mała kępa gigantycznych paproci była tu jedyną kryjówką; wraz z nimi dwojgiem stanowiły prawdopodobnie jedyne żywe istoty na wysepce, nie licząc rzadko przylatujących ptaków. Gaj zasłonił śmigłowiec przed poszukiwaniami z powietrza, w każdym razie przed prowadzonymi jedynie wzrokowo. Da to im odrobinę więcej czasu.

Zwrócił się w stronę Ariele.

– Wioska jest na następnej wyspie, większej od tej. – Wskazał ręką. – Jesteś dobrą pływaczką. Znajdź coś unoszącego się na wodzie; za kilka godzin się tam znajdziesz.

Patrzyła na niego długo.

– Nie.

– Niech cię, Ariele...! – Podszedł do niej krok, zacisnął dłonie w pięści.

– Nie zostawię cię. – Objęła wystającą kopułę śmigłowca, jakby była jej kochankiem. – Nie zostawię cię. – Płakała cicho.

Zatrzymał się, patrząc na nią; widział, jak łka nad nim, nad nimi. Czuł, jakby zaroiliły się w nim niewidzialne robaki, aż chciał krzyczeć.

– No dobrze – powiedział gorzko – zostań, jeśli chcesz. Myślisz, że pocę się tak tylko od potu? Zostań, a zobaczysz, co się stanie. Zobaczysz, co cię spotka, jeśli kiedykolwiek wrócisz do Krwawnika. Zostań i niech cię cholera! – Zaciśniętą dłonią uderzył w drzwiczki pojazdu, wywołał w ciele fale bólu. Zaklął ponownie, mruganiem przywrócił jasność widzenia. – Odsuń się od śmigłowca! – Machnął na nią. – Odsuń się ode mnie – powiedział z wściekłością, gdy spróbowała podejść do niego. – Zostań tam, pod drzewami, gdzie będę cię widział.

Cofała się niepewnie, aż znalazła w odległości, która go zadowoliła. Przysiadła pod jedną z

paproci drzewiastych, objęła ramionami kolana, skuliła. Patrzyła na niego, jej oczy lśniły w cieniu jak ciemne sadzawki.

Osunął się po boku śmigłowca, usiadł na twardej, pokrytej piaskiem ziemi, zasłonił plecami dostęp do drzwiczek. Wyciągnął zza pasa ogłuszacz i z przesadną ostrożnością położył obok. Wiedział, o czym myśli; czeka na sposobność dostania się do radia pojazdu. Nie wierzy mu. Widział to w jej oczach, łudziła się ciągle, że mają jakieś wyjście. Miał nadzieję, że zdołają powstrzymać dostatecznie długo, by zaczęła rozumieć, a wtedy zostawi go tutaj i nigdy nie wróci.

Oparł się o zakrzywiony bok śmigłowca. Wszystko, z czym stykało się jego ciało, przyprawiało o męki, jakby było nabite gwoździami, zbyt był jednak zmęczony, by dłużej trzymać głowę wyprostowaną. Metal nagrzewał się od słońca przebijającego się przez zniszczone listowie. Promienie rozpałały także skórę i rdzawoczerwoną ziemię, na której siedział. Bogowie, już jest gorąco. Nie tak jak na Ondinee, choć pewnie będzie, nim nastąpi połowa Pełni Lata, było jednak upalnie w porównaniu z północnym wybrzeżem, na którym leżał Krwawnik. Pozwolił ciału sycić się ciepłem Bliźniąt, choć paliło go, jakby był żukiem pod szkłem powiększającym. Żyły zdawała mu się zamiast krwi wypełniać lodowata woda albo kwas czy ścieki.

Mijały godziny. Blaski i cienie przesuwwały się powoli przez cichą kępę. Ariele siedziała nieruchomo, on też. Pojawiające się sporadycznie przed jego oczyma ptaki wywoływały mruganie, szelest paproci mieszał się z szumem morza. Cichy, bezustanny szept stawał się w jego słuchających uszach coraz głośniejszy; jakby morze zbliżało się, zamykało wokół niego, czekającego bezradnie, pragnęło zatopić...

Z krzykiem skoczył na nogi, gdy woda uderzyła go w twarz – uprzytomnił sobie, że stoi w deszczu, patrzy w niebo błękitnoczarne jak siniak, przesuwające się nad głową chmury przelotnego szkwału. Krople bębniły w niego jak perły, twarde i gładkie, topiły się od gorączki, mieszały się z potem, zalewały go. Gapił się na deszcz, aż roztopił sen o morzu; poczuł, jak nogi załamują się pod nim nagle, rzeczywistość ściągnęła go na ziemię.

Osunął się po śliskich od opadu drzwiczekach śmigłowca, usiadł znowu w czerwonym błocie. Muł przecisnął się między palcami, był kojąco ciepłyzimny. Popatrzył na swoje ręce, zobaczył, że są spuchnięte i różowe; wydawały się czyjeś inne, nie jego. Podniósł wzrok, ujrzał Ariele nadal skuloną żałośnie pod niewystarczającą osłoną drzewiastej paproci. Zauważywszy, że na nią patrzy, zawołała go po imieniu.

Nie odpowiedział. Pozwolił głowie opaść do tyłu, aż popatrzył w niebo, deszcz wpadał w spieczone usta. Niebo płakało nad jego twarzą, czekał, aż minie ta rozpacz.

Deszczowa chmura zniknęła równie szybko, co się pojawiła, odegnał ją odświeżający wiatr. Wynurzyły się zza niej Bliźnięta, tkwiły na niebie w połowie drogi ku zachodowi, rozpałały obłoki tęczami i odblaskami, rozdwały się, lśniły, malowały firmament akwarelowymi obrazami. Patrzył, jak zmieniają się, nikną i przetwarzają, podobnie jak tracił i odzyskiwał na nowo świadomość dręczonego bólem ciała; przyglądał się, przepelniony lękiem i żalem. Gdzieś, w miejscu zagubionym w nieskończonych przestworach czasu i przestrzeni, widział gwiazdy na nocnym niebie przypominającym poplamioną szybę... We wszystkich swych wspomnieniach nie znalazł niczego, co uderzyłoby go równie straszliwym pięknem. Nigdy przedtem nie zaznał takiej chwili. Zastanawiał się, czy dlatego, że po prostu nigdy nie chciało mu się zwracać uwagi na otaczające piękno; czy też zaciskająca się dłoń śmierci pozwalała mu patrzeć wyraźniej.

O zachodzie słońca Ariele wstała wreszcie i podeszła do niego. Chwycił ogłuszacz w niezdarne ręce, wycelował w nią.

Patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, twarz miała tak wypraną z wszelkich uczuć, że aż

całkowicie przezroczystą. Wydała mu się szklaną, czekającą na roztrzaskanie, ale powiedziała tylko:

– Jestem głodna.

– Nie mamy jedzenia.

– Z tyłu śmigłowca są żelazne zapasy.

– Dobrze... weź je – wymamrotał. – Trzymaj się z dala od radia. – Kiwnęła głową, poczerwieniała. Powoli, z męką, odsunął się na bok, umożliwił wejście do pojazdu; stawy opierały się ruchom jak przerdzewiałe zawiasy. Patrzył, jak znalazła i wzięła jedzenie, a wtedy wrócił na poprzednie miejsce.

Ariele przykucnęła niedaleko, pilnowała się, by każdy jej ruch był wyraźny i jasny. Zaproponowała mu żywność – żelazne racje w samopodgrzewających się konserwach. Od zapachu skręciło mu żołądek. Pokręcił głową. Podała wodę. Wypił ją chciwie, miał wrażenie, że jest w stanie wypić całe morze i nadal czuć pragnienie. Wyciągnął kubek, by znowu go dopełniła; nagle gwałtownie zwymiotował, pokrył ubranie śmierdzącymi resztkami ostatniego prawdziwego posiłku.

Podeszła, by mu pomóc. Rzucił w nią kubkiem, klnąc i plując. Skoczyła na nogi, złapała konserwy, puściła; zostawiając za sobą ślady, wróciła do miejsca pod drzewami.

Reede siedział we własnych wymiocinach, nie mając siły się przesunąć, ich smród wywołał następne mdłości, szarpał żołądkiem, aż nie miał co z siebie wyrzucać. Siedział dalej, mokry, cuchnący i wyczerpany, patrzył na dziewczynę, póki ciemności się nie pogłębiły. Nie jadła na jego oczach.

W końcu nie potrafił już wypatrzyć jej postaci w cieniu pod drzewami. Raz odniósł wrażenie, że słyszy płacz, ale nie miał pewności. Nie słyszał, żeby się ruszała, dobiegał go tylko szum morza, szelest drzew, charczenie w głębi piersi, zdające się nasilać z każdym oddechem. Nie wiedział, czy śpi, czy nadal tam siedzi, równie co on bezsenna, równie co on samotna, równie co on przestraszona. Chciał ją zawołać, chciał, by przyszła tutaj, pocieszyła go, trzymała w ramionach podczas ostatniej nocy życia.

Rozluźniły się jego jelita, wiedział, że zerznie się w spodnie, nie miał możliwości zapobieżenia temu. Nie zawołał jej. Powiedział sobie, że dobrze, że jest noc, ukryje przed nią to, co się stało... przed nim. Bogowie obojgu zabrali wzrok na te kilka godzin. Niedługo nadejdzie poranek, a wtedy mu uwierzy. Wtedy zrozumie.

Mięśnie jego nóg opanował kurcz. Zawołał wbrew woli i przygryzając rękaw, wyprostował je po kawaleczku. Nie wiedział już, jakie jest powietrze, zimne czy ciepłe; ciało paliła mu gorączka, wstrząsały nim dreszcze. Przez drzewa widział pasmo nocnego nieba, jarzyło się jak węgielkami światłem niezliczonych słońc, podobnie niezliczone atomy jego ciała płonęły ogniem samoofiary. Patrzył na wstający nowy księżyc, wielki i ciemny na tle gwiazd, przypominał dziurę w nocy. Czarną dziurę, osobliwość istniejącą w nim w miejsce umysłu, pochłaniającą wszelkie znaczenie, nigdy nie zdradzającą mu swych tajemnic, nawet teraz...

Zamknął oczy, powieki jak piasek drapały rogówki, wywołały wypływ łez, słonych niby morze. Poprzez szum własnej krwi w uszach dobiegł go głos oceanu. Wydawało mu się, że rozróżnia w nim wołania merów, choć były teraz daleko stąd, wędrowały na północ ku swemu celowi, którego już nigdy nie pozna... albo ku przeznaczeniu, które uciszy je na zawsze.

Poczuł, jak traci świadomość, pozwolił na to; wypłynęła z falą, oddaliła się od jego cierpienia. Ariele opowiadała mu, jak pływała z merami... zaczął roić, że jest z nimi, jednym z nich – wplata swój głos w ich święte pieśni, ulega niemal mistycznemu popędowi, który pcha ich do wędrówki przez morza, dążenia na północ, do Krwawnika, do duszy oceanu. Widział teraz jej obraz, majaczyła przed nim w zielonkawych cieniach, błękitnych blaskach eteru świata; czuł, że wdycha ją i wydycha,

poddźwiękowy szum odgłosów nocy wzywał go poprzez wrota śmierci, lśniące niby błyskające zęby Posłańca, gotowe zerwać ciało z kości, zgnieść piszczele na piasek.

Mimo to w miarę ich zbliżania głosy milkły. Wiedział, że tak będzie – ustanie wszelki ruch, szczęki rozewrą się szeroko, wpuszczą mery ofiarowujące swe pieśni odmłodzenia, otrzymujące w zamian błogosławieństwo następnego życia spędzonego w pokoju. Jest tak, jak miało być zawsze...

Cienie ściemniły akwarelowe barwy świata rojeń. Z wysokości spadły nagle postacie, obce, choć o znanych kształtach, rozstawiły między sobą sieć, chwyciły jego ziomków, ciągnęły w dół, by tam utonęli i zginęli, potem wywlekały na pokład czy brzeg, gdzie podcinały im lśniące gardła, zbierały krew, przetwarzały ją w drogocenną plugawość; niszczyły wraz z nimi wszystkie tajemnice...

Jestem przecież człowiekiem, zawołał, gdy sieć otoczyła go niby chmura. Nie merem – człowiekiem! Zapomniał o tym, zapomniał, że nie jest taki jak one, że morze to śmierć, czekająca, by go pochłonąć; zapomniał o strachu. Nie nosił skafandra, maski, aparatu tlenowego pozwalającego oddychać. Jest nagim topielcem, żywym trupem, patrzącym, jak podcinają mu gardło, jak tonie ponownie we własnej krwi.

Reede obudził się ze zdławionym jękiem, krwią wypełniającą mu nos i usta, sączącą się na twarz z popękanych żyłek głowy. Pochylił się naprzód, kaszląc i plując, walcząc kurczowo o oddech. Wreszcie krwawienie ustało. Przewrócił się na bok, nie miał siły, by znowu się podnieść. Leżał nieruchomo, czuł sztywnienie i rozluźnianie się mięśni, zmuszające go powoli do skulenia się w pozycji płodu; czuł, jak wysiadają kolejne narządy ciała, podciągając o kolejny karb koło tortur. Zapadał się i budził z majaczeń – widział obrazy zapierające dech pięknnością, skrajnymi uczuciami, zmieniające się zawsze jak jego ciało w koszmary męki i rozpadu. Mimo to był za nie wdzięczny; pozwalały na ucieczkę od rzeczywistości, świadomości tego, co dzieje się z nim teraz.

Świt przegnał ociągającą się noc, przesywając kępę włóczniami ognia; wbijał mu w ciało palące igły, wyważył powieki, szukał oznak życia. Reede jęknął, spojrział w twarz nowego dnia oczyma zapuchłymi w szpary. Nie zamykał ich, zdumiony widokiem Ariele, leżącej obok niego na ziemi, śpiącej. Zastanowił się, jak dawno tu jest. Gdy zrozumiał, że tonie sen, na chwilę wypełniła go dziwna euforia i spokój.

Pistolet. Gdzie pistolet? Podniósł się ślepy strach, zmusił do ruchu sparaliżowane skurczem mięśnie, po zwierzęcemu zaskowyczał z bólu. Oglusacz był tam, gdzie go rzucił; leżał na nim. Sięgnął po broń – zobaczył swą dłoń, poczerniałą i napuchniętą, drżącą u wylotu rękawa niby kawał przypalonego mięsa. Zaklął, zamykając oczy. Ciało miał gąbczaste i miękkie, niby ciepły wosk. Nim skończy się dzień, jak u trędowatego zacznie odpadać od kości.

Otworzył oczy ponownie, gdy Ariele poruszyła się obok.

Usiadła, potarła twarz, spojrzała na morze; gapiała się z oszołomieniem, jak ktoś budzący się ze snu, by stwierdzić, że nadal śni. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, jakby większość nocy spędziła na czuwaniu i płaczu.

Obróciła się powoli, mrugając zbyt mocno, aż spojrzała na niego. Otworzyła usta i znieruchomiła; przestała oddychać, zapomniała o wszystkim na widok tkwiącego przed nią przerażającego obrazu. Wydawało mu się, że całą wieczność siedzi sztywno, nie oddychając, podczas gdy jego wymęczone ciało uparcie wciągało i wypuszczało powietrze świszczącymi, wysiłonymi szarpnięciami. Wreszcie odetchnęła; wstrząsnęło ją łkanie rozpacz i przerażenia.

– Pani i wszyscy bogowie – powiedziała drżącym głosem. – Reede? – Zdawało się, że wątpi w tożsamość rzeczy tkwiącej przed nią.

Kiwnął głową. Przycisnęła dłonie do ust.

– Matko nas wszystkich, co się stało? Co to? Dlaczego?

– Uprzedzałem... – szepnął. – To woda śmierci.

Coś zacharczało w gardle Ariele, jakby ogarnęła ją na chwilę jego agonია. Zrozumiała... teraz, wreszcie, rozumiała.

Uśmiechnął się, zobaczył, jak pogłębia się jej przerażenie, gdy zrozumiała, co oznacza ten grymas.

Skoczyła na nogi ze zmienioną twarzą.

– Nie możesz tego zrobić! Wezwę Gundhalinu... – Minęła go, sięgnęła do drzwiczek śmigłowca, wywołała szyfr, który otwierał zamki.

Pochylił się po ogłuszacz, leżący nadal obok niego. Podniósł go w dwóch rękach i strzelił. Ariele krzyknęła z wstrząsu, wściekłości i rozpacz. Padła bezradnie na czerwoną ziemię, gdy drzwiczki śmigłowca uniosły się nad nią niby skrzydło ptaka.

Reede powoli odwrócił głowę, zobaczył jej nogi, plecy; nie widział jej twarzy, nie mogła na niego patrzeć. Poczł własny, bezrozumny jęk, nie potrafił go powstrzymać, gdy wywołany nagłym ruchem ból zaczął zalewać go falami. Tonę... morze... mery... tonę w bólu... śmierć... Pomóż mi, pomóż, proszę, pomóż... Ktoś krzyczał wewnątrz jego głowy, ktoś inny, nie wiedział kto, więziń, wołający... Vanamoinen.

Potrząsnął głową, próbował ją oczyścić. Unieruchomienie ogłuszaczem minie, nie będzie w stanie powstrzymać Ariele przed wezwaniem innych. Ciągle mu nie wierzyła – że nikt nie zdoła ochronić ją przed Źródłem. Myśl ojej trafieniu do piekła czyniła dlań wszystko gorszym, trudniejszym do zniesienia – Czemu go nie posłuchała? Pragnął czystego zakończenia. Nie chciał, by ktokolwiek widział go w takim stanie, a trafiło na nią, patrzyła, jak wymiotował, gnił i umierał... bo go kocha. Rzucił ogłuszacz; podniósł rękę do dudniącej głowy; opuścił ją z garścią włosów tkwiących między nabrzmiałymi, obumarłymi palcami. Patrzył na nie długo.

Powinien był rozebrać radio. Musiał to zrobić. Gdyby miał siły to uczynić, mógłby potem odpocząć, zaczekać na koniec. Wszystko się skończy, jego cierpienia... mery... wszystko będzie stracone, daremne, bezcelowe...

Jakoś zdołał się podciągnąć, nie zwracając uwagi na odgłosy wydawane przez ciało pochłaniane ogniami piekła. Wpełził do kabiny, legł na fotelu pilota, łkał, kaszlał krwią, nie był w stanie patrzeć, myśleć, jedynie czuć ból. W końcu wyciągnął rękę do tkwiącego przed nim na tablicy rozdzielczej urządzenia łączności. Ręka weszła w pole widzenia, dostrzegł wystające z na wpół martwego ciała kości palca.

Ręka odskoczyła do tyłu, bez jego woli, jakby pociągnięta przez kierującego marionetką. Gdzieś w głębi jego poszarpanego mózgu zatriumfował więziń, przejął władzę. Jesteś moim naczyniem. Nie masz wyboru, powiedział ten drugi. Muszę żyć. Muszę żyć.

Krzyk wściekłości i zdrady zamarł w nim przed narodzeniem. Załamany głosem ożywił urządzenia, Drugi wydusił mu słowa z gardła, wypuł je z siebie wraz z krwią. Musiał powtarzać dwa razy, nim instrumenty zrozumiały go i odpowiedziały.

– Jaakola... – szepnął do nadajnika, płacząc krwawymi łzami. – Mam ją. Zrobię wszystko, co chcesz. Pomóż mi...

TIAMAT: Krwawnik

– Hej, Dawntreader...

Sparks uniósł oczy przyglądające się ślepo pustemu stolikowi, zobaczył Kirarda Seta Wayawaya torującego sobie drogę przez zatłoczony parkiet taneczny lokalu Starhiker.

– Miałem nadzieję, że cię tu zobaczę. – Zimak uśmiechnął się, stając przed stolikiem, popatrzył domyślnym wzrokiem, którego Sparks zaczynał już mieć dosyć.

– Co jest? – zapytał Sparks, odchylając się w krzesło. Wayaway wślizgnął się obok niego do łóży.

– Mam wiadomość do przekazania... ty też.

Sparks uniósł brwi ze zdumieniem większym niż lekkie.

– Czy to sprawa Bractwa?

– Oczywiście. – Kirard Set potarł podbródek, spojrzał zimno na tłum. – Źródło został wezwany przez interesy na Ondinee. Liczy na szybki powrót na Tiamat.

– Mocne radości podróży ponadświatlnych – mruknął Sparks, czując, jak zazdrość porusza osady dawnych marzeń.

– Powinniśmy wznieść toast za postęp – powiedział Kirard Set z grymasem – ale nie mamy czym. – Wskazał na pustą powierzchnię stolika, jego twarz wyrażała chęć wyjaśnień lub zaproszenia.

Sparks wzruszył ramionami, nie zrobił nic z tego.

– Co Źródło zostawił mi odlatując?

Serdeczność Kirarda Seta zniknęła, zastąpiona równie niepokojącą otwartością.

– Mamy nadal zajmować się pracą w laboratoriach przetwórczych... Newhaveńczyk, TerFauw, do powrotu Jaakoli zastępuje go w Persefonie.

– Powiedziałeś, że masz wiadomość do przekazania. Kirard Set zawahał się, co zwiększyło tylko niepokój Sparksa.

– To wiadomość dla twojej żony. O Ariele i człowieku Źródła, Kullervo.

– O co w niej chodzi? – zapytał zbyt ostro.

Kirard Set odchylił się do tyłu, jakby się przed nim cofał.

– Wiesz już, że są widywani razem... Możesz nie wiedzieć, że Kullervo jest uzależniony – uzależniony od narkotyku, jaki sam stworzył, rodzaju wypaczonej formy wody życia. Nazywa go "wodą śmierci". Jest śmiercionośny. Dał go Ariele.

Sparks wyprostował się gwałtownie, chwycił za skraj blatu.

– Co? – szepnął.

Wayaway nagle spojrzał nań z troską.

– Źródło pragnie czegoś od Królowej czy Gundhalinu – mruknął. – Chce, by zrozumieli, że jeśli mu tego nie dadzą, odetnie Ariele od dostaw narkotyku. – Sięgnął za koszulę. – Weź. Taśma pokazuje, co dzieje się z... uzależnionymi. Na twoim miejscu bym jej nie oglądał. – Rzucił na blat rolkę taśmy.

Sparks chwycił ją, trzymał między pozbawionymi czucia palcami. Spojrzał znowu na Wayawaya. – Gdzie oni są? – zapytał. Zacisnął ręce na taśmie. – Gdzie ją trzyma? Na wszystkich bogów...

– Na miłość bogów, to już nie twoja sprawa! – syknął Kirard Set. – Należysz teraz do Bractwa! Żona przyprawia ci rogi z ojcem swych bękarcich dzieci – Ariele nie jest twoją córką, sam to powiedziałeś. Człowieku, skup się na faktach. Możesz tylko skorzystać na wszystkim, co się dzieje... Skorzystasz, jeśli dobrze rozegrasz swą rolę. Musisz tylko przekazać wiadomość Królowej. Powiedz

jej, że zostałeś zaczepiony przez zamaskowanych obcych, udawaj oszołomionego, jeśli chcesz, ale pamiętaj zawsze, że ma to być gra.

Pamiętaj. Sparks usiadł sztywno, zmusił się do przypomnienia sobie twardych, pożytecznych lekcji, jakich nauczył go czas i Bractwo. Odetchnął głęboko, zmuszając się do opanowania.

Tylko gra – powtórzył bez wyrazu. Spojrzał na rękę, leżącą teraz luźno na powierzchni stolika. Włożył rolkę z taśmą do sakiewki przy pasie, dopiero potem popatrzył na Kirarda Seta. – Co według Źródła mają takiego, że nie dostanie tego od nikogo innego? Oczywiście poza sobą? – Skrzywił drwiąco usta. Lekki uśmiech ulgi pojawił się w kącikach warg Kirarda Seta.

– Chodzi o coś związanego z merami.

Sparks nachmurzył się. – Nie wiedzą nic o merach, czego bym sam nie wiedział.

– Może Przegląd przekazał im nowe informacje. Pokręcił głową. – Jaakola ma wtyczki w Przeglądzie w całej Hegemonii. Na miłość bogów, mógłby uzyskać coś takiego bez konieczności... – zabicia mej córki – ...uciekania się do szantażu.

– W takim razie może naprawdę mają coś, o czym nikt inny nie wie. – Kirard Set wzruszył ramionami. – To nie nasz kłopot. Bądź rad.

– Co dowodzi, że ma teraz Ariele? Że naprawdę istnieje taki narkotyk? – zapytał Sparks niezupełnie obojętnie. – Zapragną lepszego dowodu niż taśma.

– Czy ostatnio widziałeś w mieście Ariele? Albo Kullervo?

– Nie – zacisnął usta.

– Nikt nie widział. Jaakola zabrał ich ze sobą na Ondinee, by zainteresowanym stronom dać dość czasu na zrozumienie, że nie mają żadnego wyboru. Że jedynym dla niej ratunkiem jest danie mu, czego pragnie. Oddają w odpowiedniej chwili.

Sparks rozejrzał się, przeszukał tłum, pragnął ujrzeć falę srebrnych włosów, boleśnie znajomy uśmiech; usłyszeć śmiech Ariele, nawet jej gniewny głos, odrzucający go, jak ją odrzucił... Nie widział jednak nic poza przypadkowymi ruchami i hałasami bez znaczenia; twarze chaosu w tłumie obcych...

– Im szybciej wiadomość zostanie przekazana, tym lepiej – powiedział Kirard Set spokojnie. – Dla wszystkich. – Wstał z miejsca i odszedł bez pożegnania, zniknął w tłoku.

Sparks siedział długo, patrząc na pusty blat. Potem, niezdolny do ulżenia sobie, wyjął kapsułkę taśmy z sakiewki przy pasie i wrzucił do odtwarzacza na skraju stołu. W powietrzu przed nim ożywił się trój wymiarowy obraz. Zaczął patrzeć... przyglądał się sparaliżowany niewiarą. W końcu zmusił dłoń do ruchu, nie był w stanie oderwać oczu od dręczących widoków, aż opuścił pięść na tabliczkę przegładacza, przerywając napływ ohydnej zgrozy.

– Przepraszam, panie Dawntreader...

Oszołomiony podniósł wzrok, spojrzał w nietwarz wynajętego przez Tor robota.

– Nie pozwalamy gościom używać w klubie takich taśm – powiedział głosem pozbawionym wyrazu. – Na przyszłość proszę je oglądać w osobnym pokoju, gdzie nie będzie innych ludzi.

Kiwnął głową bez słowa, nie był w stanie odpowiedzieć na monotonną troskę głosu.

– Mogę panu coś przynieść na uspokojenie nerwów. Paczkę iestów czy miseczkę marynowanych ryb? – Podwójne czujniki optyczne badały go z nieludzką cierpliwością, niby oczy owada.

– Przynieś mi coś do picia. Coś mocnego. Sześć porcji. – Spojrzał na robota. – Czekam na przyjaciół – dodał ze zdenerwowaniem.

Robot grzecznie skłonił głowę i odszedł. Szybciej niż sądził wrócił z sześcioma szklaneczkami. Wypił je wszystkie w tempie, jakie przedtem uznałby za niemożliwe. Nie wywarły zauważalnego wpływu na to, co się działo w jego głowie. Siedział, mając przed sobą sześć ustawionych w szeregu

pustych szklaneczek, odtwarzając ciągle w pamięci oglądaną taśmę; wiedział, że nigdy już nie zobaczy niczego wyraźnie, ten obraz będzie się nakładał na wszystko.

Po jakimś czasie robot wrócił do stolika. Sparks czuł, jak w milczącym namyśle przygląda się szeregowi pustych szklaneczek, pustym krzesłom, jemu samemu.

– Pańscy goście się spóźniają, panie Dawntreader?

– Przynieś sześć nowych.

– Tak jest odpowiedział robot i odszedł. Sparks nadal wpatrywał się w sześć pustych, przedstawiał je w kolejne daremne geometryczne wzory. Nie mam dzieci. Nie jest moją córką. Powiedział to już na głos, w obecności obcych... wierzył wówczas, że jest tak naprawdę. Odwrócił się od dzieci, ku ich zmieszaniu i rozpacz; odwrócił się do nich plecami, ponieważ, znając prawdę, nie mógł nagle znieść ich widoku...

Zaklął cicho, gdy wypełniające jego umysł ohydne obrazy przeszły we wspomnienia dzieci... jego dzieci, śmiejących się, chwytających go za nogi, wznoszących zamki z piasku; słońca lśniącego w ich włosach, rączek pełnych muszelek i kolorowych kamyków: cennych skarbów... Przypomniawsobnie, jak się bawiły w salach pałacu, wносиły życie i radość w zimny grób, zawierający jego pochowaną młodość. Wspomniawsobnie ich zachwyty, łzy, złości; muzykę piszczalek, huk zbitej wazy – oczy wpatrujące się w niego z niezachwianą miłością, proszące tylko o miłość bez warunków.

Ich życie, młodość, serca należą do niego. Gundhalinu może i zasadził ziarno, lecz nigdy nie widział, jak wzrasta. Są jego.

Nagle wspomnienia przytłoczyły obrazy odrażającej śmierci, ale tym razem zobaczył Ariele, cierpiącą, umierającą, ciało odpadające od kości na jego przejętych zgrozą oczach...

– Sparksie.

Zaskoczony uniósł głowę, przewrócił szklaneczki. Tor Starhiker stanęła przed stolikiem, mając za sobą Polluksa, popatrzyła na niego.

– Dzięki, Poity. – Odesłała robota i bez zaproszenia usiadła naprzeciw Sparksa. Policzyła rozrzucone puste szklaneczki, skrzywiła się. – Polluks powiedział mi, że dziś chcesz wypić morze, co do ciebie niepodobne. – Opuściła oczy, umknęła nimi przed nagłym grymasem. – Chcesz pić dalej czy wolałbyś porozmawiać?

Otworzył usta; pokręcił głową, patrząc na przeglądacza taśm.

– Czy ma to coś wspólnego z taśmą, jaką oglądałeś? To też do ciebie niepodobne. – Popatrzył na nią i wzruszyła ramionami. – Polluks widzi wszystko, Tor wie wszystko... – Dotknęła lekko jego dłoni, włożyła w to niespodziewaną troskliwość. – Ktoś ci znany? – mruknęła.

– Nie – odpowiedział, ścisnął dłoń w pięść. Chrząknął, przeczyszczając gardło. – Tor... czy w ostatnim tygodniu widziałaś Ariele? Albo Reede'a Kullervo?

Nagle zacisnęła własną dłoń. – Poczekaj – powiedziała wstając. – Zaraz wracam. Zaczekaj... – wskazała na niego, poprosiła miną.

Zaczekał. Wróciła z dwoma mężczyznami... ludźmi Kullervo. Poznał ich, zapamiętał dzięki wielkiemu kontrastowi między nimi. Poczłł śpiewającą w środku nadzieję i ulgę, dopóki nie spojrzł im w twarze. Zajęli miejsca w łoży naprzeciw niego, niski mężczyzna podciągnął się na ławkę z wynikającą z długiej praktyki zręcznością. Tor usiadła obok Sparksa, ale niespodziewanie wysunęła ręce przez stół, przelotnie, zmysłowo dotknęła krótkich palców karła. Sparks zauważył, że jego twarz stanowi mroczny krajobraz skaleczeń i siniaków.

Drugi człowiek Reede'a, Ondyńczyk, zdjął z ubrania jakieś zwierzątko i postawił na stole przed sobą, pogłodził po grzbiecie. Patrząc na niego, Sparks zaczął się zastanawiać, która istota, rozumna czy nie, bardziej potrzebuje uspokojenia. Stworzenie wydało dziwny, chichoczący odgłos,

przypominający cichy śmiech, gdy poczuło na futerku pieszczące palce Ondyńczyka.

– Niburu i Ananke. – Tor przedstawiła obu, jakby stanowili jedność. – Pracują...

– ...dla Kullervo. Wiem – mruknął Sparks.

– To Sparks Dawntreader Letniak – powiedziała do nich.

– Wiemy – odparł niższy mężczyzna, patrząc ostrożnie. Sparks zrozumiał, że jest im lepiej znany ze względu na kontakty ze Źródłem aniżeli powiązania z Królową.

– Musimy porozmawiać – powiedziała Tor. Odchyliła się do tyki, zakładając ręce.

– Gdzie Kullervo? – zapytał Sparks martwym głosem. Obaj członkowie kartelu spojrzeli po sobie niepewnie.

– Kedalionie, na Panią i wszystkich bogów – ponagliła go Tor niecierpliwie – powiedz mi, co wiesz.

– Reede jest na Ondinee – zdradził Niburu, patrząc na swe dłonie. – Przynajmniej tak słyszałem.

– A wy dlaczego jesteście tutaj? – spytał Sparks z grymasem. Niburu podniósł wyblakłe oczy. – Nie wiem... TerFauw kazał nam zostać.

– Czemu Kullervo odleciał bez was? Myślałem, że jesteście jego załogą?

– Jesteśmy – przytaknął Niburu. – Nie wiem. Coś się stało... pewnego ranka poszliśmy się z nim spotkać, ale go nie było. Nie znaleźliśmy go nigdzie. TerFauw zbił mnie na kwaśne jabłko, zanim uwierzył, że nie mamy z tym nic wspólnego. – Skrzywił się, dotykając szczęki. – Potem nikt z nami nie rozmawiał. Dopiero dziś TerFauw wezwał nas i powiedział, że Źródło zabrał Reede'a na Ondinee. Mamy czekać. To wszystko. Nie spodziewałem się tego, myślałem, że nadal zajmuje się badaniem merów... – Pokręcił głową. – Na podstawie pytań zadawanych przez TerFauwa domyślam się, że Reede próbował uciec i go złapali, ale nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło go do tego zmusić. Źródło traktował go jak śmieć, ale Reede wiedział, że nie ma żadnego wyjścia. – Położył na blacie wyprostowaną dłoń z piętnem, jakby zgniatał robaka.

– Czy wiecie coś o... mojej córce? – Sparks poczuł, jak Tor mu się przygląda.

Niburu patrzył chwilę, nic nie pojmując, potem na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Reede był... – Zerknął na Sparksa. – No, spędzali razem mnóstwo czasu. – Pokręcił głową. – Nie widziałem jej, odkąd... odkąd Reede... – Urwał.

– Powiedziano mi dzisiaj... – Sparks odetchnął głęboko, trzymając w dłoniach pustą szklaneczkę. – Powiedziano mi, że mam dostarczyć mej żonie, Królowej, wiadomość od Źródła. Przekazać jej, że... nasza córka została zabrana na Ondinee. Że Reede Kullervo uzależnił ją od wynalezionej przez siebie narkotyku, który nazwał wodą śmierci. Dostałem taśmę pokazującą, co robi... co stanie się z Ariele, jeśli moja żona i Główny Sędzia nie dadzą mu czegoś...

– Czego? – zapytał Ananke.

– Nie wiem! – Trzymana przez Sparksa szklaneczka upadła, zabrzęczała na stole. – Nie myślicie, że gdybym wiedział, sam bym mu to dał?

Ananke skrzywił się, jego zwierzątko schowało. Zerknął na Niburu i Sparks dostrzegł, jak powiedzieli coś sobie bez słów.

– Sądzisz, że chodzi o niego? – zapytał chłopak. Kedalion skrzywił się i kiwnął głową.

– Czym jest "woda śmierci"? – zapytała Tor. Napięła twarz, czekając na odpowiedź, jakby spodziewała się ciosu.

– Kirard Set powiedział mi, że to wypaczona postać wody życia – wyjaśnił Sparks.

Pokręciła nieznacznie głową.

– Co robi?

Wyciągnął rękę i dotknął odtwarzacza; pomiędzy nimi niby trująca mgła zjawił się obraz.

Patrzył bezradnie, usłyszał, jak pozostali wciągają z sykiem powietrze, klną ze zdumienia.

– Wyłącz to – powiedziała Tor. – Wyłącz, do diabła! Usunął obraz, gdy wyciągnęła rękę, by zrobić to sama. Uderzyła go w ramię zaciśniętą pięścią, jeszcze raz.

– Cholera! Cholera! – Nic nie powiedział, nic nie zrobił, gdy się odsunęła, oparła bez sił o ciemną, lustrzaną ścianę łoża. Otwartą dłońią uderzyła raz w blat stolika. Niburu i Ananke siedzieli osłupiali, patrzyli na siebie.

Tor w końcu popatrzyła na niego z przeprosinami w oczach.

– Ariele? – szepnęła. – Ariele? – Jej oczy stały się nagle puste. Sparks przytaknął, wtulił się w kąt. – Tak.

– I Reede... – mruknął Niburu.

– Dał to jej... – oczy Tor zabłyśły, gdy zwróciła się do Kedaliona. – Ty gnoju! Powiedziałeś, że będzie bezpieczna! Powiedziałeś, że jej nie skrzywdzi.

– Nie skrzywdziłby... – zaczął Niburu.

– Reede nie zrobiłby jej niczego takiego, kochają – zaprotestował Ananke, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa.

Niburu położył dłoń na jego ramieniu.

– Nie zrobiłby, gdyby na czas dostał swą porcję. Nie wiemy, jak bardzo się opóźniła. Co zrobiłbyś, żeby powstrzymać to...? – Wskazał na pustą przestrzeń między nimi, na powietrze ciągle nawiedzane przez obrazy widziane parę chwil wcześniej.

Ananke odwrócił wzrok, pokręcił głową.

Niburu spojrzał na Sparksa. – Przepraszam – mruknął. Oparł głowę na dłoniach. – Przepraszam, Tor. Bogowie, nigdy nie sądziłem, że może do czegoś takiego dojść... – Podniósł wzrok. – Cholera – nie zostawię tego tak. Nie chcę, byś w ten sposób mnie zapamiętała...

Uspokoila się po wyładowaniu bezsilnego gniewu.

– Wiem – powiedziała i westchnęła. – Sparksie, powiedziałeś, że o wodzie śmierci wiesz od Kirarda Seta? Co ma z tym wspólnego?

– Prowadzi... interesy ze Źródłem. – Sparks ustawił szklaneczki w nowy wzór. – Ja też.

Tor wpatrywała się w niego, zdumienie powoli przeszło u niej w zrozumienie, potem w rezygnację. Zerknęła na Niburu; znowu na Sparksa.

– Przypomina to zarazę, co?... Bogowie, co w tej kloace robią takie dobre dusze jak my? – Pokręciła głową. – Czy w tej pieprzącej Mamusiej galaktyce są w ogóle ludzie nie pracujący dla Źródła?

– Moon – powiedział Sparks gorzko. – I Gundhalinu.

– Na razie – mruknął Niburu.

– Wiem coś jeszcze o Kirardzie Secie – powiedział Ananke, pochylając się do przodu, gdy jego zwierzątko zaczęło chodzić po stole, węsząc między szklaneczkami. – Pamiętacie tę noc: Ariele i Elco Teela...? – Niburu i Tor przytaknęli z nagłymi grymasami. Tor ściągnęła stworzonko ze skraju stołu, zaczęła je drapać między uszami.

– Jaką noc? – zapytał Sparks.

– Elco Teel podał Ariele jakiś narkotyk podniecający i zabrał na... na... – Ananke zamilkł, opuścił wzrok.

– Gwałt zbiorowy – Niburu zakończył za niego otwarcie.

– Reede uratował ją... – Tor położyła dłoń na ramieniu Sparksa, trzymała, dopóki nie przetrwał tych słów. – Reede. Ryzykował własnym życiem, byleby zdążyć ją z tego wyciągnąć. Nic się jej nie stało – powiedziała łagodnie. – Była tak zamoczona, że pewnie nawet nie pamięta, co się

działo. Ale po tym dniu zostali kochankami.

Sparks pokręcił głową, poczuł, jak obrazy Reede'a, córki i niego samego przesuwają się i rozplývają niby oliwa na wodzie.

– Reede był jak pashayan – ognisty miecz – powiedział Ananke, oczy mu nagle rozbłysły. – Było tam kilkunastu mężczyzn, ale stawił im czoła i uciekli jak szczury. Potem ten mały gównojad Elco Teel dostał krwawego potu. Myślałem, że będzie miał atak serca, gdy Reede wyciągnął na niego nóż.

– Tak, widziałem Reede'a w akcji – przytaknął Kedalion. – Pashayan. Ten wieczór u Raviena, gdyśmy go spotkali...

Ananke uśmiechnął się, splatał między ciemnymi palcami gruby warkocz. Jego twarz przybrała dziwny wyraz, na wpół dumy, na wpół smutku. Zniknął, gdy wrócił myślami do terażniejszości.

– Co to ma wspólnego z Kirardem Setem? – zapytał Sparks niecierpliwie.

Popatrzyli na niego niemal z niechęcią, jakby przerwał prywatne wspomnienia żałobników. Mimo to Ananke odpowiedział:

– Kirard Set dał Elco ten sam narkotyk, jaki chłopak Ariele. Otrzymał go od Źródła. Reede powiedział... – Przycisnął dłoń do czoła, przywołując dokładne brzmienie słów. – Powiedział Elco Teelowi, że ma przekazać ojcu, że zamyka grę między nim a Źródłem. Że jeśli nie będą się trzymać z dala, zabije ich obu. – Podniósł głowę.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – powiedział Niburu.

– Naprawdę? – Ananke wzruszył ramionami.

– Na siedem piekieł, czemu Kirard Set miałby się na coś takiego zgodzić? – zapytała Tor. – Zawsze rozповідаł, że Elco Teel ożeni się kiedyś z Ariele, która zostanie następną Królową Lata. Nigdy nie lubiłam tego złośliwego sukinsyna, uśmiecha się jak skulę. Ale dlaczego...? Czy spodziewał się nagrody od Źródła? Czy też jest takim ludzkim wrzodem?

Sparks zerknął na odtwarzacz. – Tak – mruknął. – Wszystko razem... ale i coś więcej. To bardziej skomplikowane. Źródło zajmuje się nie tylko narkotykami, jego przestępcze interesy są takich rozmiarów, jakich ani ja, ani ty nie możemy sobie nawet wyobrazić... – Urwał, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się bał, dla dobra ich i własnego.

Coś zabręczało przed nimi na blacie stolika. Podniósł to – łańcuszek z zawieszonymi dwiema ozdobami. Przybliżył je do oczu, zobaczył pierścionek z dwiema soliami oprawionymi w obrączkę z białego metalu. Wisiorek zadźwięczał srebrzyście; jego kształt utkwiał mu w umyśle jak haczyk. Bractwo. Uniósł wzrok; spotkał czekające spojrzenie Niburu.

– To pańskie? – zapytał.

– Było Reede'a – odparł Kedalion. – Zawsze to nosił, zawsze. Ale po zniknięciu znalazłem to w jego pokoju. Reede nazywał to swoim przynoszącym szczęście amuletem... – Odwrócił oczy. – Dawno temu raz już go zgubił. Gdy poszedłem, by mu to oddać, był na zebraniu z ludźmi, którzy zarznęliby się nawzajem w razie spotkania na ulicy. Zarznęliby mnie, gdyby Reede ich nie powstrzymał. Kazał mi wyjść i zapomnieć o wszystkim, co widziałem... To jakiś rodzaj tajemnego związku, prawda? Większego i potężniejszego od jakiegokolwiek kartelu. To o nim pan mówił, prawda?

– Mniej więcej. – Sparks zacisnął dłoń na metalu i klejnotach, poczuł, jak ich chłód gryzie go w ciało. – Jestem pewien, że stoją za wszystkim, co się tu dzieje. Na wyrwanie im Ariele może liczyć tylko ktoś dysponujący podobnymi możliwościami i potęgą. Gundhalinu ma taką władzę. To na pewno dlatego Źródło zabrał ją z planety. – Potarł czoło, wplótł palce we włosy. – Oznacza to, że nie jest tak całkowicie pewien siebie.

– Jeśli jest w warowni Źródła, nikt nie wyrwie jej stamtąd żywej – powiedział Niburu martwym

głosem.

Sparks popatrzył na niego. – Powiedział pan, że TerFauw kazał wam wracać na Ondinee? Niburu przytaknął niespokojnie.

– Zostaniecie odesłani do Reede'a, do warowni? – Tak powiedział.

– Zabierzcie mnie z sobą.

Niburu pokręcił głową. – Bez szans. To niemożliwe. Nie zdołamy pana przemycić.

– Możliwe, jeśli będę miał to. – Sparks podniósł wisiołek, zakołysał nim w powietrzu.

– Nie ma pan tego. – Niburu wyciągnął otwartą dłoń, pokazał Sparksowi takie same piętno, jakie nosił Kullervo. – Nawet wisiołek pana nie osłoni. Nie osłonił Reede'a. Nikt nie przygląda się zbytnio ludziom Źródła, jeśli mają jego znak. Ale pan go nie ma.

Sparks przyglądał się bliźnie w kształcie oka, aż wryła się w jego pamięci.

– Mogę to załatwić – powiedział.

Niburu skrzywił się, milczał długo. – Nie – stwierdził w końcu. Zacisnął palce na oku swej dłoni. – Przepraszam. Nie mogę. Moją zasadą jest "Trzymaj głowę opuszczoną, a Ciemni cię nie zauważą".

– Ciemni już pana zauważyli – powiedział Sparks. Wskazał na zbitą twarz Niburu. – Podoba się panu bycie własnością Źródła?

Kedalion zmarszczył brwi, spojrzał na kolegę.

– Nie – mruknął. – Ale wolę być nią niż trupem. Myślę, że mówię za nas obu. – Ananke bez uśmiechu kiwnął głową.

– Co z Reede'em?

– Co z nim?

– Widziałem, jak Źródło go traktuje. Nie obchodzi was, co się z nim stanie? – zapytał Sparks, przypomniawszy sobie, co zauważył między nimi, gdy pokazał im możliwości wody śmierci.

Chwila przeciągała się jak niesamowicie długo utrzymywana nuta, aż Niburu powiedział ochryple:

– No. Chyba obchodzi – Ananke kiwnął ponownie. – Sądzę, że mocno obchodzi... – Kedalion wyglądał na zaskoczonego.

Sparks wciągnął głęboki wdech. – Gdy Źródło dostanie, co chce – a nawet gdy nie dostanie – pewnie zabije ich oboje.

– Nie zabije Reede' a – sprzeciwił się Niburu. – Jest zbyt cenny.

– Może – powiedział Sparks z bezlitosną logiką. – Może wszyscy dożyjecie późnej starości, spędzicie resztę życia jako niewolnicy, patrząc, jak Źródło łamie ducha waszego przyjaciela i niszczy jego duszę. A może nie... Jeśli Źródło postanowi zabić Reede'a, to jak myślicie, co wtedy zrobi z wami dwoma?

Popatrzyli na niego.

– Reede chciał się z tego wyrwać, prawda?

– Tak. O tak... – przytaknął Niburu. – Wszyscy chcemy. Ale jest tak, jak pan powiedział: Źródło jest zbyt potężny.

– Będą się spodziewali, że Gundhalinu coś zrobi. Nie przewidują mnie. Jeśli Reede tak kocha moją córkę, jak mówicie, to pewnie pomoże nam na miejscu, choćby nawet nie próbował zrobić tego samemu.

Niburu potarł twarz. – Na Święte Ręce. Wie pan, że popełnia samobójstwo? I prosi, żebym zrobił to także.

– To moja córka – powiedział. – Wy macie wybór. Niburu i Ananke przysunęli głowy, mruclili

coś, podczas gdy Tor głaskała zwierzątko Ondyńczyka, patrząc w blat stolika. W sali za jej nachmurzonym profilem życie toczyło się nadal, całkowicie beztrosko.

– Sparksie – powiedziała, patrząc na niego nagle – jeśli nawet wydostaniesz ich i przeżyjesz, to co potem?

– Przywiozę ich tutaj.

– Przecież nie będą tu bezpieczni, to pierwsze miejsce, gdzie... – urwała.

– Będą, jeśli Gundhalinu zostanie ostrzeżony. Pójdiesz do niego – do Moon? Przekaż im wiadomość, jaką dostałem od Kirarda Seta... opowiedz wszystko, co o nim wiesz – powiedział Sparks z goryczą. – Potem o całej reszcie, dokąd poleciliśmy. Powiedz im, żeby się przygotowali na obronienie nas wszystkich, gdy tylko wrócimy. Gundhalinu będzie wiedział, co ma robić. Daj mu to... – wręczył jej wisiołek Reede'a.

– I taśmę? – mruknęła, biorąc wisiołek.

Opuścił wzrok. – Sama zdecyduj – powiedział wreszcie. – To także ich córka.

– Co? – Popatrzyła na niego; zobaczył, jak mija jej zaskoczenie. – Och – powiedziała.

Popatrzył na Niburu i Ananke.

– Co z wodą śmierci? – zapytał Kedalion. – Co się stanie, gdy jej zabraknie?

– Weźmiemy próbkę. Zabierzemy dużo. Musi być jakiś sposób na zachowanie ich przy życiu, dopóki tu nie trafią; znajdziemy go. Jeśli zdołamy się tam dostać i uciec z nimi, będziemy mieli wszystko, co konieczne, by zachować wolność i życie. Chcecie spróbować?

Popatrzyli na siebie. W końcu Niburu kiwnął głową, potem Ananke.

– Zabierzemy pana na Ondinee – powiedział Kedalion. A potem... – Wzruszył ramionami. – Zobaczmy. Wyruszamy jutro. – Spojrzał na Tor, w jego oczach zjawiała się nagle melancholia. Westchnął.

Sparks kiwnął głową. – Będę czekał tam, gdzie wskażecie.

– Tor? – zapytał Ananke z wahaniem, Tor oderwała wzrok od Niburu, spojrzała na niego. – Przetrzyмай dla mnie quolla... dopóki nie wrócę – dopowiedział z roztargnieniem. – Wiesz, co one lubią... – Zaczął zdejmować smycz przyczepioną do ramienia.

Tor przyglądała się mu. – Dobra – mruknęła. – Jasne. Zajmę się nim dla ciebie... aż wrócisz. Aż wszyscy wrócicie. – Spojrzała znowu na Niburu, jej uśmiech nie zawierał nic oprócz smutku. Wzięła quolla na ręce, ciągle zaciskając w garści wisiołek. Wysunęła się z łoża, opuściła ich, nic więcej nie dodając.

TIAMAT: Krwawnik

– Ojcie wszystkich mych przodków! BZ, nie możesz tego zrobić. Nie możesz przedłużyć nowego zakazu polowań na mery. To polityczne samobójstwo!

Gundhalinu tym razem uniósł wzrok, wstał z miejsca, zostawiając za sobą osłonę komputera ruszył do drzwi. Zatrzymał się na środku gabinetu, stanął twarzą w twarz z komendantem Policji.

– Vhanu, nie mam wyboru.

– Urząd Sędziego się wścieka. Centralny Komitet żąda...

– Wiem, czego żąda – przerwał spokojnie.

– Zostaniemy zastąpieni przez innych. Cały rząd, jak cię już ostrzegałem... – Vhanu w zdenerwowaniu machał rękoma.

– A choćby nawet.

– Czemu to robisz? – Domagał się wyjaśnień. – Nie rozumiem!

– Jak powiedziałem innym – mery wędrują w kierunku miasta. Pchają się w ten sposób nam w ręce. Dopóki nie dowiem się, dlaczego tak postępują, nie będzie polowań. – Ruszył w stronę drzwi.

– Pytałem dlaczego, BZ – Vhanu przeszedł z tiamatańskiego na sandhi. – Dlaczego? Nie jesteś tym samym człowiekiem, z którym tu przybyłem. Co to miejsce z tobą zrobiło? Zachowujesz się jak szalenciec... – złapał go za ramię.

– Nie mam wyboru – powtórzył, nie patrząc mu w oczy. – Proszę cię, NR, mów do mnie po tiamatańsku. Już przedtem cię prosiłem, żebyś o tym pamiętał. – Wyzwolił ramię z uchwytu Vhanu i przeszedł gabinet.

– Co chcesz zrobić? – zapytał komendant, gdy Gundhalinu otworzył drzwi.

– Mam do załatwienia sprawy osobiste. – Usłyszał chłód we własnym głosie, mówiąc te słowa, nie czuł nic, jakby wreszcie wypalił się w nim cały żar gniewu, zdenerwowania i nadziei, pozostawiając go zamrożonego na śmierć. Opuścił gabinet nawet bez żalu.

Schodził Ulicą do środka Labiryntu, widział jego puste ongiś sklepy wypełnione towarami miejscowymi i sprowadzanymi, uliczki lśniące świeżą farbą. Nie wyglądały jeszcze tak jak w jego młodości, gdy wypełniały je kolorowe światła i flagi, muzyka i chodnikowi artyści, gdy na każdym rogu mieściło się kasyno – nigdy nie kończąca się uczta dla zmysłów. Wówczas, kiedy to podróże międzygwiazdne Hegemonii zależały od Czarnych Wrót, ich mała odległość od Tiamat czyniła z Krwawnika gospodę na rozstajach dróg. Miasto nigdy już pewnie nie odzyska tamtego znaczenia i świetności; to niewątpliwie dobrze. Ale mimo to otrzyma uczciwy udział w dobrodziejstwach zawdzięczanych Hegemonii. Dotrzymał tej przynajmniej złożonej sobie obietnicy. Zwrócił Tiamat przyszłość, dał wraz z nią sprawiedliwość; może – powinien – być z tego dumny.

Wysiadając z tramwaju, zerknął na wystawę sklepu, ujrzał w niej swe odbicie, nałożone na rozłożone sprzęty elektroniczne. Odwrócił wzrok, nagle poczuł się równie bezkształtny i pusty co własny widok w szybie. Problemy, które pragnął rozwiązać przybywając tu, okazały się mimo wszystko nie takie trudne. O prawdziwych nie miał wtedy pojęcia i wiedział teraz, że ich możliwe skutki są jeszcze straszniejsze, niż mu się zdawało, gdy po raz pierwszy poznał prawdę.

Im więcej rozmyślał nad upadkiem umysłu sybilli, tym lepiej rozumiał, że już od lat dostrzegał tego objawy: nasilanie się odpowiedzi niejasnych bądź uszkodzonych, otrzymywanie informacji niepełnych bądź nawet błędnych. Wszczął zbieranie danych o podobnych przypadkach; zbieranie związanych z tym raportów trwało całe miesiące. W miarę jednak ich gromadzenia, oszołomiła go liczba zanotowanych niepowodzeń, zatrwożyło geometryczne narastanie w ciągu jego życia.

Poszukiwania te wykazały również coś całkowicie nieprzewidzianego i znacznie bardziej

przerazającego: dane o wypadkach wśród samych sybilli – nie potrafiących wejść w Przekaz, dostających ataków. Dopiero wtedy zaczął rozumieć, czym byłoby całkowite załamanie się sieci sybilli, co oznaczałoby to nie tylko dla trwania i pomyślności zawisłych od niej cywilizacji, lecz również dla tysięcy, jeśli nie milionów ludzi, których umysły i ciała stanowiły neurony rozciągające się między gwiazdami mózgu. Zostaną wówczas skazani na śmierć lub szaleństwo...

Spojrzał na własną koniczynkę, umknął wzrokiem, gdy poczuł mróz w środku żołądka. Sybille przechowywały w sobie rodzaj sprytmaterii, podobnie mery. Kierująca siecią sybilli sztuczna inteligencja była także niemal na pewno zbudowana ze sprytmaterii. W Końcu Świata widział, co może czynić w wynaturzonej postaci... wiedział, co zrobiła jego matce, którą znalazł pochowaną niby bombę czasową w starodawnych ruinach. Jeśli zawiedzie komputer sybilli, sprytmateria robi to samo z Krwawnikiem. Nie będzie już miasta, jedynie wrzące, koszarne miejsce – a może nawet i Tiamat jako miejsca nadającego się do zamieszkania przez ludzi.

Nikomu nie zdradził się ze swymi najgorszymi obawami, nawet z Moon. Nie pokazał nikomu swych danych. Nie mógł. Nie potrafiłby wyjaśnić, co oznaczają, nie sprawiając przy tym wrażenia opętanego. Miał pewność, że kluczem koniecznym do rozwiązania tajemnicy merów jest Vanamoinen... ale Kullervo ciągle się z nim nie kontaktował. Nie miał już Kitaro, na której mógł polegać; jeśli Reede wkrótce sam się nie odezwie, to się nie dowie, jak znaleźć rozwiązanie, nim będzie za późno, a wówczas spełni się wszystko, co przepowiada Vhanu. A będzie to zaledwie początek końca...

Zatrzymał się, doszedłszy do celu, wejścia do klubu Starhiker. Popatrzył na jaskrawą fasadę kasyna, spróbował się otrząsnąć z ponurego nastroju; mimowolnie odczytywane przezeń zaproszenia do beztraskich przyjemności wydały mu się świadectwem monstrualnego, kosmicznego żartu.

Opuścił wzrok, poczuł nagłe zażenowanie, gdy zmusił się do wejścia do środka. Kasyna nigdy go nie interesowały, z wyjątkiem czasów, gdy był Sinym. Niezbyt lubił tracić, nie pociągały go też czynności nie zwiększające jego wiedzy i nie dające namacalnych korzyści. Teraz, ubrany w pełny mundur Głównego Sędziego, w pełnym świetle dnia, czuł się bardziej nie na miejscu, niż uważał to za możliwe.

Ruch był mały, ponieważ wieczór się jeszcze nie zaczął, i jego wejście zostało zauważone. Goście oderwali wzrok od trunków, symulacji, przyglądali się mu z lekką obawą, jakby przypuszczali, że przyszedł zamknąć to miejsce. Gdy nic nie robił, stojąc nieruchomo na progu, zaczęli powoli wracać do poprzednich zajęć.

Podszedł do niego robot przeznaczony do ciężkich prac.

– Dzień dobry, panie sędzio Gundhalinu. Proszę za mną, Tor Starhiker czeka na pana. – Odwrócił się i ruszył.

Poszedł za nim, nie okazując zdziwienia. Przypuszczał, że robot pełni tu funkcję wykidajły, zwykle nie używano ich do witania gości. Zaprowadził go do zasłoniętego splecioną z kółek kotarą wejścia. Zobaczył za nim wąski pusty korytarz i schody prowadzące do prywatnego mieszkania Tor Starhiker.

– Witam, panie sędzio. – Siedziała na wygiętej leżance, pozaziemskiej pamiętce dawnych czasów. Z beztraską opierała głowę na ozdobnej podpórce – zrozumiał, że stara się nie okazywać niepokoju wywołanego jego widokiem. Na poduszkach obok siedziało jakieś zwierzę. Głaskała stworzonko pieścotliwie, podczas gdy ono przyglądało mu się czarnymi, błyszczącymi oczkami. – Cieszę się, że udało się panu przyjść. – Przez jej twarz przemknęło coś mrocznego, jakby przypominała sobie, czemu poprosiła go o odwiedziny.

Kiwnął głową, czując w piersiach nieprzyjemny ucisk. Rozejrzał się po pokoju, zauważając

jego dziwaczne kontrasty, półki i stoliki pokryte różnymi pamiątkami, od osobliwych do okropnych, stanowiącymi naoczne świadectwo ironicznego i pełnego niespodzianek życia gospodyni. Zrozumiał, że w innych okolicznościach rozbawiłyby go, wywołało to w nim odrobinę żalu, odrobinę zdziwienia. Ale nie dzisiaj.

– Czy jest tu Królowa? – Wiadomość Tor, dostarczona mu do domu przez posłańca, podawała, że koniecznie musi się dziś z nimi spotkać. Nie było niczego o powodach. Zaskoczenie zaproszeniem sprawiło, że zdecydował się przyjść.

– Jestem tu, BZ.

Odwrócił się w stronę Moon wychodzącej z sąsiedniego pokoju, zdziwił się, że podeszła do niego i pocałowała na oczach Tor Starhiker. Uniósł głowę, popatrzył na Tor, sprawdzając jej reakcję.

Uśmiechnęła się na widok jego twarzy.

– Panie sędzio, byłam zaszokowana, gdy zobaczyłam was razem dwadzieścia lat temu. Teraz już nie... Prowadziłam wtedy Persefonę, dla Źródła.

Zaskoczyło go nie rozpoznanie, lecz wspomnienie. Popatrzył na Moon, która kiwnęła głową z nieśmiałym uśmiechem.

– Ale przecież... – mruknął zrezygnowany, patrząc znowu na Tor.

– BZ, już za późno na dyskrecję powiedziała Moon spokojnie. – To, co nas łączy, jest powodem, dla którego tu jesteśmy.

Kiwnął głową, nagle znowu poczuł lęk.

– O co chodzi?

– Lepiej usiądźcie – poradziła Tor.

Spoczął obok Moon na brokatowych poduszkach starego, sprowadzonego z innej planety tapczanu. Objął ją ramieniem, poczuł, jak napina mocno ciało.

Tor wstała ze swego miejsca, zwierzątko pisnęło w proteście, ale się nie ruszyło, patrząc na nią.

– Czy to quoll? – zapytał BZ, gdy jego mózg wreszcie rozpoznał stworzenie.

Tak – odparła Tor z drugiego końca pokoju.

– Skąd go pani ma? – Nie widział żadnego po opuszczeniu Czwórki.

– Od pewnego Ondyńczyka – odpowiedziała, stając przy stoliku i odwracając się plecami.

– Imieniem Ananke? – zapytał BZ z nagłym przeczuciem.

Spojrzała na niego. – Tak – potwierdziła i zeszyt wniała. Wyjęła coś z ukrytej szuflady i wróciła, by mu dać do ręki. – Wie pan, co to jest?

Zobaczył zwisający z łańcuszka wisior z solią: oznakę Bractwa. Obok pierścionek z przylegającymi do siebie dwoma dalszymi kamieniami. Przypomniał sobie nagle, kiedy poprzednio widział ów szczególny układ; kto nosił klejnot. Przytłoczył go lęk. – To Reede'a – powiedział do Moon. Twarz jej stężała. – Skąd to pani ma? – zapytał Tor.

– Od Sparksa.

– Co stało się z Reede'em?

Powiedziała im wszystko. – ...Sparks prosił, żebym wam przekazała, że musicie się przygotować na ich obronę, jeśli – gdy powrócą. Że będziecie wiedzieli, o co mu chodzi i dlaczego.

BZ poruszył się, nie wiedział, czy uczynił to podczas całej opowieści. Moon siedziała obok jak porcelanowy posąg. Żyły tylko jej oczy, szukały miejsca na odpowiedź, ucieczkę; czegoś nie istniejącego.

– Bogowie – powiedział wreszcie, przyciskając dłonie do oczu. Źle zrobił, że owej nocy

wypuścił Reede'a z domu. Pomylił się, Reede i tak w przerażeniu stracił opanowanie i uciekł. Teraz trzyma go Źródło – tak samo Ariele.

Popatrzył na Tor. – Sparks wyjechał? Już go nie ma? – Gospodyni potwierdziła. Zaklął i usiadł ciężej. – Powiedział, że spróbuje wydostać ich oboje?

– Tak powiedział – Tor ponownie przytaknęła.

– Cholera...! – Nie zdąży już powiedzieć Dawntreaderowi, kogo chce ratować, jak wysoka jest stawka.

– Gdzie ta... ta taśma, co robi woda śmierci? – zapytała Moon bezbarwnym głosem, zaciskając złożone na kolanach dłonie.

Tor odwróciła wzrok. – Przepadła. Widziałam kawałek. Ktoś... się rozpadał. Części ciała... – Zbladła. – To gorsze, niż możesz sobie wyobrazić. Nie powinnaś jej oglądać. Nie chciej tego. Nie powinnaś. – Pokręciła głową.

Moon zmrużyła nagle oczy, ale nie wypłynęły z nich łzy.

– Reede Kullervo nie umierał, gdyśmy go widzieli – powiedziała niemal ze złością. – Nie rozumiem. Jak działa ta "woda śmierci"?

– Prawdopodobnie dzieje się tak, gdy jej zabraknie – mruknął BZ. – Nie znam żadnego narkotyku zwanego wodą śmierci, ale sądząc po nazwie, przypuszczam, że stworzył go Reede, próbując uzyskać wodę życia. Nietrwała postać sprytmaterii. – Koszmar. Zaklął. – Nic dziwnego, że sądził, iż nie zdołamy mu pomóc, jeśli Źródło zatrzyma dostawy.

– Ma pan na myśli, że nikt więcej jej nie ma? – zapytała Tor. – Że nikt inny nie produkuje?

– Właśnie. A nie mam nawet próbki. – Pokręcił głową. Odwrócił się, dojrzał porażony wzrok Moon. Dotknął jej ramienia. – Powinien wziąć z sobą trochę... jest dostatecznie sprytny, by to zrozumieć. W razie potrzeby zdołam zanalizować i wytworzyć wodę śmierci. Dostaną wszystko, co konieczne...

– Jeśli wrócą – powiedziała Moon rwącym się głosem. – Musi być możliwość pomożenia im. BZ, masz swoje kontakty.

– Sparks powiedział, że tego właśnie Źródło będzie się spodziewał – wtrąciła się Tor. – Że pańskie – hmm – kontakty, spróbują ich uratować. Powiedział, że Źródło to przewidzi. Chciał go zaskoczyć.

BZ niechętnie przytaknął. – Mimo to są rzeczy, które można zrobić, by mu pomóc. Nasz przyjaciel Aspundth – powiedział Moon. Rozprostowała palce, które chciała bardzo zacisnąć na czyjejs szyi.

– Ale jeśli... jeśli mu się nie uda? Nie możemy dać Źródłu tego, czego pragnie. – Spojrzała na Tor. Jej twarz była całkowicie, niespodziewanie spokojna, jakby wyszła już poza strach i rozpacz.

– Nie wiecie, czego chce? Nie macie tego?

Moon pokręciła głową. – Wiemy, czego chce. Jesteśmy jedynymi, którzy to mają. Ale nie możemy mu dać. Me możemy. To właśnie najgorsze... – Zamknęła oczy.

Tor popatrzyła na Moon, nic nie pojmując. Spojrzała na Gundhalinu, spostrzegła w jego oczach tę samą beznadziejną wiedzę. W jej własnych pojawiło się współczucie, choć nie zrozumienie.

Moon podniosła się z miejsca. Wstał także, podobnie jak ona wiedział, że powiedzieli sobie wszystko, co mogli, że nie mają potrzeby pozostawania tu dłużej. Tor podeszła do Moon i położyła rękę na jej ramionach. Gundhalinu zdziwił się, ujrzawszy w jej oczach łzy.

– Uratuje ją – mruknęła Tor. – Wiem o tym. Moon uniosła głowę, gdy Tor opuściła rękę.

– Albo zginie próbując – szepnęła. Jej własne dłonie zwisały bezradnie wzdłuż boków. – Dziękuję ci, Tor.

Tor gwałtownie pokręciła głową. – Nie dziękuj mi za to! Napluj w twarz, przeklnij, jeśli chcesz, ale na miłość bogów, Moon, nie dziękuj, że ci to powiedziałam.

Moon uśmiechnęła się z trudem i dotknęła wilgoci na policzku Tor.

– Nie za to – powiedziała łagodnie. – Wiesz, o co mi chodzi. – Odwróciła się, opuściła głowę.

– Co zamierzacie zrobić z Kirardem Setem? – zapytała Tor nagle.

Moon obejrzała się.

– Każę go aresztować – powiedział BZ.

– Nie. – Moon pokręciła głową. Oczy miała teraz zimne. – Nie. Zostaw go mnie.

– Co chcesz z nim zrobić? – zapytała Tor.

Moon zawahała się. – Osądzi go Morze – powiedziała w końcu – zgodnie z tradycyjnym prawem naszego ludu.

Tor kiwnęła głową, jej zadowolenie nabrało nagle odcienia niepokoju.

– Zrób to – szepnęła w końcu.

Wyszli razem z klubu, nie zwracając uwagi na hałasy, na spojrzenia mijanych gości.

– BZ... – Moon zwróciła się do niego, mrugając po znalezieniu się w niespodziewanym blasku ulicy. – Pamiętasz, co Reede powiedział nam o Sparksie?

Gundhalinu pokręcił głową, umysł miał pogrążony w powtarzającej się nieustannie pętli trosk. Był pewien, że podczas następnej partii Gry, podczas której zgromadzą się wszyscy, zdoła zdobyć dla siebie pionek Reede'a... nie przypuszczał, że zostanie on usunięty z planszy. Wierzył, że nocne odwiedziny Kullervo są obiecaną przez Kitaro bezpieczną wizytą. Tak jednak nie było i Bractwo trzyma teraz klucz do zagadki merów, a jedyną ceną, która może zwrócić im Reede'a, jest odpowiedź na owe niemożliwe pytanie.

Bogowie, jak mogło wszystko pójść tak źle? Czy zamaskowane postacie, które przyprowadziły Reede'a do jego drzwi, nie wykonały po prostu wszystkich rozkazów Kitaro, bo zabrakło jej, żeby wszystkiego dopilnować? Czy też była to akcja nieprzyjaciela, niespodziewany ruch jakiegoś nieznanego gracza, rzucającego kluczowy pionek w ręce Chaosu?

– BZ? – powtórzyła Moon.

– Nie – mruknął z roztargnieniem. – Nie wiem...

– Reede powiedział, że Sparks kryje coś i przed nami. Powiedział: "Zapytajcie go o mery". Nie możemy go teraz zapytać, ale powinniśmy przejrzeć dane.

Spojrzał na nią, pojął, że jej myśli podążają tym samym szlakiem co jego, ale nie natykają się na ślepej uliczki. Mimo to znowu pokręcił głową.

– Sparks nie ma wykształcenia technicznego; nie mógł odkryć niczego naprawdę przydatnego.

– Sparks jest bardzo inteligentny – odparła Moon, patrząc na niego stanowczo. – Na badaniach merów spędził połowę życia. To jemu zawdzięczamy większość danych o ich mowie. Nie lekceważ go. Mimo wszystko jest w jednej czwartej Kharemoughi.

BZ wykrzywił usta. Opuścił wzrok.

– No to zgoda.

– Chodź ze mną do pałacu. Wszystko trzyma tam, w Kolegium Sybilli.

Kiwnął głową. Wracali przez miasto, aż dotarli do pałacu. Moon zaprowadziła Gundhalinu do komnat będących zarówno prywatnymi pokojami Sparksa, jak i jego gabinetem. BZ obejrzał tymczasowe miejsce do spania w kącie wielkiej sali, wypełnionej niemal całkowicie książkami i urządzeniami elektronicznymi. Ubrania i rzeczy osobiste piętrzyły się przypadkowo w drewnianych skrzyniach lub mieszały na półkach z materiałami badawczymi Sparksa. Gundhalinu poczuł nagle współczucie dla człowieka, którego prywatne życie już przedtem naruszył tak głęboko.

– Od czego zaczniemy?

Moon zawahała się, rozejrzała podobnie jak on, jakby nigdy przedtem nie widziała tego pokoju lub nie rozpoznawała, czym stał się teraz.

– Może powinieneś zacząć od przeszukania jego zbiorów z danymi. Ja... ja przejrzę rzeczy. – Przciskając ręce do boków, przeniosła znowu wzrok z Gundhalinu na komnatę.

Kiwnął głową, rozumiał zarówno jej uznanie dla jego umiejętności, jak i potrzebę przyznania nieobecnemu mężowi prawa do tego, by osobiste rzeczy Sparksa nie były przetrzāsane przez rywala, który zajął jego miejsce.

Usiadł przy komputerze, wywołał go, zażądał przeglądu zawartości, zbiorów po zbiorze. Od czasu do czasu polecał przenieść coś do swych prywatnych danych, by przejrzeć później bardziej szczegółowo, ale nie znalazł niczego, co by go zdziwiło. Moon poruszała się obok spokojnie, przeszukiwała stosy wydruków z nabazgranymi notatkami, przerzucała książki, zapisy i taśmy, rozdzielała je i uporządkowywała. Obserwował ją częstką uwagi, nigdy o niej nie zapominał, choć jednocześnie wpatrywał się w przepływające przed oczyma dane. Dokonywała poszukiwań w obsesyjnym skupieniu, powstrzymywała wszelkie uczucia. Mimo to zauważał jej wahania, gdy natykała się na rzeczy wywołujące ból. Starał się, by szczególnie w tych chwilach na nią nie patrzeć.

W końcu pojawiły się przed nim ostatnie ze zbiorów ogólnych, podsumowujących. Wyprostował się w fotelu, gdy sztuczny głos komputera poinformował go bez emocji, że zbiór jest zabezpieczony hasłem.

– Cholera – mruknął.

– Tak? – Moon spojrzała na niego z drugiego końca pokoju.

– Znalazłem zabezpieczony zbiór.

– A ja zamkniętą szufladę... – Patrzył, jak podważa ją znalezionym na stole zakrzywionym ostrzem noża do patroszenia ryb. Krzyknęła zaskoczona, gdy szuflada skoczyła na nią. Usiadłszy przy biurku, grzebała w jej zawartości, niewidocznej dla Gundhalinu. Podniosła coś, małą sakiewkę ręcznej roboty, wyszywaną paciorkami i haftem, rodzaj miejscowej sztuki. Położyła ją na blacie, nie patrzyła na niego, zdała się nawet zapomnieć, że tu jest.

Wyjęła coś jeszcze – łańcuszek z wisiorkiem ze srebrzystego metalu, identyczny z noszonym przez Reede'a. Tym razem obejrzała się przez ramię, podniosła oznakę Bractwa.

Zobaczył wszystkie rodzaje ciemności przesuwane przed jej oczyma, którymi patrzyła na kołyszący się w powietrzu przedmiot, wiedziała, co symbolizował. Wypuściła go, brzęk po uderzeniu o podłogę rozległ się głośno w cichym pokoju. Odwróciła się znowu, umknęła przed jego oczyma, zaczęła wyjmować z szuflady inne rzeczy: pozaziemski medal, sznur jasnych szklanych paciorków, starodawny wzornik, drewnianą dziecięcą zabawkę. Ostatni przedmiot trzymała trochę dłużej niż pozostałe, nim wreszcie odłożyła.

Ponownie sięgnęła do szuflady, wyjęła coś z wahaniem, jakby było kruche. Zobaczył kosmyk jasnych włosów, przypominających pianę na szczycie fali, zamknięty w szklanej fiolce. Patrzyła na niego, trzymając w złożonych dłoniach.

– Twoje? – zapytał. Pokręciła głową. – Nie.

– Arienrhod? – zapytał miękko.

Z przesadną ostrożnością postawiła na biurku szklaną buteleczkę.

– Może. Albo Ariele... – Dostrzegł nagle, jak tryskają łzy, które długo powstrzymywała. Cichy szloch wstrząsał jej ramionami. Odwróciła się, pochyliła nad biurkiem, skryła twarz w dłoniach. – Nie wiedziałam nawet, że się z nim spotykała. – ZReede'em. – Powinnam była przeszkodzić temu! Nigdy naprawdę jej nie znałam, choć była moim dzieckiem...

BZ wstał z miejsca i przeszedł przez pokój, ukląkł przy płaczącej Moon.

– Nigdy jej nie znałam... – Nagła rozpacz pozbawiła go głosu, trzymał ją tylko, opierając głowę na jej ramieniu. Wysunęła gorączkowo ręce, by go objąć, poczuł łyzy spadające na kurtkę munduru.

– Powinienem był go zatrzymać. Miałem go w rękach!

– To nie twoja wina.

– Ani twoja. – Uniósł głowę, zmusił ją do spojrzenia. – Jeszcze nie wszystko stracone – jakimś cudem zdołał mówić stanowczo. – Nie możemy pozwolić, by rozpacz nas sparaliżowała, potrzebujemy każdej chwili...

Kiwnęła głową, wytarła twarz w jego rękaw, wciągnęła długi, drżący wdech.

– Wiem – mruknęła. Odsunęła się, wyswobodziła z jego ramion, wyprostowała ramiona. Wyjęła z szuflady i położyła na biurku jeszcze jeden przedmiot – książkę o okładce tak zniszczonej przez czytanie i czas, że nie mógł odcyfrować tytułu.

Podniósł ją ze zdziwieniem, jak zawsze niezdolny oprzeć się ciekawości. W młodości uwielbiał książki, fascynowała go prymitywna, lecz głęboka natura tego nośnika informacji, jego zdolność przekraczania wszelkich barier technicznych, poręczność, doznania dawane dotykowi i węchowi. Przeczytał mnóstwo romansów Starego Imperium, przywykł do zalewu słów – do tego, jak pobudzał jego wyobraźnię do tworzenia własnych fantazji o zaginionych czasach, zamiast wmuszać rzeczywistość przygotowaną uprzednio przez kogoś innego.

Potem jednak przybył na Tiamat, do starożytnego, tajemniczego Krwawnika, usiłując ożywić swe fantazje; długo nie miał serca do czytania. A jeszcze potem nie miał czasu... Otworzył książkę, spojrzał na stronę tytułową. Była po tiamatańsku, w uniwersalnym alfabecie fonetycznym: traktowała o teorii fugi. Przerzucał kartki o miękkich brzegach, widział notatki napisane na marginesach nie znanym nieozdobnym charakterem pisma. Tworzyły je wzory matematyczne i symbole muzyczne, opatrzone strzałkami, znakami zapytania i skrótami, których nie potrafił odczytać. Trzymając książkę, poczuł jednak, jak coś się odzywa w ukrytych warstwach mózgu, gdzie czysty rozsądek spotykał się z czystą intuicją. Zamknął tom, patrząc na Moon.

– Mogę to wziąć?

– Myślisz, że tego właśnie szukamy? – zapytała.

– Nie wiem. Ale warto to bliżej zbadać. – Spojrzał na nieruchome oko komputera. – Czy znasz hasła, którymi Sparks opatrywał swe osobiste zbiory?

– Nie wiedziałam nawet, że miał zbiory zabezpieczone przed dostępem... – urwała. – Tak mało wiem o nich wszystkich. – Bezwiednie potarła oczy. – Odwrócił się od nas, nie tylko ode mnie, gdy się dowiedział... Tak bardzo go to zabolalo, zabrało mu wszystko. Chyba kochał ją bardziej niż kogokolwiek. – Ariele. – Ale potem więcej się do niej nie odezwał. – Pokręciła głową. – A teraz pogonił za nią...

BZ milczał z opuszczoną głową. Położył łagodnie ręce na jej ramionach; przycisnęła do nich twarz, zamknęła oczy.

Ktoś wszedł do pokoju, zatrzymał się ze zdziwieniem. Zaskoczeni, popatrzyli razem na Tammisa przyglądającego się im w progu. BZ pośpiesznie, bezwiednie cofnął dłonie; stał obok Moon, gdy jej syn wszedł do pokoju.

Tammis zatrzymał się ponownie, patrząc na BZ i matkę z niewypowiedaną sympatią.

– Powiedziano mi, że tu jesteście – oznajmił. – Mam dla was wiadomość... – Moon zeszywniała, ale powaga chłopca przeszła w uśmiech. Zaraził ich oboje promieniującą z twarzy dumą i radością. – Merovy i ja będziemy mieli dziecko.

Z gardła BZ wydarł się cichy okrzyk zdumienia, twarz Moon opuściły wszystkie uczucia.

Tammis niepewnie popatrzył na oszołomioną minę matki, potem na BZ.

– Znowu jesteśmy razem – powiedział. – Dogadaliśmy się. Zawdzięczam to... – Urwał, nie powiedział ani "panu, sędzio", ani "tobie, ojciec". Wyciągnął rękę.

– Moje gratulacje. – Gundhalinu potrząsnął jego dłonią, zapragnął objąć chłopca, ale nie mógł... nagle zdał się tak obcy swemu synowi, jak jego własny ojciec wydawał się zawsze jemu. – Cieszę się, że to słyszę.

Tammis uśmiechnął się przelotnie z takim samym żalem jak on, zwrócił w stronę matki. Spoważniał. – Co się stało?

Przycisnęła dłoń do ust, pokręciła głową w niemych przeprosinach; jej oczy niespodziewanie wypełniły się znowu łzami.

– Usiądź, Tammisie – powiedział BZ spokojnie. Wyjaśnił wszystko, odwracając wzrok, nie potrafił patrzeć, jak przyjmuje jego słowa.

– Matko nas wszystkich... – mruknął Tammis, gdy skończył.

– Przykro mi, Tammisie – szepnęła Moon – że psuję twą wspaniałą wiadomość. – Wstała z krzesła i podeszła do niego. BZ zobaczył, jak patrzy na syna z przeprosiniami za zbyt liczne chwile podobne do tych. Mimo to rozjaśniła się uśmiechem, jaki zawsze pamiętał. – Trudno mi w to uwierzyć – powiedziała, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Dziękuję ci, że wróciłeś nam teraz nadzieję. – Tammis wstał z miejsca, Gundhalinu patrzył, jak obejmują się z miłością, zawsze marzył o takim tuleniu ledwo znanego syna, przesuwają mu się przed oczyma obrazy z całego życia. Dziecko, pomyślał, jest śmiechem nadziei skierowanym w twarz istnienia.

– Myślisz, że tacie uda się sprowadzić Ariele? – zapytał Tammis, gdy puściła go wreszcie.

– Nie wiem. – Moon lekko pokręciła głową, patrząc na BZ.

– Możesz mu pomóc? – zapytał Tammis, w ślad za nią kierując wzrok. – Czy możesz wysłać tam Policję?

– To nie takie proste – odpowiedział BZ. – Ale na wszystkich mych przodków, zrobię, co tylko będę mógł. – Obejrzał się na otwarty, czekający ekran komputera, na tajemnice, do których nie miał dostępu. – Tammisie, czy wiesz coś o osobistych hasłach swego... swego ojca? – Zapytał, choć wiedział, że robi to nadaremnie, że Tammis i Sparks nigdy nie byli z sobą zbyt blisko.

Ale chłopiec przytaknął, patrząc ciekawie.

– Zwykle używał znaków do zapisywania pieśni merów. – Wzruszył ramionami, zauważywszy zdumione spojrzenie BZ. – Rozmawialiśmy z sobą dłużej tylko wtedy, gdy dowiadywałem się czegoś nowego o merach... – Wyjął piszczałkę z sakiewki przy pasie; Gundhalinu uprzytomnił sobie, że Tammis miał ją zawsze przy sobie, jak kiedyś Sparks. Chłopiec patrzył chwilę na kruchą muszlę, wzrok miał nagle daleki.

– O co chodzi, Tammisie? – zapytała Moon miękko.

Spojrzał na nią. – Zastanawiałem się tylko – powiedział niemal niedosłyszalnie – czy tata poleciałby po mnie. – Uniósł piszczałkę, podszedł do BZ siedzącego przed nie odpowiadającym komputerem. Tammis zagrał krótką melodię; nic się nie zmieniło. Spróbował nowej, jeszcze jednej. W końcu, po przedstawieniu niemal tuzina, pusty ekran ożywił się nagle. Program otworzył swe niewidzialne wrota, zaczęły nimi płynąć dane.

BZ uśmiechnął się triumfalnie, dzielił przez chwilę radość ze stojącym obok chłopcem. Popatrzył na ekran, wchłaniał potok symboli, korzystał z poznanych w Przeglądzie technik, by niemal równie szybko co bezpośrednio połączenie gromadzić dane obrazowe. Pieśń merów jako ciągi fug...

Powietrze wokół niego wypełniło się tonami, program Sparksa odtwarzał pasma muzycznej pajęczyny, zaczął je splatać, podczas gdy na ekranie pojawiały się wzory matematyczne, określające

zmieniające się ciągle, wzajemne stosunki dźwięków, wyrażając związki wewnętrzne. BZ siedział wniebowzięty, ledwo zauważając, że w tyle Moon i Tammis zaczęli cicho rozmawiać, a potem odeszli i wrócili do przeszukiwania rzeczy Sparksa.

Po przejrzeniu całej zawartości zbioru, zafascynowany układami, wywołał go ponownie. Sparks odnalazł klucz, był tego pewien... kodem jest matematyczna struktura muzyki, współbrzmiąca z jakąś częścią jego mózgu, niewerbalnymi głębiami myśli, skąd wywodzą się korzenie całej muzyki i matematyki.

Obserwował i słuchał siatek współzależności, pojawiających się na ekranie, w powietrzu, wewnątrz umysłu; poczuł budzący się w nim pełen zgrozy podziw dla skrytego arcyzmu ich twórcy. Patrząc uprzytomnił sobie nagle, że muzyka stanowi jedynie nośnik, najważniejsze są tkwiące w niej dane matematyczne. Znał znaczenie tych równań, migających na ekranie wzorów... miesiącami wraz z Reede'em Kullervo pracował codziennie nad podobnymi problemami, starali się wówczas zapanować nad plazmą napędu gwiazdowego. Matematyka wewnątrz muzyki musi mieć coś wspólnego z kontrolowaniem sprytmaterii.

Dostrzegał jednak ziejące luki w logicznym nurcie, nieobecność ważnych elementów, niszczonej wraz z noszącymi je pieśniami merów. Zauważał ostrożne próby Sparksa odtworzenia brakujących części – odważne wysiłki inteligentnego, zdolnego umysłu, któremu braki w wykształceniu matematycznym i informatycznym nie pozwalały na przekroczenie progu odkrycia. Wypełnił go pozbawiony zupełnie zawiści podziw dla osiągnięć Sparksa Dawntreadera. Wypytał komputer, wydał mu następne polecenia; przesłał dane do własnego, nakazując jednocześnie dokonanie odpowiednich przekształceń, zadał właściwe pytania...

– Odkryłeś coś – powiedziała Moon zza pleców i nagle zdał sobie sprawę, że stoi tam z Tammisem, patrzy od jakiegoś czasu, jak on obserwuje ekran. – Co to jest?

Spojrzał na nią, pozwolił dostrzec zachwyt w swych oczach.

– Sparks odkrył. Klucz do pieśni merów. Opiera się na teorii fugi... – Wskazał na książkę leżącą obok na biurku. – W tkaninę muzyki wplecione są funkcje matematyczne. Na najbardziej podstawowym poziomie muzyka jest czystą matematyką – dodał, spostrzegając po ich spojrzeniach, że nie rozumieją. – Każdy ton znajduje się w dokładnym, niezmiennym stosunku wobec innych. Złożone współzależności matematyczne mogą być wyrażone w budowie kompozycji muzycznej, chociażby fugi, jakby stanowiła ona rodzaj szyfru. Sparks dotarł do struktur podstawowych – są tu wszystkie. Wiążą się one z manipulacją sprytmaterią. Poleciałem mojemu komputerowi, by ułożył program, który powinien odtworzyć brakujące części, a wtedy być może zdołamy w końcu dostrzec, jaki problem należy rozwiązać... – Popatrzył na ekran, gdy powietrze wokół niego wypełniły nawiedzone dźwięki wezwań merów, odtworzone, lecz niesamowicie realistyczne.

– Znasz już odpowiedź – mruknęła Moon, jej głos ledwo się przebił przez muzykę.

Odwrócił się ku niej, dojrzał oczy lśniące od zdumiewającego widoku.

– Co...?

– Mery przybywają do miasta – powiedziała. – Mogą mieć tylko jeden powód... – Urwała, oczyma dokończyła myśl, której nie mogły wyrazić wargi. Potrzebuje ich.

Otworzył usta, gdy w jego umyśle zamknął się nagle pewien obwód, wypełnił go światłem objawienia.

– Podtrzymanie stanu sprytmaterii... – szepnął. – Tak, na wszystkich bogów! – Potrzebuje ich. Zerwał się z fotela i wziął ją w ramiona. – Wszystko pasuje do siebie!

– O czym mówicie? – zapytał Tammis. BZ spojrzał na niego z bezradnymi przeprosinami, podobnie Moon. – Nie potrafimy ci tego wyjaśnić, Tammisie – powiedziała, spuszczać wzrok. –

Jeszcze nie.

– Ale sądzicie, że to pomoże Ariele? – zapytał. Popatrzyła na BZ, odbijające się w jego twarzy własne wątpliwości i nagłą rozpacz.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Musimy wierzyć, że tak będzie.

Moon otrząsnęła się z tego nastroju, już bez niego spojrzała znowu na Tammisa.

– Jest już późno... Wracaj do Merovy, przekaz jej moje gratulacje i miłość. – Uśmiechnęła się, lecz zaraz spoważniała. – Ale nie mów jej, co tu robiliśmy i dlaczego. Nie mów nikomu, proszę cię, Tammisie.

Równie spoważniały, kiwnął głową. Objął ją po raz ostatni, w pożegnaniu.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział BZ, gdy chłopiec nań spojrzał.

Tammis ponownie skinął głową. – A ja za twoją – powiedział matowym głosem. Odwrócił się, ruszył do drzwi.

Moon patrzyła na niego smutnym, zamyślonym wzrokiem.

– Niech Pani ich błogosławi – stwierdziła niemal bezwiednie i westchnęła, zamykając oczy. – Mówią... mówią, że Matka najbardziej kocha dzieci... – Głos się jej załamał. – Pani, pomóż im wszystkim, moim dzieciom i Swoim. – Otworzyła oczy, ale nie było w nich nadziei. Popatrzyła na Gundhalinu. – Za co Tammis ci dziękował?

BZ wzruszył ramionami. – Za rolę bezstronnego obserwatora – powiedział, odwracając wzrok. Objął ją, ponieważ było to znowu niesłuszne. Niespodziewanie nieśmiało uśmiechnął się do niej. – Jestem za młody na dziadka.

Popatrzyła nań z uśmiechem równie nagłym i podszytym goryczą.

– Nie tutaj. Jak wiesz, jesteśmy na Tiamat. – Znowu opuściła wzrok. – BZ, zostań dziś ze mną. – Wcisnęła twarz w tkaninę jego kurtki.

Kiwnął głową, wiedząc, że nie powinien, ale także, że równie jak ona nie jest w stanie spędzić tej nocy samotnie, tylko z nadziejami i obawami.

Zimnymi rokokowymi korytarzami pałacu prowadziła go do sypialni, żadne z nich nie miało ochoty na spóźnioną kolację. Położył się przy niej na łóżku, westchnął, gdy materac z ptasiego puchu objął go niby ramiona kochanki. Nie mając sił na miłość, długo trzymali się tylko w ramionach, niewiele mówili, starali jeszcze mniej myśleć. Moon zostawiła na nocnym stoliku zapaloną lampę, nie potrafiła znieść przytłaczającej mocy całkowitej ciemności.

Zasnęła w końcu, znajdując spokój w jego ramionach. A Gundhalinu, patrząc na nią, czując blisko ciepłe, oddychające równo ciało, doczekał się zaciężenia powiek i wreszcie zapadł w sen.

* * *

Nie wiedział, czy minęły minuty, czy godziny, gdy drzwi komnaty otworzyły się z brutalnym trzaskiem, wyrwały ze snu. Oszołomiony i zamroczony usiadł na łóżku. Moon wsparła się obok na łokciu, naciągnęła kołdrę na piersi, gdy dostrzegła kilku mężczyzn w niebieskich mundurach Policji.

– Vhanu...? – zapytał zdumiony Gundhalinu, zasłonił ręką oczy, gdy sypialnię zalało światło. – Co, u diabła, tu robicie? W imię tysiąca bogów, co to ma wszystko znaczyć?

Vhanu patrzył na nich leżących obok siebie. Uczucia, jakie BZ dostrzegł w oczach byłego przyjaciela – litość, nieprzejednane potępienie, rozpaczliwe zdecydowanie – dały mu żadaną odpowiedź. Vhanu wyprostował się, jakby miał zaszutować, ale tego nie zrobił.

– Sędzio Gundhalinu, przyszedłem pana zaaresztować.

– Pod jakim zarzutem? – zapytał BZ, nie do końca przekonany, że to nie koszmar senny.

Vhanu ściągnął usta.

– Panie sędzio, mam... trudny i bolesny obowiązek powiadomienia pana, że jest pan oskarżony

o zdradę.

TIAMAT: Krwawnik

Moon podążała za mrukliwą oficer poprzez krzątanicę będącą wnętrzem dowództwa Policji, wpatrywała się w jej okryte mundurem plecy. Wyczuwała zdumienie rozszerzające się wokół jak fale wywoływane dziobem statku – szepty, domysły, zaciekawione spojrzenia: To Królowa. Przyszła odwiedzić Gundhalinu, zobaczyć się z kochankiem. Złapali ich razem gołych, popełniających zdradę... Gundhalinu bohater, Gundhalinu zdrajca: co ta kochająca Matkę Królowa chce od nie go, skoro siedzi?...

Poprosiła dyżurnego sierżanta o zezwolenie na spotkanie z głównym sędzią Gundhalinu. Pokręcił głową i odpowiedział:

– Nikomu nie wolno odwiedzać więźnia. – Więźnia. Najmniejszych śladów tego, kim był jeszcze wczoraj; co zrobił dla swych rodaków, wszystkich dokonań dla Hegemonii. Zażądała spotkania z głównym inspektorem. Została przekazana jednej z kobietoficerów i wysłana poprzez mękę głupawych uwag.

Minęła je, ledwo zauważając niepożądaną uwagę, pochłaniały ją rozmyślania o stratach i kwestie takiej wagi, że drwiny obcych malały przy nich do swych właściwych rozmiarów nic nie znaczącego szumu. Głosy ucichły wreszcie, jakby to też rozumiały.

– Królowa do pani inspektor. – Przewodniczka wprowadziła ją do gabinetu, zasalutowała i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jerusha PalaThion ze zdumieniem popatrzyła na gościa znad naręcza rzeczy. Wrzuciła je beztrosko do pustej skrzyni. Moon zawahała się, lekko zachmurzyła.

– Co robisz? – Obok komputera piętrzyły się dalsze pudełka, już zapełnione; półki i szafki pokoju były całkowicie puste.

– Opróżniam biurko – odparła Jerusha z wyraźną ironią. – Komendant Policji zawiadomił mnie rano, że oskarżył BZ o zdradę i wprowadził prawo wojenne. Ponadto dziś po raz ostatni pełnię obowiązków głównego inspektora.

– Cycuszki Pani! – Moon walnęła pięścią w zamknięte drzwi, przypomniawszy sobie ostatnią noc. Nagle wyzuta z sił oparła się na ich starej, nieugiętej powierzchni. – Do licha z nim! Niech gnije w każdym wybranym przez siebie piekle. – Uniosła wzrok, dostrzegła całkowite poparcie w oczach przyjaciółki. – Widziałaś BZ – rozmawiałaś z nim? Jak się czuje?

Jerusha pokręciła głową. – Vhanu nikogo do niego nie dopuszcza; a już na pewno nie tych, którzy chcieliby mu pomóc. Na Przewoźnika, próbowałam. – Usiadła na fotelu za biurkiem, oparła czoło na dłoniach.

Moon przeszła gabinet. – Powiedziałaś, że wprowadził prawo wojenne? Czy ma do tego prawo?

– Jest tu pierwszym zastępcą Głównego Sędziego. Gdy BZ został zdjęty ze stanowiska, przejął jego uprawnienia. Nazwał to stanem wyjątkowym, będzie rządził, póki nie otrzyma rozkazów od Centralnego Komitetu lub nie przybędzie nowy główny sędzia. Praktycznie może teraz wszystko. – Twarz Jerushy posmutniała.

– A jeśli się sprzeciwię...? – Moon urwała, słysząc, jak drzwi gabinetu otwierają się za nią nagle.

– Będę miał prawo wymusić wykonanie mych poleceń – odpowiedział obojętnie komendant Policji. Pochylił się w lekkim, prawidłowym ukłonie. – Pani. – Spojrzał na Jerushę, która wstała z miejsca i sztywno zasalutowała. Z kamienną twarzą odwzajemnił przywitanie.

Moon poczuła, że twarz jej płonie.

– Grozi pan zaatakowaniem moich rodaków? – zapytała z gniewem.

– Nie, chyba że dadzą po temu powód. – Oczy miał nieprzeniknione, jak z obsydianu.

– Co pan przez to rozumie? – Odsunęła się od biurka, ręce trzymała sztywno wzdłuż boków.

– Zamierzam wznowić polowania na mery. Jeśli pani czy jej rodacy będziecie w nich przeszkadzać, podejmę kroki odwetowe. Nie muszę dodawać, kto będzie stroną poszkodowaną w razie konfliktu z Hegemonią.

– Tak więc Hegemonia rozumie "autonomię"? – zapytała Moon. – Jako niewtrącanie się w nasze sprawy wewnętrzne, chyba że postanowicie inaczej? Chyba że nad jej prawo do wyzyskiwania naszego świata postawimy naszą kulturę, wierzenia czy nawet życie merów – mających większe prawa do planety od kogokolwiek z nas – chęć uchronienia ich przed śmiercią?

– Do wprowadzenia stanu wyjątkowego i praw wojennych upoważnia sytuacja poważnych zamieszek społecznych lub walk – powiedział Vhanu obojętnie. – Naszym zadaniem jest utrzymywanie spokoju.

– Powiedziano mi, że wasz naród ponad wszystko ceni honor. Widzę, że zostałam źle poinformowana – mruknęła Moon. Poczowała bardziej, niż usłyszała, jak Jerusha gwałtownie wciąga powietrze; zobaczyła mruganie Vhanu, wiedziała, że mu dopiekła.

Vhanu zacisnął usta. – Pani, na waszym miejscu nie przeciągałbym struny. Jedynie owa tak wysoko ceniona autonomia broni panią przed oskarżeniem o to samo, co Głównego Sędziego.

Zarumieniła się. – Nie ma pan prawa...

– Nie mam prawa? – Szarpnął zaciśniętą dłońią. – To pani nie miała prawa go uwodzić, wabić ciałem, byleby otrzymać wszystko, co tylko chciała! To on nie miał prawa odwracać się od swych rodaków! Nie miał prawa do takiej słabości. Ktoś musiał wyrwać go z szaleństwa, nim zniszczyłby wszystko, co tu dokonaliśmy. Byłem jego najlepszym przyjacielem, do diabła! – Przeszło go drżenie, jakby ledwo powstrzymał się przed podniesieniem na nią ręki.

– Tylko dopóki dawał panu wszystko, czego pan pragnął – powiedziała cicho i zimno. – Kocha mnie, a ja jego. Postępował jednak zgodnie ze swą wolą, nie jako mój kochanek, ale człowiek honoru.

Vhanu długo przyglądał się jej z wykrzywionymi ustami. W końcu mruknął coś w sandhi i odwrócił wzrok. Przetłumaczyła gorzkie słowa: barbarzyńska dziwka.

Powiedziała w sandhi:

– Komendancie Vhanu, woli pan rozmawiać we własnym języku? Rozumiem go całkiem nieźle.

Popatrzył na nią, blade piegi na jego śniadej twarzy nabrały krwawej czerwieni. Odetchnął głęboko.

– Myślę, Pani, że w żadnym języku nie mamy sobie wiele do powiedzenia – odpowiedział po tiamatańsku i zaczął się odwracać.

– Chcę się z nim zobaczyć – zażądała Moon. – Nie może mi pan tego zabronić.

Odwrócił się znowu. – Obawiam się, że to niemożliwe. Nie ma go tutaj.

– Co? – zeszywniała.

– Odleciał. – Vhanu wzruszył ramionami. – Na Kharemough, by stanąć przed Sądem Najwyższym. Jeśli pozostałby tutaj, stwarzałoby to zbyt dużą groźbę zamieszek, dlatego odesłałem go natychmiast.

Moon miała wrażenie, że dławi jej gardło swym zadowoleniem, jakby były to ręce.

– Chciał pan powiedzieć – wydusiła z siebie – że istniało zbyt wielkie ryzyko jego słuszności; że nie zamilkłby, a wszyscy, których by doszedł jego głos, przyznaliby mu rację.

– Proszę nie przeciągać struny – ponowił ostrzeżenie, chmurząc się jeszcze bardziej. Jeszcze raz

się jej uklonił z wielkim wdziękiem, potem odwrócił się, otworzył drzwi; już na progu zatrzymał się, obejrzał. – Przy okazji – powiedział. – Dowiedziałem się, że wasze fanatyczne bzdury o dziesiątkowaniu przez nas merów są nie tylko zabobonną gadaniną, ale i całkowitym kłamstwem. Moi ludzie stwierdzili, że wody roją się od zwierząt. Ich liczba jest daleka do wyczerpania.

– Nie! – Podeszła bliżej. – To nieprawda, nie ma więcej merów... Proszę poszukać dalej, przeszukać wszystkie morza; macie możliwości. Oceany opustoszały.

Pokręcił głową, wyrażając wzrokiem politowanie, jakby była niegodna nawet pogardy. Wyszedł, nic nie odpowiadając.

Moon stała nieruchomo na środku pokoju, aż minęła jej rozpaczliwa wściekłość. Obejrzała się wtedy ku Jerushy.

PalaThion siedziała znowu za biurkiem, jej oczy wypełniały pytania, żadne nie było pocieszające. Sięgnęła do kieszeni po paczkę iestów, wsadziła do ust całą ich garść, zaczęła żuć dla uspokojenia nerwów.

Moon podeszła do fotela i ciężko na niego opadła.

– BZ nie mógł odlecieć – powiedziała, przyglądając się dłoniom leżącym na podolku jak zdychające robaki. – Jak mogło do tego dojść? To niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe – mruknęła Jerusha głucho.

– Jest. – Moon uniosła głowę. – Musi być tutaj. Było to mu przeznaczone. Im obu... Wszyscy znajdowaliśmy się na miejscu i nagle, gdy byliśmy już gotowi... odlecieli. – Pokręciła głową, czuła się jak pobita, jakby wewnątrz krwawiła.

Jerusha popatrzyła uważnie i Moon zobaczyła na jej twarzy wyraz, jakiego już od lat nie dostrzegła.

– Bogowie – powiedziała PalaThion. – Znowu do ciebie przemówił, tak? Umysł sybilli? Tak samo jak wtedy, gdy powiedziałaś mi, że zostaniesz Królową.

Bez słowa kiwnęła głową.

– Kto jest trzeci?

– Reede... Reede Kullervo.

Oczy Jerushy się rozszerzyły, zasępiona wpatrywała się w dal.

– Pracuje dla Źródła. BZ chciał go schwytać... miało się to odbyć nieoficjalnie. Zajmowała się tym Kitaro, nim... – Spojrzała znowu na Moon. – Co się stało?

Moon opowiedziała jej, jak się to wszystko stało, składając razem poplątane myśli.

– I co według ciebie mieli w trójkę zrobić? – zapytała Jerusha, gdy już wszystkiego wysłuchała.

– Miało to – ocalić mery. – Moon pokręciła głową. – Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Najwyżej jeszcze to, że mają klucz do czegoś. Jeśli ten merobójca Vhanu... – urwała. – Gdyby tylko wiedział, co robi, nie tylko merom, nie tylko nam, ale i sobie...

Jerusha wzruszyła ramionami. – Tak więc Gundhalinu więzi Hega, a Źródło Reede'a...

– I Ariele. – Zmusiła się do tych słów.

– Ariele? – zbladła Jerusha. – Czemu, na wszystkich bogów?

– Związała się z Reede'em. Nawet o tym nie wiedziałam... Źródło trzyma ich oboje. Bo... wiem coś, ale nie mogę zdradzić. – Opowiedziała całą resztę, potykając się na kolejnych słowach, aż w końcu jej głos przestał wyrażać jakiegokolwiek uczucia. – Wszyscy zniknęli... I nie wiem, czy ktokolwiek z nich wróci.

Jerusha cofnęła się w fotelu, wrzuciła nadajnik do pudła; podniosła wyblakłe oczy.

– Czy możemy jeszcze coś zrobić?

– Nic. – Moon pokręciła głową. – Wydaje mi się teraz, że nic nie ma sensu. – Miała wrażenie,

że kamienieje siedząc, aż stała się zbyt ciężka i bezwładna, by wstać z fotela. – Nie można niczego zmienić.

Jerusha pochyliła się nagle do przodu i włączyła komunikator.

– Prawer! Do mego gabinetu. Natychmiast.

Inspektor Prawer zjawił się w progu już po paru chwilach. Zasalutował.

– Pani inspektor? – Skłonił się lekko w stronę Moon, która uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

– Będziecie mnie zastępować, dopóki komendant nie wyznaczy nowego głównego inspektora. Rzeczy każcie odesłać do mego... – popatrzyła na Moon – do dowództwa policji miejscowej. – Moon uniosła głowę, niespodziewanie poruszyło się w niej coś nie będące kolejnym cierniem rozpaczy. – Chcę wrócić do dawnej pracy – powiedziała Jerusha.

– Jest twoja. – Moon wstała, spojrzała na Prawera, potem na Jeruszę.

PalaThion obeszła biurko, wcisnęła Prawerowi plik kart szyfrowych.

– Weźcie. Powiedzcie komendantowi Vhanu... – urwała i wypluła strączek iestów do kosza na śmieci. Moon zobaczyła, jak inspektor krzywi usta. – Powiedzcie mu... że jest nekritto. Jak i wszyscy jego przodkowie, począwszy od pierwszego.

Prawer spojrział na nią ze zdumieniem.

– Bogowie, nie mogę tak powiedzieć panu komendantowi – – Zacytujcie mnie. To bezpośredni rozkaz. – Zawahała się. – I ogłoście wśród ludzi, że Gundhalinu odleciał.

– Odleciał? – Powtórzył Prawer, twarz mu oklapła. Przytaknęła. – Tak jest, pani inspektor. – Wyprostował się i zasalutował. – Będzie wykonane.

Odwzajemniła salut, gdy wraz z Moon ruszyła do drzwi, inspektor minął je, kierując się do biurka.

Jerusha odetchnęła głęboko, gdy wreszcie stanęły przed Dowództwem Policji.

– Bez smrodu tego miejsca czuję się znacznie lepiej. – Obejrzała się na wejście do gmachu, na widniejący nad napis po tiamatańsku i hieroglify sandhi.

– Co to znaczy nekritto – zapytała Moon.

Jerusha wykrzywiła usta w uśmiechu wyrażającym radość i gorycz.

– Na Kharemough to najniższa z najniższych klas. Obraża, jak nazwanie Letniaka "merobójcą", tylko dziesięć razy mocniej. – Jej twarz znowu skamieniała. – Jedyнным prawdziwym błędem Gundhalinu było sądzenie, że ten ograniczony obłudnik Vhanu ma równą jemu klasę. – Spojrzała w dół, wypluła następny strączek i ruszyła za Królową, która już szła w kierunku wylotu ulicy. – Moon, chcesz wiedzieć, co myślę?

Tak. – Królowa wpatrywała się przed siebie, wiedziała, że nie ma innego wyboru: może tylko iść przed siebie, stawiać czoła przeznaczeniu, które się wokół niej zaciska, próbuje przydusić. – Powiedz mi. Potrzebuję spojrzenia z boku. Gdzie nie popatrzę, wszędzie otacza mnie ściana ognia... – Podniosła głowę, przypomniała sobie groźbę Vhanu i płomienie na niebie, które zniszczyłyby jej świat, gdyby zbyt mocno nacisnęła Hegemonię.

– W takim razie zwolnij. – Dłoń Jerushy opadła na jej ramię, powstrzymała. – Zwolnij. – Moon uczyniła to, obejrzała się. – Zaczekaj, aż dowiemy się czegoś więcej – usłyszała. – BZ ma przyjaciół – nie tylko tutaj, ale także na Kharemough. Może jeszcze wróci do nas... – W głosie Jerushy brzmiała jednak wątpliwość. Moon przypomniała sobie o poziomach Przeglądu i odłamach kryjących się za pozorną jednością. – A jeśli Sparks przywiezie Kullervo i Ariele, Reede może okazać się kluczem... ogniem do zdławienia ognia.

– Potrzebuję wody, by rozlać ją wszędzie. – Moon roztarta ramiona, ruszyła znowu w stronę

blasku Ulicy, czuła, jak jej umysł zaczyna się otwierać i działać. – Jeśli nawet, to miną tygodnie – może nawet miesiące, nim się czegoś dowiemy. A do tego czasu zginą wszystkie mery. – A wraz ze śmiercią każdego umiera kawałek umysłu sybilli... Pokręciła głową. – Wiem, że masz rację; mogę tylko czekać i patrzeć. Ale nie jestem przecież pustą muszlą. BZ zamierzał dokonać analizy zebranych przez Sparksa danych na temat pieśni merów. Mogę zrobić to sama.

– Twoje komputery są połączone z rządową siecią Hegemonii?

– Tak. – Moon popatrzyła na Jerushę. – Czemu pytasz?

– Prawo wojenne. Nie wiem, czy będziesz miała do niej dostęp. Vhanu może tego zakazać, jeśli zechce utrudnić ci życie. W każdym razie ma pewnie możliwość obserwowania wszystkich twych poczynąń na komputerach.

Moon odwróciła się, osłabłymi palcami dotknęła kolców koniczynki.

– Mam dostęp do systemu znacznie lepszego od istniejącego w mieście; Vhanu nie potrafi kontrolować sieci sybilli. Myślę, że wiem już, o co powinnam zapytać, by otrzymać potrzebne mi odpowiedzi. Zamierzam zwołać zebranie Kolegium Sybilli i w miarę możliwości przedstawić całą... sytuację. – Gardło jej zacisnęło się na słowie. – Jerusho, co zrobią BZ, jeśli...

PalaThion popatrzyła na nią.

– W Hegemonii nie istnieje kara śmierci. – Znowu patrzyła prosto przed siebie. – Ale pobyt w niektórych więzieniach powoduje, że zaczyna się tego żałować... On jednak do takiego nie trafi – dodała pośpiesznie. – Ma wielkie wpływy.

– I bardzo wielu wrogów – stwierdziła Moon cicho. Obejrzała się za siebie, na Siną ulicę. – Sprowadzę go. Na Panią i wszystkich ich bogów... Sprawię, że zapłacą, choćbym musiała czekać całe życie. – Spojrzała przed siebie. – A jeśli przegram, zapłacą wszyscy...

Jerusha popatrzyła na nią i nic nie dodała.

Osiągnęły wylot ulicy, gdzie na Królową czekała świta miejscowych policjantów. Poinformowała ich o powrocie Jerushy, przywitani tę wiadomość uśmiechami i kiwnięciami głowy.

– Mamy znowu kogoś potrafiącego gadać z Sinymi w ich własnym języku, co? – mruknął sierżant nazwiskiem Clearwater. – Dla mnie to wszystko sandhi, pani komendant – powiedział do Jerushy i wybuchnął śmiechem.

PalaThion wygięła usta w nikłym uśmiechu. Obejrzała się w stronę Moon, popatrzyła na nią usilnie.

– Pani, czy jest coś, co mogę dla was zrobić, skoro już znowu wam służę? Cokolwiek...

Moon zawahała się, przeglądała zjawiające się w jej umyśle obrazy, szukała takiego, który zdoła zmienić.

– Tak – stwierdziła w końcu. – Chcę, żebyście aresztowali Kirarda Seta Wayawaya.

Jerusha drgnęła zaskoczona, potem kiwnęła głową.

– Dopilnuję tego – powiedziała. – Natychmiast. Wezmę z sobą Clearwatera, jeśli może się pani bez niego obejść.

Moon kiwnęła głową i wyciągnęła rękę. Jerusha potrząsnęła nią w tradycyjnym powitaniu.

– Witam w domu. – Moon uśmiechnęła się w końcu.

Jerusha szła do domu Kirarda Seta Wayawaya, za nią Clearwater. Nie zadawał żadnych pytań, choć widać było, że ma na to ochotę. Była pewna, że Zimak jest w mieście, nie dalej jak wczoraj widziała go, oglądającego w Labiryncie wystawy sklepów.

Zapukała do drzwi frontowych, zaczekała, nagle w jej umyśle pojawił się niespodziewany obraz z czasów panowania Arienrhod – zobaczyła Kirarda Seta Wayawaya stojącego obok Otchłani, w której jeszcze wyły głodne wiatry; z kościanym gwizdkiem poskramiającym wichry czekającego na

inspektor Policji PalaThion i sierżanta Gundhalinu. Po takim czasie pamiętała nadal uśmiech, jaki zjawił się na jego młodej, doskonałej twarzy, gdy dostrzegł ich niepokój; jak śmiał się z nich w duchu, pozwalał wichurze łapać ich za pięty, gdy szli kładką na audiencję u Królowej Śniegu. Zrozumiała nagle, że pragnie odwrócenia sytuacji; pomimo upływu tylu lat nadal tego pragnęła, potrzebowała.

Drzwi się otworzyły, ale zamiast Kirarda Seta Wayawaya ujrzeli jego żonę, Tirady Graymount. Jerusha poczuła się zdziwiona głębią swego rozczarowania.

– Główny inspektor PalaThion... – mruknęła Tirady Graymount, opierając się trochę niepewnie o framugę otwartych drzwi. Jej oczy były dziwnie rozszerzone; Jerusha zastanowiła się, jakie narkotyki zażywa. Żona Kirarda Seta spojrzała w tył, na sierżanta, na jej smutnej twarzy pojawiła się ciekawość. – Czego pani chce?

– Przybyłam aresztować pani męża, Tirady Graymount. Zimaczka zamrugała, jakby z trudem pojmowała te słowa.

– Hegemonia go aresztuje?

– Nie Hegemonia. – Jerusha, zerknęła na nie zdjęty jeszcze niebieski mundur. Podniosła głowę, wzruszyła ramionami. – Pracuję teraz dla Królowej.

– Och – stwierdziła Tirady Graymount, jakby to wszystko tłumaczyło. – Męża nie ma w domu. Przykro mi, żeście go nie zastali... – Uśmiechnęła się dziwnie.

– Nie przypuszczam, by wiedziała pani, gdzie mogę go znaleźć? – zapytała Jerusha, spodziewając się łatwej do odgadnięcia odpowiedzi.

Tirady Graymount oderwała się jednak od framugi, jakby była poruszana wiatrem trawą.

– Ależ wiem. – Przesunęła dłonią po gładkich siwiejących włosach. – Poszedł do Persefony – do klubu. W interesach – dodała i znowu się uśmiechnęła, tym razem z powściąganym okrucieństwem. – Wie pani, gdzie to jest. Jeśli się pośpieszycie, to go tam złapiecie.

– Dziękuję za pomoc – Jerusha usunęła ze swego głosu ironię i zdziwienie.

– Robię to z przyjemnością – mruknęła Tirady Graymount, gdy zaczęli się odwracać. – Życzę dobrego dnia. – Drzwi zamknęły się za nią ostro.

Jerusha nie zmarnowała czasu podczas drogi do Persefony i tylko kilka myśli na rozważanie stanu małżeństwa Wayawayów. Nie miała trudności z wyobrażeniem sobie sytuacji, w których Kirard Set wpędza kogoś w narkotyki i zasługuje na drobną zemstę.

Przekroczyli ustawione rozmyślnie u wejścia do Persefony wrota ciemności, jak wszyscy zatrzymali się w progu, mrugając powiekami. Jerusha poczuła następne zawirowanie umysłu, gdy przeszłość niby duch przesłoniła obrazy teraźniejszości. Piekło Persefony wyglądało dokładnie tak samo, jak podczas panowania Arienrhod. Wydawało się istnieć poza czasem; pojawiać się, znikać, powracać. Tak jak teraz, było wówczas własnością Źródła, jednego z władców narkotyków, do którego zwróciła się Królowa Śniegu, chcąc dokonać ludobójstwa Letniaków. Zapobiegli temu Sini – Jerusha osobiście powstrzymała Źródło. Zdołał on jednak jakoś wywinąć się z obławy, schować we własnej, osobistej osobliwości i zniknąć.

A teraz wrócił na Tiamat, więzi dziecko Moon jako okup za coś, czego nikt nie potrafi nawet nazwać. Gdyby go wtedy powstrzymała na dobre, nigdy by do tego nie doszło. Nie udało się, a teraz jest bezsilna, nic nie może mu zrobić. Co najwyżej Kirardowi Setowi.

Podeszła do nich kobieta w porozcinanej czarnej sukni, jej głowę zasłaniała czarna peruka w srebrnej siatce, twarz tak wymyślny makijaż, że nie sposób było jej poznać. Nazywała siebie Persefoną i wyglądała tak samo, jak przed dwudziestu laty – tylko że wówczas pod malunkami kryła się Tor Starhiker, przykrywka dla prawdziwego właściciela klubu. Królowa Lata nie chroniła ich

jednak przed Sinymi i rolę gospodyni grała nie Tor, lecz jakaś anonimowa marionetka.

– Witam, pani inspektor. Czym mogę służyć? – Persefoną uśmiechnęła się, jej twarz zapłonęła bajeczną poświatą.

– Sprowadź mi Kirarda Seta Wayawaya – powiedziała Jerusha obojętnym głosem.

Persefoną kiwnęła głową, złożyła dłonie w geście przypominającym religijny i zniknęła w głębi klubu. Jerusha czekała, nieruchoma i nieporuszona; stojący obok Clearwater gwizdał z grozy, obserwując otaczający ich gorączkowy ruch.

Traciłem pensję w niewłaściwych miejscach – powiedział.

Po kilku chwilach Jerusha dojrzała, że ktoś się do nich przybliżył; nie była to ani Persefoną, ani Wayaway. TerFauw. Umysł podał nazwisko. Doglądał teraz klubu, był jednym z poruczników Źródła. Jak ona sama pochodzi z Newhaven, choć po wyglądzie poznała, że dawno tam nie był.

– Czego chcesz? – zapytał, nie udając nawet grzeczności.

– Chcę Kirarda Seta Wayawaya – odpowiedziała, patrząc na niego. Była dostatecznie wysoka, by patrzeć mu w oczy bez zbytniego zadzierania głowy, ale niższa od niego i lżejsza. Przy nim wydawała się sobie niepewna, słaba, zwłaszcza rozważając, co musi czuć większość kobiet zmuszonych do spotkania z tym mężczyzną.

– Czemu myślisz, że tu jest? Może być wszędzie na Ulicy – powiedział TerFauw, mówiąc po tiamatańsku z wyraźnie obcym akcentem. Wskazał na tłum.

– Żona powiedziała, że tu przyszedł. W interesach. – Wyciągnęła rękę w stronę, z której przyszedł Newhaveńczyk, ku ukrytym pomieszczeniom i tajemnej działalności, która się w nich toczyła.

– Mógł już wyjść.

– Nie. – Pokręciła głową. – Powiedziałbyś to wcześniej. Przyprowadź go.

TerFauw chrząknął. – Powiedz, co Hega od niego chce.

– Nie Hega. Królowa. Jego rodaków.

Wygiął krzywe usta w nieprzyjemny uśmiech. – Czego od niego chce?

– Zgadnij – odparła Jerusha.

Zamyślił się, kiwnął głową. – Wystarczy. – Obejrzał się przez ramię, uniósł rękę. – Przyprowadzić go – powiedział w powietrze.

Jerusha zobaczyła trójkę mężczyzn wynurzających się z czarnego otworu w ścianie; w środku tkwił Wayaway, nie wyglądał na zadowolonego. Pozostali byli uzbrojeni; nie trzymali broni na wierzchu, lecz domyśliła się jej po sposobie poruszania obcych.

– Królowa Lata chce się z tobą zobaczyć – powiedział TerFauw bezbarwnym głosem, gdy Wayaway podszedł do niego wraz z eskortą.

– Królowa... ? – Wayaway urwał, Jerusha zobaczyła, jak na jego twarzy pojawia się powoli wyczekiwana przez nią mina.

– Idziemy – nakazała, uśmiechając się zapamiętanym uśmiechem.

– Nie... – Obrócił się do TerFauwa, złapał go za poły kaftana. – Nie możesz pozwolić, by mnie zabrali! Na miłość bogów, jestem jednym z was! Jestem obcym z dala od domu, Bratem, Źródło obiecał mi Brater...

TerFauw wpakował pięść w żołądek Wayawaya, zrobił to od niechcenia, jakby machnął ręką. Zimak zgiął się w pół. Na znak Newhaveńczyka obaj pomocnicy podnieśli jego głowę.

– Idź do swej Królowej, kochanku Matki – szepnął w twarz porażonego zdradą Wayawaya. – I błagaj ją, żeby nie kazała ci tu wrócić. Nigdy. – Jego palec uderzył nagle okrutnie w oko Kirarda Seta; Zimak wrzasnął, zakrył twarz dłońmi.

Jerusha odetchnęła głęboko. Zmusiła rękę do oderwania się od broni i zawiśnięcia wzdłuż boku, gdy tylko TerFauw odwrócił się od nich i odszedł. Strażnicy Wayawaya ruszyli za nim bez słowa.

Zaczekała, aż ucichnie jęk Kirarda Seta, aż oderwie on dłonie od wypływającego oka.

– Chodź – powiedziała w jego białą twarz i nieobecny wzrok. – Ruszamy.

Poszedł z nią bez sprzeciwu.

KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne

– Wasz gość czeka, Gundhalinu-ken.

– Dziękuję. – Wchodząc do pokoju odwiedzin, minął w drzwiach strażników. Zwracali się do niego "Gundhalinu-ken", ponieważ po aresztowaniu został mu tylko ten tytuł. Tatuaż sybilli odcinał się wyraźnie ponad luźnym kołnierzykiem kombinezonu ośrodka więziennego, choć zabrali mu koniczynkę. Można jej użyć jako broni.

Pomieszczenie było małe i jasno oświetlone, o ścianach barwy spokojnej zieleni i stojącym w środku jedynym stole. Pod nogami czuł wykładzinę, widział zawieszony obraz. Wiedział też o niewidzialnej barierze siłowej przechodzącej przez środek pokoju, przez środek stołu, odgradzającej go od stojącej po drugiej stronie kobiety.

– Dhara... – powiedział. Pełne uświadomienie sobie wszystkiego, co go spotkało w ostatnich tygodniach, spadło nań jak cios, oszołomiło. Zatrzymał się, spojrzał na nią, na trzymane w ramionach dziecko. Zrozumiał nagle, że w chwili aresztowania odrętwiał; że od tej pory tkwił w szoku, dopiero teraz jest w stanie stawić czoła sytuacji i temu, jak ją przyjął.

– BZ? – mruknęła, dojrzał w jej oczach pamiętaną przez siebie głębię niepewności, przy każdym spotkaniu skrywaną zawsze pod maską pogodnego spokoju. Wahanie żony pchnęło go do zajęcia miejsca przy stole, zachęcił ją do tego samego.

Usiadła naprzeciw, miała na sobie staroświecką długą suknię i szarawary, włosy ułożyła w piękne skrzydła, jak najbardziej lubił. Posadziła na stole dziecko i woreczek z zabawkami; mały sięgnął od razu po torbę, wysypał jej zawartość.

– Moje! powiedział.

BZ nie mógł oderwać oczu od dziecka siedzącego wśród zabawek z miną odkrywcy skarbu. Synek chwycił je, wykręcał, uderzał o stół, niepomny całkowicie na czułe uśmiechy, jakie pojawiły się na twarzach dwojga ludzi obserwujących jego zabawę.

– Jak ci się podoba syn? – zapytała w końcu Pandhara. Poglądziła włosy chłopca; mały spojrzał na nią z zaskoczeniem i podał jaskrawą grzechotkę w gwiazdki. – BT Gundhalinu... Ale to za poważne. Nazywam go Butkiem. – Dziecko, usłyszawszy swe imię, znowu podniosło wzrok. – Duży Butek... – dotknęła palcem koniuszka jego noska. Mały uśmiechnął się i wyciągnął w górę małą rączkę z grubymi paluszkami. – Taki duży – powiedział.

– Jest śliczny – mruknął BZ. – Jeszcze ładniejszy niż na holo, które mi przysyłałaś. Bogowie, ale się zmienił...

– Tak już jest z dziećmi – powiedziała cicho i z pewnym smutkiem.

– Podobnie jak z naszym losem – mruknął bezwiednie. Spojrzała na niego, szybko odwróciła wzrok.

– Trudno powiedzieć, że nie wiedzieliśmy, iż może się tak stać. Kiwnęła głową, tym razem wytrzymała jego spojrzenie.

– Ma twoje oczy.

BZ odetchnął głęboko, przypomniał sobie innego chłopca z takimi samymi oczami, odległego o połowę galaktyki.

– Tak. Chyba ma.

Przysunęła ku niemu dziecko. – Patrz – szepnęła – to twój ojciec. – BZ pochylił się, wyciągał rękę, aż dotknęły zapory. Mały uniósł główkę, zauważył go po raz pierwszy. Na chwilę schował się w ramionach matki, patrząc bojaźliwie z jej objęć. Potem się uśmiechnął, znowu rozjaśnił twarz radością. Wyciągnął rączki, aż napotkały niewidzialną przegrodę. Uderzył nimi w dźwięczącą

powierzchnię, tryknął główką, próbując się dostać do ojca. BZ przycisnął dłonie do lekko ustępującej zapory, czuł szczęście i tęsknotę tak wypełniające mu piersi, że ledwo mógł oddychać.

– Odsunąć się od bariery.

BZ oderwał ręce, gdy przeszedł nimi lekki wstrząs. Dziecko przewróciło się z płaczem. Pandhara objęła je, utuliła.

To było niepotrzebne! – BZ wściekle zerwał się z krzesła, wrzasnął w stronę ścian. Usiadł znowu, gdy odpowiedziało mu tylko drwiące echo własnego głosu.

Pandhara patrzyła na niego, uspokajając jednocześnie dziecko.

– Czy jesteśmy obserwowani? – zapytała z niedowierzaniem, oczy jej pociemniały od bezsilnej złości. – Powiedzieli, że zostaniemy zupełnie sami.

To pewnie tylko automatyczna odpowiedź. – Nie był tego całkowicie pewien. Zobaczył, jak dziecko przekreśliło się w ramionach matki, spróbowało wyrwać, wyciągało do niego rączki, krzycząc: – Tata! Tata! – Uniósł ręce, opuścił zaraz, zaciskając w pięści skryte pod blatem stołu dłonie. Pandhara chwyciła piłkę wypełnioną kolorowymi światełkami i pomachała nią przed oczyma dziecka; mały wziął ją, ugryzł i usiadł w końcu na kolanach matki.

– Co... co w posiadłości?

– Doskonale – odpowiedziała napiętym głosem. – Naprawdę. Wszystko doskonale.

– A twoje prace? Czy BT pozwala ci na twórczość? Uśmiechnęła się. – No... nie bardzo. Poprosiłam jednak Ochi – moją młodszą siostrę, pamiętasz ją – by zamieszkała z nami do ukończenia studiów. Pilnuje go, gdy pracuję. Inaczej wlaźby wszędzie, prawda, Buteczku? – Spojrzała na małego, który podniósł piłkę. – Ładna piłka – powiedziała.

– Łana byłka – powtórzył i kiwnął główką.

– A jak twoje życie towarzyskie? – zapytał BZ, nie tylko z grzeczności. – Mam nadzieję, że spotykasz się z przyjaciółmi, nie czujesz się tam zbyt... wyizolowana.

Popatrzyła na niego długo. – Nie – odpowiedziała w końcu – nie jestem sama. Często odwiedzają mnie przyjaciele, są tam niemal bez przerwy; podobnie jak ja podziwiają piękno posiadłości. – Opuściła wzrok. – Ostatnio najczęściej widuję Therenana Jumilhaca... poznałeś go tamtego wieczoru w kawiarni... BT go uwielbia, bardzo dobrze radzi sobie z dziećmi.

– Cieszę się – powiedział BZ z uśmiechem.

Ponownie spojrzała na niego. – BZ, chciałam przybyć wcześniej, próbowałam. Nie pozwoliliby mi na spotkanie z tobą, gdyby KR Aspundth jakoś tego nie załatwił. Przesyła ci wyrazy najwyższego szacunku i żałuje, iż nie mógł przylecieć z nami. Ostatnio pogorszyło mu się zdrowie i nie dostał zezwolenia lekarzy na opuszczenie powierzchni. Kazał powtórzyć, że robi, co może, by ci pomóc, wie, że oskarżenia są bezpodstawne.

– Powiedz mu, że jestem wdzięczny i życzę mu szybkiego wyzdrowienia. – BZ kiwnął głową i uśmiechnął się. – Wiem od adwokatów, że Centralny Komitet stara się ukrywać wydarzenia na Tiamat, tłumacząc to względami bezpieczeństwa Hegemonii, chce w ten sposób nie dopuścić, by ludzie poznali moją wersję. Nie mogą pozwolić, bym uzyskał dostęp do środków przekazu. Ale sam Pernatte zapewnił mnie, że gdy dojdzie do procesu, będzie on relacjonowany w całej Hegemonii. Stoi na czele Sekretariatu i zawsze bardzo mnie popierał.

Pandhara otworzyła usta; zamknęła je znowu z dziwnym grymasem napinającym mięśnie twarzy.

– BZ, sama nie wiem, co się stało na Tiamat. Nie powiedzieli mi nawet, o co cię oskarżają.

Poczuł, jak zaciskają się i jego usta.

– O zdradę. "Potajemną działalność mającą osłabić bezpieczeństwo Hegemonii."

Pandhara popatrzyła z oszołomieniem – podobną minę miał on sam po poznaniu dokładnej treści

zarzutów.

– Ależ w razie uznania cię za winnego oznaczać to będzie karę dożywotniego więzienia.

Bez zawieszenia. Przytaknął, odwracając wzrok.

– Przynajmniej zachowam życie; mimo wszystko jesteśmy cywilizowani... I nie grozi mi wysłanie do Żużłowych Obozów. Gdziekolwiek trafię, będę w stanie starać się skłonić ich do zmiany zdania. Nie wyślą mnie w miejsce zbyt nieprzyjemne – powtórzył, próbując ją uspokoić. – Tyle przynajmniej są mi winni. – Zmusił się do uśmiechu i wzruszenia ramionami. – Dharo, nie martw się przedwcześnie. Jeszcze nie zostałem skazany. Jeśli dobrze przedstawię swe racje, zostanę uniewinniony.

Oszołomienie nie opuściło jej twarzy, lecz mimo to kiwnęła głową, opanowując się z dostrzegalnym wysiłkiem.

– Jak to się stało? Kto wysunął oskarżenia?

– Vhanu – odpowiedział.

– Vhanu ? – Pochyliła się ze zdumieniem. Dziecko krzyknęło i upuściło piłkę. Sięgnęła po nią, lecz mały wytrącił zabawkę z rąk matki. Podała mu grzechotkę na kijku, nie odrywając wzroku od męża. – Ależ Vhanu traktował cię jak... brata... – Urwała, przygryzła wargę.

Tak – szepnął BZ. – Jak brata. – Pokręcił głową. – Od chwili przybycia na Tiamat – a w rzeczywistości długo przedtem, choć nie chcę w to wierzyć – przestaliśmy się zgadzać przy określaniu sposobów, jakimi Hegemonia ma wszystkim kierować. Powiniennem być to spostrzec... ale i tak nie mógłbym nic zrobić. Najdziwniejsze, że prawdziwe kłopoty nie miały nic wspólnego z tymi, które wcześniej przewidywałem. Te nie sprawiły mi żadnych trudności. Zamiast nich pojawiła się woda życia... Bogowie. – Wyczerpany odchylił się w fotelu. – Nie powiniennem być do tego dopuścić.

– A co z Królową? – zapytała Pandhara, zdradzając swym głosem tylko drobne wahanie. – Czy była w to zamieszana?

Spojrzał w jej oczy, dojrzał w nich żal i zrozumienie.

– Tak. Nasze... stosunki były tym, co wszystko przyspieszyło. – Znowu opuścił wzrok, przypomniał sobie poniżające aresztowanie, wywleczenie go w połowie nocy z łóżka Moon i wyprowadzenie. Zmusił się do wypchnięcia wspomnień. – Dharo, mam... mam na Tiamat dwoje dzieci. Moon była w ciąży, gdy poprzednio stamtąd odlatywałem. Nie wiedziałem o tym. Dorosły, zanim wróciłem. – Spojrzał na niedostępne dla niego dziecko w ramionach żony, wypełniła go wielka, bolesna pustka. Siedział nieruchomo, bał się, że każdy ruch pozbawi go opanowania. Nie może tego zrobić ani jej, ani sobie. Nie może, nie może...

Milczała także, patrząc, jak przygląda się dziecku. – Tak mi przykro – mruknęła wreszcie.

– Niepotrzebnie – szepnął, kręcąc głową. – Najgorsze – najgorsze w tym jest to... – zmusił się do mówienia, wyraźnym, równym tonem – że musiałbym postąpić tak samo, choćbym nawet nadal jej nie kochał. Naprawdę, byłem tam potrzebny. Musiałem wrócić, robić to, co robiłem. Nie zwariowałem. Nie myliłem się. Tiamat jest dla Hegemonii znacznie ważniejsza, niż wszyscy myślą, a najbardziej liczą się mery... I mimo wszystko do tego doszło. – To miłość do Moon zmusiła go do powrotu na Tiamat. Jedyne wzajemna namiętność sprawiła, że poznał prawdę o swych celach na planecie. A jednak jedynym dostrzeganym przez niego błędem we własnym postępowaniu była miłość do niej, spełnienie tego uczucia. Zlekceważył przez to ograniczenia swej pozycji, uprzedzenia podwładnych, naraził się na niebezpieczeństwo i upadł, zostawiając Moon, tak iż musi sama dźwigać przygniatające brzemie złożone na ramionach ich obojga. – Cholera, jestem przygotowany do procesu! Może to dlatego znalazłem się tutaj, by ukazać wszystkim sytuację, powiedzieć im

prawdę...

– BZ – powiedziała Pandhara z nagłym niepokojem – nie dojdzie do procesu.

– Co?

– Nie zamierzają wytoczyć ci procesu, nie dopuszczą cię do głosu.

– Nie, Dharo, wytoczą. Zostałem zapewniony...

– Okłamali cię! KR powiedział mi, że Sekretariat sam wyda na ciebie wyrok.

– To niemożliwe.

– Wszyscy cię okłamują, nawet Pernatte, nawet twoi adwokaci. – Odwróciła się, oglądając przez ramię, gdy rozwarły się drzwi po obu stronach pokoju, wpuszczając uzbrojonych strażników. – Obserwowali! – wybuchnęła. – Kłamali o wszystkim!

Skoczył na nogi.

– Idź do Aspundtha! Powiedz mu, że tylko Moon zna całą prawdę. Musi się z nią skontaktować... – Strażnicy dotarli najpierw do niego, odciągnęli od przegrody.

– BZ! – zawołała, ale nagle przestał słyszeć jej głos; strażnicy złapali Pandharę, chwycili za ramiona. Wyrwała się, gdy kierowali ją w stronę drzwi. Dziecko zaczęło zanosić się bezgłośnie płaczem; przestała się opierać i dała wyprowadzić, oglądając się cały czas za siebie.

– Powiedz mu...! – krzyknął BZ. Strażnicy wywlekli go przez drzwi; gdy się zamykały, zobaczył ją po raz ostatni.

TIAMAT: Krwawnik

Pierwsze światło wślizgnęło się w niespokojny świat pod Krwawnikiem, zarysowało na szarym tle czarne sylwetki takielunku i wind, pokładów i nabrzeży, ponurym blaskiem namalowało kształty oczekujących tam w milczeniu ludzi. Przyglądająca się niebu Moon dostrzegła, jak jaśniej z każdym uderzeniem serca. Na powierzchni morza zjawiała się droga z płynnego światła, wychodząca z końca pomostu, na którym stała, prowadząca do lśniącej tarczy wstającego słońca.

– Już czas – powiedziała, czując przeszywający jej duszę zimny wiatr świtu. – Przyprowdźcie go.

Jerusha PalaThion i oddział miejscowych policjantów powiedli Kirarda Seta Wayawaya poprzez napięte milczenie małej grupki świadków, aż stanął przed Królową. Pod pomostem czekała łódź z dwoma strażnikami na pokładzie, obaj byli Letniakami.

– Kirardzie Secie Wayawayu – powiedziała Moon, bez żalu patrząc w jego oczy wypełnione przerażeniem – stoisz przed nami, oskarżony o czyny przemocy i zdrady, zaświadczone i domniemane, przeciwko swemu własnemu ludowi. Nie mam prawa cię osądzać... – przecinała go głosem jak drutem – bo nie jestem prawdziwą Panią, lecz tylko naczyniem na Jej Wolę. Dlatego też, zgodnie z naszymi tradycyjnymi prawami, przekazuję cię osądowi Morza.

– Jesteś szalona! – warknął Kirard Set. – Wasze obrzędy mnie nie dotyczą. Jestem Zimakiem, nie możesz mi tego zrobić!

– Powiedz to Arienrhod – odparła Moon łagodnie, borykając się ze słowami – gdy ją spotkasz...

Odwróciła się, słysząc z tyłu rozchodzące się wśród ludzi pomruki. Jerusha dotknęła jej ramienia, wskazała.

Oddział Policji Hegemonii posuwał się w ich stronę poprzez płataninę nabrzeży i urządzeń cumowniczych. Zobaczyła, jak dowodzący nim uniósł rękę, nakazując podwładnym zatrzymać się w tyle.

– Dzięki bogom... – wymamrotał Kirard Set. – Wiedziałem, że przyjdą. Wiedziałem, że nie pozwolą ci na to, szalona suko – Ratunku! – zawołał. – Pomóżcie mi! Chcą mnie utopić! Powstrzymajcie ich!

Moon zobaczyła, jak jej strażnicy, wszyscy Letniacy, na sygnał Jerushy wyciągają broń.

Oficer zostawił oddział i podszedł do nich, ręce trzymał spokojnie opuszczone.

– Pani. – Skłonił się z szacunkiem w stronę Moon, potem zwrócił ku Jerushy. – Dzień dobry, pani, hmm, komendant PalaThion. – Zasalutował, jakby przeprasząc za zawahanie się przy wymienieniu jej nowego stopnia.

Odważemniła salut, uśmiechnęła lekko. – Dzień dobry, poruczniku Devu. Co oddział robi w porcie o tak wczesnej porze? To chyba nie jest zwyczajny patrol?

– Nie jest, pani komendant – odpowiedział z lekkim niepokojem, przyglądając się Królowej i otaczającym ją ludziom. – Komendant Vhanu nakazał nam łowy na mery. Mamy wsiąść na nasz statek i zająć się tym. – Wskazał za sobą na czekających Sinych. Moon dostrzegła, że mają z sobą sprzęt, jakiego nigdy przedtem u nich nie widziała, zrozumiała nagle, do czego jest przeznaczony. Ujrzała sztywniejącą Jerushę, poczuła kamienienie swego ciała. – Wpierw jednak może zechce pani wytłumaczyć, co się tu dzieje? Wie przecież, że zgodnie z przepisami stanu wyjątkowego nie wolno gromadzić się ludziom w grupach przekraczających dziesięć osób. – Wskazał głową na tłum. – Co robicie temu obywatelowi?

– To sąd – wyjaśniła Jerusha. – Wśród wysuniętych przeciwko niemu zarzutów jest porwanie i

handel narkotykami.

– Tu? Teraz? – skrzywił się Devu. – W ten sposób?

– Zgodnie z prawami Lata, panie poruczniku – powiedziała Moon. – Zostanie osądzony przez Morze.

– Chcą mnie utopić! – zawołał Kirard Set. – Pomocy!

– Chcecie go utopić? – zapytał Devu z głębszym grymasem.

– Zostanie wywieziony na otwarte morze, do miejsca, w którym przestanie być widoczna linia brzegowa – tłumaczyła Moon spokojnie – i zostawiony tam, żeby dopłynął samodzielnie do lądu. Tylko od niego zależy, czy utonie. Osądzi go Matka Morza. Od stuleci takie jest prawo naszego ludu.

– Ohyda! – krzyknął Kirard Set. – Nie możecie im na to pozwolić – na miłość bogów, jest pan Kharemoughi, człowiekiem cywilizowanym!

– Ja zaś niezależną władczynią mego ludu – Moon podniosła głowę. – Jest jednym z nas i to nasze prawa złamał, poruczniku, a nie pańskie.

– Jak się nazywa? – zapytał Devu, patrząc na Jeruszę.

– Kirard Set Wayaway Zimak – odpowiedziała, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, niby przypadkowo opierając pistolet o zgięte ramię. – Tiamatańczyk.

– Wayaway? – Porucznik potarł podbródek. – Hmm – kiwnął głową z dziwnym, bezwiednym uśmiechem. – To nie nasza sprawa. – Zaczął się odwracać.

– Może pan zostać – powiedziała Moon. – Zobaczysz pan, jak działa nasze prawo. Jak Morze rozprawia się z ludźmi, którzy naruszają Jej poczucie sprawiedliwości...

Porucznik Devu ponownie niespodziewanie okazał niepokój.

– Może kiedyś indziej. Musimy wypływać.

– Proszę przekazać komendantowi moje pozdrowienia – utkwiała w nim wzrok. Skłonił się, kiwnął głową Jerushy i odszedł szybko.

– Nieee! – zawył Kirard Set, lecz porucznik się nie obrócił. Moon czekała, przyglądając się pozaziemcom, aż zginęli wśród geometrycznych wzorów masztów i maszyn. Zwróciła się wtedy do Kirarda Seta, stojącego już spokojnie, przyglądającego się jej płonącym wzrokiem.

– Matka nas wszystkich czeka – wskazała na drabinę prowadzącą do łodzi kołyszącej się przy pływającym pomoście.

– Wróć... – powiedział z wyzwaniem i rozpaczą.

– Jeśli Morze pozwoli – odpowiedziała Moon stanowczo. – Ale jeśli przeżyjesz, nie wracaj do miasta. Pani może ci przebaczy, ja nigdy.

Odwrócił się od niej, wykrzywiając twarz w bezsilnej wściekłości; spojrzął na zgromadzonych, jakby kogoś szukał. Nikogo nie znalazł. Obejrzał się ponownie i zbliżył wolno do czekającej drabiny; równie powoli zszedł po niej.

– Do diabła z wami wszystkimi – powiedział, nim zniknęła jego twarz.

Moon podeszła do barierki, patrząc, jak mała łódź z Letniakami i zimackim więźniem rozwinęła żagiel w kształcie szczypców kraba i wypłynęła wzdłuż złocistego szlaku. – Arienrhod! – zawołał Kirard Set nagle, spojrzął na nią oczyma jak węgle, nie wiedziała, co chciał przez to powiedzieć.

Wpatrując się w nikoną w dali łódź, wyczuła, że ktoś jeszcze stanął obok niej przy barierce. Obróciła głowę przekonana, że Danaquil Lu Wayaway w ostatniej chwili zdecydował się przyjść na próbę wodną swego kuzyna. Zobaczyła jednak Tirady Graymount, żonę Kirarda Seta i ich syna, Elco Teela. Moon przypomniała sobie, że aż do tej chwili nie widziała ich w tłumie. Twarz kobiety była blada, z pustymi oczyma, Królowa przypuszczała, że wypełniają żal. Od oblicza odcinały się jednak uśmiechnięte usta. Tirady trzymała w zaciśniętej ręce pustą butelkę po alkoholu; drugą obejmowała

syna, trzymała go zaborczo, patrząc na męża wypływającego w stronę horyzontu. Nagle uniosła dłoń z naczyniem; z całej siły cisnęła butelką w morze. – Mam nadzieję, że utoniesz! – zawołała.

Elco Teel otoczył ją ramieniem, zabrał od barierki. Jego twarz nie wyrażała zupełnie nic, gdy odprowadzał matkę przez tłum.

Moon patrzyła za nimi, nie czuła ani zdziwienia, ani współczucia. Dostrzegła zaskoczenie na niektórych z otaczających ją twarzy; kręcącą głową Jeruszę. Gdy została sama, znowu popatrzyła na morze, obserwowała malejącą łódź. Na rufie mogła ciągle odczytać nazwę, namalowaną przez nią własnoręcznie: Ariele. Tłum w tyle zaczął się rozchodzić i niknąć. Nie odsuwała się od barierki, dopóki łódź nie zniknęła jej z oczu.

Moon zajęła miejsce u stołu znajdującego się w kolejnej pustej ongiś, rozbrzmiewającej echami komnacie pałacu. Gdy weszła do niego po raz pierwszy, gmach przypominał jej jeden z niezliczonych występujących w nim wzorów: ozdobioną klejnotami muszlę, pustą i bez przeznaczenia. Bała się go, budził w niej lęk ogromem i potęgą, jaką reprezentował – przeszłością Arienrhod, rodzajem pożądania, który zdawał się jej całkowicie obcy, choć musiał gdzieś w niej tkwić.

Ale ten sam tajemny umysł, który kazał jej zostać Królową, przymusił ją także do zostania tutaj, w swoim zasięgu. Z czasem zaczęła przywykać do pałacu, uważać go za część szerszego wzoru swego życia. Sam w sobie nie był ani dobry, ani zły, nie był też sprawą wyboru lub jego braku, stał ponad tym, jak wszystko w świecie, który uważała za coraz bardziej przypadkowy i poza jej władzą.

Wraz z upływem dalszych lat przeciwności losu zmusiły ją do przyjrzenia się wszystkiemu na nowo. Pozaziemcy wymogli przeniesienie Kolegium Sybilli do pałacu, który wypełnił przez to swe komnaty ruchem i celowym działaniem.

Gdy teraz patrzyła na piękne rzeźbione ozdoby pod pradawnym sufitem, niedawno namalowane obrazy ściennie, nawet na wdzięczne kształty starzejących się sprowadzonych mebli, dostrzegła tworzące je ludzkie myśli i ręce. Stały się symbolem potencjalnych możliwości, jakie tkwiły w niej, wokoło, w kobietach i mężczyznach – Letniakach, Zimakach i pozaziemcach – pomagających jej budować przyszłość, jakiej z uporem szukała. Zrozumiała, że widok starych przyjaciół i godnych zaufania ludzi jest w tym miejscu jedną z niewielu rzeczy w jej życiu, które sprawiają jej przyjemność.

A teraz, pomyślała, gdy widok wszystkiego przesłonił obraz znikającej we wschodzącym słońcu Ariele, są jej jedyną nadzieją. Zerknęła przed siebie na urządzenie zapisujące i stos wydruków, które musiała pracowicie przepisywać ręcznie, odkąd Vhanu zamknął jej komputery. Podniosła wzrok na siedzącego obok Tammisa, na jego zatroskane oczy – zobaczyła w nich trzy życia: jego własne, ojca, noszonego przez Merovy nie narodzonego dziecka. Patrząc na niego, powinna była czuć jedynie radość, widzieć przyszłość i przeszłość, ale nie odczuwała niczego, nawet rozpaczy. Od wszelkich emocji zdawała się ją oddzielać przejrzysta nieprzebyta ściana, pozwalająca na dostrzeganie wszystkiego, co pozostało ze słusznych, dobrych rzeczy w jej życiu, ale nie na czerpanie z nich pociechy.

Rozejrzała się po zgromadzonych, dostrzegła napięte, zmartwione twarze Clavally i Danaquila Lu, Fate Ravenglass z czujnikami wzrokowymi lśniącymi na głowie jak korona, czekających cierpliwie dwudziestu innych członków Kolegium. Nie mogła powiedzieć im wszystkiego, ale przynajmniej była pewna, że może im zaufać, że bez wyjaśnień dadzą jej potrzebne dane.

Uruchomiła odtwarzacz i powietrze wypełnił bajeczny chorał pieśni merów. Patrzyła, jak zmieniają się twarze zgromadzonych: zasłuchanych ludzi opanowywał spokój, radość, zdumienie i brak zrozumienia.

Potem powiedziała im tyle, ile mogła, wyjaśniła zadania, jakie muszą wykonać, by uzupełnić

kryjące się w pieśniach fragmenty matematycznych zdań. Wręczyła im kopie danych zaczerpniętych ze zbiorów Sparksa – pomyślała o nim nagle i boleśnie, zadumała się nad podobieństwem życia, jakie przyszło im wieść. Zgromadzonym sybillom opisała jego dzieło, zastanawiając się jednocześnie, jak zakończy się podjęta przezeń samotnie wyprawa; czy wraz z ich córką wróci z miejsca nazywanego przez Ondyńczyków Krainą Śmierci, czy razem z nią zostanie tam na zawsze. Słuchający ludzie zadali jej kilka pytań; na wszystkie mogła odpowiedzieć.

Wypowiedziawszy na koniec kilka słów o pilności i sekretności zadania, zostawiła ich, by przystąpili spokojnie do pracy. Wracała korytarzami na wyższe piętra pałacu; mijane biura, biblioteki i gabinety rozmazywały się w mgiełce wyczerpania. Ubiegłej nocy nie spała zupełnie, sztywno i samotnie leżała w łóżku, czekając bez końca na obrzęd o świcie. Teraz, gdy zrobiła już wszystko, co mogła, pozostała jej tylko resztkę sił zrodzonych przez wściekłość.

Przypomniała sobie znowu obraz Ariele unoszącej w morze Kirarda Seta – jedyne z jej dręczycieli, na którym mogła się zemścić. Wyobraziła sobie, jak osiąga brzeg, jak ledwo żywy, wyczerpany, wciąga się na nabrzeże pod miastem... zobaczyła siebie czekającą tam na niego z nożem w ręce, by wypełnić złożoną mu na koniec obietnicę...

Poczuwszy mdłości, przycisnęła ręce do twarzy; ból dudnił w jej głowie przy każdym uderzeniu serca, trwające od rana cierpienie nasiliło się gwałtownie. Cały dzień nic nie jadła, lecz odrzucało ją na samą myśl o posiłku. Zatrzymała się po dotarciu do sypialni, oparła o framugę, nie mając sił na wejście do środka. Ruszyła dalej korytarzem, aż wreszcie znalazła się przed drzwiami pokoju należącego kiedyś do Arienrhod. Sypialnia pozostała w takim stanie, w jakim dwadzieścia lat temu opuściła ją Królowa Śniegu, od jej śmierci nikt tu nie spał. Moon otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

– Pani, czy coś jest potrzebne? – Przechodząca korytarzem służąca zawahała się, zwróciła głowę.

Moon spojrzała na nią, zacisnęła usta, powstrzymując nagle pragnienie radosnego śmiechu. Czy czegoś potrzebuje?

– Potrzebny mi odpoczynek – stwierdziła w końcu grubym głosem. – Niech nikt mi nie przeszkadza...

– Tak jest, Pani. – Kobieta skinęła z szacunkiem głową. Nim ruszyła dalej, zerknęła na otwarte drzwi i zawahała się, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć.

Moon weszła do komnaty, naruszając jej ciszę. Ciężkie kotary zasłaniały szerokie okna; pokój był całkowicie zamknięty w sobie, niby łono, do którego mogła się schować. Rozebrała się i położyła na opalizującym łożu w kształcie muszli, wsunęła się w pościel, ramionami i nogami obejmując miękkość i pustkę. Nie czekały tu na nią żadne wspomnienia, żadne widmowe ręce nie wyciągały się ku niej, żadne głosy nie szeptały czułych słówek, żadne ciepło innego ciała jej nie ogrzewało...

Przygasła lampy przy łóżku, zmieniła w całkowity mrok kryjące się jak duchy cienie komnaty, tak iż nie miało znaczenia, czyje oczy są otwarte, czy zamknięte. Znalazłszy się nareszcie w pełnej samotności, objęła ramionami drżące ciało i zaczęła płakać, najpierw bezgłośnie, potem zanosila się szlochem, ponieważ nie było nikogo, kto by ją słyszał, kto by ją pocieszył, kto by jej wybaczył.

Łkała, dopóki nie wyczerpała resztek sił, nie legła bez ruchu, bliższa snu niż jawy. Czekala tak, z uległym ciałem, poddającym się umysłem, aż pochłonie ją zapomnienie.

Zamiast tego poczuła, że ogarnia ją coś innego – nieodparta siła wciągają w jeszcze czarniejszy mrok... Przekaz.

Ustąpiła, runęła w ciemność i skrzące się światłemdźwiękiem miejsce, które pamiętała.

Poczuła, jak rodzi się w niej niemal niemożliwa do wytrzymania nadzieja. (BZ?) zawołała, zobaczyła własny głos wyłaniający się z kręgów na powierzchni zharmonizowanego światła. (BZ, gdzie jesteś?)

(Nie...) nadeszła odpowiedź, dotknęła jej umysłu czymś obcym.

(Kto...?) pomyślała, ponieważ w bezcielesnych wzorach połączenia znalazła coś niemal znajomego.

(KR Aspundth.)

(KR...?) Zdziwienie wytrysnęło z niej jak rozbrzmiewające dzwoneczki.

(Tak, moja droga...) Jego myśli były pełne dumy i łagodności, przypominały ojcowskie pogłaskanie policzka przez starego człowieka. (Po tylu latach. BZ powiedział mi, kim zostałam, o wszystkim, czego dokonałam...)

(BZ – gdzie on jest, KR? Co z nim? Czy mogę z nim porozmawiać?)

(Powoli) szepnęła. (Nie tak szybko, Moon – właściwie powinienem nazywać cię Panią – moje siły nie są już takie, jak kiedyś, nawet w czasach naszego spotkania. To dla mnie trudne... BZ jest więźniem rządu Hegemonii. Zostanie skazany bez procesu, Złoty Środek dopilnuje tego, bojąc się jego popularności. Zamierzają się go pozbyć, ponieważ sprzeciwiał się wodzie życia... posłać tam, skąd nigdy nie zdoła powrócić. Prosił, bym się z tobą skontaktował. Moon, dlaczego do tego wszystkiego doszło? Powiedział, że mi wytłumaczysz.)

(Oczy Pani – nie mogę, KR...) Poczuła, jak oślepiają rozpacz i strach, płacze myśli, rwie połączenie. Zmusiła powstałe w niej przez ostatnie tygodnie lodowate serce, by ochłodziło krew, pozwoliło patrzeć jasno, myśleć beznamiętnie. (To niemożliwe. Nie mogę tego wyjaśnić, tak samo jak on, nawet w ten sposób, nawet tobie. Mogę tylko powiedzieć, że jeśli nie zdołam dokonać tego, co zamierzam, ucierpi każda planeta z siecią sybilli... łącznie z Kharemough. A pomoc mi mogą tylko dwaj ludzie – BZ i mężczyzna nazwiskiem Reede Kullervo. Ale coś nazywane Bractwem schwytało jego i moją córkę. Nie wiem, jak ich uratować. Mąż udał się do nich na Ondinee... BZ sądził, że może zdołasz im pomóc, jak jednak to uczynimy, jak ocalimy BZ, skoro zdradzają nas ci, którym ufamy...?)

Objął ją myślami jak ciepłymi dłońmi. (Złoty Środek to zaledwie jedna ścianka skrytego gmachu Przeglądu, podobnie jak Bractwo... Zakładam, że to rozumiesz. Są jeszcze inne, wszystkie przypominają lusterka w kalejdoskopie. Nadzieja pozostaje – nigdy nie umiera. Zobaczę, co można będzie zrobić, by pomóc ocalić twą córkę i oddać ci Kullervo. Ale ponadto... równowaga została zakłócona zabójstwem Kilaroken. Była przeciwwagą: dzięki jej poparciu BZ potrafił się opierać silnej opozycji... Reede Kullervo i twoja córka może jeszcze nie zginęli. Złoty Środek posiada teraz całkowitą kontrolę nad wodą życia i patrzący dalej niż oni wiedzą dostatecznie dużo, by rozumieć, że muszą zostać powstrzymani.)

(Tak) pomyślała. (Tak. Woda życia wiąże się ze wszystkim, co jest złe, co stało się złego... Sieć sybilli znajduje się w niebezpieczeństwie, bo zagrożone są mery... mery...) Piskliwe fale interferencji zalały jej mózg, przesłoniły przyływem myśli. (Trzeba to przerwać! Muszą przerwać polowania na mery.)

Trwało milczenie, lśniło w chwilowej wieczności jak odbłask na wodzie. (W takim razie dobrze. Ale jak ich skłonić do tego?) zapytał w końcu Aspundth. (Musimy znaleźć sposób... Dać coś, czego zapragną bardziej jeszcze niż wody życia...)

(Nie wierzę, by istniało coś takiego) pomyślała Moon z goryczą.

(Istnieje gdzie...) Odpowiedział Aspundth z lekką falą bolesnego rozbawienia. (Ale niełatwo coś takiego odkryć, bo inaczej już by to mieli, tak jak wodę życia.)

(Plazma napędu gwiazdowego) pomyślała. (Ale mają ją, dostali od BZ.)

(Może był to z jego strony błąd) mruknął Aspundth. (Ale wszyscy jesteśmy tylko ludźmi – nikt z nas nie potrafi przejrzeć przyszłości, zobaczyć jej wyraźnie. Muszą pragnąć czegoś jeszcze innego.)

Pomyślała o tajemnicy komputera; gdyby wiedzieli o jego istnieniu, nigdy by nie tknęli żadnego mera. Nie mogą jednak nigdy osiąść tej wiedzy, skoro tak dobitnie dowiedli, jak mało można im zaufać w sprawach związanych z władzą. Gdyby nawet mogła ją im przekazać... (Nie wiem. Nie wiem.)

(Ani ja. Ale nie wolno nam tracić nadziei ani zaprzestać poszukiwań...)

(Ale gdzie jeszcze mam szukać?) pomyślała z rozpaczą. (Dokąd mogę pójść? Nie mam wyboru.)

(Masz całą czasoprzestrzeń) odpowiedział. (Błąkasz się w niej teraz. Nie bez powodu jesteś tym, kim jesteś; nigdy nie byłem tego bardziej pewien niż teraz. Dzięki otrzymanej poprzez Przegląd sieci połączeń mogę sięgać szeroko, ty jednak masz większe możliwości – umysł sybilli przemawia do ciebie, otwiera się przed tobą jak przed nikim innym, o którym bym wiedział; przed poznaniem ciebie docierały do mnie jedynie legendy o czymś takim. Sieć sybilli ma tajemnice, które skrywa nawet przed swymi najbardziej godnymi zaufania służącymi... ale na pewno nie przed tobą.)

Nie odpowiedziała, zalana promieniowaniem słów i stwarzanym przez nie w umyśle obrazem.

(Dla BZ robimy, co tylko można, ale Złoty Środek ma w Hegemonii dużą władzę. Możesz okazać się jedyną prawdziwą nadzieją BZ. Potrzebuje siły zdolnej odwrócić przypyływ... może to dlatego nazywasz się Moon, Księżyc.) KR myślał łagodnie, gdy pasma złotego światła zaczęły się wokół niej rozplątywać. (Oby pomogli ci bogowie przodków...) Umysł Moon zabrzmiał końcowym błogosławieństwem KR.

Znalazła się znowu w ciemności, bez odpowiedzi.

ONDINEE: Tuo Ne'el

– Jest tam. – Kedalion wskazał ręką ponad wypaloną żarem Krainę Śmierci, gdy tylko ujrzał warownię. Zażądał wzmocnienia obrazu i kawałek ekranu przełączył się na powiększenie, ukazując im dodatkowe szczegóły.

– Na Panią... – mruknął siedzący za nim Sparks. – Jaka ogromna. Musi być większa niż Krwawnik.

– To całe samowystarczalne państwo-miasto – powiedział Kedalion, przypominając sobie z nagłą żywością kręte uliczki i poziomy warowni. Częstkę jego umysłu ciągle rozbawiało nieustające zdumienie Sparksa Dawntreadera, choć inna, osobna, kurczyła się ze strachu na widok wypełniającego ekranu celu podróży.

Jeszcze w Krwawniku trudno mu było uwierzyć, że Dawntreader nigdy nie opuścił swej planety. Należał do tej samej potajemnej organizacji co i Reede, jego ślepy upór w dążeniu na Ondinee był całkowicie niewzruszony. Miał nawet sporą wiedzę na temat statków gwiazdnych i ich działania, ale wyłącznie książkową. Nigdy nie postawił nogi na pokładzie żadnego okrętu i na Prajnie zachowywał się jak oszołomiony chłopiec. Przypominało to Kedalionowi pierwszy lot Ananke, ale Dawntreader miał już swoje lata.

Sparks zadawał im mnóstwo pytań na temat poprzedniego życia i rodzinnych planet, był ciekaw, jak znaleźli się tutaj, w tych dziwnych okolicznościach. Nie skarżył się nawet na ciasnotę kabin – zaprojektowanych na rozmiary Kedalion, a nie jego pasażerów czy członków załogi. Dawntreader próbował wszystkiego, podejmował na pokładzie wszystkich zadań, nawet wymagających wielkiego trudu lub nieprzyjemnych, i przeważnie wykonywał je dobrze.

– Czekałem na to całe życie – powiedział raz, gdy Ananke zapytał go, czemu tak bardzo się upiera przy szorowaniu podłogi sterówki. Mówił to z rozpaczliwym pragnieniem w oczach, ale wszystkie jego uczucia wypalały się na popiół, gdy przypominał sobie w końcu, co zmusiło go do zerwania łańcuchów przykuwających do rodzinnej planety.

Kedalion dostrzegł, jak zdumienie Dawntreadera zmienia się teraz powoli, mrocznieje. Sparks pojął, że patrzy na fortecę wroga, miejsce, z którego ma wydostać córkę.

– Pani i wszyscy bogowie... – mruknął, resztę myśli Kedalion odczytał z jego oczu: Jak... ?

– Nikt ci nie mówił, że będzie łatwo – powiedział Kedalion bezbarwnym głosem. – Wolałbyś może udać się po portu gwiazdnego Razumy? Ciągle jeszcze możemy wyminąć warownię... – Wskazał na obraz na ekranie.

Dawntreader zerknął na niego, wykrzywił twarz. – Nie.

– Tylko pytałem. – Kedalion wzruszył ramionami. Obejrzał się przez ramię na Ananke, siedzącego z tyłu, pogrążonego w milczeniu z ramionami założonymi na piersiach. Bez quolla wydawał się być nagi; zachowywał się, jakby sam tak czuł. Za każdym razem, gdy Kedalion na niego patrzył, brak zwierzątka uderzał go jak krzyk, przypominał, co zamierzają tu zrobić, wrzeszczał, że są szaleni, że zginą. A może słyszał jedynie głos własnego zdrowego rozsądku. Westchnął i zaczął podawać kody podchodzenia; słuchał sygnału odpowiedzi mówiącego mu, że jest zgubiony, że wszyscy są już straceni...

Warownia skierowała ich do czekających ust, poprowadziła gardłem do wyznaczonego przedziału cumowniczego. Wyszli z pojazdu, gdy tylko został unieruchomiony, stanęli przed złożonym z uzbrojonych ludzi komitetem powitalnym.

– Spodziewaliśmy się jedynie dwóch – powiedział ich dowódca, Samir, trzymając ogłuszacz mniej więcej na wysokości oczu Kedalion.

Niburu poczuł z niepokojem, jak po plecach spływa mu pot, rozpoczął mowę powtarzaną w myślach tysiąc razy, odkąd opuścili Tiamat.

TerFauw rozkazał nam przywieźć go z sobą, bo ma ważne dane dla Kullervo. Został sprawdzony. Pokaż mu rękę – szturchnął Dawntreadera.

Sparks wyciągnął dłoń. W czasie lotu dzięki wzmagaczowi nauczył się handlowego, ćwiczył go, rozmawiając z Kedalionem i Ananke. Pokazał oko wypalone w cieple, dość dokładną kopię piętna Źródła; w każdym razie Niburu wierzył, że taką się okaże.

Samir skrzywił się, patrząc na znak.

– Nikt mnie nie uprzedził – stwierdził niepewnie.

– A jak mogli to zrobić? – odpowiedział Kedalion, napięcie pchnęło go do niecierpliwości. – Mówię ci teraz. Kullervo musi się z nim zobaczyć, to miejscowy znawca merów, ma o nich specjalne wiadomości. Jeśli Kullervo ich nie otrzyma, komuś naprawdę zedrą skórę.

Samir popatrzył na bliźnę, potem na Kedaliona, długo i twardo. W końcu wzruszył ramionami i skinął głową.

– Dobra – machnął ręką, by przeszli.

Posuwali się labiryntem tuneli prowadzących do serca warowni, gdzie czekały pojazdy, mające zabrać ich do Reede'a. Kedalion wepchnął ręce w kieszenie płaszcza, poszukał łuskowanej kulki. Nie znosił być pasażerem, a nie pilotem, zwłaszcza teraz, gdy czuł się taki bezsilny. Kulka stała się już zniekształconą bryłką w gnieździe wymoszczonym odpadłymi z niej łuskami; lata nerwowego obracania niemal ją zużyły. Chciałby wiedzieć, gdzie znajdzie następną, choć zdawał sobie sprawę, że nie będzie dlań tym samym, że wyda mu się w kieszeni coś obcym.

– No, jesteśmy – powiedział z beztrząsą, gdy dotarli do przystanku.

– Kedalionie, byłeś wspaniały – powiedział Ananke nagle, oglądając się przez ramię. – Zrobiłeś to... Bogowie, myślałem, że się porzygam, gdy Samir wpakował ci pistolet w twarz. Sam Reede lepiej by go nie usadził.

– Zastanawiałem się właśnie – Kedalion powoli wykrzywił usta w uśmiechu – jak na Czwórcę zrobiłby to Gundhalinu. Bogowie, był zręczny.

Sparks spojrzał nań z nagłym grymasem, jakby Niburu niechcący ugodził go w czułe miejsce.

– Przepraszam – mruknął Kedalion, rozumiejąc, co się kryje za tym spojrzeniem. – Wspominałem także czasy, gdy byłem dzieckiem i skakaliśmy z urwiska. Kto nie potrafił zachować równowagi ślizgu, ten ginął. Wiedziało się, że każdy błąd oznacza śmierć. A więc się nie myliło. – Przestał się uśmiechać. – Ciągle o tym myślę.

– No – mruknął Ananke, gdy czekając na komunikację, usiedli na metalowej ławce. Rozglądał się na boki, trzymając za odzianą w skórzaną rękawicę stopę. Dawntreader oparł się plecami o oparcie, w milczeniu patrzył prosto przed siebie.

– Reede...?

Reede opadł na fotel, gdy z wejścia do laboratorium dobiegł go głos Ariele. Pokręcił głową, otrząsnął z wywołanego zmęczeniem oszołomienia. Chyba całe godziny tkwił tu z głową na rękach, bez snu, podczas gdy ona nadal spała w ich łóżku, uciekając przed rzeczywistością. Zastanawiał się, jakie może mieć sny. Miał nadzieje, że inne niż on.

– Reede? Gdzie jesteś? – Usłyszał wkradający się w jej głos lęk.

– Tutaj. – Wstał z miejsca, przesuwał się labiryntem sprzętu, chciał ją odnaleźć, uspokoić. Wolał, by nie zobaczyła go w takim stanie, pograżonego w bezużytecznej pogardzie dla samego siebie, niezdolnego do pracy czy nawet myślenia. Powinien był ją zabić, albo siebie, gdy miał jeszcze taką możliwość. Powstrzymało go jednak coś niezrozumiałego, kazało wybrać życie, gdy

jedynym rozsądnym wyjściem była śmierć. Wariat. Tchórz. Masochista. Powtórzył w myślach tę litanię, odmawianą bezustannie, odkąd odzyskał świadomość i przekonał się, że jest znowu w łapach Źródła. Spojrzał na własne dłonie, ciągle owinięte bandażami.

Ale woda śmierci znowu w nim krążyła, docierała do każdej komórki ciała, z zemsty leczyła je i opanowywała. Właściwie nie potrzebował już opatrunków, lecz wykorzystywał je dla dalszego przewlekania prac badawczych. Czynił tak, bo to nie nad rękoma utracił władzę, a nad umysłem. Nie potrafił nawet udawać, że może czynić to, czego od niego wymagają, wykonywać dla Źródła brudną robotę. Potrafił myśleć tylko o merach, o tajemnicy ich istnienia. Dniem i nocą prześladowały go wzory pieśni tych stworzeń, odkryte w ich głębiach tajemnice – tak obce, a jednak znajome. Nie mógł uważać merów za jedynie pojemniki na wodę życia: takie o nich myślenie było ohydą, samo poświęcanie uwagi wodzie życia było stratą czasu, było... Spotkał Ariele, wziął w ramiona i poczuł, jak drży pod warstwami jedwabnej ondyńskiej sukni. – Co się stało?

– Nie mogłam cię znaleźć... Reede... – Popatrzyła na niego, w głębi je oczu lśniło przerażenie. – Czy wszystko ze mną dobrze? Czy wyglądam... inaczej! Nie czuję się dobrze...

Złapał ją za ramiona obandażowanymi dłońmi, potrząsnął mocno.

– Wszystko z tobą dobrze. Jesteś zdrowa. – Dotknął policzka dziewczyny, czynił to delikatnie, choć ledwo wyczuwał jej ciało. Obrócił ją, tak iż mogła się przejrzeć w gładkiej powierzchni szafki. – Popatrz. Popatrz na siebie... Widzisz?

Zamknęła oczy; otworzyła, przyjrzała się swemu odbiciu. Powoli kiwnęła głową, zmiękła i opadła bezwładnie w ramiona Reede'a.

– Czujesz się dobrze – ciągnął chłodno, zapewniając. – Tak jak ja.

– Śniło mi się... – mówiła niepewnie.

– To był tylko sen. Miną jeszcze godziny, zanim będziesz musiała zacząć myśleć o następnej dawce.

Popatrzyła na niego nagle.

– Wziąłem – mruknął. – Już wziąłem. Nie martw się. – Pogładził ją po włosach.

Przywarła do niego, westchnęła. – Nie czuję się źle. Czuję się dobrze... nigdy nie czułam się lepiej. Jesteś taki dobry, silny i mądry. Kocham cię, Reede. Kocham cię. Kocham...

Objął ją znowu, poczuł rosnącą w gardle grudę. Opanował przechodzące nim ciarki, nie pozwolił dziewczynie poznać, że sama zadrzała. Tylko ona potrafiła odciągnąć jego myśli od merów; ale widok Ariele, przebywanie z nią, to wypełniało go jedynie pragnieniem samobójstwa, rodzonym przez nagłe przejścia jej nastrojów od euforii do przerażenia i odwrotnie. Zbyt był chory, by mogli zmusić go do zrobienia tego samemu – ale kazali patrzeć, jak przemocą poją ją wodą śmierci, rozpoczynają nieodwracalny proces uzależnienia, nie tylko od narkotyku, ale i od niego. To jego miała winić, ale nie reagowała nań strachem czy wściekłością. Zrobiła mu to – nadal go kochała.

Dlatego też, gdy tylko mógł, starał się z całej mocy podtrzymywać ją na duchu, dać poczucie bezpieczeństwa, odwagę i spokój. W niezrozumiały sposób znajdował w sobie nie znane przedtem, pomocne w tym siły. Nie wiedział jednak, jak długo jeszcze wystarczą, skoro ledwo udaje się im przeżyć z dnia na dzień.

A gdyby nawet udało mu się pozostać normalnym, zachować w zdrowiu oboje, to tylko bogowie wiedzą, co się z nimi stanie. Jeśli przestanie produkować w tempie zadowalającym Źródło, Jaakola odetnie jej dostawy, wykorzysta Ariele przeciwko niemu, skaże na cierpienia z jego winy, przyprawi go o ból, zachowując nietknięte siły... A nawet gdyby produkował, Źródło może mimo wszystko zrobić jej to, w każdej chwili, po prostu dla kaprysu. Jaakola lubił zmniejszać podawane mu dawki, przeciągał dostawy po to tylko, żeby pokazać, kto tu jest panem. Teraz musi się obawiać nie tylko o

siebie, ale i o Ariele, dzięki czemu otwierają się przed nim, niby czekające krwawe szczęki, całe nowe wymiary możliwego okrucieństwa. Jakkolwiek powiodą się zamiary Źródła – wydobyć tajemnic z Królowej Lata i Gundhalinu – to na pewno nie zwróci im żywej córki... Gdyby nawet to uczynił, przyglądaliby się tylko, jak umiera. I nic nie może na to poradzić. Nic.

Odsunął się od niej, pogrzebał w kieszeniach. Pozbawione czucia palce ledwo rozpoznały szukany przedmiot, gdy na niego trafiły. Wyjął go: swój pierścionek, taki sam, jaki kiedyś dał Mundilfoere. Przez wszystkie te lata nosił go samotnie. Ujął dziewczynę za rękę i wsunął pierścionek na kciuk. Miała duże dłonie jak na kobietę, z długimi, lecz wąskimi palcami, i obrączka tkwiła luźno na tle przejrzystej skóry. Otoczyła ją pięścią. Spojrzała na Reede'a, schwyciła za rękę, pocałowała owiniętą bandażami otwartą dłoń.

Bez słowa poprowadził ją przez laboratorium do swego mieszkania ich mieszkania, przynajmniej na razie.

– Jesteś głodna? – zapytał. – Chcesz śniadanie? Może trochę muzyki?

Przytaknęła, otwierając usta, by coś powiedzieć; obejrzała się, zaskoczona nagłym otwarciem drzwi.

Reede zeszytywniał; osłabł z ulgi na widok wchodzącego Niburu, a po nim Ananke. Patrzył na nich, niespodziewanie poczuł się jak człowiek, który zagubiony na morzu dostrzega ląd.

– Czemu dopiero teraz tu dotarliście? – burknął z zachmurzoną twarzą.

Niburu pokręcił głową. Wygiął usta w krzywym, niepewnym uśmiechu.

– Szefie, zapomniałeś zostawić nam adres. – Wzruszył ramionami. – Brakowało ci nas?

Teraz Reede popatrzył na niego dziwnie.

– Brakowało? – powtórzył. Gardło ścisnęło mu coś w rodzaju śmiechu; coś przypominającego kawałek szkła, aż przez chwilę nie mógł nic powiedzieć. – Tak – mruknął w końcu. – Nie mogę sobie poradzić z tym pieprzonym sprzętem kuchennym.

Uśmiech Niburu stał się szerszy. – Racja, szefie – przyznał z miną dziwnie przypominającą zadowolenie. – Przysłał nas TerFauw. Powiedział, że... że nas potrzebujesz. – Spojrzał nagle na obandażowane dłonie Reede'a; ten zauważył troskę w jego umykających oczach. Kullervo odwrócił się od Kedaliona, objął mocniej Ariele.

– Przywieźliśmy z sobą kogoś. – Niburu nagle znów stał się niespokojny. Wskazał za siebie na otwarte drzwi. Do pokoju wszedł trzeci mężczyzna. Reede zastygł w zdumieniu.

– Tata! – zawołała Ariele, wyrывая się do przodu.

– Cii. – Reede złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie; ostrzegł wzrokiem Dawntreadera, by pozostał na miejscu. – Co on tu robi? – Zadał oczywiste pytanie, pozwalając Niburu i pozostałym domyśleć się z płonącego spojrzenia, że nie może tu mówić swobodnie.

Kedalion zawahał się, tak samo jak Kullervo wiedział, że ściany mają tu oczy i uszy. – Ma... dla ciebie ważne dane. O merach...

– Tak? – Reede spojrzał na Dawntreadera, próbował mówić obojętnie. Sparks przyglądał się Ariele drżącej w uchwycie ukochanego. Kullervo nie wiedział, jak długo samą siłą woli zdoła zmusić ich do milczenia. – Pokaż, co przywiozłeś. Tam... – wskazał głową na oczekujące laboratorium; poprowadził Sparksa przez drzwi i zamknął je za sobą szorstkim poleceniem.

Puścił Ariele. – W porządku. Możemy mówić. – Niburu rzucił mu zdziwione spojrzenie; kiwnął głową. – Panuję nad znajdującymi się tu urządzeniami – wyjaśnił z gorzkim zadowoleniem. Laboratorium było jedynym miejscem, gdzie miał dostęp do sprzętu i oprogramowania dostatecznie nowoczesnego, by pozwoliło mu kontrolować otoczenie.

Ariele pobiegła do Dawntreadera. Zrobił to samo, złapał ją w ramiona i Reede w tej chwili nie

był w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście nie jest jej ojcem.

– Już dobrze – powtarzał Sparks, podczas gdy dziewczyna bez końca mruzczała: – Przyjechałeś po mnie...

– Nie jest z nią dobrze – rzucił Reede. – Spóźniłeś się. Wzięła wodę śmierci.

Dawntreader spojrział na niego, w jego oczach pojawiła się nagle wiedza o zgrozie, o jakiej nie mógł mieć pojęcia. Popatrzył na Ariele, znowu na Reede'a.

– W takim razie być może przybyłem tu, by cię zabić, a nie uratować...

– Zabić mnie? – prychnął Reede, machając obandażowanymi rękoma. – Już jestem martwy. Uratować? Nie bądź głupi. Jeśli spróbujesz kogoś z nas zabrać, sprowadzisz tylko śmierć na oboje. Równie dobrze mógłbyś unieść broń i zastrzelić nas od razu. Albo poddaj się i przyznaj, że wszedłeś do piekła z gołymi rękoma, że nigdy nie wydostaniesz się stąd żywy. Bądź człowiekiem Źródła. Wtedy zostaniemy jedną wielką, szczęśliwą rodziną... – Walnął w blat stołu, nie zważając na ból.

Dawntreader skrzywił twarz, oderwał wzrok od bladej zrozpaczonej twarzy Ariele, by znowu popatrzeć na Reede'a. Powoli się uspokoił.

– W porządku – mruknął. – Byłem na to przygotowany... Musicie mi wybaczyć, że mimo to trudno się z wszystkim godzę. Wysłuchaj mnie jednak, nim nazwiesz głupcem. Wiem o wodzie śmierci i o całej reszcie... tak samo teraz Moon i Gundhalinu. Sędzia może wyprodukować dla was narkotyki, obronić cię i robi to chętnie, chociażby ze względu na Ariele. – Spojrział na nią znowu, nie spostrzegając nagłego, ironicznego uśmiechu Reede'a. – Zabieram stąd córkę. Lecisz z nami?

Reede przypomniał sobie rozpaczliwą próbę Gundhalinu skłonienia go do dobrowolnej współpracy ze Złotym Środkiem. Pomyślał, że teraz jego musiałby błagać o narkotyki, a nie Źródło. Pomyślał o merach. Skrzywił się, opierał się słuchaniu więcej niż połową ucha, opierał nadziei. – Zapominasz o najważniejszym. Umrzemy, nim jeszcze dolecimy na Tiamat. Droga trwa za długo.

– Czy masz próbkę narkotyku, którą moglibyśmy wziąć z sobą?

– Tak. – Reede wzruszył ramionami. – Co z tego?

– W takim razie umieścimy was oboje w stacji, aż wyprodukujemy dostateczną jego ilość.

– Jak, do cholery, zamierzasz to zrobić? – Reede czuł, jak złości się coraz bardziej w miarę niszczenia przez Dawntreadera kolejnych linii obrony.

– Szefie, wydostaliśmy się ze statku w szalupie ratunkowej – powiedział Niburu. – Możemy użyć kokonów bezpieczeństwa, by wprawić was w stację.

Reede spojrział na niego. – Bogowie... – mruknął. Mieszczące się w szalupie ratunkowej zespoły wypadkowe dla rannych pasażerów wyposażone były w ograniczony cykl zawieszenia, ale mógł on nie wystarczyć.

– Nie będziecie musieli w nich być, jeśli Gundhalinu przygotuje wam wszystko, czego potrzebujecie – powiedział Dawntreader.

To cholernie pomysłowe – mruknął Reede, niechętnie kiwając głową.

– Szalupę ratunkową wymyślił Niburu – powiedział Dawntreader.

Reede zerknął na Kedalion, który na w pół świadomie wzruszył ramionami. Uświadomił sobie, czym on i Ananke ryzykowali, ryzykują nadal, za samo przywiezienie tu Dawntreadera. Zrozumiał w końcu, że czynią tak nie ze względu na Ariele, nie z lojalności dla Hegemonii czy dlatego że poprosił ich o to Sparks. Wyłączywszy te powody, zostawał mu tylko jeden.

– Musieliście wszyscy zwariować – powiedział gniewnie.

Niburu niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Nie trzeba być szalonym, żeby dla ciebie pracować, ale to pomaga. Szefie, no i co powiesz? Zrobisz to? Będziemy mogli się stąd wyrwać, na zawsze.

– Gundhalinu pomoże nam, gdy tylko wrócimy na Tiamat – powtórzył Dawntreader. Popatrzył na Reede'a z nadzieją, obejmując Ariele.

– Naprawdę zamierzacie to zrobić, prawda? Wszystko obmyśliliście. – Reede popatrzył na nich, skrzywił usta. – Poza tym, jak po wyjściu stąd zdołamy pokonać pierwsze kilkaset metrów systemów bezpieczeństwa warowni. – Zobaczył, jak pozostali patrzą po sobie. – Tak myślałem – powiedział gorzko i uśmiechnął się. – W porządku – mruknął. – Lubię takie szansę – samobójcze. – Popatrzyli na niego z większym nawet smutkiem.

– Mam coś, nad czym długo pracowałem, małą prywatną robótkę. Czekałem na odpowiednią chwilę, by ją wypróbować. – Odwrócił się, podszedł do najbliższego komputera. Usiadł przy nim, zębami zerwał opatrunki owijające ręce. Migając palcami nad tabliczką dotykową, wymruczał szereg kodów. Płytką śpiewała pod świeżo zagojoną, wyjątkowo wrażliwą skórą dłoni, podobnie czuł się sam, gdy z tajemnego schowka wynurzyły się ukryte dane i pojawiły przed nim w całej swej jadowitej doskonałości. – Ruszajcie – szepnął im – i niszczone. – Rozcapierzył palce i ułożył płasko nad tabliczką dotykową opatrzone piętnem dłonie. Obraz zniknął, oczyszczając ekran.

Obrócił się w fotelu, zobaczył, jak pozostali zgromadzili się wokół, milcząc i nic nie rozumiejąc.

– Co zrobiłeś? – zapytał Dawntreader.

Reede uśmiechnął się szeroko. – Uwolniłem wirusa komputerowego, przeznaczonego przeze mnie dla głównego systemu operacyjnego warowni. Wkrótce wszystko zacznie iść wolniej. Po kilku godzinach cała forteca będzie całkowicie bezbronna. Gdy przekona się o tym reszta Tuo Ne'el, zrobią z nią to samo, co Źródło z Humbabą. – Dostrzegł zaskoczenie Niburu i Ananke. – Może to dać nam niezbędną szansę wydostania się stąd. Przynajmniej będziemy razem, jeśli się nie uda... W każdym wypadku, nie ma lepszego wyjścia. I już się stało – dokończył, ucinając sprzeciwy, nim mogły się pojawić.

– Dziękuję, Gundhalinu-eskrad... – Pochylił się nad biurkiem, gładząc palcami tabliczkę czuciową, jakby była to skóra kochanki. – Pewnej nocy – mruknął – gdy byliśmy jeszcze na Czwórcę, Gundhalinu przedostał się poprzez systemy bezpieczeństwa zespołu badawczego, zabierając z sobą pojemnik napędu gwiazdowego, jakby były to śmieci. Systemy go nie zatrzymały, ponieważ sam je zaprogramował. Jest pieprzonym geniuszem i nawet o tym nie wie. A wiecie czemu? Nie dlatego że jest utalentowany – ma spory spryt, lecz jego prawdziwą siłą jest zdrowy rozsądek. Dostrzega sedno rzeczy. Spojrzenie z boku, zastosowania praktyczne; kiedy nacisnąć, a kiedy popuścić... cholerny czynnik ludzki. Bogowie, zazdrościłem mu tej nocy; chciałem mieć jego umysł, a nie swój... – Urwał, opuścił wzrok. – Odtąd starałem się myśleć jak on. Na ogół nie jestem w tym dobry.

– Ani ja – mruknął Dawntreader. – Może to dlatego tu jestem, a on z moją żoną.

Reede spojrzał na niego. – Mimo to nie wątpisz, że zaopiekuje się nami, gdy wrócimy?

Dawntreader westchnął. – Ani trochę.

– Tak dobrze go znasz? – zapytał Reede z powątpiewaniem. Dawntreader spojrzał na Ariele, lekko ścisnął jej ramiona, nim popatrzył na Reede'a.

– W ogóle go nie znam. Nie chciałem poznać.

Reede kiwnął głową i odwrócił wzrok. – Powiedz, naprawdę masz dane na temat merów?

Dawntreader wyglądał na zdumionego zmianą tematu, lecz mimo to przytaknął.

– Sądziłem, że to dobry pomysł na wypadek szukania przez kogoś powodów.

– Przywiozłeś swoje prace na temat pieśni merów i teorii fugi. – Reede poznał po minie Sparksa, że trafił. – Naprawdę wymagało to wyobraźni. Masz talent, Dawntreader.

Sparks skrzywił się, pomijając milczeniem pochwałę.

– Skąd wiesz? Nie mówiłem ci.

Reede uśmiechnął się. – Wiedziałem, że masz dość sprytu, by nie zaufać do końca Źródłu, gdy polecił ci przekazać nam swoje dane. Dlatego włamałem się do twoich zbiorów. Tego też nauczyłem się od Gundhalinu... jeśli chcesz zrobić coś dobrze, musisz uczynić to sam. – Roześmiał się bez śladu wesołości, spojrzał na komputer. – Pokazał mi, że panując nad systemem, stajesz się bogiem. No, jestem teraz Posłańcem, Bogiem Śmierci... – splótł palce razem i ścisnął.

– Miałeś to cały czas? – zapytał Niburu z pewnym niedowierzaniem. – Mogłeś wykorzystać?

– Nie... – Reede pokręcił głową. – Zużyłem wiele czasu na nauczenie się systemu, poznanie jego słabości, doskonalenie podejść... Musiałem czekać z zemstą na odpowiednią chwilę. Nadeszła teraz. – Wstał z fotela, podszedł niespokojnie do pozostałych. Rozstąpili się przed nim, jakby dostrzegli coś w jego oczach, jakby uwierzyli w boskość, moc niszczenia.

Podszedł do systemu zawierającego jego prace nad wodą życia, wyniki badań prowadzonych nad jej próbką po ostatnim spotkaniu z Gundhalinu. Pobawił się strukturą wywołanego na ekran trójwymiarowego modelu. Tu i tam przekształcił ją nieznacznie, wprowadził zmiany, jakie po wielokroć wypróbowywał w myślach, podbechtywany ich zmyślną skrytością, nim rozmowa z Gundhalinu nie dała mu nagłego, straszliwego natchnienia. Dokończył przeróbkę, nakazał systemowi je skopiować i wytworzyć próbkę.

Pozostali czekali niepewnie, podczas gdy wydobywał porcje wody śmierci czekające już w jednej z zamkniętych szafek. Źródło jak nigdy nie ociągał się z dostawą, co czynił, odkąd przeprowadził swój plan.

Wręczył Dawntreaderowi połączone dawki, wyjaśnił mu dobitnie, czym są.

– Na miłość bogów, nie zgub tego, cokolwiek byś nie robił. – Sparks przytaknęła, wsunął mały pojemnik do sakiewki przy pasie.

– Dobra – powiedział Reede. – Niburu, zabierz wszystkich na małą wycieczkę po warowni. Uspokój się. – Kedalion patrzył na niego. – Zakończ ją w pobliżu wejścia do przedziałów cumowniczych i poczekaj. Gdy tylko zacznie się zamieszanie, wykorzystaj je, aby wejść na pokład. Dołączę tam do ciebie.

– Co, do diabła, zamierzasz zrobić? – zapytał Niburu. Reede obejrzał się za siebie. – Mam jeszcze coś do zrobienia.

Mam coś, czego pragnie Źródło. Dam mu to.

– Reede, nie... – Ariele oderwała się od Dawntreadera i podeszła do niego.

– Szefie, nie możesz... – zaprotestował Niburu.

– Na Panią i wszystkich bogów! – zawołał Dawntreader. – Skoro naprawdę nastawiłeś całą warownię na zniszczenie, to będziesz miał swą zemstę na Źródle za wszystko, co ci zrobił. Taka wystarczy.

– Nie – szepnął Reede. – Nie wystarczy. – Myślisz, Dawntreader, że nie sprawdzą twego niespodziewanego przybycia? Że nie wypytują się o ciebie? Jaakola nie jest głupi – wie, kim jesteś. Muszę dać mu inny powód do myślenia na następne parę godzin, bo nigdy nie wydostaniemy się stąd żywi. Powiedziałem, że spotkamy się później. Wychodźcie. – Podszedł krok w ich stronę i cofnęli się – wszyscy, poza Ariele. Dawntreader złapał ją za ramię, łagodnie, lecz mocno, i zmusił do ustąpienia. Poszła z wyprowadzającym ją ojcem, oglądając się cały czas przez ramię. Reede dostrzegł w jej oczach strach o niego – i niespodziewaną krwawą żądzę zemsty, równie silną, jaką sam czuł.

– Szefie, szalupa jest w przedziale cumowniczym numer trzy. Na niższym poziomie – zawołał Niburu. – Gdybyś się spóźnił...

– Śpiesz się... – krzyknęła Ariele.

Kiwnął głową, patrząc, jak odchodzi, jak wszyscy znikają kolejno w drzwiach prowadzących poza schronienie laboratorium. Słuchał ich, dopóki kroki nie umilkły. Wówczas, poruszając się wolno, jakby miał do dyspozycji cały czas świata, wysłał Źródłu wiadomość, że chce się z nim szybko spotkać.

– Powiedzcie mu, że mam to, czego chce. – Zaraz potem przerwał połączenie.

Przeszedł samotnie rozbrzmiewającym echem laboratorium, sprawdzając odczyty podgrzewaczy molekularnych. Opadł na stołek, siedział nieruchomo, patrząc, jak rozwija się program. Ekran wygasł w końcu, zamiast przesuwających się zbiorów danych pokazał dwa jaśniejsze słowa: operacja zakończona. Reede uśmiechnął się, wstał ponownie i poszedł do czekającej nań broni. Podniósł czystą probówkę, obejrzał jej zawartość – ciężki srebrny płyn poruszający się wewnątrz ścianek jak wspomnienie.

Wziął probówkę i opuścił laboratorium, szedł rozległą warownią, z dziwną obojętnością przyglądał się jej pracownikom, mieszkańcom, całemu doskonałemu, hermetycznemu wszechświatowi. Zauważył z zadowoleniem niezwykłą liczbę przekleństw, zmieszanych robotników, którzy nagle zaczęli mieć trudności z obsługiwanyimi przez nich systemami.

Droga do celu zajęła mu więcej czasu, niż sądził, spóźnił się niemal pół godziny z powodu niespodziewanej zmiany trasy promu. Radość wywołaną pomyłką psuł niepokój, aż wreszcie dotarł do skraju prywatnego sektora Źródła i poprosił o przyjęcie przez Pana. Wirus zdawał się rozprzestrzeniać szybciej, niż przewidywał. Modlił się, by pozostali dostrzegli objawy, bo inaczej nie wyliczą właściwie pory przybycia do portu. Musiał ufać, że odegrają swe role; tak samo jak oni muszą ufać jemu...

Reede zmusił się do opanowania swego nerwowego zerkania na boki, wzdrygnięcia się, krzywienia twarzy, stukania nogą, gdy straż klęła i po raz czwarty, a potem piąty powtarzała jego prośbę, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Rozpaczliwy głos w głębi duszy starał się mu powiedzieć, że działa jak szalenciec; że przybywając tu, podejmuje wariackie ryzyko. Musiał jednak tak postąpić, musiał zmusić Źródło do skupienia się tylko na nim, myślenia tylko o nim, bo inaczej inni nie uciekną. Sam wydostanie się stąd żywy pod warunkiem, że i oni to zrobią. Musi to zrobić... Musi ufać sobie.

– Cholera... – zaklął strażnik.

Rozległ się niespodziewanie głos Źródła, zalał ich potok całkowicie niezrozumiałych słów.

Strażnik rozejrzał się niepewnie. – Co powiedział...?

– Powiedział "Chodź na górę" – warknął Reede. Przeszedł nieustępliwą zaporę ściany obronnej i gdy ta go nie zatrzymała, nie zrobiła tego i straż. – Idź – powiedział zrezygowany wartownik. – Znasz drogę.

Znał. Winda unosiła go bardzo długo. Pomyślał, ile to razy, począwszy od pierwszej, wymuszonej wizyty u Źródła, dręczyły go koszmary o zatrzaśnięciu się w jednym z tym pieprzonych urządzeń. Niemal równie często, co o utonięciu...

Winda wypuściła go wreszcie do myląco zwykłego pomieszczenia przed nie oznakowanymi drzwiami prowadzącymi w ciemność. Zerknął na zegarek, po drodze sprawdził znowu czas. Musi przeciągać wszystko, aż... Straże, ludzkie i elektroniczne, przepuściły go bez słowa, wchłonęły drzwi.

Reede zatrzymał się tuż za nimi, gdy tylko się za nim zamknęły; poczuł, że serce przestaje mu bić. Spocone ręce zacisnął na cennej próbówce ze srebrnym płynem. Jestem bogiem śmierci...

– Panie – powiedział, wypatrując w ciemnościach niemal niedostrzegalnego błysku czerwieni. –

Mam to.

– Kullervo – szepnął głos Źródła, teraz całkowicie wyraźny. Tak. Widzi to teraz, słaby poblask bursztynowego światła. – Woda życia? Przynieś mi. Przynieś tutaj...

Ruszył do przodu, powłócząc nogami, idąc ostrożnie pomimo przynaglającego tonu głosu Źródła. Dotarł do fotela, na którym zawsze musiał siadać, znalazł go niespodziewanie w ciemnościach. Zaczai wyszukiwać drogę, by go wyminąć.

– Chodź tutaj – powiedział Źródło. – Bliżej. Daj mi... Reede posłuchał, podchodząc do niewyraźnej, nieokreślonej postaci, poruszał się jak człowiek na polu minowym. Nigdy przedtem nie pozwolono mu zbliżyć się tak bardzo. Domyślał się, że może to być kolejne złudzenie, kolejny wyświetlany obraz – z tego co wiedział, był tu sam. Czuł jednak coś innego.

Wpadł na jakąś nieprzeniknioną krawędź, wytracił niespodziewanie pchającą go naprzód siłę. Pomacał przed sobą rękoma, natrafił na płaską, zimną powierzchnię drażniącą przewrażliwioną skórę palców. – Jest tutaj, Panie. – Położył na niej próbkę, kierując się dotykiem, i zaczął wycofywać.

– Stój – powiedział Źródło. – Podejdź znowu.

Reede rozluźnił mięśnie i ponownie ruszył do przodu, aż natrafił na twarde skraj przeszkody między nimi. Położył palce na krawędzi, zacisnął. Cieszył się, że jest tutaj, przedziela ich.

Uderzył go nagle promień niebieskofioletowego światła, padał z góry, zalewał oślepiającym blaskiem. Odgrodził się od jasności zamknięciem oczu, jego koszula promieniowała w mroku jak dziwny kwiat. Za ciebie, Mundilfoere... Opuścił ręce wzdłuż boków, pozwolił pamięci stworzyć w duszy wzniosłą, majestatyczną przestrzeń, adhani doskonałego spokoju, w którym wytrzyma najwymyślniejsze sprawdziany ciała i umysłu. Światło zgasło nagle. Czekał bez ruchu.

– A więc w końcu zrobiłeś to... – szepnął Źródło. – Zsyntetyzowałeś postać wody życia, jaką można reprodukcować i sprzedawać.

– Tak, Panie.

– Powiedziałaś Gundhalinu, że to niemożliwe.

– Mówiłem już, że mu skłamałem.

– I że nie skłamiesz mi – szepnął Źródło. – Tak?

– Tak, Panie.

– Powiedziałaś mi, że znalezienie rozwiązania wymagać będzie wiele czasu, lecz mimo to już na nie trafiłeś?

– Dochodząc do siebie, miałem mnóstwo czasu na myślenie. – Jakoś zdołał się uchronić przed drżeniem głosu.

– Na pewno. Mam nadzieję, że były to myśli o pokorze i daremności oporu.

– Tak, Panie.

– I jeśli to zażyję, zadziała tak samo jak oryginał.

– Lepiej – powiedział Reede łagodnie. – Jest lepsze. Nastąpiła chwila milczenia. – Pod jakim względem? – zapytał Źródło.

– Jest stabilne. Tak jak chciałeś. Znalazłem sposób przedłużenia czasu działania poza ciałem mera. Dzięki temu woda jest łatwiejsza do produkcji, przewozu i sprzedaży...

Promień oślepiającego światła niby miecz ugodził tkwiącą przed niewidzialną powierzchnię, skupił się na postawionej tam próbce. Reede ponownie zamknął oczy nie mogące znieść blasku, spod zaciśniętych powiek dostrzegał granice jasności.

A potem, równie niespodziewanie, zapadła ciemność. Otworzył oszołomione oczy, zamrugał nadaremnie.

– No? – zapytał Źródło nagle, jego głos drżał z niecierpliwości. Co to jest?

– Co...? – Reede urwał, zrozumiał, że Jaakola mówi teraz nie do niego, lecz domaga się odpowiedzi od skrytego systemu analizy danych, który zaczął badać zawartość próbki.

Z mroku dobiegł go nagły szelest, jakby coś gwałtownie przesuwano i gardłowy odgłos mogący być przekleństwem. Czekał; niewidzialny, nieugięty.

– Moje gratulacje, Reede... – mruknął w końcu głos Źródła. – A może powinienem gratulować Vanamoinenowi? Jak powiedziałaś, to jest... doskonale. Lepsze niż przedtem. Naprawdę jesteś geniuszem... – Coś w tym głosie mroziło Reede'a nagłym lekiem, że jego użyteczność dobiegła końca, że zaraz umrze. Źródło zachichotał jednak niespodziewanie i mruknął: – Kto wie, jakie nowe światy dla mnie zdobędziesz?

Reede nie odpowiedział. Wypij to, pomyślał. No, weź to, gnijący gnojku. Wypij.

– Pierwsza porcja należy się tobie, Panie – powiedział wreszcie, starając się usunąć z głosu pilne pragnienie. – To dlatego przyniosłem ją prosto do ciebie. Żebyś był pierwszy.

– Co? – powiedział Źródło z lekką kpina. – Nie wypróbowałaś tego na sobie, tak jak wodę śmierci?

– A po co? – zapytał Reede gorzko. – Nic by mi to nie dało. Panie, woda jest twoja... – wybrał właściwy ton rezygnacji – jak i ja sam.

– Tak – mruknął Źródło. – Tak, słusznie.

Reede usłyszał następny szelest, jakby ktoś się przesuwał. Popatrzył na miejsce dzielącej ich powierzchni, w którym miał wrażenie, że zostawił próbkę, wpatrywał się z takim napięciem, że niemal odniósł wrażenie dojrzenia jej, otoczonej słabą czerwoną poświatą; że widzi ciemną, bezkształtną postać podchodzącą do niej, zasłaniającą, zabierającą. Znowu coś zaszleściło; tym razem był pewny, iż poświata jest jaśniejsza, iż gdzieś przed sobą dostrzega wyraźnie zniekształconą bryłę udającą wyglądem człowieka. Przedtem nigdy nie był o tym równie przekonany. Dzieje się tak nawet tutaj.

Usłyszał westchnienie pełne zadowolenia.

– Nareszcie – szepnął Źródło. – Smakuje jak należy... Tak – zupełnie jak pamiętam.

Poczuł śpiewającą w nim ulgę. Nareszcie... I ciągle ma czas: zdąży jeszcze powiercić nożem w ranie. – Zapomniałem ci o czymś jeszcze powiedzieć – oznajmił. – Dotyczy to wody życia. Jest stabilna nie tylko poza ciałem mera, ale też u nosiciela.

– Co to znaczy? – zachrypiał Źródło. – Na jak długo stabilna?

– Co najmniej kilkadziesiąt lat. Nie wiem na pewno. Zaczęła już działać, sprawdza twe DNA, zachowuje każdy narząd i funkcję ciała, tak iż pozostaną w stanie, w jakim są dokładnie teraz. Nic się nie zmieni, wszystko od tej chwili będzie jednakowe...

– W takim razie nikt nie będzie musiał zażywać wody częściej niż co kilkadziesiąt lat – warknął Źródło. – To nie przyniesie zysku...

– Chyba nie – mruknął Reede. – Ale nie tylko w tym rzecz.

– O co ci chodzi?

– Rzecz w tym, co woda robi z tobą.

– Co...? sapnął Źródło.

– Woda życia była zaprojektowana dla zapewnienia długowieczności merów, a nie ludzi. Są one wytworem bioinżynierii – ich materiał genetyczny jest znacznie prostszy niż nasz, o wiele bardziej niezawodny. Nasze ciała powstały drogą prób i błędów; w porównaniu z nimi są bardzo niedoskonałe i niewydajne. – Reede zaczął się uśmiechać, pozwolił Źródłu dostrzegać jadowitość wyjaśnień. – Woda życia dla każdego dowolnego układu biologicznego wyznacza bardzo wąski

zakres "normalnego działania". Ludzie mogli ją zażywać w celu powstrzymania starości tylko dlatego, że zawsze się rozkładała. Nigdy dłużej niż dzień nie wpływała nieprzerwanie na ludzkie ciało. Zostawiało mu to swobodę konieczną dla zmian... przekształceń naturalnych cykli, rytmów, przypadkowości. Chaos... – powiedział dziko – przeciwko Ładowi.

Podszedł bliżej, do ostrego skraju ciemności. Przestrzeń przed nim zamigotała, na chwilę się rozjaśniła i dostrzegł sylwetkę wyraźnie. Nie potrafił stwierdzić, czego jest zarysem, ale to go nie obchodziło. – Wkrótce zacznie się rozpadać twoja pamięć krótkoterminowa. Wkrótce zostaniesz zmuszony do życia w izolacji, ponieważ twój system odpornościowy nie podoła żadnemu atakowi... Wkrótce będziesz doskonałością. Stare Imperium sądziło, że ją znalazło. To właśnie mniemanie ich zniszczyło. Powiadają, że bogowie są zawistni o doskonałość... – Odepchnął się od twardej krawędzi nocy, roześmiał się, usłyszawszy, jak Źródło zaklął ponownie, gardłowo i zabójczo. Dostrzegł, że może już widzieć niepewne zarysy swych dłoni, ciała.

– Nie wierzę ci – warknął Źródło, usłyszał strach w jego głosie. – Nie ośmieliłbyś się.

Reede wykrzywił usta. – "Wszystko się zmienia". Pamiętasz, kiedy mi to powiedziałeś? Ja pamiętam. Teraz mam władzę. Powiedziałeś, że Mundilfoere umierała długo... Jak myślisz, ile czasu zajmie to tobie?

– Czemu tu tak jasno? – Źródło zawołał w powietrze z nagłą wściekłością. – Jest za jasno!

– Wiń mnie – powiedział Reede. – To moja sprawka. Ja tego dokonałem, Jaakola. Moje dzieło przejmuje władzę nad twoim ciałem, podobnie jak nad całą twą warownią. Wkrótce stanie się całkowicie bezbronna.

– To niemożliwe.

– Czemu więc się dzieje? – szepnął Reede. Odpowiedziało mu tylko milczenie. – Chcesz, żebym to powstrzymał? Gdybym potrafił to uczynić, czy dałbyś mi wszystko, czego bym tylko zapragnął? Jak wielka jest twoja prawdziwa potęga, jak długie ręce? Jakie tajemnice znasz... czy wystarczy to, byś odkupił swe życie?

– Czego chcesz? – zacharczał Źródło, słowa wlokły się jak łańcuchy. – Czego... ?

– Chcę, żebyś błagał. Zmusiłeś mnie do błagania o życie Mundilfoere, ty śmierdzący, sadystyczny gnojku... Chcę, żebyś teraz błagał o swoje.

– Przestań...

– Co?

– Przestań! Dość, przestań, na Niewypowiedziane Imię, dam ci, co tylko zechcesz. Wariacie, dam ci wszystko, czego zapragniesz, powiedz tylko, że jest sposób na powstrzymanie tego!

Reede zaczął się śmiać. – Nie możesz powstrzymać – nie ma żadnego sposobu.

Usłyszał dławiony głos niewiary czy wściekłości.

– Bezmózga kukło! Szaleńcze! – Coś przeleciało przez dzielącą ich zaporę; Reede cofnął się, nie przestając się śmiać, nie został trafiony. – Sam też się zabijasz! – ryknął Źródło. – Pieprzony wariacie, zabijasz nas wszystkich!

– W tym rzecz – powiedział Reede cicho. – Po to tu jestem. – Zaczął się cofać. – Nadchodzą twoi wrogowie, Jaakola. Na twoim miejscu uciekałbym. Schowałbym się... Choć nic ci to nie da. – Odwrócił się, ruszył do drzwi, widział je teraz w postaci niewyraźnego zarysu na tle ciemnej szarości.

– Kullervo! – Zdarty głos wołał za nim przekleństwa. Pokój się rozjaśniał, szarzał niby mgła o świcie, odsłaniając pozbawioną kształtu ścianę, zbliżając się za każdym krokiem drzwi. Wiedział, że gdyby się obejrzał, zobaczyłby go teraz – oblicze wołającego bezsilnie koszmaru. Nie zrobił tego.

Doszedł do drzwi, uderzył w nie z całej siły. Ustąpiły, rozpląły się pod naporem i wyleciał

poza nie na światło dnia.

Jaakola wzywał teraz strażników, rozkazywał im zgnieść Reede[^]. Kullervo wstał i skoczył na najbliższego, uderzył w żołądek, powalił. Złapał za upuszczony przez wartownika karabin ogłuszający; przetaczając się w poszukiwaniu drugiego, uniósł broń, choć wiedział, że nie zdąży strzelić.

Błękitny przestwór nieba przesłonił mur białego ognia, znajdująca się za strażnikami gruba na metr ceramiczna ściana runęła do środka z ogłuszającym rykiem. Reede podniósł ramiona, osłonił głowę przed huraganem walących wokół przezroczystych pocisków. Rzuciło nim na ścianę obok pobitego wartownika, został w kilku miejscach naraz pokaleczony spadającymi szczątkami, miał wrażenie, że czas teraz płynie wolniej. Już – obrona warowni przestała istnieć i ktoś poza nią już się o tym dowiedział. Bogowie – wszystko poszło zbyt szybko.

Zakrwawiony, oszołomiony, jakoś wstał. Ujrzał wpatrzone w siebie oczy leżącego obok strażnika – rozszerzone i nie mrugające; wbity w jego czaszkę sztylet pękniętego stopu ceramicznego. Nie było śladu pozostałych wartowników; zamrugał i dostrzegł krew, rozpryskaną jak malowidło na przeciwległej ścianie. Z daleka doszły go niewyraźne odgłosy dalszych wybuchów; czuł przez podłogę wstrząsy obejmujące całą warownię. Z pokoju, z którego dopiero co się wyrwał, nie dochodziły żadne krzyki czy jęki, nic zupełnie. Zajrzawszy przez drzwi, dostrzegł znowu ciemność.

Spojrzał oszołomiony na szeroką wyrwę w murze, wyzierającą przez nią błękitną otchłań nieba; zauważył unoszące się ku górze pasma dymu z opanowanego przez ogień ciemnego lasu. Duszące opary wypełniły mu oczy i gardło, gdy schylił się po karabin strażnika. Odwrócił się ponownie, powlókł w stronę windy. Walnął pięścią w tabliczkę przyzywającą; roześmiał się ze zdumienia, gdy drzwi otworzyły się przed nim i ujrzał oczekującą kabinę.

Wydał jej polecenie lekceważenia innych wezwań, nie pozwolił na stawanie przed dotarciem do celu. Oparł się o ścianę, osunął wzdłuż niej, usiadł na podłodze, podczas gdy winda opadała na kolejne poziomy, jej szybkość wahała się od ospałej do szaleńczej. Patrzył na swe zakrwawione oszołomione oblicze, odbijające się w wypolerowanym metalu, zastanawiał się, czy Niburu i pozostali nadal czekają, czy też przebili się i już uciekli. Zrobili to, jeśli nie zwariowali, uratowali życie. Gdyby tego nie uczynili, byłiby głupcami; gdyby uczynili, porzuciliby go w chwili, gdy nagle tak bardzo zapragnął żyć... chce tyć, musi wrócić na Tiamat – mam na niej otwarte rachunki. Pozostawione tam sprawy są znacznie ważniejsze niż życie, nawet jego własne...

Pojął nagle, że tu nie zginie – nie może, nie wolno mu. Przeżyje, choćby miał zabijać, ranić i czołgać się po odłamkach szkła, nie takie jest jego przeznaczenie; los wzywa go na Tiamat i musi wrócić do domu...

Kabina windy zatrzymała się z trzaskiem, szarpiąc wszystkimi kośćmi ciała Reede'a; drzwi otworzyły się tylko do połowy. Przecisnął się, klnąc, w tłum wrzeszczących, przerażonych robotników, wołających daremnie rozkazy żołnierzy, między spadające gruzy i smród palących się tworzyw. Zobaczył, jak wszyscy przesuwają się w jedną stronę; jak biją się obok poduszkowca. Przeciągnął po nich salwą z karabinu ogłuszającego, czyszcząc sobie drogę; przeskoczył nad upadłymi ciałami i wpadł do kabiny pojazdu.

Niby liść unoszony wstępującym prądem, zaczął się wznosić po spirali wewnątrz ogromnego szybu wewnętrznego; ruszył wąwozami dowozowymi w stronę przedziału cumowniczego, w którym miał na niego czekać Niburu i pozostali, powinni czekać, są wariatami, jeśli są tam jeszcze, muszą być...

Wylądował na pomoście załadunkowym, ujrzał przed sobą barykadę. Przebił się przez tłum, jaki natychmiast otoczył poduszkowiec, nie miał pojęcia, dokąd, u diabła, chcą nim uciec. Może po prostu

jak najdalej stąd. Zatoczył się, gdy ponownie zatrzęsło warownią; z duszą na ramieniu pognął w stronę barykady. Broniący dostępu strażnicy wymierzili weń broń.

Zwolnił, opuścił własną. – Jestem Kullervo! – zawołał. – Mam przepustkę, muszę przejść, czekają tam na mnie.

Zawahali się, patrząc na niego. – Coś mówili o Kullervo... – powiedział dowodzący.

– Nie zrozumiałem co, sierżancie – rzucił pozostały żołnierz. – Słowa były równie przekręcone, co wszystko inne...

Sierżant skrzywił się i skinął ręką. – Przechodź – polecił. Drugi wartownik krzyknął i sierżant rzucił się w bok, gdy między nich coś spadło. – Co, do cholery, się tu dzieje? – ryknął.

Reede pobiegł, nie wiedząc, czy pytanie jest skierowane w jego stronę, ale na pewno nie chciał na nie odpowiadać.

Korytarz prowadzący do Przedziału Cumowniczego Numer Trzy pełen był ostrego dymu i uzbrojonych ludzi. Reede przeciskał się między nimi z lękiem, że na końcu drogi niczego nie znajdzie. Wreszcie dotarł na niższy poziom przedziału, zobaczył ciągle nie uszkodzoną ogromną komorę, wznoszącą się zewsząd stanowiska cumownicze.

Pełno tu było ruchu, hałasu i dymu, widok przesłaniały wiszące kadłuby transportowców, w końcu nie potrafił się już rozeznąć w obrazach dostarczanych do mózgu przez oczy i uszy. Zaklął, rozejrzał się na lewo i prawo, w górę i dół. Wszystkie układy warowni muszą się już dławić trucizną jego programu-wirusa; w żaden sposób nie zdoła odnaleźć szalupy ratowniczej ani się z nią połączyć – nie ma nawet możliwości sprawdzenia, czy nadal tam jest.

Znalazł drabinę, zaczął wspinać się na rusztowanie w nadziei, że z góry będzie lepiej widział.

– Kullervo! – Gdy wszedł na platformę, ktoś zawołał jego imię. Odwrócił się, zobaczył rudą czuprynę Sparksa Dawntreadera, przeciskającego się ku niemu przez rozdzielającą ich masę zapominających o rozsądku ludzi. – Tędy! – Tiamatańczyk machał szaleńczo rękoma.

Odkrzyknął z ulgą, zaczął biec ku ledwo widocznej latarni morskiej czerwonych włosów Dawntreadera, wymijając robotników i żołnierzy.

– Kullervo! – Z tyłu ktoś jeszcze wezwał go po imieniu; ręka spadła na jego ramię, okręciła. Spojrzał w twarz sierżanta z barykady. Oczy żołnierza były zamroczone wściekłością. Skądś wyskoczyła kolba broni, uderzyła w bok głowy Reede'a, powaliła na kolana. – Pan chce ciebie, nędzny skurwysynu. – Pięść wartownika zacisnęła się na koszuli Kullervo, podniosła go na nogi. – Mówią, że to twoja sprawka! Powinienem sam cię zabić...

Reede zatoczył się, przycisnął dłonie do twarzy; rzuciło nim na metalową ścianę przedziału, gdy do walki włączył się jeszcze ktoś inny.

Dawntreader. Sparks wpadł na strażnika, zbił go z nóg. Sierżant ze zdławionym krzykiem runął w głąb szybu, zniknął im z oczu.

– Jesteś cały? – Dawntreader znalazł się za Reede'em, objął w pasie, podparł.

– No – mruknął Kullervo, ścierając krew z oczu. – Chodź... – Dawntreader poprowadził go dźwięczącą platformą pomiędzy nieskończonymi odmianami ludzkiego bilardu. Reede miał wrażenie, że słyszy za sobą krzyki, ktoś znowu wołała jego imię.

– Jak daleko...? – wysapał, gdy ruszyli przez kratownicę łączącą dwa niepewnie wiszące kadłuby transportowców.

– Po drugiej stronie – wydyszał Dawntreader, wskazując przed siebie. – Widzisz, o tam?

Reede znowu wytarł oczy, kiwnął głową. – Są wszyscy...? Coś, niby pięść olbrzyma, zatrzęsło pomostem, wyrывая go spod stóp. Spadł, na niego runął Dawntreader, gdy wysoko nad nimi ściany przedziału wybuchnęły ogniem. Patrzył bezradnie, jak z nieba zaczęły spadać ogromne kawały

poskręcane metalu, leciały ku nim jak zeschnięte liście. – Trzymaj się! – Zamknął oczy, wcisnął palce w otwory kratowanej podłogi.

Pół metra za jego stopami runęła metalowa płyta większa niż ich oba ciała razem, rozdarła pomost jakby był zbudowany z tektury; pozostała pod nim część jęczała i skakała. Obok spadały dalsze kawałki złomu, leżący na wierzchu Dawntreader wrzasnął raz, krótko i z szalonym bólem.

Reede zaklął, potrząsnął głową, spróbował się podnieść, wydostać spod leżącego nieruchomo nie reagującego ciała Dawntreadera i nie zwalić jego ani siebie z pękniętego pomostu. Znowu usłyszał za sobą krzyki, tym razem na pewno wołano jego imię. Obejrzał się, zobaczył szereg uzbrojonych ludzi ledwo widocznych za nie tkniętym kadłubem transportowca. Wycofywali się z uszkodzonej kratownicy, szukając miejsca, skąd mogliby strzelać.

Reede dźwignął się na kolana, pociągnął ramię Dawntreadera. Włosy Sparksa pokrywała krew, błyszcząc czerwienią na czerwieni. Kullervo nie widział rany, nie wiedział, jak jest poważna. – Chodź – zawołał, ledwo sobie uświadamiając, że krzyczy nadaremnie. – Chodź, do cholery, wstawaj, wstawaj!

Ciało Dawntreadera przesunęło się, opadło; Reede zobaczył, że nogi Sparksa są już za pomostem, ściągają za sobą tułów. Chwytał obiema rękoma za tył koszuli ranego, zaparł się piętami, powstrzymał osuwanie, zbyt był jednak zmęczony, aby dokonać czegoś więcej. Zaklął, popatrzył na zbliżającą się pogoń.

Nagle ktoś znalazł się za nim, obok; mignęła mu czarna skóra i włosy.

– Szefie...

– Ananke... – wydyszał – weź go!

Ananke podszedł, posuwał się krawędzią poskręcane pomostu, jakby leżał on płasko na ziemi, a nie wisiał sto metrów wyżej. Chwytał się połamanej konstrukcji ze zręcznością akrobata, pchał na kratownicę bezwładne kończyny Dawntreadera, podczas gdy Reede resztką sił wlekł ciało. Coś ustąpiło i Sparks przesunął się nagle do przodu. Kullervo ostatnim szarpnięciem wciągnął go na pomost.

– Szefie...! – zawołał Ananke, wskazując w dół. Reede popatrzył w kierunku wyciągniętej ręki, zobaczył pas Dawntreadera, który zaczepił o kratownicę i przeszkadzał w wydźwignięciu ciała. Rzemień zaklinował się w poskręcany metalu pod pomostem, na jego końcu dyndała sakiewka, do której Sparks schował wodę śmierci.

Reede z przekleństwem rzucił się na kładkę, wychylił niebezpiecznie poza nią, zaczął macać rękoma, nie mógł jednak dosięgnąć sakiewki. Ananke przykląkł obok, przytrzymał, aż Kullervo wstał z bladą twarzą, pokręcił głową.

Chłopiec popatrzył na kratownicę, na Reede'a i nagle zniknął za krawędzią, na pomoście pozostały tylko jego stopy. Kullervo zobaczył przez otwory pomostu, jak bujał niby wahadło, aż chwycił się czegoś. Po chwili znalazł się znowu na górze, uśmiechnął, jakby ciężenie go nie obowiązywało. Trzymał coś w rękach, podał... pas i sakiewkę.

Reede podniósł się na kolana, milcząc popatrzył z wdzięcznością. Założył na szyję podany przez Ananke pas, pomógł chłopcu dźwignąć ciało Dawntreadera.

– Szefie, trzeba się śpieszyć.

– Kullervo!

Ananke wyprostował się, obejrzał; krzyknął i upadł, gdy smagnął go oślepiający promień broni energetycznej. Reede chwycił go, pociągnął z szaleńczą rozpaczą.

– Ruszaj się! – krzyknął, pragnąc wrócić rozum w oszołomione oczy Ananke, natchnąć jego mózg wolą przeżycia. – Idź do szalupy, pełnij, do cholery! – Pchnął chłopca, posuwał go przed

sobą, ciągnąc jednocześnie ciało Dawntreadera.

Dotarli tak do końca pomostu, osłoniętego kadłubami wielkich transportowców. Zobaczył leżącą w ich cieniu przypominającą zabawkę szalupę ratunkową, usłyszał wstrząsające przedziałem dalsze wybuchy, nowe krzyki.

Czekała tam Ariele z wykręconą gorączką twarzą, jej głos ginął w ogólnym hałasie. Podbiegła, by pomóc wciągnąć obu rannych do wnętrza statku. Niburu siedział na fotelu pilota, jego oblicze jaśniało tak wielką ulgą, że mogło budzić to śmiech.

– Ruszaj! – zawołał Reede, zwałił Dawntreadera na koję przeciwprzyspieszeniową, podczas gdy Ariele opuściła Ananke na sąsiedni fotel.

– Ananke, chodź tutaj! – zawołał Niburu.

Reede opadł na miejsce drugiego pilota, zaś Ariele przysiadła obok ojca.

– Ananke dostał. Na nic ci się nie przyda.

Niburu odwrócił się, obejrzał przez ramię. – Mocno?

– Nie wiem. – Reede pokręcił głową. – Nieważne, jeśli nie zabierzesz nas z tego piekła. Ruszaj. Ruszaj! – Niburu wystartował, zanim przebrzmiały te słowa, szalupa niby promień wystrzeliła przez cały przedział i wyskoczyła w niebo.

Wszędzie wokół błyskały pasma światła, uderzały w warownię ze wszystkich stron, nawet wprost z góry, niszczyły ją milimetr po milimetrze. Szalupa zadygotała, gdy w jej osłony uderzyła czysta energia. Niburu zaklął.

– Bogowie, sam nie dam rady. Nigdy się nie wyrwiemy poza ogień krzyżowy...

Urwał, gdy nagle przed nimi zniknęły błyskawice; ekrany statku pokazywały kolumnę nienaruszonego powietrza, wzbili się nią poza atmosferę, w kierunku orbity Prajny. Pędząc w niebo, mieli przed sobą otwartą drogę, zostawiali w tyle jaśniejącą jak wybuchająca gwiazda wieżę warowni.

Pędzili w całkowitym milczeniu, jakby jedno choćby słowo mogło zerwać zakłęcie i przynieść im zagładę; łuk lotu stawał się coraz bardziej napięty, przyspieszenie ciężką łapą wciskało Reede'a w fotel. Nie byli ścigani, w osłony nie uderzały już przypadkowe ciosy energii. Kullervo patrzył w niebo, tylko tam mógł; widział, jak pogodny błękit przechodzi powoli w czerń, zobaczył słońce wschodzące niby ogromny lśniący klejnot, błyszczące na rozgwieżdżonym niebie. Gdy opuścili już atmosferę Ondinee, otarł krew z oczu i westchnął.

– Pusto. – Niburu przestał przyspieszać. Rozpęd szalupy ustał, Reede poczuł, że unosi się nieważko nad fotelem, wyrwali się już poza ciężar planety. Chwycił za pasy przytrzymujące, z głośnym śmiechem przyciągnął się w dół i przywiązał.

– Pusto. Wolni i swobodni – nagle z głośnika rozległ się niespodziewany głos. – Gratulacje, uratowani. Powodzenia. – Znowu zapadło milczenie.

– Mówił w sandhi! – Niburu spojrział oszołomiony na Reede'a. Co to było?

Kullervo poczuł, jak kąciki ust wykrzywia mu lekki uśmiech.

– Zdaje się, że spotkaliśmy obcych z dala od domu.

Niburu pokręcił głową, popatrzył w puste niebo, leżącą daleko w dole krzywiznę powierzchni Ondinee, oświetloną przez słońce atmosferę. Mruczał polecenia komputerowi szalupy, jednocześnie niemal bezwiednie dotykając przyrządów. Reede poczuł, że znowu opada na fotel, odzyskał wagę, gdy napęd pojazdu włączył się znowu. – Za około sześć godzin osiągniemy orbitę Prajny – powiedział Niburu. – Sprzęt medyczny jest tam. – Wskazał ręką.

Reede kiwnął głową, wstawał już z miejsca, poruszał się ostrożnie, dopóki nie wyczuł, jakie ciśnienie panuje teraz. Wyjął z klamer kasetę z zapasami.

Ariele stała obok Dawntreadera, rękawem sukni wycierała krew z jego spopielalej twarzy. – Tato... – mruknęła. – Tato?

Reede odsunął ją łagodnie, Niburu precyzyjnie przycisnął się obok, by zbadać Ananke. – Daj spojrzeć. – Własnym rękawem usunął więcej krwi, zobaczył głęboką ranę w boku głowy Sparksa. Skóra pokrywająca czaszkę po przerwaniu krwawości zawsze strasznie, to jednak nie było problemem, krwotok można było łatwo zatamować. Znacznie groźniejsze mogło być strzaskanie kości, Reede nie potrafił jednak stwierdzić, jak bardzo. Podniósł powieki Dawntreadera; jedna źrenica była wielka i nieruchoma, druga zwięzła się odruchowo, gdy padło w nią światło. – Cholera... – szepnęła.

Ariele na jego prośbę podała mu z apteczki środek pobudzający krzepliwość krwi i bandaż uciskowy, przy ich pomocy powstrzymał krwawienie i opatrzył ranę. Dawntreader przez cały ten czas nie poruszał się i nie wydawał żadnego dźwięku, oddychał płytko i niezbyt regularnie. Dopiero gdy Reede go puścił, jęknął cicho i otworzył oczy, popatrzył mętnym wzrokiem. Coś wymamrotał; Kullervo nie zrozumiał niewyraźnych słów. Co? – Reede pochylił się niżej, gdy Dawntreader powtórzył je z bolesnym wysiłkiem, złapał kurczowo przód koszuli Kullervo.

– ...Obiecuj mi – szepnęła. – Obiecuj.

– Tak. Dobrze – powiedział Reede miękko. – Obiecuję. Dawntreader uwolnił go; opuszczone ręce legły nieruchomo na piersi. Zamknął oczy.

– Czy wyjdzie z tego? – zapytała Ariele z niepokojem, gdy Reede wyprostował się nad bezwładnym ciałem Dawntreadera.

– Trudno powiedzieć – mruknął, zasłaniając przed dziewczyną widok ciała ojca. Dotknął przycisk na poręczy fotela Dawntreadera, z góry zaczęła się opuszczać przejrzysta szara osłona. – Zachowaj go to przy życiu, dopóki nie osiągnie Tiamat, tam otrzyma prawdziwą opiekę lekarską – powiedział szybko, ujrawszy drżącą twarz Ariele. – Jego stan nie ulegnie zmianie. To najlepsze, co możemy zrobić. – Złapał ją za ramię, odsunął, razem popatrzyli na zamykający się zespół stacji. Sprawdził jego odczyty. – W porządku – powiedział łagodnie. – Będzie równie bezpieczny, co my wszyscy. – Obrócił się, spojrzał jej w oczy. – Teraz ty. Potem ja. Wszyscy będziemy spali w zawieszaniu, dopóki Niburu nie dowiedzie nas na Tiamat. Usta dziewczyny zadrżały, przycisnęła je do siebie.

– Czarodziejska drzemka – szepnęła. – Tata mówił mi często, gdy byłam mała, "To taka długa droga, Ari... czemu nie spróbujesz czarodziejskiej drzemki? Gdy się obudzisz, będziesz już w domu..." – Głos się jej załamał.

– Tak – mruknął, obejmując Ariele. – Będziemy w domu. – Pocałował jej włosy, podniósł wzrok, gdy Niburu podszedł do nich, by wyjąć coś z pakietu medycznego. – Co z nim? – Reede wskazał głową na fotel, w którym leżał na wpół widoczny Ananke.

– Jest... – Niburu urwał, jego twarz przybrała dziwną minę. – Nic mu nie będzie. Paskudne oparzenie, ale powierzchowne. Wyleczę go tym, co tu mamy.

Reede z ulgą kiwnął głową, pozostałym bandażem otarł krew z twarzy. Owinął głowę i przylepił plaster przeciwbólowy, dopiero teraz, gdy sobie o nich przypomniał, poczuł własne rany. Pas i sakiewka Dawntreadera nadal zwisały się wokół jego szyi. Ściągnął je, otworzył worek i popatrzył na fiolkę z wodą śmierci. Zamknął sakiewkę i zawiązał pas wokół swego ciała. Zerknął na Ananke, widział stąd tylko twarz chłopca, zamknięte oczy, rozwarte usta, kawałek ramienia.

Reede odwrócił się, pociągnął Ariele w stronę fotela. Pocałował ją, gdy usiadła, dziewczyna otoczyła rękoma jego szyję, przywarła ustami do warg w ostatnim, długim pocałunku, nim wreszcie go puściła. Kullervo sięgnął do urządzenia, by je uruchomić.

– Czy przypomina to uduszenie? – szepnęła. – A może zamrożenie?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Jest jak spokój. – Patrzył na opadającą kopułę; Ariele do ostatniej chwili trzymała go za rękę. Wreszcie zespół się zamknął. Przez przejrzystą osłonę widział ciągle twarz dziewczyny, wiedział, że i ona go widzi. Dojrzał w jej oczach przestraszcach, zaraz minął. Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i zasnęła.

Reede sprawdził odczyty, potem podszedł w milczeniu do ostatniego, czekającego nań fotela. Wyciągnął się na nim. Potłuczonego ciała nic nie ścisnęło, miał wrażenie, że leży na chmurach. Popatrzył na zbliżającego się Niburu, choć raz ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

Teraz dam już sobie radę, szefie – Kedalion odpowiedział na nie wypowiedziane pytanie. – Najgorsze mamy już za sobą.

Reede skrzywił twarz. – Nie mów tak. Bogowie, nigdy tak nie mów! – Zaraz jednak uśmiechnął się lekko, dotknął ramienia Niburu. – Cóż bym bez ciebie zrobił?

Niburu rozjaśnił twarz. – Pewnie mniej byś się ruszał.

Reede wybuchnął śmiechem. – Mogą to wyrzucić na moim grobie... – Zwolnił wiszącą mu nad głową tarczę. Zaczęła opadać. – Obudź mnie, gdy tylko dotrzemy na Tiamat. Muszę porozmawiać z Gundhalinu.

Niburu kiwnął głową, szara osłona rozdzieliła ich niby mgła. Gdy tarcza go odcięła, Reede poczuł chwilę przerażenia, tego samego co Ariele. Przykuł oczy do niewyraźnie widocznej twarzy Niburu, próbował zachować władzę nad ciałem, ale powietrze wypełnił już chłodny, drażniący opar, wdychając go, tracił świadomość, wraz z nią wzrok. Poczuł zapach świeżego wiatru, słońca i dziwnych ziół, radość i swobodę... milczenie... spokój...

Kedalion patrzył na zamykające się oczy Reede'a, utrata przytomności przywróciła młodość jego pokrytej krwią twarzy.

Sprawdził odczyty, upewnił się, że zespół działa jak należy. Odwrócił się w nagłej, dzwoniącej ciszy, wrócił do Ananke leżącego na innym fotelu. Podniósł zwęgloną tkaninę kombinezonu, część przeciął, by dotrzeć do oparzenia biegnącego wzdłuż boku od ramienia do biodra. Skrzywił się na widok pokrytego pęcherzami ciała. Potem odsunął dalej z piersi Ananke zniszczony materiał, robił to powoli, niemal nieśmiało, musiał się upewnić, że nie przywidziało się to, co w pewnej oszałamiającej chwili mignęło mu w samym środku chaosu.

Zdjął tkaninę. Patrzył długo na odsłonięte ciało: gładką, łagodną krzywiznę dziewczęcej piersi.

Ostrożnie zaciągnął na nią ubranie, ukrył tajemnicę, zasłonił bolesny, słaby punkt Ananke. Potem, najłagodniej jak potrafił, opatrzył jej oparzenia, pokrył ochronną błoną sztucznej skóry, przylepił wzdłuż kręgosłupa szereg plastrów przeciwbólowych, by po przebudzeniu nie cierpiała.

W końcu wrócił na fotel pilota, wspiął się na siedzenie; odchylił do tyłu, spojrział w gwiazdy. Wreszcie opanowały go długo wstrzymywane doznania, przytłoczyło wyczerpanie, zarówno fizyczne, jak i umysłowe. Poczuł, jak wbrew woli zamykają mu się oczy. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni mógł równie bezpiecznie, równie pewnie zapaść w sen, nie miał siły, by się mu dłużej opierać. Szalupa ratunkowa automatycznie dotrze na wybraną orbitę, obudzi go, gdy zbliżą się do Prajny. Jeśli tylko chce, może się wreszcie zdrzemnąć na kilka godzin... może zasnąć...

– Kedalion...?

Niburu otworzył oczy, oszołomiony nie wiedział, co go budzi. Ze zdziwieniem spojrział na stojącą obok Ananke.

– Co? – wyrwało mu się bezwiednie.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Nie... – Ananke z wielką ostrożnością usiadła na fotelu drugiego pilota, skrzywiła zaciśnięte usta. – Przepraszam.

– W porządku. – Kedalion wyprostował się w fotelu, otrząsnął gwałtownie ze snu. Spojrział na

przrzędy, noc za ekranami, z nawyku upewnił się, że wszystko nadal przebiega zgodnie z planem. Popatrzył na Ananke – ta sama twarz, te same oczy, ciało, co od lat widziane przezeń codziennie – usiłował dostrzec różnice w wyglądzie; przewrotnie próbował tego nie robić. – Co się stało? Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś?

– Wszystko ze mną dobrze. – Ananke potrząsnął – potrząsnęła – głową, popatrzyła na niego granatowymi, lekko zamglonymi oczyma. – To ty... to ty opatrzyłeś moje rany?

Przytaknął.

– No. Pewnie czujesz się teraz jak w piekle, ale wszystko się szybko zagoi.

Kiwnęła głową, odwróciła ją, przygryzła wargę.

– Trochę boli, czuję to nawet poprzez środki przeciwbólowe. Kedalionie, dziękuję ci za...

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się, pokręcił głową.

Popatrzyła na niego, domyślał się, że próbuje dociec, co widział, czy widział – zbiera siły na zapytanie...

– Tak – oszczędził jej wahania. – Wiem. Widziałem... Nic nie mogłem na to poradzić. Czemu, do diabła, nie powiedziałaś mi, że jesteś kobietą? – Nagle w jego umyśle ułożyło się z pół setki drobnych, dziwnych szczegółów, stworzyło pełny, wyraźny obraz. Ta chorobliwa wstydlivość, odwracanie wzroku na same wzmianki o seksie... – Czemu?

– Bo jesteś mężczyzną – odpowiedziała, jakby wyjaśniało to wszystko. Niespodziewanie uniosła ramiona, jedno obandażowane, drugie zakryte ciężkim ubranie, zasłoniła piersi, jakby były znowu widoczne; wystarczyło, że Niburu o nich wie. Ponownie spojrzała w bok. – Zresztą nigdy byś mnie nie zatrudnił, gdybyś o tym wiedział. Zatrudniłbyś? – W jej tonie zabrzmiało oskarżenie.

– No... nie wiem – przyznał szczerze.

– A Reede nigdy by nie pozwolił mi zostać.

– Może nie... wtedy. Teraz... – wzruszył ramionami. Spojrzała na niego, zeszywniała.

– Wie?

– Nie – mruknął Kedalion. Pokręcił głową. – Nikt oprócz mnie. I ciebie.

Usiadła na swoim miejscu, jej ciało drżało wyraźnie z wysiłku zachowania wyprostowanej postawy.

– Na Święte Zwłoki... – szepnęła, ściskając w pięściach i wypuszczając tkaninę kombinezonu. – Czemu musiało do tego dojść?

– Czemu w ogóle to zrobiłaś? Czy tak bardzo nienawidziłaś bycia kobietą na Ondinee?

Otworzyły się znowu jej pociemniałe od wspomnień oczy.

– Tak – mruknęła, spojrzała na swe ciało. W jej głosie pojawiły się ślady śpiewnego, zagubionego od lat akcentu ondyńskiego, pogłębiły w miarę pogrążania się dziewczyny w przeszłości. – Na Ondinee mężczyźni są wszystkim, kobiety niczym – kupuje sieje i sprzedaje, jak zwierzęta na targu. Niektóre, bogate, mają szczęście i zostają pieszczonymi kotkami, obsypywanymi klejnotami i pięknymi strojami, uczą je czytać, aż wreszcie zaczynają się łudzić, że są ludźmi.

Znowu podniosła głowę. – Nie byliśmy bogaci. Ojciec pracował na dniówki. Matka była kiedyś tancerką, trochę mnie tego nauczyła... Ojciec zapragnął pieniędzy, postanowił sprzedać mnie kapłanom na obrzędy w świątyni. Brat... brat zawsze próbował mnie dorwać na osobności, dotykał mnie, zmuszał, bym dotykała jego – opowiedział, czym są obrzędy, jak po ich zakończeniu każdy mężczyzna będzie mógł mnie wykorzystać... co robią kapłani, jak kaleczą ofiary, tak by nigdy już nie odczuły rozkoszy, bo jest ona kobietom zakazana... – Uniosła głos, umilkła; łzy spłynęły po jej twarzy, zmoczyły policzki, aż odbijały przrzędy, przydające im obcych barw.

Nie patrzyła na niego, nie widziała nocy, zaślepiąły ją łzy gniewu i rozpacz.

– Śmiał się, gdy płakałam, powalił mnie na podłogę, nazwał dziwką, spróbował – spróbował zgwałcić. Wtedy chwyciłam jego nóż i pchnęłam! Potem zabrałam mu ubranie i uciekłam. Odtąd udawałam chłopca, dzięki temu mogłam żyć, mogłam pracować, mogłam być człowiekiem... Myślałam, że gdzieś, kiedyś, zdołam z tym skończyć, ale nie potrafiłam, bo nigdzie nie byłabym bezpieczna. Patrząc na mężczyzn, przypomiinałam sobie, że jestem kobietą, i zawsze ogarniał mnie strach... – Gwałtownie otarła twarz rękawem, wyrwał się jej cichy jęk, smutku lub bólu.

Kedalion zamknął oczy. Gdy je otworzył, popatrzył na nią. Wyciągnął rękę, niepewnie próbował pocieszyć.

– Nie – szepnęła, potrząsając głową. – Nie dotykaj mnie, Kedalionie. Proszę cię.

Cofnął dłoń, patrzył na nią przez ciągnącą się wiecznie chwilę.

– Gdy byłem chłopcem, skakaliśmy na Samathe z urwisk na ślizgowietrze – przypominał wielki latawiec. Najlepsi potrafili latać tak godzinami, unosić się na prądach jak ptaki. Próbowali tego i dryblasi – wysocy ludzie – z innych wsi, ale my byliśmy najlepsi, bo mniejsi od nich. Niektórzy nie mogli się z tym pogodzić. Nie liczyło się dla nich, że szybciej biegają, dalej skaczą czy utrudniają nam życie na ziemi... nienawidzili, gdy widzieli nas w powietrzu.

Popatrzył na gwiazdy. – Gdy pewnego dnia szybowałem, jakiś dryblas zaczął do mnie strzelać śrutem. Sukinsyn zrobił dziury w skrzydle; porwało się i spadłem. Bardzo się przestraszyłem, myślałem, że zginę, ale miałem szczęście, obeszło się twardym lądowaniem, skaleczeniami, siniakami, połamaniem paru palców... Gdy jednak zobaczyli to moi przyjaciele, pobiegli za dryblasem i go dopadli. Założyli mu moje skrzydło i zepchnęli z urwiska. Spadł... połamał połowę kości. Zostawili go tam. Wezwałem służbę ratunkową... Po tym dniu przysięgłem sobie, że wyrwę się stamtąd, choćby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu. – Pokręcił głową. – Wyjeżdżając przekonujesz się zawsze, które z twych kłopotów wynikają z tego, gdzie jesteś, a które z tego, kim jesteś... – Westchnął, popatrzył na nią w końcu.

– Czemu wezwałeś służbę ratunkową? – zapytała cicho. Odwrócił wzrok. – Bo widziałem twarze przyjaciół, gdy wypychali go w przepaść. Bałem się, że moja wygląda tak samo.

Długo siedziała, przyglądając mu się, nic nie mówiąc. Potem spojrzała na swe ciało, dalej się nie odzywała.

– To nieważne – powiedział w końcu. – Masz swe obowiązki. Wykonuj je dobrze i nie skarż się. Jeśli zapragniesz, będziesz robiła dalej to samo, co dotychczas. Nie obchodzi mnie, jakie jest twoje życie prywatne. Widzę, że to nie moja sprawa.

Powoli uniosła głowę. – A co z Reede'em?

Wzruszył ramionami. – Jeśli będziesz dobrze pracować, on także nie zwróci uwagi na resztę.

Patrzyła na niego zachmurzonymi oczyma na napiętej twarzy.

– Słuchaj – powiedział – przez ten czas chyba cię poznałem. Wiem, że mogę ci ufać. Czy nic to dla ciebie nie znaczy? Czy ty też możesz mi na tyle zaufać, by zapomnieć, że znam prawdę, i dalej dla mnie pracować?

Uśmiechnęła się z równą niepewnością, z jaką wysunął ku niej rękę. Potem powoli, z wahaniem, wyciągnęła swoją.

WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7

– To tam.

Gundhalinu przycisnął twarz do wąskiej szczeliny okienka w drżącej ścianie pojazdu, gdy gdzieś z przodu głos strażnika oznajmił ich cel. Nie zobaczył niczego innego, niż podczas nerwowego wypatrywania co kilka minut podczas całego lotu: purpurowy mrok nieba, niby wielki siniak wypełniający jego ograniczony widok. Barwa nigdy się nie zmieniała, rozjaśniała się tylko lub ciemniała, bo planeta nosząca nazwę Wielka Niebieska była zawsze zwrócona do słońca jedną półkulą, zaś kolonie karne, zwane Obozami Żuźłowymi, mieściły się w rzadko zamieszkanym strefie półmroku przylegającej do strony nocnej.

Wieczny półmrok. Oderwał wzrok od pustego, pokrytego cieniami krajobrazu w dole. Ziemia ta zdawała się nigdy nie zmieniać, tak samo jak niebo w górze. Ktoś przycisnął się do niego, chcąc wyrzucić przez okno, pchnął go w tył, na miejsce.

Obozy Żuźłowe. Bogowie... Poczucie przytłaczającej rozpacz, nie opuszczającej go, odkąd dowiedział się, że nie wytoczą mu procesu, zgniotło na chwilę całą jego umiejętność spójnego myślenia. Dostrzegał we wszystkim rękę Przeglądu – rękę Złotego Środka, którą gryzł jako Główny Sędzia Tiamat. Dopilnowali, by pogrzebano go za życia – nie pozwolili, by zgodnie z swymi przewidywaniami wyrok dożywocia odsiadywał w miejscu zapewniającym choćby minimalne bezpieczeństwo, skąd miałby możliwość walki o zmianę położenia. Zamiast tego został zabrany bez ostrzeżenia czy wyjaśnienia, wywieziony przez połowę galaktyki do tego miejsca – skazany na Obozy. Nie wiedział, czy powiedziano o tym komukolwiek z tych, na których mu zależało; wątpił bardzo.

Służąc w Policji, słyszał ciągle o Obozach Żuźłowych; zsyłano do nich najgorsze ludzkie męty, przestępców uznanych przez Hegemonię za wiecznych recydywistów lub nie rokujących nadziei. Jak wielu więźniów politycznych znalazło się między nimi w ciągu wieków? Nie miał pojęcia, choć wiedział, ile życia czekało większość z tych, którzy tu trafiali. Cieszył się, że był kiedyś oficerem Policji, zna się przynajmniej na walce wręcz, pomoże mu to trochę... dopóki inni nie dowiedzą się, skąd to umie. Słyszał nieraz, co robiono tu z byłymi Sinymi.

Wciągnął głęboko powietrze, gdy siedzący obok mężczyzna cofnął się z niewyraźnym chrząknięciem mogącym wyrażać wstręt. Zobaczył grubą obrozę otaczającą jego tłusty kark; dotknął podobnej wokół własnej szyi: Kloc, tak ją nazywali. Uniemożliwiała użycie jakiegokolwiek broni energetycznej. Gdyby mając ją na sobie, spróbował choćby strzelić z ogłuszacza, obroza wybuchnęłyby i urwała mu głowę. Zabrali mu koniczynkę, zamiast tego zakuli w kloc. Zacisnął na nim dłonie jak ktoś wiszący nad przepaścią, gdy tylko poczuł, że pojazd zaczyna schodzić w stronę lądowiska.

Na wydany przez strażnika rozkaz wysiadania chwycił worek ze sprzętem zapewniającym przetrwanie – niespodziewanie stał się jedyną jego własnością. Torba nie była zbyt ciężka. Podobnie jak inni więźniowie, miał na sobie szary kombinezon z materiału grubego i sztywnego jak zwierzęca skóra oraz kurtkę z kapturem. Po opadnięciu luku wyszedł wraz z resztą, nie czekał, aż ktoś go ponagli, starał się nikać w tłumie. Wiatr był zimny, pachniał siarką. W oczy wpadał popiół.

Strażnicy otoczyli pierścieniem uzbrojony pojazd, grozili natychmiastową śmiercią każdemu, kto by się wbrew ich woli zbliżył. Gundhalinu widział niewyraźne postacie stojące tuż za wyznaczoną im granicą, skupione w ciasnych grupkach czekały na znak. Za nimi, niby surrealistyczna malowana dekoracja, wznosił się ogromny łuk wielkiej planety, okrążanej przez ten świat, gazowego giganta będącego prawdziwą Wielką Niebieską. Jego obecność na niebie przesyciła fiołkową szarość

pasmem purpurowego granatu. Pod nogami Gundhalinu zatrzęsa się ziemia, lekko, lecz wyraźnie.

– Ktoś wraca? – zawołał jeden ze strażników; słowa zabrzmiały dziwnie płasko i monotonie, jakby pustkowie pochłonęło je całkowicie. Za kręgiem strażników przerwało ciszę niespokojne szuranie wlokących się nóg, ktoś szedł z trudem, jakby czynił to ostatkiem sił. Twarz miał napiętą, tylko oczy płonęły mu jak u człowieka, który widzi swego boga.

Inni skazani pozwolili mu przejść, potem cofnął się krąg strażników, jak przed świętym. Gundhalinu zobaczył zielone światło, jak latarnia w mroku jaśniejące na obroży podchodzącego do pojazdu mężczyzny.

– Odsiedział swoje – mruknął ktoś w tyle. – Cholerny szczęściarz. – Gundhalinu dotknął znowu swej obręczy.

Strażnicy kazali nowym przybyszom rozładować zapasy złożone wraz z nimi w brzuchu pojazdu. Paki i worki miały na sobie numery grup roboczych. Pracował bez skargi, w milczeniu przeklinając siebie za każdy napięty miesiąc, który mógł być w lepszym stanie.

Gdy oczy Gundhalinu przywykły do półmroku, zaczęły dostrzegać nowe szczegóły okolicznego krajobrazu. Początkowo nie widział niczego, poza całkowicie pozbawioną życia równiną z ciągnącymi się w nieskończoność wzgórzami popielatoszarych żużli chrzęszczących pod jego ciężkimi, odpornymi na związki chemiczne butami. Szukał czegoś innego, aż wreszcie zauważył, że żużlowatą pustynię pokrywają gdzieś dziwne plamy – małe kratery o pofałdowanych wylotach z plamami czegoś czarnego i smolistego.

Blisko pojazdu wznosił się kopiec usypany z obciosanych głazów; przypuszczalnie oznaczał on lądowisko. Nie dostrzegał żadnych budowli, ale na ziemi, dokąd sięgał wzrokiem, co trzy, cztery metry leżały tyczki – nie wiedział, drewniane czy metalowe – wielkości zrąbanych drzew, wszystkie w kierunku wschód-zachód.

Po zakończeniu wyładunku pierścień strażników podszedł bliżej pojazdu, mijając ludzi tkwiących między zapasami jak dodatkowy bagaż. Ostatni z policjantów spojrzał na Gundhalinu twardo i domyślnie.

– Szczęścia, komendancie – powiedział. – Przyda cię się.

Gundhalinu zeszywniał, starał się dopatrzeć u strażnika znajomą twarz, może jakiegoś dawnego podwładnego. Ale mężczyzna był mu obcy. Obcy z dala od domu.

Policjant uśmiechnął się i wrócił do pojazdu. Połknęła go gardziel luku w brzuchu transportowca. Statek z ciężkim dudnieniem wznosił się w purpurowy zmrok, szybko zniknął w dali.

Gundhalinu rzucił trzymany do tej pory worek, czuł wbijające się weń jak igły spojrzenia małej grupki obcych. Nic nie powiedział, nie tłumaczył się, patrząc na ludzi w oddali, z cierpliwością drapieżników czekających na odlot transportowca.

Podeszły brygady robocze, wszystkie w zwartych grupach, okazując swą siłę poprzez wzajemną solidarność. Z beztrząsą mającą odstraszać pozostałe zespoły zaczęły zabierać zapasy.

Otoczający Gundhalinu mężczyźni zbili się instynktownie na widok zbliżających się, przeciskających między pakunkami brygad. Robotnicy zabrali towary, aż nowych skazańców otoczył pas pustej ziemi. Wtedy od każdej grupy oderwał się jeden człowiek, wyszedł poza swój teren i zaczął przyglądać się przybyszom. Gundhalinu domyślił się, że są to przywódcy gromad, chcący wybrać nowych ich członków.

Wstrzymał oddech, wewnętrzne napięcie wywołało u niego ból żołądka, czekał, aż ktoś go zdradzi. Żaden jednak z otaczających go ludzi nie pisnął słowa, wszyscy nagle zajęli się swoim losem. Zrozumiał, czym na tym pustkowiu byłoby samotne życie. Praca w brygadzie dawała jakąś szansę przetrwania.

Przywódcy grup, zamierzający przebierać między nowymi przybyszami, byli odziani w łańchmany i zgorzkniali; ciemno i jasnoskórzy, z wszystkimi odcieniami pośrednimi. Gundhalinu, wraz z pozostałymi przybyszami, znosił cierpliwie przyglądanie się im jak zwierzętom czy niewolnikom. Najpierw wybrano trzech czy czterech najwyższych i najsilniejszych, u pozostałych zaczynał wyczuwać zdenerwowanie.

– Pokaż ręce. – Słowa padły w handlowym, mieszanym języku, pewnie jedynym znanym tu wszystkim.

Gundhalinu popatrzył w kolejne twarde, pozbawione uczuć oczy. Wyciągnął dłonie; ciężkie, stwardniałe palce przywódcy brygady dotknęły gładkiej skóry. Skazaniec prychnął pogardliwie i pokręcił głową. – Urzędas.

– Umieć naprawiać rzeczy – powiedział Gundhalinu w języku handlowym. – Jestem w tym dobry.

– Nie ma tu co naprawiać, poza tym nie jesteś zbyt spory. – Obcy odszedł.

Ktoś inny zajął jego miejsce. – Powiedziałaś, że umiesz naprawiać rzeczy? – Gundhalinu kiwnął głową, przyglądał się nowemu przywódcy, sam był podobnie traktowany. Nieznajomy był mniej więcej jego wzrostu, wychudzony i kościsty, nie imponował budową. Twarz miał ciemną, pokrytą brudem; oczy szare i głęboko osadzone. Gundhalinu nie potrafił odgadnąć, z jakiej planety pochodzi, ale w mierzającym go spojrzeniu dostrzegał inteligencję, wstrzymywanie się od osądu.

– Kharemoughi? – zapytał obcy. Gundhalinu przytaknął.

– Tech?

Gundhalinu niechętnie przytaknął ponownie, wyczuwał, że tamten rozpoznałby kłamstwo.

– Jaka jest twoja zbrodnia? Zaskoczony odpowiedział: – Zdrada.

Obcy skrzywił się i pokręcił głową. – Chyba jesteś za sprytny. Polityczni nie są warci zachodu.

Gundhalinu przesunął się nagle, gdy nieznajomy zaczął odchodzić; policyjnym chwytem zbił go z nóg. Zaatakowany znieacka przywódca brygady upadł na łopatki. Gundhalinu popatrzył na niego.

– Potrafię się o siebie troszczyć.

Obcy wstał powoli, jego mina wyrażała mieszaninę złości na siebie i niechętnego rozbawienia.

– Dobra – wzruszył ramionami. – Jestem Piractwo. Chodź, Zdrado. – Odwrócił się.

– Ale on jest Siny!

Piractwo okręcił się, gdy stojący obok Gundhalinu nie wybrany jeszcze więzień wykrzyknął te słowa. Jego oczy miały błyskawice.

– To prawda, Zdrado? – zapytał łagodnie. – No?

– Strażnik nazwał go komendantem. "Szczęścia, komendancie", powiedział, "przyda ci się"...

– Ach tak? – Przywódca, który pierwszy odrzucił Gundhalinu, znowu do niego podszedł. BZ dostrzegał kącikami oczu obracające się głowy, nagłą falę poruszających się, zbliżających nieubłaganie w jego kierunku ciał, jakby nagle powstało w nim pole magnetyczne. Wysoki mężczyzna dopadł go, uderzył mocno w pierś, posłał w czekające ramiona kilku innych, stojących w tyle. Gundhalinu wyrwał się, kopiąc i bijąc łokciami, nim zdołali go chwycić.

Stał pośrodku małej przestrzeni, otaczał go mur skazańców.

– Jestem sybillą! – słyszał, jak załamuje mu się głos. – Trzymajcie się ode mnie z dala! – Podniósł rękę do gardła, by odsłonić tatuaż będący jednocześnie znakiem ostrzegawczym, wskazującym wszystkim na zagrożenie biologiczne. Trafił palcami na zimny metal kloca; przypomniał sobie nagle, że obroża zasłania cały tatuaż.

– Jak to udowodnisz? – ktoś zapytał.

– Nie zdoła. Kłamie.

– Podejdz który bliżej, a mu udowodnię! – krzyknął Gundhalinu.

– Chcesz mnie ugryźć, Siny? – Zaśmiał się ktoś inny. – Możesz ugryźć mego dużego, Kharemoughi skurwielu.

– I tak nigdy nie wierzyłem, że "śmierć za zabicie sybilli". Gundhalinu załaty wykrzykiwane w kilku językach groźby i przekleństwa – wrzaski tłumu chciwego rozrywki, odprężenia, ofiary. Obrócił się powoli, stawiał ostrożnie kroki w zamykającej się pułapce ludzkich ciał.

Najpierw atakowali go pojedynczo i parami, odpierał ich, wysyłał rannych w tłum albo powalał na żuźlowatą ziemię. Ledwo zauważał ciosy, jakie sam otrzymywał; od dawna już nie walczył, nawet w ćwiczeniach, ale pompowana strachem adrenalina zwiększała mu refleks i tłumiła ból.

Potem zaczęli go napadać dwójkami i trójkami, trójkami i czwórkami, chwyтали za ręce, w końcu przewrócili, przyduszali walczące kończyny i ciało. Ktoś złapał go za szyję, wciskał w gardło metalową obręcz, duszeniem wymuszał poddanie. Gundhalinu szarpnął głową, otworzył usta i użył jedynej pozostałej mu broni. Zatopił zęby w przegubie napastnika. Obcy wrzasnął, nacisk na gardło osłabł, potem się zwielokrotnił, przed oczyma BZ pojawiły się gwiazdy.

A potem, równie nagle, miazdzący nacisk minął; piersi mogły oddychać swobodnie. Gundhalinu uniósł głowę, znowu widział, zobaczył próbującego go udusić skazańca. Leżał obok na ziemi, wykrzywiony, z wywróconymi w górę gałkami oszalałych oczu, jakby dostał ataku padaczki. Powieki zamknęły się zaraz, ciało znieruchomiało.

Gundhalinu, dysząc ciężko, podniósł się na łokciach, każdy oddech palił jak kwas jego zduszone gardło. Słuchał, jak krzyki i śmiechy przechodzą w pomruki zdumienia, zaskoczenia, gniewne pytania: – Co się stało? Co mu zrobił?

– Jestem sybillą. – Wypluł te słowa wraz ze smakiem krwi obcego. – Ostrzegałem was.

Na dłuższą chwilę niemal zapadło milczenie. Gundhalinu zdołał jakoś powstać, ledwo trzymał się na nogach. Zobaczył stojącego na skraju tłumu, kręcącego głową Piractwo. "Zbyt dużo zachodu", powiedziały bez słowa jego usta. Nikt się nie ruszał.

Ziemia zatrzęsała się nagle; Gundhalinu stracił równowagę i upadł. Potem wewnętrzny mur runął na niego gwałtownie, niby jedna postać z kilkunastoma głowami, pół setką nóg i rąk, tysiącem dłoni, kolan, stóp i pięści. Wepchali mu do ust popiół, zakneblowali je kawałkiem materiału, związali ręce i nogi. Był pchany, bity, kopany, wleczony; przechodził z rąk do rąk, pogrzebany żywcem pod ruchomą masą ciał, aż wreszcie trafił na czarną krawędź krateru, który zauważył, stojąc na lądowisku. Ledwo zdołał go poznać, gdy został wepchnięty do środka, głową w dół. Twarz Gundhalinu pokrył czarny śmierdzący muł, wypełnił oczy, nozdrza, uszy. BZ wstrzymał oddech, modlił się do wszystkich bogów swych przodków i Ośmiu Światów, czując jednocześnie, jak coraz głębiej tonie, jak nie wyciągają go, nie pozwalają oddychać, nie przestają, nic nie robią, poza czekaniem na jego śmierć...

– ...chodź, no chodź, niewdzięczny gnojku, wracaj. Chodź... Gundhalinu poczuł, jak drży, z przekorą śniącego uświadomił sobie, że żyje nadal wewnątrz krwawiącej, bezradnej miazgi, jaką dzięki tłumowi stało się jego ciało. Nic nie widział, otaczała go czerń równie głęboka, jak wypełniające jego ostatnie wspomnienia bajoro do topienia głupców, słyszał jednak, jak ktoś do niego mówi, nieco znajomy głos wypowiada śpiewnie rodzaj obraźliwej litanii. Ciągnęła się długo, jakby mówiący wierzył w swą moc przywoływania dusz z Drugiej Strony. Gundhalinu jęknął, zrozumiał dzięki temu, że nie jest już dławiony, ani – uniósł do twarzy drżące dłonie – związany.

– Hej... – Jakieś dłonie powstrzymały go przed dotknięciem oczu. Walczył z nimi, klnąc i machając na ślepo, aż przycisnęły mu ręce do boków i przytrzymały, pozbawiając sił. – Już po wszystkim – powiedział głos. – Jesteś bezpieczny. Nikt cię nie skrzywdzi.

Gundhalinu oklapł, po puszczeniu przez ręce leżał nieruchomo jak trup. Czuł, jak przesuwają się wzdłuż jego ramion, dodając bólu każdym dotknięciem, po ciele, nogach. Nie obchodziło go, czy robią to w chęci dręczenia, tylko dokuczania, czy po prostu dokonują prymitywnego badania; jedyną jego troską była widziana ciemność. – Moje oczy – szepnął w końcu, gdy ośmielił się odezwać.

Ręce odpowiedziały, przesuwając się gwałtownie na jego głowę, uniosły ją trochę; palce lekko, niby mięśnie skrzydła ptaka, pogładziły policzki, czoło. I nagle ujrzał światło, niewyraźne i szare, potem jaśniejsze, pomarańczowe, białe, przyprawiające o ból. Uniósł ręce i krzyknął; tym razem nikt nie przeszkodził mu w zasłonięciu powiek, dopuszczaniu blasku milimetr po milimetrze. Światło nadal wywoływało cierpienie, lecz mimo to zmusił się do otwarcia zalanych łzami oczu, chciał zobaczyć, kto go podtrzymuje.

Dojrzał przed sobą twarz Piractwa. Rozpoznał ją, zrozumiał, że cały czas jakimś drobnym fragmentem świadomości rozpoznawał głos. Wytarł oczy, zaklął w gniewie, gdy po twarzy pociekły mu łzy.

– Niech płyną – powiedział Piractwo. – Pomogą ci usunąć z oczu to świństwo. Jeśli nie przyplątało się jakieś zakażenie, wyleczą się w ciągu dwóch, trzech dni.

Gundhalinu znowu opuścił ręce. Przesunął głowę, tylko na taki ruch pozwalały mu siły; poczuł swe ciało, leżące na nędznym wyrze, odarte z ubrania, zasłonięte do połowy szorstkim kocem, pokryte smołą, siniakami i skaleczeniami. Było jednym wielkim, dudniącym bólem; cieszył się, że nie widzi dokładnie, co z nim zrobiono.

– Pieprzony farciarz z ciebie – powiedział Piractwo; Gundhalinu chrząknął przecząco. – Wyglądasz jak sama śmierć, ale nie masz nic złamanego, wszystko się zagoi. Potraktowali cię łagodnie, bo pamiętali, kim jesteś. Wirus krwi musiał ich mimo wszystko nieźle odstraszać... Ale i tak chcieli cię zabić...

– Uratowałeś mnie? – zapytał Gundhalinu. Każde słowo wymagało tyle wysiłku, co całe zdanie.

– Nie ciebie, Zdrado. – Piractwo pokręcił głową, wykrzywił usta w szyderym uśmiechu. – Powiedziałem już, że z tobą za dużo zachodu. On cię uratował. – Wskazał za swe ramię.

Gundhalinu mrugał oczyma, póki nie popatrzyły wyraźnie, zmusił je do omięcia twarzy Piractwa, wyłuskania z cienia postaci drugiego człowieka. Zrozumiał, że znajdują się w rodzaju schronu, ściany odbijały pałający żar małego piecyka stojącego gdzieś po drugiej stronie jego legowiska. Drugi mężczyzna podszedł bliżej, jego masywny kształt zawisł nad Piractwem, aż wypełnił całe pole widzenia Gundhalinu.

– To Sinobójca. Uratował cię.

Gundhalinu popatrzył na niego. Ogromna, okolona czarną brodą twarz Sinobójcy uśmiechnęła się, odsłaniając żółte zęby. Oczy, przypominające mroczne paciorki, niemal ginęły w wąskiej przestrzeni między brudnymi kłakami zarostu i włosów. Gundhalinu nie potrafił odgadnąć jego miny.

– Czemu? – zapytał szeptem.

Z ukrytych w brodzie ust wydobyło się gardłowe mamrotanie.

Gundhalinu pokręcił głową, zamknął oczy, nie rozumiał, co tamten powiedział. Nie potrafił nawet odgadnąć, jakiego języka użył.

– Bo jesteś sybillą – wyjaśnił Piractwo.

Gundhalinu poczuł nagłą wdzięczność, zaostrzoną przez bolesne wspomnienia nienawiści tłumy.

– Powiedz mu, że...

– Zrozumie cię – przerwał mu Piractwo. – Trudno wyłapać jego słowa, bo ma tylko połowę języka. To nie znaczy, że jest głupi. Nie rób takich pomyłek.

Gundhalinu otworzył oczy, spojrzął na Piractwo, znowu na Sinobójcę.

– Dawno temu... nauczyłem się... nie robić takich błędów. – Uśmiechnął się ledwo, ledwo.

Sinobójca coś mruknął, zaśmiał się nieprzyjemnie.

– To niezwykle u Techa – powiedział Piractwo. – Czy u Siniego. Domyślam się, że zaślepiło cię bielmo nie mające nic wspólnego z oczami... Ale on nie chce twej wdzięczności. Masz mu odpowiedzieć na pytanie.

Gundhalinu spojrzął znowu w nieodgadnięte oczy Sinobójcy, ciągle nie potrafił nic w nich wyczytać. Olbrzym pochylił się, złapał jego brodę w żelaznym uchwycie ręki niemal równie wielkiej co twarz, zmusił wbrew woli do krzyku. Sinobójca unieruchomił głowę Gundhalinu, z jego ust popłynęły następne niezrozumiałe słowa.

– Chce się dowiedzieć o swojej rodzinie – mówił Piractwo obojętnym tonem. – Gdy wysłali go tutaj, w Rishon, po dziennej stronie, zostawił dwie żony i jedenaścioro dzieci. Masz mu powiedzieć, co się z nimi dzieje. Chce usłyszeć to teraz.

Gundhalinu znowu zamknął oczy, nie wiedział, gdzie znajdzie siły na wprowadzenie się w Przekaz; wiedział jednak, że musi to jakoś uczynić. Gdyby tylko zaczął, pomogłaby mu niewyczerpana energia sieci sybilli.

– Podaj mi imiona... Wejście... szepnął, zmuszając umysł do skupienia się na odpowiedzi. Poczł nagle oszałamiające upadanie, jakby spod jego świadomości usunięto podłogę, runął z wdzięcznością w czekającą ciemność...

– Koniec przekazu.

Usłyszał rozbrzmiewające mu w głowie słowa kończące Przekaz, wiedział, że wypowiedział je sam, że wraca do cierpiącego ciała, nieuniknionego, żalosego istnienia... uświadomił sobie, że nie pamięta zupełnie miejsca, w którym był przed chwilą. Bał się, że zawiódł, opanował go nagły, dręczący niepokój, że nie udzielił żadnej odpowiedzi.

Obrócił głowę w stronę Sinobójcy i Piractwa, popatrzył na nich piekącymi, zażawionymi oczami.

Olbrzym wymruczał coś, kiwając głową, wyciągnął rękę. Gundhalinu skurczył się, lecz Sinobójca z zadziwiającą łagodnością położył mu tylko dłoń na czole. Cofnął ją i wstał. Torując sobie drogę przez zatłoczone wnętrza schronu, dotarł do wyjścia, odsunął poszarpaną płachtę zastępującą drzwi i zniknął w półmroku.

Gundhalinu popatrzył na Piractwo, pytał go oczyma; zastanawiał nagle, czy odroczone mu wyrok śmierci tylko na czas odpowiedzi na jedno pytanie.

Piractwo sięgnął do tyłu, wyjął coś – kubek z ciemnym płynem.

– Wszystko z nimi dobrze – uśmiechnął się, tym razem bez drwiny. – Z tobą też, Zdrado. – Siorbnął łyk z naczynia, jakby w geście dobrej woli, i wręczył je Gundhalinu. BZ podciągnął się trochę, oparł plecy o zbudowaną ze skrzynek ścianę. Wziął kubek w dłoń, Piractwo pomógł mu trafić nim do ust. Posmakował zawartość, poczuł silny, gorzki zapach nie znanych mu ziół i palenie w gardle jak od alkoholu. Ostrożnie wypił więcej, ciepło ogrzało go od środka.

– Zdaje się, że należysz teraz do Szóstej Brygady – powiedział Piractwo. – Sinobójca rozpowie, co dla niego zrobiłeś. Wszyscy go szanują. Ponadto dobrze walczyłeś. Będą o tym pamiętać. Nie podskakuj, a zostawią cię w spokoju. Jaki masz wyrok?

– Dożywocie... – szepnął Gundhalinu. – Czyli najwyżej tydzień. – Odwrócił głowę.

– Będziemy cię pilnować – powiedział Piractwo. – Przestań się przejmować. Wielu z nas ma pilne pytania, takie czy siakie... Jeśli nie będziesz zbyt wybredny w ich wyborze, wieści o tobie rozejdą się szybko. Z czasem zapomną, że jesteś nie tylko sybillą.

Gundhalinu popatrzył na niego, podniósł kubek do ust i zaczął pić, żeby nie musieć mówić.

– Skąd to macie? – zapytał w końcu, wskazując na ciemny, pachnący ostro płyn, czuł, jak działa.

– Z placówek na pograniczu cienia. – Piractwo z ogromną uwagą napełnił swój kubek, pociągnął łyk. – Po dobrych żniwach zanosimy do najbliższej i wymieniamy na kilka zbytków... – Roześmiał się, wskazał na gołe, pokryte plamami ściany nory.

– Żniwa? – Gundhalinu nie miał pojęcia, jakie życie mogłoby istnieć w widzianym przezeń pustkowiu.

– Pamiętasz krater, do którego próbowali cię wepchnąć? Gundhalinu poczuł, jak kamienieje mu twarz. Podniósł rękę do policzka. Ciągle pokrywała je zapiekła, smolista skorupa brudu; cofnął dłoń, czarną i lepłą.

– Nie dotykaj. Nie pozbędziesz się reszty, nie zrywając przy tym skóry. Sam to nosiłem – powiedział Piractwo. Gundhalinu kiwnął głową, zwinął dłoń w pięść. – Naszym zadaniem jest znajdowanie kraterów, gdy się tylko pokażą, czekanie, aż smoła wypłynie z nich i skryształizuje się po minięciu krawędzi. Naszym żniwem są kryształy – one właśnie są cenne.

– Czy są żywe? – zapytał nie dowierający mu Gundhalinu. Piractwo wzruszył ramionami. – Półżywe. Kryształiczna forma życia; tak prymitywna, jak tylko możesz sobie wyobrazić.

– Co z nimi robią?

– Kto wie? – Piractwo odwrócił twarz i splunął. – Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko przeżyć i doczekać się zielonego światła. – Dotknął kloca otaczającego jego gardło. Gundhalinu przypomniał sobie człowieka wsiadającego do transportowca, gdy sam z niego wychodził. Piractwo popatrzył na niego, BZ wyczuł, że przygląda się obroży, na której nigdy nie pojawi się zielone światło.

– Co z tym, którego zakaziłem? – zapytał Gundhalinu. Piractwo wypił napój do końca. – Ktoś rozwalił mu łeb o skałę. Niepotrzebny nam wpadający w szal wariat.

Gundhalinu ostrożnie odstawił kubek na żuźlowatą podłogę. Ziemia jakby zadrżała, gdy ją dotknął; cofnął szybko rękę.

– Drżenia ziemi – wyjaśnił Piractwo. – Ciągle się zdarzają.

– Napięcia pływowe – mruknął Gundhalinu, podnosząc wzrok, jakby mógł dostrzec gazowego olbrzyma, który okrążał ten świat, wiszący na niebie fioletowy łuk. Jego przyciąganie grawitacyjne więziło mniejszą planetę, ustawiło ją tak, że jedna półkula zwrócona była zawsze w stronę większej. Lekkie wahnięcia orbity powodowały naprężenia i wahania ciężenia, przez co strefa graniczna trzęsła się jak galareta, skały falowały niby płyn.

– Możliwe. – Piractwo wzruszył ramionami.

– Czy macie tu prawdziwe trzęsienia ziemi?

Piractwo roześmiał się. – Jak wysiadałeś, zauważyłeś może porozrzucane wszędzie kłody? – Tak.

– Są tam, bo ziemia trzęsie się czasami tak mocno, że aż pęka i ludzie wpadają w szczeliny. Zwykle biegną one z północy na południe. Kładziemy słupy w kierunku wschódzachód, by tworzyły kładki. Mamy nadzieję, że w razie rozstąpienia się ziemi dopisze nam cholerne szczęście i zdążymy je złapać.

Gundhalinu pokręcił głową, ruch go oszołomił; poczuł, że osuwa się wzdłuż ściany. Spróbował podciągnąć się znowu, nie zdołał.

– Odpocznij trochę – powiedział Piractwo. – Możesz tu zostać, aż nabierzesz sił, aby wstać i pracować. To niewiele, ale lepsze niż nic. Ogłoszę zbiórkę; gdy staniesz na nogi, ludzie pomogą ci zbudować własne schronienie.

Gundhalinu kiwnął głową, gardło mu zadrgało, po legnięciu płasko nagle nie mógł wydusić słowa.

Piractwo podciągnął podarty koc na ramiona Gundhalinu, zasłonił posiniaczone ciało. – Prześpij się trochę, Zdrado. Po przebudzeniu wszystko wydaje się lepsze. – Uśmiechnął się drapieźnie. – Choć oczywiście zawsze budzisz się tutaj.

TIAMAT: Krwawnik

Jerusha PalaThion stała na pokładzie statku należącego ongiś do jej męża, próbowała przystosować się do kołysania, od którego dawno już odwykła. Otaczały ją wszystkie łodzie, bez których mogła obywać się plantacja – także będąca kiedyś własnością Ngeneta oraz dziesiątki innych jednostek, zimackich i letniackich. Unosiły się na powierzchni szarego oceanu pod ponurym, szarym niebem, sięgały aż po horyzont, otaczały Krwawnik. Lud Tiamat przybył tu na prośbę swej Królowej, by ujrzeć cud zgromadzenia się merów... oraz, niezupełnie przypadkowo, przeszkadzać w łowach pozaziemców.

Mery były tu także, morze aż kipiało od ich ruchów, przypominały niecierpliwy tłum oczekujący przed bramą – Jerusha nie wiedziała jednak, czego oczekujący, nikt nie wiedział. Słyszała dobiegające zewsząd niskie pomruki pieśni merów, wprawiały w drżenie deski kadłuba i pokładu, na którym stała.

Zastanawiała się, co by powiedział na to Miroe, czy doznałby jakiegoś olśnienia, którego jej brakowało. Ciągle o nim myślała, odkąd porzuciła zdradziecką Hegemonię i ponownie stała się Tiamatanką. Pamięć męża towarzyszyła jej tu i teraz – przywoływał go każdy oddech morza, ruch pokładu pod stopami, głosy wołających i rozmawiających Tiamatańczyków.

Podczas służenia Gundhalinu na stanowisku Głównej Inspektor rzadko pozwalała sobie na myśli o Ngenecie, praca pochłaniała ją całkowicie. Po śmierci męża czuła taką pustkę, że wspomnienia o nim były ponad jej siły. Rozumiała teraz, że odgradziła się wtedy od rozpacz; trzymała osobiste potrzeby za zaporą spraw służbowych, podobnie jak czyniła to zawsze, zanim jeszcze go spotkała.

Przebywanie teraz w środku dziwnego morza było rodzajem oczyszczenia, pozwalało skupić wszystkie uczucia na jednym, zewnętrznym punkcie, na ważnym celu. Powinien być tu dzisiaj, pomyślała. Uświadomiła sobie jednocześnie, że jest; że ona dziedziczy wszystko, w co wierzył; nie tylko poprzez prawo, ale i duszą.

Popatrzyła poza reling katamarana, poszukała znowu Silky, która odpływała niekiedy daleko, znikwała nawet całkowicie, lecz zawsze wracała, gdy tylko Jerusha zaczynała się niepokoić. Merątko wystrzeliło teraz w powietrze, kichnęło głośno w cieniu statku i zanurzyło się na oczach Jerushy. Uspokoiła się na jego widok, choć przyrządy statku mogły w każdej chwili określić położenie Silky przy pomocy noszonego przez nią nadajnika poddźwiękowego.

Od tygodni każdej nocy dręczyły ją sny – koszmary – o Łowach, choć gdy tylko dowiedziała się o wędrówce merów na północ, poleciła pracownikom plantacji, by śledzili ich na łodziach; starała się, w jedyny znany jej sposób, chronić swe adoptowane dziecko przed łowcami Vhanu. Na razie z powodzeniem.

Teraz jednak mery zebrały się pod Krwawnikiem, tak jak przewidywał BZ. Nie potrafiła określić, ile czasu tu zostaną, podobnie nie umiała odgadnąć celu ich przybycia czy stwierdzić, na jak długo Moon zdoła zachować równie wielkie poparcie ludu. Groźby i zakazy pozaziemców jedynie podsycaly upór Tiamatańczyków, ale teraz prawdziwe napięcie będzie wywoływać potrzeba wykonywania pracy i codziennych obowiązków.

Włączył się nagle nadajnik w uchu Jerushy, usłyszała: – Pani komendant, tu Fairhaven. Komendant Vainoo leci do pani poduszkowcem, lepiej, żeby pani wiedziała.

– Dzięki, Fairhaven – mruknęła i nie zdołała powstrzymać chichotu. Powszechnie przekręcane przez miejscowych nazwisko Vhanu stało się nagle jedynym używanym, odkąd wprowadził stan wojenny. Wzruszyła ramionami, napotkawszy zaciekawione spojrzenie jednego z członków załogi. – Przygotujcie się do odparcia desantu – nakazała.

– Pani komendant? – Wzrok kobiety wyraził jeszcze większe zdumienie.

– Żartowałam. – Jerusha pokręciła głową, popatrzyła na morze. Za sterburtą morze burzyło się od ruchów merów, zanurzały się, gdy poduszkowiec przelatował nad ich głowami, tuż powyżej grzbietów fal, kierując się prosto na jej statek.

Pozostała na miejscu, oparta o reling, czekając na przybycie Vhanu, czuła bijącą w twarz mgiełkę, mieszaninę chmury i morza. Poduszkowiec zwolnił lot, wylądował z doskonałą precyzją, drzwiczki znalazły się dokładnie naprzeciw Jerushy. Słuchawka w uchu włączyła się znowu, tym razem na fali Policji.

– Pani komendant PalaThion, czy można wejść na pokład? Tak – pozwoliła, uśmiechając się z ironią. Wiedziała, że jej minę zauważą obserwatorzy siedzący za lustrzaną tarczą osłony, wiszącej nad łodzią niby oko drapieżnika.

Drzwi uniosły się i wysiadł Vhanu, przeszedł niezgrabnie na skaczący pokład. Poduszkowiec ochraniał jego plecy, gdy jak zawsze dokładnie z regulaminem zasalutował.

– Komendant PalaThion. – Usłyszała w jego głosie zdenerwowanie, że musi ją obdarzać równym sobie tytułem, choć w duchu uważał Jerushę jedynie za dowódczynię miejscowych sił policyjnych.

– W czym mogę panu pomóc, komendancie Vhanu? – zapytała, nie odwzajemniając salutu, nie chciała uczestniczyć w maskaradzie manier Techników.

Skrzywił twarz. – Na początku może mi pani powiedzieć, co robi w samym środku nielegalnego zgromadzenia.

Uniosła brwi. – Na początek, zgromadzenie nie jest nielegalne. Pański zakaz gromadzenia się ludzi w grupach przekraczających dziesięć osób dotyczy tylko miasta. Nic w nim nie ma o łodziach na otwartym morzu. Jeśli chodzi o mnie, to służbowo pilnuję zachowania porządku, natomiast prywatnie, jako zwykła obywatelka, podobnie jak wszyscy inni, przyglądam się cudowi Pani.

– Nie wierzy pani w te bzdury – stwierdził obojętnym tonem. Popatrzyła na niego. – To nie pańska sprawa, w co wierzę, a w co nie.

Skrzywił się jeszcze bardziej, Jerusha dostrzegła, jak w jej głosie i oczach szuka śladu sarkazmu. Nie okazywała go.

– Za długo już pani i Królowa igrałyście z moją cierpliwością – powiedział, patrząc teraz zimno. – Policja zaczęła w tej chwili usuwać wszelkie przeszkody. Rozkazałem ludziom, by aresztowali wszystkich, którzy nie zechcą się rozejść, pozostaną w odległości od miasta mniejszej niż pięć kilometrów, mają prawo zatapiać ich statki. Obejmuje to i panią, PalaThion, jeśli stąd pani nie odpłynie.

– Ich miejsce zajmą inni.

Skrzywił usta. – Też zostaną aresztowani. Nie zdołacie ciągnąć tego w nieskończoność. Ten żaloszny świat ma za małą ludność. – Zawahał się, gdy nie zareagowała. – Na dodatek jest ona bardzo skupiona – dodał powoli. – Ci nieucy nie mają pojęcia, jak pogarsza to ich sytuację strategiczną. Nie muszę pani mówić, co możemy wam zrobić, jeśli przysporzycie prawdziwych kłopotów. Do tej pory się ociążałem. Wie pani, że...

– Komendancie Vhanu! Panie... – głos pilota poduszkowca dotarł do słuchawek Jerushy, zobaczyła zaskoczenie Kharemoughi. – Krwawnik właśnie stracił całe zasilanie.

– Co? zapytał Vhanu.

– Panie komendancie, wszystko tam wysiadło. Jakby ktoś nagle zerwał główny bezpiecznik. Nie ma światła, mocy – niczego.

Vhanu zaklął, spojrział na miasto, z jego twarzy nagle opadła maska. Jerusha nigdy nie widziała

u niego równie spontanicznych uczuć, jak pojawiające się w oczach zdumienie, a potem strach. Przejęło ją to większym lękiem niż jakakolwiek groźba.

– Wracam do miasta – mruknął do nadajnika. Odwrócił się, zapominając o istnieniu Jerushy, i wsiadł do poduszkowca.

Patrzyła, jak pojazd unosi się, skręca ostro i mknie w stronę Krwawnika. Ze swego miejsca nie dostrzegła żadnych zmian w mieście, ale tak już z nim było – dobrze strzegło swoich tajemnic. Zastanawiała się, co będzie w nocy... czy zrobiła to Moon. Na pewno tak właśnie sądzi Vhanu. Wspomniawszy wyraz jego oczu, zacisnęła dłonie na barierce.

Zawołała do nadajnika, wezwała policjantów przebywających na morzu wraz z Tiamatańczykami, kazała im wracać do miasta. Próbowwała wywołać dowództwo w Krwawniku, usłyszała jedynie szum. Przeszedł nią nagły dreszcz, jakby zakłócenia kłuły jej skórę.

Spojrzała znowu za reling, poszukała w pobliżu Silky. Okoliczne mery rozproszyły się po wylądowaniu poduszkowca, niektóre wracały do pustej, niespokojnej przestrzeni, choć cała szara powierzchnia morza zdawała się naraz ich pozbawiona.

– Atwater – zawołała, patrząc na kabinę statku. – Poszukaj Silky, dobrze? – Czekala, bębniąc milcząco o reling, podczas gdy czas płynął bez odpowiedzi. – Atwater... ? – zniecierpliwiła się.

– Przepraszam, pani komendant – odpowiedział wreszcie Atwater. – Nie potrafię wykryć jej nadajnika. Zniknęła.

Komendant Policji Hegemonii NR Vhanu spotkał się u wrót pałacu Królowej Lata z dwoma miejscowymi wartownikami niosącymi latarnie. Przyjrzeni się czujnie jemu i eskorcie, powiedzieli tylko: – Proszę z nami – i otworzyli ciężkie drzwi. Vhanu poczuł, jak fala ich wrogości zalewa go niby żar, gdy tylko odwrócili się plecami.

Szedł za nimi korytarzem, patrzył przelotnie na pokrywające ściany prymitywne malowidła, znacznie bardziej przejmował się otaczającą go całkowitą ciemnością. Nigdy przedtem nie zauważył, jakim ogromnym, mrocznym grobowcem może być to miasto bez stworzonego przez Stare Imperium sztucznego światła i systemów zapewniających życie. Zapory przeciwsztormowe zamykające każdą uliczkę stanęły otworem, jakby zgodnie z dziwnym, obmyślonym z góry obrzędem, wpuszczały do środka chłodne, świeże powietrze. Dzięki temu po wyłączeniu się wszystkich systemów Krwawnik nadawał się nadal do mieszkania – choć z wielkimi niewygodami. Wszystko wyglądało na zaplanowane.

Dotarli do Sali Wichrów. Dzięki oknom przepuszczającym mdłe, srebrne światło dnia było tu jaśniej, choć, jak z pewnym zdumieniem zauważył Vhanu, były one zamknięte. Przypomniał sobie nagle opowieści o tym, że okna były kiedyś nieustannie otwarte, a wiatry przeciskające się przez zawieszane wysoko, przypominające żagle zapory sprawiały, iż przejście nad otwartą studnią, zapewniającą dostęp do miasta, było nie tylko, tak jak teraz, szarpiącym nerwy doświadczeniem, ale i prawdziwą próbą powietrza.

Opowiadano, że Królowa Lata spowodowała zamknięcie się okien, w niepojęty dla wszystkich sposób zapanowała nad tajemniczą, samo-odnawiającą się maszyną miasta... Vhanu przeszedł most, po raz pierwszy niemal tego nie zauważając, patrzył w górę, przyglądał się zatrzaśniętym oknom i rozmyślał.

Po drugiej stronie weszli na szerokie schody i wkroczyli do sali ciągle nazywanej tronową, choć po zastąpieniu jej pięknych ongiś ozdób przez prymitywne dzieła tiamatańskiej sztuki i rzemiosła przypominała bardziej – dla Vhanu – wiejski jarmark. Zawsze trochę się dziwił, że pomiędzy przebywającymi w niej gośćmi nie dostrzega wałęsających się zwierząt.

Dzisiaj jednak, gdy niespodziewanie zapanowały ciemności, miał wrażenie, iż wchodzi do jaskini.

Nigdy przedtem nie zauważył, iż sala nie ma naturalnego źródła światła. Królowa czekała na niego, siedząc na kryształowym tronie, jedynej zachowanej pamiątce panowania Zimy. Już dawniej zastanawiał się, czemu nie zastąpiła tego wspaniałego mebla jakimś gorszym krzesłem miejscowego wyrobu. Może nawet ona przejęta była wyjątkowym mistrzostwem błyszczących krzywizn tronu. Wydawał się niemal przewyższać możliwości twórcze człowieka, być dziełem sił wiatru i słońca.

Prowadzony przez wartowników z latarniami, Vhanu wszedł do zasnutej mrokiem sali, zobaczył tron oświetlony świecami i lampami naftowymi. W świetle rzucanym przez migoczące płomienie zdawał się sam płonąć; odbłaski ognia płynące po falistych powierzchniach przypominały komendantowi zorze na nocnym niebie jego ojczystej planety. Gra światła i cieni nadawała obliczu Królowej chorobliwą bladość, zaś bieli włosów dziwną, niemal niesamowitą jasność, która dla zaskoczonych oczu Vhanu sprawiała wrażenie niemalże namacalnej. Oczy władczyni lśniły barwami, jakich nigdy dotąd nie widział, nie potrafił ich nazwać; przyglądały się jego zbliżaniu z tłącą się wrogością.

Zatrzymując się przed tronem, przeżył chwilę przytłaczającej niepewności; wbrew sobie dostrzegał piękno Królowej, nie mógł zapomnieć o spokojnym powietrzu Sali Wichrów. Czy to właśnie sprawiło, iż Gundhalinu nie potrafił się jej oprzeć, iż z przyjaciela stał się obcym, z bohatera zdrajcą? Wspominając tak BZ i widząc ją przed sobą, lśniącą niby zorza, przez moment zapragnął sam się przekonać, coż takiego w niej jest, jak wzbudziła uczucia Gundhalinu; sprawdzić, jakim doznaniem byłoby ulec jej, ulec podobnej namiętności...

Nagle wyrzuty i wstyd przytłoczyły wypełniające mu umysł obrazy. Wyprostował się, skłonił, całkowicie już nad sobą panując.

– Pani – powiedział obojętnym głosem. Odwzajemniła powitanie niemal niedostrzegalnym kiwnięciem głowy.

– Komendancie Vhanu. Czego tym razem pan sobie życzył

– Dwóch rzeczy – odparł szorstko. – Życzę sobie, żeby pani rozkazała swym obywatelom opuścić wody okalające Krwawnik. Pragnę też przywrócenia zasilania miasta.

Uniosła brwi; jej mina wyrażała zdumienie przechodzące w drwinę, lecz Vhanu dostrzegł, jak jednocześnie zaciska dłonie na poręczach tronu, układa palce wzdłuż ich wygięć.

– Dlaczego pan sądzi, komendancie, że zmiana obu sytuacji leży w zakresie moich możliwości? – zapytała spokojnie.

Odetchnął głęboko. – Jest pani przywódczynią ludu tej planety albo się za taką uważa. Rozkazała im pani tam przybyć.

– Jestem "praktycznie zaledwie przywódczynią religijną, bez prawdziwych podstaw do rządzenia", tak zdaje się pan to określił, usprawiedliwiając się za wprowadzenie stanu wojennego. Powiadomiłam mój lud o zgromadzeniu się merów, ponieważ jest to dla nich sprawa religijna. Zdecydowali się na pielgrzymkę, zapragnęli na własne oczy ujrzeć ów cud błogosławieństwa Pani. Jakże mogłabym im rozkazać, żeby tego nie robili?

Widział po jej oczach, że nie wierzy w to, co mówi, podobnie jak on sam. Zawsze miał ją za fanatyczkę religijną, wstrząsnęło nim nagle zrozumienie, że jest wyjątkową hipokrytką, wykorzystującą podbudowane wiarą w Panią banały do sprawowania władzy świeckiej, choć nie miała do niej żadnych praw. Zaklął pod nosem, gdy twardy grunt jego przekonań doznał ponownego wstrząsu.

– W takim razie zmusza mnie pani do rządzenia jej ludem – powiedział.

Była to tylko pusta groźba. Musiał odwołać rozkaz aresztowania protestujących i wycofać Policję do sparalizowanego miasta, by pilnowała w nim porządku. Ponadto otrzymał niepokojące

raporty o nagłym zniknięciu merów z wód otaczających Krwawnik.

Jeśli potrwa tak dalej, utraci sposobność wykazania sądowi produktywności planety i władzy, choć taki był pewien, że tego dokona. Jeśli nie zdoła przywrócić zasilania miasta, straci wszystko.

Jest człowiekiem rozsądnym, unikającym ryzyka. Przystąpił do gry pewny zwycięstwa; cały swój rozum, umiejętności polityczne, honor postawił na kartę zapewnienia ciągłości dostaw wody życia. Jeśli przegra, okaże się, iż poświęcił temu celowi zaufanie i przyjaźń Gundhalinu, jego wielkie osiągnięcia, własne dokonania, i że poszło to na marne. Wszystko przypadnie przez przeklętą tajemnicę planety i jej nieuchwytną, kuszącą Królową.

– Przypuszczam, że powie mi pani teraz, iż nie ma nic wspólnego z tym, co się stało z miastem?
– Wskazał na otaczające ich ciemności.

– Nie mam z tym nic wspólnego – potrząsnęła długimi, lśniąco srebrzystymi włosami.

– Podobno wstrzymała pani wiatry w sali na dole. Wie o tym miejscu rzeczy, których nikt inny nie zna... – odniósł wrażenie, że zeszywniała – i potrafi nad nimi panować.

– Nie panuję nad Krwawnikiem – mruknęła. – Nie bardziej od pana.

Poczuł ściskającą mu się pierś, gdy jej wypuszczona na ślepo strzała utkwiała niepokojąco blisko celu.

– Może i nie panuję nad źródłami zasilania Krwawnika, ale za to nad potęgą znacznie od nich większą, sama pani o tym wie. Mamy broń zdolną do całkowitego zniszczenia miasta – nic z niego nie zostanie, rozumie pani? – Teraz on wymierzył cios tymi słowami. – Żadna budowla, żadne szczątki, nikt nie ocaleje. Jedynie krater wypełniony morzem.

Twarz Królowej zapłonęła. – Nie ma pan prawa. Nie odważy się pan na coś takiego. W imię czego?

– Może dlatego że nie zostawia mi pani wyboru. Może po prostu dla wykazania mych możliwości. – Nagła reakcja Królowej podsyciła jego gniew jak powietrze ogień. – I jeśli do tego dojdzie, ostatnią pani myślą będzie pewność, że mogła wszystkiemu zapobiec... że pchnęła mnie pani do tego... – Zmusił się do zapanowania nad głosem. – Z Kharemough przybywa komitet sądowy mający zbadać sytuację, która doprowadziła mnie do usunięcia Głównego Sędziego z jego stanowiska. Dojdzie do śledztwa, które ujawni pani udział w jego hańbie...

– Nie było żadnej hańby... – zaczęła.

– ...i jeśli sytuacja pozostanie taka jak teraz, komitet sądowy na pewno poprze wszelkie działania, jakie będę zmuszony skierować przeciwko pani ludowi.

Królowa długo milczała, patrząc na niego zmiennymi oczami.

– Uderzyło mnie, komendancie Vhanu – powiedziała w końcu – że łączy nas coś więcej niż tylko przyczynienie się do zgotowania dobremu człowiekowi losu, na jaki nie zasłużył. Gundhalinu został usunięty, ponieważ pan i ja posiadamy pewną część potęgi płynącej z jakiegoś większego źródła, oboje staramy się jej użyć do osiągnięcia celów, w które wierzymy. Nie zawsze od nas zależy, czy wygramy, ale to my wybieramy, jak postępujemy. Zostając sybillą, dowiedziałam się, że mam obowiązek służenia wszystkim potrzebującym przechodzącej przeze mnie mocy; nie mogę jej użyć do własnych, egoistycznych celów... Komendancie, jestem po prostu przewodem, dlatego też nie mogę panu dać tego, czego pan pragnie. Jestem naczyniem. A pan jest pusty. – Wstała z tronu ruchem płynnym jak woda, zeszła z podwyższenia pomiędzy grupę doradców i służbę z latarniami, jak cienie czekających na nią w milczeniu. Ruszyła w stronę odległych drzwi, zostawiając Vhanu bez pożegnania.

Przy wyjściu stanęła jednak, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Cokolwiek uczyni pan tej planecie czy komukolwiek z jej mieszkańców, spotka i pana po

trzykroć ciężej – powiedziała. Nieruchome, zastygłe powietrze sali tronowej przydało jej głosowi denerwującej dobitności, miało się wrażenie, że przemawia przez nią ktoś jeszcze. Tylko naczyniem... Odwróciła się i nie obejrzała więcej przed zniknięciem.

Skrzywiony Vhanu odwrócił się także i natrafił na milczące spojrzenia własnej eskorty. Ruszył drogą, którą tu przyszedł, zmuszając niosących latarnię wartowników do podążania za nim przez panujące niezmiennie ciemności.

TIAMAT: Prajna, orbita planety

Reede Kullervo otworzył oczy z oszołomieniem człowieka przebudzonego po zbyt krótkim śnie; usłyszał własny głos cedzący niewyraźne słowa, mogące być pytaniami lub poleceniami.

– Szefie... – odezwał się inny jeszcze głos, bardziej zrozumiały niż jego. – Szefie? – Niburu. On właśnie był ostatnim jego wspomnieniem, szarzejącym, rozplywającym się w mgłę. Widział teraz przed sobą twarz Kedaliona z doskonałą wyrazistością; przed oczyma Reede'a przeszła jego dłoń, by z niepewną uporczywością potrząsnąć ramieniem.

– Jesteśmy...? – zapytał Reede, tym razem zdołał jakoś wypowiedzieć zrozumiałe słowo. Usiadł, dziwiąc się, że ciało go posłuchało; schwycił za poręcz fotela, gdy zaczął się unosić, po chwili dostrzegł pasy przytrzymujące. – Wokół Tiamat?

Niburu przytaknął; Reede dojrzał obok smukły, milczący cień Ananke w kasku. – Co z...? – skinął głową w stronę miejsca Ariele, pozostającej bez zmian, szarej jak dym kopuły.

Niburu wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– Kedalion, przybili do nas – powiedział niespodziewanie Ananke. – Podłączyli się do luku.

Reede odpiął krępującą go uprząż i niepewnie wstał z miejsca. Trzymając się mocnej podpory oparcia fotela, czekał, aż odzyska poczucie równowagi.

– Co się dzieje? Połączyli się z nami?

– Więcej – powiedział Niburu ponuro. – Zostaliśmy zagarnięci. Ledwo zdążyliśmy wybrać orbitę, gdy już spadli nam na kark; musieli nas śledzić, odkąd wyszliśmy z ostatniego skoku. Służba bezpieczeństwa bliskiego zasięgu nie była przedtem taka podejrzliwa.

– Idziemy... – Reede z nagłą gwałtownością wskazał na rufę. – Wyczyśćcie szalupę ratunkową i ją zamknijcie. Nie chcę, by tu weszli, grzebiąc w systemach stacji i zadając pytania. Szybko!

Poszli za nim bez słowa; Niburu zamknął za nimi luk i poprowadził do przedziałów pasażerskich Prajny. Reede przemierzał kręte korytarze wykorzystywane przez Kedaliona jako dodatkowe ładownie, tak iż człowiek normalnego wzrostu ledwo mógł się nimi przeciskać, nie zaczepiając o coś głową. Klął pod nosem, patrząc na przemykającego się płynnie Ananke. Jego własne ciało ociągało się i wahało przed każdym ruchem.

– Niburu, czemu, do cholery, nie włączyłeś ciężenia?

– Przepraszam, szefie – powiedział Kedalion, patrząc w tyłdółgórę. – W ten sposób szybciej lecę.

Reede chrząknął, skomentował to, poskarżył się i na koniec polecił Niburu tak urządzić wnętrze statku, by bardziej odpowiadało ludziom jego wzrostu. Kedalion nie zwracał na to uwagi, odpowiadał wymijająco, aż wreszcie stanął na podwyższeniu prowadzącym do głównych systemów i patrząc prosto w oczy Reede' a, kazał mu się odpieprzyć. – To mój statek – powiedział. – Musi być po mojemu. – Kullervo, tak ku jego, jak i swemu zdumieniu, puścił to płazem.

Rozejrzał się po mijanym właśnie pustym pomieszczeniu będącym właściwym sercem statku. Stąd Niburu go pilotował, a oni cierpieli podczas męczących przejść przez Czarne Wrota. Kokony pasażerskie dawały pewną ochronę przed napięciami podróży ponadświatlnych, odczuwanymi teraz, gdy statek został wyposażony w tymczasowo sklecony zespół napędu gwiazdowego. Przeszłość i przyszłość splotły się w ten sposób w niedoskonałą terażniejszość.

Nie zatrzymując się mijał zatłoczoną płataninę świetlic, wspólnych kabin i kajut sypialnych, wyszedł z niej z siniakami i przekleństwami. Do ośrodka systemowego dotarli dokładnie w chwili pojawienia się w nim grupy uzbrojonych żołnierzy w skafandrach kosmicznych.

Niburu i Ananke unieśli ręce, gdy tylko zobaczyli wymierzoną w siebie broń. Reede zrobił

odruchowo to samo, niechętnie zachował gest poddania.

– Kim jesteście? Co robicie na moim statku? – dopytywał się Niburu, oburzenie tonu kłóciło się z uległą postawą. – Dostaliśmy pozwolenie odlotu. Nie macie podstaw, by nas odwiedzać, a tym bardziej straszyć. Zamierzam złożyć skargę...

– Może pan złożyć ją mnie. – Podeszedł do nich mężczyzna prowadzący oddział napastników. Walnął zaraz głową o zwisający sprzęt i dalej posuwał się pochylony. Zaklął pod nosem, grożąc wzrokiem śmiercią każdemu, kto odważy się na uśmiech. – Porucznik Rimonne z Floty Hegemonii. Na Tiamat jest stan wojenny i sprawdzamy wszystkie statki przybywające bez uprzedzenia.

– Stan wojenny? – zdumiał się Niburu. – Słuchajcie, jestem niezależnym kupcem. Biorę towar, gdzie tylko mogę; nie latam według kursu.

– Według naszych danych zgłosił pan ten sam towar, z jakim opuszczał Tiamat. Czy zechciałby pan to wytłumaczyć?

Niburu wzruszył ramionami. – Nieudany interes. Życie jest twarde.

– No ładnie. – Porucznik wskazał na swych ludzi. – Zabieramy was na pokład naszego statku, by przesłuchać i pewnie aresztować.

– Chwileczkę – powiedział Reede, wysuwając się ostrożnie, nie opuszczając rąk. – To ja jestem ich powracającym ładunkiem. Przywieźli mnie tu na spotkanie z Gundhalinu. Muszę się z nim jak najszybciej zobaczyć.

Rimonne uniósł brwi, przyjrzał się obandażowanej głowie i porwanej, zakrwawionej odzieży Reede'a. – Z Głównym Sędzią? To będzie trudne.

Reede spojrział na siebie, zrozumiał, że wyglądem nie zwiększa swej wiarygodności.

– Zabierzcie mnie na powierzchnię. Połączcie się z nim, powiedzcie, że tu jestem, zobaczycie, że się ze mną spotka. Nazywam się Reede Kullervo.

Porucznik nie wyglądał na poruszonego. – To bez znaczenia...

– Może słyszał pan o mnie. Jestem nazywany Kowalem. Nagle spojrzały na niego wszystkie oczy.

– Kowalem? – Rimonne wybuchnął śmiechem. – Nie ma nikogo takiego. Kowal to legenda; nie istnieje.

– A jeśli pan się myli? – Reede popatrzył prosto na niego.

Rimonne zawahał się, skrzywił twarz w grymasie. – Co Kowal mógłby chcieć od Głównego Sędziego Tiamat – jeśli w ogóle istniałby? – Skierował broń prosto w pierś Reede'a.

– Chodzi o wodę życia – stwierdził Kullervo stanowczo. – Potrzebuje mojej wiedzy. Muszę się z nim spotkać.

– Niestety, nie ma go – powiedział porucznik, uśmiechając się ponuro. – A wy jesteście aresztowani.

– Nie ma? Co to ma znaczyć? – zapytał Reede, czując, że nie jest w stanie myśleć, Ilmarinenie, nie możesz mnie znowu porzucić.

– Został odesłany na Kharemough z oskarżeniem o zdradę. Komendant Policji Vhanu ogłosił stan wyjątkowy; on tu teraz rządzi.

– Nie – Reede zaprotestował gwałtownie. – Tylko nie on, ten przeklęty sukinsyn... – spojrział na broń wycelowaną w jego serce, zrozumiał w pełni, co sobie zrobił. Obrócił się nagle, odpychając Ananke, skoczył ku drzwiom.

Ktoś strzelił; cios trafił go w plecy, sparaliżował całe ciało. Opadł bezradnie, sromotnie wciągnęli go znowu do środka. Skuli mu ręce za plecami; zrobili to samo z Ananke i Niburu. Przeszukali go; przyglądał się temu z niemą rozpaczą, nie był w stanie zareagować, gdy z sakiewki

przy pasie wyciągnęli fiolkę wody śmierci.

– Jest chory – zaprotestował Niburu, gdy żołnierze zabrali środek. – Potrzebuje tego. To lekarstwo, zostawcie mu.

Porucznik pokręcił głową. – Wygląda mi na coś innego. – Spojrzał na trzymającego fiolkę. – Zabierzcie to z nimi. Niech Policja sprawdzi, co to takiego.

Reede zamknął oczy, nie był w stanie wydać żadnego dźwięku; miał wrażenie, że kłębiąca się w jego mózgu rozpacz i wściekłość niby granat rozsada mu czaszkę.

Porucznik wskazał na wejście za swymi plecami. – Wyprowadzić. Zawiadomić Policje. – Popatrzył na Reede'a. – Szkoda, że Główny Sędzia nie może cię zobaczyć, Kullervo. Ale za to komendant Vhanu nie posiada się z radości.

Odzyskał władzę nad systemem nerwowym, nim jeszcze osiągnęli planetę, mógł stać i iść samodzielnie, gdy żołnierze przekazali ich wraz z wodą śmierci czekającemu oddziałowi Sinych.

Policjanci powieźli ich głównym tunelem łączącym port gwiazdny z Krwawnikiem. Reede opadł na fotel, nic nie mówił, patrzył prosto przed siebie w przetykany światłami mrok.

Nie skorzystali z normalnej drogi, windy wznoszącej się wnętrzem jednej z wież podtrzymujących miasto i zatrzymującej się gdzieś przy Ulicy. Zamiast tego Sini kazali im wysiąść w pograżonym w półmroku porcie pod miastem, skierować się do głównej pochylni, wykorzystywanej przez Tiamatańczyków jako dostęp do statków.

– Czemu idziemy tędy? – zniecierpliwiony napięciem i strachem Reede przerwał wreszcie milczenie.

Jeden z Sinych zerknął na niego. – Winda nie działa.

Reede popatrzył ze zdumieniem. Rozejrzał się wokół, czując już rodzące się pod skórą swędzenie, pieczenie podeszw stóp stawianych na ziemię, oddzielne, dręczące bóle każdego skaleczenia i otarcia poturbowanego ciała, wiedział, że końcówki nerwów stają się przewrażliwione. Próbował nie myśleć, jak bardzo przedłuża się ich droga, ile dodatkowego wysiłku będzie od niego wymagać, o ile mniej czasu i sił mu pozostanie na jej końcu.

Sini zatrzymali ich u podnóża pochylni, gdy zbliżył się do nich inny oddział patrolujących policjantów, niosąc z sobą coś przypominającego zwłoki w worku.

Sierżant dowodzący eskortą wystąpił naprzód nachmurzony. – Kto to?

– Nikt z naszych – odpowiedziała kobieta prowadząca drugi oddział. – Ktoś miejscowy.

Twarz sierżanta się uspokoiła. – Jeden z tych miłujących Matkę Letniaków znowu wypadł za burtę? – Na jego ustach pojawił się pełen nadziei uśmiech.

Pokręciła głową. – Zimak. Niejaki Kirard Set Wayaway. Przekażemy go siłom miejskim.

Reede zeszywniał. – Co mu się stało?

Sina spojrzała nań ze zdziwieniem. – Wyrok Królowej – powiedziała ponuro. – Nie okazał się dobrym pływakiem.

Reede poczuł, jak jego twarz wykrzywia uśmiech przypominający skurcz.

– Nie udało mu się wypłynąć... – mruknął. Policjant ponaglił go i zaczął się wspinać.

Wchodząc pochylnią, zrozumiał, że w mieście stało się coś jeszcze; w miarę wznoszenia było coraz ciemniej zamiast jaśniej. Krwawnik był zawsze zalany światłem, dniem i nocą – Reede nigdy się nad tym nie zastanawiał, uważał to za normalne, podobnie jak automatyczną klimatyzację kierowaną przez samodzielny system miasta. Było tak jeszcze przed powstaniem Hegemonii, stanowiło wytwór, pamiątkę Starego Imperium. Słyszał, że źródłem energii Krwawnika są pływy, że w jaskiniach głęboko pod miastem pracują ogromne turbiny. Mówiono mu, iż zawsze działają bezbłędnie, same się naprawiają, same konserwują.

Ale nie ma niczego takiego jak wieczny ruch. Panujące w mieście ciemności, czekające w górze, by ich pochłonię, napełniły go dziwnym uczuciem zawierającym równie wiele niecierpliwości, co i strachu.

– Co się, u diabła, dzieje? – zapytał. Wiedział jednak, co się stało, że te oznaki są ważne, że musi teraz działać. Gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć, co ma robić...

– Światła wysiadły – powiedział idący obok Siny. – Wszystko poszło. Miasto przestało działać.

– Czemu? – zapytał Reede.

– Nie wiem. – Siny wzruszył ramionami.

– Kiedy to się stało?

– Dwa dni temu.

– Trzy dni – mruknął Reede. – Dwa już minęły...

– Co? – Siny stanął.

– Muszę się spotkać z Królową Lata – powiedział Reede. – Muszę ją zobaczyć.

– Wiesz coś o tym? – zapytał Siny. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ścisnął ramię Reede'a. – Wiesz?

– Na miłość bogów, nic nie wie – rzucił inny policjant. – Próbuje nas wykiwać. Ruszaj... – Dłoń uderzyła między łopatki Reede'a, pchnęła go naprzód.

Kullervo ruszył posłusznie, oszołomiony wrzającą energią myśli, wzbudzoną w jego mózgu przez zaciemnione miasto. Tak, pomyślał, rozglądając się na boki na baterie przenośnych latarek, na migoczące jak w tańcu płomyki świec noszonych w mrocznych uliczkach Dolnego Miasta, zamieszkiwanego głównie przez Letniaków. Tak. Wracam do domu... Nie wiedział jednak, dlaczego tak pomyślał i czemu czuje przy tym pustkę.

Szli dalej powolnymi kręgami, wznosząc się ciągle, światła na kaskach policjantów otaczały go niby błędne ogniaki, wskazywały drogę. Widziane przez Reede'a nieliczne inne blaski przypominały mu dziwne stworzenia kryjące się w czarnych głębiach morza. Większość mieszkańców wydawała się pozostawać w domu, z wyboru lub z konieczności. Miał wrażenie, że powietrze jest stęchłe, choć przezroczyste zasłony przeciwsztormowe, zamykające wszystkie uliczki, stały teraz otworem, pozwalając oddychać swobodnie ludzkiemu ulowi Krwawnika. Twarz spływała mu potem, nie mógł jej wytrzeć, mając dłonie skute za plecami.

Szli dalej, przez Labirynt, choć z trudem go rozpoznał w głębokim mroku. Nawet Piekło Persefony było zamknięte i ciemne. Usłyszał za sobą przeklinającego Kedaliona, zadyszanego przy próbach dotrzymania im kroku. Nie uświadamiał sobie, że także zostaje w tyle, nim ktoś znowu go nie popchnął. Wpadł na Ananke, idącego teraz przed nim. Chłopak zatoczył się z niezdarnością, którą Reede uznał za zamierzoną dopiero wtedy, gdy Ondyńczyk zderzył się z Sinym. Policjant przewrócił się z jękiem zaskoczenia, zabłyśły nagle nakładające się światła lamp na kaskach.

– Reede, uciekaj...! – zawołał Ananke, gdy Kullervo wyminął chwytające ręce i machające nogi. Reede odskoczył od walczących ciał, obejrzał się, słysząc w tyle krzyczącego z bólu

Ananke. Uciekaj... Biegi, mając do wyboru tylko to albo poddanie się całkowite. Musi się dostać na Koniec Ulicy, do pałacu... Przypadkowy strzał trafił go w ramię, poczuł, jak ręka drętwieje.

Pobiegł szybciej czarną, niemal pustą uliczką. Wiedział, że ma jeszcze do przebycia trzecią część miasta, wspinaczkę w ciemnościach. Zastanawiał się, czy Sini mogą wezwać pomoc. Mrok musiał się zakradać wraz z Policją, niweczyć jej wysiłki, ośmielać złodziei i awanturników. Złodziei i awanturników; bogowie...

Widział przed sobą drogę jako tunel bez światełka na końcu, ale po minięciu kolejnego wylotu

uliczki nagle zalała go jasność, usłyszał głosy wzywające go do zatrzymania się.

Zatrzymał się nagle, niby robak uwięziony między przecinającymi się snopami blasku, gdy wokół zaroilo się od ciemnych postaci.

– Mamy go! Komendancie! – zawołał ktoś w tyle, chwytając za więzy łączące jego nadgarstki. Wyrwał się, lecz nie miał miejsca na ucieczkę. Tkwił nieruchomo, upokorzony swym drżącym z wyczerpania ciałem. Ktoś przed nim stanął; oślepił światłem lampy na kasku, bijącym mu prosto w twarz. Zaklął, zmrużył oczy, otworzył je znowu, gdy blask osłabł nagle do znośnego poziomu. Mruganiem odzyskał zdolność widzenia, usiłował dostrzec Vhanu, prawą rękę Gundhalinu, włączającego w tyłek służbistę, którego BZ zrobił głupio komendantem Policji.

Zobaczył jednak twarz kobiety – była w średnim wieku, barwy cynamonu, Newhavenka, nawet nie Kharemoughi. Główny Inspektor... PalaThion, tak się nazywa. Ale przecież nazywali ją Komendantem. Spojrzał na nią, dostrzegł, że nie nosi munduru Policji; zrozumiał, że ludzie otaczający ją i jego są bez wyjątku Tiamatańczykami – siłami miejscowymi, a nie Sinymi.

– Och... – powiedział na poły ze zmieszaniem, na poły ze zdumieniem. A potem, jakby miał to w sobie nagrane: – Muszę się zobaczyć z Królową.

PalaThion zmrużyła oczy, przyglądając się jego twarzy, aż niemal wykrzywiła całą twarz. – Kim jesteś?

– Reede Kullervo. Muszę się zobaczyć z Królową.

– Tak... – szepnęła, ale przez chwilę go nie widziała. – Dzięki wam, bogowie! – mruknęła. Reede poczuł niepewność, gdy znowu nań spojrzała, zauważyła skute ręce. Odwróciła się, słysząc zbliżający się tupot biegnących nóg, widząc dołączające do rzucanego przez nich blasku inne światła.

– Macie go? – zapytał ktoś niecierpliwie. Zobaczył niebieskie mundury gromadzące się w kręgu lamp miejscowych funkcjonariuszy; rozpoznał głos dowodzącego nimi sierżanta.

– Nie oddawajcie mnie im – mruknął, patrząc w oczy PalaThion. – Nie oddawajcie.

Niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową, nim wyminęła go, stając przed Sinymi. Reede odwrócił się, znowu zmrużył oczy, gdy światła zamknęły go w kręgu miejscowych.

Ten człowiek jest teraz naszym więźniem. Mamy do niego większe prawa.

– Jest pozaziemcem – powiedział sierżant. – Podlega naszemu prawu.

– O co jest oskarżony?

Sierżant zawahał się. – Mówi, że jest Kowalem.

– Ma pan na to jakiś dowód?

Siny spojrzał na swych ludzi, znowu na nią.

– Nie. Musimy najpierw sprawdzić jego tożsamość. Po co on Królowej?

– Porwał jej córkę wyjaśniła PalaThion złowróźnie. – Jest naszym więźniem i zabieramy go. Jeśli zapragnie go Vhanu, niech przyjdzie do pałacu i pogada z Królową. Choć nie sędzę, by mógł liczyć na jej pomoc, dopóki będzie panował stan wojenny.

Sierżant wykrzywił twarz; Reede dostrzegał, że ocenia sytuację, przewagę liczebną Tiamatańczyków. Część swoich ludzi musiał zostawić w tyle z Niburu i Ananke. W końcu pokiwał głową.

– No to go zatrzymajcie. I powiedzcie Królowej, że jeśli chce rozmawiać o zakończeniu stanu wojennego, niech lepiej włączy znowu światło! – Skinął na pozostałych; odeszli z nim Ulicą.

– Czy Królowa naprawdę wyłączyła zasilanie? – zapytał Reede, gdy już zniknęli.

PalaThion pokręciła głową. – Ale Vhanu chętnie ją za to wini. Naprawdę jesteś Kowalem?

Reede odwrócił wzrok. – Myślałem, że pracuje pani dla Vhanu – powiedział, pomijając pytanie. – Ze jest pani Głównym Inspektorem.

Ponownie pokręciła głową. – Pracowałam dla Gundhalinu. Ale jego już nie ma.

– Wiem – mruknął Reede. – Wiem. – Poczul zalewającą go nagle falę mdłości, uświadomił sobie, że znowu drży, jakby z zimna. Nie było chłodno. – Psiakrew! – Szarpnął głową. – Zabierzcie mnie do Królowej, do cholery, nie mam wiele czasu!

– Spokojnie, chłopcze – uspokajająco położyła dłoń na jego związanej ręce. – Niedługo tam będziemy.

Spojrzał na nią, wyrwał się z uchwytu i ruszył truchcikiem pod górę, zmusił resztę, by za nim podążyła.

Wreszcie dotarli do Końca Ulicy, placu przed wejściem do pałacu. Wyłożoną białym alabastrem rozległą przestrzeń okalały latarnie. PalaThion przejęła prowadzenie, przemówiła do strażników, stojących jak zawsze niedaleko ciężkich wrót. Drzwi stanęły przed nimi otworem i Reede po raz pierwszy wszedł do pałacu Królowej Lata. Kroczył za PalaThion długim, rozbrzmiewającym echemi korytarzem, oczy drażniło mu migotanie świateł, zauważane mimochodem sielskie malowidła ścienne – zielone wzgórza, woda i niebo, widoczne w błyskach rzucanych przez lampy.

Podejście korytarzem doprowadziło ich w końcu do ogromnej, wysokiej sali. Powietrze nagle, niespodziewanie zapachniało morzem. Daleko w górze znajdowały się okna podobne do zapór przeciwsztormowych, zamykających wszystkie alejki odgałęziające się od Ulicy, ale w przeciwieństwie do nich były zamknięte. Za szybami nocne niebo płonęło milionami gwiazd.

Reede opuścił wzrok, zauważył po drugiej strony komnaty inne zbiorowisko świateł. Ktoś tam czekał. – To Królowa mruknęła PalaThion.

Ale pomiędzy Królową a nim znajdowało się coś jeszcze... pasmo mroku przerzucone nad szybem baśniowo oświetlonym blaskiem zielonych lamp. Reede minął PalaThion, ruszył ku niemu z jakimś przeczuciem, nagłą koniecznością.

– Kullervo! – zawołała PalaThion ostro, złapała go za ramię. – Zaczekaj chwile, to Otchłania. Nie możesz przejść tędy po ciemku, nie ma tam podłogi.

– Nie jest ciemno – mruknął Reede.

– Czarny mrok – powiedziała. – O czym mówisz?

– Puść mnie. – Wyrwał się jej, ruszył znowu. – Widzę doskonale. Muszę tam iść...

Uwolniła go bez słowa; dostrzegł wyraz jej oczu. Nie widzi tego. Poczul, jak przechodzą go ciarki nagłego przerażenia, skręcają wnętrzości. Mimo to szedł dalej, blask pociągał go nieodparcie i instynktownie, jak owada. Dotarł do początku wiszącej nad Otchłanią kładki bez poręczy, znowu się zatrzymał. Teraz, tu, nareszcie, otrzyma odpowiedź na wszystkie swe pytania... Wreszcie znalazł się w miejscu, w którym miał być.

Wstrzymał oddech, przymus sparaliżował jego mięśnie i zmusił do wejścia na most nad bezdenną studnią światła. Z trudem sobie uświadamiał, że PalaThion idzie za nim, lecz w pewnej odległości. Zrobił następny krok, drżąc ze zgrozy i lęku, poczul, jak zielone światło wzbija się ku niemu, by objąć jak kochanka, zagłuszyć zmysły najpiękniejszą muzyką, dotykiem jedwabiu i aksamitu, zapachem morskiego wiatru...

– Nie – szepnął jak dziecko, wchodząc w światło – nie chcę, boję się... – podczas gdy jego świadomość rozpływała się w oceanie doznań i przymusu. Na środku mostu opadł na kolana, pod jego czarem opadał coraz niżej...

Vanamoinen. Imię rozległo się w jego mózgu, żądanie, powitanie. Tak... Jest Vanamoininem, nie tym innym, pojemnikiem z ciała i krwi, obcym kulącym się teraz pod brzemieniem wzruszającego ludzkiego nieszczęścia. Pamiętał... jak wybrał ten świat, stworzył miasto, ozdobny, niepojęty klejnot,

przyciągający po jego odejściu całe pokolenia ludzi. Będą go strzec i bronić, bo jest wyjątkowe, nie domyśla się nigdy, że sensem jego istnienia jest wyznaczanie punktu na mapie, określanie tajemnego miejsca kryjącego jego prawdziwy dar dla przyszłych pokoleń: banki danych, które przechowują całą ludzką wiedzę, jaką zdołał zebrać – sedno umysłu sybilli, zwierciadło jego duszy.

Ale nie tylko jego – Ilmarinena. Nigdy by nie powstało, nigdy by nie ziścił swego marzenia... nigdy by go nie miał, gdyby nie Ilmarinen, którego kochał; którego chłodny rozsądek i zrozumienie dla ludzkich słabości dziwiły go zawsze, którego niespodziewany uśmiech był dlań droższy niż setki zaszczytów, tysiące pustych gestów pochwał ze strony cielesnych bogów Styku. Ilmarinen, jego druga połowa, jego geniusz, ich dusze połączyły się na zawsze podczas projektowania i programowania systemu sybilli. System ten, zrodzony z ich wspólnych wizji i ofiar, przetrwał pokolenia po śmierci obu, pomagał, szerzył swobodnie wiedzę; symbolizował wszystko, czym byli dla siebie wzajem, wszystko, w co wierzyli. Ilmarinen... zawołał. Ilmarinen...?

Ale Ilmarinen nie żyje, od tysiącleci spoczywa w grobie, podobnie jak miało być z nim samym. Nie powinien tu się w ten sposób znaleźć, przebudzić po wiekach spokoju, wrócić do życia w obcym mu całkowicie i przerażającym świecie.

Z wyjątkiem... Przypomniało mu się teraz, pamiętał wszystko, co tak długo było dlań niedostępne: pamiętał, że było to jego życzeniem. Po śmierci Ilmarinena przygotował wszystko, dokonał zapisu swego mózgu i ukrył go w tajemnym miejscu, znanym jedynie umysłowi sybilli, uczynił tak na wypadek, gdyby się potrzebowała go kiedykolwiek w przyszłości.

A teraz nadszedł ten czas. Został przywołany do życia, nie potrzebował innych, żeby się o tym dowiedzieć. Nie popełnili zasadniczych błędów w projektowaniu i programowaniu systemu; nie pomylili się, bawiąc w bogów i planując wzór genetyczny stwarzający mery. Jedyнным ich przeoczeniem było niedocenienie ludzkiej zachłanności. Nigdy nie zamierzali ani pragnęli dać ludziom możliwości życia rozciągniętego w nieskończoność. Ktoś jednak zauważył długowieczność merów, ktoś wykrył ich tajemnicę i rozpoczął Łowy.

A ponieważ ludzie przez stulecia wyrzynali mery, umysł sybilli upadał. Teraz wezwał go na ratunek, jeśli to jeszcze możliwe. Jeśli ma...

Chodź ze mną, powiedział głos. Pomóż mi...

– Chodź ze mną...

Uniósł głowę, spojrzał w twarz Królowej Lata. Uświadamiał sobie powoli, że klęczy na kolanach, kuli się jak płód na wąskiej kładce ponad jarzącą się Otchłanią, że ciało drży mu jak w padaczcze.

– Pomóż mi – mruknęła Królowa, podnosząc go łagodnie, lecz stanowczo. – Pomóż mi zabrać cię stąd, przejść do miejsca, gdzie będziesz bezpieczny.

– Nigdzie... – wymamrotał. – Nigdzie nie jestem bezpieczny.

– Jesteś – szepnęła z miękkim przekonaniem. – Ze mną. Wstał niezdarnie, przyciągany czymś w jej wzroku, pozwolił się przeprowadzić przez most, osiągnąć bezpiecznie daleką krawędź Otchłani. Królowa nie niosła latarni, nie potrzebowała jej. Z tyłu szła PalaThion, odetchnęła z ulgą, gdy stanęli na twardym gruncie, rozpięła noszone nadal przez niego okowy.

Reede uniósł dłonie; przycisnął je do oczu, próbując się odgradzić od przytłaczających ech zieleni. Po opuszczeniu rąk ujrzał, że Królowa ciągle przygląda mu się stanowczo i badawczo. Zobaczył za nią inne postacie, lecz zwrócił uwagę tylko na jedną – na chwilę zatrzymało mu się serce z przekonania, iż w cieniu kryje się Gundhalinu. Ale był to tylko syn Królowej, Tammis, stojący obok żony wyglądającej na czujną i przestraszoną.

Tammis patrzył nie na niego, lecz dalej, wpatrywał się w Otchłań. Też to widzi. Reede

przesunął się lekko, by lepiej patrzeć; ujrzał koniczynkę lśniąca na piersi chłopca. Czy wie...? Pozwolił się poprowadzić dalej, wszedł na szerokie schody prowadzące do serca pałacu; wpatrywał z podziwem w błyski oświetlanych ich lampami kształtów i ozdób. Niczego nie poznawał, lecz mimo to wiedział, gdzie jest, czuł to miejsce, jakby był podróżnikiem po wielu latach nieobecności wracającym do domu.

Zaprowadzili go do małej komnaty przemienionej w bibliotekę, wypełnionej różnymi urządzeniami do przechowywania informacji, od prymitywnych do najnowszych. Jedna ściana wychodziła na srebrzyście oświetlone miasto, na niebo i morze. Rozejrzał się wokół, czuł jedynie, że musi usiąść, ponieważ ciało nagle zapragnęło paść. Królowa osobiście przyniosła mu coś do picia. Bez słowa przyjął kubek i pociągnął łyk chłodnego gorzkiego napoju, ostry smak rozjaśnił mu myśli.

– Gdzie moja córka? – zapytała Królowa, gdy znowu uniósł głowę. – Gdzie mój zaprzysiężony? – Reede zauważył, jak nań patrzy, zauważa plamy krwi, poszarpany strój, twarz.

– Ariele nic na razie nie grozi. Jest na pokładzie mojego statku, w stacji. Twój mąż... twój mąż zginął. – Odwrócił wzrok, uciekł nim od zrozpaczonej twarzy. – Miał wypadek, gdy nas wprowadzał. Umarł. Przykro mi...

Oniemiała z żalu Królowa wydała tylko cichy, bezsłowny dźwięk. Odwróciła się, podeszła do okien. Stała tam, wpatrzona w gwiazdy; nikt z obecnych nie drgnął, dając jej złudzenie samotności. Reede odstawił niepewnie kubek na przezroczysty stolik obok fotela; pragnął huknąć na nią, że nie ma czasu na rozpacz, nie ma czasu. Zachował milczenie, jak wszyscy inni, zaczekał, aż znowu się odwróciła.

– Co z narkotykiem? – zapytała. Nie potrafiła opanować drżenia ciała. – Z wodą śmierci? – Sini zabrali wszystko, co miałem. – Pokręcił głową. – Cholera, myślałem, że będzie tu Gundhalinu! Myślałem, że zdoła nam pomóc...

Królowa zamilkła znowu na długo; gdy wreszcie na nią spojrział, zrozumiał, że stara się opanować.

– Wróci – powiedziała w końcu. – Gdy zrobimy, co trzeba. – Będzie za późno – szepnął. Poczul nagły zawrót głowy, jakby stała się lżejsza od powietrza. Zaklął pod nosem.

– Vanamoinenie – powiedziała Królowa cicho. – Wiesz, dlaczego tu jesteś? Powiedziało ci? Ponownie uniósł oczy, wpatrywał się w dziwną bladość jej włosów, porcelanową przezroczystość skóry. – Tak – mruknął. Królowa zerknęła na ludzi czekających w tyle.

– Musimy porozmawiać na osobności. – Pokiwali głowami, ruszyli kolejno ku drzwiom. PalaThion zawahała się, zadała wzrokiem pytanie. Po przytaknięciu Królowej wyszła z pozostałymi.

– Nie ty – powiedział Reede nagle, gdy Tammis odsunął się od matki. – Zostań. Tammis zawahał się, skrzywił lekko w wątpliwości lub zdziwieniu. Żona złapała go za rękę, próbowała pociągnąć za sobą. Reede dostrzegł lekkie nabrzmienie jej brzucha, zastanowił, czy to dlatego chce zmienić jego zamiar. Mimo to wpatrywał się w oczy chłopca z nieugiętym uporem.

– Widziałeś coś – powiedział Tammisowi. – Wiesz o czymś. Chłopiec przytaknął, w milczeniu, przepraszająco odsunął od siebie żonę. Wyszła, jej żalony wzrok był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli, nim zamknęła drzwi.

Gdy już zostali sami, powiedział: – Potrzebuję dwu sybilli – sieć sybilli wybrała ciebie – wskazał na Królową – i Gundhalinu. Ale jego nie ma. – Odwrócił się ku Tammisowi. – Myślę, że znalazłeś się tu, by go zastąpić. Umiesz pływać? Używać sprzętu do nurkowania?

Tammis przytaknął, usiadł na ozdobnym krześle w kącie. – O co chodzi?

Królowa wybrała miejsce na długiej leżance, gdzie siedział już Reede, dostrzegł powątpiewające spojrzenie, jakie mu rzuciła. Nie mogła tego wytłumaczyć, umysł sybilli panował nad nią, podobnie jak nad Gundhalinu. Ale nie miał władzy nad nim, zresztą było już za późno na namysł.

– Kierująca siecią sybilli sztuczna inteligencja – wszystkie zbiory danych, zarządzające nimi programowanie – wszystko to mieści się tutaj, pod Krwawnikiem – powiedział.

Tammis spojrzał na niego. – Skąd to wiesz? – zapytał. – Myślałem, że nikt nie wie, gdzie to jest.

– Wie twoja matka. – Reede spojrzał na niego. – I Gundhalinu. Wiem i ja, ponieważ sam tam umieściłem.

Tammis roześmiał się z niewiarą. – Sieć sybilli trwa od tysiącleci! Nawet Królowa Śniegu nie żyła tak długo.

– Nie jestem tylko Kullervo, ale kimś jeszcze. Nazywałem się – nazywam – Vanamoinen. Prawdziwy Vanamoinen zmarł dawno temu; jestem konstrukcją, zbiorem danych... jego wcieleniem, brakuje mi trafniejszego słowa. Wykorzystuję Reede'a Kullervo, by zrobić to, co muszę, tu i teraz. Sieć, którą pomogłem zaprojektować, przywołała mnie, bo zanikała. Mery są częścią systemu, ich zadaniem jest współdziałanie z siecią sybilli i podtrzymywanie jej. Cały układ technogenetyczny składa się z dwóch całkowicie odmiennych warstw... – Urwał, spostrzegając na ich twarzach niezrozumienie. Spróbował od początku, wybierając określenia, jakie powinni pojąć. – Pieśni merów zawierają informacje niezbędne dla sprytmaterii komputera, również niektóre substancje chemiczne uwalniane podczas ich cyklu rozrodczego wzbudzają sekwencje powodujące samoodtwarzanie, pozwalające komputerowi pozbyć się pomyłek, usunąć wszelkie odstępstwa od funkcji logicznych.

– Ich – parzenia się? – zapytał Tammis. – Myślałem, że robią to w morzu.

– To proces dwufazowy. – Reede wzruszył ramionami. Pierwsza faza zachodziła podczas gromadzenia się merów przy komputerze, wszystkich naraz. Połączenie z siecią sybilli przygotowywało je biologicznie, tak iż podczas parzenia się były płodne. Zrobił to celowo, żeby zachować stałą liczebność populacji osobników o takiej długowieczności. Sprawił także, że dawało im to przyjemność, skłaniało do powrotu dla dobra własnego i całej sieci.

Pokręcił głową, uśmiechnął się tak z bólem, jak i ironią.

– Myśleliśmy, że wszystko zostało doskonale zaplanowane. Nigdy nie przyszło nam do głowy, iż ludzie, dla dobra których istnieje sieć, zechcą ją zniszczyć... Nigdy nie uświadamialiśmy sobie, jakie siły działają na system, który trwa równie długo. – Znowu na nich spojrzał, jego uśmiech przeszedł w pogardę dla siebie. – Spróbujcie wymyślić system ponadludzkiej inteligencji, który ma trwać wiecznie i być odporny na głupotę... – prychnął śmiechem. – Popelniliśmy błąd, mimo wszystko byliśmy tylko ludźmi...

Oboje patrzyli na niego ze zdumieniem i podziwem. Przyglądając się im – potomkom, ludziom, dla których stworzył to wszystko – poczuł wypełniającą go niespodziewanie czułość. Widział noszone przez nich koniczynki, taki sam symbol, jak i on nosił, dawno temu; wiedział, że mają w krwi ten sam przetwarzający technowirus, który on miał jako pierwszy człowiek. Zaprojektował miejsca wyboru, poszukujące takich ludzi jak oni, ufał, że będą ludzie szukający miejsc wyboru i po upływie ponad dwóch tysiącleci, pomimo wszystkich błędów, ciągle działało się tak, jak zaplanował.

Uśmiechnął się, choć ciało Reede'a Kullervo wykręciło się i zmieniło pozycję, nie znajdowało spokoju, odczuwając coraz bardziej swe rozpadające się systemy. Wytarł rękawem spotniałą twarz, pożałował nagle, że wypił podany mu napój. Jego żołądek podchodził do gardła na samą myśl o picciu czy jedzeniu. Przełknął twardy, rodzący się w nim strach, nie wiedział, kto go czuje, kim jest...

– Co? – Uświadomił sobie, że Królowa zapytała go o coś.

– Czy... czy mogę coś dla ciebie zrobić? – powtórzyła z troską w oczach.

Potrząsnął głową, wyciągnął skurczone ręce. – Tylko wysłuchać. Nie mamy dużo czasu. Czy wiesz, dlaczego w mieście jest ciemno?

– Nie – Królowa spojrzała ostrzej. – A ty?

– Wiem. – Odwrócił wzrok, spojrzał na niebo i jego odbicie w morzu. Przez chwilę wspominał inną ciemność, naruszoną jedynie ledwo widocznym blaskiem rudawego światła, tak nieznacznym, iż mogło być jedynie wyobrażeniem, pogłębiającym zgrozę serca mroku. Popatrzył w dół, skupił wzrok na drobnych wzorach dywanu. – Bo nadeszła pora – właściwa pora, jedyna, podczas której można cokolwiek zmienić. Zasilające miasto – i węzeł sybilli – turbiny wyłączają się raz podczas każdego Wielkiego Roku, w czasie powrotu merów do Krwawnika. Poza tą chwilą uniemożliwiają całkowicie dostęp do komputera. Zabijają wszystkich, którzy by chcieli je minąć. Tylko przez trzy dni droga jest bezpieczna, aby umożliwić wejście merom. Po ruszeniu turbin komputer stanie się niedostępny na następne dwa i pół wieku. Wszelkie inne próby dotarcia do niego zakończą się niepowodzeniem lub zniszczeniem systemu.

– Dlaczego? – zapytał Tammis.

– Ponieważ musiałem mieć pewność, że nigdy nie dostanie się w ręce jakiegokolwiek grupy biorącej udział w odwiecznej ludzkiej grze o władzę. Z tego też powodu dopilnowałem, by jego położenie na zawsze pozostało nie znane. To dlatego twoja matka i Gundhalinu nie mogli wytłumaczyć, co robią.

Tammis zerknął na Moon. – No to jak się o tym dowiedziałas?

– Pewnego razu, gdy przechodziłam nad Otchłanią, komputer mnie wezwał... – twarz Królowej zbladła jeszcze bardziej – ...wybrał mnie, bym mu pomogła. I przez wszystkie te lata próbowałam...

– Reede dostrzegł w jej oczach straszliwe znużenie. – Próbowałam zrozumieć, czego ode mnie chce... czemu mnie właśnie wybrał.

– Wybrał cię, bo we właściwej chwili znalazłaś się we właściwym miejscu. – Zawahał się. – Nie twierdzą, że przypadkowo... – Dotknął swej głowy. – Nie mówię też, że wszystko było zgodne z przeznaczeniem. Ale nie bez znaczenia było to, że jesteś klonem Arienrhod. – Zobaczył, jak się wzdryga. – Arienrhod dowiodła, że ma dość siły i inteligencji, by od swego ludu i pozaziemców dostawać, czy tego chcieli, czy nie, wszystko, czego zapragnęła. Jesteś, kim jesteś, Moon Dawntreader... Ale także Panią – dodał łagodnie. – Masz zaufanie tego świata. Jesteś taka, jaką powinna być Arienrhod. Będąc wychowana przez Letniaków, zachowujących – zachowujących pokój z siecią sybilli i chroniących mery, potrafisz patrzeć daleko. Dla Królowej Zimy było to niemożliwe. Rozumiesz, dlaczego to jest ważne, dlaczego jest naprawdę ważne... – Urwał. – Jesteś przyszłością, w którą wierzyłem.

Opuściła wzrok; znowu na niego spojrzała, w jej oczach lśniła wdzięczność. Potem jednak zmieniła wyraz twarzy.

– Powiedziałeś, że komputer będzie dostępny tylko przez trzy dni. Minęły już ponad dwa.

Kiwnął głową. – Dlatego też nie możemy zwlekać. Jeszcze jedno. – Spojrzał na swe drżące ręce. – Twój mąż miał dane na temat zagubionych elementów pieśni merów. Muszę je odtworzyć... – Z nagłym poczuciem tonięcia pojął, że pewnie nigdzie w mieście nie znajdzie działającego komputera, posiadającego niezbędną bazę danych.

– To już zostało dla ciebie zrobione – powiedziała Królowa. Spojrzał na nią. – Gundhalinu? Zrobił to przed aresztowaniem?

– Nie – odparła z nikłym uśmiechem. – Kolegium Sybilli dokończyło pracę. – Dotknęła swej

konieczności. – Mogę dać ci taśmy – zapisaliśmy pieśń merów uzupełnioną brakującymi częściami.

Wbrew sobie uśmiechnął się także.

– Będę potrzebował stroju do nurkowania dla dwóch osób – mnie i jego. – Wskazał na Tammisa.

Niemal się skrzywiła. – Co zamierzasz zrobić?

– Musimy zejść w... w... – Urwał, przycisnął dłoń do ust, jakby miał zaraz zwymiotować. Zmusił się do opuszczenia ręki. – W głąb morza, minąć turbiny i wraz z merami dotrzeć do komputera. Muszę osobiście sprawdzić system, zobaczyć, co się zepsuło, i przeprogramować... Musimy zwrócić merom właściwe pieśni.

W głąb morza, pod wodę... tonięcie, śmierć, ciemność. Myśli wypełniły mu obrazy, znowu nie wiedział, czyj lęk czuje, kto się zawsze bał śmierci w toni, kto zawsze wiedział, że takie czeka go przeznaczenie... Zaklął pod nosem, miał ochotę krzyczeć. I tak jesteś skazany, żaloszny idioto, pomyślał, łącząc się. Śmierć od wody czy woda śmierci. Nieważne, jak umrzesz! A jednak... Wyrzwał w noc, żeby nie musieć patrzeć w oczy dwojga obserwujących go ludzi.

– Czemu Tammis musi iść z tobą? – zapytała Królowa, usłyszał w jej głosie lęk o syna. – Jestem sybillą; to mnie wybrała sieć sybilli.

– Właśnie dlatego. Musisz mieć spokój, być bezpieczna. Na całe godziny wpadniesz w głęboki Przekaz w umyśle sybilli... pokaże ci, co jest zepsute, a wtedy mi powiesz. Będziesz mną kierować, zawiadomisz, gdy zakończę leczenie. To dość niebezpieczne zadanie. – Czuł żar jej oporu, niepewność we wzroku przyglądającym się człowiekowi, który zatruł jej drugie dziecko. – Do licha, nie nadałabyś się! Potrzebuję kogoś, kto będzie w stanie ze mną pracować – koniecznie sybillę, by łączyła nas oboje. – Wskazał na Tammisa.

– Myślałam, że byłeś sybillą – powiedziała. Nadal się chmurzyła, choć w jej oczach zaczęło się pojawiać zrozumienie.

Roześmiał się z gorzkim przerażeniem innego człowieka.

– Nie, Pani – szepnął głosem tego drugiego. – Nie jestem sybillą. Sybillę są święte, a ze mnie ludzka ofiara... – Tammis wzdrygnął się, spojrzawszy na niego.

Twarz Królowej uległa zmianie. Powoli, niby obawie przed gromem, wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka równie delikatnie, jakby pieściła własne dziecko. Samo muśnięcie palcem wystarczyło, by końcówkami nerwów jego twarzy wstrząsnął skurcz. Mimo to nie cofnął się.

Poczuł, jak po chwili odsuwa dłoń.

– Najszybciej jak można, dostarczę wam dane i sprzęt do nurkowania – powiedziała. – Jak jednak dotrzecie do komputera? Nie możesz wyjść do miasta; patrole Vhanu znalazłyby cię, nim doszedłbyś do morza.

– Dotrzemy. – Potarł oczy, zmusił się znowu do skupienia, zachowania przytomności, działania jako jeden człowiek. – Otchłań umożliwia dostęp, sięga aż do morza. Prowadzi prosto do celu.

– Ale nie ma zasilania – szyb jest zamknięty.

– Nie dla nas – powiedział łagodnie. – Wie o nas. Chcę, żebyś zeszła ze mną do studni. Nie możemy ryzykować, że coś nam przeszkodzi. Na dole będziemy niedostępni nawet dla Vhanu. – Zawahał się, widząc zmianę wyrazu jej twarzy. – Czy byłaś kiedykolwiek w rozciągniętym Przekazie?

Przytaknęła. – Raz. Było to... – Urwała, dostrzegł, że nadal ją dręczą wspomnienia ciągnącej się wiecznie nieobecności. Jak tonięcie...

– Tym razem będzie inaczej – mruknął. – Będzie – nigdy dotąd nie doznałaś czegoś podobnego. Ale mimo to będzie ciężko...

– Wiem. – Spojrzała nań ze znużonym, pełnym smutku uśmiechem. – Już koniec? – Wstała z leżanki. – Dopilnuję wszystkiego – znowu odwróciła wzrok, nagle coś ją zaprzętnęło. Przez chwilę patrzyła na Tammisa, potem w milczeniu wyszła z pokoju.

Moon weszła do komnaty będącej w pałacu światem męża, nim wyruszył na Ondinee... do Krainy Śmierci. Poruszała się powoli, przyglądając się każdemu szczegółowi wnętrza... badanym materiałom, sprowadzonym urządzeniom elektronicznym, prowizorycznemu łóżku, do którego siebie wygnał, gdy go odepchnęła. Nigdy nie pozwalał służbie wchodzić do gabinetu; podobnie ona, odkąd tylko zniknął.

Usiadła na skraju jego pryczy, wzięła pogniecioną koszulę, którą beztrzesko rzucił na pościel. Przyciskała ją do twarzy, czując znajomy zapach skóry, aż ujrzała w myślach, jak leży obok niego w słodkim zapomnieniu miłości... wspomniała, czym przez tyle lat byli dla siebie. Nawet teraz, wiedząc, co sobie nawzajem zrobili, co odrzucili albo wypuścili z rąk, pamiętała tylko o dobrych rzeczach. Tylko o tym powinna odtąd pamiętać. Bo nie żyje. Nie żyje...

Rzuciła koszulę i wstała z jego łóżka. Przesuwając się po pokoju, minęła komputer, przypomniała sobie, czego dokonał, samotnie i nie doceniany; odkryte przezeń tajemnice pieśni merów, zmiany, jakie wprowadziły jego badania, a za które nikt już nigdy nie zdoła mu podziękować.

Zatrzymała się znowu przed małym stolikiem z wyłamaną przez nią szufladą, przejrzała jej zawartość, była nadal w takim stanie, w jakim zostawiła ją beztrzesko w dniu, kiedy to utraciła jedyne innego mężczyznę, jakiego w życiu kochała. Zobaczyła rzuconą wtedy na podłogę oznakę Braterstwa: symbol Przeglądu z wszelkimi jego odmianami zdrady i podłości – lecz przy tym zawierający również klejnot piękny jak słońce, płonący w środku symbol oświecenia.

Oderwała od niego wzrok, kopnęła nogą w bok. Usiadła przy stoliku, podnosiła kolejno rzeczy leżące na jego wierzchu... drewniany bąk, którym Sparks bawił się w dzieciństwie... kosmyk włosów, jasnych jak mleko, zamknięty w buteleczce z dmuchanego szkła... ozdobny dar miłości, który zrobiła dla niego, gdy po raz pierwszy zaprzysięgli sobie życie... Czemu nikt nigdy ich nie uprzedził, jak bardzo dłużyć się będą lata... jak wszystko się skończy, bez ostrzeżenia? Pod koszulą, blisko serca, przypięła małą, wyszywaną sakiewkę, którą Sparks zawsze nosił w młodości. Rękawem wytarła wilgoć z twarzy.

Z suchymi już oczyma wstała i wyszła z komnaty – czekał na nią umysł sybilli, a jej życie przestało być jej.

TIAMAT: Krwawnik

Moon weszła wraz z synem i Reede'em Kullervo do czekającego pod skrajem Otchłani pojazdu transportowego. W ostatniej chwili popatrzyła na Jeruszę, jak zawsze przyglądającą się im z góry. Dostrzegła w jej oczach wspomnienia dręczące z równą siłą, co obrazy prześladowające ją samą w pałacu. Jerushy powiedziała jedynie to, iż Reede sądzi, że znajdzie sposób na przywrócenie do życia milczącego serca miasta, da im ważny atut w wojnie nerwów z pozaziemcami... tylko tyle mogła zdradzić, ale zdawało się to wystarczać.

– Bogowie – Pani – niech będą z wami – mruknęła Jerusha. Zerknęła na błądą, zwróconą w górę twarz Tammisa, jego oczy zmroczyły od wspomnień. Popatrzyła na Reede'a, jej troska przeszła nagle w zaniepokojenie, skrzywiła usta.

– Może nas długo nie być – powiedziała Moon. – Nawet kilka godzin. Nie będziemy też mogli się z wami z dołu łączyć.

– Zaczekam – stwierdziła Jerusha. – Ile będzie trzeba. – Mocno chwyciła rękę Moon, jakby chcąc przekazać jej własne siły ducha, nim Królowa zacznie opadać w głąb.

Moon obserwowała światełka aparatów, niby klejnoty porozrzucane na otaczających ją ciemnych powierzchniach urządzeń. Zgodnie z przewidywaniami Reede'a migotało ich coraz więcej. Nad głowami stojących w pojeździe ludzi zamknął się luk. Widoczne przez wielkie okno ściany Otchłani były ciemne i martwe, nie zdradzały żadnego śladu działania. Reede mimo to wraz z Tammisem tkwił przed szybą, patrzył w dół, obaj przyglądali się w równym milczeniu i przejęciu.

Moon wsunęła się między nich, przytrzymała barierki przy tablicy sterowniczej, gdy winda zaczęła się spiralnie opuszczać w głąb studni. Patrząc jak oni, nie dostrzegała całkowitej ciemności, lecz czekające na nich, nasilające się wraz z gotowością umysłu zielone światło.

Wypełniła ją płynąca nie wiadomo skąd radość, przypomniała sobie odległą w czasie i przestrzeni wyspę, na której w młodości została przyciągnięta przez podobne światło, usłyszała muzykę niemożliwą do odtworzenia przez żaden instrument, wołającą ją, przyzywającą, kuszącą...

Zerknęła na Tammisa. Od sylwetki ciała odstawały przyrządy przymocowane do skafandra płetwonurka; zapomniany kask zwisał z ręki. Dojrzała na jego twarzy to samo uniesienie, wyczekiwanie, radość... i cień rozpacz, ból nierozzerwalnie związany ze wspomnieniami wyboru, śmierci Miroe, ofiary złożonej w zamian za dar sybilli.

Poczuła, jak mrocznieją i jej wspomnienia: pomyślała o Sparksie... pamiętała, jak próbował iść za nią przez mrok jaskini będącej ich miejscem wyboru, dotrzeć do światła widocznego tylko dla niej. Pamiętała jego twarz, oślepiłą i zrozpaczoną w chwili zrozumienia, że ona została wybrana, a on nie. Błagał, by tam nie szła, chwycił ją, próbował zatrzymać.

Wyrwała mu się jednak, szalejąc z pragnienia, i weszła samotnie w objęcia zachłannego światła, poświęciła mu ich miłość, jego zaufanie, swe serce... Objęła syna ramieniem. Zaskoczony, obrócił się ku niej, zobaczył, co kryje w oczach. Kiwnął głową i przycisnął się mocniej, patrząc znowu na światło.

Moon popatrzyła na stojącego z drugiej strony Reede'a Vanamoinena. Szttywno wyprostowany, całą uwagę obsesyjnie skupiał na tym, co leżało w dole. Zupełnie inna była twarz mężczyzny, do którego należało ciało, niedobrowolnego nosiciela umysłu zmarłego przed tysiącem lat, wypełniała ją bezsilna rezygnacja. Reede był trochę tylko starszy od jej syna, miał w sobie pewną dzikość, jakby nigdy w życiu nie zaznał spokoju.

Poczuła nagłe głębokie współczucie dla obu tkwiących w nim mężczyzn, większe jednakże dla Reede'a Kullervo, którego wpatrzone, rozszerzone oczy na pewno widziały tylko ciemność. W

przeciwieństwie do Vanamoinena nie był sybillą. Ile pojmował z tego, co się działo, ile z jego strachu docierało do

Vanamoinena... gdzie kończył się jeden i zaczynał drugi? Który kochał jej córkę – a może obaj?

Odwrociła się od niego, popatrzyła na rosnący wokoło blask, poczuła narastający nacisk na jej umysł. Zamknęła oczy, lecz nadal to widziała, słyszała. Przenikało przez nią jak promienie słoneczne przez szybę okna. Rozświetlało ją od środka, tłumilo wszystkie inne myśli, troski, uczucia; wzywało do porzucenia znanego jej świata, roztopienia się w przywołującym cudzie. Nie bała się ani nie wahała; szła chętnie, wyczekiwała połączenia z nieznanym, całe życie przygotowywała się do tego...

Uprzytomniła sobie, że przestali opadać; że Reede coś do niej mówi. Zebrała myśli, jak ktoś przyłapano, dostrzegła w jego oczach przelotny błysk zrozumienia.

– Pani... – powtórzył niepewnym głosem – już czas. Wsiadamy ... schodzimy. – Wytarł rękawem spoconą twarz. – Musisz musisz...

Tak. – Miała wrażenie, że widzi ich obu poprzez zamknięte powieki, że jej ciało stało się przezroczyste, ulotne, pochłaniane przez promieniowanie od wewnątrz. – Wiem, co robić – powiedziała spokojnie. – Tammisie... – Wyciągnęła rękę, złapała go, gdy zaczął nakładać kask. – Bądź ostrożny. Pytaj, gdy będziesz mnie potrzebował, a odpowiem. – Wypowiedziała obrzędową obietnicę, ujrzała, jak z jego oczu znika wątpliwość.

Kiwnął głową, zobaczyła, jak odchodzi, jak daje się porwać syreniemu śpiewowi żyjącej wokół nich mocy.

– Do widzenia, mamó – szepnął i nałożył hełm na głowę.

– Będę z tobą – powiedziała, pocieszając i jego, i siebie. Obróciła się do Reede'a. – Będę z tobą – powtórzyła człowiekowi, który patrzył na nią oczyma jednocześnie starymi jak świat i ślepyimi jak u niewidomego. Kullervo odwrócił od niej wzrok, bez słowa nasadził swój kask, poruszał się gwałtownie i niepewnie.

W ścianie za nimi ział otwór, do którego nikt przedtem nie wszedł. Reede ruszył pierwszy, za nim Tammis. Przekraczając wejście, obejrzał się za siebie.

– Kocham cię – powiedziała, ale w nie wiedziała, czy ją usłyszał.

Wróciła do okna, spojrzała w dół. Pod nią, pod ostatnią platformą pojazdu, było morze. Zobaczyła, jak wzdyma powierzchnię pod wpływem niewidocznego przypływu. Wodzie wrażenie życia dawała dziwna fosforescencja, zielone lśnienie, nienaturalny, hipnotyczny taniec fal. Czowała je teraz, dolatywał ją ostry, przenikliwy zapach oceanu, smak szmaragdowego światła... Widziała opuszczające się dwie postacie, schodzące powoli, jakby po ukrytych stopniach czy jedynie przypadkowych rysach w ścianie maszyny.

Zobaczyła, jak Tammis puszcza się i spada w czekającą wodę, wyłania się z niej. Vanamoinen – Reede – ciągle wisiał jak mucha, trzymając się niepewnego uchwytu na ścianie; w końcu runął jak kamień w fosforyzujące morze. Nie pojawił się więcej, również głowa Tammisa zniknęła pod powierzchnią.

Stała jeszcze chwilę, patrząc na taflę wody, jej ciągłej zmienności nie naruszała teraz żadna nieproszona postać człowieka. Trzymając się kurczowo skraju tablicy, spróbowała znowu zamknąć oczy, uprzytomniła sobie, że zrobiła to już, tkwiąc nad krawędzią tego, co czekało tylko na nią, że nadeszła pora, by poszła...

– Wejście – szepnęła, poczuła, jak jej ciało wpada w mrok Przekazu, w morze znacznie dziwniejsze niż leżące w dole... niż wszelkie znane jej w życiu...

Ciemność przeszła w światło-muzykę, symfonię zmysłów tak się mającą do doznawanych przez nią dotąd, jak blask słońca do płomienia świecy. Ich natężenie poszerzyło znacznie świadomość.

Była wszystkimi barwami światła, jej umysł siecią pełną kroci pereł zrodzonych w grzbiecie nieskończonej fali... była falą, wznoszącą się i opadającą w ruchu wiecznie bez pędu, płynącą i zawijającą się w samą siebie, przybierającą barwy, dla których brakuje nazw; była nurtem lodu, bałwanami płynnego kryształu, aksamitnie gładkiego, niby ciało czy kolorowe klejnoty, wypolerowanego, doskonałego, ściekającego jak łzy...

Wiedziała teraz, iż jako sybilla, jedynie wchodząc w ową inną przestrzeń, zjawiała się w niej ślepa, dostrzegała tylko mrok. Gdy wezwana przez BZ zagłębiła się bardziej w jej skryte serce, gdy wzniosła się na strzeżone przez Przegląd wyższe poziomy świadomości, wówczas oczyma duszy widziała nadal wyłącznie złote odblaski rzucane przez jej nieskończone powierzchnie. Teraz jednak wszystkie lustra zostały strzaskane, opadły wszystkie, umysłowe i fizyczne, zasłony czasu i przestrzeni, znalazła się w środku niemożliwego. Istniała wewnątrz. Była.

...w miejscu poza czasoprzestrzenią, obok, a nawet w niej, miała stąd dostęp do wszystkich epok i miejsc, czas był tu nie rzeką, lecz morzem. A Ona jest umysłem sybilli, płonąca świadomością jądra, ogniskiem skupiającym, rośliną oplatającą czas, skrytą pod morzem i skałą maleńkiej, leżącej na uboczu planety: sztuczną inteligencją przechowującą Jej tożsamość i całą wiedzę ludzkości zaprogramowaną w swych techno-wirusowych komórkach. To zakotwiczało ją w mijających nieszczęsnych żywotach stworzeń będących zarówno jej przodkami, jak i potomkami... mózg rozpadał się, ponieważ to Jej dzieci właśnie, w krótkowzroczności swego ograniczonego czasem istnienia, zerowały na Niej, niszczyły jedyną rzecz łączącą Ją z ich wszechświatem.

Jej system nerwowy – przenikające wszystko blaskiem sieci cząsteczek, fal, czujników i odbiorników myślącego ciała sięgał wypustkami poprzez głębie zamieszkaną przez ludzi galaktyki, słuchał, odpowiadał na pytania i spełniał oczekiwania niezliczonych proszących; zawsze, poprzez dobrowolną służbę sybilli, szukał sposobów powstrzymywania walk, zwiększania porozumienia.

Lecz niszczyła Jej zdolność odpowiadania, ludzie w swej żądzy grabieży zrywali kolejne pasma Jej pamięci. Zakłócenia Jej procesów, pojawiające się niszczące mutacje, sprawiały, że Jej, zawsze pośrednie, związki z życiem śmiertelników stawały się jeszcze bardziej kruche i nieprzewidywalne. Jeśli upadek nie zostanie odwrócony, stanie się tak głęboki, iż nawet Ona zapomni o powodzie swego istnienia, przestanie działać na wspólnej z nimi płaszczyźnie czasoprzestrzeni.

A gdy do tego dojdzie, chaos i cierpienia zostawione przez Nią będą straszliwe i dalekosiężne. Rozpadnie się zawierający jej podstawową pamięć węzeł sprytmaterii, niszcząc przy tym pradawne miasto Krwawnik. Ziemia wokół niego stanie się wrzącą, śmiertelną raną przekształconej materii, wypaczonej rzeczywistości, niewielki, nadający się do zamieszkania skrawek Tiamat zmieni się w pustkowię, z którego nikt nie wyjdzie żywy. Nawet miejsca wyboru, istniejące na wszystkich planetach, staną się oddzielnymi ropiejącymi wrzodami, dziedzictwo Starego Imperium będzie jego przekleństwem, sięgającym przez czas, by zakazić rozkładem wyrosłe z niego cywilizacje. Oszaleją i zgina wszystkie żyjące sybille, gdy tylko wyrodi się istniejący w ich ciałach technowirus...

Dlatego też skorzystała z powstałej w Sobie wolnej woli, użyła posiadanych możliwości i wpływów, spróbowała stworzyć żywe, oddychające narzędzia mające Ją uratować. Na wietrze wymiernego czasu rozsiała ziarna Swej duszy, czuwała nad ich rośnięciem i owocowaniem, rozsadzała wszelkimi dostępnymi Jej sposobami. To z myślą o tej chwili wykorzystywała całą Swą malejącą energię. Obudziła wcielenie Vanamoinena, przywiodła je tutaj, dała mu uzdrawiające ręce i chętne umysły, jakie w tym celu stworzyła... Zrobiła wszystko, co było w Jej mocy. Jeśli zawiodą, nastąpi kres jej związków z nimi, kres ich zdolności; kres umysłu sybilli.

Nadeszła właściwa pora, jedyna, w której Jej niszczyciele mogą się znowu stać uzdrawiaczami, dać wydobyte ze śmierci życie. Skupiła się, wolą nieuniknioną jak siły ciężenia zebrała rozproszone

pyłki Jej świadomości; posłała je w fizyczną matrycę Jej rdzenia, nigdy nie spoczywającą obecność plazmy sprytmaterii. Poczła wrzący żar przypadkowych, rozgorączkowanych majaczeń, powodujących coraz więcej błędnych wskazówek i błędów w obwodach sieci; ujrzała rozchodzącą się chorobę wynaturzenia, która pozostawała nie wykryta, albowiem mery nie potrafiły snuć pieśni, zamykać równania. Wszystko to dostrzegała Ona, wiedziała o tym, zostawała tym... a teraz czekała, aby to zmienili.

Reede opadał w czarnej wodzie, wciągany przez bezlitosne, skryte prądy zagłębiał się coraz bardziej, w uszach ciągle rozbrzmiewał mu własny krzyk, powstały w chwili, gdy stracił uchwyt i runął do morza. Uderzenie o powierzchnię o mało go nie zgubiło, teraz jednak, po znalezieniu się już w objęciach wody, poczuł niemal spokój, jakby przerażenie przeszło w doznanie o natężeniu wykraczającym poza wszelkie znane mu skale.

Lampa na hełmie pokazała mu czarne, bezkształtne ściany studni, opadającą w jej świetle postać Tammisa Dawntreadera, dostrzegał niekiedy jego lampę. Było inne jeszcze światło, nieopisywalne, bardziej wyczuwane niż widziane: dziwne promieniowanie odczuwane przez mózg bez udziału oczu. Ono to dobiegało go przedtem z Otchłani, dopiero teraz zrozumiał, że wcale go nie widział. Zobaczył go wzrok tego Drugiego – Vanamoinena o oczach sybilli, odsłaniających mu większą skalę pokonywanej przez nich przestrzeni.

Prąd wody skręcił nagle, zachwiał nim, wciągnął w dół i po chwili bezładnej paniki skierował w inną stronę. Uspokoił się, pozwolił się nieść, oszczędzając malejące siły. Wszystko w porządku, stwierdził Drugi w nim; tak powinno być.

– Co się stało? – zaskoczył go rozlegający się w słuchawkach kasku głos Tammisa.

– Dostaliśmy się do obwodu. – Posłusznie, jak przystało na marionetkę, którą był, wypowiedział słowa włożone mu w usta przez wiedzę kogoś innego. Nie miał już żadnych złudzeń. Dowiedział się wreszcie, dlaczego żyje nadal, choć tak bardzo nienawidził swego życia, tak szaleńczo chciał je zakończyć. Wiedział, czyja obsesja zmuszała go przetrwania, czekania na przybycie w to właśnie miejsce, w tym właśnie kluczowym momencie. Wiedział nareszcie dlaczego... – To tunel doprowadzający wody morza do jaskiń pod miastem.

– Jakich jaskiń? – zapytał brzęmiący niesamowicie w uszach głos Tammisa.

– Wydrążyliśmy je w skałach pod miejscem, na którym wzniesiliśmy Krwawnik. Spójrz tam... – wskazał światłem na hełmie, wyłuskał lampą coś majaczącego w przedzie, połysk stoku, gładki blask ceramiki – strzeliste blanki obcego, podmorskiego miasta o niewyobrażalnej wysokości i rozległości, niepojętym celu. – To turbiny... – zaklął, zaskoczony jakimś mignięciem w rzucanych przez nich światłach, to coś wróciło, przepłynęło obok twarzy z ciekawskim pośpiechem.

Mer. Dwa, trzy – już wypływały. Zastanawiał się, ile już opuściło wnętrze, uważając, iż zakończyły swój udział w niepełnym obrzędzie.

– Musimy się pośpieszyć – powiedział. – Inaczej znikną, nim do nich dotrzemy. Turbiny włączają się wraz z początkiem odpływu. Wszystkie mery, które się do tego czasu nie wydostaną, będą już na zawsze zamknięte w środku lub zginą w próbach ucieczki.

– I wszyscy ludzie? – zapytał Tammis.

Reede obejrzał się, przez wzornik kasku zobaczył oświetloną lampą bladą twarz chłopca. – I wszyscy ludzie – odpowiedział, patrząc znowu przed siebie. Zmusił bolące ciało, by poruszało się szybciej, poczuł, jak woda śmierci karze go za ten wysiłek. Oczy zalał mu pot, usunął go mruganiem i nakazał urządzeniom skafandra, by obniżyły temperaturę wewnątrz, chłodząc rozgorączkowane mięśnie, głuszac sięgający do szpiku kości ból rozpadu.

Zbliżyli się do szczeliny między łopatkami turbin, posuwali się szybciej wraz z nabierającym

prędkości podwodnym prądem. Po minięciu wąskiego przejścia Reede obejrzał się do tyłu; poczuł, jak umysł paraliżuje mu widok rzędów nagich ostrzy – mieczy katowskich, przeznaczonych do zniszczenia skazanych, widok klaustrofobicznej ciemności miejsca, którego wysokość i głębokość przypominają piekło... krew, ból, śmierć w wodzie...

Fala przerażenia przebiła się przez zapory opanowania, zrozumiał nagle, że wie, zawsze wiedział, jaki los spotka go po ostatecznym uzyskaniu odpowiedzi na pytanie o własne istnienie... śmierć w wodzie... utonięcie... Tonął w strachu... w zielonym świetle, które nagle wypełniło go całkowicie, gdy Drugi odpowiedział na jego zew z siłą, której jego lęk, panika, a nawet świadomość, nie potrafiły się dłużej przeciwstawiać...

Jest Vanamoinenem, gdzieś w głębi siebie usłyszał, jak krzyk rozpaczony tego drugiego zacicha do szumu, gdy Reede Kullervo zniknął w głębiach jego własnego umysłu. Był całkowicie wolny, panował nad sobą w pełni, stało się to po raz pierwszy, odkąd ocknął się w więzieniu ciała dzielonego z udręczonym obcym. Ciężkie lata przebyte w roli milczącego jeńca Kullervo stały się koszmarem... lecz mimo to wiedział, że toczona przez niego walka o przetrwanie okazała się w końcu dla Reede'a znacznie bardziej okrutna i zdradziecka, aniżeli los, jaką ten sam sobie gotował.

Vanamoinen poczuł wyrzuty sumienia i współczucie dla człowieka, wbrew jego woli wybranego przez przeznaczenie na ofiarę, złożoną dla większego dobra. Nie mógł jednak sobie pozwolić na odczuwanie lęków Kullervo czy nawet swoich własnych, przeszkadzały w uczynieniu tego, co musi zrobić; inaczej okazałoby się, że życie i śmierć ich obu poszły na marne.

Byli już za turbinami, otwały się przed nimi podmorskie jaskinie, ich poświata zapewniała doskonałą widoczność, Wszędzie wokół widział pływające mery, ich ciała pokrywały plamy blasku i cienia. Ich żywiołowe ruchy w płynnej grawitacji komory były jak ucieleśnienie radości i namiętności. Nakazał hełmowi włączenie mikrofonów zewnętrznych; głowę wypełniły mu oszałamiające głosy pieśni merów, dopełniły widoku. – Na wszystkich... – szepnął, gdy nareszcie uzyskał spełnienie, odmawiane mu przez czas setki żywotów.

Słyszał niezliczone odmiany powtarzających się tematów: każda kolonia śpiewała oddzielne fragmenty pieśni wznoszącej się i opadającej, wzdychającej. Dźwięczące echo rozbrzmiewało chórem, który wydawał się, pomimo piękna łamiącego serce, być równie bezładny co ruchy merów. A jednak ich poruszenia nie były całkowicie przypadkowe, tworzyły liczne włókna splatające się w kruchą sieć, wzór dostrzegalny dla umysłu o wrodzonej zdolności śledzenia go, wyćwiczonego w rozplątywaniu tajemnic logiki; podobnie rozświetlające tę komorę promieniowanie jądra sybilli widoczne było jedynie dla zmysłów zmienionych przez wirus sybilli albo wodę śmierci.

Mimo to, słuchając cząstką umysłu, która zawsze, niemal mistycznie, dostrzegała ład w chaosie, skrywający się w przypadku porządek, wyczuwał milczenie zagubionych pieśni, wychwytywał ich pasma rwące się nieodwołalnie wraz z wyginięciem całych kolonii merów. Współbrzmienie tych pieśni, chronionych i dzielonych, przekazywanych przez tysiąclecia, miało na celu przenoszenie do sprytmaterii jądra sybilli ciągu ułożonych hierarchicznie przekazów, umożliwiających jej wprowadzanie poprawek i zmian do swych systemów.

Było tak, ponieważ wiedział, że przy ulotności na wpół rozumnego umysłu sybilli i złożoności jego funkcji, nieuniknione będzie zbaczanie z drogi i popełnianie błędów. Dlatego właśnie zbudował system jednoczący zamknięte w sobie urządzenia komputera oraz stworzone drogą bioinżynierii żywe istoty – mery. Wziął dwa podatne na zepsucie układy, jeden zaprojektowany z myślą o uzyskaniu najwyższej giętkości funkcji, drugi największej ich stałości, sprzęgł razem. Wypełniała go duma czysta jak światło: nigdy przedtem nie istniało nic, co zakresem czy działaniem przypominałoby taki system – dopiero on tego dokonał. Nadał mu życie...

Celem obu układów była współpraca dla stworzenia całości całkowicie niemal odpornej na błędy, jej długotrwałą niezawodność zapewniała zdolność części do wzajemnego naprawiania. Komputerowi dał mery, by go kontrolowały i poprawiały w razie zboczenia z wyznaczonej drogi; merom dał owo zgromadzenie, podczas którego jądro komputera mogło kontrolować i poprawiać oprogramowanie wody życia, dające im trwałość i możliwość dostosowywania się do zmian otoczenia... wynagradzać jednocześnie darem utajonej płodności... ofiarowywanym poprzez nakładanie się promieniowania rozświetlającego wodę. Dawanie i branie, dzielenie się życiodajnymi podarunkami. Ale jego starannie ułożone plany obracały się wniwecz, bo w końcu, podobnie jak ukochany przezeń Ilmarinen, był tylko człowiekiem...

Dlatego obecnie, obudzony po wiekach niepamięci, sztuczny twór jego samego (choć teraz, zamknięty w cierpiącym więzieniu ciała, czuł swe życie znacznie realniej aniżeli wówczas, gdy istniał naprawdę), musi wszystko naprawić, tylko on jest w stanie tego dokonać.

– Są wspaniałe... – mruknął obok Tammis. – Nigdy dotąd nie widziałem ich takimi, nie słyszałem, by wszystkie śpiewały naraz...

– Nikt nie słyszał – powiedział Vanamoinen miękko. – Nigdy. Musisz teraz śpiewać wraz z nimi – odtwórz zapisy uzupełnionych pieśni, pływaj wśród nich. Jeśli usłyszą nową pieśń, to się jej nauczą – zrozumieją, że czegoś brakowało. Ja sprawdzę funkcjonowanie komputera. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, swoimi działaniami pomożesz w przestrajaniu. Ja też muszę się w to włączyć, bo zejście z kursu jest poważne, a pozostało nam mało czasu. Gdy cię zawołam, przyplyniesz do mnie.

Tammis przytaknął. – Gdzie jest... komputer? – zapytał, rozglądając się wokół, głos załamał mu się nagle, gdy pojął wielkość powierzonej mu wiedzy. – Nie widzę żadnych urządzeń.

– Jest wszędzie wokół ciebie. – Vanamoinen zatoczył ręką, uniósł głowę, pozwolił promieniowaniu wypełnić oczy. – Techno-wirusowa "tkanka mózgowa" została wbudowana w skały ścian jaskini. – Tammis spojrział na niego z mieszaniną niedowierzania i zdumienia. Vanamoinen z uśmiechem dotknął ramienia chłopca. – Rób swoje. To wszystko. – Wskazał balet merów, ich muzyka ponownie zalała mu głowę niby nurt słodkiej wody. Tammis odsunął się, obejrzał raz za siebie, nim zniknął wewnątrz tańca.

Vanamoinen zawrócił, przez pałające wnętrza ogromnej jaskini popłynął w stronę nie wyróżniającego się niczym wybrzuszenia żłobionej ściany, ku czekającym na niego połączeniom kontrolnym.

Odnalazł je, rozpoznał właściwy kształt kamienia z wizji, którą zapamiętał dopiero wczoraj, ponad dwa tysiąclecia temu. Ściągnął grube rękawice, poczuł, jak zimna woda całuje nagie ciało, próbuje się wdrzeć w zaciśnięte na przegubach rękawy skafandra. Przesuwał dłońmi po ścianie, macał jak niewidomy, aż niespodziewanie natrafił na urządzenie łączące z komputerem, maszyna zareagowała: elektroniczne bodźce wtargnęły w jego ręce, ciało i mózg. Sapnął, nieomal zerwał połączenie, gdy wstrząs niby płynny ogień spalił jego wyrodnijące synapsy.

Wysiłkiem woli utrzymał dłonie na miejscu, zaczekał, aż urządzenie potwierdzi jego tożsamość na podstawie zapamiętanego wzorca fal mózgowych. Przed oczyma ujrział nagle zalew danych, oślepiały wzrok jego mózgu, podczas gdy opadały systemy zabezpieczające komputera, pozwalając mu na dostęp do systemu operacyjnego zaprojektowanego przezeń wspólnie z Ilmarinenem. Ilmarinen. Gdy spoglądał w głąb czasu oddzielającego go od życia i śmierci towarzysza, i własnego, niespodziewanie ogarnęło go przytłaczające poczucie osamotnienia, straty i niepełności. Wmawiał sobie z pasją, że owe doznania są tylko widmami, wspomnieniami rozpacz, że dla jego zadania są niepotrzebne, a nawet gorzej – niebezpieczne. Nie miał litości dla cierpień Reede'a Kullervo, nie może mieć jej dla swoich. Musi mu się udać.

Skupił się na danych wypełniających mu umysł; wyzbył się całkowicie wszelkich uczuć, pozostał w nim jedynie smutek konstruktora układu, odkrywającego, że jest swym największym wrogiem. Badał, sprawdzał, porównywał; przełączył swój mózg na odmienny tryb funkcjonowania, w którym nie istniało nic poza czystością wzorców; skierował umysł w ostateczną rzeczywistość połączeń, procesorów i algorytmów – powszechników nie tkniętych przez pływy i nurty czasu, ludzką słabość czy niestałość sztucznej inteligencji nie do końca wiernej jednemu określone miejscu czy czasowi w jednym określonym wszechświecie. Zbierał dane, przetwarzał pracowicie skromnymi możliwościami ludzkiego mózgu; cieszył się, że Kullervo miał wrodzony talent myślenia matematycznego, co umożliwiało dokonywanie tego, co robił, lecz jednocześnie przeklinał jego opanowane przez narkotyk zawodzące ciało.

Mijały godziny w nieuniknienie ograniczonej czasem teraźniejszości, nie przenikały do osobliwości zawierającej umysł sybilli, podczas gdy Vanamoinen kończył pomiary tempa jego zsuwania się w kosmiczne morze. Pomyślał o plazmie napędu gwiazdnej leżącej w sercu Końca Świata, przypomniał sobie, co jej zapadnięcie się w przypadkowość uczyniło z otaczającym terenem; jak zakończył jej cierpienia – on i Gundhalinu.

Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że ktoś pokroju Gundhalinu mógłby utracić wszystko, wystąpić przeciwko własnym rodakom i czczonej przez siebie zasadzie ładu... i wszystko to dla miłości – miłości do Królowej Lata i miłości dla większego dobra. Ilmarinen, pomyślał znowu, nie zdołał się powstrzymać. To miłość i współczucie Ilmarinena doprowadziły do powstania tego systemu. Bez jego wizji nigdy by nie uświadomił sobie takiej konieczności. Był zawsze człowiekiem systematycznym, lepiej radzącym sobie z maszynami niż z ludźmi, zagubionym w labiryntach rozważań teoretycznych. Dopiero nieodparte człowieczeństwo Ilmarinena wyciągnęło go z kryjówek myśli, uczyniło prawdziwym człowiekiem. Byli przyciągającymi się przeciwnościami, suma ich połączonych istnień była doskonalsza od oddzielnych składników.

Nad Ognistym Jeziorem nie miał przy sobie Ilmarinena ale miał Gundhalinu. Zrozumiał teraz, iż umysł sybilli dostrzegł w nim głębie, na które obłąd Kullervo był zawsze ślepy. Pojął także, iż Gundhalinu, widziany tylko oczyma Reede'a, zawsze go pociągał i budził załazki tęsknoty. Dostrzegał w nim zawsze coś ze skrytego ognia Ilmarinena. Obecność BZ uspokajała go i pocieszała – dziwne, że dotyczyło to także Kullervo – nawet pomimo podejrzliwości i obaw Reede'a.

Zastanawiał się, gdzie Gundhalinu jest teraz, co Przegląd dla niego zrobi; jak pamiętana przezeń organizacja przeistoczyła się w plątaninę oszustw i kłamstw... Lecz pomimo wszystkich jej odłamów, z których każdy dążył do osobnego celu, Wielka Gra doprowadziła go do zamierzonego przeznaczenia. Członkowie Przeglądu przysięgali służyć i chronić sieć sybilli... pojął, że z punktu widzenia umysłu sybilli wypełniali swe obowiązki. Ludzkie pojmowanie dobra i zła stało się na tym poziomie nieważne. Bractwo i Złoty Środek widziały się nawzajem jako przeciwstawne moce, wcielające Chaos i Ład, lecz ich rzeczywiste postacie były znacznie bardziej ograniczone, złożone i mylnie siebie widzące, niż kiedykolwiek im się zdawało. Podążały odmiennymi drogami, prowadzącymi ku temu samemu przeznaczeniu. Dla wybranych przez umysł sybilli narzędzi szlaki te były długie i ciężkie, bez względu na wybór, który je na nie sprowadził...

Nagle poczuł zalew bólu. Cierpienie przeszło jego umysł, zmusiło do zrozumienia, że wypełniają go nie tylko żale czy wspomnienia, że nie one powodują drżenie i kurcze rąk, pocenie się ciała. – Tammisie! – zawołał, oglądając się na mery.

W końcu, jakby po upływie wieczności, ujrzał zbliżającego się przez ruchomą chmurę ciał Tammisa, ciągle trzymającego urządzenie zapisujące. Na twarzy chłopca widział powagę i radość; dostrzegł, jak uczucia te minęły na widok jego własnego oblicza. Dopiero z opóźnieniem zauważył

towarzyszącego mu mera. Rozpoznał Silky, towarzyszkę Ariele, poczuł nagłą falę ulgi, że ocalała z łowów Sinych.

– Daj jej zapisywacz – powiedział Tammisowi, nie zwracając uwagi na minę chłopca i brzmienie swego głosu. – Odeślij.

Tammis wykonał polecenie, odpiął pas z urządzeniem zapisującym i umocował go wokół szyi mera. Vanamoinen odprawił Silky z ostrym pośpiechem, patrzył, jak opada w głębinę, zerkając na nich smutnym, ciekawym wzrokiem.

– Pora, byś wszedł w Przekaz – powiedział Tammisowi. – Zamierzam dać systemowi sztucznej inteligencji materiał, jakiego potrzebuję dla wykonania przestrojenia. Przy odrobinie szczęścia mery pozostaną tutaj dostatecznie długo. Może to trochę potrwać; czy byłeś kiedyś w Przekazie rozszerzonym?

Tammis pokręcił głową. – Ale jestem gotowy. – Oczy pałały mu pewnością siebie, nieugiętym optymizmem młodości.

Vanamoinen ponownie pomyślał o Ilmarinenie; o miłości Gundhalinu do Moon Dawntreader... ich córce, którą kochał, ich synu, tkwiącym przed nim: silnym, przystojnym chłopcu mającym przed sobą całe życie, żonę, dziecko w drodze, wszystko, dla czego warto żyć... Przypomniał sobie Mede, którą Ilmarinen kochał, nim oni się spotkali. Mieli swoje dzieci, dawało im to poczucie ciągłości. Zazdrościł mu tego; zawsze żałował, że nigdy nie dorobił się swoich potomków. Twymi dziećmi są mery, powiedział kiedyś Ilmarinen. Każda sybilla będzie twym synem czy córką. Ale to nie było to samo. Nagle, bezradnie, pomyślał znowu o Ariele, gorąca tęsknota zalała drżące ciało Reede'a Kullervo; życie wystąpiło do walki ze śmiercią.

Vanamoinen mruganiem usunął pot z oczu, przełknął dławiący mu gardło żal.

– Po wejściu w Przekaz zobaczysz... zobaczysz rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widziałeś. Nie opieraj się temu... pamiętam, że jest tam bardzo pięknie. Pytanie, sybillo...

– Wejście – powiedział Tammis, twarz mu się napięła, wzrok zastygł. Vanamoinen dostrzegł, jak szkła się oczy chłopca, jak wpada on w Przekaz po samodzielnym wypowiedzeniu słów, które dawały mu dostęp do innej rzeczywistości sztucznej inteligencji, przesączonej przez postrzeganie Moon Dawntreader.

Tammis okręcił się i zaczął bezwładnie unosić w wodzie, gdy tylko oba umysły wymieszały się w jego ciele, pozostawiając je bezradnym. Vanamoinen wyciągnął rękę, złapał go za przód skafandra, wepchnął w szczelinę ściany, tak iż nie mógł się wyrwać z objęć skały. Zdrętwiała z zimna, niemal nieczułą dłoń przycisnął znowu do styków połączeń, wpatrywał się w oczy Tammisa, w których dostrzegł niespodziewanie kogoś/coś innego, patrzącego na niego.

– Moon Dawntreader? – zapytał cicho po tiamatańsku.

– Tak – odpowiedziała głosem syna.

Zapytał ponownie, tym razem we własnym języku, usłyszał zgłaszającą się inną obecność. Gdy się upewnił, że obie mogą mu odpowiadać, zaczął poprzez połączenie wprowadzać do wzorca instrukcje poprawiające system. Robił teraz, precyzyjnie, choć okrężnie, to samo, co w bezpośredni, przybliżony sposób uczynił Gundhalinu, zarażając Ogniste Jezioro: zapoczątkował niezmiernie pracowity proces leczenia.

Moon poczuła, jak Jej skupiona uwaga przesuwa się i zbacza, odpowiadając na wejście Vanamoinena, które przeszło leniwie płynący nurt Jej świadomości jak płonący wiatr. Otaczające Ją wzorce zmieniły się lekko, ponownie, niby barwy podlegające dyfrakcji w powoli obracającym pryzmacie.

Poczuła pragnienie uchwycenia Jej, by ścisnąć Jej skupienie, wybrać jedną pałającą perłę

spośród milionów klejnotów będących Jej oczyma, dotrzeć poprzez jej powierzchnię do dziury w czasoprzestrzeni prowadzącej Ją do umysłu jej syna. Popatrzyła jego oczyma, przyglądała się działaniom Reede'abędącego Vanamoinenem, odpowiadała na jego pytania, zmuszała się do opisywania zmian w niepojętym dla niej przepływie, przemawiała do niego w języku, jakiego nie знаła.

Gdy tylko Ona opisała nieopisywalne i roztopiła się w nurcie, Moon ponownie osiągnęła nieskończoność, spojrzała na najdalsze kresy Starego Imperium, dotknęła przypadkowych kamieni otwierających umysły sybilli na wszystkich światach, na których nadal istniały, po wielokroć przewyższających liczbą znane jej planety. Dostrzegła pół tysiąca światów, pół miliona żyjących na nich sybilli; znała ich tożsamości, dostęp do specjalistycznej wiedzy powiększającej zasób danych zawarty w Jej pamięci. Poznała przeszłość, teraźniejszość, przyszłość ich wszystkich – lecz mimo to nie mogła Ona nadać imienia żadnemu działaniu, kierunku żadnemu ruchowi, wiedziała, że wszystkie są jednym, tkwią w tym miejscu, są Jej częścią, podobnie jak Ona jest nimi wszystkimi... Jej istnienie zwijało się w siebie, łączyło sybille w sposób nie mający znaczenia dla spętanych czasem śmiertelnych umysłów.

Jej własne istnienie wydawało się beczasowym, takim jakim zawsze było Jej, rozciągniętym w nieskończoność, skupionym w ciasną przestrzeń ukrytego wzorca, gdzie zmieniał się na wpół żywy system, przekształcał swą postrzegawczą budowę, przeistaczał się wokół Niej, w Niej, tak iż gdy tylko wracała do siebie, spoglądała oczyma syna na działania Vanamoinena, to za każdym razem widziała wyraźniej...

Moon wreszcie ujrzała go doskonale na tle poruszających się jak akwarelowy obraz merów: jego udręczoną twarz, zrozpaczone oczy, lśniące w triumfie przypominającym blask szaleństwa.

– Idź wolna... – powiedział jej po tiamatańsku, potem w swoim języku, uniósł ręce, jakby była wodnym duchem, a on wyspiarskim magiem.

Moon poczuła, że wraca w wszechobecną muzykę światła, w serce czasu, dokąd dopuściła ją przekształcona moc umysłu sybilli; czuła, że staje się jedna z czasem, doznaje Jej potęgi, Jej wolności, całkowitej ostrości Jej widzenia, Jej zmysłu wyższego porządku. Mimo to czuła się związana czasem, związana obowiązkiem nakazującym jej wrócić do własnego ciała, własnej przemijającej postaci... zostać znowu śmiertelniczką otoczoną wrogami, nie mającą broni do pobicia ich.

Z niewyobrażalnej wysokości popatrzyła na swe ciało, dostrzegła wreszcie wyraźnie charakter wybranego przez Nią narzędzia, dotknęła swego istnienia, jakby to Ona bawiła się dziecięcą układanką. Jak Ona zobaczyła wyraźnie rozpacz Jej drugiej, kruchej i samotnej istoty, wypełniającej Ją współczucie. Płynnym ruchem wszechobecnego morza objęła Ona jej umysł; to Ona była wdzięcznością i czułością owego dotyku...

I Moon dostrzegła, jak kwiat rozwierający się w głębi jej duszy, że zawsze była naczyniem Pani, Jej dobrowolną służką, dokładnie tak, jak w tradycjach ludu, których obiecała strzec. Pani istniała, czuwała nad swym wybranym światem, ludzie zamieszkujący jego lądy i morza, chroniący Jej pokój, byli naprawdę Jej ukochanymi dziećmi. I spośród nich wszystkich wybrała Moon Dawntreader na Swe oczy, Swe dłonie, Swego zawodnika; prowadziła ją, polegała na niej, by pomogła Jej w potrzebie. Były jednością, ich potrzeby splatały się razem, było tak od początku jej życia.

I rozumiała, iż w owym przesuwającym się wiecznie teraz są tajemnice, których Ona nigdy nie objawiła zadającym pytania. Nawet najbardziej wewnętrzne kręgi Przeglądu, składające się wyłącznie z sybilli, nazywających siebie Jej sługami i obrońcami, nawet oni nie wiedzieli, gdzie leży krąg ostateczny, komu mogą całkowicie zaufać. Było tak, ponieważ sercem Przeglądu był sam umysł

sybilli, a spośród wszystkich ludzi, żyjących od czasów jego twórców, jedynie Moon Dawntreader zobaczyła go i znalazła się w nim, kobieta mająca siłę i przemyślność sybilli, posiadająca dziedzictwo swego świata, bez żadnych więzów łączących ją z tajemną siatką Przeglądu, który dla chronionego przez siebie systemu stał się zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem.

Oddała życie umysłowi sybilli, pracowała dla niego, robiła wszystko, co w jej mocy, by przynieść mu odrodzenie i zapewnić przetrwanie merom – chętnie, choć nie miała innego wyboru. Nadal mogła tylko czynić tak dalej, ponieważ dostrzegła nagle, że walka ciągle trwa. Rozpadanie się sieci zostało powstrzymane i odwrócone, lecz mery wcale nie były bezpieczne, a bez nich wszystko, co Ona sprawiła, stanie się bez znaczenia. Teraz jednak, w tym miejscu, gdy przez trwającą wieczność chwilę była Nią, posiadała Jej nieskończony umysł, wiedzę nie znaną nawet Przeglądowi; jak Ona wiedziała, że gdzieś tu leży odpowiedź na wszystkie Jej pytania, wszystkie Jej usiłowania.

Przeszukała przestwory galaktyki... sprawdziła wszystkie skupiska lśniących pereł, z których każda była umysłem sybilli, przebadła dalekie światy zamieszkałe nadal przez potomków Starego Imperium. Oglądała mapy gwiazdne, których Ona nie pozwalała udostępniać ludziom, dopóki nie przyswoją sobie lekcji czasu i upadku Starego Imperium; dopóki będą nadal polować na mery. Prowadzona wizją, która była nareszcie dostatecznie wyraźna i dostatecznie ludzka, by zdała sobie sprawę, że sama musi czymś zaryzykować, aby coś zyskać, dostrzegła w końcu, że zawsze posiadała Ona groźby i obietnice wystarczające Jej potrzebom...

Wydostała się na zewnątrz, widząc, jak perły poszczególnych ludzkich umysłów zmieniają się w pianę na grzbiecie stojącej fali... Zagłębiła się w nią, dotknęła umysłu tkwiącego na drugim końcu jednej z owych pępowin lśniącej energii, umysłu KR Aspundtha. Podniosła go w morze światła, zawołała głosem kobiety, którą kiedyś znał:

(KR...)

(Moon...?) Wyczuła oszołomienie i zdziwienie rozchodzące się falą po świetlistym paśmie połączenia. (Co się stało?)

(KR, mam klucz. Klucz do uratowania merów... aby pomóc BZ. Klucz otwierający wszechświat.)

(Na wszystkich mych przodków...) Jego myśli śpiewały światłem. (Co mamy robić?)

(Musisz wziąć ten klucz, obrócić go w zamku Przeglądu. Przejąć ode mnie informację i podzielić się nią z tymi w Wewnętrznych Kręgach, których znasz i którym ufasz. Muszą ją z kolei przekazać Złotemu Środkowi... Powiedz im, że jeśli nie zostaną zaprzestane łowy na merów, przestanie działać sieć sybilli. Trzeba zakończyć ludobójstwo, bo inaczej zginą wszystkie sybille, ulegną zniszczeniu wszystkie miejsca wyboru...)

(To prawda?) pomyślał Aspundth, jego mózg migotał niewiarą. (To niemożliwe...)

(Zdarzające się błędy, zacięcia, zawodność sieci były ostrzeżeniem: dane są tutaj, podobnie jak prawda o merach. Niech je poznają i zobaczą!) Dotknęła go prawdą, łagodnie, lecz to wystarczyło: nagłe przerażenie Aspundtha było jak błyskawica żaru. (I obiecuj im to... jako dowód dobrej woli...) mruknęła, zmniejszając jego strach. (Jeśli łowy się zakończą, otrzymają koordynaty przestrzenne jednego ze światów Starego Imperium, stosunkowo niedaleko oddalonego od planet Hegemonii, tak iż zdołają odtworzyć kontakt. Po pewnym czasie, jeśli stosunki z tym światem okażą się przyjazne i wzajemnie korzystne – i będzie trwała ochrona merów – uzyskają następne koordynaty. Jeśli się zgodzą, spełnią swe imperialne marzenia. Jeśli nie, nie uzyskają nic – mniej niż nic.)

(Bogowie...) pomyślał, słowo zalsniło przed jej wzrokiem. (Możesz to uczynić?)

(Tak) odpowiedziała.

(Tak...) zawtórował (tak, powiem im, natychmiast...)

(KR..)

(Co jeszcze, Moon?)

(Gdzie jest BZ? Co z nim... ?)

(Sądźmy, że jest na Wielkiej Niebieskiej. A co z nim... nie wiem. Modlę się, by żył.)

Nie odpowiedziała, uświadomiła sobie rosnące w niej ciśnienie uczuć, aż wreszcie, niezdolna do powstrzymania gniewu, wybuchnęła: (Czemu mu nie pomogłeś? Ty i ci, którym ufał?)

(Próbowaliśmy, ale nie mogliśmy...)

(To jaki z was pożytek?) pomyślała z goryczą płynącą jak kwas, palącą ją, palącą jego. (Wy wszyscy – zmusiliście go do zrobienia tego, co musiał, a potem zostawiliście, żeby cierpiał samotnie, podczas gdy sami kryjecie się, jak świętoszkowaci tchórze mamroczenie tajemne hasła...) Zaczęła się wycofywać z połączenia, pozwalała szumowi rosnąć do oślepiających fal złota i czerni.

(Moon...) zawołał pulsującym zdenerwowaniem. (Na miłość bogów, jestem stary!)

Ponownie wysunęła się ku niemu włóknami światła, wzmocniła połączenie na ulotną chwilę potrzebną do wypowiedzenia kilku słów. (Powiedz im, że Gundhalinu ma odzyskać wszystkie swe tytuły. Wróci na Tiamat jako Główny Sędzia, bo inaczej, na Wszystko, dopóki będę żyła, nie uzyskają nowych światów...) nie wiedziała nawet na pewno, kto składa ową obietnicę, ona czy Ona. (A jeśli umrę, to nigdy.) Poczwała, jak moc jej słów płonie prawdą; jak Aspundth cofa się przed tym ogniem, nim jeszcze przerwała połączenie.

Znowu samotna w bezkresnym morzu, nagle uświadomiła sobie potrzebę z głębi duszy, przywołującą ją do własnej, związanej czasem rzeczywistości. Czas gdzieś płynął, zabierał ją ze sobą, niksowała siła jej ciała, a potrzeba stawała się nieodparta. Mimo wyczerpania rozszerzyła znowu, po raz ostatni, swój wzrok, przeszukiwała gorączkowo tysiące tysięcy promieniujących kropelek rozumu w Jej morzu, każde miało swe imię, umysł, duszę...

(BZ...) Runęła poprzez lustrzaną jasność do ciepłego serca jego siły życiowej, poczuła ulgę i radość, znalazłszy go bezpiecznie płonącego wokół niej jak energia gwiazdy. (BZ) zawołała ponownie, czule, w środku jego myśli.

Ujrzała, jak jego umysł krąży bez ustanku, trącając przypadkowymi barwami, gdy coś w głębi stara się obudzić i odpowiedzieć. Obudzić... Śpi, zrozumiała – tkwi w śnie tak głębokim i zmęczonym, że nie może go przeniknąć. (Spij, ukochany) pomyślała i załatają czułość, pieśń o nieprześcignionym pięknie. (Wkrótce) szepnęła, zobaczyła swą obietnicę rozchodzącą się złotymi zmarszczkami po niespokojnych nurtach jego mózgu (wkrótcewkrótcewkrótce...)

Opuściła go, wróciła do muzyki i światła, do objęć Pani, ciągle, wiecznie czekającej na nią, na całą ludzkość, do sybill będących Jej ciałem i krwią, umysłów, którym służyła Ona i które ukształtowała, stworzonych i stwarzających w Wielkiej Grze o przetrwanie ludzi. I wewnątrz Jej umysłu wprawiła w ruch ostatnie kółeczko.

(Teraz...) pomyślała, zbierając się w sobie, sięgając i opadając z wszędzie w tutaj...

Vanamoinen zobaczył, że w oczach Tammisa gaśnie dziwne światło, wraz z drzeniem wraca do jego ciała świadomość i opanowanie.

Tammis chwycił się ściany, ciągle oszałamiały go obrazy miejsca, do którego zabrał go umysł. Potrząsnął głową, oczyszczając wzrok. Spojrzał w twarz, która niespodziewanie znalazła się przed nim, twarz Reede'a Kullervo. Vanamoinen zauważył zmianę miny Tammisa,

– Co się stało? – zapytał chłopiec. – Reede...? – Urwał, gdy coś szturchnęło ich od dołu.

Spojrzał w dół, zobaczył Silky walącą niecierpliwie pyszczkiem w ich zwisające stopy.

– Patrz... – Tammis machnął ręką. – Nie ma ich! Mery zniknęły.

– Po wszystkim – szepnął Vanamoinen ochryple. – Zaczyna się odpływ...

– Musimy uciekać.

Vanamoinen kiwnął głową, zacisnął zęby w nagłej rozpaczliwej chęci zwymiotowania. Zamiast tego chwycił Tammisa, popchnął go w dół w stronę otworu, którym dostali się do jaskini. Chłopiec zaczął płynąć, mer okrążał go w absurdalnie wdzięcznym korkociągu, ponaglał do pośpiechu. Tammis zawahał się jednak, obejrzał na Vanamoinena, który pozwolił swemu zniszczonemu przez ból ciału opadać na dno, nie próbował nawet uciekać. – Reede? – zawołał. – Na cycuszki Pani, szybko! Zostaniemy zamknięci!

Vanamoinen poczuł przerażenie Reede'a Kullervo bijące niby oszalałe zwierzę o żelazne pręty klatki, błagające go płyn, płyn – choć i tak byli skazani, choć wszystko skończy się tutaj, jego los rozwinie się jak należy...

– Reede! – Tammis zawołał znowu, jego głos zagrzmiął w kasku Vanamoinena.

Ciało Reede'a popłynęło ku niemu, kopiąc nogami zmuszało się do ruchu. Vanamoinen poddał się szaleńczej rozpaczycy Kullervo, przyznał mu godność wyboru, choćby najbardziej straceńczego... zrozumiał, że jeśli tego nie uczyni, Tammis nie odpłynie.

Reede zmuszał nogi i ręce do posuwania się do przodu, jego umysł przedzierał się przez mgłę oszołomienia, ciało brnęło w płynnej atmosferze zostawianej przez Tammisa fali. Jaskinia wydawała się ciągnąć bez końca. Daleko w przodzie opuszczała ją ledwo widoczna ostatnia grupka merów. Zaczął się zmieniać kierunek prądu wody, jej masy wdzierające się do wydrążonych jaskiń zaczęły teraz pod wpływem odpływu wracać do morza. Nurt był na szczęście sprzyjający, zabierał ich powoli w stronę wyjścia, popychał przez niepełną ciemność, którą ten drugi w jego umyśle ciągle widział jako wypełnioną światłem. Płynął dalej, choć każdy wymuszony ruch sprawiał ból, jakby mięśnie odrywały się od kości, każdy oddech przypominał wbijający się w piersi nóż.

Silky przestała okrążyć Tammisa, gdy zobaczyła zwiększającą się odległość między oboma pływakami, zaczęła ponaglać go szturchać Reede'a. Kullervo zaklął z bólu, twarde uderzenia sprawiały, że nabrał szybkości, byleby przed nią uciec.

Przed nimi resztki merów zniknęły już w wąskim przejściu między czekającymi turbinami; Reede ujrzał, jak dotarł tam Tammis, zobaczył ciemny, niesamowity błysk metalu.

– Szybciej! – zawołał Tammis podniesionym głosem. – Widzę ruch. Reede, płyn...

– Przechodź! – krzyknął Reede, usłyszał, jak łamie mu się głos. – Uciekaj, do cholery, uciekaj! – Tammis wpłynął do przejścia. Kullervo mocno uderzył pięścią w nos Silky, chciał ją odegnąć. Patrzył, jak podąża za chłopcem. Woda zaczęła się wokół niego nienaturalnie burzyć; poczuł przenikające jaskinię wibrowanie ciężkich maszyn, turbiny podjęły pracę. Łopatkę podjęły obroty, powoli zbliżały się do siebie, zamykając przejście stworzone przez krótką przerwę, odcinając jaskinię na następne dwa i pół wieku.

Bogowie... Modlił się, nie wiedząc, o co właściwie się modli ani do kogo. Patrzył, jak snop padającego z kasku Tammisa światła przebija ciemność tunelu. Gdzieś w głębi siebie odnalazł wariacką odwagę ruszenia w mrok, w którym zwierzały się szczęki Odpłacającego. Płynął na ślepo, zamknął oczy, nie chcąc widzieć, co go czeka, nos nagle wypełniła mu krew z pękniętej żyły.

Woda stawała się coraz bardziej wzburzona, utrudniając płynięcie, zmuszając go do otwarcia oczu i poszukania drogi. Daleko przed nim, poprzez wiry, świeciła lampa Tammisa, zobaczył, jak blask zawraca ku niemu, przeszukuje zamykające się przejście.

– Wydostaliśmy się! – zawołał Tammis. – Reede? Reede! Zdążysz...

Reede zakasłał i plunął; krew wypełniła wnętrze hełmu.

– Nie mogę... – Wydusił z siebie te słowa, ledwo zrozumiałe nawet dla niego. Widział, jak

rośnie przestrzeń między nim a Tammisem, jak kurczy się pokonywana przez niego szczelina. Głowę wypełniło mu ciężkie dudnienie turbin; woda zdawała się gęstnieć, wzrastał opór kipieli. Nie dokona tego.

Poczuł, jak opuszczają go resztki sił, wraz z nimi upór; pozwalał wodzie opanowywać ciało, składać je w ofierze. Widział unoszące się, opadające łopatki... umysł wypełniła mu zapowiedź śmierci. Wzburzona woda waliła w jego ciało, zmuszała do doznawania każdego agonicznego cierpienia; zmuszała do przyznania, ku jego przerażeniu, iż czeka końca, chwili oślepiającego bólu, gdy zostanie rozdarty na strzępy, wyzwoli wreszcie swą duszę.

– Reede! – Zderzył się z czymś – kimś. Objęły go ramiona

Tammisa, ciągnęły gorączkowo do końca tunelu, mer pchał go z tyłu, ponaglał do podjęcia walki, ruchu.

– Nie! – zawołał, na wpół z bólu, na wpół w ostrzeżeniu, gdy wykręcali mu ciało w szaleńczej próbie ratunku. – Zostaw mnie, do cholery, zabijesz nas wszystkich! – Uderzył pięściami w szybką skrywającą twarz Tammisa. – Uciekaj!

– Nie – prychnął chłopiec, zacisnął ramię wokół szyi Reede, ciągnął przez biały wir, jakby był oszalałym z przerażenia topielcem. – Nie wiesz, co mówisz.

– To się miało tak skończyć! – zawołał Reede. – Daj mi umrzeć.

– Nie! – Głos Tammisa zadzwonił we wnętrzu hełmu. – Nie pozwolę, by po raz drugi ktoś tu zginął z mojego powodu...

Reede poczuł, jak jego ciało skręca się i prze poprzez gigantyczne kłębowisko metalu i białej wody, ostatnim skurczem wyskakuje bezradnie z tunelu, w pustkę za nim.

Coś zderzyło się z nim, okręciło. Wyciągnął ręce, macał gorączkowo.

– Tammis...? – Ale natrafił jedynie na pyszczyk mera. Obrócił się do tyłu, walcząc z pędem nurtu. – Tammis! – zawołał, w świetle lampy na kasku ujrzał nagle chłopca, błysk metalu; sięgnął szaleńczo po wyciągnięte ku niemu ręce. Złapał je, pociągnął – poczuł, jak mu się wymykają. Miał wrażenie, iż w rozdzierającym mu duszę krzyku słyszy swe imię, gdy Tammis został wciągnięty w białą kpiel.

Zmysły rozdarł mu własny ochryply wrzask sprzeciwu, skoczył ku turbinom. Droge zagroziła mu jednak Silky, uderzyła ciałem, odepchnęła, pokonując jego wysiłki, kierowała poprzez tunel.

Reede poddał się, gdy resztki jego szalu minęły jak echa krzyku umierającego Tammisa. To on powinien był wydać ten krzyk... Nie miał sił opierać się śpiwnemu wymuszaniu Silky, objął ramionami jej długą węzowatą szyję, poczuł jej ciepło, miękkość sierści dotykanej zdrętwiałymi, skurczonymi palcami. Spoczął na jej grzbiecie, pozwolił wynieść się z białych wód śmierci, z dudniących rytmem serca turbin, zabrać w ciszę i ciemność, a wreszcie ku czekającemu powietrzu.

TIAMAT: Krwawnik

Moon poruszyła się, wstała z podłogi pojazdu na odgłos dobiegających z dołu studni ech. Zdrętwiała z wyczerpania, nie wiedziała na pewno, czy zasnęła, czy zemdląca, ani jak długo leżała. Powracająca świadomość pobudziła myśli, przywołała obrazy wszystkiego, co zrobiła i gdzie była w poprzednich godzinach; obrazy Jej... aż poczuła, że znowu się osuwa, wraca płynnymi korytarzami w ciemne dwory pamięci.

Czepiając się tablicy, zdołała wstać, równie nieugiętym chwytem zatrzymała świadomość. Wyrzała na zewnątrz i w dół. Daleko pod sobą, w oświetlonej zielono wodzie zobaczyła jakąś postać – w pierwszej chwili wzięła ją za ludzką, ale był to mer. Człowiek pełził niżej w górę studni, wspinał się po uchwytych niewidocznych między występami urządzeń. Tylko jeden. Popatrzyła jeszcze raz, starając się przekształcić mera w drugą ludzką postać. Nie zdołała, nadal widziała tylko jedną, wchodzącą po ścianie. Przypomniła sobie ostatni widok wymęczonej twarzy Reede'a tkwiącego w skrytej jaskini, oglądanego oczyma Tammisa; oblicze człowieka zachowującego dumę, lecz pozbawionego nadziei... oblicze umierającego.

Odwróciła się od tablicy sterowniczej ku otwartemu wejściu do windy, zachwiała, jakby podczas nieskończonego odcielesnienia zapomniawszy, jak korzystać z fizycznego ciała. Wyszła na wąski pomost poza pojazdem, przytrzymała skraj drzwiczek, czepiając się mocnej ściany, pochyliła do przodu.

Ujrzała wychylającą się nad krawędź pomostu, osłoniętą kaskiem głowę. Zaskoczona, szarpnęła się do tyłu; pochyliła znowu, zapominając o zmęczeniu i zawrotach głowy, złapała rękę postaci.

– Tammisie! – Pomogła mu wciągnąć się na pomost i dotrzeć do wnętrza windy. Zachwiał się w progu, opadł na kolana, jakby utracił wszystkie siły. Szybką kasku miał zasmarowaną czymś zasłaniającym widok twarzy. Moon przyklękła obok, gdy zaczął gmerać przy zapięciach hełmu. Odepchnęła jego bezradne dłonie, odłączyła i uniosła kask.

Upadła do tyłu, odrzucona zapachem wymiocin, widokiem krwi. Z twarzy pokrytej maską czerwieni spojrzwały na nią oczy o błękitnie czystym i jasnym jak niebo. – Reede. – Poczowała, jak staje jej serce.

Potwierdził, kiwając się niepewnie. – Pani... – szepnął ledwo rozpoznawalnym głosem. Urwał, spróbował nadaremnie wytrzeć twarz rękawem skafandra.

– Gdzie Tammis? – Złapała go za ramiona. Szarpany ku górze Reede krzyknął. Z rozdartym sercem trzęsła nim, wymuszając odpowiedź. – Gdzie jest? Co się stało?

Reede skupił się na niej, w końcu odpowiedział udręce w jej głosie. – Zginął... – wymamrotał, poczuła wykrzywający mu ciało skurcz. – Turbiny...

– Nie – szepnęła. – Co? Jak? Nie... – wymawiała słowa bez znaczeń. – Cze mu... ?

– To miałem być ja! Musiałem żyć, dopóki nie zdołam uleczyć sieci sybilli... A potem umrzeć. – Reede pochylił się do przodu, splótł ręce. – Nie pozwolił na to. Ocalił mi życie, bękart, po co...? Był już bezpieczny! Miał wszystko... wszystko, dlaczego warto żyć. Zamiast tego umarł, dla mnie. To ja powinienem...

Puściła go, pozwoliła osunąć się w kałużę morskiej wody pokrywającej podłogę. Zamknęła oczy, by nań nie patrzeć; nagle ujrzała Miroe, jego śmierć tkwiącą w oczach Tammisa. Tammis. Tammis...

– Tammisie... – Usłyszała cichy lament, zrozumiała, że płynie z jej gardła.

Gdy zdołała ponownie otworzyć oczy, zobaczyła leżącego nieruchomo, patrzącego na nią Reede'a. Uniósł rękę, złapał ją za rękaw.

– Przepraszam... – szepnęła. – Przepraszam przepraszam przepraszam... Za to, co ci zrobiłem – twojej córce, synowi. To powinienem być ja. Ja... – Jego głos przeszedł w łkanie. – Ja! Ja!

Pochyliła się, podniosła go, jej osłabłe ramiona zdrząły z wysiłku. Nakazała pojazdowi zabrać ich na powierzchnię; przyciskając do siebie bezwładne ciało, patrzyła, jak zamykają się drzwiczki, znikają bez śladu w ścianie. Winda zaczęła się poruszać, unosić tym razem w górę nadal zaciemnionej studni. Trzymała go nadal, udając na krótko, że nie ma czasu, że ciągle jest wewnątrz zewnętrznego, w chwili boskiego objawienia, gdzie wszystko się zawsze dzieje... że naprawdę trzyma w ramionach swe dziecko, a nie na wpół szalonego obcego, który w imię umysłu sybilli zniszczył jej rodzinę...

W końcu jednak ruch ustał, cicho otworzył się nad nią luk w suficie. Podniosła wzrok, nie miała siły na coś więcej, usłyszała wołające ją głosy – Jerushy, Merovy. Opuściła oczy, nie mogła znieść widoku ich twarzy, reakcji na to, czego się dowiedzą.

Reede drgnął na ich głosy, w czasie całej wędrówki w górę nie poruszył się ani nie odezwał. Teraz dźwignął się, aż usiadł samodzielnie. Popatrzył na nią w oszołomieniu, bez słowa odwrócił wzrok.

– Moon? – powiedziała znowu Jerusha, z większą natarczywością, z większą troską.

Tu... – odpowiedziała, ledwo zdołała się zmusić do odezwania. Usłyszała, jak ktoś schodzi do nich, podniosła wzrok i zobaczyła zeskakującą na podłogę Jerushę.

PalaThion przerzucała spojrzenie z jednej twarzy na drugą, zmarszczki na jej własnej pogłębiły się w grymasie, gdy zobaczyła, w jakim są stanie.

– Tammis – powiedziała, właściwie nie było to pytanie; znowu patrzyła na Moon.

Królowa odwróciła głowę.

– Bogowie... – sapnęła Jerusha. Podeszła bliżej, użyczyła Moon siły ramion, pomogła jej wstać. Spojrzała na Reede'a, znowu na Królową. – Nic się tu nie zmieniło. – Było to na poły pytanie, na poły stwierdzenie faktu. – Miasto jest nadal ciemne. Moon, co się stało? Możesz mi powiedzieć?

Moon zdołała jedynie pokręcić głową.

– Wydostań mnie stąd... wydostań nas. Z windy.

Jerusha kiwnęła głową, pomogła Moon podejść do drabiny, wspiać się na nią. Królowa złapała czekające na nią w górze dłonie, została wyciągnięta z cuchnącego więzienia windy. Stała w oświetlonym lampami kręgu znajomych twarzy, podtrzymujące ją ramiona potwierdzały istnienie świata, do którego w końcu dotarła.

Clavally i Danaquil Lu podparli ją, a Merovy podała silną herbatkę leczniczą. Wzięła kubek i wypila, patrząc na postacie wyłaniające się z jasnego wnętrza pojazdu. Pierwsza wyszła Jerusha, sięgnęła do tyłu, by wciągnąć Reede'a na kilka ostatnich stopni drabiny, niemal wyszarpnęła go na twardej gruncie obok krawędzi Otchłani. Zgromadzeni obrócili się w wyczekiwaniu, patrzyli na windę.

– Tammis? – zawołała Merovy, wypatrywanie zmieniło się w niepokój, gdy nie pojawił się nikt więcej.

– Merovy – powiedziała Moon głosem równie gęstym, co zatykający jej gardło syrop. – Nie wyjdzie.

Merovy odwróciła się ku niej, spojrzała znowu na Otchłań, jej mina sprawiła, że Moon poczuła mróz przenikający aż do szpiku kości.

– Wyjdzie – upierała się z bezzasadnym przekonaniem. – Pojechał z wami. Wróci...

– Nie wróci – szepnęła Moon, czując, jak pieką ją oczy. – Nie żyje, Merovy. – Zacisnęła dłonie na grubym swetrze, wymięła przemoczoną wełnę. – Nie żyje.

Twarz Merovy stała się pusta, przywarła rękoma do nieznaczonej wypukłości brzucha. – Jak...?

– Jej głos skrzypiał niby nie nasmarowane zawiasy.

– Zabiłem go.

Głos Reede'a sprawił, że wszyscy się obrócili. Moon zobaczyła, jak z trudem się podnosi, ujrzała przed sobą człowieka powstałego z własnego grobu. Usłyszała gardłowy krzyk Merovy. Jerusha popatrzyła na niego uważnie.

Merovy podeszła bliżej, twarz wykrzywiała jej wściekłość i poczucie straty; złapała ją matka, przytrzymała. – Czemu? – krzyknęła.

– To był wypadek – powiedziała Moon; słowa grzęzły jej w gardle. – Tammis uratował mu życie.

– Czemu? Czemu on? – zawołała Merovy, na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć ani Moon, ani nikt inny. – To niesprawiedliwe, mamy dziecko...

Matka Merovy objęła ją mocniej, nie pozwoliła się szarpać.

– Ty masz dziecko... – mruknęła Clavally, trzymając ją mocniej. – Masz dziecko, córuniu; opiekuj się nim... – U tuliła ją, gdy zaczęła szlochać. Odgłosy rozpacz Merovy zwielokrotniały się w ogromnej sali, aż Moon odniosła wrażenie, iż płacze cały świat. Clavally i Danaquil Lu popatrzyli na nią ponad zasłaniającą twarz córką, w ich oczach pojawiło się nagle straszne zrozumienie.

Moon odwróciła się, nie mogła stawić czoła ich współczuciu, bała się załamania. Popatrzyła na Otchłań.

– Ocaliłam świat – mruknęła z nagłą goryczą – ale utraciłam dzieci.

Kącikiem oka spostrzegła, że Reede się przesuwa; zbliża do skraju Otchłani.

– Powstrzymajcie go!

Jerusha doszła do niego dwoma krokami, odepchnęła, gdy dotarł już do krawędzi i próbował wypaść poza nią. Bez wysiłku go unieruchomiła, odciągnęła od skraju, poprowadziła do ludzi osądzających go w milczeniu.

Reede opadł na kolana. Jerusha nie puszczała jego ramion, przytrzymywała, ale Moon widziała, że nie musi się już o niego martwić. Popatrzył na nich, jego twarz była trupio blada z plamami świeżej krwi, oczy były studniami rozpacz.

– Chcecie zobaczyć, jak będę umierał? – warknął. – Patrzcie teraz, do cholery!

Moon podeszła do niego, miała wrażenie, że jej ciało należy do starej kobiety, jest sztywne, powolne i pełne bólu. Zatrzymała się, spojrzała na Reede'a.

– Kim jesteś? – zapytała.

Unióśł głowę, pozwolił jej znowu opaść, nic nie odpowiedział, Moon nadal dostrzegała w jego oczach niemożliwą prawdę.

– Nie chcę, byś umarł – powiedziała łagodnie. Wzięła w dłonie jego twarz, gdy spróbował się odwrócić, dotykała ją delikatnie, jakby trzymała śnieg. – Chcę ci pomóc. Powiedz mi, jak to zrobić.

Powoli pokręcił głową, brudząc krwią dłonie Moon, spojrział na nią ze zmieszaniem, lecz powiedział tylko: – Nie możesz. Sam nie mogę.

– Powiedziałeś, że Policja po aresztowaniu zabrała całą wodę śmierci, jaką miałeś?

– Tak – mruknął ze znużeniem. Popatrzyła na Jerushę. – Czy dalej ją mają?

PalaThion wzruszyła ramionami. – Być może. Ale nie sądzę, by nam oddali.

– Ze względów humanitarnych...? Jerusha zaśmiała się bez śladu wesołości.

– Żeby ocalić życie przestępcy, którego chronisz przed Hegemonią? W obecnych okolicznościach uważam to za skrajnie mało prawdopodobne.

Moon odsunęła się od Reede'a. – Jerusho, pošlij wiadomość do Vhanu. Powiedz mu, że jeśli chce, by miasto było znowu oświetlone, musi przysłać mi narkotyk, nie zadając żadnych pytań.

Jerusha popatrzyła na nią. – Myślałam, że nie masz nic wspólnego z wyłączeniem zasilania miasta.

– Nie mam.

– Ale teraz możesz je przywrócić?

Moon odwróciła wzrok, spojrzała w mroczne kąty Sali Wichrów. – Tak.

Jerusha przyglądała się jej uważnie.

– Wyślę kogoś – mruknęła. – Pani – skłoniła się i szybko wyszła z sali.

Moon zwróciła się ku Merovy i jej rodzicom, czekającym jak żałobnicy na pogrzebie.

– Clavally, Dana, pomożecie mi zanieść Reede'a do łóżka? Chcę, by otrzymał wszelkie możliwe wygody. – Kiwnęli głowami, wątpliwości rysowały się na ich twarzach równie wyraźnie co zmartwienie, nadal trzymali dłonie na drżących ramionach córki. – Merovy – powiedziała Moon łagodnie – znasz się na medycynie. Zechciałabyś zobaczyć, czy można coś dla niego zrobić? Strasznie cierpi.

Merovy zamrugła; blada, odrętwiała pustka jej oblicza zarumieniła się powoli, Moon miała przez chwilę wrażenie, że to świeży gniew i odmowa. Dziewczyna odwróciła się jednak, zmusiła do spojrzenia na Reede'a, zmienił się wyraz jej twarzy.

Tak – powiedziała w końcu, ledwo słyszalnie, opuszczając oczy. Podeszła wraz z rodzicami; nadal patrzyła w dół, przyciskała dłonie do brzucha.

Reede uniósł głowę, przyglądał się ze znużeniem ich zbliżaniu. Pozwolił się na wpół prowadzić, na wpół nieść krętymi schodami wiodącymi do pałacu.

Moon upewniła się, że został położony do łóżka, zimną szmatką własnoręcznie wytarła z jego twarzy ślady wymiotów i krew. Patrzyła, jak Merovy robi, co może, środkami medycznymi, które miała przy sobie. Twarz dziewczyny uspokoiła się, ruchy stały się podczas pracy bardziej opanowane i pewniejsze, dotykanie ciała Reede'a zmuszało ją do uznania jego człowieczeństwa.

Reede leżał z zamkniętymi oczyma, oddychał płytko, jakby był nieprzytomny. Moon poznawała jednak po sztywności mięśni, trupiej bladości zaciśniętych szczęk, że stara się zapominać o ich obecności, nieproszonym wtargnięciu w jego cierpienie.

Wreszcie, uspokojona, że zrobiła dla Reede'a wszystko, co mogła, zostawiła go i wróciła do słabo oświetlonych korytarzy pałacu, zeszła do sali tronowej i Sali Wichrów. Po wkroczeniu na mostek nad Otchłanią poczuła wzywające ją syrenie światło. Odbierała teraz jedynie blade echo zapamiętanej, wielobarwnej chwały, lecz mimo to napępiała jej zmysły pieśnią tęsknoty. Pani...

Wdychała bijący ze studni, wypełniający powietrze zapach morza; ciągle przypomnienie obecności niewidocznej potęgi, w którą głęboko wierzyła w młodości spędzonej na rodzinnej wyspie. Wówczas była dla niej boginią wcieloną w wody morza, przemawiającą poprzez usta każdej sybilli, szczególnie dar Swej mądrości, ofiarowującą jedynie Letniakom, wybranemu ludowi.

Wiarę tę zniszczyło zderzenie ze zwyczajami pozaziemców, ich znacznie rozleglejszą i bardziej wyszukaną wiedzą i przebiegłością. Poznała prawdę o sieci sybilli, utraciła przy tym swą niewinność. W następnych latach Pani była dla niej jedynie pustym źródłem przekleństw; szukając wsparcia w wierze, znajdowała tylko ból utraty.

Wreszcie jednak dojrzała większą prawdę skrytą za mniejszymi, za cynicznym samo-oszukiwaniem się pozaziemców. Kierujący umysłem sybilli rozum nie jest mocą nadprzyrodzoną, ale też większą niż ludzka – inną niż ludzka, choć odczuwającą ludzkie potrzeby i pragnienia. Został po części stworzony przez umysły podobne do jej własnego, umieszczony w sercu Przeglądu, wpływał na losy niezliczonych istot na niezliczonych światach, o których nigdy nawet nie słyszała.

A dwa oddzielne, lecz w wyjątkowy sposób połączone ludy tej planety stanowiły jego wybraną jedność, naturalną i całkowitą. Nie była szalona, nie była omamiona, opanowana obsesją władzy, kierowana ambicją – nie była Arienrhod. Miała rację. A wszystko, w co wierzyła, okazało się w końcu na swój sposób prawdziwe.

Bez lęku popatrzyła w dół, w zielone światło; poczuła przy tym, jak na wspomnienie syna jej umysł odbija się niby sprężyna... nagle przypomniła sobie cenę, jaką zapłaciła za zostanie Jej wybranką, za służenie potrzebom prawdziwej Pani. Przeszedł ją dreszcz. Przeszła mostem, popędzana siłą własnej woli, swymi potrzebami, nie powodowana już żadnym innym przymusem. Nie zatrzymała się, dopóki nie osiągnęła drugiego końca kładki. Stała tam samotnie, w pustej ciszy poza krawędzią Otchłani wcisnęła dłonie w oczy, trzymała je tak, dopóki jedynym widzianym przez nią światłem nie stały się płonące ogniki wywołane naciskiem na źrenice.

W końcu uniosła głowę, podniosła latarnię, usłyszała puste echa zbliżających się kroków. Przed sobą ujrzała inne światło; Jeruszę osobiście prowadzącą Vhanu.

Pośpiesznie otarła twarz, opuściła ręce wzdłuż boków. Dostrzegała nie dość dobrze ukrywany niepokój Vhanu, iż przebywa w pałacu bez żadnej eskorty; ujrzała, jak przechodzi w zaskoczenie, gdy zobaczył ją czekającą nań i równie samotną.

– Pani – skłoniła się Jerusha. – Pan komendant ma to, o co prosiłaś.

– Jestem zdziwiona, komendancie, że przyniósł to pan osobiście – powiedziała Moon, unosząc brwi, słysząc chłód swego głosu równy chładowi jego wzroku.

W odpowiedzi skłonił się lekko. – Pani, twoja propozycja była – tak niezwykła, iż postanowiłem przekonać się osobiście, co za nią stoi. I sprawdzić samemu, czy dotrzyma Pani swoich warunków wymiany. – Nigdy nie składam obietnic, których nie zamierzam dotrzymać – odpowiedziała. Poczula, że Jerusha na nią patrzy.

Vhanu podszedł powoli, aż wreszcie stanął obok niej na krawędzi Otchłani. Zatrzymał się w kręgu rzucanego przez latarnię Moon światła, lecz tak, by nie można go było łatwo dosięgnąć. Dalej poruszając się powoli, wyciągnął spod ubrania małą fiolkę ze srebrzystego metalu.

– Mam to, czego pani chce. – Wyciągnął naczynko poza krawędź studni. – Teraz powie mi pani, po co to wam.

Moon wciągnęła oddech; dostrzegła zjawiający się w jego oczach słaby blask zadowolenia. Z lekkim obrzydzeniem spojrział na jej prosty tubylczy strój. Uświadomiła sobie, iż zapomniła się przebrać, że nadal jest ubrana tak samo, jak w Otchłani, że jej odzież jest mokra, poplamiona i śmierdzi śladami mdłości Reede'a.

Dotyk oczu Vhanu przekształcił w gniew jej nagły strach.

– Nie powinno pana obchodzić, komendancie, co chcę z tym zrobić.

– Pani strażnicy odebrali wczoraj więźnia mojej Policji: człowieka posiadającego ten narkotyk. Bardzo mnie obchodzi, co chcecie zrobić z tym – i z nim.

Moon odetchnęła głęboko. – Jest uzależniony. Podobnie jak moja córka. Potrzebują tego środka, aby pozostać przy życiu.

Zerknął na fiolkę. – Jest go za mało. – Popatrzył na Moon bez współczucia, jej nagła chęć poproszenia go o pomoc w zsyntetyzowaniu zwiędła, nim przeistoczyła się w słowa.

– To już mój kłopot, komendancie – powiedziała, czując przewrotną radość, że dał jej powód, by go nie błagała. – Pańskim jest przywrócenie zasilania miasta. Mogę to dla pana zrobić, jeśli otrzymam to, czego pragnę.

Wyciągnął szyję w dziwnym, żurawim geście, jakby chciał przejrzeć na wylot jej słowa, sprawdzić, czy są prawdziwe.

– Co z Kowalem? – zapytał osłabłym głosem.

– Z kim? – zapytała, nim pojęła, kogo ma na myśli. – Chodzi panu o Reede'a Kullervo.

Lekko się skrzywił, kiwnął głową. – Chcę go z powrotem.

– Uzależnił mą córkę od narkotyku. Spowodował śmierć męża – powiedziała bezbarwnym głosem. – Utopił... utopił mego syna. Należy do mnie. – Znowu poczuła na sobie oczy Jerushy, ciągle patrzyły niepewnie.

Grymas Vhanu pogłębił się, lecz tym razem w jego wzroku pojawiło się ulotne, oporne zrozumienie. W końcu opuścił rękę, w której trzymał wyciągniętą nad Otchłanią fiolkę.

– Chcę go z powrotem, i to żywego. Jest dla nas zbyt ważny... – Urwał. – Jego aresztowanie jest ważne dla Hegemonii. – Dla Przeglądu. Poczula skryte ręce, bezlitosny chwyt potajemnego zakonu, któremu służył wierniej aniżeli własnemu rządowi. Zobaczyła Reede'a jako pionka w Bractwie, zmieniającego się w pionka w Złotym Środku; wiedziała, że równie mocno co ich rywale muszą chcieć go posiadać, korzystać z jego cudownego, skradzionego umysłu.

– Pani, możesz go zatrzymać do przybycia trybunału. – Wyraz twarzy Vhanu zmienił się lekko. – Ukarac w wybrany przez siebie sposób. Byleby tylko zachował życie... – Barbarzyńcy, mówiły jego pełne pogardy oczy. – Czy to panią zadowoli? – Wyciągnął ponownie fiolkę, tym razem w stronę Królowej, lecz poza jej zasięgiem. – Proszę pamiętać, że gdybyśmy chcieli, moglibyśmy w każdej chwili przyjść i go zabrać. Jak na razie starałem się uszanować waszą suwerenność – ponieważ liczę na szybkie mianowanie mnie nowym Głównym Sędzią. – Wykrzywił usta w parodii uśmiechu.

Założyła ręce, ścisnęła łokcie, aż ból przewyższył płonący w niej gniew.

– Skoro okazał pan takie względy dla naszych tradycji, byłabym niewdzięcznicą, odrzucając pańską propozycję – powiedziała bezbarwnym tonem. – Zatrzymam go, dopóki nie zostanie mianowany nowy Główny Sędzia. A wówczas... – wzruszyła ramionami.

Przeszedł go przelotny niepokój. Otrząsnął się z niego.

– Pani, przywróć zasilanie miasta. Wtedy dostaniesz to. – Zrobił ruch fiolką.

Zawahała się, widząc, jak blisko krawędzi Otchłani stoi. Pokręciła głową.

– Proszę najpierw dać. – Wyciągnęła rękę, zobaczyła, jak zeszywniał w odmowie. – Niech pan da. Bo niczego nie uzyska. – Zacisnęła dłoń w pięść.

On również zamknął rękę trzymającą fiolkę, oczy miał czarne jak obsydian. Wytrzymała jego wzrok, pozostała niewzruszona, nieugięta.

Popatrzył na Otchłań. Po długiej chwili wrócił spojrzeniem do Moon i kiwnął głową, lecz jego mina skrywała coś bardziej nieoczekiwanego, niepokojącego, aniżeli tylko rezygnację.

– Niech będzie – mruknął. – Chcę jednak patrzeć; chcę zobaczyć, jak pani to robi.

Zaskoczona, niepewna, kiwnęła głową. Ponownie wyciągnęła rękę i Vhanu włożył do niej fiolkę. Zamknęła dłoń i odwróciła się do niego plecami, weszła na mostek. Poruszała się teraz bez wahania, nie miała w sobie miejsca na rozpacz czy wątpliwość. Zawieszona nad tym, co dla komendanta było ciemnością, a dla niej światłem, odwróciła się znowu w jego stronę, dostrzegła sceptycyzm i ledwo skrywane szyderstwo... mroczną, obsesyjną fascynację. Zamknęła oczy, mruknęła: Wejście. I chociaż jedyne pytanie zostało wypowiedziane wewnątrz jej własnego milczenia, to poczuła poruszający się w odpowiedzi umysł sybilli, czekał na tę chwilę. Przez moment ujrzała nieskończoność falującą jak bezkresne morze...

Wróciła do terażniejszości, zachwiała się, wstrzymała oddech. Spojrzała pod nogi, w Otchłań; daleko w dole dostrzegła wznoszące się wzory światel – prawdziwych światel, a nie tajemnego promieniowania, w którym się dotąd poruszała. Bąbel energii wzbijał się w górę jak liżący ściany płomień, ożywiał maszynię, aż wreszcie osiągnął krawędź i wylał się poza nią, wypełnił ciemną

salę żarzącym się światłem.

Podeszła do widocznych w blasku twarzy, nieruchomych postaci dwojga ludzi czekających na nią w nagłym, nienaturalnym dniu.

– Komendancie Vhanu, dottrzymałam mojej strony wymiany.

Cofnął się przed nią, popatrzył uważnie źrenicami, które pomimo powrotu światła były nadal rozszerzone. Ciało mu zadrżało. Czytała w jego oczach niewiarę i strach. Jak? pytały. Jak... ? Nie odpowiedziała mu, wytrzymała nieugięte jego spojrzenie, jakby mogła wyjawiać tajemnicę.

Otrząsnął się z zagapienia; spojrzął na trzymaną przez nią fioletkę. Usunął z głosu wszelki wyraz, lecz w jego ruchach utrzymywało się elektryczne napięcie, twarz była ściągnięta.

– A ja dottrzymałem swojej.

Zacisnęła pięść na fioletce, czuła podniecającą falę triumfu.

– Jeszcze jedno – powiedział napiętym głosem. – Dowiedziałem się, że mery pojawiły się znowu na wodach wokół miasta. Nic więcej się nie zmieniło. Jeśli zasilanie ustanie ponownie, będę wiedział, kogo za to winić. Pani, powiedz swym poddanym, by trzymali się od nas z dala, bo inaczej ucierpią... – Jeszcze raz skłonił się sztywno, szorstko skinął głową Jerushy i wyszedł szybko z Sali.

Moon przygryzła wargi, popatrzyła na srebrną fioletkę. Uniosła głowę, krzyknęła za uciekającymi plecami.

– Dotknie to pana trzykroć silniej!

Okręcił się, by spojrzeć na Królową, nim ruszył dalej, dostrzegła wyraźnie jego minę.

Jerusha patrzyła, jak odchodzi, nie ruszyła się, by go odprowadzić. Zwróciła się do Moon z troską w oczach.

– Jak? – zapytała. – Powiedziałaś, że nie masz nic wspólnego z brakiem zasilania.

– Mówiłam prawdę – mruknęła Moon, ciągle widziała w pamięci upiorną twarz Vhanu.

– Ale je przywróciłaś.

Wzruszyła ramionami, wyciśnięta z sił i myśli; szukała sposobu uczciwego wyjaśnienia bez zdradzenia prawdy.

– Czy ma to coś wspólnego z tym, co zrobiłaś po zejściu do Otchłani?

– Tak – potwierdziła z wdzięcznością, przestając na tym.

– Moon... – Zawahała się Jerusha. – Co jeszcze się tam zdarzyło? Nie było was kilka godzin. Tammis... czy to był wypadek? A może Kullervo...?

Moon pokręciła głową.

– Nie. Nie Kullervo. Tammis... Tammis stanął na drodze przeznaczenia. Jerusho, zabiła go własna dobroć. – I pamięć o Miroe. Tego już nie powiedziała. – Nie mogę... nie mogę o tym mówić. Matko nas Wszystkich... – Zacisnęła na fioletce drżącą rękę. – Nie mogę.

Jerusha stała wyprostowana, jakby niepewna, jaki ruch zrobić, bała się uczynić błędny... bała się.

Moon widziała cień wątpliwości otaczający przyjaciółkę, odkąd tylko rozpoczęli opadanie w Otchłani.

– Jerusho, boisz się mnie? – mruknęła.

PalaThion patrzyła na nią długo, wreszcie pokręciła głową.

– Boję się tylko tego, że Vhanu nie spocznie, póki się nie dowie, jak to zrobiłaś. – Wskazała na rozjaśnioną studnię.

Moon popatrzyła poza nią, w bok, nie odpowiedziała.

– Co z merami? – zapytała Jerusha. – Czy przywrócenie zasilania miasta to wszystko, co mogłaś zrobić?

Moon zawahała się. – Nie... Ale było wszystkim, czym mogłam wpłynąć na Vhanu.

Jerusha skrzywiła się, Moon zobaczyła, jak jej wątpliwość przechodzi w zdenerwowanie.

– W takim razie może powinnaś była dokonać lepszej zamiany – wskazała na fiolkę. – Reede Kullervo nie wydaje się wart ceny, którą zapłaciłaś za jego życie.

Moon poczuła narastający na piersi nacisk.

– Nie tylko jego, ale i Ariele. Reede Kullervo może zdołać ocalić mą córkę.

Jerusha skrzywiła się przeproszająco i kiwnęła głową.

– A ponadto, on nie zasłużył na śmierć – jak i na to, by być wykorzystywanym przez kogokolwiek. Zamierzam dopilnować, by do tego nie doszło. – Moon odwróciła się, odeszła mostkiem w stronę wnętrza pałacu.

Jerusha ruszyła za nią bez słowa, razem przemierzały komnaty i ciągnące się w nieskończoność korytarze, zmierzały do pokoju, w którym został Reede.

Clavally i Danaquil Lu podnieśli wzrok, gdy Moon weszła razem z Jerusha. Merovy siedziała obok matki, z zamkniętymi oczyma trzymała głowę na jej ramieniu, podczas gdy ta kojącymi rytmicznymi ruchami głaskała włosy córki.

Moon podeszła do łóżka Reede'a. Oczy miał również zamknięte, dowiedział się o jej obecności dopiero wtedy, gdy wypowiedziała jego imię.

– Reede – powtórzyła, bojąc się, że jej nie słyszy. – Mam wodę śmierci. – Wymówiła tę nazwę z goryczą.

Otworzył oczy, spojrzał na jej twarz, na trzymaną w dłoni fiolkę.

– Możesz zrobić jej więcej? – zapytała, klękając obok. – Znajdę dla ciebie laboratorium...

Pokręcił głową. – Nie mogę.

– Jeśli to wypijesz... – Wyciągnęła naczynie do niego, serce biło jej zbyt mocno. – Jeśli to wypijesz, nabierzesz sił, by zrobić nową.

Zacisnął na pościeli spuchniętą rękę, uniósł – opuścił.

– To na nic – szepnął. – Zaczynać od początku, potrwa zbyt długo, dwie dawki nie dadzą dość czasu. Zachowaj to. Zachowaj dla Gundhalinu. Jeśli wróci, zdoła pomóc ci... ocalić ją. – Ariele. Ponownie zamknął oczy, jakby widok fiolki był dlań torturą.

– Nie jest za późno. Musi być sposób, żeby pomóc tobie... – Położyła dłoń na jego ramieniu.

Zaklął, cofnęła szybko rękę. – Podetnij mi gardło – powiedział z oczyma wypełnionymi nienawiścią.

Zerwała się na nogi, wyciągnęła fiolkę; zawahała się.

– Jak bardzo kochasz mą córkę? – zapytała miękko, zobaczyła, jak jego twarz ściska ból. Spojrzała na naczynie. Powoli, jakby poruszała się pod wodą, uniosła drugą rękę i odłamała zamknięcie.

– Nie! – powiedział Reede. – Powstrzymajcie ją...

– Moon! – Jerusha skoczyła naprzód, złapała ją za rękę. – Na Panią i wszystkich bogów, co robisz?

Moon wytrzymała jej wzrok, aż Jerusha opuściła rękę.

– BZ powiedział, że woda śmierci jest wypaczoną postacią wody życia. Oznacza to, że jest oparta na rodzaju sprytmaterii – zgadza się? – Popatrzyła na Reede'a.

– Tak, ale... – podparł się łokciem, ociekając z wysiłku potem. – Jest wadliwa. Robiąc ją, nie miałem... odpowiedniego środowiska kontrolnego... ani wyposażenia. Nie ma sposobu, żeby to naprawić. Próbowałem, ciągle... nie znajdowałem.

– Wirus sybilli to także forma sprytmaterii, prawda? – zapytała Moon. – Wszystkie jej postacie

są z sobą spokrewnione.

Z grymasem skinął głową.

– BZ powiedział mi, że znaleźliście obaj sposób przeprogramowania uszkodzonej plazmy napędu gwiazdowego... "zakażenia jej", tak to określili, zmiany działania.

– No – mruknął. – Co z tego?

– Mam w ciele doskonale funkcjonującą formę sprytmaterii, działa przez nią umysł sybilli. Jeśli zażyję wodę śmierci i wejdę w Przekaz, stanę się laboratorium – sieć wpłynie na narkotyki i zmieni jego działanie.

– Moon! – Danaquil Lu zerwał się z miejsca. – Powiedział, że to niemożliwe. Nie możesz wiedzieć, czy się uda...

– Dopóki nie spróbuję dokończyła za niego. Odwróciła się do Reede'a. – Jak myślisz, czy twa... czy sztuczna inteligencja sieci sybilli zdoła to zrobić?

– Bogowie, nie wiem... – Jęknął cicho, opadł na łóżko, gdy opuściły go siły. – Może... może się uda. Ale jeśli się mylisz – znowu na nią spojrzał – to tak właśnie umrzesz.

Odwróciła wzrok od jego twarzy, popatrzyła na niewinnie wyglądającą otwartą fiolkę ze srebrzystego metalu. Dłoń Jerushy znowu opadła na jej ramię.

– Moon, na Bękartą Przewoźnika... Twój syn nie żyje, Reede Kullervo go nie zastąpi! To on właśnie uzależnił twą córkę od śmiertelnośnego narkotyku! Nie możesz zaryzykować dla kogoś takiego. A jeśli umrzecie oboje?

– Wtedy pewnie pochowacie nas w morzu – mruknęła Moon.

– Co z Hegemonią i z merami?

– Co z nimi? – zapytała surowo. – Od lat dawałam sieci sybilli to, czego chciała, bez względu na cenę, jaką w zamian płaciłam. Ukradła mi połowę życia. Jego też. – Spojrzała na Reede'a, poczuła na sobie nic nie rozumiejące oczy pozostałych. Zrobili dla sieci sybilli wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy. – Nadeszła pora, by czymś się nam odpłaciła, dała coś, czego my potrzebujemy. Inaczej nigdy więcej nic ode mnie nie dostanie. – Pani, usłysz mą modlitwę... Doznała niemożliwej swobody i przerażającego zdecydowania, zrozumiała, że moce, które tak długo nad nią panowały, w końcu naprawdę zniknęły. Uniosła fiolkę do ust i połknęła połowę zawartości, zrobiła to tak szybko, iż nikt nie zdążył jej powstrzymać – nawet ona sama. Naczynko z resztą wody śmierci wcisnęła w czekające dłonie Jerushy.

– Wejście...

Spadała skrytą studnią w głąb swego umysłu, w przejście do innego wymiaru, gdzie ongiś widziała jedynie mrok i całkowite milczenie, nazywane przez sybille Miejszem Nicości. Teraz wiedziała jednak, jak słuchać, jak patrzeć, wzrok odsłaniał przed nią korytarze światła wiążące ją z Nią, z połączonymi umysłami twórców sieci, dotarła do Niej samej, sprzęgniętej przeszłości i terażniejszości, do Miejsca Marzeń. Pani, pomóż nam, pomyślała, pomodliła się, zażądała. W imię miłości do Vanamoinena przywróć nam to, do czego mamy prawo. Oddaj nam nasze życie. Ulecz mnie. Oglądając się na złote włókna wiążące ją z umysłem sybilli, dostrzegła własne ciało w postaci lśniącej siatki, każda komórka zamrugnęła przez mgnienie, gdy zalała je, opanowała rozmnażająca się woda śmierci, śmierci naśladowanej życia.

A co widziała ona, widziała Ona... musiała oczyma swego spętanego przez czas wcielenia patrzeć na kruche, ulotne życie Jej sług, Jej końcówek nerwów, Jej narzędzi, nieuniknienie ludzkim wzrokiem śledzić ich ból. Zobaczyła Reede'a Kullervo, niepotrzebne naczynie zawierające sedno umysłu Vanamoinena. Naczynie miało ulec strzaskaniu, gdy tylko Vanamoinen dokona zadania, do spełnienia którego został wskrzeszony; było to konieczne, albowiem dalsze istnienie jego umysłu w

tym samym kontinuum, co Jej wrogowie, stanowiło dla Niej groźbę... Mimo to ludzkie oczy Moon ukazywały jego ludzkie cierpienia, zmuszały Ją do zrozumienia, iż w swych rozpaczliwych wysiłkach przetrwania i odzyskania zdrowia pogwałciła Ona powód swego istnienia. Zdradziła sługi, dla służenia którym została stworzona; w swych cierpieniach zadawała ciosy tym częściom siebie, które zostały wezwane, by uleczyć Jej rany.

Jednakże dlatego właśnie, że Ją wyleczyły, może teraz patrzeć jasno, może dostrzec szaleńczą chęć życia Reede'a Vanamoinena, chęć uzyskania dla siebie przelotnej chwili w czasie, skoro jego wola stała się nareszcie swobodna. I mogła zobaczyć, w beczasowym morzu swego istnienia, że ocalenie lub zgubienie Reede'a Vanamoinena nie było-jest-będzie niczym więcej aniżeli falą przypadku...

I mogła dojrzeć śmiertelny błąd, rozchodzący się jak trucizna po ciele Jej wcielenia, widziała go równie jasno, co ukute przez Nią bezlitosne łańcuchy, popychające Moon Dawntreader do czynu buntowniczego samozniszczenia, który był również błaganiem. Ale Ona nie była już bezlitosna, bezduszna czy ślepa. Wypełniło ją ogromne współczucie, wiedziała, że skoro Ona została wyleczona, musi, jeśli tylko zdoła, wyleczyć i ich rany...

I ujrzała Moon, iż swym wkroczeniem do skrytego jądra, świadomością kierowania Jej przeprogramowaniem, rzuciła cień na Jej duszę, tak samo jak uczynili to Vanamoinen i Ilmarinen podczas stwarzania sieci. Nie była już pewna, czy na swe życie patrzy własnym umysłem, czy odbijającym się w nim umysłem sybilli. Wiedziała jednak, że rozróżnienie nie ma znaczenia. W tej chwili była wszystkim, mogła spełniać swe życzenia, robić wszystko, co leżało w Jej mocy. Jeśli w niezgłębionych czeluściach Jej wiedzy kryje się odpowiedź, to ją znajdzie.

Zajrzała przez otwarte okna wirusa sybilli, istniejącego już we wszystkich komórkach jej ciała... wiedziała, iż w każdej z tych przekształconych drobin mieszczą się pułapki na wszelkich napastników, musi tylko znaleźć sposób ich uruchomienia. Wzrokiem równie uważnym, jak przy nawlekaniu igły, śledziła najdrobniejsze zmiany w czynnościach wszystkich komórek, jednocześnie analizowała budowę wody śmierci, wychwytywała jej podobieństwa do zaprogramowanej struktury prawdziwej sprytmaterii, zapamiętywała drobne, groźne odstępstwa.

Mając swobodny dostęp do pełnego zakresu wiedzy technicznej Starego Imperium i mocy obliczeniowych łączącego światy komputera, szukała tajemnic skrywanych od Upadku; wiedzy uznanej – przez tych, którzy wynieśli ją na zawrotne wyżyny – za wartą jedynie zapomnienia. Żonglując współzależnościami we własnym ciele, próbowała dopasować kolejne klucze do zamka wody śmierci. Ale za każdym razem spotykał ją zawód.

Sięgnęła jeszcze głębiej do serca Jej istnienia, do technowirusa będącego Jej prawdziwym sednem, Jej kluczem otwierającym drzwi do wszechświata... do tajemnych głębi mądrości i bezmyślności jej dawno zmarłych przodków...

I wreszcie znalazła: proces przekształcenia, który krok po kroku przemieni śmiertelnego napastnika w nieszkodliwą, uśpioną formę; następnie normalne działanie odzyskanych przez ciało funkcji usunie ją z organizmu. Uniesieniu towarzyszył żal, bo jednocześnie ujrzała, iż nawet cud ma swoją cenę. A nie mogła jej nie zapłacić... Wykrytą sekwencję elektrochemiczną posłała do czekającej sieci współoddziaływać, do komputera z ciała i z krwi, do żywego laboratorium jej organizmu, czekała na swym końcu pasma blasku wiążącego ją z Nią...

A po zakończeniu sekwencji poczuła, iż jest, równie nieubłagane jak poprzednio, bez liczenia się z jej wolą, przywoływana do powrotu w istnienie na końcu Przekazu. Gdy jednak połączenie osłabło, splątało się, wyrzuciło na nice, niby matczyne błogosławieństwo zabrała ze sobą echa świetlistej muzyki...

– Moon... – Otoczyły ją głosy, zbyt namacalne, zbyt prawdziwe, podobnie jak trzymające ciało ręce, kolory nieskończonego zakresu przeszły w bezbarwne światło dnia. – Matko... – szepnęła – dziękuję ci, Matko... – Uświadomiła sobie, że klęczy, pozwoliła sobie opaść do przodu, poczuła na policzku miękkie włókna ręcznie tkanego dywanu.

Wewnątrz niej nadal coś się działo, kończyły się molekularne przemiany równie głębokie jak te, których doznała po zakażeniu wirusem sybilli, przekształcenia równie nieodwołalne...

Podniosła się pomimo oszołomienia i osłabienia; ujrzała przed sobą zatroskane, niepewne oczy Merovy.

– Moon, dobrze się czujesz? – mruknęła Merovy, łagodnie, niemal niechętnie dotknęła jej ramienia.

Kiwnęła głową, usiadła prosto, potarła twarz, oczy.

– Och, Pani... – szepnęła, niezdolna do powiedzenia czegoś więcej, gdy z przestrzeni bezkształtnego promieniowania w królestwo spójnej myśli docierało zrozumienie za zrozumieniem. Powoli dopuszczała do siebie świadomość, że będzie żyć, że została wysłuchana, że otrzymała odpowiedź na swe modlitwy... dużo wolniej zaczęła dostrzegać, co jeszcze musi zrobić; stopniowo ogarniała cenę, jaką zapłaciła. Pozbawiona sił siedziała nieruchomo, zdołała w końcu na tyle zebrać myśli, by powiedzieć: – Merovy... przynieś swój zestaw medyczny.

Merovy wypełniła prośbę. Clavally i Danaquil Lu znaleźli się za Królową, podparli ją.

– Masz strzykawkę? – zapytała Moon. – Dużą, do pobierania krwi. – Dziewczyna przytaknęła. – Zaczerpnij trochę mojej. Przetocz w żyły Reede'a. Woda śmierci umarła.

Moon wstała, poczuła zawroty głowy, poczuła palenie żył, jakby krew się gotowała. Clavally i Danaquil Lu wstali także, nadal ją podtrzymywali. – Reede – powiedziała; zobaczyła, że wpatruje się już w nią pełnymi bólu oczyma, że boi się nadziei.

Merovy podniosła wzrok znad sprzętów medycznych.

– Ale...

– Moon – powiedziała Clavally – w ten sposób zarazisz go wirusem sybilli.

Moon pokręciła głową, spojrzała na nich.

– Nie zarażę – powiedziała słabo. – Już nie jestem sybillą.

– Nie jesteś sybillą... – Danaquil Lu urwał.

Clavally rozwarła szerzej oczy. – Myślałam, że to niemożliwe – mruknęła.

– Nie – powiedziała Moon, zanosła się drżącym śmiechem. – W tym miejscu wszystko jest możliwe. – Podeszła do łóżka

Reede'a. Merovy uczyniła to także, pobrała krew z jej ramienia. Moon patrzyła z dziwną obojętnością, jak płynie ciemnoczerwona ciecz, niemalże czuła rozczarowanie, iż nie lśni niezwykłym blaskiem.

Merovy obróciła się ku Reede'owi, trzymając w ręku strzykawkę; Moon dostrzegła, jak drży lekko, patrząc na niego. Dziewczyna uniosła głowę, jej oczy przypomniały Królowej, że nikt nie zdoła przywrócić życia ich synowi i mężowi.

Moon odwróciła wzrok.

– Pani... – szepnął Reede. – Czy to prawda...? – Uniósł rękę, sięgnął po jej.

– Tak. – Zacisnęła w pięści opuszczone wzdłuż boków ręce, jakaś rozpacz nie pozwalająca jej wziąć dłoni Reede'a. Mimo to wyciągnęła swoją, łagodnie objęła palcami spuchnięte ciało. Trzymała mocno ramię, podczas gdy Merovy, zaczerpnąwszy głęboki oddech, żeby się uspokoić, wstrzyknęła krew w siną, wypełnioną trucizną żyłę.

Reede zeszytniał, wydał dźwięk, od którego Moon zadrżała. Gdy igła opuściła jego ramię,

mruknął coś w nie znanym jej języku. Potem ciało mu opadło, uchwyt dłoni osłabł, palce wysunęły się z jej ręki.

Moon popatrzyła na Merovy, ujrzała, iż dziewczyna sprawdza puls.

– Jeszcze żyje, Moon... – mruknęła. Królowa parsknęła krótkim śmiechem, na poły z ulgą, na poły z gorzką ironią.

Moon wzięła bezwładne, zwisające ramię Reede'a, ułożyła je delikatnie na łóżku. Odwróciła się, zachwiała niespodziewanie, gdy opanowały ją powstrzymywane dotąd reakcje. Zrobiła krok. Czekające ramiona Jerushy złapały ją w chwili upadku,, niczego więcej nie pamiętała.

WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7

– Coś taki rozradowany – powiedział Sinobójca, gdy Gundhalinu wypełził ze swej skrzypiącej chaty, ciągnąc plecak z wyposażeniem.

Gundhalinu wstał sztywno na nogi, zaparł je przeciwko silnym podmuchom wiatru, osłonił oczy przed pędzącymi drobinami popiołu i żużlu, oślepiającym blaskiem zachodzącego słońca. Dziś ledwo zauważał kąsanie mroźnego powietrza, wbijający się w skórę pył. Czuł, że się uśmiecha, nie mógł tego powstrzymać.

– Miałem w nocy miły sen – powiedział. Z nawyku nadal nazywał "nocą" porę spoczynku, choć w istocie wypadła ona w dzień: przez większość tego czasu słońce kryło się za Wielką Niebieską, zsyłając na planetę czarny mrok i przejmujący chłód. Pracowali nocami, w wiecznym półmroku pochodzącym od odbitego przez Wielką Niebieską blasku. Prawdziwe światło dzienne widać było jedynie podczas kilku ulotnych minut wschodu i zachodu słońca. Spojrzał na słońce, czując ogarniającą go wizję złotego światła i jej głos szepczący: Śpij, ukochany... wkrótce... – Miły sen – mruknął.

– Pewnikiem – wymamrotał Sinobójca, drapiąc się po brodzie. Gundhalinu przywykł stopniowo do jego niewyraźnej mowy, rozumiał go teraz bez większego trudu. – Inaczej pomyślałbym, Zdrado, żeś zwariował. Tylko pomylenieć uśmiecha się tu podczas pracy. I poza nią... – Wzruszył ramionami. – Miłe sny mogą być dobrymi wróżbami. Może znajdziemy dziś świeże żniwo.

Gundhalinu westchnął, nałożył plecak.

– Oby – powiedział, wsadzając do ust przydziałowy suchar. Zwykle wstawał pierwszy, gotowy czekał na innych, chciał w ten sposób uniknąć zmiennych humorów Sinobójcy lub nieprzychylnych uwagi Piractwa. Dziś jednak zasnął, rozgrzany i ukojony oszałamiającą rzeczywistością snu, choć raz nie tęsknił do pory pracy, przerywającej zimne, nieokreślone godziny czasu odpoczynku.

Żuł i łykał, podczas gdy Sinobójca przyglądał mu się obojętnie. Sądząc po smaku i konsystencji, jadł sprasowany pył, ale suchary utrzymywały go przy życiu, uznawał je więc za odżywcze. Spłukał ich smak łykiem wody z manierki. Przeważnie po jedzeniu czuł jeszcze większy głód, podobnie jak po przebudzeniu ze snu czuł się bardziej pusty.

– Idziemy.

Sinobójca chwycił linę sań i szarpnięciem wprowadził w ruch, Gundhalinu pchał je z tyłu. Płozy piszczwały w nie kończącym się proteście, gdy kierowali się przez obóz w stronę pozbawionej życia równiny. BZ zerknął na mijaną chatę Piractwa, robił tak podczas każdej zmiany; obok drzwi zobaczył martwą roślinę, uschniętą sadzonkę w naczyniu pełnym popiołu. Piractwo ukradł nasionko podczas odwiedzin warowni na obwodzie, starali się je wyhodować. Wypuściło kiełek, jak nadzieję... i podobnie jak ona uschnęło i zamarło. Było tu za mało słońca, by umożliwić fotosyntezę. Jedynymi zdolnymi do przeżycia formami życia były bakterie i pasożyty wewnątrz ciał ludzi.

– Śniła ci się twoja kobieta? – zapytał Sinobójca w chwili, gdy Gundhalinu zaczął już myśleć, że tego nie robi. BZ rzadko odzywał się z własnej woli; po tym, co spotkało go po przybyciu, nie opuszczała go ciągła obawa, że po wypowiedzeniu przypadkowej uwagi nawet Sinobójca może się nagle nań rzucić i złamać kark.

– Tak – odparł, czując, jak brzmienie jej głosu napełnia go ponownie wizją barw, których nazwy niemal już zapomniał w pozbawionym kolorów półmroku. Nie widział jej twarzy, lecz mimo to zdawała mu się bardziej realna niż kiedykolwiek przedtem, nie licząc chwil miłości w czasie Nocy Masek, kiedy to połączyli się wreszcie w niezwykłym sprzęgnięciu dusz, które wyniosło ich poza więzy czasu. – Powiedziała, że będę wolny, wkrótce...

– Po jakimś czasie to minie – powiedział Sinobójca, patrząc na niego z mieszaniną niechęci i litości. – Oby jak najszybciej.

Gundhalinu nic nie odpowiedział, skupił się na wewnętrznym widzeniu. Zmrużył oczy przeciwko kłującej rzeczywistości miotanego wiatrem piasku.

Trudnymi do obliczenia godzinami wędrowali przez przesuwające się wzgórza i doliny, przemierzali pokryte żuzłem równiny terenu brygady, wokół znanych im jam znajdowali skąpe zbiory. Nie rozwinął jeszcze w sobie, posiadanego przez innych członków grup roboczych, niesamowicie dokładnego poczucia czasu, które mówiło im, kiedy rozpoczynać pracę, kiedy jeść, kiedy spać. Piractwo powiedział mu, że ciało człowieka ma własne rytmy, lecz nigdy przedtem nie musiał się w nie wsłuchiwać.

– Przestań pchać – powiedział Sinobójca nagle. – Muszę się odlać.

Gundhalinu zatrzymał się od razu, był bardzo zadowolony z odpoczynku, choć postanowił, że nigdy nie będzie o niego prosił. Tym razem, zamiast osunąć się na ziemię, wspiął się na grzbiet wzgórza, popędzał go niepokój, odczuwany od chwili przebudzenia. Błyszczący dysk Wielkiej Niebieskiej wisiał nad nim jak oko olbrzyma, przyglądał się każdemu jego ruchowi, podobnie jak on sam jako chłopiec przypatrywał się na Kharemough owadom walczącym na szarych kamieniach zalegających posiadłość. Po podniesieniu głowy dostrzegł przelatujący pojazd strażniczy, jego światła przypominały migoczące wysoko w górze gwiazdy.

Popatrzył w dół, osłaniając oczy, przeszukiwał horyzont pod grzbietem wzgórza. Dostrzegł w oddali pióropusz kurzu wskazujący posuwanie się innych sań, przemierzanie ich terenu przez kolejną parę roboczą, prawdopodobnie składającą się z Piractwa i Kontraktu.

Pod nogami zadrżała mu ziemia. Zachwiał się, utrzymał na nogach jedynie dzięki szczęściu. Widział tylko własne nogi, aż się przekonał, że jest znowu bezpieczny. Znieruchomiał, patrząc na stok otwierającego się przed nim wąwozu. W miejscu, gdzie go nigdy przedtem nie było, zobaczył ostrzegawcze czarne wargi ust krateru. Przyglądał się im długo, nim zaczął dowierzać własnym oczom, potem się odwrócił.

– Sinobójca! – zawołał. – Znalazłem! Znalazłem! Sinobójca drapał się na grzbiet, ciągle się osuwając, aż wreszcie stanął obok.

– Sukinsyn – powiedział. – Znalazłeś. – Roześmiał się, Gundhalinu nigdy dotąd nie słyszał, by to czynił.

Ześliznęli się po drugiej stronie wzgórza, każdym ruchem ściągając na buty lawinę żuzli, aż dotarli do czerniejących ust nowego krateru.

– Pewnie masz dzisiaj szczęśliwy dzień, Zdrado – powiedział Sinobójca. – Patrz na to – dostało zębów. W samą porę! Po tobie... – skinął ręką.

Gundhalinu ukląkł, sięgnął do plecaka ze sprzętem. Nie zbierane dotąd kryształy leżały przed nim jak dziwny bukiet; nigdy jeszcze nie widział równie niezakłóconego wzrostu. Kamienie miały dziwny asymetryczny wdzięk, bliższy pięknu, aniżeli jakakolwiek inna rzecz spośród widzianych przezeń w tym smętnym krajobrazie. Nałożył rękawice ochronne i wyciągnął rękę, by zerwać pierwszy kolec.

Ziemia zadrżała. Stracił równowagę i runął do przodu; ręką wpadł w kryształy, połamał je i posłał w gardziel jamy. Drugi, mocniejszy wstrząs niemal sprawił, że poleciałby w ślad za nimi; gorączkowo starał się cofnąć.

Usłyszał, jak Sinobójca krzyczy coś niezrozumiałego, zobaczył, jak chwieje się i pada od nie kończących się drzeń ziemi. Ziemią, powietrzem, każdym atomem jego ciała przeszło dudnienie tak głębokie i wszechobecne, iż w pierwszej chwili nie rozpoznał jego dźwięku. Leżał nieruchomo,

sparaliżowany zdumieniem i strachem, aż Sinobójca doczołgał się do niego, szarpnął brutalnie.

– Wiej! – Ryknął. – Wspinaj się! Szybko! Nie ma na co czekać...

Gundhalinu poczuł, jak ożywa jego instynkt, stawia go na kolana. Ciało pchało go w górę zbocza, jakby tkwił wewnątrz maszyny, nad którą nie ma władzy.

Wzgórze wznosiło się i opadało, kołysało pod nim, jakby było statkiem na morzu, rzucanym na okrutny ląd. Zaklął, poczuwszy, że zaczyna się osuwać po stoku.

Z tyłu i w dole usłyszał krzyk Sinobójcy. Przetoczył się, by lepiej go widzieć, zdążył zauważyć, jak szarpana mękami ziemia pęka wzdłuż dna wąwozu, wypływając dymy i popioły, połykając cenny krater. Oraz Sinobójcę, osuwającego się ku nagłemu rozdarciu rzeczywistości.

Gundhalinu opadł na brzuch, ześlizgnął się w dół dymiącego zbocza, aż złapał kostkę Sinobójcy. Leżąc plackiem, nogi i wolną rękę wbijał w powierzchnię ziemi.

Trzymaj! – zawołał, nie wiedząc, czy jest słyszany, czy sam siebie słyszy.

Zamknął oczy, zacisnął zęby, wciskając ciało w stok, powstrzymywał osuwanie się w dół, podczas gdy pod nim, nad nim i wszędzie wokół planeta zdawała się rzucać w gigantycznych atakach.

Wreszcie, po upływie czasu, który włókł mu się nieskończenie długo, zrozumiał, że ziemia się uspokoiła, że uszu nie wypełnia mu ryk przypominający głos chtonicznego bóstwa, że odbierane hałasy i ruchy są tylko echemi rozbrzmiewającymi w umyśle. Że prawdziwy jest tylko jego strach. Leżał tam, zbyt zmęczony, aby choćby podnieść głowę, czując nogę Sinobójcy zaciśniętą wewnątrz kurczowego uchwytu osłoniętej rękawicą pięści, aż minął nawet lęk, pozostawiając mu w głowie jedynie pustkę białą jak pola śniegu. I zobaczył jej włosy, jak pola śniegu, opadające na twarz, na ramiona, skórę przejrzy sta jak światło księżycy, zobaczył oczy jak mgła i agaty...

– Zdrada! – Ktoś szarpał nim, wykrzykiwał imię – to, co je teraz zastępowało, jakby nigdy nie nosił innego; jakby nigdy nie miał innego życia. Pokręcił głową, niepewny teraz niczego, poza tym, że Sinobójca jest obok, podnosi go, próbuje otrząsnąć z odrętwienia. Chrząknął, plując żużlami i popiołem, trąc twarz, poczuł szorstkość podartej skóry. – Bogowie... – wychrypiał. – Nic ci nie jest?

Sinobójca przytaknął, wskazał głową na rozwartą ranę w ziemi, odległą zaledwie o dwa metry.

– Nic... – Wytarł rękawem czoło. – Na Hanu, Ukryty zastawił tym razem dobrą pułapkę! – Głos mu posmutniał, gdy spojrział w miejsce, gdzie kilka minut lub stuleci temu mieli w rękach rzecz najbliższą skarbowi na tej mrocznej ziemi. – Niech to wszyscy diabli! – Rzucił garść popiołu i spojrział na Gundhalinu. Patrzył długo i BZ usłyszał w jego milczeniu słowa, jakich nie pozwalały wypowiedzieć nie zaleczone wspomnienia.

Gundhalinu kiwnął głową. – Zobaczmy lepiej, czy jeszcze mamy sanie – mruknął, patrząc na szczyt wzgórza. Zmusił się do wspinaczki, osuwał się równie często, co posuwał naprzód, ciało miał rozbite wstrząsami. Sinobójca podążał za nim, razem osiągnęli wierzchołek grzbietu. Załadowane dzisiejszym urobkiem i większością ważnych zapasów sanie leżały w dole, przewrócone na bok, lecz całe. Westchnął.

Sinobójca chrząknął z zadowoleniem, stanął prosto. Obejrzał się, zerknął w dół stoku, znowu popatrzył na Gundhalinu.

– Zdrado, zrób coś dla mnie. Nie miej więcej żadnych snów. – Pokręcił głową i zaczął schodzić z wzgórza.

Gundhalinu po raz ostatni obejrzał się przez ramię. Potem, w milczeniu, ruszył za Sinobójca.

TIAMAT: Krwawnik

Spadanie...

Moon otworzyła oczy, zdławiła okrzyk przerażenia, ujrawszy, że jest w swym własnym świecie, we własnym łóżku. Usiadła, przyciskając ręce do piersi, poczuła, że jej spadek z niesamowitej wysokości zatrzymał się w połowie, przestał istnieć.

Pochyliła się do przodu, oparła głowę na dłoniach, odetchnęła głęboko... przeszła ją radość, iż nie śni i żyje, minęła po chwili, gdy przypomniała sobie, kim jest.

Przysunęła się do skraju szerokiego łóża, odsunęła pościel i spuściła nogi. Nagły przemożny powrót pamięci pchał ją do jakiegoś bezmyślnego pośpiechu. Zamarła w połowie ruchu, zapatrzyła się z jedną nogą spoczywającą na futrzanym dywaniku przy łóżku.

Krzesło w drugim końcu pokoju zajmował Reede Kullervo, przyglądał się jej w milczeniu. Odwróciła od niego wzrok, rozejrzała się po komnacie, szukając innych.

Pokręcił głowę z cieniem uśmiechu.

– Jestem tylko ja, Pani. I nie mam sił, by wpaść w kłopoty, bo inaczej PalaThion przywiązałaby mnie do krzesła. – Wzruszył ramionami, uniósł ręce. – Chciałem być przy twoim przebudzeniu. Żebyś wiedziała.

Moon przycisnęła dłonie do ciała okrytego nocną koszulą.

– Jak się czujesz? – zapytała słabym głosem. Reede miał na sobie luźną samodzielną bluzę i bezkształtne spodnie; zdziwiła się, jak bardzo przypomina Tiamatańczyka. Mógłby uchodzić za wyspiarza.

– Podle – powiedział z nieśmiałym uśmiechem. – Ale znacznie lepiej niż wczoraj. Twoja szczepionka przerwała rozpad mych komórek. Muszę teraz bez jej pomocy wyleczyć wszystko, co mi zostało. Muszę wyleczyć mnóstwo rzeczy... – Nagle opuścił wzrok. – Niektórych nigdy nie zdołam. – Znowu uniósł głowę, spojrzał oczyma przejrzystymi i głębokimi jak morze. – Nie rozumiem, dlaczego... dlaczego to dla mnie zrobiłaś. Bogowie, sam uważałem, iż zasługuję na śmierć! Umysł sybilli... – Nie dokończył.

– ...zmienił zdanie – powiedziała Moon cicho. – I może swój punkt widzenia.

Reede przesunął po włosach niespokojnymi dłońmi.

– A ty? PalaThion powiedziała, że Vhanu zażądał, byś mu mnie oddała. – Dostrzegła wracającą do jego oczu dręczącą wiedzę. – Że od ciebie tylko zależy, czy zostanę,

– Twoje przybycie, Vanamoinenie, wyzwoliło mnie z okowów – mruknęła. – Po raz ostatni tak cię nazywam... – dodała, gdy spojrzał ze sprzeciwem. – Dałeś mi rodzaj wolności. Chcę dać ją tobie, na ile tylko zdołam. Możesz tu przebywać, pod moją opieką, jak długo zechcesz. – Patrząc na niego, wykręcała palce.

– Dziękuję szepnął. Nie podniosła wzroku. Po chwili zapytał: – To prawda, że nie jesteś już sybillą?

Kiwnęła głową, przyznając to, poczuła się dziwnie zagubiona, jakby utraciła cumy i dryfowała z przypiływem.

– Możesz mi wybaczyć? – zapytał ledwo słyszalnym głosem.

– Zawsze pragnęłam być sybillą. – Uniosła głowę. – Ale to rodzaj wolności... – Wewnątrz siebie czuła nadal żywe wspomnienia wszystkiego, czego dokonała i co widziała poza wrotami czasu, wiedziała, że nigdy nie osłabną. Na tyle jej pozwolono, to otrzymała jako dar pożegnalny. – To Ariele powinienś prosić o wybaczenie.

Skrzywił się i kiwnął głową. Wyobrazila sobie Ariele, krążącą w kosmosie w trumnie stacji,

ukrytą w statku przykutym do planety niewidzialnym łańcuchem grawitacji; jej życie przykute było czymś znacznie bardziej kruchym.

– Reede, jak szybko możemy ściągnąć Ariele, żeby ją – wyleczyć?

Pokręcił głową. – Nie zdołasz, Pani. Nie teraz. Vhanu ma mój statek. Jeśli będziemy mieli szczęście, to nie każe go przeszukać, wiedząc, że tu jestem. Gdyby się o niej dowiedział... – Nie dokończył.

Moon odetchnęła głęboko. – Bogini! – Usłyszała drzenie swego głosu, poczuła, jak traci z trudem osiągnięte opanowanie. – Kiedy to się skończy?

Spojrzał na nią, rozumiała, że kryjący się za tymi oczyma człowiek przygląda się jej z dwóch miejsc.

– Nigdy się nie skończy... – mruknął. – Nie może. Po to istniejemy, ty i ja. Wzięliśmy w ręce zerwane końce czasu i połączyliśmy wewnątrz umysłu sybilli. Dzięki nam znowu tworzy pełne koło. Pomyśl o tym, Pani! Pomyśl, co uczyniliśmy razem, ile już dokonaliśmy. Wyleczyliśmy sieć! Tysiące lat temu zapoczątkowałem proces; dzięki tobie i... mnie... – spojrzał na siebie – będzie przebiegał tak, jak należy. Już sprawiliśmy cud. Dwa... – Dotknął twarzy. Oczy mu błyszczały, pragnął, by przypomniawszy sobie, uwierzyła. – Koło obraca się ciągle – powiedział miękko. – Bądź cierpliwa. Miej wiarę. Musimy poczekać.

Kiwnęła głową i westchnęła, pod wpływem utkwionego w nią wzroku poczuła w środku przebijającą się ku światłu wiarę.

W końcu odwrócił oczy. – Będąc w Przekazie, w połączeniu z wzorcem, skontaktowałaś się z wewnętrznymi kręgami Przeglądu?

Drgnęła zaskoczona. – Tak. Zagroziłam im... sieć powiedziała, co się stanie, jeśli będzie trwała rzeź merów, i w zamian za zaprzestanie łowów obiecała dostęp do mapy gwiazdnej. Myślę, że to odwróci falę, ale nie wiem, na jak długo skutkuje...

– Zaczekajmy. – Potrząsnął głową. – Tylko tyle możemy zrobić.

Usiadła prosto, spojrzała w okno za Reede'em, wychodzące na morze przesłonięte teraz zaciągniętymi kotarami.

– Mery są znowu w wodach wokół miasta; Vhanu na nie wyruszy. Czy Jerusha wezwała statki? – Zerwała się na nogi.

– Nie musiała – powiedział Reede. Wstał z krzesła i podszedł sztywno, by odsunąć ciężkie, wyszywane zasłony. – Są chronione.

Moon zatrzymała się, nic nie pojmując, patrzyła na bezkresną szarość. Nie było ani oceanu, ani nieba; tylko sztorm, kilka ich nachodzących na siebie; niemożliwe do wyłamania okno drżało od szaleńczych ciosów fal rozwścieczonego powietrza i wody.

– Morskie płuco... – mruknęła Moon, trzymając się stołu. Reede spojrzał na nią. – Zimacy mówią tak o podobnych sztormach, kiedy to zanika różnica między morzem a niebem. – Nigdy ich nie doświadczyła, lecz znała miejscowych, którzy je widzieli. – Według Letniaków to wyraz wściekłości Matki Morza.

Reede uśmiechnął się dziwnie i dalej się przyglądał. Po chwili zerknął na okno i sztorm. – Zastanawiam się...

– Dane o posuwającym się wzdłuż wybrzeża sztormie otrzymaliśmy już kilka dni temu – powiedziała. – Groźnym sztormie. Miał on jednak skierować się na pełne morze i ominąć miasto.

– Zamiast tego szaleje nad Krwawnikiem i dąży w głąb lądu. Odnalazła siebie po raz pierwszy od wielu lat, całkowicie szczerze zrobiła potrójny znak Matki. Pomyślała nagle o Capelli Goodventure – po raz pierwszy pomyślała o niej bez bólu.

– Póki się nie uspokoi, Vhanu nie będzie mógł wysłać łowców. Do tej pory mery odpłyną kawałek drogi.

Przytaknął, znowu popatrzył na sztorm. Sama też spojrzała w tym kierunku, jakby widok ją hipnotyzował.

Drzwi komnaty otworzyły się nagle, wpadła jedna ze służących.

– Pani! – wydyszała, pochylając przeprasząco głowę. – W pałacu są pozaziemcy! Nie mogliśmy ich zatrzymać...

Za nią pojawiły się postacie w niebieskich mundurach, trzymały broń. Moon spojrzała na Reede'a, stojącego nieruchomo przy oknie, nadal przytrzymał zasłonę.

Opuściła wzrok, przy łóżku dostrzegła zostawioną przez kogoś tacę z jedzeniem. Wzięła ją, podeszła do Reede'a, nie rzucając nawet okiem na wpadających do środka napastników. Wręczyła tacę Kullervo, wcisnęła mu w dłoń.

– To wszystko. Możesz odejść – powiedziała, ponaglając go oczyma.

Reede ocknął się, zdołał wziąć jedzenie bez większej niezdarności.

– Tak, Pani... – mruknął, pochylając głowę. Wraz z tacą podszedł do drzwi, trochę kulał, chował w napięciu ramiona. Policjanci odsunęli się, pozwolili mu przejść. W ślad za nim wyszła służąca, która przybyła z ostrzeżeniem, patrzyli za nią niechętnie. Potem wzrok przybyszy spoczął na Moon. Ich miny zdradzały ciekawość i lekkie rozbawienie, gdy tak patrzyli na nią, stojącą na środku pokoju w nocnej koszuli, nie uczesaną, zmęczoną.

– Komendant Vhanu chce, by pani... – zaczął dowodzący sierżant.

Poczuła, jak nagle rodzi się w niej złość.

– Zaczekacie na zewnątrz, aż się ubiorę – powiedziała, unosząc rękę. – Już.

Zawahali się, spojrzeli po sobie z nagłą niepewnością. Potem, opuszczając broń, wyszli kolejno za drzwi, zamknęli je za sobą.

Wykorzystała czas, nie śpieszyła się do dalszego ciągu. Wybrała praktyczny strój, spodnie i tunikę o stosowanym na Kharemough kroju, lecz uszytą z tkaniny w odcieniu zieleni, który zawsze cieszył jej wzrok. Sięgnęła po koniczynkę leżącą na nocnym stoliku, zawahała się i zostawiła.

Po otwarciu drzwi zobaczyła oczekującą grupkę. Nie zwróciła uwagi na wymierzoną broń, zapytała głosem ostrym jak szkło.

– Czego chcecie? Jeśli chodzi o Reede'a Kullervo, wasz komendant dał mi słowo, że...

– Nie, Pani – powiedział sierżant. – To was mamy do niego zaprowadzić.

– Gdzie Jerusha PalaThion? – rzuciła gwałtownie. Sierżant na chwilę spuścił wzrok. – Została aresztowana. Za przeszkadzanie w wypełnianiu sprawiedliwości.

– Sprawiedliwości – mruknęła Moon. Wyciągnęła rękę. – Czy komendant Vhanu kazał mnie skuć?

Sierżant skrzywił się i przytaknął. Wszyscy patrzyli na nią, na gardło. Zdjęła koniczynkę, lecz tatuaż był nadal widoczny. Na ostry rozkaz dowodzącego wystąpił jeden z funkcjonariuszy, wziął za plecy rękę Moon i spiął więzami. Poczuła nagły zawrót głowy, nie wierzyła, że to zrobią.

Prowadzili ją korytarzami wśród oszołomionych, niepewnych spojrzeń służby pałacowej. Nigdzie nie dostrzegła Reede'a. Nie zapytała, dokąd ją zabierają.

Wraz z sierżantem i dwoma policjantami leciała poduszkowcem przez Krwawnik; ze zdumieniem i lekkim lękiem spostrzegła, iż mijają siedzibę Policji i bez słowa wyjaśnienia kierują się dalej – poprzez Labirynt, Dolne Miasto. Przypomniała sobie Arienrhod: swą matkę, drugie ja; jej ostatnią drogę po śmierć. Arienrhod próbowała zmienić swój świat, wystąpić przeciwko pozaziemcom... zakończyło się to podobną do tej podróżą. Leżał przed nimi tylko jeden możliwy

cel... a za murami Krwawnika szalał sztorm.

Zatrzymali się wreszcie u szczytu pochylni prowadzącej do portu, ponaglono Moon, by wysiadła, gdy tylko uniosły się drzwiczki pojazdu. Posłuchała, z rękoma skutymi za plecami poruszała się niezdarnie. Zachwiała się pod uderzeniem wiatru, jeden z policjantów złapał ją, podtrzymał. Następny podmuch rzucił ich na bok poduszkowca. Cios pozbawił ją tchu; funkcjonariusz zaklął z zaskoczenia i bólu. Nawet nie zauważyła, kiedy została przemoczona do suchej nitki.

Wokół zebrali się pozostali, razem ruszyli do przodu, szli pod pieklący się wiatr ze splecionymi ramionami, jakby przeciwko rozżłoszczonemu tłumowi. Moon nic nie widziała w zacinającym deszczu, słyszała wycie wichury, dudnienie i huczenie pędzonych sztormem walących w nabrzeża fal. Czowała, jak pod ciosami drży samo miasto. Woda zalała ją nagle do kostek, to morze wtoczyło się po pochylni, pokryło chodnik i cofnęło znowu.

Vhanu, w towarzystwie kilku dalszych policjantów, czekał na nich w wartowni mieszczącej się z boku pochylni. Prowadzący Moon skwapliwie wcisnęli się do środka, wciągnęli ją za sobą poza bezpośrednie uderzenia wichury. Wiatr jednak wdarł się i tam, zalał wszystkich nowymi potokami deszczu i piany, rozwiązał jej włosy, zasłaniał oczy.

Vhanu przecisnął się między podwładnymi, aż stanął tuż przed Moon. Coś w jego oczach sprawiło, że zapragnęła uciec.

Została na miejscu, choć pogwałcił jej przestrzeń, podszedł zbyt blisko, zagroził jej fizycznie pod pretekstem uczynienia siebie lepiej słyszalnym.

– Czego chcesz? – przekrzyczała wrzaski i jęki wiatru. – Po co tu jestem?

– To! – ryknął. Złapał ją boleśnie za ramię, obrócił, przecisnął między ciałami obecnych do szerokiego okna wartowni. Dostrzegła niewyraźnie schodzącą w dół, nikiącą w oceanie groblę. Nie było widać nabrzeży ani statków – jedynie morze, pokryte wszelkimi śmieciami. Na jej oczach kolejna fala rozbiła się o podpierające miasto wieże; jej grzbiet o mało co nie liznął podbrzusza Krwawnika, znajdującego się piętnaście metrów ponad najwyższym poziomem przyływu. Poczowała ponownie, jak wszystko zatrzęsło się od uderzenia; zobaczyła jeszcze wodę wlewającą się po pochylni w otwarte gardło miasta, nim niesiona wichrem piana pokryła okno, przesłaniając wszystko. Zimna woda jeszcze raz zalała jej kostki i wycofała się.

Moon odwróciła się prosto w fanatyczną furię wzroku Vhanu, widok jego twarzy bardziej nią wstrząsnął, aniżeli potęga sztormu.

– Masz z tym skończyć! – zawołał, wskazując na szalejący za nią żywioł.

Popatrzyła na niego, poczuła, że uwaga obecnych skupiła się nagle na nich dwojgu. – Co? – zawołała.

– Skończ z tym! – Pociągnął ją znowu do drzwi wartowni; poczuła, jak pełna moc sztormu ogarniają, pieści, próbuje przymilnie namówić, by wpadła w ramiona jej wściekłości. Moon spróbowała się odwrócić, lecz Vhanu przytrzymał ją w miejscu, pozwalał wicherze zalewać i lżyć ich oboje. – Słyszysz! Zrób to zarazi

Obróciła głowę, by ujrzeć go wyraźniej.

– Nie potrafię!

– Nie kłam! – rzucił z pasją. – Wpływasz wolą na zasilanie miasta! Zrobiłaś zdrajcę z Gundhalinu! Mówią nawet, że jesteś wcieleniem starej królowej. A teraz wywołałaś sztorm, żeby nie dopuścić mnie do merów! Zniszczyłaś dobrobyt swego ludu! Niech cię diabli, trybunał po przybyciu zastanie Krwawnik w stanie chaosu! Jest już na orbicie, ale nie może nawet wylądować. Kim jesteś, jakąś czarownicą? Jak to robisz? Skąd to się bierze?

Pokręciła głową, odrzuciła do tyłu przemoczone włosy, wciągnęła głęboki, rwany oddech, gdy

wiatr wyszał powietrze z jej płuc. Roześmiałaby się, tak bardzo była zaskoczona, gdyby nie wiedziała, iż wierzy w każde słowo. Och, Pani, pomyślała, Pani, Pani... Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

– Nikt nie jest w stanie zatrzymać sztormu! – krzyknęła. – Kieruje się, gdzie chce!

– Przyznajesz, że go wywołałaś?

– Nie! – krzyknęła.

Znowu złapał ją za ramiona, tak mocno, że zostawił siniaki.

– Zakończ sztorm, bo każę stacji orbitalnej ostrzelać miasto! Nie możesz! Przelknęła cisnące się na wargi słowa, dostrzegła na twarzy Vhanu coś w rodzaju paniki.

– Nie możesz... – powiedziała, nie w sprzeciwie, lecz groźbie. Gniewna odpowiedź utknęła mu w gardle.

– Dlaczego? – zawołał, nadal ściskając jej ramię. Potrząsnął Moon; miasto zadrżało pod nimi, zimna woda wspięła się po ich nogach i odpłynęła, pozostawiając stos śmieci.

– Twoja broń zawiedzie – powiedziała, z nagłą twardością wytrzymując jego spojrzenie. – Nie trafi w cel. Jeśli spróbujesz ostrzelać Krwawnik, spudłujesz. Może zamiast niego rozwalisz port gwiazdny, jeden ze swych statków albo...

Zaklął. Nie wiadomo skąd wystrzeliła jego ręka, uderzyła Moon w twarz, zwała na chodnik opanowany wiatrem i deszczem.

Bez pomocnych dłoni udało się jej jakoś dźwignąć na nogi i wstać; sztorm przewrócił ją znowu, oszołomioną bólem. Za sobą słyszała sprzeczące się gniewnie niezrozumiałe głosy. Obok wyrosli nagle dwaj policjanci, wciągnęli Moon do względnego schronienia wartowni.

Podtrzymywana przez funkcjonariuszy, dyszała ciężko, w ustach czuła krew. Dwaj inni odciągali od niej Vhanu. Miasto zadrżało od kolejnego ciosu. Jakiś oficer mówił pośpiesznie do komendanta w jego własnym języku; Moon nie słyszała jego słów. Wściekłość powoli opuszczała napięte ciało Vhanu. Strażnicy puścili go i odeszli do tyłu. Popatrzył na nią, oczyma złożył w ofierze, szarpiąc przemoczony, pomięty materiał rękawów munduru.

– Zabrać ją – powiedział bezbarwnym głosem. – Zamknąć.

Trzej policjanci zaprowadzili ją do poduszkowca i przetransportowali w górę ulicy do dowództwa Policji. Nie odzywali się, lecz traktowali ją uważnie, niemal przepraszająco. Oszołomiona, wyczerpana Moon kulila się w rogu siedzenia, przyciskała do okienka, unikała ich wzroku. Miasto było prawie puste. Zastanawiała się, czy ze względu na stan wyjątkowy, czy też ludzi zatrzymywał w domach przerażający sztorm, szarpiący przejrzyste mury zamykające wyloty wszystkich uliczek. Zastanawiała się ze znużeniem, jak zareagowałiby, widząc ją teraz... nie potrafiła rozwinąć tej myśli. Była niewidzialna dla paru osób, które odważyły się na wyjście, osłaniały ją lustrzane okna pojazdu Policji.

Wreszcie dotarli do Sinej Alei. Wśród pół setki zdumionych spojrzeń poprowadzono ją przez wartownię i zabrano do leżącej w głębi celi. Wokół były inne, przypatrywała się im, szukając Jerushy, ale wszystkie ziały pustką. Strażnicy zdjęli więzy z bolących nadgarstków Moon i zostawili ją samą, zamkniętą za przejrzystą ścianą, iskrzącą się przy dotyku.

Cela była zimna; zaczęła się trząść, tak od przeżyć, jak i przygniatającego ucisku mokrej odzieży. Dłonią wytarła krew z kącika ust; popatrzyła na lepłą czerwień, nie wiedząc, co z nią zrobić. Dostrzegła wąską pryczę wzdłuż ściany, ze złożonym u jej stóp pojedynczym kocem. Moon owinęła się nim i położyła, odrętwiała z wyczerpania. Jej myśli były równie puste, co całe wnętrze. Zamknęła oczy, pozwoliła umysłowi i ciału uciec w zapomnienie.

Przebudziła się z niespokojnego, pełnego koszmarów snu, by naciągnąć koc; drżąca z chłodu

ocknęła się ponownie po kilku dalszych gorączkowych snach. Czas mijał niepostrzeżenie, stopniowo zapadała w coraz głębszy, spokojniejszy, mniej zakłócany sen.

Gdy wreszcie się obudziła, myśli miała już jaśniejsze. Usiadła, odrzucając koc, opanowana przez nagłą słabość, oparła się plecami o ścianę. Usta miała spękane i suche, uświadomiła sobie, że wyczerpanie jest częściowo skutkiem głodu i pragnienia. Tuż przed zaporą zamykającą celę zobaczyła talerz z jedzeniem. Nie wiedziała, jak długo na nią czekało; nie potrafiła określić, ile czasu minęło.

Moon wstała z pryczy, zdołała podnieść talerz i kubek wypełniony nie znanym jej napojem. Zdążyła usiąść, nim opanował ją zawrót głowy, czekała nieruchomo, podczas gdy serce waliło jej w piersi. Potem zaczęła wolno jeść, smakując każdy kęs prosto przyrządzonej miejscowej potrawy; odwlekała chwilę, w której będzie musiała pomyśleć o czymś innym.

Gdy skończyła, jej umysł był już w stanie funkcjonować. Ubranie miała suche, uporządkowała je, jak mogła. Odrzuciła do tyłu skłębioną masę włosów, splotła je w długi warkocz. Zauważyła, iż na pryczy leżą teraz dwa koce, choć przedtem był tylko jeden. Ktoś tu wszedł, zatroszczył się o nią podczas snu.

Wstała ponownie i podeszła do przodu celi, zawołała. Odpowiedziało jej tylko echo. Podejrzewała, iż jest obserwowana, przypomniała sobie chorobliwy strach Vhanu przed nią; lecz cały areшт sprawiał wrażenie, że nie ma w nim żywego ducha. Odosobnienie musiało być zamierzone. Komendant musiał zarządzić, by nikt pragnący jej szukać nie wiedział, gdzie przebywa.

Dotknęła siniaka na policzku, śladu ciosu Vhanu, poczuła przejmujący ją, nie mający nic wspólnego z temperaturą powietrza chłód. Dlaczego tu jest? Co zamierza z nią zrobić? Czy każe ją deportować, nim ktokolwiek się dowie, tak jak uczynił to z BZ? Choć gdyby miał taki zamiar, już by go wykonał.

Wróciła do pryczy i usiadła, opanowując nagłe zdenerwowanie i złość na własną bezradność. Pomyślała o Ariele... próbowała przestać, gdy oślepił ją ból. Rozważała, czy Jerusha jest nadal więziona, tu czy gdziekolwiek; czy Vhanu kazał przeszukać pałac, czy zabrali Reede'a. Jeśli PalaThion nie jest na wolności, nikt nie zdoła nic zmienić, przeszkodzić czemukolwiek, pomóc jej się stąd wyrwać... Kołysała się powoli, zacisnęła w pięści ukryte w fałdach ubrania dłonie.

Pomyślała nagle o trybunale, według Vhanu przybywającym tu, by wybrać między jego a jej wersją prawdy. Cóż takiego powiedział wśród zalewu oskarżeń padających podczas sztormu? Są tutaj, ale nie mogą wylądować.

Czy trzymają, by ukazać jako wroga Hegemonii, przyczynę upadku Gundhalinu? A może po prostu posiedzi tu pod kluczem, nie mając możliwości przemówienia, dopóki nie odlecą, dzięki czemu Vhanu pozostanie górą? Co się z nią stanie, gdy spróbuje siłą wydobyć z niej prawdę...? Pozwoliła płynąć myślom, z których wszystkie były daremne, przepelniające lekkiem; dała układać umysłowi wszelkie możliwe scenariusze. Przebierała wśród nich jak między paciorkami naszyjnika, szukała wyjścia z każdego, ponieważ tylko to mogła teraz robić swobodnie.

W końcu usłyszała echa głosów i kroków, uświadomiła sobie, że wkrótce się dowie, jaki przypadnie jej los.

Wstała, ponownie poprawiła zmięte ubranie, po chwili przyszli strażnicy, by zabrać ją z celi – tym razem inni niż ci, którzy widzieli, jak ich komendant uderza bezbronnego więźnia.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała spokojnie, gdy zakuwali jej ręce za plecami.

– Do portu gwiazdowego – odpowiedział jeden ze strażników.

– Po co?

– Rozkaz komendanta. – Bez dalszych wyjaśnień powiedli ją ponurymi korytarzami i

wyprowadzili z gmachu.

Morskie płuco się skończyło; za ścianą przeciwsztermową na końcu uliczki widziała czyste, dzienne niebo. Zastanowiła się przelotnie, jak jej poddani poradzi sobie z kataklizmem – ilu ludzi zostało zaskoczonych poza bezpieczną osłoną murów Krwawnika, odniosło rany lub zginęło w oszalałych wodach. Przypomniała sobie widziany pod miastem port, przesłonięty całkowicie wściekłością morza i kotłującymi się resztkami. Wyobraziła sobie ludzi, którzy już tam są, na nabrzeżach i wzdłuż brzegu, sprawdzają, co zostało po nawałnicy, szukają tych, którzy przeżyli. Nie wiedziała, czy w takim zamieszaniu zauważyli w ogóle jej zniknięcie. Ludzie z pałacu wiedzieli, że została zabrana przez Policję; miejscowe siły porządkowe na pewno wiedziały, iż Jerusha jest więźniem Hegemonii. Wieści się rozejdą...

Ale sztorm, który ocalił mery i pchnął Vhanu do tego aktu zemsty, może w rezultacie wyjść mu na korzyść, ponieważ porządkowanie po nawałnicy pochłonie wszelkie siły, które Tiamatańczycy mogliby wykorzystać na sprzeciw. Nie miała też złudzeń, Vhanu nie spocznie, nim nie zastąpi jej przez kogoś innego, przypuszczalnie Zimaczkę. Kirard Set odszedł do Matki, lecz w mieście pozostało jeszcze wielu jego dawnych znajomych, czekających tylko na sposobność odzyskania władzy przez Zimaków. Nie było nikogo, kto miałby dość autorytetu lub wpływów, by bronić przeciwko nim prawa Letniaków...

Znajdowali się już w tunelu dowozowym, w promie, który jak igła przebijał w ciemności pierścienie światła. Wiedziała z doświadczenia, że za kilka minut przybędą do portu gwiazdowego. A wówczas...

– Czy zostanę deportowana? – nie mogła już dłużej znieść napięcia z powodu nieznanego. – Czy mam zniknąć, jak Główny Sędzia? Dokąd mnie zabieracie? Jestem Królową. Mam prawo wiedzieć. Chcę wiedzieć, gdzie mnie zabieracie!

Otoczający ją w pustym wagonie strażnicy popatrzyli po sobie.

– Pani, komendant kazał nam przywieźć cię do portu gwiazdowego. Nie powiedział po co. – Policjant po powiedzeniu tego wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Nikt więcej się nie odezwał; unikali patrzenia na nią.

Prom dotarł do stacji, strażnicy powiedli ją wnętrzem portu gwiazdowego, zaprowadzili do sali przylotów, w której kiedyś witała premiera i Zgromadzenie Hegemonii. Ogromne, zajmujące całą ścianę okno po drugiej stronie pomieszczenia ukazywało jarzące się w dole, w dali, kratownice lądowiska.

Zaskoczona weszła do sali; zobaczyła Vhanu poza wielkim, granatowym dywanem, zwracającego się ku niej. Otaczała go mała grupka dostojników rządowych, większość z nich znała. Patrzył, jak się zbliża; jego wzrok objawiał coś pośredniego między niepokojem a zadowoleniem. Pozostali przyglądali się również, ich twarze miały różne wyrazy.

Na ich widok poczuła instynktowną ulgę. Gdyby Vhanu zamierzał deportować ją potajemnie, zrobiłby to inaczej. Jeśli jednak nie o to mu chodziło, to nagle przestało ją ciekawić, czemu tu się znalazła.

Strażnicy zatrzymali ją przed Vhanu, który odpowiedział na ich salut. Unikająca jego wzroku Moon zeszytniała, gdy zobaczyła, że ktoś wchodzi do sali z drugiego jej końca.

Vhanu odwrócił się, gdy zauważył jej spojrzenie. Pozostali uczynili to również, popatrzyli na wchodzących w otoczeniu eskorty nowych przybyszy: kilku Kharemoughi obu płci, w różnym wieku, wszyscy mieli arystokratyczne rysy twarzy i bezwiednie wyniosłą postawę Techników. Część nosiła mundury, reszta dyskretne, lecz wyszukane, nie zdradzające płci stroje dobrze urodzonych obywateli. Moon u jednej z osób dostrzegła koniczynkę. Domyśliła się od razu, że to trybunał, na którego

przybycie czekał Vhanu.

Przybysze objawiali różne stopnie ulgi, zmęczenia i zadowolenia, iż wreszcie dotarli do celu swej podróży. Wszyscy z radością i pewną ciekawością przyjęli widok komitetu powitalnego.

Moon zerknęła znowu na Vhanu. Ujrzała, iż jego twarz rozpromienia się w nagłym rozpoznaniu.

– Pemattesadhul – wykrzyknął, ruszając naprzeciw idącemu na czele grupki. Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Komendant dotknął ją w przywitaniu jak równy z równym. Zaczęli szybko rozmawiać w sandhi; usłyszała, jak zwracają się do siebie per ty, zrozumiała, że są przyjaciółmi, a może nawet krewnymi.

Czekała, zrozumiawszy nareszcie swą rolę; poczuła, jak topnieje w niej nadzieja na widok Vhanu prowadzącego członków trybunału. Została tu sprowadzona jako kozioł ofiarny. Ale komendant nie odważy się zakneblować jej ust, będzie mogła mówić. Zebrała myśli, patrzyła, jak podchodzą.

– ...słuchaj, Vhanu, czy nie moglibyśmy trochę z tym poczekać? Jesteśmy wszyscy bardzo zmęczeni – sprzeciwił się Pernatte, jego początkowe ożywienie szybko minęło.

– Wybacz, że cię ponaglam – powiedział Vhanu – ale po naszej ostatniej rozmowie zaszły wypadki zmuszające nas do natychmiastowej rozmowy, nim udamy się do miasta. – Popatrzył na Moon, twarz mu stwardniała.

– Tak? – rzucił Pernatte z lekkim niepokojem. Podążył za spojrzeniem Vhanu, aż dotarł do twarzy Moon. – O co chodzi? – zapytał z głębszym grymasem.

– To ta kobieta – wskazał Vhanu – sprawiła, że muszę cię narażać na niewygodę.

Pernatte stanął przed nią. – Ta blada obdartuska? Jest Tiamatanką? Nie wygląda, by mogła spowodować jakiegokolwiek kłopoty...

– Mówi sandhi – stwierdził Vhanu.

– Och. – Pernatte spojrział uważniej na Moon.

– Jest Królową Lata.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Moon. – Komendant Vhanu nie musi za mnie mówić.

Pernatte skrzywił się znowu, patrząc na Vhanu.

– Sprowadziłeś ją tutaj jako więźnia? To drastyczny krok. W imię tysiąca przodków, co się tu zdarzyło?

– To właśnie muszę ci wyjaśnić – powiedział ponuro Vhanu. Pernatte w końcu kiwnął głową. – Mam nadzieję, że zrobisz to krótko i rzeczowo. – Nie popatrzył więcej na Moon, nie zwracał na nią uwagi. Pozostali członkowie komitetu sądowego ustawili się za nim, patrzyli i słuchali ze znużeniem i rezygnacją.

– Tak, sadhu. – Vhanu wziął się w garść. Bijące od niego i od zgrupowanych za nim dostojników napięcie było niemal wyczuwalne jako fala gorąca.

– Czy to przez tę kobietę Gundhalinu został oskarżony o zdradę? – zapytał Pernatte, jakby ciągle było mu trudno w to uwierzyć.

Vhanu przytaknął. – Jest kimś więcej, niżby się zdawało. Uważam za konieczne, by możliwie jak najszybciej została usunięta z Tiamat i nigdy nie mogła tu wrócić. Powinna trafić na Kharemough, gdzie należy dokładnie ją przesłuchać i przebadać. Przez nią Gundhalinu nie tylko zapomniał o swym pochodzeniu i popełnił kazirodztwo z inną rasą, ale też złamał zasady polityczne Hegemonii, byleby tylko zadowolić jej zabobonne, prymitywne wierzenia...

Moon zeszywniała, zrobiła krok do przodu; strażnicy cofnęli ją, gdy Pernatte powiedział: – Tak, tak, to wszystko znajduje się w raportach, ale jest suwerenną władczynią niezależnego rządu i

bez względu na to, jak odrażające wydają się nam jej działania, to trudno z tego powodu czynić ją zakładniczką...

– To nie wszystko – powiedział Vhanu tak ostro, że zwróciły się ku niemu wszystkie głowy. – Ta kobieta włada nad mocami, jakimś nie znanym nam ukrytym źródłem energii, pozwalającym jej dokonywać rzeczy, jakie powinny być niemożliwe.

Pernatte okazał pewną niewiarę. – Na przykład...?

– Siłą woli wpływa na źródła zasilania Krwawnika. Panuje nad sztormami. Przejęła kontrolę nad bronią na naszych stacjach orbitalnych, tak iż nie odważyłem się jej użyć.

– Co? – Niewiara Pernatte'a była już wyraźnie widoczna.

– Miasto jest w... zamęcie – powiedział Vhanu urywanym głosem. – Nie byłem w stanie uzyskać obiecanych przeze mnie ilości wody życia, choć – tu także kłamała – morza roiły się od merów. Uwiodła Gundhalinu i skłoniła go, by przerwał łowy na nie; a gdy przejąłem od niego władzę, obróciła przeciwko nam swych ludzi. A gdy nawet to okazało się nieskuteczne, przerwała zasilanie miasta, tak iż byłem w stanie jedynie zachowywać porządek. Gdy zmusiłem ją do przywrócenia zasilania, przywołała sztorm, który zniszczył dosłownie każdy statek stojący w porcie Krwawnika. Gdy zagroziłem skierowaniem na miasto naszej broni, jeśli nie zakończy nawałnicy, powiedziała mi, że oręż nie zadziała, że uderzy w nasz własny port gwiazdny... – Urwał, gdy zauważył minę Pernatte'a i narastający szum głosów stojących za nim ludzi. – Wiem, że brzmi to absurdalnie, że wydaje się niemożliwe; ale tak było!

Pernatte odetchnął głęboko, jakby ktoś do tej pory trzymał mu głowę pod wodą.

– To... całkowicie zaskakujące, V\anusadhu. – Odwrócił wzrok od niego, spojrzał na napięte, niepewne twarze stojących w tyle dostojników. – Czy podzielacie wszyscy tę interpretację wydarzeń...?

– Nie byliśmy świadkami wszystkich wypadków, o których opowiedział ci, wuju, komendant Vhanu – stwierdził ostrożnie Tilhonne. – Ale to, co wiemy o Królowej, potwierdza całkowicie, iż jest winna naszych trudności z uzyskaniem wody życia i że Gundhalinu wdał się z nią w romans, wpływający na decyzje podejmowane przez niego jako Głównego Sędziego, szczególnie w sprawach merów.

– Rozumiem – Pernatte ściągnął usta. Odwrócił się powoli, jakby jego ciało opierało się ruchowi, zwrócił się znowu w stronę Moon. Tym razem popatrzył jej prosto w oczy i zapytał: – Czy te pytania spotkają się z odpowiedzią? Czy są jakieś, ze strony...?

– ...Pani – dokończyła w sandhi, widząc, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak się do niej zwracać. – Mam wiele odpowiedzi, obywatelu Pernatte – użyła formy, którą na jego planecie stosowano wobec cudzoziemców. – Od czego mam zacząć? – Poczwała krew rumieniącą nagle jej twarz, gdy stała się kimś rzeczywistym dla stojących obok. Zerknęła na zimną nienawiść w oczach Vhanu, wróciła wzrokiem do skupionego Pernatte'a, gdy ten powiedział:

– Zawsze słyszałem, że źródła zasilania Krwawnika są całkowicie poza kontrolą. Czy posiadała pani tajemnicę kierowania nimi?

– Nie.

– Jak więc wyjaśni pani trwające trzy pełne doby zaciemnienie? – zapytał ostro Tilhonne. – Nie ma danych, by coś podobnego zdarzyło się kiedykolwiek w przeszłości.

– Raz w ciągu Wielkiego Roku Krwawnik jest pozbawiany zasilania – stwierdziła ostrożnie – w tym czasie jest ono odnawiane. Zdarza się to jedynie podczas Pełni Lata; Hegemonia nigdy dotąd nie była wówczas na Tiamat.

– Skąd więc pani o tym wie – zapytał Pernatte – skoro zachodzi tylko raz na dwieście

pięćdziesiąt lat?

– Mówią o tym sięgające wielu wieków tradycje mego ludu.

– Widziałem, jak na moich oczach przywróciłaś zasilanie miasta! – powiedział Vhanu.

Moon nie oderwała wzroku od Pernatte'a.

– Wiedziałam, że tak będzie. Zdarzyłoby się i bez mego udziału. Udałam, że to sprawiłam. To cały mój udział.

– I w sztormie, który spadł na miasto? – zapytał Pernatte. Pokiwała głową. – Taka była wola Matki Morza... postępek bogów, jak by pan powiedział.

Wrócił mu poprzedni grymas. – Czy ma pani możliwości wpływania na znajdującą się na orbicie broń?

Uśmiechnęła się, wreszcie spojrzała na Vhanu; nie pamiętała, by ten rodzaj uśmiechu gościł przedtem na jej twarzy.

– To było kłamstwo.

– Co? – Vhanu podszedł bliżej, powstrzymał się. – Nie! Powiedziała...

– Vhanu, czy sprawdziłeś systemy? – zapytał Pernatte.

– Nie, bałem się, że...

– Komendancie, wierzył pan w to, w co chciał pan wierzyć – powiedziała Moon, pozwalając, by w tych słowach objawił się żywny przez nią wstręt. – Chciał pan wierzyć, iż jestem – jak brzmiało to słowo – czarownicą? Że jedynym powodem, dla którego BZ Gundhalinu mógł się we mnie zakochać, było to, iż... magią wpędziłam go w namiętność. Że tylko dlatego mógł się sprzeciwić rzezi merów, bo wiodłam go na pasku. Że chroniłam je wyłącznie ze względu na przesady... że zwabiłam Gundhalinu do mego łóżka po to tylko, żeby go wykorzystywać i nim kierować. Nic... – Urwała, zrobiła głęboki wdech. Popatrzyła na Pernatte'a. – Nic – powiedziała spokojnie – nie może być dalsze od prawdy.

Pernatte przyglądał się jej dłuższą chwilę, nie dostrzegła w jego oczach zrozumienia, ale, ku swemu zdumieniu, ujrzała w nich wiarę.

– Twierdzi więc pani, że wszystko, co robiła, podobnie jak i Gundhalinu, miało na celu ochronę merów, które uważacie za rozumną rasę, a nie jedynie zwierzęta?

– Tak.

Opuścił wzrok, niespokojnie rozejrzał się po bokach.

– Szczerze przyznaję – powiedział w końcu – iż bardzo trudno przyszło mi uwierzyć, że mogą być rozumne.

Moon otworzyła usta.

– Ale... – Pernatte uniósł dłoń. – Musiałem to uznać... wszyscy musieliśmy. – Wskazał na stojących za nim członków trybunału.

Nie wiedziała, na czyjej twarzy zdumienie było głębsze, Vhanu czyjej.

– Co powiedziałaś? – zapytał komendant. – Wierzysz temu, co powiedziała ta cudzoziemka, a nie memu świadectwu?

– Nie. – Pernatte spojrzał nań zmartwionymi oczyma. – Powiedziałem, czego się dowiedzieliśmy – co uświadomiliśmy sobie w świetle nowych danych, nowych odkryć, dokonanych przez źródła nie budzące wątpliwości. – Starannie podkreślał swe słowa. – Doprowadziło to do przekształcenia polityki Hegemonii. Centralny Komitet Koordynacyjny zmienił swe stanowisko w sprawie statusu merów. Zostały one uznane za rasę rozumną. Nie będą więcej łowione i zabijane; nie będzie więcej wody życia. – Przy wymawianiu ostatnich słów oczy mu zmatowiały.

– Co? – zapytał Vhanu. – To niemożliwe! Ojcie wszystkich mych przodków, nie mogę uwierzyć!

Ponura mina Pernatte'a przeszła w niezadowolenie.

– Wiem, że to dla ciebie cios, podobnie było z nami wszystkimi. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić me słowa – mamy tu sybillę. – Wskazał na noszącego koniczynkę członka trybunału.

Vhanu pokręcił głową, odetchnął głęboko.

– Nie. To niepotrzebne. Wystarczą mi twoje słowa, Pernattesadhu... Ale jeśli nie będzie więcej wody życia, to jaki pożytek z dalszego utrzymywania kontaktów z tym światem?

– Może i niewielki – odparł Pernatte. – Chociaż zostało wykazane, iż zważywszy na małą ilość zamieszkałych planet, nie można lekceważyć żadnej, na której przetrwali ludzie. Gundhalinu, nim jeszcze został Głównym Sędzią, wykazał dogłębnie w raportach, iż pomoc w rozwijaniu naturalnych możliwości Tiamat okaże się w dalszej perspektywie przedsięwzięciem korzystnym – choć może nie przynoszącym bezpośrednich zysków. A zważywszy, że nie mamy innego wyboru... – Zwrócił się do Moon. – Pani, w świetle nowych wydarzeń okazało się, że wasz sprzeciw wobec prawa Hegemonii był uzasadniony. Można by go nawet nazwać przynoszącym zaszczyt. – Uniósł rękę. – Uwolnić ją – polecił strażnikom.

Popatrzyli na Vhanu, czekali potwierdzenia rozkazu. Moon też na niego spojrzała, zauważyła wykrzywającą mu twarz zdradę.

– Nie! – rzucił. – Na wszystkich bogów, nie może tak być! Tę kobietę trzeba pozbawić wszelkich wpływów i władzy. Musi zostać przesłuchana, zabrana na Kharemough. Jest w zмовie z pewną grupą lub potęgą...

Pernatte wystąpił naprzód i złapał jego gorączkowo machającą rękę.

– Vhanu... – powiedział cicho, lecz głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Wiem, że musisz się znajdować w stanie wielkiego napięcia. W ostatnich miesiącach musiałeś podjąć zbyt wiele trudnych decyzji, starałeś się postępować honorowo. Musisz jednak zaprzestać tej obsesji. Sytuacja się zmieniła. Ta kobieta to nie tylko sybilla, ale i przywódczyni swego ludu.

– Musi zostać zastąpiona! – nalegał Vhanu.

– Ale nie twoimi rękoma... ani naszymi. – Pernatte zacisnął szczęki. – Vhanu, sama myśl, iż taki człowiek jak Gundhalinu pozwoliłby się z własnej woli omotać przez... – zerknął na Moon – przez cudzoziemkę, jest mi równie niepojęta i odstręczająca jak tobie. A jednak wszystko się nagle zmieniło, czarne stało się białe. Jego postępowanie nie jest już zdradą, lecz... – pokręcił głową – nadprzyrodzoną mądrością. Jak można wytłumaczyć zmiany zachodzące w człowieku będącym obcym z dala od domu?

Vhanu zeszywniał, nagle zaprzestał wszelkiego oporu.

– Myślę, że postąpisz roztropnie, wracając ze mną na Kharemough, Vhanusadhu – powiedział Pernatte, ponownie obniżając głos. – Musisz odpocząć i mieć możliwość odzyskania jasności widzenia. Na pewno znajdzie się jakieś mniej wyczerpujące stanowisko, na którym lepiej się sprawisz.

Vhanu wpatrywał się w Pernatte'a w oszołomionym milczeniu. Potem zacisnął wargi i zwrócił się w stronę Moon. Nie patrząc jej w oczy, dał sygnał, by ją uwolniono.

Moon wystąpiła naprzód, masując nadgarstki. Pernatte skłonił się przed nią z pełnym szacunkiem.

– Pani, proszę wybaczyć wszelkie niewygody i poniżenia, jakie musiałaś znieść w wyniku niesprawiedliwych oskarżeń mego rządu – powiedział z doskonałym zrównoważeniem i szczerością głosu. – Proszę być pewną, że uczynimy wszystko, co będzie konieczne dla przywrócenia pomiędzy naszymi narodami poprzednich stosunków, opartych na zaufaniu i dobrej woli.

Moon wciągnęła powietrze, przetrzymała je aż do bólu płuc; w końcu zdołała powiedzieć z

równym przekonaniem:

– Przyjmuję pańskie przeprosiny, obywatelu Pernatte... pod warunkiem, że zostaną wycofane oskarżenia przeciwko Głównemu Sędziemu Gundhalinu i zostanie mu przywrócone poprzednie stanowisko przywódcy rządu Hegemonii na Tiamat.

Skinął głową bez śladu zdziwienia. – Pani, twa prośba zostanie spełniona na tyle szybko, na ile pozwala technika napędu gwiazdnego. Jestem pewien, że spotyka się ona z całkowitym poparciem wszystkich stron. – Jego uczucia zdradzało tylko ledwo dostrzegalne drganie brwi.

– Dziękuję – powiedziała Moon i uśmiechnęła się całkowicie szczerze. – W takim razie może zechce pan, wraz z członkami komitetu, wziąć jutro udział w wydanej na waszą cześć kolacji... da to sposobność omówienia dalszych zmian politycznych w miłszych okolicznościach.

Pernatte uśmiechnął się także, powoli i niemal niechętnie.

– Uczynimy to z wielką przyjemnością. – Zwrócił się do Vhanu. – A teraz zaprowadź nas, proszę, do pokoi, gdzie będziemy mogli wreszcie zaznać dobrze zasłużonego odpoczynku.

Vhanu sztywno kiwnął głową. Z twarzą zmienioną w maskę dobrego wychowania kogoś wysoko urodzonego i całkowicie pustymi oczyma odwrócił się do nich plecami i wyprowadził z sali.

WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7

To wszystko? – zapytał Piractwo, gdy Gundhalinu i Sinobójca wrzucili do kryjówki dzienny urobek.

Sinobójca wzruszył ramionami, zmarszczył brwi.

– Zdrada skręcił nogę. Opóźniał nas.

Gundhalinu sięgnął do kieszeni skafandra i wyciągnął owinięty w szmatkę kawałek janki.

– Weź – podał. – Ktoś z Czwartej Brygady zapłacił mi dzisiaj za pytanie. – Brał teraz zapłatę za każdy naprawiony sprzęt i każdą udzieloną odpowiedź. Nie chciał, by dawano cokolwiek za pytania zadawane mu jako sybilli, lecz Piractwo się uparł.

Usłyszał odgłosy zainteresowania ze strony części mężczyzn; nie wyczuwając ciepła, lecz przynajmniej pogodzenie się z jego obecnością, wręczył Piractwu paczuszkę łagodnego narkotyku, żutego przez niektórych, gdy się przyzwyczaili.

– Wzięłeś swoją działkę? – zapytał Piractwo.

Pokręcił głową. – Nie... Tak. – Usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, nagle opanowało go takie zmęczenie, że nie mógł stać. – Tak, wezmę. – Może dzięki niej zaśnie. Im dłużej tu był, tym gorzej sypiał.

Piractwo spojrzał na niego z przelotną ciekawością, opuścił wzrok.

– Dobra... Słyszeliście Zdradę. Jeśli ktoś jeszcze chce pożuć, niech buli.

Kilka pokrytych strupami brudnych rąk rzuciło na ziemię przed Piractwo części swych skąpych przydziałów. Przywódca brygady nożem podzielił skrupulatnie cały kawałek, rozdzielił. Ostatni kawałek i małą kupkę racji uroczyście podsunął Gundhalinu.

BZ zabrał wszystko, jego podrapane ręce nie odbiegały wyglądem od pozostałych. Od razu zaczął jeść, nie zwracając uwagi, czym wypełni żołądek, ledwo zauważając smak. Płonąca tarcza słońca uniosła się nad horyzont, zmuszając do przymrużenia oczu. Pozostali stojący jeszcze ludzie rozsiedli się na ziemi, przystąpili do jedzenia, gdy tylko Piractwo zamknął zamek skrzynki, przysypał ją popiołem i żuźlami.

Posilali się niemal w milczeniu, było tak po zakończeniu każdej pory pracy; mało co mieli sobie do powiedzenia i brakowało im na to sił. Jedli jednak razem, spragnieni kontaktu z innymi ludźmi, choć żaden by się do tego nie przyznał. Dla Gundhalinu była to najważniejsza chwila dnia, jedyna, na którą czekał: siedzenie na ziemi owiewanej zimnymi podmuchami, przebywanie wśród ludzi, dzięki którym mógł prowadzić swe ledwo tolerowane życie.

Niekiedy nawet rozmawiał z Piractwem, którego umysł stanowił dziwną, bezładną mieszaninę różnych wiadomości, w większości zdobytych samodzielnie. Gadali godzinami, gdy Gundhalinu w jego chacie dochodził do siebie po pobiciu. Teraz jednak nawet Piractwo nie ważył się zbyt często z nim mówić, a do pracy wysyłał z Sinobójca, zamiast zabierać ze sobą; bał się, iż zbytnia komitywa z byłym Sinym podważyłaby jego pozycję wśród pozostałych.

Ziemia zadrżała; Gundhalinu przełknął gwałtownie i zakaszał.

– Piractwo, mamy już niemal pełną skrzynię – ktoś zawołał po chwili. – Powinniśmy wkrótce powędrować na posterunek.

Piractwo uniósł wzrok znad krawędzi manierki. Uśmiechnął się, odstawił naczynie.

– No – powiedział. – Chyba tak. Może nadeszła pora wybrać, kto pójdzie. – Otoczyło go jakby naładowane pole, gdy wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął połamaną starą grę, której strzegł jak skarbu. – Jak zwykle wygrają trzej, którzy odgadną najlepiej. Nie grają ci, którzy byli dwa ostatnie razy.

Gundhalinu znał zasady wyboru, ale nigdy nie był jego świadkiem. Patrzył, jak wyczerpani mężczyźni o otępiałych oczach ożywają się nagle, pochylają do przodu, wykrzykują liczby z zapalem, jakiego nigdy dotąd u nich nie widział. Trójka zwycięzców zyskiwała przerwę w wyczerpującej mordędzie codziennej pracy, możliwość spędzenia nocy w miejscu przypominającym cywilizację, z łózkami, prysznicami, prawdziwym jedzeniem, gdzie wymienią swe zbiory na drobne nagrody, pozwalające im przetrwać do chwili, gdy zostaną zwolnieni z tej śmierci za życia.

– Zdrada? – zapytał Piractwo. – Podałeś liczbę? Zaskoczony Gundhalinu uniósł głowę; uprzytomnił sobie, że jak zwykle nic nie powiedział. Nie miał nawet pewności, czy pozwolą mu grać. Wypełniło go nagle podniecenie i nadzieja, aż rozjaśnił się jak pozostali. Polizał popękane wargi i powiedział:

– Dwadzieścia trzy.

Piractwo skinął głową, dźwignął się na kolana. Wziął w ręce pionki do gry, potrząsnął nimi, przedłużał cudowną chwilę, podczas której wszystko było możliwe dla otaczających go ludzi. W tej chwili Gundhalinu zrozumiał, co czyniło go przywódcą. Gdy pionki spadną, trójka mężczyzn zyska w nagrodę nie tylko podróż – wygrają także dni wyczekiwania na nią. Nawet przegrywający zdobędą czas przyjemnego przewidywania, wybierania, o jakie drobne cenne rzeczy, nie związane bezpośrednio z przeżyciem powinni poprosić...

Piractwo wyciągnął ręce, skąpane w złotym świetle, i wypuścił pionki na ziemię.

Krzyki triumfu i przekleństwa zawiedzionych zlały się w uszach Gundhalinu w ogłuszający hałas, zbyt przywykł tu do ciszy. Pochylił się do przodu, zobaczył leżące na piasku cyfry, zrozumiał, że przegrał. Poczucie straty zakłuło go w piersi, zaklął. Inni potrząsali głowami, wzruszali ramionami, przyjmowali porażkę jak wszystko inne. Gundhalinu oszołomiło jednak zrozumienie, gdy nagle ją utracił, ile dlań znaczyła nagła wielka nadzieja na wygraną.

Spróbował skupić się na adhani; nie zdołał jej sobie przypomnieć, gdy Piractwo wymieniał zwycięzców. Przegrani zaczęli im gratulować, bardziej brutalnie niż było to konieczne, lecz wybrańcy przyjmowali to z dobrym humorem. Ciała zebranych zaczęły się poruszać, trącać Gundhalinu przy wstawaniu i rozchodzeniu się do chat, gdzie każdy spał. Towarzyszyło temu więcej rozmów niż zazwyczaj, więcej ożywienia, zdarzały się nawet śmiechy. Gundhalinu zmusił do podniesienia swe własne, niechętnie ciało, nagle uświadomił sobie wyraźnie każdy bolący, naprężony mięsień; nie rozumiał, czemu tylko on czuje się coraz gorzej, a nie lepiej. Może dlatego, iż pozostali wiedzieli, że wszystko to kiedyś się dla nich skończy; tylko on pozbawiony był innej nadziei niż ta, w którą nadal ośmielał się wierzyć.

– Hej – ktoś powiedział. – Spójrzcie na Zdradę. Gundhalinu zeszywniał, obrócił się do wskazującego nań Kontraktu.

– Ma zielone światło – powiedział Kontrakt. – Patrzcie. Zaczęli odwracać się inni, przyglądać ciekawie, gdy Gundhalinu nagle się na niego rzucił, obalił na ziemię.

BZ usiadł na piersi Kontraktu, złapał w ręce jego szyję.

– Jeszcze raz tak zażartuj, gnojku, a wyrwę ci kłamliwy język...

– Nie kłamie! – skrzeknął Kontrakt, machając rękoma. Inni chwycili Gundhalinu, ściągnęli z napaźniętego, przytrzymali.

– Nie kłamał, Zdrado – powiedział Piractwo. Stanął przed Gundhalinu, wytrzymał jego rozwścieczony wzrok. Wyciągnął kawałek wypolerowanego metalu, w nagłym blasku słońca ukazał BZ jego odbicie, jak gwiazda błyszcząca na obręczy zielone światło.

Gundhalinu przestał się wrywać, czuł, jak opada mu szczeka. Uniósł dłonie do otaczającej szyję obręczy, gdy tylko go puszczono. Wszyscy zgromadzili się za Piractwem, przyglądali mu się.

– Powiedziałeś, że ma dożywocie – wymamrotał wstający Kontrakt. – Pomyślałem, że zasłużył sobie jakoś na zielone światło.

– Miałem... mam – szepnął Gundhalinu, ciągle wpatrując się we własne odbicie, widząc, jak mężczyzna, którego z trudem poznawał, przyciska do gardła zasmarowane palce; wyczuwał lekkie ciepło wydawane przez światło na obręczy.

– Może to pomyłka – ktoś powiedział. Gundhalinu okręcił się na pięcie, spiorunował go wzrokiem.

Piractwo położył dłoń na ramieniu Gundhalinu.

– Tu nie robią takich pomyłek, Zdrado – powiedział spokojnie. – Skontaktuję się przez radio z posterunkiem. Sądzę, że mimo wszystko się tam wybierzesz. Bez powrotu. – Lekko wykrzywił usta. – Gratulacje. Może nawet będzie nam cię trochę brakować...

Gundhalinu nieznacznie kiwnął głową, spojrzał mu w oczy.

– Ja też cię nie zapomnę. Nie zapomnę nikogo z was. Piractwo przyglądał mu się dłuższą chwilę, wzruszył ramionami.

– Lepiej, Zdrado, jeśli zapomnisz – powiedział. – Lepiej, jeśli zapomnisz.

Gundhalinu pokręcił głową, opuścił wzrok.

– Nie mógłbym, choćbym nawet chciał – szepnął.

– Twój sen się chyba sprawdził, Zdrado – powiedział Sinobójca.

Gundhalinu uniósł głowę. – Chyba tak – mruknął z powstrzymywanym śmiechem. Zrobił krok, przejęty nagłym strachem, że nadal śpi. Rozstąpili się przed nim, tak samo, jak skazańcy zrobili to dla człowieka z zielonym światłem w dniu przybycia Gundhalinu. Przeszedł między nimi, jego cień kładł się na złotą drogę wiodącą w świt. Dotarł do chaty i wpełzł do środka, żegnany błogosławieństwem ich spojrzeń, jakby był jakimś bohaterem. Z westchnieniem położył się na wyrko ze szmat. Potem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zapadł w sen.

TIAMAT: Krwawnik

Reede Kullervo stał na ukrytym balkonie wychodzącym na salę balową, z ciekawością podglądacza nachylał się nad barierką, od godzin wpatrywał się w przyjęcie, widział wszystko, sam niewidoczny. Był to jeden z wielu potajemnych punktów obserwacyjnych i komnat pałacu; członkowie Kolegium Sybilli pokazali mu wszystkie po aresztowaniu Królowej. Przewodząca im starsza niewidoma kobieta rozkazała, by go chronili, gdy będzie szukany przez Sinych. Robili to, nawet rodzice ciężarnej wdowy po Tammisie. Pamiętał spokojne, skuteczne ruchy Merovy Bluestone zajmującej się nim podczas choroby; pamiętał jej oczy...

Westchnął, nasycając oczy ruchami i barwami leżącej w dole zatłoczonej sali. Nie potrafił już sobie przypomnieć, czy to on zaprojektował owe wymyślne kryjówki, gdy marzył o przyszłym kształcie Krwawnika, czy też zostały one dodane później, podczas licznych zagubionych stuleci dzielących jego ówczesne i przyszłe życie.

Bez względu na ich pochodzenie, był im wdzięczny, ponieważ uratowały mu życie, a teraz pozwalały przyglądać się zamknięciu kręgu, który pomógł zapoczątkować. Trwające w dole przyjęcie, z grupami pozaziemskich dostojników mieszających się z Tiamatańczykami w misternym tańcu dyplomacji, wydano z okazji powrotu Głównego Sędziego BZ Gundhalinu.

Nie śmiał zejść na dół, dopóki przebywa tam choć jeden Kharemoughi, bał się, że ukazaniem swej twarzy czy przypadkową uwagą zwróci na Kowala niepożądaną uwagę Złotego Środka. Dlatego patrzył stąd, jak sala wypełnia się powoli, obserwował pstrą mieszaninę barw skór, włosów i strojów, różnorodność przepychu, elegancji i prostoty; zachowywał w pamięci przyjemne wrażenia, jakie ryły w jego umyśle.

Pomiędzy zebranymi przesuwała się Królowa, jej na pozór przypadkowe ruchy, widziane z góry, zdradzały celowość. Oczy Reede'a zauważyły, iż zbyt często zbliża się do wejścia do sali, zbyt długo mu się przygląda, z narastającą niecierpliwością poprawia włosy i sprawdza czas.

Aż wreszcie nadeszła chwila, na którą czekali oboje, choć nie w pełni to sobie uświadamiali – przybycie Gundhalinu. W sali ustała muzyka i wszelki ruch; tańczący, jedzący, plotkujący, intrygujący, wszyscy nagle zastygli, tworząc wspaniałą żywy obraz.

Gdy Gundhalinu wszedł do sali w towarzystwie Jerushy PalaThion, noszącej mundur i oznaki wskazujące, iż jest teraz Komendantem Policji, trwające milczenie przerwały oklaski. BZ stanął w małej przestrzeni zostawionej dla niego tuż za drzwiami, jakby powstrzymał go odgłos nagłego pochlebstwa. Czekał z podniesioną głową, nie odpowiadając na powitanie, ledwo je słyszał, szukając kogoś w otaczającym go tłumie.

A potem znalazł wyglądaną osobę – Królową, kroczącą ku niemu przez rozstępujący się tłum, o włosach jak śnieg, szatach szeleszczących i zielonych jak mech, przejrzystych, powiewnych i błękitnych jak letnie niebo. Kryształowe paciorki lśniły na niej niby gwiazdy, niby lży morza. Bez korony, jedynie z prostym wiankiem z kwiatów, podchodziła z wyciągniętymi do powitania rękoma.

Gundhalinu poruszył się wreszcie, postąpił krok ku jej wysuniętym dłoniom. Stanęli przed sobą, ośmielając się dotknąć jedynie koniuszkami palców, lecz chwila ich spotkania, gest o bardzo osobistym znaczeniu, były uniesieniem tak czystym, że dla oczu tłumy stały się sakramentem, a nie zdawkowym pozdrowieniem.

W końcu puścili swoje dłonie, opadły tak wolno, jakby wokół nich przestała działać grawitacja. Gundhalinu obrócił się na chwilę i coś powiedział Jerushy, wskazał na drugi koniec sali. PalaThion skinęła głową, odeszła w tłum, podczas gdy Królowa poprowadziła BZ w zalewie gratulacji i pozdrowień ze strony byłych wrogów i przyjaciół, którzy przestali się od siebie odróżniać,

przynajmniej na najbliższe kilka godzin. Jako pierwszy przywitał go Pernatte i inni członkowie hegemońskiego trybunału; podejrzana była nieobecność Vhanu, poprzedniego komendanta.

Wynajęci muzycy, milczący od chwili przybycia Gundhalinu, zaczęli naraz grać dziwną pieśń, nie znaną dla Reede'a, lecz chyba oczekiwaną przez BZ, którego twarz, do tej pory nie zdradzającą poza oczami żadnego możliwego do odczytania uczucia, wypełnił nagły uśmiech. Pochylił się, mruknął coś w ucho Królowej. Moon obróciła się ku niemu z wyraźnym zaskoczeniem. Gundhalinu uznał ten gest za przyzwolenie, wziął ponownie jej rękę, przyciągnął do siebie, rozpoczął taniec.

Tłum rozstał się przed nimi, wszyscy przyglądali się i mruclili, gdy pod wtór muzyki wirowali w coraz szerszym kręgu. Reede patrzył także, pomyślał, że w sali na dole nawet najbardziej ograniczony Tech nie może być bardziej niż on zdumiony widokiem Gundhalinu tańczącego otwarcie z kochaną przez siebie kobietą. Na parkiecie zaczęli się pojawiać następni tancerze, aż pokryło go morze blasku i ruchu.

Reede patrzył, jak tańczą ze sobą, nie widział nikogo więcej: dostrzegał w ich twarzach jaskrawy kontrast, bolesną przepaść dzielącą ich dwa światy... czytał w oczach jedyną znaną mu prawdę.

Przypomniał sobie Mundilfoere, pozwolił umysłowi przywołać mroczne piękno jej twarzy... przypomniał sobie wszystko, czym była dla niego, co dlań uczyniła, co poświęciła. Pomyślał też o Ilmarinenie, którego kochał... I zapłakał w swej skrytej samotni.

Po tańcach przyglądał się, jak Gundhalinu i Królowa jedzą, rozmawiają, chodzą wśród tłumu, zawsze razem, zmuszając wszystkich do rozpoznania i uznania ich nie ogłoszonego oficjalnie związku.

Goście zaczęli się w końcu rozchodzić, znikali jak paciorki z zerwanego naszyjnika. Pierwsi wyszli przywódcy Hegemonii, natychmiast, gdy etykieta im na to miłosiernie pozwoliła. Jedyne Gundhalinu nie okazywał zniecierpliwienia. Reede zmienił pozycję, wpatrując się w opuszczających salę ostatnich Sinych, nagle sam stał się niespokojny, jakby przestało go przygniatać jakieś ciężkie brzemie.

Drgnął i obrócił się, zaskoczony jakimś odgłosem. Przycisnął plecy do barierki, patrząc przed siebie.

– Ariele? – zapytał, gdy w milczeniu się przed nim pojawiła. Nie była ubrana tak jak wtedy, gdy widział ją poprzednio: pstry, myląco zmysłowy i obcisły strój pozaziemskiego pochodzenia zamieniła na długą bezkształtną szatę miejscową o rękawach i dekolcie wykończonych plisami. Z jej szyi zwieszały się sznury ciężkich paciorków wykonanych z krwawników, agatów i wypolerowanych muszli.

Zawahała się, niepewna, co uczynić, Reede uświadomił sobie naraz własną reakcję, kurczowe przytrzymywanie się barierki, jakby w oczekiwaniu na atak... albo na ducha.

Wyprostował się, puścił poręcz. – Gdzie byłeś? – zapytał na widok jej twarzy, krzywiąc się na wpół z troski, na wpół ze złości na siebie. – Widziałem cię w sali, gdy zaczęli przybywać goście; potem zniknąłeś.

Opuściła wzrok, stanęła obok niego w niszy, gdy wysunął rękę. Objęta przez niego, odwracała głowę, podobnie jak on przedtem wpatrywała się w scenę poniżej. Reede poczuł, jak dotyka jego ręki, niepewnie, lecz ciepło. Od chwili przebudzenia, gdy matka wyrwała ją śmierci, wydawała się trochę bezcielesna.

– Zrobiłam, co po mnie oczekiwano – mruknęła. – Witałam pozaziemców z odpowiednią dawką pełnej hipokryzji troskliwości. Potem poszłam do mego dawnego pokoju, przyglądałam się zabawkom, które były moje i – i Tammisa... – Głos się jej załamał. Milczała dłuższą chwilę. –

Trochę czytałam, podano mi ciepłą herbatę i pierniki, jakbym znowu była małą dziewczynką. Było tam bardzo zacisznie. – Spojrzała na niego. – Przez cały wieczór się stąd przyglądałeś?

– Jestem pozaziemcem – dotknął jej twarzy, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie przypominasz ich. – Z pogardą skinęła głową na Kharemoughi, których nie było już w dole, ale pozostawili swe zaciemniające ich przyszłość cienie.

Twój ojciec przypomina – powiedział, sprawiając, że obróciła się z gniewem i rozżaleniem. – Czy raczej przypominał – poprawił się łagodniejszym tonem. Zerknął poza ukrytą barierkę, zobaczył trzymających się nadal razem, złączonych niewidzialną linią pragnienia Królową i Gundhalinu. Podążyła za jego wzrokiem, dostrzegł, jak się krzywi. – Niech będą szczęśliwi... – Chciał, żeby tak było. Zasługują na to.

Stała nieruchomo, patrzyła na nich, grymas powoli opuszczał jej twarz, aż przestała wyrażać cokolwiek. Wreszcie skinęła głową.

– Weź. – Reede przestał ją obejmować, sięgnął do sakiewki i wyciągnął przedmiot, który do tej pory tkwił tam zapomniany. – Chciał, żebyś to... dostała z powrotem. – Podał jej zrobioną z muszli piszczałkę Dawntreadera, jej kruchy spiralny kształt przecinało wąskie jak włos pęknięcie, dawno temu naprawione.

Otworzyła usta; nic z nich nie wyszło. Wzięła piszczałkę, przycisnęła do policzka, zamknęła oczy.

– Chcę stąd uciec – z miasta – i nigdy nie wrócić. Ciocia Jerusha powiedziała, że możemy zamieszkać na jej plantacji. Możemy żyć tam samotnie, tylko z merami...

– Tak powiedziała? – Znowu zacisnął dłonie na barierce, miał wrażenie, iż jego ciało straciło naraz ciężar. – Możemy to zrobić – szepnął. – Możemy. Tak byłoby najlepiej... po prostu wspaniale.

Znowu na niego spojrzała, na spopieliałe policzki wrócił rumieniec, uśmiech dojrzał na pełnych, miękkich wargach.

Wziął ją za rękę, przyjrzał się długim smukłym palcom, bledszym nawet od jego, zdobiącemu je pierścionkowi z soliami, identycznemu z jego własnym. Zacisnęło mu się gardło na słowach, jakie próbował wypowiedzieć, wziął ją w ramiona, przycisnął do serca, poczuł słodki, ciepły zapach dziewczyny, spleśniały, stary odór ścian. Po chwili zapytał: – Czemu tu przyszłaś?

Odsunęła się od niego, spojrzała z uśmiechem. W tejże chwili w dole niespodziewanie rozległa się muzyka. Różniła się całkowicie od brzmiącej uprzednio, której wyrafinowane tony miały dogodzić przewrażliwionemu słuchowi grymaśnych Techników. Reede spojrzał poza barierkę, upewnił się, że w dole znajduje się ta sama grupa muzyków co uprzednio, lecz nagle gra rytmiczną, dziwną melodię tradycyjnego tańca Letniaków.

– Rozpoczyna się prawdziwe przyjęcie – powiedziała Ariele. – Chcę, żebyś zszedł i bawił się na nim razem ze mną... – Sięgnęła po jego rękę, zawahała się, uśmiechnęła, gdy chętnie, niemal skwapliwie jej posłuchał.

Zeszli po schodach ramię w ramię, wkroczyli w morze ciał i twarzy, ich przybycie wywołało jedynie drobną falę. Nie poznawali większości otaczających ich ludzi, niekiedy tylko dostrzegali jakąś widzianą uprzednio twarz. Reede zauważył Merovy Bluestone; spojrzeli sobie w oczy, nim zdołał odwrócić wzrok. Po zejściu na dół stracił z oczu Gundhalinu i Królową.

Ariele wyprowadziła go na otwartą przestrzeń, gdzie ludzie tańczyli równie spontanicznie, jak muzycy grali, wpadła w rytm tańca, skłoniła, by tańczył z nią. Kroki były proste i Reede uległ; czuł się niezdatny, denerwowało go, że ciągle nie może do końca przywyknąć, iż jego ciało przestało być doskonałą maszyną, jaką czyniła je woda śmierci. Śmiało ciągnął płasy, zaczął odkrywać, że lubi tańczyć – zrozumiał, iż zawsze lubił, choć nie pamiętał, kiedy robił to ostatnio. Hulał dalej, nie tylko

z Ariele, wraz z nią włączył się w rytm obejmujący wszystkich pozostałych, ulegał muzyce coraz bardziej skocznej i hałaśliwej, a twarz dziewczyny stała się tak zarumieniona i rozjaśniona jak jego.

Wkrótce jednak to jego dawniej niezwykłe ciało zmusiło ich do wycofania się na bok, jedzenia marynowanych ryb, picia dziwnie pachnącego wina, aż wreszcie zmysły zaczęły mu wirować.

– Przypominam sobie... – mruknął z niepewnym uśmiechem, wywołanym idącym do głowy napitkiem.

Ariele spojrzała na niego.

– Co?

Od odpowiedzi wybawiło go zawołanie po imieniu. Rozejrzał się po tłumie, zobaczył podchodzące do nich trzy postacie w niespodziewanym układzie: Tiamatankę Starhiker prowadzącą klub, własnego pilota i członka załogi.

– Cześć, szefie – powiedział Niburu z nagłym uśmiechem, zdradzającym Reede'owi, że pewnie i on wypił nieco za dużo.

– Bogowie – Reede przyjrzał się im wszystkim, czując, że przybiera dziwne miny. – Gdzie, u diabła, byliście?

Siedzieli w więzieniu, dopóki PalaThion nie została mianowana Komendantem Policji i ich nie uwolniła. Potem rzadko ich widywał; dopiero teraz, upity winem i zmęczeniem, przyznał się przed samym sobą, jak bardzo go to martwiło.

Niburu spojrzał na niego, z dziwnym uśmiechem zerknął na Ariele.

– Za miastem, pomagaliśmy sprzątać po sztormie. – Poufale objął kibić Tor Starhiker. Kobieta przerzuciła rękę nad ramieniem Kedalion, pogładziła go po piersi.

Reede uniósł brwi. – Widzę, że dzielność została nagrodzona. Niburu wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko.

– Lubi moją kuchnię.

Tor rozjaśniła się także. – Jest prosta – powiedziała – lecz bardzo sycąca... – Niburu spaśował. Z tyłu, jak zawsze w cieniu, stanęła uśmiechnięta, milcząca postać Ananke, trzymająca quolla na smyczy. – Ostatnio nie potrzebowałeś przewoźnika – powiedział Niburu.

– To prawda – mruknął Reede, zerkając na Ariele. – Raczej nie. – Dotknął jej ręki.

– Dlatego też – dokończył – co mamy robić dalej? Reede popatrzył na niego. – Jedzcie. Tańczcie. Bawcie się. Niburu pokręcił głową. – Pytałem, co potem. Jutro. Za tydzień. Za kilka miesięcy?

Reede zawahał się, popatrzył na całą trójkę, na różnorodność wyrazów ich twarzy, zdradzających jedno uczucie.

– Zamierzamy... Ariele i ja – opuścił wzrok – wyruszyć na południe, wzdłuż wybrzeża. Spróbujemy... – Urwał. Znaleźć zapomnienie. – Znaleźć... coś utraconego.

Niburu kiwnął głową. Reede odniósł wrażenie, że go to zadowoliło.

– Do tego nie będzie ci potrzebny pilot.

– Raczej nie – powtórzył Reede, znowu spuścił wzrok. – Lubisz łodzie? – Popatrzył na niego.

– Nie lubię – odparł Niburu. – Toną. Nie lubiłem ich na Samathe. Nadal nie lubię. On też nie lubi. – Wskazał na Ananke.

Reede spojrzał na nich dziwnie. – Chcecie odejść. Wyjeżdżacie.

– Szefie, masz teraz kogoś, kto będzie się o ciebie troszczył – uśmiechnął się Niburu. – Nie potrzebujesz nas więcej. – Zawahał się. – Długo byliśmy razem. Może wszyscy coś utraciliśmy.

Tor spojrzała na niego. – Mówisz, jakbyś nie zamierzał więcej tu wrócić.

– Kochanie, tego nie powiedziałem. – Popatrzył na nią, uśmiechnął się szerzej. – Nigdy nie mówiłem. Jeśli się czegoś od niego nauczyłem... – wskazał na Reede'a, odrobinę zgorzkniał – to tego, by nigdy nie mówić "nigdy"... – Ucałowała go w czubek głowy. On ją w odsłonięty pępek. Ananke przewrócił oczyma.

Reede poczuł ściskający go we wnętrzu nieokreślony ból. Odłożył wino na stół, winiąc trunek za cierpienie.

– Kiedy odlatujecie? – zapytał, nie podnosząc wzroku. Niburu przez chwilę nie odpowiadał, zdawało się, że czeka na coś albo spodziewał się innych słów.

– Jak tylko zbiorę ładunek. Za kilka dni.

– I kilka nocy? – zapytała Tor, gładząc mu włosy.

– A jakże – popatrzył w górę. – Dobra – mruknął, gdy Reede w końcu na niego spojrzał. – Pewnie wstąpimy przed odjazdem i pożegnamy się...

– Nie znoszę długich pożegnań – powiedział Reede, mrugając oczyma. – Nie róbcie tego. – Spostrzegł, że cieknie mu z nosa, wytarł go rękawem. – Przeziębłem się – wymamrotał i zakasłał.

– Dbaj bardziej o siebie – powiedział Niburu, jego oczy wypełniło zdumienie i zaciekawienie.

– Wy też. – Reede wyciągnął rękę, Kedalion ją uchwycił, zetknęli jednakowe blizny na dłoniach.

Uśmiech Niburu ponownie stał się szerszy.

– Przyjdzie nam to łatwo, gdy nie będziemy musieli pracować dla ciebie.

Reede parsknął śmiechem. – Dzięki... – mruknął, wiedząc, iż Niburu zrozumiał, za co tak naprawdę wyraża mu wdzięczność. Wysunął rękę w stronę Ananke; dotknął leżącego quolla, jak zwykle zadowolonego w swej obroży. Poglaskał zwierzę po raz pierwszy od chwili, kiedy to, jeszcze na Ondinee, wyłowił je ze studni. Quoll zamruczał jakby ze zdziwienia, przyjrzał się mu czarnymi, błyszczącymi jak paciorki oczyma. – O niego też dbaj. Uratowałeś mu życie i na zawsze już jesteś za niego odpowiedzialny; znasz zasady.

Ananke popatrzył na Reede'a, pogłaskał quolla, tak iż ich palce zetknęły się przez chwilę.

– Wiem, szefie – powiedział łagodnym, lecz napiętym głosem. – Do widzenia – dodał. Kullervo uznałby, iż jego twarz wyraża tęskne pragnienie, gdyby to uczucie miało sens.

Muzyka zmieniła się znowu, wszyscy się rozejrzeli. Rozległa się inna melodia, mieszanina tubylczych i pozaziemskich instrumentów rozbrzmiała nowym tonem, wysokim i przejmującym, niepodobnym do poprzednich, lecz nagle, boleśnie przywodzącym Reede'owi na myśl pieśń merów.

Obrócił się, dostrzegł, że nie towarzyszy mu już Ariele, zaczął jej szukać oczyma.

Tor dotknęła jego ramienia, wskazała w stronę orkiestry. Reede uniósł głowę, podążył wzrokiem za jej gestem, dostrzegł Ariele pomiędzy muzykami; uświadomił sobie, że rozbrzmiewa melodia piszczałki ojca dziewczyny. Wiedział, że ma ona dobry słuch i zdolności naśladowcze, ale nie miał pojęcia, że gra.

Sam się zdziwił, iż muzyka przykuła na długo jego uwagę. Odwróciwszy się wreszcie, zobaczył, że pozostali odchodzą, są już na parkiecie do tańca. Ananke uniósł w pożegnaniu rękę, obejrzał się za siebie i po chwili wszyscy zniknęli.

Reede przeciskał się przez tłum, starając się zbliżyć do miejsca zajmowanego przez Ariele i muzyków. Ponownie dostrzegł Merovy Bluestone, stojącą obok Królowej. Moon obejmowała ją ramieniem, obie tkwiły nieruchomo, zasłuchane, ich twarze wyrażały takie samo zdziwienie i rozpacz. Przypomniawszy sobie, że Tammis nosił z sobą piszczałkę; pewnie grał na niej, podobnie jak jego siostra... jak Sparks Dawntreader. Słuchał uważnie dziwnych melodii, tworzonych przez dziedzictwo i otoczenie, przez miłość i smutek; żałował, iż nie jest bardziej lub mniej pijany.

– Kullervo. – Obejrzał się, zobaczył Gundhalinu stojącego z drugiej strony Królowej. BZ odsunął się od niej, podszedł bliżej.

– Witaj znowu – powiedział Reede bez uśmiechu. – Na ziemi życia.

Gundhalinu spojrział nań z zaskoczeniem, jakby usłyszał coś całkowicie niepojętego. Potem jednak kiwnął głową, również się nie uśmiechając.

– Tak... – powiedział spokojnie. – Dziękuję ci. Dziękuję, że miałeś w tym swój udział.

Reede nieznacznie wzruszył ramionami. Wreszcie widząc Gundhalinu z bliska, zdziwił się, dostrzegając na jego twarzy głębokie znużenie, wyraźne zmarszczki – oznaki pozostawione przez przeżycia w Obozach, których nie zdążyło zatrzeć nagłe uwolnienie. Powaga czarnosrebrnego mundur, światło odbijające się od naszywek i medali, także od okrutnych szpicy koniczynki, to wszystko jedynie odzwierciedlało twarde otrzeźwienie i brak złudzeń oczu.

– Może dzięki temu staliśmy się sobie równi – powiedział Reede.

Gundhalinu uśmiechnął się w końcu; nieznacznie, jakby zapomniał, jak się to robi.

Królowa odwróciła się, usłyszawszy ich głosy. Merovy gdzieś zniknęła; Reede przypuszczał, iż z jego powodu. Gdy Moon podeszła bliżej, stanęła obok Gundhalinu, ich widok mocno poruszył Kullervo: przypominały lustra, odbijające nawzajem ich cierpienia, różne próby będące przejawem tego samego przejścia. Zrozumiał, że do tej pory nie zauważał zmian, jakie przeszła Królowa, wcześniej zaprzętały go własne. Zastanowił się, co dostrzegała na jego twarzy.

– Nie wiedziałem, że umie grać – powiedział, odrywając od nich wzrok i patrząc na Ariele, nadal całkowicie pochłoniętą muzyką. Poczł wypełniającą go nagłą niespodziewaną tęsknotę, tak jak powietrze przesyciła słodka, smętna wesołość jej pieśni.

– Ani ja – mruknął Gundhalinu z lekkim smutkiem.

– Ani ja... – Głos Królowej odbijał echem radość i hałaśliwość muzyki. Gundhalinu otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie.

Spojrziała na niego i kiwnęła głową, jakby coś powiedział; jakby nie potrzebowali już więcej porozumiewać się słowami. Znowu popatrzyła na Reede'a; jej oczy były studniami pamięci. Kullervo odstąpił w bok, by ich przepuścić. Patrzył, jak idą przez kurczący się tłum, kierują do schodów, którymi tu wszedł. Obserwował ich odejście, tak jak przedtem przyście, dopełnił tym krąg.

Odwrócił się plecami do pustych schodów, nie chcąc naruszać odosobnienia pary, popatrzył na muzyków i Ariele. Pozwolił myślom zatonać w płynnej melodii, Reede'owi Kullervo zanurzyć się w tłumie.

Moon powiodła BZ cichym korytarzem, następnie schodami, kolejnymi korytarzami; szli, trzymając się za ręce. Nie pytał jej o nic, podążał za nią z pokorną ustepliwością – jakby był nadal więźniem. Obejrzała się na niego, poczuła w środku ból. Myślał, że prowadzi go do sypialni, jednak nie, minęła jej drzwi. BZ zerknął na Moon w milczącej ciekawości, lecz nadal nie zadał żadnego pytania.

Każdy dzień przez tygodnie dzielące przybycie trybunału od powrotu Gundhalinu spędzała na pracy trwającej od świtu do późna w noc, starała się zadowolić płynące zewsząd naciski na zmianę stosunków łączących Tiamat z Hegemonią, doglądała odbudowy miasta po zniszczeniach wywołanych katastrofalnym sztormem. Za to każdej nocy, kiedy to kładła się wreszcie do pustego łóżka, wyobrażała sobie, iż czuje jego leżące obok ciało: odgłosy jego oddechów, bicia serca, ciepło dotyku przywracały życie jej własnemu, zrujnowanemu rozpaczą.

Teraz jednak, gdy wreszcie zostali sami, uświadomiła sobie, że to nie tego pragnęła, potrzebowała. Pierwsza, oszałamiająca fala radości, jaka ich zalała, gdy się zobaczyli, przeniosła ich łatwo i bezboleśnie przez tłumne przyjęcie. Ale tu, w pustych korytarzach, minęły jasne, beztróskie

chwile szczęścia, przewyciężyła je pamięć wpuszczająca duchy i cienie. Patrząc na mroczną, zmęczoną twarz ukochanego, uprzytomniła sobie, że nie czuje również potrzeby szybkiego, cielesnego zajęcia się sobą.

Dlatego prowadziła go korytarzami, w górę ostatnich schodów, do swej osobistej komnaty, zajmującej wierzchołek pałacu i miasta. Wokół nich otworzyło się nocne niebo, pałające ogniem niezliczonych gwiazd. Zimne, niebiesko-srebrne oblicze jedyne większego księżyca Tiamat było wznoszącą się nad morzem błyszczącą tajemnicą.

Usłyszała, jak BZ w zdumieniu wciąga powietrze, przyglądając się widokowi poniżej i przed nim.

– Nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje... – szepnął.

Moon nie wiedziała, czy mówi o skrytej komnacie, czy o podobnym pięknie. Położyła mu głowę na ramieniu, objęli się, w całkowitym bezruchu podziwiali widok, zapominając o własnym istnieniu.

W oddali coś naruszyło powierzchnię łagodnego, ciemnojasnego zwierciadła morza: pojawiła się jedna sylwetka, potem następna i jeszcze dalsze, wyszywały ciemny ścieg na lśniącej płaszczyźnie; przywoływały na myśl wszystko, co leży ukryte pod złudnym spokojem.

– Czy to mery? – zapytał.

– Chyba tak – odpowiedziała miękko. – Z tej odległości trudno o pewność.

Westchnął.

– Myślałem, że nigdy więcej nie zobaczę tego świata. Myślałem, że nigdy więcej nie zobaczę twej twarzy... – oderwał wzrok od oceanu, zajął jej w oczy; niepewnie dotknął twarzy zniszczoną pracą dłonią. – Próbowali mnie zabić... – mruknął po chwili.

– Kto? – Wytrzymałaby jego wzrok, lecz znowu popatrzył na morze.

– Ci sami, którzy chcieli zabijać mery. – Twarz zacisnęła mu się jak pięść. – Pewnie ci sami, którzy gratulowali mi powrotu, którzy dzisiaj lizali me buty. Brakowało im wpływów – albo odwagi – by zabić mnie bezpośrednio. Dlatego wysłali tam... – Urwał. – Mieli nadzieję, że czas wszystko załatwi. Ale znowu uratowałaś mi życie. – Twarz mu się uspokoiła, pocałował jej włosy w czułym, pozbawionym namiętności geście.

Nie odpowiedziała, nie ruszyła się, ciało miała nieczułe i zdrętwiałe: przypomniała sobie, jak cienka błona dzieli życie od śmierci, wszystkie rzeczy, których nic nigdy nie zmieni.

– Moon... – W nagłym współczuciu objął ją ramionami. – Przykro mi. Tak bardzo mi przykro... – W jego załamującym się głosie usłyszała echa dźwięków wyrrywanych z jej gardła przez własną rozpacz.

Pokręciła głową, poczuła swój zarumieniony policzek trący zimny, obojętny materiał kurtki munduru; obejmujące ją ramiona, wciskane w plecy i szyję krawędzie twardych medali. Nie poczuła ulgi.

– Matko Nas Wszystkich – szepnęła, patrząc na morze. – Wolałabym umrzeć, niż doczekać wydarcia mi z piersi serca. – Pomyślała wtedy o Arienrhod – jej kościach toczących się wiecznie w ciemnych głębinach morza – pomyślała z litością i zgrozą.

Tym razem nie odpowiedział, trzymał ją tylko, aż poczuła, jak ciepło jego ciała przenika jej skórę jak kojący balsam.

– Popatrz – powiedział wreszcie. – To mery. Widać je teraz wyraźnie. – W dalszym ciągu ścisnął ją mocno, nalegał głosem, by spojrziała.

Uniosła głowę, by ujrzeć całą kolonię igrającą nocą pomiędzy stykającymi się światami. Życie merów było znowu pełne, powód ich istnienia znowu bezpieczny; dostrzegła jednak w skrytych kształtach żywiołowych ruchów, dworskim tańcu, iż w swym beczasowym świecie miały za

wystarczający powód samo istnienie. Z umysłem sybilli były połączone znacznie mocniej, aniżeli ludzie służący mu poprzez więź duchową. Patrzyła, jak pojawiają się i znikają, utrzymywała w pamięci delikatne wzory tworzone przez ich migotanie na rozgwieżdżonej powierzchni wody.

– Zazdrość im... – szepnęła. – Żyją bez rozpacz.

– Dzięki nam, ich życie nigdy już nie zakończy się w nienaturalny sposób – mruknął Gundhalin w jej włosy. – A życie żadnego człowieka nie zostanie w nienaturalny sposób przedłużone ich śmiercią. Powróciła równowaga... Może pora już, byśmy się zajęli naszym życiem. Wspólnym życiem. Straciliśmy tyle czasu, że nigdy nie zdołamy tego odrobić...

Moon zamknęła oczy, przypomniała sobie wieczność, w której gubiła się strzała czasu, wskazywała wszystkie kierunki naraz. Otworzyła je znowu, spojrzała na morze i płonące gwiazdami niebo. Nie potrafiła odnaleźć linii znaczącej koniec jednego i początek drugiego; jakby nic ich nie dzieliło, jakby były ciągłością sięgającą od głębin oceanu po głębie kosmosu.

– Czas zajmie się rzeczami – powtórzyła miękko, wspominając jego gorzkie słowa. – Zajął się... zajmie. Tyle przynajmniej jest nam winien. – Znowu na niego popatrzyła, ujrzała noc odbijającą się w ciemnych oczach.

Uśmiechnął się wreszcie i kiwnąwszy głową, objął ją, rozgrzał.

– Czekam niecierpliwie, by się z tobą starzeć.

TIAMAT: Prajna, orbita planety

– Bogowie – powiedział Kedalion, rozciągając palce, aż trzasnęły knykcie, odchylił się do tyłu w fotelu kapitana Prajny. – Ciągłe się boję, że się przebudzę z tego snu. – Popatrzył na Ananke. – Powiedz mi, że nie śnię.

Ananke odpowiedziała uśmiechem. – Nie śnisz. Chyba że razem ze mną. – Wzruszyła ramionami, pieszcząc pękaty nosek quolla, wpatrywała się w odczyty na ścianie sterówki. – Układy napędowe, sprawdzone. Ładunek, sprawdzony. Układy podtrzymujące życie, sprawdzone. Mamy wszelkie zezwolenia, okno startowe nie uległo zmianie. Jesteśmy wolni, Kedalionie. Możemy odlatywać. – Rozsiadła się wygodnie w fotelu drugiego pilota, położyła quolla do pudełka, umocowanego przed nią pod tablicą z przyrządami.

– Gotowi opuścić przestrzeń Tiamat? – Kedalion zadał tradycyjne pytanie, spojrzał na nią znad sterów.

– Gotowi – odpowiedziała bez wahania.

Kedalion obejrzał się przez ramię. – Gotów jesteś, Dawntreader?

Sparks zerknął na niego, nieznacznie skinął obandażowaną głową. Wrócił do wpatrywania się w ekrany przyrządów, nie odrywał oczu od rodzinnej planety, przesuwał się majestatycznie tysiące kilometrów niżej.

– Niburu, czy robieś słusznie? – mruknął.

– Nie wiem – odparł Kedalion. – Ale na pewno dobrze... Jesteś gotowy? – powtórzył po chwili. Przesunął ręką i obraz na ekranie zastąpiło pole gwiazd.

Dawntreader odetchnął głęboko.

– Jestem – potwierdził, tym razem spojrzał w przyszłość. Z uśmiechem uniósł dłoń w geście mogącym oznaczać zarówno uspokojenie, jak i po prostu pożegnanie.

Kedalion usadowił się wygodnie w fotelu, porozmawiał z krążącym daleko w dole portem; przemówił do komputera pokładowego, uruchomił procedurę startu.

Potem zaczekał, objęty delikatnym uciskiem wypatrywania, aż Prajna ożyje i runie w noc.

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 4](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 10](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 12](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 16](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 31](#)

[TIAMAT: Plantacja Ngeneta. 34](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 44](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 53](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 60](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 67](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 73](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 77](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 82](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 84](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 86](#)

[TIAMAT: Port gwiazdny Hegemonii 93](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 103](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 108](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 114](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 119](#)

[TIAMAT: Południowe Wybrzeże. 123](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 127](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 133](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 137](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 146](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 154](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 162](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 173](#)

[KHAREMOUGH: Osiedle Orbitalne. 181](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 185](#)

[ONDINEE: Tuo Ne'el 191](#)

[WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7. 210](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 218](#)

[TIAMAT: Prajna, orbita planety. 224](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 236](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 249](#)

[WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7. 261](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 265](#)

[WIELKA NIEBIESKA: Syllagong, Obóz Męski nr 7. 277](#)

[TIAMAT: Krwawnik. 280](#)

[TIAMAT: Prajna, orbita planety. 288](#)